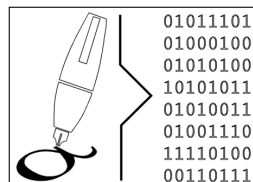


# ROBERT JORDAN

## Wielkie Polowanie

drugi tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 2

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

*The great hunt. Vol. 1*

Data wydania polskiego: 1995 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1990 r.

*Lucinda Culpin, Al Dempsey, Tom Doherty, Susan England, Dick Gallen, Cathy Grooms, Marisa Grooms, Wilson i Janet Groomsowie, John Jarrold, Chłopcy z Johnson City (Mike Leslie, Kenneth Loveless, James D.Lund, Paul R.Robinson), Karl Lundgren, William McDougal, Gang z Montany (Eldon Carter, Ray Grenfell, Ken Miller, Rod Moore, Dick Schmidt, Ray Sessions, Ed Wiley, Mike Wildey i Sherman Williams), Chanie Moore, Louisa Cheves Popham Raoul, Ted i Sydney Rigneyowie, Bryan i Sharon Webb oraz Heather Wood — im tę książkę dedykuję.*

*Przyszli mi z pomocą, kiedy Bóg szedł po wodzie, a prawdziwe Oko Świata przesunęło się nad moim domem.*

*Robert Jordan Charleston, SC — Luty 1990*

*I stanie się, że co ludzie uczynili, zostanie strzaskane, a Cień zalegnie na Wzorze Wieku i Czarny raz jeszcze położy swą dłoń na świecie człowieczym. Kobiety łkać będą, a mężczyźni skamienieją ze zgrozy, gdy ludy ziemi rozpadną się niczym zetłata tkanina. Nikt nie przeciwstawi się, nikt nie wytrwa...  
A jednak urodzi się taki, co stanie do walki z Cieniem, zrodzony ponownie, jak to było przedtem i będzie znowuż, bez końca. Smok się odrodzi, a narodzinom jego towarzyszyć będzie płacz i zgrzytanie zębów. We włosiennice i popiół lud swój odzieje, a przyście jego raz jeszcze sprowadzi pęknięcie świata, rozrywając wszystkie łączące dotąd więzi. Niczym brzask rozszałaty oślepi nas i spali, a przecie to właśnie Smok Odrodzony stawi czoło Cieniowi w czas Ostatniej Bitwy, a krew jego przywróci nam Światłość. Lej łzy rześiste, o ty, ludu świata. Łkaj, czekając na zbawienie.*

*Proroctwa Smoka z: Cyklu Karaethon*

przetłumaczone przez Ellaine Marise'idin Alshninn,  
Pierwszego Kustosza Biblioteki Dworu Arafel,  
W Roku Stwórcy 231  
Nowej Ery, Trzeciego Wieku.

# PROLOG

## W CIENIU

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, w każdym razie w tym miejscu, krzywił się drwiąco, słysząc głuchy szmer, który w sklepionej komnacie brzmiał jak dalekie gęganie gęsi. Drwinę kryła czarna, jedwabna maska, niczym się nie różniąca od masek zakrywających twarze setki innych ludzi zgromadzonych w pomieszczeniu. Sto czarnych masek i sto par oczu, usiłujących wypatrzeć, co kryją pozostałe zasłony.

Komuś, kto nie rozglądałby się nazbyt uważnie, mogło się wydawać, że olbrzymia sala, z jej wysokimi marmurowymi kominkami i złotymi lampami zwisającymi z kopuły sufitu, barwnymi gobelinami i skomplikowanymi mozaikami posadзки, należy do jakiegoś pałacu. Ale tylko komuś, kto nie rozglądałby się nazbyt uważnie. Bo, po pierwsze, przecież chłodem wiało z kominków. Na kłodach grubych jak męskie udo tańczyły wprawdzie płomienie, nie dawały jednak ciepła. Mury skryte za gobelinami, wysokie sklepienie nad lampami, wszystko z nie ociosanego, nieomal czarnego kamienia. Nigdzie żadnych okien i tylko dwoje drzwi po przeciwległych końcach komnaty. Jakby ktoś sobie umyślił, że wszystko ma wyglądać jak w pałacowej sali przyjęć, ale nie chciało mu się zaprzętać głowy niczym więcej jak tylko ogólnym planem i odrobiną szczegółów.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, nie wiedział, gdzie znajdowała się komnata, nie sądził też, by pozostałym to było wiadome. Nie miał ochoty się zastanawiać, gdzie jest. Wystarczyło, że go tutaj wezwano. Nad tym też nie miał ochoty się zastanawiać, jednakże na takie wezwania stawiał się nawet on.

Poprawił płaszcz, wdzięczny, że ognie na kominkach nie dają ciepła, inaczej bowiem byłoby mu za gorąco w czarnej wełnianej materii spowijającej go od stóp do głów. Cały jego ubiór miał czarną barwę. Sute fałdy płaszcza kryły przygarbienie, maskujące wzrost, w ich gęstwie trudno się było połapać, co do jego tuszy. Niemniej nie on jeden spośród zgromadzonych owinął swą postać w płachty długości całych piędzi.

W milczeniu obserwował swych towarzyszy. Nieomal całe jego życie zbudowane było na cierpliwości. Zawsze, gdy dostatecznie długo czekał i patrzył, ktoś w końcu popełniał błąd. Większość obecnych tu mężczyzn i kobiet wyznawała

być może tę samą filozofię; obserwowali i słuchali w milczeniu tych, którzy musieli mówić. Niektórzy nie potrafili znieść czekania albo milczenia i w ten sposób zdradzali więcej niż powinni.

Wśród gości kręciła się służba, szczupła, złotowłosa młodzież, okraszając oferowane wino ukłonem i milczącym uśmiechem. Młodzi mężczyźni i kobiety, ubrani jednako w białe spodnie i obszerne białe koszule. Jednakże też, niezależny od płci, był niepokojący wdzięk ich ruchów. Każde z nich przypominało lustrzane odbicie pozostałych, młodzieńcy nie ustępowali urodą dziewczętom. Wątpił, czy umiałby któreś z nich odróżnić, a wszak miał oko i pamięć do twarzy.

Uśmiechnięta, odziana w biel dziewczyna podsunęła mu tacę zastawioną kryształowymi pucharami. Wziął jeden, nie mając jednak zamiaru pić. Odмова poczęstunku mogła być poczytana za nieufność — lub coś jeszcze gorszego, a każde uchybienie mogło tutaj skończyć się śmiercią. Jednakże w napoju mogło się coś znajdować. Z pewnością paru spośród jego towarzyszy bez zmruczenia oka patrzyłoby, jak zmniejsza się rzesza pretendentów do władzy, i nie miało znaczenia dla nich, kto reprezentowałby szeregi pechowców.

Bors beznamyślnie zastanawiał się, czy po tym spotkaniu służący zostaną spisani na straty. Służba przecież wszystko słyszy. Gdy usługująca mu dziewczyna wyprostowała ciało schylone w ukłonie, ponad promiennym uśmiechem napotkał jej oczy. Oczy pozbawione wyrazu. Puste oczy. Oczy lalki. Oczy bardziej martwe niż śmierć.

Zadygotał, gdy oddaliła się pełnymi gracji ruchami i mimowolnie przyłożył puchar do ust. Jednak wbrew pozorom, nie przejął się tym, co się stanie z dziewczyną. Teraz chodziło o coś innego — zawsze, gdy już myślał, że wykrył jakąś słabość u tych, którym aktualnie służył, przekonywał się, że go uprzedzono, że ową domniemaną słabość wyeliminowano, z bezlitosną precyzją, która wprawiała go w zdumienie. I niepokój. Naczelną zasadą, którą posiłkował się w życiu, było doszukiwanie się słabości, wszelka bowiem słabość stanowiła szczelinę, w której mógł tropić, węszyć i działać. Jeżeli jednak jego obecni panowie, ci, którym służył w tej chwili, nie mają żadnych słabości. . .

Marszcząc skryte za maską czoło, przypatrywał się swoim towarzyszom. Przynajmniej tu mógł się dopatrzeć całego mnóstwa słabości. Zdradzało ich zdernerwowanie, nawet tych, którym roztropność nakazywała strzec przynajmniej języka. Sztywność, z jaką obnosił się jeden, niezborne ruchy, z jakimi tamta miętoszyła rąbek spodnicy.

Zgodnie z jego rachubami co najmniej jedna czwarta zebranych nie pokwapiła się, by ukryć oblicza za czarnymi maskami. Ich ubiory wiele mówiły. Na przykład kobieta przed złoto-purpurowym gobelinem, rozmawiająca cicho z inną osobą — nie sposób było określić czy to mężczyzna, czy kobieta — ubraną w szary płaszcz z kapturem. Najwyraźniej dlatego wybrała to miejsce, gdyż barwy kobierca dawały urody jej przydzwiewkowi. W dwójnasób głupio przyciągała uwagę swą

szkarłatną suknią, z głęboko wyciętym stanikiem, odsłaniającym za dużo ciała, i wysokim krajem spódnicy, spod której wзираły złote trzewiki; widać było, że pochodzi z Illian i że jest kobietą bogatą, być może nawet szlachetnie urodzoną.

Nie opodal mieszkanki Illian stała inna kobieta, samotna i chwalebnie milcząca, z łabędzią szyją i lśniąca kaskadą czarnych włosów spadającą do pasa. Stała, wsparta plecami o kamienną ścianę, bacznie wszystko obserwując. Żadnego zdenerwowania, jedynie spokój i równowaga. Niby godna wszelkich pochwał, a jednak ta miedziana skóra i kremowa szata z wysokim kołnierzem — zakrywająca wszystko prócz dłoni, a przy tym obcisła i z lekka opalizująca, sugerująca, co kryje, niczego przy tym nie ujawniając — zdradzała wyraźnie najlepszą krew z Arad Doman. I o ile człowiek, który kazał nazywać się Bors, nie chybiał całkowicie swymi domysłami, na szerokiej złotej bransolecie, którą nosiła na lewym nadgarstku, widniały symbole jej Rodu, żadna rodowita mieszkanka Doman nie poskromiłaby swej wyniosłej dumy, nosząc herb innego Rodu. Gorsze niż głupota.

Minął go mężczyzna ubrany w błękitny jak niebo, shienarański płaszcz z wysokim kołnierzem, mierząc go od stóp do głów czujnym spojrzeniem zza otworów w masce. Postawa mężczyzny zdradzała żołnierza, wszystko potwierdzał ten wizerunek: układ ramion, wzrok, który nigdy nie zatrzymywał się na długo w jednym miejscu, ręka gotowa pomknąć do miecza, którego nie miał przy sobie. Mieszkaniec Shienaru niewiele zmitrężył czasu, by ocenić człowieka, który kazał nazywać się Bors; przygarbione ramiona i pochylone plecy nie kryły w sobie żadnej groźby.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, parsknął pogardliwie, mieszkaniec Shienaru szedł dalej, zaciskając prawą dłoń i już wypatrując niebezpieczeństwa gdzie indziej. Potrafił uszeregować ich wszystkich wedle pochodzenia i krain. Kupca i wojownika, człowieka z ludu i szlachetnie urodzonego. Mieszkańca Kandoru i Cairhien, Saldaei i Ghealdan. Z wszystkich krajów i prawie wszystkich narodów. Zmarszczył nos, nagle owładnięty obrzydzeniem na widok jakiegoś Druciarza w jaskrawozielonych spodniach i jadowicie żółtym płaszczu.

„Poradzimy sobie bez takich wraz z nastaniem dnia.”

Zamaskowani na ogół nie wyglądali lepiej, mimo wszystkich swoich płaszczy i kirów. Pod rąbkiem czyjejsz burej szaty wypatrzył zdobne w srebro wysokie buty lorda z królewskiego rodu Łzy, pod inną błysk złotych ostróg zakończonych Lwimi głowami, nosili takie jedynie najwyżsi rangą oficerowie w służbie Gwardii Królowej Andoru. Niepozorny jegomość — niepozorny mimo wlokącej się za nim po podłodze czarnej szaty i stonowanego szarego płaszcza, spiętego zwykłą srebrną spinką — wyglądał spod cienia swego głębokiego kaptura. Mógł być kimkolwiek, obojętnie skąd... gdyby nie sześcioramienna gwiazda wytatuowana na skórze łączącej kciuk z palcem wskazującym prawej dłoni. Wywodził się zatem z Ludu Morza i starczyło jedno spojrzenie na jego lewą dłoń, by rozpoznać

oznakowania klanu i rodu. Człowiekowi, który kazał nazywać się Bors, nawet nie chciało się sprawdzać.

Nagle zwięził oczy utkwione w kobiecie tak otulonej w czerń, że nie było widać nic prócz palców. Na prawej dłoni miała złoty pierścień w kształcie węża pożerającego własny ogon. Aes Sedai albo kobieta wyszkolona w Tar Valon przez Aes Sedai. Nikt inny nie mógł nosić takiego pierścienia. Dla niego to nie miało żadnego znaczenia. Odwrócił wzrok, zanim zdążyła zauważyć, że na nią patrzy, i prawie natychmiast spostrzegł drugą kobietę odzianą od stóp do głów w czerń i noszącą pierścień Wielkiego Węża. Dwie wiedźmy nie zdradziły ani jednym znakiem, że się znają. W Białej Wieży siedziały jak pająki pośrodku sieci, pociągając za sznurki, które zmuszały królów i królowe do tańca, wtrącając się w nie swoje sprawy.

„Oby wszystkie zdechły na wieki!”

Przyłapał się na tym, że zgrzyta zębami. Skoro szeregi miały się przeredzić — a przed Dniem musiały — niejednego tu żałować przyjdzie jeszcze mniej niż Druciarzy.

Rozległ się głos dzwonu, pojedyncza, drżąca nuta, która dobiegła nie wiadomo skąd, bez ostrzeżenia i niczym nóż ucięła wszystkie rozmowy.

Wysokie drzwi przy przeciwległym końcu sali otwarły się z rozmachem na oścież i do środka weszło dwóch trolloków. Ich czarne kolczugi, sięgające do kolan, zdobiły kolce. Wszyscy pośpiesznie umykali na bok. Nawet człowiek, który kazał nazywać się Bors.

Przewyższając o głowę, albo nawet o więcej, najwyższego z obecnych mężczyzn, stanowili przyprawiające o mdłości skrzyżowanie człowieka ze zwierzęciem; ich ludzkie twarze były wykrzywione i zniekształcone. Jednemu, w miejscu, w którym powinny znajdować się usta i nos, wyrastał wielki, szpiczasty dziób, głowę zamiast włosów porastały pióra. Drugi miał kopyta, twarz wydętą w kształcie włochatego ryja, za uszami sterczały kozie rogi.

Ignorując ludzi, trolloki stanęły twarzami w stronę drzwi, po czym skłoniły się, służalcze i uniżone. Pióra na głowie jednego uniosły się, tworząc koguci grzebień.

Do sali wkroczył Myrddraal i wszyscy padli na kolana. Był odziany w czerń, na tle której kolczugi trolloków i maski ludzi wydawały się jaskrawe, cały jego strój zwisał nieruchomo, bez żadnej zmarszczki, kiedy z gracją jadowitego węża przemierzał salę.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, poczuł, że jego wargi unoszą się, obnażając zęby, częściowo w gniewnym grymasie, a częściowo, co wstyd mu było przyznać nawet przed samym sobą, ze strachu. Myrddraal nie zasłonił twarzy. Błada jak ciasto, ludzka, lecz pozbawiona oczu, przypominała jajo albo zamieszkującą groby larwę.

Ta gładka, biała twarz obróciła się, jakby kolejno lustrowała wszystkie. Widać



było, jak pod wpływem bezokiego spojrzenia dreszcz przeszywa zgromadzonych. Wąskie, bezkrwiste wargi wykrzywiło coś na kształt uśmiechu, gdy zamaskowane postaci, jedna za drugą, usiłowały wcisnąć się głębiej w tłum, przygniatając się wzajem, byle tylko uniknąć potwornego spojrzenia. Wzrok Myrddraala sprawił, że utworzyli półokrąg ustawiony naprzeciwko drzwi.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, przełknął z trudem ślinę.

„Nadejdzie dzień, Pólczłowieku. Gdy znowu powróci Wielki Władca Ciemności, obierze sobie nowych Władców Strachu i ty będziesz pełzał przed nimi. Będziesz pełzał przed ludźmi. Przede mną! Czemu on nic nie mówi? Przestań się tak we mnie wgapiać i przemów!”

— Nadchodzi wasz władca. — Głos Myrddraala skrzypiał niczym szeleszcząca, wyschła wężowa skóra. — Na brzuchy, robaki! Czołgajcie się, bo inaczej jego jasność oślepi was i spali!

Furia ogarnęła mężczyznę, który kazał nazywać się Bors, pod wpływem tonu jak i słów. Jednakże w tym właśnie momencie powietrze nad głową Pólczłowieka załśniło i wtedy pojął to, co usłyszał.

„To niemożliwe! To niemoż. . . !”

Trolloki padły już na brzuchy, skręcały się, jakby chcąc wryć pod posadzkę.

Bez czekania na to co zrobią inni, człowiek, który kazał nazywać się Bors, padł na twarz, głuchym sapnięciem przyjmując bolesne uderzenie o kamień. Z ust wytrysnął potok słów, jakby zakłęcie w obronie przed niebezpieczeństwem — to było zakłęcie, tyle że przeciwko temu czego tak się bał, równie skutecznie obroniłaby go cienka trzcina — i wtedy usłyszał sto innych głosów, sto oddechów przepełnionych strachem, te same słowa wymawiane do podłogi.

— Wielki Władca Ciemności jest moim panem i służę mu wiernie, każdym strzępem mojej duszy.

Jakiś głos szepczący gdzieś w zakamarkach jego umysłu zawodził ze strachem.

„Czarny i wszyscy Przekłęci są uwięzieni. . .”

Dygocząc, zmusił głos do milczenia. Nie słyszał go już od niepamiętnych czasów.

— Pan mój jest Panem śmierci. Nie prosząc o nic, służył mu będę aż do dnia jego nadejścia, a służba ma przepełniona jest ufnością i nadzieją na wieczne życie.

„. . . Uwięzieni w Shayol Ghul, uwięzieni przez Stwórcę w chwili stworzenia. Nie, teraz służę innemu panu.”

— Wierni z pewnością zostaną wywyższeni na ziemi, wyniesieni ponad niewiernych, wyniesieni ponad trony, a ja jednak służył mu będę kornie aż do Dnia jego Powrotu.

„Dłoń Stwórcy strzeże nas wszystkich, a Światłość przed Cieniem ochrania. Nie, nie! Inny pan.”

— Oby Dzień Powrotu nastął jak najszybciej. Oby jak najszybciej Wielki Władca Ciemności poprowadził nas i na zawsze objął władzę nad światem.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, ciężko dysząc dokończył *credo*, czując się jakby miał za sobą dziesięciomilowy bieg. Otaczające go chrapliwe oddechy mówiły mu, że nie tylko on znajduje się w takim stanie.

— Powstańcie! Powstańcie wszyscy.

Słodka barwa głosu zaskoczyła go. Z pewnością nie mógłby tego powiedzieć żaden z jego towarzyszy leżących na brzuchach, z twarzami przyciśniętymi do mozaikowej posadzki, jednakże takiego brzmienia głosu nie mógł się spodziewać po... Ostrożnie uniósł głowę na tyle, by móc spojrzeć jednym okiem.

W powietrzu ponad Myrddraalem wisiała sylwetka człowieka, brzeg jego krwistoczerwonej szaty zwieszał się nad głową Myrddraala. Twarz przykrywała maska koloru równie krwistej czerwieni. Czy Wielki Władca Ciemności miałby się im ukazać pod postacią człowieka? I na dodatek zamaskowanego? A jednak Myrddraal, jego strach był niemalże widoczny, trząsł się, prawie kulił, stojąc w cieniu postaci. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, uczeplił się odpowiedzi, jaką mógł znieść jego umysł. Przypuszczalnie jeden z Przeklętych.

Ta myśl była niewiele mniej bolesna. Oznaczałoby to, że Dzień, gdy Czarny powróci, jest już blisko, skoro jeden z Przeklętych wy dostał się na wolność. Przekłęci, trzynastu najpotężniejszych władców Jedynej Mocy, w Wieku, który obfitował w potężnych władców, zamknięci zostali wraz z Czarnym w Shayol Ghul, wygnani ze świata ludzi i zapieczętowani tam przez Smoka oraz Stu Towarzyszy. A kontruderzenie, będące efektem tego wygnania skaziło męską połowę Prawdziwego Źródła i wszyscy mężczyźni Aes Sedai, ci przekłęci władcy Mocy, oszaleli i spowodowali pęknięcie świata, roztrzaskując go jak gliniany dzbanek ciśnięty na skały i kończąc tym samym Wiek Legend, zanim sami pomarli, gnijąc jeszcze za życia. Wedle jego przekonania najbardziej odpowiednia śmierć dla Aes Sedai. Zbyt lekka dla nich. Żałował tylko tego, że kobiety zostały oszczędzone.

Powoli, boleśnie zepchnął trwogę w głąb swego umysłu, zamykając ją i trzymając najściślej jak potrafił, chociaż krzykiem domagała się uwolnienia. To była najlepsza rzecz, jaką mógł zrobić. Żaden z leżących na brzuchu nie wstał jeszcze, nieliczni poważyli się podnieść głowy.

— Powstańcie! — W głosie czerwono zamaskowanej postaci zabrzmiał oschły ton. Wykonała gest oboma dłońmi. — Wstać!

Człowiek, który kazał mówić na siebie Bors, gramolił się niezręcznie, lecz w połowie drogi, klęcząc na kolanach, zawahał się. Dłonie wykonujące gesty były straszliwie poparzone, poprzecinane czarnymi szczelinami, pomiędzy których wyzierało surowe mięso, czerwone jak szaty, w które odziana była postać.

„Czy Czarny pojawiałby się w taki sposób? Lub choćby jeden z Przeklętych?”

Dziury na oczy w krwistoczerwonej masce powoli przesuwwały się po nim, wyprostował się więc pośpiesznie. Pomyślał, że niemalże czuje w spojrzeniu tym

gorąco otwartego paleniska.

Inni poddali się rozkazowi z nie większym wdziękiem i nie mniejszym strachem. Kiedy wszyscy już stali, postać unosząca się w powietrzu przemówiła:

— Znany jestem pod wieloma imionami, lecz wy powinniście znać mnie pod imieniem Ba'alzamon.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, zacisnął zęby, aby powstrzymać ich szcęknięcie. Ba'alzamon. W języku trolloków oznaczało to Serce Mroku, a nawet niewierzący wiedzieli, że trolloki nazywały tak Wielkiego Pana Ciemności. Tego Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać. Nie było to Prawdziwe Imię, Shai'tan, było jednak zakazane. Dla tych, którzy zgromadzili się tutaj, podobnie jak dla innych z ich rodzaju, splamienie któregokolwiek z obu imion ludzkim językiem oznaczało bluźnierstwo. Oddech świszczał mu w nozdrzach i słyszał, jak pozostali sapią pod swymi maskami. Służba gdzieś zniknęła, podobnie trolloki, choć nie spostrzegł, jak wychodzili.

— Miejsce, w którym się znajdujecie leży w cieniu Shayol Ghul.

Podniósł się lament wielu głosów. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, nie był pewien, czy i jego głos nie było pośród nich. Delikatny ton czegoś, co niemalże mogłoby być nazwane kpina, wplótł się w słowa Ba'alzamona, gdy rozpostarł dłonie:

— Nie bójcie się, albowiem Dzień ustanowienia waszego Pana nad światem zbliża się. Dzień Powrotu nadciąga skrzydłem burzy. Czy nic wam nie mówi to, że jestem tutaj, że wyróżnieni spośród wszystkich waszych braci i sióstr, możecie mnie oglądać? Wkrótce Koło Czasu zostanie skruszone. Już wkrótce Wielki Wąż umrze, a nasycony potęgą tej śmierci, śmierci samego Czasu, wasz Pan przekształci ten świat wedle obrazu swego, na ten Wiek i wszystkie, które przyjdą po nim. A ci, którzy służą mi wiernie i wytrwale, usiądą u moich stóp ponad gwiazdami na niebie i rządzić będą światem ludzi na zawsze. Tak wam obiecałem i tak będzie, bez końca. Będziecie żyli i władali na zawsze.

Szmer antycypowanej radości przemknął w tłumie słuchaczy, niektórzy nawet postąpili krok naprzód, w kierunku kołyszącego się, szkarłatnego kształtu, oczy entuzjastycznie uniosły się w górę. Nawet człowiek, który kazał nazywać się Bors, poczuł siłę przyciągania tej obietnicy, obietnicy za którą przehandlował po stokroć swą duszę.

— Dzień Powrotu jest coraz bliższy — rzekł Ba'alzamon. — Lecz wiele jeszcze zostało do zrobienia. Wiele do zrobienia.

Powietrze po lewej ręce Ba'alzamona załśniło i skrzepło, pojawiła się w nim postać młodego mężczyzny, nieco niższego od niego. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, nie potrafił zdecydować, czy jest to rzeczywista istota czy nie. Sądząc z ubioru, wiejski chłopiec z psotnymi ognikami w brązowych oczach i cieniem uśmiechu w kącikach ust, jakby przypominał sobie, lub planował jakąś psotę. Skóra jakby żyła i była ciepła, jednak piersi nie poruszał oddech, czy nie

mrugały.

Powietrze po prawej ręce Ba'alzamona zamigotało jakby z gorąca i druga z wiejska ubrana postać zawisła w powietrzu, odrobinę poniżej niego. Był to młodzieniec o kręconych włosach, umięśniony potężnie jak kowal. I miał osobliwy dodatek: przy boku wisiał mu bojowy topór, wielki stalowy półksiężyc, którego ciężar równoważył gruby szpic po przeciwnej stronie trzonka. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, nagle pochylał się naprzód pochłonięty czymś zdecydowanie bardziej zadziwiającym. Oczy młodzieńca były żółte.

I po raz trzeci powietrze zestaliło się w kształt młodego człowieka, tym razem dokładnie pod twarzą Ba'alzamona, niemalże u jego stóp. Podobny do poprzednich, wysoki, o oczach zmieniających barwę od szarości do błękitu, w zależności od kąta padania światła, o ciemnych, zrudziałych włosach. Następny wieśniak, albo rolnik. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, patrzył. Jeszcze jedna rzecz odstająca od powszedniości, chociaż dziwił się, jak w tym miejscu mógł oczekiwać zwyczajnych rzeczy. Przy pasie postaci przytroczony był miecz, miecz z brązową czapłą wygrawerowaną na pochwie, i jeszcze jednym znakiem czapli na długim, dwuręcznym jelcu.

„Wiejski chłopiec ze znakiem czapli na ostrzu? Niemożliwe! Co to wszystko ma znaczyć? I chłopak z żółtymi oczami?”

Zauważył, że Myrddraal patrząc na postacie zadrżał, a o ile nie sądził błędnie, drżenie nie wyrażało strachu, lecz nienawiści.

Zapadła głęboka cisza, której Ba'alzamon pozwolił jeszcze pogłębić się, nim przemówił:

— Oto jest ten, który przemierza świat, który był i który będzie, lecz którego jeszcze nie ma, oto Smok.

Przestraszony szept rozniósł się wśród słuchaczy.

— Smok Odrodzony! Mamy go zabić, Wielki Panie? Ręka człowieka z Shienaran łączywie podążyła do pasa, gdzie powinien wisieć miecz.

— Być może — prosto odrzekł Ba'alzamon. — A może nie. Być może da się go jakoś wykorzystać. Wcześniej czy później musi to nastąpić, w tym Wieku lub innym.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, zamrugał.

„W tym Wieku lub innym? Myślałem, że Dzień Powrotu jest blisko. Jakie ma dla mnie znaczenie, co wydarzy się w innym Wieku, jeśli zestarzeję się i umrę, zanim obecny dobiegnie końca?”

Lecz Ba'alzamon przemówił znowu:

— Już formuje się węzeł we Wzorce, jeden z wielu punktów, gdzie ten, który zostanie Smokiem, może być poddany mej władzy. Musi zostać poddany! Lepiej, żeby służył mi żywy, niżli martwy. Lecz żywy lub martwy służyć mi musi i będzie! Tych trzech musicie zapamiętać, gdyż każdy z nich stanowi osnowę we wzorze, który ja umyśliłem sobie upleść, a waszym dziełem będzie, dogłębnie

aby ułożyła się jak rozkazałem. Przypatrzcie się im uważnie, byście ich zapamiętali.

Nagle wszelkie głosy umilkły. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, poruszył się niespokojnie i stwierdził, że inni zachowują się podobnie. Wszyscy prócz kobiety z Illian, jak sobie zdał sprawę. Z rękoma rozpostartymi na łonie, jakby chciała przykryć odsłonięty krąg skóry, z rozszerzonymi oczyma, na poły przerażona, na poły pogrążona w ekstazie gorliwie kiwała głową, niby do kogoś stojącego twarzą w twarz z nią. Czasami zdawała się odpowiadać, ale człowiek, który kazał nazywać się Bors, nie słyszał ani słowa. W pewnym momencie przechyliła się do tyłu, drżąc i unosząc się na palcach. Nie rozumiał, dlaczego nie upadła, musiało podtrzymywać ją coś niewidzialnego. Wtem, równie niespodziewanie, stanęła na powrót normalnie i ponownie skinęła głową, kłaniając się i dygocząc. W tej samej chwili jedna z kobiet, noszących Wielkiego Węża, wpadła w podobny trans, też zaczęła kiwać głową.

„Tak więc każdy z nas słyszy przeznaczone dla niego instrukcje, a nikt nie słyszy cudzych.”

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, zamruczał zawiedziony. Jeśliby wiedział, co polecono uczynić choćby jednemu z zebranych, mógłby wykorzystać tę wiedzę, ale w taki sposób. . . Niecierpliwie czekał na swoją kolej, zapominając się do tego stopnia, że porzucił nawet wyprostowaną postawę.

Jedno po drugim, zebrani otrzymywali swe polecenia, każde otoczone murem milczenia, zdradzając jednak dręczące wskazówki. Gdyby tylko potrafił je odczytać. Człowiek z Atha'an Miere, z Ludu Morza aż zeszywniał ze wstępu, gdy potakiwał. Teraz przyszła kolej na Shienaranina. Jego postawa zdradzała pomieszanie nawet wówczas, gdy wyrażał zgodę. Druga kobieta z Tar Valon wzdrygnęła się, jakby była w szoku, a szaro odziana postać, której płci nie potrafił określić, potrząsnęła głową, zanim padła na kolana, potakując gwałtownymi ruchami głowy. Niektórych przeszywały podobne konwulsje jak kobietę z Illian, niczym od bólu przenikającego po czubki palców.

— Bors.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, targnął się, gdy czerwona maska wypełniła mu oczy. Wciąż mógł widzieć komnatę, wciąż postrzegał unoszącą się figurę Ba'alzamona i zawieszoną przed nim trzy postacie, lecz jednocześnie był w stanie patrzeć tylko na zamaskowaną czerwono twarz. Na wpół omdlały czuł, jakby rozłupywano mu czaszkę, jakby gałki oczne wypychano mu z głowy. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi płomienie prześwitujące przez oczy maski.

— Jesteś wierny... Bors?

Ślad kpiny w głosie spowodował, że dreszcz przeszył go do szpiku kości.

— Jestem wierny, Wielki Panie. Nie potrafiłbym nic ukryć przed tobą.

„Jestem wierny! Przysięgam!”

— Nie, nie potrafiłbyś.

Pewność w głosie Ba'alzamona sprawiła, że zaschło mu w ustach, lecz zmusił się, by odpowiedzieć.

— Rozkazuj mi, Wielki Panie, ja posłucham.

— Po pierwsze, musisz wrócić do Tarabon i dalej prowadzić swe dobre dzieła. W rzeczy samej, nakazuję ci podwoić wysiłki.

Patrzył na Ba'alzamona w zmieszaniu, lecz nagle ognie rozbłyły za maską, skorzystał więc z tego, iż znajdował się w pokłonie, by odwrócić wzrok.

— Jak rozkazujesz, Wielki Panie, tak też będzie.

— Po wtóre, będziesz wypatrywał trzech młodych mężczyzn i twoi ludzie będą wypatrywać ich również. Ale uważaj, są niebezpieczni.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, spojrzął na trzy postacie zawieszony w powietrzu przed Ba'alzamonem.

„Jak miałbym to zrobić? Mogę ich widzieć, ale naprawdę nie widzę nic prócz jego twarzy.”

Jego głowa niemalże pękała. Pot zlał ukryte w grubych rękawicach dłonie, koszula przylepiła się do pleców.

— Niebezpieczni, Wielki Panie? Wiejscy chłopcy? Czy jeden z nich jest... .

— Miecz niebezpieczny jest dla człowieka wystawionego na sztych, nie dla trzymającego jelec. Pod warunkiem oczywiście, że człowiek trzymający miecz nie jest głupi, nieostrożny lub nie wyćwiczony, w którym to przypadku miecz jest dla niego bardziej niebezpieczny niż dla kogokolwiek innego. Wystarczy, że kazałem ci ich zapamiętać. Wystarczy, że posłuchasz rozkazu.

— Jak rozkażesz, Wielki Panie, tak też będzie.

— Po trzecie, co się tyczy tych, którzy wylądowali na Głowie Tomana, oraz Domańczyków. O nich nie będziesz z nikim rozmawiał. Kiedy wrócisz do Tarabon... .

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, zdał sobie sprawę, że słucha z rozdziawionymi ustami. Instrukcje nie miały sensu.

„Gdybym wiedział, co powiedziano pozostałym, być może mógłbym poskładać to w jakąś całość.”

Nagle poczuł, że pochwyciono jego głowę, jakby gigantyczna dłoń ścisnęła skronie. Coś uniosło go w powietrze, świat rozprysnął się tysiącem gwiazd, a każdy rozbłysk światła był obrazem, który przelatywał przez jego umysł, przez przedzę myśli i ginał w oddali, zanim zdążył choćby na moment go pochwycić. Niemożliwe niebo przegowanych chmur, czerwonych, żółtych i czarnych, pędzących, poganianych przez najsilniejszy wiatr, jaki kiedykolwiek widział świat. Kobieta — dziewczyna? — ubrana w biel, wycofała się w czern i zniknęła w chwili, w której się pojawiła. Kruk popatrzał mu w oczy, poznając go, i odszedł. Uzbrojony mężczyzna, w zwierzęcym hełmie, uformowanym tak, pomalowanym i pozłocanym, by przypominał głowę jakiegoś potwornego, jadowitego owada, podniósł miecz zatopił go w czymś po swej prawej stronie, co znajdowało się poza polem

widzenia. Róg, złoty i kręty, nadleciał z wielkiej odległości. Jedna, jedyna świdrująca nuta, jaką rozbrzmiewał lecąc, ugodziła jego duszę. W ostatniej chwili rozbłysnął, przemieniając się w oślepiający złoty pierścień światła, które przeniknęło go, przenikając mrozem, przerażającym bardziej niż śmierć. Wilk wyskoczył z cieni utraconego wzroku i rzucił mu się do gardła. Nie był w stanie nawet krzyzczeć. Strumień płynął dalej, zatapiając go, grzebiąc. Z trudem przypominał sobie, kim właściwie jest, albo czym. Niebiosa płakały ognistym deszczem, księżyc spadał i gwiazdy, rzeki spływały krwią, ziemia pękła, wypluwając fontanny płynnej skały...

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, zorientował się, że leży skulony w komnacie wraz z pozostałymi ludźmi, większość patrzyła na niego, panowała całkowita cisza. Gdziekolwiek spojrzał, w górę czy w dół, czy w jakimkolwiek innym kierunku, zamaskowana twarz Ba'alzamoną zawsze wypełniała oczy. Obrazy przelatujące przez jego umysł zniknęły. Niepewnie wyprostował się. Ba'alzamon wciąż był przed nim.

— Wielki Panie, co... ?

— Niektóre rozkazy są zbyt ważne, by były znane nawet temu, komu zostały powierzone.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, niemalże na pół zgiął się w ukłonie.

— Jak rozkażesz, Wielki Panie — wyszeptał ochryple. — Tak też będzie.

Kiedy wyprostował się, na powrót zatonął w milczącej samotności. Kolejny człowiek, Wysoki Lord Tairen, giął się w ukłonach i potakiwał komuś, kogo nie widział nikt. Człowiek, który kazał nazywać się Bors, przyłożył dłoń do czoła, starając się pochwycić to, co eksplodowało w przestrzeniach jego umysłu, aczkolwiek nie był całkowicie pewien, czy rzeczywiście chciałby to zapamiętać. Ostatnie pozostałości zamigotały, zniknęły i nagle nie wiedział już, co właściwie stara się zapamiętać.

„Wiem, że coś było, ale co? Było coś! Musiało być?”

Splótł ręce. Skrzywił się, czując oblewający je pot i zwrócił swą uwagę na trzy postacie zawieszane przed unoszącym się w powietrzu kształtem Ba'alzamoną.

Muskularny, kędzierzawy młodzieniec, rolnik z mieczem i chłopak o psotnej twarzy. Pamiętając już ich twarze i sylwetki, człowiek, który kazał nazywać się Bors, nadał im imiona: Kowal, Szermierz i Błazen.

„Jakie jest ich miejsce w tej układance?”

Muszą być ważni, inaczej Ba'alzamon nie uczyniłby ich centralną kwestią spotkania. Lecz wnioskując wyłącznie na podstawie otrzymanych rozkazów, każdy z nich mógł zostać w każdej chwili zabity, a nie miał powodów by nie myśleć, że inni otrzymali — odnosiło się to do tych trzech — polecenia mniej śmiertelne.

„Na ile są ważni?”

Niebieskie oczy mogą oznaczać szlachtę Andoru — nie do pomyślenia w tym

ubiorze — również ludzie z Pogranicza mają jasne oczy, a także niektórzy Ta-ireńczycy, nie wspominając o mieszkańcach Ghealdan i oczywiście... Nie, w ten sposób niczego się nie osiągnie. Lecz żółte oczy?

„Kim oni są? Kim oni są?”

Poczuł dotknięcia na ramieniu i obejrzawszy się, zobaczył jednego z biało odzianych służących, młodzieńca stojącego obok. Inni również pojawili się na powrót, w większej liczbie niż poprzednio, na każdego zamaskowanego człowieka przypadał teraz jeden służący. Zamrugał. Ba'alzamon odszedł. Myrddraal odszedł również i tylko szorstki kamień znaczył miejsce, gdzie znajdowały się drzwi. Jednak trzy postacie wciąż jeszcze wisiały w powietrzu. Poczuł się, jakby spoglądały wprost na niego.

— Jeśli można, lordzie Bors, pokażę panu drogę do komnaty.

Unikając tych martwych oczu, raz jeszcze spojrzął na trzy postacie, potem ruszył w ślad za służącym. Pełen niepokoju zastanawiał się, skąd młodzieniec wiedział, jakiego użyć imienia. Kiedy dziwnie rzeźbione drzwi zamknęły się za nim i uszedł kilkanaście kroków, zdał sobie sprawę, że są sami w korytarzu. Brwi podejrzliwie opadły mu pod maską, lecz zanim otworzył usta, służący przemówił:

— Pozostali również udali się do swych pokoi, mój panie. Jeśli wolno, mój panie? Czasu zostało mało, a nasz Władca jest niecierpliwy.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, zgrzytnął zębami, zarówno ze względu na brak informacji, jak i implikacje, jakie pociągało za sobą zrównanie statusu ich obu, poszedł jednak posłusznie w milczeniu. Jedyne głupiec dyskutuje ze służącym, a co gorsza, kiedy przypomniał sobie jego oczy, nie był pewien, czy wyniknęłyby z tego coś dobrego.

„Ale skąd wiedział, jak się do mnie zwracać?”

Służący uśmiechnął się.

Człowiek, który kazał nazywać się Bors, ani przez chwilę nie zaznał spokoju, dopóki nie znalazł się z powrotem w pokoju, w którym oczekiwał za pierwszym przybyciem, nawet tam zresztą nie zaznał go wiele. Upewnił się, że pieczęcie na jego torbach są nienaruszone, była to jednak niewielka pociecha.

Służący nie wszedł do środka, pozostał w korytarzu.

— Możesz przebrać się we własną odzież, jeśli chcesz, mój panie. Nikt tutaj nie będzie świadkiem twojego odjazdu. Nikt nie wybiera się w twoim kierunku, toteż najlepiej byłoby już ubrać się odpowiednio. Ktoś przyjdzie, by pokazać ci drogę.

Nie tknięte żadną widzialną ręką drzwi zatrzasnęły się. Człowieka, który kazał nazywać się Bors, nieoczekiwanie przeszył dreszcz. Pośpiesznie zerwał pieczęcie i sprzączki toreb i wyciągnął z nich swój zwykły płaszcz. Na dnie umysłu cichy głos wątpił, czy obiecana moc, nawet nieśmiertelność, warta była jeszcze jednego takiego spotkania, lecz natychmiast zagłuszył go śmiechem.



„Za taką moc mógłbym wysławiać Wielkiego Pana Mroku pod Sklepieniem Prawdy.”

Pamiętając o rozkazach danych mu przez Ba'alzamona, dotknął palcem złotego, błyszczącego słońca, wyszytego na piersi białego płaszcza, i czerwonej laski pasterza z tyłu za słońcem, symbolu jego urzędu w świecie ludzi, i niemalże rozeźmiał się w głos. Czekąca go praca. Dużo pracy było do wykonania w Tarabon i na Równinie Almoth.

# PŁOMIEŃ TAR VALON

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekiem, Wiekiem który dopiero nadejdzie, Wiekiem dawno już minionym, w Górach Przeznaczenia podniósł się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją początki ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Zrodzony wśród czarnych, ostrych jak ostrza szczytów i wysokich przełęczy, gdzie błąkała się śmierć, a rzeczy jeszcze bardziej od niej niebezpieczne czaiły się w ukryciu, wiatr wiał na wschód, przez potargany las porastający Wielki Ugór, las skażony i zniekształcony dotykiem Czarnego. Mdlący, słodkawy odór zepsucia zelżał, nim wiatr pokonał tę niewidzialną linię, którą ludzie nazywali granicą Shienaru, gdzie wraz z nadejściem wiosny kwiaty grubą warstwą oblepiły gałęzie drzew. Powinno już było nadejść lato, jednakże wiosna nastąpiła późno i goniąca czas ziemia oszalała. Każdy krzak jeżył się młodą, jasną zielenią, koniuszki gałązek na drzewach zaczerwieńczyły się nowym przyrostem. Wiatr marszczył powierzchnię farmerskich pól, upodabniając je do kwitnących na zielono stawów, jako że przysze plony wyraźnie już wypęły na powierzchnię gleby.

Woń śmierci zdążyła się już rozwiać, o wiele wcześniej, nim wiatr dotarł do wzgórz otoczonego kamiennym murem miasta Fal Dara i jął smagać wieżę fortecy pobudowanej w samym jego sercu. Na samym szczycie tej wieży znajdowało się dwóch mężczyzn, ich ruchy przywodziły na myśl taniec. Fal Dara, ukryta za solidnym i wysokim murem, warownia i zarazem gród, nigdy pokonana, nigdy zdradzona. Lament wiatru wdarł się między kryte drewnianymi gontami dachy, kamienne kominy i wyższe od nich wieże, lament, co przypominał pogrzebową pieśń.

Obnażony do pasa Rand al'Thor zadrżał, gdy poczuł lodowatą pieszczotę wiatru, zacisnął palce na długiej rękojeści ćwiczebnego miecza. Palące promienie słońca gładziły jego tors, sklezione potem ciemnokasztanowe włosy przywarły mu do czaszki. Zmarszczył nos, czując wąty zapach w zmałym powietrzu, nie skojarzył jednak tej woni z obrazem świeżo otwartego, starego grobowca, który

zamigotał mu w myślach. Ten zapach i obraz ledwie dotarły do jego świadomości, ze wszech sił dążył do zachowania pustki w umyśle, jednakże mężczyzna, który mu towarzyszył na wieży, natrętnie nachodził tę pustkę. Mierzący dziesięć kroków szczyt wieży otaczał sięgający do piersi, zakończony blankami mur. Tyle miejsca nie wywoływało uczucia ciasnoty, o ile nie znajdował się tam Strażnik.

Mimo młodego wieku Rand był wyższy od większości mężczyzn, Lan jednak dorównywał mu wzrostem, a poza tym był mocniej umięśniony, mimo że nie miał równie szerokich barków. Strażnik obwiązał czoło przepaską ze splecionych rzemieni, dzięki czemu włosy nie opadały mu na twarz, twarz, która zdawała się składać z płaszczyzn i załamania jakby wykutych w kamieniu, twarz, której gładkość zadawała kłam siwym pasmom na skroniach. Mimo upału i zmęczenia pierś i ramiona Strażnika pokrywała jedynie cieniutka warstewka potu. Rand łowił wzrokiem lodowaty błękit oczu Lana, usiłując znaleźć tam jakikolwiek ślad jego zamierzeń. Strażnik wydawał się w ogóle nie mrugać, płynnie zmieniał kolejne pozycje, sprawnie i gładko poruszając mieczem.

Ćwiczebny miecz, składający się z wiązki cienkich, luźno związanych szczap zamiast ostrza, wywoływał głośny trzask za każdym razem, gdy w coś trafił a na ciele pozostawiał pręgę. Rand wiedział o tym aż za dobrze. Swędziały go trzy wąskie, czerwone linie na żebrach, jedna na ramieniu mocno piekła. Musiał dokładać wszelkich starań, by uniknąć dalszych tego typu ozdób. Na ciele Lana nie było ani jednego śladu od miecza.

Zgodnie z tym, czego go uczono, Rand ukształtował pojedynczy płomień w umyśle i skupił się na nim, starając się wlać weń wszelkie uczucia i emocje. utworzyć w swoim wnętrzu pustkę, otoczoną zrównoważoną myślą. Pustkę w końcu osiągnął, lecz — jak to się często zdarzało — zbyt późno, więc nie była to pustka doskonała; płomień wciąż płonął lub raczej było to wrażenie światła zakłócającego bezruch. Przynajmniej tyle. Oplótł go chłodny spokój pustki i wtedy zjednoczył się z mieczem, z gładkimi kamieniami pod podszewkami butów, nawet z Lanem. Wszystko stało się jednością, poruszał się, nie wiedziony żadną myślą, zharmonizowany z każdym krokiem i ruchem Strażnika.

Znowu wzbil się wiatr, przynosząc z sobą brzmienie miejskich dzwonów.

„Ktoś jeszcze się cieszy, że wreszcie nastąpiła wiosna.”

Uboczna myśl zatrzepotała w pustce, unosząc się na falach światła, zakłócając jej przestrzeń, a miecz w rękach Lana zawirował, zupełnie jakby Strażnik potrafił czytać w myślach Randa.

Przez chwilę na szczycie wieży rozbrzmiewała długa seria szybkich kłapnięć. Rand nie próbował dosięgnąć swego przeciwnika, potrafił jedynie uchylać się przed ciosami Strażnika. Odparowywał atak tak długo, jak się dało, lecz w końcu musiał się wycofać. Wyraz twarzy Lana ani razu nie uległ zmianie, za to miecz zdawał się żyć w jego rękach. Zupełnie zniemacka szeroki wymach zmienił się w pchnięcie. Wzięty z zaskoczenia Rand zrobił krok do tyłu, krzywiąc się z góry,

bo zdawał sobie sprawę, że tym razem nie uniknie trafienia.

Na szczycie wieży zawył wiatr... i nagle poczuł, że jest jego więźniem. Zgęstniałe powietrze oplatało go jak kokon. Pchało do przodu. Czas i ruch zwolniły, zdjęty trwogą patrzył na miecz Lana płynący prosto na jego pierś. Jednakże momentowi trafienia nie towarzyszyła ani powolność, ani łagodność. Żebra zatrzęszczały jak uderzone młotem. Stęknął głucho, a wiatr wciąż go nie puszczał, nadal niósł go do przodu. Szczapy w ćwiczebnym mieczu Lana ugięły się — wciąż powoli, jak się Randowi zdawało — a potem rozpadły, ostre drzazgi trysnęły w stronę jego serca, poszarpane końce rozorały skórę. Ból przeszył ciało, skóra wydawała się zupełnie posiekana. Cały płonął, jakby to słońce zniecka eksplodowało płomieniem, próbując go spalić niczym płat bekonu na patelni.

Krzycząc, zatoczył się gwałtownie w tył i padł na kamienny mur. Trzęsącymi dłońmi zbadał rany na piersi i z niedowierzaniem podniósł zakrwawione palce do swych szarych oczu.

— Co miał znaczyć ten głupi ruch, pasterzu? — spytał zgrzytliwym głosem Strażnik. — Przecież już coś umiesz, chyba że zapomniałeś wszystko, czego cię próbowałem nauczyć. Mocno jesteś...? — Urwał, napotkawszy wzrok Randa.

— Wiatr. — Randowi zaschło w ustach. — On... on mnie popchnął! Był... Był twardy jak mur!

Strażnik popatrzył na niego w milczeniu, potem podał mu rękę. Rand ujął ją i pozwolił się podźwignąć na nogi.

— Dziwne rzeczy mogą się dziać tak blisko Ugoru — powiedział w końcu Lan, jednak w tych pozornie beznamiętnie dobranych słowach słyhać było niepokój. To samo w sobie było dziwne. Strażnicy, ci na poły legendarni wojownicy służący Aes Sedai, rzadko kiedy zdradzali jakieś emocje, a Lan okazywał ich jeszcze mniej. Cisnął połamany miecz na bok i oparł się o ścianę, pod którą ułożyli swe prawdziwe miecze, by nie przeszkadzały w ćwiczeniach.

— Ale nie takie — zaprotestował Rand. Przykucnął obok Lana, dzięki czemu szczyt muru znalazł się powyżej jego głowy, chroniąc go niejako przed wiatrem. O ile to w ogóle był wiatr. Żaden wiatr nigdy nie był... taki... oporny. — Pokój! Może nawet w samym Ugorze!

— W przypadku kogoś takiego jak ty... — Lan wzruszył ramionami, jakby to wszystko wyjaśniało. — Kiedy masz zamiar wyjechać, pasterzu? Miesiąc temu powiedziałaś, że jedziesz, i mnie się wydawało, że nie powinno cię tu być już od trzech tygodni.

Rand zagapił się na niego ze zdumieniem.

„On się zachowuje tak, jakby nic nie było!”

Marszcząc brwi, odstawił miecz ćwiczebny, wziął swój prawdziwy miecz i ułożył go sobie na kolanach, gładząc palcami długą, owiniętą rzemieniem rękojeść ozdobioną wizerunkiem czapli. Druga taka sama czapla zdobiła pochwę i jeszcze jedną wytrawiono na schowanym w niej ostrzu. Nadal nie mógł się na-

dziwić, że jest posiadaczem takiego miecza. Że w ogóle ma jakiś miecz, a co dopiero taki ze znakiem mistrza. Był zwykłym farmerem z Dwu Rzek, tak teraz dalekich. Może już na zawsze. Był pasterzem, jak jego ojciec.

„Byłem pasterzem. Kim jestem teraz?” I to ojciec dał mu ten miecz ze znakiem czapli.

„Tam jest moim ojcem, choćby nie wiadomo, co mówili inni.”

Zapragnął, by to, co myśli, nie brzmiało tak, jakby próbował przekonywać samego siebie.

Lan znowu wydawał się czytać w jego myślach.

— Na Ziemiach Granicznych, pasterzu, każde dziecko należy do tego, kto się zajmuje jego wychowaniem i nikt nie może powiedzieć, że jest inaczej.

Rand zignorował słowa Strażnika z chmurną miną. To była wyłącznie jego sprawa.

— Chcę się nauczyć nim posługiwać. Muszę.

Noszenie miecza ze znakiem czapli przysparzało mu wielu kłopotów. Nie każdy wiedział, co oznaczał ów znak, nie wszyscy nawet go zauważali, jednak takie ostrze, szczególnie w rękach młodzieńca ledwie zasługującego na miano mężczyzny, wciąż było przedmiotem niepożądanego uwagi.

— Czasami, kiedy nie mogę uciekać, udaje mi się komuś zamydląć oczy, a poza tym mam szczęście. Ale co się stanie, gdy nie będę mógł ani uciekać, ani udawać, a mój zapas szczęścia się wyczerpie?

— Możesz go sprzedać — powiedział ostrożnie Lan. — Jest czymś rzadkim nawet wśród innych mieczy ze znakiem czapli. Osiągnąłby wysoką cenę.

— Nie!

Na taki pomysł wpadał już nieraz, teraz jednak odrzucił go z tego samego powodu co zawsze i to bardziej zapałczywie, bo pochodził od kogoś innego.

„Dopóki należy do mnie, dopóty mogę nazywać Tama swym ojcem. On mi go podarował i to jemu zawdzięczam to prawo.”

— Myślałem, że wszystkie miecze ze znakiem czapli są czymś rzadkim.

Lan spojrzał na niego z ukosa.

— Tam nic ci nie powiedział, co? A musiał o tym wiedzieć. Chyba że nie wierzył. Wielu w to nie wierzy. — Ujął własny miecz, nieomal bliźniaczo podobny do miecza Randa, gdyby nie brak wizerunków czapli, i wyciągnął go z pochwy. Ostrze, lekko zakrzywione, jednosieczne, zaśniło srebrzyście w blasku słońca.

To był miecz królów Malkier. Lan o tym nie mówił — nie lubił nawet cudzego o tym gadania — a wszak al'Lan Mandragoran był Władcą Siedmiu Wież, Władcą Jezior i nie koronowanym królem Malkier. Siedem Wież leżało w gruzach, a Tysiąc Jezior przerodziło się w macecznik plugastwa. Ugór zżerał Malkier, a ze wszystkich władców ludu Malkier przeżył tylko ten jeden.

Niektórzy powiadali, że Lan został Strażnikiem i zgodził się na służbę u Aes Sedai, by móc szukać śmierci w Ugorze i podzielić los członków swego rodu.

Rand widział na własne oczy, jak Lan staje na drodze niebezpieczeństwu, zupełnie się nie troszcząc o własną skórę, najwyżej jednak stawiał życie i bezpieczeństwo Moiraine, Aes Sedai, której służył. Zdaniem Randa dopóki żyła Moiraine, dopóty Lan nie chciał tak naprawdę szukać śmierci.

Obracając swe ostrze w słońcu, Lan powiedział:

— Podczas Wojny z Cieniem walczone za pomocą Jedynej Mocy i wyrabiano też z niej broń. Niektóre gatunki broni korzystały z Jedynej Mocy, jednym ciosem zdolne zniszczyć miasto, przemienić całe ligi ziemi w pustkowia. Wszystkie ta broń zaginęła podczas Pęknięcia; nikt też nie pamięta, jak ją się wyrabia. Istniały też prostsze odmiany broni, dla tych, którzy nie wahali się zmierzyć z Myrddralami i jeszcze gorszymi istotami, stworzonymi przez Władców Strachu, ostrzem odpowiadając ostrzu.

— Aes Sedai z pomocą Jedynej Mocy czerpały żelazo i inne metale z ziemi, przetapiały je, formowały i przekuwały. Wszystko z pomocą Mocy. Miecze, a także inne gatunki broni. Wiele tych okazów, które przetrwały Pęknięcie Świata, zniszczyli ludzie, którzy bali się i nienawidzili dzieł Aes Sedai, inne zaś zniknęły na całe lata. Niewiele się uratowało i niewielu ludzi wie, czym one naprawdę są. Powstawały legendy na ten temat, wydumane baśnie o mieczach, które rzekomo miały własną moc. Słyszałeś opowieści bardów. Wystarczy rzeczywistość. Ostrza, które nigdy się nie rozpadają i nie łamią, nigdy nie tracą swej ostrości. Widywałem ludzi, którzy je ostrzyli, a raczej bawili się w ostrzenie, bo nie potrafili uwierzyć, że użyty miecz tego nie wymaga. Udawało im się jedynie stępić osetki.

— Broń tę stworzyły Aes Sedai i to już się nigdy nie powtórzy. Po wszystkim, gdy wraz z zakończeniem wojny zakończył się Wiek, gdy świat rozpadł się na kawałki, więcej było martwych, domagających się pochówku, niżli żywych, a ostatni żywi uciekali, usiłując znaleźć jakieś miejsce, jakiegokolwiek miejsce, byle bezpieczne, gdy co druga kobieta płakała, bo już nigdy nie miała ujrzeć swego męża lub synów, po tym wszystkim, te Aes Sedai, które ocalały, przysięgły, że już nigdy nie wykonają broni, za pomocą której jeden człowiek będzie mógł zabić drugiego. Przysięgły to wszystkie Aes Sedai i od tego czasu każda kobieta należąca do ich społeczności przysięgi tej dotrzymała. Nawet Czerwone Ajah, a wszak one najmniej się troszczą o losy mężczyzn.

— Pewien typ tych mieczy, prosty żołnierski miecz — Strażnik schował swoje ostrze do pochwy, a słowom towarzyszyło lekkie skrzywienie, nieledwie smutku, jakby wreszcie zdecydował się zdradzić jakieś emocje — mocno się wyróżniał. Wykonane dla lordów generałów, miały te miecze ostrza tak twarde, że żaden płatnerz nie potrafił ich oznakować, uprzednio jednak oznaczone już były znakiem czapli i wielu poszukiwało ich wyjątkowo usilnie.

Rand gwałtownie oderwał ręce od wspartego o kolana miecza i natychmiast złapał go odruchowo, gdy już miał upaść na kamienną posadzkę.

— Twierdzisz, że wykonały go Aes Sedai? Myślałem, że rozmawiamy o two-

im mieczu.

— Nie wszystkie ostrza ze znakiem czapli są dziełem Aes Sedai. Niewielu mężczyzn posługuje się mieczem ze zręcznością, dzięki której zasługivaliby na miano mistrza i ostrze ze znakiem czapli, a nadto tych mieczy wykonanych przez Aes Sedai pozostała już tylko garść. Inne na ogół są dziełem mistrzów płatnerskich, wykonanym z najdoskonalszej stali, jaką potrafi wytopić człowiek, a jednak przekutej przez ludzkie dłonie. Zaś ten miecz, pasterzu... ten miecz mógłby wyśpiewać opowieść liczącą trzy tysiące lat i więcej.

— Nie mogę przed nimi uciec, prawda? — spytał Rand. Bawił się mieczem, próbując go ustawić pionowo na czubku skórzanej pochwy; miecz wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem, gdy jeszcze nic o nim nie wiedział. — Dzieło Aes Sedai.

„Ale dał mi go Tam. Dał mi go mój ojciec.”

Za nic nie chciał się zastanawiać, w jaki sposób prosty pasterz z Dwu Rzek wszedł w posiadanie miecza ze znakiem czapli. W takich myślach mógł się natknąć na niebezpieczne prądy, głębie, których wcale nie pragnął badać.

— Naprawdę chcesz odejść, pasterzu? Zapytam raz jeszcze. Czemu więc nie odszedłeś? Miecz? W ciągu pięciu lat mógłbym sprawić, byś stał się go wart, uczyniłbym cię mistrzem ostrza. Masz szybkie nadgarstki, dobrze zachowujesz równowagę i nie popełniasz dwa razy tych samych błędów. Ale nie mogę poświęcić pięciu lat na uczenie ciebie, a ty nie masz pięciu lat na naukę. Nie masz nawet jednego roku i wiesz o tym. Na razie z pewnością nie pokaleczysz nim sobie stóp. Nosisz się tak, jakby ten miecz należał do twego pasa, pasterzu, i większość większych zbirów będzie to odczuwała. Tyle jednak miałeś w sobie odwagi od dnia, w którym go przypasałeś. Czemu więc jeszcze tu jesteś?

— Mat i Perrin jeszcze tu są — mruknął Rand. — Nie chcę wyjeżdżać przed nimi. Już nigdy... być może już nigdy ich nie zobaczę, może przez wiele lat. — Oparł głowę o mur. — Krew i popioły! Przynajmniej oni myślą, że ja zwariowałem, bo nie chcę wracać z nimi do domu. Nynaeve patrzy na mnie albo jak na sześciolatnie dziecko, któremu trzeba opatrzyć otarte kolano, albo jak na kogoś obcego. Na kogoś, kogo mogłaby obrazić, gdyby przypatrywała mu się zbyt otwarcie. Jest Wiedzącą, a poza tym chyba w ogóle niczego się nie boi, a jednak... — Potrząsnął głową. — I Egwene. Niech szczenę! Ona wie, dlaczego muszę odejść, ale za każdym razem, jak o tym wspomina, patrzy na mnie, a mnie wtedy zatyka i... — Zamknął oczy, przyciskając rękojeść miecza do czoła, jak by w ten sposób mógł wypchnąć rojące się myśli. — Chciałbym... chciałbym...

— Chciałbyś, żeby wszystko zostało tak, jak było, pasterzu? A może wolałbyś, żeby ta dziewczyna ruszyła w drogę razem z tobą, zamiast jechać do Tar Valon? Myślisz, że ona zamieni możliwość stania się Aes Sedai na tułacze życie? Z tobą? Gdybyś w ten sposób jej całą rzecz przedstawił, być może tak by postąpiła. Miłość to dziwna rzecz. — W głosie Lana nagle zabrzmiało zmęczenie. — Doprawdy

dziwna.

— Nie. — Tego właśnie chciał, żeby ona zechciała mu towarzyszyć. Otworzył oczy, wyprostował się i nadał swemu głosowi stanowcze brzmienie. — Nie, nie pozwoliłbym jej jechać ze mną, nawet gdyby prosiła.

Nie mógłby jej tego zrobić.

„Ale Światłości, czy nie byłoby cudownie, choć przez krótką chwilę, gdyby powiedziała, że tego chce?”

— Ona się robi uparta jak muł, zawsze jak się jej wydaje, że próbuję za nią decydować, ale nadal umiem ją przed tym bronić. — Naprawdę wolał, by Egwene wróciła do Pola Emonda, ale od dnia, w którym do Dwu Rzek przybyła Moiraine, nie mógł sobie roić takich nadziei. — Nawet gdyby naprawdę miała zostać Aes Sedai! — Kątem oka dostrzegł uniesioną brew Lana i zaczerwienił się.

— I to jedyne powody? Chcesz spędzić jak najwięcej czasu z przyjaciółmi, zanim oni odjadą? Dlatego właśnie się ociążasz? Ty dobrze wiesz, co cię trzyma.

Rand poderwał się na równe nogi.

— W porządku, chodzi o Moiraine! Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ona, a ona nie chce nawet ze mną rozmawiać!

— Już byś nie żył, gdyby nie ona, pasterzu — zauważył Lan obojętnym tonem, Rand jednak pośpiesznie mówił dalej:

— Ona mi mówi... ona mi mówi straszne rzeczy o mnie samym. — Palce zaciśnięte na rękojeści miecza zbieleły.

„Że popadnę w obłąd i umrę!”

— A potem ni stąd, ni zowąd nie przemówi do mnie bodaj jednym słowem. Tak się zachowuje, jakbym od dnia, w którym mnie znalazła, nic się nie zmienił i to też paskudnie pachnie.

— Chcesz, żeby cię traktowała zgodnie z tym, kim jesteś?

— Nie! Nie o to mi chodzi. Niech szczenę, przez połowę czasu nie wiem, o co mi chodzi. Tego nie chcę, tamtego się boję. A teraz ona gdzieś wyjechała, zniknęła...

— Mówiłem ci, że ona czasem musi być sama. Nie przystoi ani tobie, ani nikomu innemu kwestionować jej postępów.

— ...nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie, kiedy wróci, ani w ogóle, czy wróci. Ona musi mi powiedzieć coś takiego, co mi pomoże, Lan. Cokolwiek. Musi. O ile w ogóle wróci.

— Już wróciła, pasterzu. Ubiegłej nocy. Ale moim zdaniem powiedziała ci już wszystko, co mogła. Poprzestań na tym. Dowiedziałeś się od niej wszystkiego. — Lan pokręcił głową, a jego głos nabrał życia. — Z pewnością nie uczysz się niczego, tak tu stojąc. Czas trochę popracować nad utrzymaniem równowagi. Przecwicz Rozdzieranie Jedwabiu, zaczynając od Czapli Brodzącej w Sitowiu. Pamiętaj, że figura zwana Czapłą to tylko ćwiczenie równowagi. W walce, wykonując taką figurę, odkryjesz się; możesz wymierzyć cios, jeśli poczekaś na



pierwszy ruch przeciwnika, ale z pewnością nie unikniesz jego ostrza.

— Ona musi mi coś powiedzieć, Lan. Ten wiatr. To nie był naturalny wiatr i nie obchodzi mnie, jak blisko jesteśmy Ugoru.

— Czapła Brodząca w Sitowiu, pasterzu. Nie zapominaj o nadgarstkach.

Z południa dobiegło ich stłumione brzmienie trąb, triumfalne fanfary z wolna rosły w siłę, pospołu z jednostajnym łomotem bębnow. Rand i Lan patrzyli chwilę na siebie, po czym huk bębnow przyciągnął ich do południowej strony muru otaczającego szczyt wieży.

Miasto leżało na wysokich wzgórzach, przestrzeń na milę otaczająca jego mury, w którą stronę nie spojrzeć, robiła się nieomal zupełnie gładka, zaś twierdza zajmowała najwyższe ze wzniesień. Ze szczytu wieży Rand widział wszystko wyraźnie, pomiędzy kominami i dachami aż do samego lasu. Pierwsi spośród drzew wyłonili się dobosze, kilkanaście bębnow kołysało się zgodnie z rytmem kroków, pod migoczącymi pałkami. Za nimi szli trębacze, unosząc długie, połyskliwe rogi, na moment nie przestając pohukiwać. Z tej odległości Rand nie potrafił rozpoznać ogromnego, kwadratowego proporca trzepoczącego na wietrze. Lan natomiast chrząknął coś niezrozumiale, miał wzrok jak śnieżny orzeł.

Rand spojrzał w jego stronę, ale Strażnik nic nie mówił, pochłonięty baczny lustrowaniem kolumny wyłaniającej się z lasu. Spomiędzy drzew wypadły konie, niosące odzianych w zbroje mężczyzn i jadące na oklep kobiety. A potem pojawił się palankin ze spuszczoneymi zasłonami, dźwigały go dwa konie, jeden z przodu, drugi z tyłu. I znowu jeźdźcy, szeregi piechurów, wzniesione nad głowami piki stroszyły się niczym długie ciernie, łucznicy z łukami przewieszonymi przez pierś, wszyscy maszerowali zgodnie z rytmem dyktowanym przez bębny. Raz jeszcze zahuczały trąby. Kolumna, podobna do rozśpiewanego węża, wijąc się torowała sobie drogę do Fal Dara.

Wiatr targał fałdami sztandaru, wystającego ponad ludzkie głowy i rozkładał jego płachtę na jedną stronę. Znajdował się już tak blisko, że Rand widział to dokładnie: nic nie mówiąca gmatwanina barw, lecz w samym jego środku widniał kształt podobny do śnieżnobiałej łyzy. Oddech uwiązał mu w gardle. Płomień Tar Valon.

— Jest z nimi Ingtar. — Lan wymówił to takim tonem, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej. — Nareszcie wrócił ze swych łowów. Długo to trwało. Ciekaw jestem, czy mu się poszczęściło?

— Aes Sedai — wyszeptał Rand, gdy wreszcie był do tego zdolny. Wszystkie te kobiety. . . Moiraine była Aes Sedai, to prawda, ale on z nią podróżował i nawet jeśli nie ufał do końca, to przynajmniej ją znał. Albo tak mu się wydawało. Lecz ona była jedna. A tu tyle Aes Sedai naraz i przybywały w ten sposób, coś całkiem innego. Musiał kaszlnąć, gdy przemówił, jego głos skrzypiał.

— Czemu ich aż tyle, Lan? W ogóle po co? I te trąby, bębny i sztandar zapowiadający ich przybycie.

W Shienar ludzie szanowali Aes Sedai, nieomal wszyscy, a reszta darzyła je pełnym szacunku strachem, Rand jednak poznał miejsca, w których bywało inaczej, gdzie był tylko strach i często nienawiść. Tam gdzie dorastał, niektórzy ludzie mówili o „wiedźmach z Tar Valon” takim tonem, jakby mówili o Czarnym. Usiłował policzyć kobiety, lecz one nie trzymały się ani rangi, ani żadnego porządku, stale manewrowały swymi końmi, odbywając rozmowy między sobą albo z osobą ukrytą w palankinie. Cały okrył się gęsią skórą. Podróżował z Moiraine, poznał też jeszcze jedną Aes Sedai i już zaczynał się uważać za bywałego w świecie. Nikt nigdy nie wyjeżdżał z Dwu Rzek, albo raczej prawie nikt, a on wyjechał. Widział rzeczy, na które nikt z Dwu Rzek nie miał okazji nawet zerknąć, dokonywał czynów, o których tamtym co najwyżej się marzyło, o ile oni w ogóle mieli jakieś marzenia. Widział królową Andoru i poznał jej córkę, Dziedziczkę Tronu, spotkał się twarzą w twarz z Myrddraalem i podróżował Drogami, a jednak po tym wszystkim wcale nie był przygotowany na taką chwilę.

— Czemu ich aż tyle? — wyszeptał raz jeszcze.

— Jest z nimi sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin. — Lan popatrzył na niego, jego twarz była równie twarda i nieprzenikniona jak skała. — Twoje lekcje dobiegły końca, pasterzu.

Umilkł, a Randowi wydało się, że widzi nieomal sympatię na jego twarzy. Naturalnie musiał się mylić.

— Szkoda, żeś nie wyjechał tydzień temu. — Z tymi słowami Strażnik chwycił koszulę i zniknął na drabinie wiodącej w głąb wieży.

Rand poruszył ustami, próbując uzyskać trochę wilgoci. Wbijał wzrok w kolumnę zbliżającą się do Fal Dara, jakby to naprawdę był wąż, wąż, którego jad zabija. Uszy wypełniało mu głośnie pohukiwanie bębnow i trąb. Tak, to ona, Zasiadająca na Tronie Amyrlin, ta która rządziła Aes Sedai.

„Ona jest tu z mojego powodu.”

Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

One wiedziały różne rzeczy, posiadały wiedzę, która mogła mu pomóc, tego był pewien. I nie miał odwagi pytać żadnej z nich. Bał się, że przybywały tu, by go poskromić.

„O tak, boję się również, że jest przeciwnie — przyznał z niechęcią. — Światłości, nie wiem, czego boję się bardziej.”

— Nie chciałem korzystać z Mocy — wyszeptał. — To był przypadek! Światłości, nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Przysięgam, że już nigdy więcej jej nie dotknę! Przysięgam!

Drgnął nerwowo, widząc, że grupa Aes Sedai wjeżdża już w bramy miasta. Wiatr zawirował jak wściekły, zamieniając pot na jego ciele w grudki lodu, upodobniając ryk trąb do podstępного śmiechu. Miał wrażenie, że w powietrzu unosi się silny odór otwartego grobu.

„Mojego grobu, jeśli będę tak tu sterczał.”

Chwycił koszulę, zszedł na dół po drabinie i poderwał się do biegu.

# POWITANIE

Komnaty warowni Fal Dara, o gładkich, kamiennych murach, z rzadka udekorowanych prostymi, acz wytwornymi gobelinami i malowidłami, wręcz wrzały od wieści o rychłym przybyciu Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Odziani w czerń i złoto słudzy uwijali się jak w ukropie, szykując w biegu pokoje albo zanosząc polecenia do kuchni, skarżąc się płaczliwymi głosami, że nie uprzedzeni zawczasu nie zdążą przygotować wszystkiego na przybycie tak ważnej osobistości. Ciemnocy wojownicy, z kępkami włosów związanych rzemieniami na czubkach wygolonych czaszek, nie biegali wprawdzie, lecz w krokach dostrzegało się pośpiech, a twarze błyszczały podnieceniem normalnie zarezerwowanym dla bitew. Kilku zagadnęło mijającego ich pośpiesznie Randa.

— Ach, tu jesteś, Randzie al’Thor. Oby pokój miał w łasce twój miecz. Idziesz się myć? Bez wątplenia chcesz prezentować się jak najgodniej, gdy będą cię przedstawiali Zasiadającej. Możesz być pewien, że zechce poznać ciebie i twych dwóch przyjaciół jak również wasze kobiety.

Dopał pędem do ogromnych schodów, tak szerokich, że zmieściłoby się na nich dwudziestu ludzi idących pierś w pierś. Wiodły do pokoi mężczyzn.

— Sama Amyrlin przybywa bez ostrzeżenia, zupełnie jak jakaś wędrowna handlarka? To pewnie z powodu Moiraine Sedai i was, południowców, co? No bo cóż innego?

Szerokie, obite żelazem drzwi wiodące do tej części twierdzy stały otworem, przejście zagradzali mężczyźni z kępkami na czubkach wygolonych głów, rozprawiający z podnieceniem o przyjeździe Amyrlin.

— Hej tam, południowcze! Zasiadająca już jest. Przybywa tu, jak miemam, dla ciebie i twych przyjaciół. Pokój, wielki to dla was zaszczyt! Rzadko opuszcza Tar Valon, a jeśli mnie pamięć nie zawodzi, na Ziemiach Granicznych nie była nigdy.

Odprawił ich wszystkich kilkoma słowami. Musiał się umyć. Znaleźć czystą koszulę. Nie miał czasu na rozmowy. Im się wydało, że wiedzą o co chodzi, więc go przepuścili. Zaden z nich nie miał o niczym pojęcia, wiedzieli tylko, że on i jego przyjaciele podróżowali w towarzystwie Aes Sedai, że jego dwie przyjaciółki wybierają się do Tar Valon, bo chcą zostać Aes Sedai, lecz ich słowa ukłuły go do

żywego, jakby wiedzieli o wszystkim.

„Ona tu przybyła z mojego powodu.”

Pokonał pędem korytarze męskiej części warowni, wpadł do izby, którą dzielił z Matem i Perrinem. . . i zastygł w miejscu, ze szczęką opadłą ze zdumienia. Pokój wypełniała grupa kobiet ubranych na czarno i złoto, wszystkie zapracowane jak mrówki. Nie była to duża izba, a okna, dwa wysokie i wąskie otwory strzelnicze, wychodzące na wewnętrzne podwórce, nie sprawiały, by wydawała się większa. Trzy łóżka na wykładanych czarno-białymi kaflami postumentach, kufry u stóp każdego z nich, umywalka przy drzwiach i wysoka, szeroka szafa zastawiały ją w całości. Grupa ośmiu kobiet wyglądała w tym wnętrzu jak ryby w saku.

Kobiety ledwie raczyły na niego spojrzeć, zajęte wyjmowaniem jego rzeczy — a także rzeczy Mata i Perrina — z szafy i zastępowaniem ich nowymi. Wszystko, co znalazły w kieszeniach, układały na wiekach kufrów, a stare ubrania ciskały niedbale na podłogę, jakby to były zwykłe szmaty.

— Co wy robicie? — spytał podniesionym tonem, gdy wreszcie odzyskał oddech. — To są moje rzeczy!

Jedna z kobiet pociągnęła nosem, przepchnęła palec przez dziurę w rękawie jego jedyne go kaftana i dorzuciła go do sterty na podłodze.

Czarnowłosa kobieta z wielkim pękiem kluczy u pasa utkwiała w nim wzrok. Była to Elansu, *shatayan* twierdzy. W myślach traktował tę kobietę o ostrej twarzy jak gospodynię, mimo że gospodarstwo, którym się opiekowała było fortecą, a jej rozkazy wypełniały dziesiątki służących.

— Moiraine Sedai powiedziała, że wasze ubrania są zniszczone i lady Amalisa kazała wam uszyć nowe. Po prostu nam nie przeszkadzaj — dodała stanowczym tonem — a szybciej się z tym uporamy.

Niewielu było mężczyzn, których *shatayan* nie potrafiła tak zagadać, by robili to, co chciała — niektórzy powiadali, że należał do nich nawet lord Agelmar — i najwyraźniej nie spodziewała się żadnych problemów z jednym mężczyzną, tak młodym, że mógł być jej synem.

Przełknął to, co miał zamiar powiedzieć, nie było czasu na kłótnie. Zasiadająca na Tronie Amyrlin mogła przysłać po niego w każdej chwili.

— Ukłony dla lady Amalisy za jej podarunek — wykrztusił to, co nakazywał shienarański obyczaj — ukłony dla ciebie Elansu Shatayan. Proszę, przekaz me słowa lady Amalisy, powiedz, że przyrzekam jej służyć całym sercem i duszą. — Obie kobiety winny uznać, że tym zaspokoili ich typowe dla mieszkańców Shienaru upodobanie do dworskich ceremonii. — A teraz, jeśli mi wybaczysz, chciałbym się przebrać.

— Znakomicie — powiedziała bez śladu zmieszania Elansu. — Moiraine Sedai kazała usunąć stąd wszystkie stare rzeczy. Co do ostatniego guzika. Również bieliznę.

Parę kobiet zerknęło na niego ukradkiem. Żadna nie wykonała nawet jednego ruchu w stronę drzwi.

Musiał ugryźć się w język, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Wiele obyczajów w Shienar różniło się od tych, do których przywykł, a niektórych nie potrafiłby przyjąć nawet do końca życia. Nauczył się brać kąpiel o świcie, gdy w wielkich, wykładanych kafelkami basenach nie było ludzi, po tym, jak odkrył, że o innych porach potrafi wraz z nim wskoczyć do wody jakaś kobieta. Mogła to być pomywaczka albo lady Amalisa, siostra samego lorda Agelmara — w Shienar łącznie traktowano jako miejsca, w których nie obowiązywały tytuły — oczekując, że będzie mył jej plecy w zamian za tę samą przysługę i pytając przy tym, dlaczego ma taką zaczerwienioną twarz, czyżby za długo wystawiał ją na słońce? Wkrótce zaczęły się domyślać, co jest prawdziwą przyczyną tych rumieńców i nie było mieszkanki twierdzy, której by nie fascynowały.

„Za godzinę umrę, albo jeszcze gorzej, a one tu chcą zobaczyć, jak się czerwienię!”

Chrząknął.

— Gdybyście tak zechciały poczekać na zewnątrz, to zaraz wam oddam resztę rzeczy. Słowo daję.

Jedna z kobiet parsknęła cichym chichotem i nawet wargi Elansu drgnęły. Nie mniej jednak *shatayan* skinęła głową i nakazała pozostałym kobietom pozbierać powiązane w tobołki rzeczy. Wychodziła na końcu, w drzwiach zatrzymała się, by dodać:

— Buty też. Moiraine powiedziała, że mamy zabrać wszystko.

Otworzył usta i zaraz je zamknął. Przecież te buty na pewno jeszcze mógł nosić, wykonał je Alwyn al'Van, szewc z Pola Emonda, były rozchodzone i wygodne. Ale skoro dzięki nim *shatayan* godziła się zostawić go samego, to on odda jej te buty i wszystko, co tylko zechce. Nie miał czasu.

— Tak, tak, oczywiście. Daję słowo. — Stał w drzwiach, wypychając ją na zewnątrz.

Nareszcie sam usiadł ciężko na łóżku, żeby ściągnąć buty — naprawdę były jeszcze dobre, trochę zniszczone, skóra popękała tu i ówdzie, ale nadal dawały się nosić, były dobrze dopasowane do kształtu stóp — po czym pośpiesznie się rozebrał, rzucając wszystko na jeden stos i równie szybko umył przy umywalce. Woda była zimna, w izbach mężczyzn woda zawsze była zimna.

Szafa miała troje szerokich drzwi, ozdobionych oszczędnymi rzeźbieniami, typowymi dla shienarańskiej mody, przywodziły na myśl raczej, niżli ukazywały wodospady i stawy wśród skał. Otworzył środkowe drzwi i przez chwilę wgąbiał się oniemiały w to, co zastąpiło kilka sztuk odzieży, które z sobą przywiózł. Kilkaście kaftanów z wysokimi kołnierzami, uszytych z najlepszej wełny i skrojonych równie zgrabnie jak te, które widywał na grzbietach kupców albo lordów, hafty zdobiły większość, jakby miały służyć za przyodziewek od święta. Kilkana-

ście! Do każdego kaftana dodano po trzy koszule, lniane i jedwabne, z szerokimi rękawami i obcisłymi mankietami. Dwa płaszcze. Dwa, podczas gdy on musiał się przez całe życie obywać jednym. Jeden płaszcz był zwyczajny, z szorstkiej, ciemnozielonej wełny, drugi granatowy, ze sztywnym, stojącym kołnierzem haftowanym w złote czaple... a wysoko na piersi, tam, gdzie lordowie noszą swój znak...

Ręka sama powędrowała do płaszcza. Palce, jakby niepewne tego co poczuła, pogładziły skręconego w nie domknięty krąg węża, węża z czterema nogami i złotą, lwią grzywą, purpurowymi i złotymi łuskami, każda łapa kończyła się pięcioma złotymi pazurami. Oderwał gwałtownie dłoń, jakby się oparzył.

„Światłości dopomóż! Amalisa kazała to uszyć czy Moiraine? Ilu ludzi to widziało? Ilu ludzi wie, co to jest, co to oznacza? Nawet jeden to za wielu. Niech szczenę, ona chce, żeby mnie ktoś zabił. Ta przeklęta Moiraine nawet ze mną nie rozmawia, a teraz jeszcze dała mi to piękne ubranie, żebym w nim umarł!”

Pukanie do drzwi sprawiło, że omal nie wyskoczył ze skóry.

— Skończyłeś? — dobiegł go głos Elansu. — Co do guzika. Może lepiej...

Trzask, jakby naciskała klamkę.

Rand podskoczył w miejscu, przypomniawszy sobie, że nadal jest nagi.

— Skończyłem — krzyknął. — Pokój, nie wchodź tu! Pośpiesznie zgarnął to wszystko, co dotychczas nosił, buty i całą resztę.

— Już idę! — Ukryty za drzwiami, uchylił je na tyle, by móc wcisnąć tobolek w ramiona *shatayan*. — To wszystko.

Usiłowała zajrzeć przez szparę.

— Jesteś pewien? Moiraine Sedai powiedziała, że wszystko. Może jednak rzucę okiem...

— To wszystko — warknął. — Słowo daję! — Zatrzasnął ramieniem drzwi, tuż przed jej twarzą, z drugiej strony usłyszał śmiech.

Mrucząc do siebie, ubrał się pośpiesznie. Nie chciał, by któraś z nich znalazła sobie wymówkę, by móc się jednak wcisnąć do pokoju. Szare spodnie okazały się bardziej obcisłe niż wszystkie, które przedtem nosił, lecz nie mniej wygodne, a koszula z bufiastymi rękawami swą białością zadowoliłaby w dniu prania wszystkie gospodynie z Pola Emonda. Wysokie do kolan buty pasowały tak, jakby je nosił od roku. Miał nadzieję, że to dzieło dobrego szewca, a nie Aes Sedai.

Z wszystkich tych rzeczy można było zrobić tłumok wielki jak on sam. Jednakże zdążył na nowo przywyknąć do wygody czystych koszul, nie noszenia tych samych spodni dzień po dniu, aż w końcu od potu i brudu robiły się tak sztywne jak buty. Wyjął z komody sakwy, wepchnął do nich tyle, ile się dało, po czym niechętnie rozłożył wymyślny płaszcz na łóżku i rzucił na niego jeszcze kilka sztuk koszul i spodni. Złożony w tobolek, z niebezpiecznym znakiem węża ukrytym w środku, i obwiązany sznurkiem zakończonym pętlą, dzięki czemu można

go było zawiesić na ramieniu, niczym się nie różnił od pakunków, jakie widywał w drodze na grzbietach innych młodych ludzi.

Przez otwory strzelnicze dobiegły go głosy trąb, tych, które brzmiały triumfalnie za murami miast i tych, które im odpowiedziały z wież twierdzy.

— Wypruję te hafty, jak będę miał czas — mruknął. Widywał kobiety wypruwające hafty, gdy popełniły błąd albo postanowiły zmienić wzór i nie wyglądało to na coś specjalnie trudnego.

Resztę ubrań, a właściwie ich większość, wepchnął z powrotem do szafy. Lepiej nie zostawiać śladów ucieczki, oczywistych dla pierwszej lepszej osoby, która wetknie tu głowę po jego wyjściu.

Wciąż marszcząc czoło, ukląkł przy łóżku. W wykładanych kaflami postumentach, na których wspierały się łóżka, mieściły się niewielkie paleniska, w najzimniejsze shienarańskie noce rozpalano w nich ogień, ogrzewający śpiącego. Noce o tej porze roku były nadal zimniejsze niż przywykł, ale koce wystarczały, żeby się ogrzać. Otworzył drzwiczki paleniska i wyjął zeń tobołek, którego nie mógł tu zostawić. Ucieszył się, że Elansu nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby tam trzymać jakieś rzeczy.

Ułożył tobołek na łożu i rozwiązawszy sznurek z jednej strony, częściowo go rozwinął. Płaszcz barda, wywrócony na lewą stronę, by ukryć setki pokrywających go łątek, łątek o wszelkich kolorach i rozmiarach, jakie można było sobie wyobrazić. Sam płaszcz był w dobrym stanie, łątki wskazywały, że to własność barda. Ze była to kiedyś własność barda.

Płaszcz chronił dwie skrzynki z twardej skóry. W większej mieściła się harfa, której nigdy nie dotknął.

„Harfa nigdy nie była przeznaczona dla niezdarnych palców farmera, chłopcze.”

Druga skrzynka, długa i wąska, zawierała ozdobiony złotem i srebrem flet, za pomocą którego, od czasu wyjazdu z domu, nieraz zarobił na wieczorny posiłek i łóżko. Thom Merrill nauczył go grać na flecie, jeszcze zanim zginął. Rand nie potrafił dotknąć tego instrumentu, nie przypomniawszy sobie Thoma, z tymi jego przenikliwymi, niebieskimi oczami i długimi, siwymi wąsami, jak wciska mu do rąk zwinięty płaszcz i krzyczy, że ma uciekać. A potem Thom sam rzucił się, wymachując magicznie nożami, jakby robił przedstawienie, prosto na Myrddraala, który nadchodził, żeby ich zabić.

Wzdrygając się, zawiązał tobołek z powrotem.

— To by było wszystko. — Myśląc o wietrze na szczycie wieży, dodał: — Dziwne rzeczy mogą się dziać tak blisko Ugoru.

Nie bardzo wiedział, czy wierzy w to, o co najwyraźniej chodziło Lanowi. W każdym razie, bez względu nawet na wizytę Zasiadającej na Tronie Amyrlin, już dawno temu powinien był zniknąć z Fal Dara.



Nałożył na siebie kaftan, który zostawił na wierzchu — ciemnozielony, przypominał mu lasy z jego rodzinnej okolicy, należąca do Tama farmę Westwood, w której się wychował i gdzie nauczył się pływać — przypasał miecz ze znakiem czapli, a do drugiego boku wypełniony strzałami kołczan. Nie naciągnięty łuk stał w kącie, obok łuków Mata i Perrina, wyższy od niego o dwie dłonie. Zrobił go sam po przybyciu do Fal Dara i oprócz niego tylko Lan i Perrin potrafili go naciągnąć. Wsunął zrolowaną derkę i nowy płaszcz do pętli przy tobołkach, zarzucił obydwa na lewe ramię, na ich szczyt wrzucił torby i chwycił łuk.

„Ramię od łuku musi być wolne — pomyślał. — Niech im się wydaje, że jestem groźny. Może ktoś tak pomyśli.” Przez szparę w drzwiach widać było zupełnie pusty hol, przemierzył go pośpiesznie służący w odświętnym stroju, ale nawet nie zerknął w stronę Randa. Gdy tylko gwałtowne kroki mężczyzny ucichły, Rand wymknął się na korytarz.

Próbował iść normalnym, zwykłym krokiem, wiedział jednak, że z tymi torbami na ramieniu i tobołkiem na grzbiecie wygląda jak człowiek, który wybiera się w podróż, z której nie ma zamiaru wracać. Znowu rozległo się brzmienie trąb, lecz tutaj w twierdzy ich odgłos był znacznie cichszy.

Swego konia, potężnego gniadosza, trzymał w północnej stajni, zwanej Stajnią Lorda, w pobliżu bramy, której używał lord Agelmar, gdy udawał się na przejażdżkę. Dzisiaj jednak ani lord Agelmar, ani nikt z jego rodziny z pewnością nigdzie się nie wybierał, więc w stajniach najpewniej byli tylko chłopcy stajenni. Od pokoju Randa do Stajni Lorda szło się na dwa sposoby. Jedna droga wiodła dookoła całej twierdzy, obok prywatnego ogrodu lorda Agelmara, potem przez przeciwległe skrzydło i kuźnię, prawdopodobnie również teraz pustą. Gdyby tą drogą chciał dotrzeć do swego konia, straciłby dokładnie tyle czasu, ile trzeba na wydanie rozkazów i rozpoczęcie poszukiwań. Druga droga była znacznie krótsza, prowadziła przez zewnętrzny podwórzec, do którego właśnie w tej chwili zbliżała się Zasiadająca na Tronie Amyrlin, której towarzyszyło co najmniej kilkanaście Aes Sedai.

Na samą myśl dostał gęsiej skórki, na resztę życia miał dosyć Aes Sedai. Już jedna wystarczyła, by człowiek postradał zmysły. Mówiły o tym wszystkie opowieści, a on przekonał się o tym na własnej skórze. Nie zdziwił się jednak, gdy nogi same poniosły go w stronę zewnętrznego podwórca. Nigdy nie zobaczy legendarnego Tar Valon — nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko ani teraz, ani później — ale może uda mu się choć zerknąć na Zasiadającą na Tronie Amyrlin, zanim ucieknie. To będzie tak, jakby oglądał królową.

„Nie stanie się nic strasznego, jeśli tylko popatrzę, z daleka. Nie będę się zatrzymywał i zniknę, zanim ona się zorientuje, że tu w ogóle byłem.”

Otworzył ciężkie, obite żelazem drzwi prowadzące na zewnętrzny podwórzec i stanął w samym środku wielkiej ciszy. Na szczytach wszystkich murów wyrastał ludzki las, żołnierze z włosami związanymi w kity na czubkach głów, służący

w galowym przyodziewku, posługacze nadal zaplamieni nieczystościami, wszyscy ściśnięci w wielkiej zażyłości, dzieci siedziały na ramionach dorosłych, by móc patrzeć ponad ich głowami, albo wciśnięte w tłum wyzierały spomiędzy talii i kolan. Załoczone przez łuczników balkony przypominały beczki pełne jabłek, twarze wyglądały nawet z wąskich otworów strzelniczych. Cały dziedziniec otaczała ludzka masa, zbita niczym jeszcze jeden mur. Wszyscy patrzyli i czekali w milczeniu.

Rand przepychał się tuż pod samym murem, mijając otaczające dziedziniec przegrody kowali i grotarzy — mimo swego ogromu i ponurego przepychu Fal Dara była fortecą a nie pałacem, i wszystko w niej służyło temu właśnie przeznaczeniu — szeptem przepraszając tych, których potrafił. Jedni oglądali się unosząc tylko brwi w zdziwieniu, inni obrzucali dokładniejszym spojrzeniem jego torby i tobołki, nikt jednak nie zakłócił ciszy. Na ogół ludzie nie raczyli spojrzeć na tego, który ich potrafił.

Nie miał żadnych trudności, by ponad głowami zgromadzonych zobaczyć wyraźnie, co się dzieje na dziedzińcu. W tunelu głównej bramy stał rząd szesnastu mężczyzn, każdy u boku swego konia. Nie było dwóch w takiej samej zbroi albo z takim samym mieczem i żaden nie przypominał Lana. Rand jednak nie wątpił, że to Strażnicy. Każda twarz, okrągła, kwadratowa, podłużna, wąska, miała ten sam wyraz, jakby widzieli coś, czego inni ludzie nie widzieli, słyszeli, czego inni nie słyszeli. Mimo swobodnej postawy wyglądali groźnie jak stado wilków. I jeszcze jedną cechę mieli wspólną. Wszyscy, co do jednego, byli ubrani w mieniące się płaszcze, takie same, jak ten, który po raz pierwszy zobaczył u Lana, takie, które często zdają stapiać się z tłem. Nie najłatwiej znosiło się widok wielu mężczyzn w takich płaszczach, trudno było nawet o utrzymanie żołądka w ryzach.

Kilkanaście kroków przed Strażnikami stał rząd kobiet, każda równo z łbem swego wierzchowca, kaptury płaszczy miały odrzucone. Mógł je policzyć z tego miejsca. Czternaście. Czternaście Aes Sedai. To musiały być one. Wysokie i niskie, szczupłe i pulchne, ciemne i jasne, o krótkich i długich włosach, rozpuszczonych albo zaplecionych, w odróżnieniu od Strażników — jak przystało na kobiety — każda w innym stroju, najrozmaitszego kroju i barwy. A jednak i w nich widziało się jedną cechę wspólną, dostrzegalną tylko dzięki temu, że stały tak blisko siebie. Każda wyglądała na zupełnie pozbawioną oznak wieku. Z daleka nazwałby wszystkie młodymi, wiedząc przy tym, że z bliska będą przypominały Moiraine. Niby młoda, gładkolica, a jednak o twarzy zbyt dojrzałej, by świadczyła o młodości, i oczach, w których było za wiele wiedzy.

„Bliżej? Głupiec! Już jesteś za blisko! Niech szczenę, już dawno temu trzeba było odejść.”

Uparcie przepychał się w stronę swego celu, drugich żelaznych drzwi po przeciwległej stronie dziedzińca, ale nie umiał się powstrzymać, by nie patrzeć.

Aes Sedai niewzruszenie ignorowały gapiów i skupiały całą swoją uwagę na

osłoniętym palankinie, znajdującym się teraz pośrodku dziedzińca. Dźwigające go konie zachowywały się tak spokojnie, jakby stajenni trzymali je za uzdy, mimo iż przy palankinie stała tylko jedna kobieta, kobieta z twarzą Aes Sedai, a ona nie zwracała uwagi na konie. Laska, którą trzymała w wyciągniętych przed sobą dłoniach, była równie wysoka jak ona; tuż przed oczyma jarzył się płomień tryskający z końca laski.

Naprzeciwko palankinu, po drugiej stronie dziedzińca, stał lord Agelmar, prostoduszny, barczysty, z nieodgadnioną twarzą. Na granatowym płaszczu z wysokim kołnierzem miał wyhaftowane trzy biegnące lisy, symbolizujące Dom Jagad, oraz kołującego czarnego jastrzębia Shienaru. Obok niego stał Ronan, wyniszczony podeszłym wiekiem, lecz nadal wysoki; *shambayan* dzierżył w dłoniach laskę zwieńczoną trzema lisami wyrzeźbionymi z czerwonego awatynu. Ronan dzielił wraz z Elansu zarządzanie twierdzą, jako *shambayan i shatayan*, tyle że Elansu pozostawiała mu niewiele do roboty, poza uroczystościami i pracą w charakterze sekretarza lorda Agelmara. Kępki na czubkach głów obydwu mężczyzn były srebrnosiwe.

Wszyscy — Strażnicy, Aes Sedai, władca Fal Dara i jego *shambayan* — stali nieruchomo niczym kamienne posągi. Tłum gapiów wstrzymał oddech. Rand mimo woli zwolnił kroku.

Nagle Ronan trzykrotnie zastukał laską o wielkie kamienie brukowe i wśród ciszy rozległo się jego wołanie:

— Kto przybywa? Kto przybywa? Kto przybywa?

Odpowiedziała mu kobieta stojąca obok palankinu, stukając trzykrotnie swoją laską.

— Strażniczka Pieczęci. Płomień Tar Valon. Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

— Po cóż mamy na to patrzeć? — spytał Ronan.

— W tym jest nadzieja dla ludzkości — odparła wysoka kobieta.

— Przed czym strzeżemy, czuwając tu?

— Przed cieniem w południe.

— Jak długo będziemy czuwać?

— Od wschodu do wschodu, dopóki Koło Czasu będzie się obracać.

Agelmar skłonił się, wiatr targał siwą kitą na czubku jego głowy.

— Fal Dara ofiarowuje chleb, sól i gościnę. Zasiadająca na Tronie Amyrlin może z ufnością zawitać do Fal Dara, tu bowiem pełniona jest straż, tu dotrzymywany jest Pakt. Witaj!

Wysoka kobieta odsunęła zasłonę palankinu i Zasiadająca na Tronie Amyrlin wysiadła. Ciemnowłosa, równie pozbawiona oznak wieku jak wszystkie Aes Sedai, prostując się przebiegła oczami po zgromadzonych. Rand drgnął, gdy jej wzrok padł na niego, miał wrażenie, jakby coś go dotknęło. Oczy jednak wędrowały dalej i na końcu zatrzymały się na lordzie Agelmarze. Służący w odświętym stroju uklękł u jej boku, ofiarowując ręczniki ułożone na srebrnej tacy, z któ-

rej wciąż unosiła się para. Zgodnie z obyczajem przemyła dłonie i otarła twarz wilgotną tkaniną.

— Dziękuję za powitanie, mój synu. Niechaj Światłość opromienia Dom Jagad. Niechaj Światłość opromienia Fal Dara i wszystkich jej mieszkańców.

Agelmar skłonił się raz jeszcze.

— To ty nam przynosisz zaszczyt, matko.

Wcale nie dziwiło, że nazwała go synem, a on ją matką, mimo że przy jej gładkich policzkach lord Agelmar ze swą pomarszczoną twarzą wyglądał jak jej ojciec albo nawet dziadek. Ich powierzchowność znakomicie do siebie pasowała.

— Dom Jagad służy tobie. Fal Dara jest twoje.

Zewsząd rozległy się wiwaty, załamujące się na murach twierdzy niczym fale.

Cały dygocząc, Rand pobiegł pośpiesznie w stronę drzwi i, złaźniony bezpieczeństwa, w ogóle już nie zważał na kogo wpada.

„To tylko ta przekłeta wyobraźnia. Ona nawet nie wie, kim jesteś. Na razie. Krew i popioły, gdyby ona...”

Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby naprawdę wiedziała, kim jest, czym jest. Co się stanie, gdy wreszcie się dowie. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie miała czegoś wspólnego z tym wiatrem na szczycie wieży; Aes Sedai potrafiły dokonywać takich rzeczy. Pchnął drzwi, zatrzęsął je za sobą, tłumiąc ryk powitań, który nadal wstrząsał dziedzińcem, i westchnął z ulgą.

Na korytarzach również było pusto i na moment nie przestawał biec. Minał mniejszy podwórzec, z fontanną pluszczącą na samym środku, potem przebiegł kolejny korytarz i wypadł na brukowany dziedziniec stajenny. Stajnia Lorda, wbudowana w mur twierdzy, była wysoka i długa, z wielkimi oknami, a konie trzymano na dwóch piętrach. W kuźni po drugiej stronie dziedzińca panowała cisza, kowal i jego pomocnicy poszli oglądać ceremonię powitania.

Tema, główny stajenny o skórzastej twarzy, powitał go przy, szerokich drzwiach głębokim ukłonem, przykładając dłoń do czoła, a potem do serca.

— Sługa całą duszą i sercem, mój panie. W czym Tema może pomóc swojemu panu?

Włosy Temy nie były związane na czubku głowy jak u wojowników, przypominały odwróconą do góry dnem szarą misę.

Rand westchnął.

— Po raz setny proszę, Tema, nie tytułuj mnie panem.

— Jak mój pan sobie życzy.

Stajenny ukłonił się jeszcze niżej.

To jego nazwisko było przyczyną całego ambarasu, a także jego podobieństwo. Rand al'Thor. Al'Lan Mandragoran. W przypadku Lana, zgodnie z obyczajem obowiązującym w Malkier, przedrostek „al” wyróżniał go jako króla, mimo że sam nigdy się nim nie przedstawiał. W przypadku Randa „al” stanowiło jedynie cząstkę jego nazwiska, jakkolwiek słyszał kiedyś, że dawno temu, jeszcze zanim

Dwie Rzeki nazwano Dwoma Rzekami, znaczyło to „syna”. Niemniej jednak niektórzy służący w twierdzy Fal Dara uznali, że on też jest królem, albo co najmniej księciem. Mimo iż usiłował dowieść, że jest wręcz przeciwnie, jedyne co uzyskał, to obniżenie rangi do lorda. W każdym razie tak mu się wydawało; płaszczono się jednak przed nim jak przed nikim innym, nawet przed lordem Agelmarem.

— Proszę o osiodłanie Rudego, Tema. — Wiedział, że lepiej nie proponować, że zrobi to sam, bo Tema nie dopuści, by pobrudził sobie ręce. — Postanowiłem zwiedzać okolice przez kilka najbliższych dni.

A jak już dosiądzie grzbietu wielkiego gniadosza, za kilka dni stanie nad brzegiem Erinin, albo przekroczy granice Arafel.

„Już mnie wtedy nie znajdą.”

Stajenny nieomal zgiął się wpół i taki zgięty pozostał.

— Wybacz, mój panie — wyszeptał ochryple. — Wybacz, ale Tema nie może cię usłuchać.

Zaczerwieniony ze wstydu Rand rozejrzał się z niepokojem dookoła — nie zobaczył nikogo w zasięgu wzroku — po czym chwycił mężczyznę za ramię i wyprostował go. Nawet jeśli nie mógł zapobiec, by Tema i kilku innych służących zachowywało się w taki sposób, to mógł przynajmniej się postarać, by nikt inny tego nie widział.

— Dlaczego nie, Tema? Tema, spójrz na mnie, proszę. Dlaczego nie?

— Tak rozkazano, mój panie — odparł Tema, wciąż szepcząc.

Stale spuszczał wzrok, nie ze strachu, lecz ze wstydu, że nie może zrobić tego, o co prosił Rand. Mieszkańcy Shienaru potrafili wstydzić się tak, jak ktoś napiętnowany za kradzież.

— Żaden koń nie może opuścić tej stajni, dopóki rozkazy nie ulegną zmianie. Ani też żadnej innej stajni w twierdzy, mój panie.

Rand już miał powiedzieć mu, że nic się nie stało, ale tylko oblizwał wargi.

— Ani jeden koń z żadnej stajni?

— Tak, mój panie. Ten rozkaz wydano zupełnie niedawno. Zaledwie przed kilkoma chwilami. — Głos Temy zabrzmiał silniej. — Również wszystkie bramy zostały zamknięte, mój panie. Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść bez zezwolenia. Jak się Tema dowiedział, nawet miejski patrol.

Rand jakoś przełknął ślinę, ale nadal miał uczucie, że jego krtań ściskają niewidzialne palce.

— Tema, czy ten rozkaz wydał lord Agelmar?

— Naturalnie, mój panie. Któż by inny? Rzecz jasna, lord Agelmar nie wydał osobiście tego rozkazu Temie ani też temu człowiekowi, który go Temie przekazał, ale, mój panie, któż inny mógł wydać taki rozkaz w Fal Dara?

„Kto inny?”

Rand podskoczył w miejscu, w tym bowiem momencie z dzwonnicy warowni rozległy się donośne dźwięki największego dzwonu. Potem przyłączyły się do

niego inne dzwony, a po chwili wszystkie dzwony w mieście.

— Jeśli Tema może sobie pozwolić na śmiałość — zawołał stajenny, przekrzykując ten łoskot — mój pan jest z pewnością bardzo szczęśliwy.

Rand też musiał krzyknąć, żeby go usłyszano.

— Szczęśliwy? Dlaczego?

— Powitanie dobiegło końca, mój panie. — Tema wskazał gestem dłoni na dzwonnice. — Zasiadająca na Tronie Amyrlin przyśle zaraz po mojego pana i jego przyjaciół.

Rand poderwał się do biegu. Zdążył jeszcze dostrzec zdziwienie na twarzy Temy i już go nie było. Nie dbał o to, co sobie pomyśli Tema.

„Zaraz po mnie przyśle.”

## PRZYJACIELE I WROGOWIE

Rand nie biegł długo, tylko do bramy wypadowej, znajdującej się tuż za rogiem stajni. Jeszcze zanim tam dotarł, zwolnił kroku, starając się wyglądać jak najzwyczajniej, jakby się wcale nie spieszył.

Zwieńczona lukiem brama była zamknięta na głucho. Mogło przez nią przejechać zaledwie dwóch jeźdźców jednocześnie, lecz — podobnie jak wszystkie bramy w zewnętrznym murze — była obita szerokimi płytami żelaza i zamykana za pomocą grubej sztaby. Tuż przed nią stało dwóch strażników w zwykłych, stożkowatych hełmach i kolczugach, do pleców mieli przytroczone długie miecze. Piersi złotych opończ zdobił Czarny Jastrząb. Znał cokolwiek jednego z nich, Ragana. Na ogorzałym policzku Ragana, przysłoniętym kratownicą hełmu, widać było biały trójkąt, bliznę po strzale trolloka. Na widok Randa w jego pomarszczonej twarzy ukazały się dołki uśmiechu.

— Oby pokój miał cię w swej opiece, Randzie al’Thor. — Ragan prawie krzyczał, pragnąc zagłuszyć dzwony. — Masz zamiar walić króliki po głowach, czy też nadal się upierasz, że ta pałka to łuk?

Drugi strażnik zrobił krok, by stanąć bliżej bramy.

— Oby pokój miał cię w swej opiece, Raganie — odpowiedział Rand, zatrzymując się przed nimi. Z najwyższym wysiłkiem udało mu się zachować spokojny głos. — Wiesz, że to łuk. Widziałeś, jak z niego strzelałem.

— Nie nadaje się do strzelania z końskiego grzbietu — kwaśnym tonem orzekł drugi strażnik.

Rand rozpoznał go teraz, po głęboko osadzonych, nieomal czarnych oczach, które zdawały się nigdy nie mrugać. Wyzierały spod przyłbicy niczym dwie bliźniacze grotty z wnętrza jeszcze jednej, większej jaskini. Czuł, że mógłby mieć większego pecha, gdyby nie Masema strzegł akurat bramy, ale nie bardzo wiedział, o ile większego, chyba żeby to była Czerwona Aes Sedai.

— Jest za długi — dodał Masema. — Ja ze swojego łuku, gdy jadę galopem, potrafię wypuścić trzy strzały, a ty je tylko tracisz przez to monstrum.

Rand zmusił się do uśmiechu udając, że uznaje to za żart, choć nigdy nie słyszał ani jednego żartu z ust Masemy, nie widział też jego uśmiechu. Ludzie w Fal Dara na ogół akceptowali Randa, ćwiczył z Lanem, lord Agelmar gościł

go przy swoim stole, a co najważniejsze, przybył do Fal Dara w towarzystwie Moiraine, Aes Sedai. Niektórym jednak wyraźnie trudno było zapamiętać, że jest przybyszem z obcych stron i prawie się do niego nie odzywali, a jeśli już, to tylko z konieczności. Masema był najgorszy z nich wszystkich.

— Mnie on wystarcza — odparł Rand. — A skoro już mowa o królikach, Raganie, to może tak wypuściłbyś mnie na zewnątrz? Cały ten rwetes i bieganina to dla mnie za wiele. Wolałbym zapolować na króliki, nawet jeśli żadnego nie wypatrzę.

Ragan wykonał półobrót, żeby spojrzeć na swego towarzysza i nadzieje Randa zaczęły rosnąć. Ragan był przyjaznym człowiekiem, który pogodą ducha tuszował ponurą bliźnę i wyraźnie lubił Randa. Jednak Masema pokręcił głową.

— Nie wolno, Randzie al'Thor — rzekł Ragan i westchnął. Nieznacznie skinął też głową w stronę Masemy, jakby się chciał wytłumaczyć. Gdyby to zależało tylko od niego... — Nikt nie może stąd wyjść bez glejtu. Szkoda, że nie spróbowałeś kilka minut temu. Rozkaz zaryglowania bram przyszedł dopiero co.

— Ale po cóż lord Agelmar chciałby mnie zatrzymać?

Masema przyglądał się podejrzliwie jego tobołkom i sakwom. Rand usiłował go ignorować.

— Jestem jego gościem — mówił dalej do Ragana. — Daję słowo, mogłem stąd wyjść w dowolnej chwili podczas ostatnich tygodni. Czemu miałby wydawać taki rozkaz? Bo to rozkaz lorda Agelmara, nieprawdaż?

Słyszając to, Masema zamrugał, a wieczny mars na czole pogłębił się. Wydawało się też, że już zapomniał o pakunkach na plecach Randa.

Ragan roześmiał się.

— Któż inny mógłby wydać taki rozkaz, Randzie al'Thor? Mnie przekazał go Uno, rzecz jasna, ale czyj mógłby to być rozkaz?

Oczy Masemy, wbite w Randa, nawet nie mrugnęły.

— Chciałbym tylko stąd wyjść, to wszystko — powiedział Rand. — Ale w takim razie zobaczę, co się dzieje w ogrodach. Królików tam nie znajdę, ale przynajmniej nie ma takich tłumów. Niechaj was Światłość oświeci i pokój ma w swej opiece.

Odszedł, nie czekając na pożegnalne błogosławieństwo. Postanowił, że w żadnym przypadku nawet się nie zbliży do ogrodów.

„Niech szczenę, już po wszystkich ceremoniach, więc w każdym ogrodzie mogą być jakieś Aes Sedai.”

Czując wzrok Masemy na swoich plecach — był pewien, że to jego wzrok — maszerował normalnym krokiem. Potknął się jednak, bo dzwony zniemacka ucichły. Mijały minuty. Długie minuty. Zasiadająca na Tronie Amyrlin zostanie zaraz wprowadzona do jej komnat. Zaraz każe po niego posłać, zarządzi poszukiwania, jeśli go nie znajdą. Gdy tylko zniknął z pola widzenia bramy wypadowej, znowu pobiegł.



Znajdująca się w pobliżu pomieszczeń kuchennych Brama Woźniców, którą sprowadzano całą żywność do twierdzy, była zamknięta i zaryglowana, stało przy niej dwóch żołnierzy. Minał ich pospiesznie, potem pędem pokonał dziedziniec kuchni, jakby już nigdy w życiu nie miał się zatrzymać.

Przy Psiej Bramie, na tyłach twierdzy, tak niskiej i wąskiej, że mógł przez nią przejść tylko jeden pieszy, również stali strażnicy. Zawrócił błyskawicznie, zanim zdążyli go spostrzec. Bram było niewiele jak na tak ogromną twierdzę, ale skoro pilnowano nawet Psiej Bramy, to z całą pewnością pozostałych nie pozostawiono bez dozoru.

A gdyby tak znalazł kawał powroza... Wszedł na stopnie wiodące do samego szczytu zewnętrznego muru, na szeroki podest otoczony blankami. Nie poczuł się najlepiej... tak wysoko... gdyby znowu nadleciał tamten wiatr, nie miałby osłony, ale widział stamtąd pomiędzy wysokimi kominami i szpiczastymi dachami drogę do samego muru miejskiego. Mimo całego miesiąca pobytu w Fal Dara, te domy wciąż dziwnie wyglądały dla kogoś nawykłego do zabudowań Dwu Rzek, krokwie sięgały prawie do samej ziemi, jakby budowle składały się wyłącznie z krytych drewnianymi gontami dachów i kominów ustawionych pod kątem, co miało zapobiec gromadzeniu się na nich śniegu. Twierdzę otaczał przestronny brukowany plac, ale w odległości zaledwie stu kroków od muru zaczynały się ulice, rojne od ludzi krzątających się wokół codziennych obowiązków, sklepikarzy w fartuchach pod markizami straganów, pospolicie odzianych farmerów, którzy przyjeżdżali do miasta kupować i sprzedawać, sokolników, kupców i mieszkańców miasta, zebranych w gromadach, bez wątplenia rozprawiających o niespodzianej wizycie Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Widział wozy i ludzi mijających jedną z miejskich bram. Najwyraźniej strażnikom strzegącym murów miasta nie kazano nikogo zatrzymywać.

Spojrzał na najbliższą wieżę strażniczą, jeden z żołnierzy uniósł odzianą w rękawicę dłoń w jego stronę. Odwzajemnił gest z cierpkim uśmiechem. Strażnicy mieli na oku każdy fragment podmurza. Przechylony przez framugę zerknął w dół — przez otwory w murze, w których osadzano pale — na rozległe koryto suchej fosy. Szeroka na dwadzieścia kroków i głęboka na dziesięć, straszyla kamienną, zdradliwie wypolerowaną otchłanią. Otaczał ją niski mur, nachylony do wewnątrz, by nie mógł posłużyć za kryjówkę, a dno jeżyło się ostrymi jak brzytwa palami. Nawet gdyby miał powróż, a strażnicy nie patrzyli w tę stronę, nie dałby rady pokonać fosy. Ostateczna zapora, broniąca przed wtargnięciem trolloków do środka twierdzy, równie skutecznie grodziła jemu drogę.

Nagle poczuł, że jest zmęczony do szpiku kości, że wyciekły z niego wszystkie siły. Przybyła Zasiadająca na Tronie Amyrlin i nie było jak uciec. Żadnego wyjścia i Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Jeśli wiedziała, że tu jest, jeśli to ona wysłała ten wiatr, który go pochwyił w swe szpony, to na pewno już go poszukiwała, poszukiwała za pomocą tego wszystkiego, do czego są zdolne Aes Sedai.

Króliki miały więcej szans z jego łukiem. Ale nie chciał się poddać. Powiadano, że ludzie z Dwu Rzek potrafią uczyć kamienie i dawać lekcje mułom. Pozostawieni z niczym, ratowali się uporem.

Zszedł z muru i ruszył na wędrowkę po twierdzy. Nie zwracał uwagi na to, którądy idzie, bo na razie nikt go się tutaj nie spodziewał. Omijał drogę do swego pokoju, do stajni, do którejś z bram — Masema mógł zaryzykować i przez Uno donieść, że próbował uciec — trzymał się z daleka od ogrodów. Myślał wyłącznie o unikaniu wszystkich Aes Sedai. Nawet Moiraine. Ona wiedziała o nim. Ale mimo to nic mu nie zrobiła.

„Na razie. Na razie, na ile ci wiadomo. A jeśli zmieniła zamiary? Może to ona posłała po Zasiadającą na Tronie Amyrlin?”

Skołowany oparł się na chwilę o ścianę korytarza, czując pod barkami twardy kamień. Niewidzącymi oczyma wpatrywał się w pustą dal i widział rzeczy, których nie chciał widzieć.

„Poskromiony. Czy byłoby aż tak źle, gdyby to wszystko wreszcie się skończyło? Naprawdę skończyło?”

Zamknął oczy, ale nadal widział siebie, skulonego jak królik, który nie ma dokąd uciec i Aes Sedai krążące nad nim jak kruki.

„Ci, których poskromiono, prawie od razu umierają. Odechciewa im się żyć.”

Zanadto dobrze pamiętał słowa Thoma Merrilina, żeby znieść taką wizję. Otrząsnął się żwawo i pośpiesznie ruszył w głąb korytarza. Lepiej się nie zatrzymywać w jednym miejscu, dopóki go jeszcze nie znaleziono.

„A tak nawiasem mówiąc, to jak długo będą cię szukać? Jesteś jak owca w zagrodzie. Jak długo?”

Dotknął rękojeści miecza.

„Nie, jaka tam owca. Żadna Aes Sedai ani nikt inny tak nie myśli.”

Czuł się trochę głupio, ale powziął silne postanowienie, że coś zdziała.

Ludzie wracali już do swych obowiązków. Kuchnię położoną najbliżej Wielkiej Sali wypełniał harmider głosów i szcękania garnków, w tej sali Zasiadająca na Tronie Amyrlin i jej świta mieli dziś spożywać wieczerzę. Kucharze, pomywacze i kredensowi pracowali jak opętani, psy dreptały w wiklinowych bębnach, obracając tym samym poście mięs nabite na szpikulce. Pokonał szybko buchający stamtąd żar i parę, zapachy przypraw i potraw. Nikt nie poświęcił mu uważniejszego spojrzenia, wszyscy byli zanadto zajęci.

Korytarze na tyłach warowni, wiodące obok izdebek zamieszkałych przez służbę, wrzały niczym rozkopane mrowisko, biegali tam mężczyźni i kobiety spieszący wdziąć swój odświętny przyodziewek. Dzieci skryły się ze swymi zabawkami do kątów, by nikomu nie wchodzić pod nogi. Chłopcy wymachiwali drewnianymi mieczami, dziewczynki bawiły się drewnianymi lalkami, niektóre obwieszczwały, że to ich lalka jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Większość drzwi stała otworem, przysłonięte jedynie sznurami paciorków. Na ogół stanowiło to znak, że

w danej izbie oczekuje się gości, tego dnia jednak znaczyło to tylko, że jej mieszkaniec się śpieszy. Nawet ci, którzy kłaniali się Randowi, robili to praktycznie w biegu.

Czy ktoś z nich usługując gościom, usłyszy, że go szukają, i czy powie wtedy, że go widział? Czy zagadnie jakąś Aes Sedai i zdradzi, gdzie go znaleźć? Znienacka wydało mu się, że oczy, które teraz mija, mają chytry wyraz, że coś rozważają i knują za jego plecami. Wyobraźnia nawet dzieciom przydała podejrzanego wyglądu. Wiedział, że to tylko wyobraźnia — był tego pewien, musiało tak być — lecz kiedy zostawił już za sobą pokoje dla służby, poczuł się tak, jakby uciekł z potrzasku, zanim sprężyna zdążyła się zatrzasnąć.

W niektórych częściach twierdzy nie było żywej duszy, ludzie, którzy tam zazwyczaj pracowali, dostali niespodziewanie wolne. W kuźni zbrojowni pogaszone paleniska, milczące miechy. Cicho. Zimno. Martwo. A jednak jakby wcale nie pusto. Zaswędziała go skóra i natychmiast odwrócił się na pięcie. Nikogo. Tylko wielkie, kwadratowe skrzynie na narzędzia i zaszpuntowane beczki pełne oliwy. Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku i znowu błyskawicznie się obrócił. Na ścianach wisiały młoty i szczypce. Rozejrzał się gniewnie dookoła.

„Nikogo tu nie ma. To tylko moja wyobraźnia. Ten wiatr i Amyrlin wystarczą, żebym zaczął coś sobie roić.”

Na dziedzińcu zbrojowni otoczył go znienacka wir wiatru. Mimo woli podskoczył w miejscu, przerażony, że znowu go pochwyci. Przez chwilę czuł woń rozkładu, za plecami słyszał czyjś chytry śmiech. Tylko przez chwilę. Przerażony okrążył dziedziniec, bacznie się rozglądając. Na brukowanym grubo ciosanymi kamieniami dziedzińcu nie było nikogo prócz niego.

„To tylko ta twoja przeklęta wyobraźnia!”

Pobiegł jednak z uczuciem, że znowu słyszy za sobą tamten śmiech, tym razem bez akompaniamentu wiatru.

Na dziedzińcu, na którym trzymano drewno, wrażenie powróciło, znowu czuł, że ktoś tam jest. Że jakieś oczy podglądają go zza wysokich sągwi porąbanego drewna, ułożonych w wysokich szopach, że ktoś zerka na niego ukradkiem pomiędzy stert wysuszonych szczap i desek po przeciwległej stronie dziedzińca, przed warsztatem cieśli, teraz zamkniętym na głucho. Za nic nie chciał rozglądać się dookoła, nie chciał się zastanawiać, jak to możliwe, by jedna para oczu mogła się przemieszczać z miejsca na miejsce tak szybko, jakim cudem pokonała otwarty dziedziniec, od szopy do warsztatu, nie wykonawszy żadnego zauważalnego ruchu. Był pewien, że tych oczu jest tylko dwoje.

„Wyobraźnia. A może już popadłem w obłąd.”

Przeszył go dreszcz.

„Jeszcze nie. Światłości, błagam, jeszcze nie.”

Ze sztywno wyprostowanymi plecami przekradł się przez dziedziniec, a niewidzialny obserwator ruszył w ślad za nim.

W ciemnych korytarzach płonęło zaledwie kilka pochodni z sitowia, a oczy były wszędzie, w spichlerzach, pełnych korców suszonego grochu i fasoli, zastawionych półkami z pomarszczoną rzepą i burakami albo beczkami z winem, kadziami z soloną wołowiną i dzbanami, ale czasami szły za nim, czasami czekały na niego w środku. Ani razu nie usłyszał niczych kroków prócz własnych, ani razu nie usłyszał trzasku drzwi, chyba że sam je otworzył i zamknął, ale oczy były wszędzie.

„Światłości, popadam w obłąd.”

Otworzył kolejne drzwi i wypłynęły stamtąd ludzkie głosy, ludzki śmiech, wlewając weń ulgę. Tu nie będzie żadnych niewidzialnych oczu. Wszedł do środka.

Połowa pomieszczenia była po sam sufit zastawiona worami z ziarnem. W drugiej części, pod jedną z nagich ścian, klęczało półkolem kilku ludzi. W oczy rzucały się skórzane kaftany i włosy przycięte równo wokół głowy, wskazując, że to zwykli posługacze. Ani kępek na czubkach czaszek, ani strojów służby usługującej przy pańskim stole. A więc nikogo, kto mógłby go przypadkiem zdradzić.

„A jeśli umyślnie?”

Na tle cichego gwaru głosów rozległ się grzechot kości do gry, a ten, który je rzucił, zaniósł się ochryłym śmiechem.

Grającym przypatrywał się Loial; pogrążony w zamyśleniu pocierał podbródek palcem grubszym od ludzkiego kciuka, głową nieomal dotykał krokwi zawieszonych w odległości prawie dwu piędzi ponad głowami pozostałych. Żaden z graczy nawet na niego nie zerkał. Na Ziemiach Granicznych, i nie tylko, widok Ogira nie był czymś powszednim, jednakże tu ich znano i akceptowano, a Loial przebywał w Fal Dara dostatecznie długo, by jeszcze prowokować jakieś komentarze. Ogir zapiął po szyję swą ciemną tunikę ze sztywnym kołnierzem i rozkloszowanym dołem, sięgającym cholew wysokich butów, jedna z wielkich kieszeni była mocno wybrzuszona i obciążona czymś bardzo dużym. Na ile Rand go znał, były to z pewnością książki. Loial za nic nie chciał się oddalić od książek, nawet jeśli teraz jego uwagę pochłonęła gra w kości.

Wbrew wszystkiemu Rand mimo woli uśmiechnął się. Loial często tak na niego działał. Wiedział tak dużo o jednych rzeczach i tak niewiele o innych, a najwyraźniej chciał wiedzieć wszystko. Rand jednak pamiętał, że pierwszy raz, gdy zobaczył Loiala, z tymi jego uszami, z których sterczały kępki włosów, brwiami, które podrygiwały jak długie wasy i nosem przesłaniającym nieomal całą twarz — wydawało mu się, że widzi trolloka. Nadał się tego wstydził. Ogir i trolloki. Myrddraal i stwory wyskakujące z ciemnych zakamarków baśni opowiadanych nocami. Stwory z opowieści i legend. Tak właśnie o nich myślał przed wyjazdem z Dwu Rzek. Jednakże od czasu opuszczenia domu widział tyle wcielonych opowieści, że nie mógł być już pewien niczego. Aes Sedai i niewidzialni obserwatorzy, wiatr, który chwytał i nie puszczał. Uśmiech na jego twarzy zbladł.

— Wszystkie opowieści są prawdziwe — powiedział cicho.

Loial zastrzygł uszami i obrócił głowę w stronę Randa. Gdy zobaczył, że to on, jego twarz oblał szeroki uśmiech i natychmiast do niego podszedł.

— Ach, tu jesteś. — Głos Loiala brzmiał jak głucho buczenie trzmiela. — Nie widziałem cię na powitaniu. To było coś, czego nigdy przedtem nie widziałem. Tych dwóch rzeczy. Ceremonii Powitania w Shienar i Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Wygląda na zmęczoną, nie uważasz? Pewnie niełatwo zasiadać na Tronie Amyrlin. To pewnie coś jeszcze gorszego niż bycie Starszym, jak domniemuję. — Urwał z wyrazem zamyślenia na twarzy, jednak tylko dla zaczerpnięcia oddechu. — Powiedz mi, Rand, czy ty też znasz tę grę? Oni tu grają w coś prostszego, używają tylko trzech kości. My w *stedding* używamy czterech. Oni nie chcą ze mną grać, wiesz? Mówią tylko: „Chwała Budowniczym” i nie chcą robić ze mną zakładów. Moim zdaniem to niesprawiedliwe, nieprawdaż? Używają dość małych kości... — marszcząc twarz przyjrzał się swoim dłoniom, tak wielkim, że mogłyby obłąpić całą ludzką głowę... — ale ja i tak uważam...

Rand chwycił go za ramię i wszedł mu w słowo.

„Budownicowie!”

— Loial, przecież to Ogirowie wybudowali Fal Dara, prawda? Czy znasz stąd jakieś inne wyjście oprócz bram? Jakiś otwór. Kanał ściekowy. Cokolwiek, przez co człowiek dałby radę się przecisnąć. W miarę możliwości poza zasięgiem wiatru.

Loial obdarzył go zbolałym grymasem, końce brwi nieomal opadły mu na policzki.

— Rand, Ogirowie zbudowali Mafal Dadaranel, ale to miasto zostało zniszczone podczas Wojen z Trollokami. To — musnął kamienną ścianę opuszkami grubych palców — wzniesli ludzie. Umiem naszkicować plan Mafal Dadaranel, widziałem mapy w pewnej starej księdze, która się znajduje w *Stedding Shangtai*, ale o Fal Dara nie wiem więcej niż ty. Ale twierdza jest dobrze zbudowana, nie uważasz? Pospolita, ale zbudowana jak należy.

Rand oparł się ciężko o ścianę, z całej siły zaciskając powieki.

— Muszę się stąd wydostać — wyszeptał. — Bramy są zaryglowane i nie pozwalają nikomu wyjść, ale ja muszę się stąd wydostać.

— Ale dlaczego, Rand? — wolno powiedział Loial. — Nikt tutaj nie zrobi ci nic złego. Dobrze się czujesz? Rand? — Nagle podniósł głos. — Mat! Perrin! Rand jest chyba chory.

Rand otworzył oczy i zobaczył swoich przyjaciół wstających z podłogi. Mat Cauthon, długonogi jak bocian, z tajemniczym uśmiechem, jakby widział coś, czego nie widział nikt inny. Kudłaty Perrin Aybara, o solidnych barkach i potężnych ramionach, nabytych od pracy w charakterze czeladnika kowalskiego. Obydwaj wciąż mieli na sobie ubrania z Dwu Rzek, proste i mocne, lecz mocno podniszczone w podróży.

Mat cisnął kości pod nogi siedzących półkolem graczy. Jeden z mężczyzn zawołał:

— Ejże, południowcze, nie możesz odchodzić od gry, kiedy wygrywasz!

— Lepiej teraz, niż gdy zacznę przegrywać — powiedział ze śmiechem Mat, mimo woli dotykając swego kaftana w okolicy pasa.

Rand skrzywił się. Mat ukrywał tam sztylet z rubinową rękojeścią, sztylet, z którym nigdy się nie rozstawał, sztylet, bez którego nie mógł się obyć. Było to skażone ostrze, zabrane z martwego miasta Shadar Logoth, skażone i zniekształcone przez zło nieomal dorównujące Czarnemu, zło które zabiło Shadar Logoth przed dwoma tysiącami lat, lecz wciąż żyło pośród opustoszałych ruin. Ta skaża mogła zabić Mata, gdyby zatrzymał dłużej sztylet, lecz gdyby go się pozbył, zabiłaby go jeszcze prędzej.

— Jeszcze będziecie mieli szansę się odegrać.

Niezadowolone prychnięcia ze strony klęczących świadczyły, że ich zdaniem ta szansa jest niewysoka.

Perrin trzymał oczy opuszczone, kiedy szedł w ślad za Matem w stronę Randa. Ostatnimi czasy Perrin wiecznie spuszczał wzrok, a jego ramiona obwisały, jakby dźwigał na nich ciężar zbyt wielki nawet na tak potężne barki.

— Co się stało, Rand? — spytał Mat. — Jesteś biały jak twoja koszula. Hej! Skąd masz to ubranie? Zmieniasz się w mieszkańca Shienaru? Może ja też sobie kupię taki kaftan i piękną koszulę. — Potrząsnął kieszenią kaftana i rozległ się brzęk monet. — Chyba mam szczęście do kości. Ledwie ich dotknę, a zaraz wygrywam.

— Nie musisz niczego kupować — odparł znużonym głosem Rand. — Moraine kazała wymienić wszystkie nasze rzeczy. Z tego, co wiem, stare już spalili, z wyjątkiem tych, które macie na sobie. Elansu z pewnością po nie przyjdzie, więc na waszym miejscu przebrałbym się jak najszybciej, zanim zedrze je wam z grzbietu.

Perrin wciąż nie podnosił wzroku, za to jego policzki poczerwieniały; uśmiech Mata pogłębił się, mimo że z wyraźnym przymusem. Oni również mieli za sobą przygody w łaźniach i tylko Mat udawał, że panujące obyczaje na nim nie wywierają wrażenia.

— I wcale nie jestem chory. Po prostu muszę się stąd wydostać. Przybyła Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Lan powiedział. . . powiedział, że z jej powodu lepiej by dla mnie było, gdybym wyjechał już tydzień temu. Muszę uciec, a wszystkie bramy są zaryglowane.

— Powiedział coś takiego? — Mat zmarszczył czoło: — Nie rozumiem. On nigdy nie mówił nic przeciwko Aes Sedai. O co tu chodzi? Słuchaj, Rand, ja też bynajmniej nie przepadam za Aes Sedai, ale one nic nam przecież nie zrobią.

Mówiąc to, zniżył głos i obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy któryś z graczy przypadkiem go nie słucha. Mimo całego strachu, jaki budziły Aes Sedai,

na Ziemiach Granicznych ten strach daleki był od nienawiści i wszelkie przejawy braku szacunku wobec nich mogły człowieka narazić na bójkę albo coś jeszcze gorszego.

— Weź taką Moiraine. Ona nie jest zła, a przecież to Aes Sedai. Ty myślisz jak stary Cenn Buie, z tymi jego opowieściami w „Winnej Jagodzie”. Chcę powiedzieć, że ona nic nam nie zrobiła i one też nic nie zrobią. Po co by im to było?

Perrin podniósł oczy. Żółte oczy, połyskujące w mętnym świetle jak wypolerowane złoto.

„Czy Moiraine nic nam nie zrobiła?” — zastanowił się Rand.

Kiedy wyjeżdżali z Dwu Rzek, Perrin miał oczy ciemnobrązowe, takie same jak Mat. Rand nie miał pojęcia, skąd się wzięła ta zmiana — Perrin nie chciał o tym rozmawiać, w ogóle mało rozmawiał od czasu, w którym to się stało — ale pojawiła się razem z przygarbieniem ramion i dystansem w zachowaniu, jakby Perrin czuł się samotny w towarzystwie przyjaciół. Oczy Perrina i sztylet Mata. Do niczego takiego by nie doszło, gdyby nie wyjechali z Pola Emonda, a to właśnie Moiraine ich stamtąd zabrała. Wiedział, że nie jest sprawiedliwy. Prawdopodobnie wszyscy zginęliby z rąk trolloków, a razem z nimi spora część mieszkańców Pola Emonda, gdyby ona nie pojawiła się w ich wsi. Ale przez to Perrin nie śmiał się już tak, jak kiedyś. Za pasem Mata wciąż tkwił sztylet.

„A ja? Gdybym został w domu, gdybym nadal żył, czy byłbym tym, co teraz? W każdym razie nie przejmowałbym się tym, co zrobią z nami Aes Sedai.”

Mat nie spuszczał pytającego wzroku, a Perrin uniósł głowę, by móc się mu przypatrzeć spod nastroszonych brwi. Loial czekał cierpliwie. Rand nie mógł im powiedzieć, dlaczego musi się trzymać z dala od przywódczyni Aes Sedai. Oni nie wiedzieli, czym on jest. Lan i Moiraine to wiedzieli. A także Egwene i Nynaeve. Wolałby, żeby nikt tego nie wiedział, a przede wszystkim Egwene, ale przynajmniej Mat i Perrin — a także Loial — wierzyli, że on jest nadal tym samym człowiekiem. Czuł, że wolałby umrzeć, niż pozwolić im się tego dowiedzieć, niż widzieć wahanie i zmartwienie, które czasami dostrzegał w oczach Egwene i Nynaeve, mimo że tak bardzo starały się to ukryć.

— Ktoś... mnie obserwuje — powiedział w końcu. — Ktoś mnie śledzi. Tylko... Tylko że tu nikogo nie ma.

Perrin uniósł gwałtownie głowę, a Mat obliznął wargi i wyszeptał:

— Pomor?

— Jasne, że nie — parsknął Loial. — Jakim sposobem Bezoki miałby wejść do Fal Dara, do miasta albo twiedzy? Tu obowiązuje nakaz, że nikt nie może ukrywać twarzy w obrębie murów miasta, a miejscy stróże muszą nocami oświetlać ulice, więc nie ma cieni, w których mógłby ukryć się Myrddraal. To by się nie mogło zdarzyć.

— Mury nie zatrzymają Pomora, jeśli on chce gdzieś wejść — mruknął Mat. — Nie sądzę, by nakazy i latarnie w czymś tu pomogły.

Nie brzmiało to, jak głos człowieka, który jeszcze pół roku temu uważał, że Pomory występują wyłącznie w opowieściach bardów. On też za dużo widział.

— I jeszcze był ten wiatr — dodał Rand.

Opowiedział im to, co się zdarzyło na szczycie wieży, nieomal drżącym głosem.

Perrin zacisnął pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

— Ja tylko chcę stąd uciec — zakończył Rand. — Chcę jechać na południe. Gdzieś daleko stąd. Gdziekolwiek, byle daleko.

— Ale skoro bramy są zaryglowane — spytał Mat — to jak się stąd wydostaniemy?

Rand zagapił się na niego.

— My?

On musiał odejść stąd sam. Każdemu, kto jest blisko niego, groziło niebezpieczeństwo. To on był źródłem tego niebezpieczeństwa i nawet Moiraine nie umiała powiedzieć, od jak dawna tak jest.

— Mat, wiesz, że musisz jechać z Moiraine do Tar Valon. Powiedziała, że to jedyne miejsce, w którym mogą cię oderwać od tego przeklętego sztyletu w sposób, który nie spowoduje jednocześnie byś umarł. Wiesz przecież, co się z tobą stanie, jeśli się go nie pozbędziesz.

Mat dotknął kaftana skrywającego sztylet, wyraźnie nie zdając sobie z tego sprawy.

— „Podarunek Aes Sedai jest jak przynęta dla ryb” — zacytował. — Cóż, może ja nie chcę wkładać sobie tego haczyka do ust. Może to, co ona chce zrobić w Tar Valon, to coś jeszcze gorszego, niż brak jakichkolwiek działań. Może ona kłamie. „Prawda, którą mówi ci Aes Sedai, nigdy nie jest tym, czym się wydaje.”

— Znasz jeszcze więcej takich starych porzekadeł, z którymi masz chęć się podzielić? — spytał Rand. — Może: „Południowy wiatr przynosi bogatego gościa, północny wiatr to pusty dom”? „Prosię pomalowane na złoto nadal jest prosięciem”? A może: „Nie rozmawiaj z owcą o strzyżeniu”? „Słowa głupca to pył”?

— Uspokój się, Rand — powiedział cicho Perrin. — Nie trzeba się tak denerwować.

— Nie trzeba? Może ja nie chcę, żebyście ze mną jechali, zawsze się za mną wlokli, pakowali w tarapaty i oczekiwali, aż was z nich wyciągnę? Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym? Niech szczepnę, czy przyszło wam kiedy do głowy, że mnie już to męczy, że gdziekolwiek pójdę, zawsze znajduję was przy sobie? Zawsze, mam już tego dość.

Ból na twarzy Perrina ranił go jak nóż, ale ciągnął dalej bezlitośnie.

— Niekórzy tutaj myślą, że ja jestem lordem. Lordem. Może mi się to podoba. A popatrzcie na siebie, gracie w kości ze stajennymi. Jak będę chciał odejść, to odejdę sam. Wy sobie możecie jechać do Tar Valon albo sami gdzieś powędrować, ale ja odchodzę stąd sam.



Twarz Mata zeszywniała, zbielełymi palcami ścisnął sztylet przez połą kaftana.

— Skoro tak chcesz — powiedział zimno. — Ja myślałem, że jesteśmy... Jak sobie życzysz, al'Thor. Ale jeśli ja postanowię odejść w tym samym momencie co ty, to zrobię to, a ty możesz tylko trzymać się ode mnie z daleka.

— Nikt nigdzie nie pójdzie — wtrącił Perrin — skoro bramy są zaryglowane.

Znowu wbił wzrok w posadzkę. Siedzący pod ścianą gracze powitali śmiechem czyjąś przegraną.

— Idźcie albo zostańcie — wtrącił Loial — razem albo osobno, to nie ma znaczenia. Jesteście trzema *ta'veren*. Nawet ja to widzę, mimo że brak mi Talentu, łatwo dojść do takiego wniosku na podstawie tego tylko, co się przy was dzieje. I Moiraine też to mówi.

Mat gwałtownie uniósł ręce.

— Dość tego, Loial. Nie chcę już nic o tym więcej słyszeć.

Loial pokręcił głową.

— Słyszysz to, czy nie, to i tak jest prawda. Koło Czasu tka Wzór Wieku, wykorzystując ludzkie życie jako wątek. A wy jesteście trzema *ta'veren*, Wzór oplata się wokół was.

— Dość tego, Loial.

— Przez jakiś czas Koło będzie naginało Wzór podług was trzech, cokolwiek byście robili. A wszystko, co robicie, i tak bardziej wybiera za was Koło niż wy sami. *Ta'veren* ciągną za sobą historię i kształtują Wzór samym swoim istnieniem, ale Koło wplata *ta'veren* mocniejszymi nićmi niż pozostałych ludzi. Gdziekolwiek byście poszli, cokolwiek byście zrobili, dopóki Koło nie postanowi inaczej, będziecie...

— Dosyć! — krzyknął Mat.

Mężczyźni grający w kości podnieśli głowy, a on zgromił ich wzrokiem, więc ponownie pochylili się nad grą.

— Przepraszam, Mat — zagrział Loial. — Wiem, że gadam za dużo, ale nie chciałem...

— Ja tu nie zostanę — oznajmił Mat krokwiom — z Ogirem o wielkich ustach i głupcem, na którego nie pasuje żaden kapelusz, bo tak wielką ma głowę. Idziesz ze mną, Perrin?

Perrin westchnął, zerknął na Randa i skinął głową.

Rand patrzył ze ściśniętym gardłem, jak odchodzą.

„Muszę odejść sam, Światłości dopomóż, muszę.”

Loial też odprowadził ich wzrokiem, z brwiami obwisłymi ze zmartwienia.

— Rand, ja naprawdę nie chciałem...

Rand postarał się, by jego słowa zabrzmiały szorstko.

— Na co ty czekasz? Idź za nimi! Nie rozumiem, co ty tu jeszcze robisz. Nie przydasz mi się do niczego, skoro nie znasz żadnej drogi wyjścia. No idź! Idź

szukać swoich drzew i bezcennych gajów, jeśli ich jeszcze nie wycięto, a ja nie będę płakał, jeśli tak się stało.

Oczy Loiala, wielkie jak spodki, były z początku pełne zdziwienia i bólu, lecz powoli zwięzały się, nieomal gniewnie. Rand nie sądził, że to rzeczywiście gniew. Niektóre z dawnych opowieści twierdziły, że Ogirowie potrafią być zapalczywi, jednakże nigdy nie informowały do jakiego stopnia, zaś Rand w życiu nie poznał nikogo równie łagodnego jak Loial.

— Skoro tak sobie życzysz, Randzie al'Thor — odrzekł sucho Loial.

Sklonił się sztywno i ruszył w ślad za Matem i Perrinem.

Rand zwałił się na spiętrzone worki z ziarnem.

„No i co — nawiedził go wewnętrzny głos — zrobiłeś to, prawda?”

„Musiałem — odpowiedział. — Ściągnąłbym na nich niebezpieczeństwo. Krew i popioły, ja oszaleję i... Nie! Nie oszaleję! Nie będę korzystał z Mocy, więc nie oszaleję i... Ale nie mogę ryzykować. Nie mogę, nie rozumiesz?”

Ale wewnętrzny głos tylko śmiał się z niego.

Zauważył, że gracze patrzą na niego. Obrócili się w jego stronę, wciąż klęcząc pod ścianą. Mieszkańcy Shienaru, niezależnie od pochodzenia, zawsze zachowywali się uprzejmie i poprawnie, nawet wobec śmiertelnych wrogów, a Ogirowie nigdy nie byli wrogami Shienaru. Oczy graczy zdradzały, że są zaszokowani. Mieli puste twarze, ale oczy mówiły, że zrobił coś złego. Czuł, że częściowo mają rację i te nieme wyrzuty mocno go ubodły. Nie robili nic, tylko patrzyli, a on potykając się, wypadł ze spichlerza, jakby go ścigali.

Odrętwiały mijał kolejne spichrze, szukając miejsca, w którym mógłby się zaszyć do czasu, gdy bramy zostaną na powrót otwarte. Ukryłby się wtedy w furze jakiegoś dostawcy żywności, o ile nie będą przeszukiwali wszystkich wozów, o ile nie przeszukają całej twierdzy. Uparcie nie chciał o tym myśleć, uparcie koncentrował się na szukaniu kryjówki. Jednak gdy już znalazł takie miejsce — lukę w stosie worków z ziarnem, wąskie przejście pod ścianą za beczkami z winem, opuszczoną spiżarnię, pełną pustych skrzyń i cieni — zaraz sobie wyobrażał, że łatwo go znajdą. Wyobrażał sobie też tego niewidzialnego obserwatora, kimkolwiek był — albo czymkolwiek — jak i on go znajduje. Dlatego szukał dalej, spragniony, zakurzony, z pajęczynami na włosach.

Gdy w którymś momencie wyszedł na korytarz, skąpo oświetlony pochodniami, zobaczył skradającą się Egwene. Zatrzymywała się przy każdej mijanej spiżarni, by zajrzeć do środka. Ciemne włosy, sięgające do pasa, przewiązała czerwoną wstążką, a ubrana była w szarą suknię z czerwonymi wyłogami, skrojoną na shienarańską modłę. Na jej widok przetoczyła się po nim fala smutku i poczucia utraty. Była to dotkliwsza strata niż odtrącenie Mata, Perrina i Loiala. Przez całe życie myślał, że któregoś dnia ożeni się z Egwene, obydwójce tak myśleli. A teraz...

Drgnęła nerwowo, gdy wyskoczył prosto na nią i westchnęła głęboko, wstrzymując oddech. Po chwili do jego uszu dobiegły słowa:

— A więc tu jesteś. Mat i Perrin powiedzieli mi, co zrobisz. Loial też. Wiem, co chcesz zrobić, Rand. To czysta głupota.

Skrzyżowała ramiona na piersi i utkwiała w nim spojrzenie wielkich, ciemnych oczu. Zawsze się zastanawiał, jak jej się udaje patrzeć na niego z góry — a potrafiła, kiedy tylko chciała — mimo że sięgała mu zaledwie do piersi i była od niego o dwa lata młodsza.

— No i dobrze — odparł.

Nagle poczuł wściekłość na widok jej włosów. Do wyjazdu z Dwu Rzek nigdy nie widział dorosłych kobiet z rozpuszczonymi włosami. Tam każda dziewczyna czekała z niecierpliwością, kiedy Koło Kobiet z jej rodzinnej wsi orzeknie, że jest już dostatecznie dorosła, by móc zapleść włosy. Egwene z pewnością już dorosła. A tutaj nosiła włosy rozpuszczone, przepasane tylko jakąś wstążką.

„Ja chcę wracać do domu i nie mogę, a ona nie może się doczekać, kiedy zapomni o Polu Emonda.”

— Ty też odejdziesz i zostaw mnie w spokoju. Nie dla ciebie teraz towarzystwo pasterzy. Jest tu mnóstwo Aes Sedai, przy których możesz się kręcić. Tylko nie mów żadnej z nich, że mnie widziałas. One mnie ścigają, a ja nie chcę, żebyś im w tym pomagała.

Na jej policzkach wykwitły jaskrawe rumieńce.

— Myślisz, że mogłabym...

Odwrócił się z zamiarem odejścia, a ona z okrzykiem rzuciła się na niego, obłapiając rękoma jego nogi. Obydwoje runęli na kamienną posadzkę, sakwy i tobołki Randa koziołkowały w powietrzu. Stęknął głucho przy upadku, rękojeść miecza wbiła mu się bowiem w bok, a potem jeszcze raz jęknął, gdy Egwene podniosła się niezdarnie i usiadła na jego grzbiecie, jakby był jakimś krzesłem.

— Moja matka — zaczęła stanowczym tonem — zawsze mi powtarzała, że jazda na mule najlepiej uczy postępowania z mężczyznami. Powiedziała mi, że oni mają z reguły takie same mózgi. Czasami nawet muł bywa mądrzejszy.

Uniósł głowę, by spojrzeć na nią przez ramię.

— Zejdz ze mnie, Egwene. Zejdz! Egwene, jeśli ze mnie nie zejdziesz — tu złowieszco zniżył głos — to ci coś zrobię. Wiesz, kim jestem. — Dla efektu spojrzał na nią groźnie.

Egwene pociągnęła nosem.

— Nie zrobiłbyś tego, nawet gdybyś mógł. Ty byś nikogo nie skrzywdził. A zresztą i tak nie jesteś w stanie. Wiem, że nie możesz przenosić Jedynej Mocy, kiedy tylko zechcesz, to się dzieje samo, a ty nie umiesz nad tym panować. Tak więc nie skrzywdzisz ani mnie, ani nikogo innego. Zaś ja brałam lekcje u Moiraine, więc jeśli nie usłuchasz głosu rozsądku, Randzie al’Thor, to być może podpale twoje spodnie. Umieję już tyle. Zachowuj się tak dalej, a sam się przekonasz.

Nagle, tylko na chwilę, najbliższa pochodnia na ścianie rozjarzyła się z głośnym trzaskiem. Egwene pisnęła i zapatrzyła się na nią zaskoczona.

Obrócił się błyskawicznie, chwycił jej ramię i zrzuciwszy ją ze swego grzbietu, usadził pod ścianą. Potem sam usiadł, naprzeciwko niej. Z furią rozcierała obolałe ramię.

— Naprawdę byś to zrobiła? — spytał ze złością. — Bawisz się rzeczami, których nie rozumiesz. Mogłabyś nas oboje spalić na popiół!

— Ach ci mężczyźni! Jak nie możecie postawić na swoim, to albo uciekacie, albo używacie przemocy.

— Chwileczkę! Kto kogo oszukał? Kto na kim usiadł? I ty groziłaś... próbowałaś... że... — Uniósł ręce. — Nie, nie tak. Ty mi to robisz cały czas. Gdy tylko zauważasz, że kłótnia przebiega nie po twojej myśli, wówczas nagle zaczynamy się kłócić o coś zupełnie innego. Nie tym razem.

— Ja się nie kłócę — odparła spokojnie — i wcale też nie zmieniam tematu. Czym jest ukrywanie się, jak nie ucieczką? Jak już się ukryjesz, to uciekniesz na dobre. A czemu skrzywdziłaś Mata, Perrina i Loiala? I mnie? Ja wiem, dlaczego. Ty się boisz, że pozwalając komuś trzymać się blisko ciebie, skrzywdzisz go jeszcze bardziej. Jak nie będziesz robił tego, czego nie powinienesz, to nie masz się co bać, że coś komuś zrobisz. Biegasz jak opętany i napadasz na ludzi, a nawet nie wiesz, dlaczego. Niby czemu Amyrlin albo jakaś inna Aes Sedai oprócz Moiraine miałyby wiedzieć, że w ogóle istniejesz?

Przez chwilę wpatrywał się w nią ogłupiałym wzrokiem. Im więcej czasu przebywała z Moiraine i Nynaeve, tym częściej naśladowała ich sposób bycia, przynajmniej wtedy, gdy chciała. Aes Sedai i Wiedząca potrafiły być do siebie bardzo podobne, chłodne i mądre. Takie zachowanie w przypadku Egwene wytraçało z równowagi. W końcu opowiedział jej to, co usłyszał od Lana.

— O co innego mogło mu chodzić?

Dłoń gładząca ramię zastygła, na czole Egwene pojawił się mars skupienia.

— Moiraine wie o tobie, a nic nie zrobiła, więc czemu teraz miałyby postąpić inaczej? Ale jeśli Lan... — Ciągłe się marszcząc spojrzała mu w oczy. — Spichlerze są pierwszym miejscem, do którego zajrzą. O ile rzeczywiście będą szukać. Dopóki nie sprawdzimy, czy rzeczywiście cię szukają, musisz ukryć się tam, gdzie nie przyjdzie im do głowy szukać. Już wiem. Lochy.

Poderwał się niezdarnie na nogi.

— Lochy!

— Nie mówię o celach więziennych, ty głupcze. Czasami chodzę tam wieczorem odwiedzać Padana Faina. Nynaeve też tam chodzi. Nikt się nie zdziwi, jeśli dzisiaj zajrzę tam wcześniej. Zresztą wszyscy obskakują Amyrlin więc pewnie nikt nas nawet nie zauważy.

— Ale Moiraine...

— Ona nie chodzi do lochów, gdy chce przesłuchać pana Faina, tylko każe go do siebie przyprowadzać. I od tygodni robi to bardzo rzadko. Wierz mi, tam będziesz bezpieczny.

Nadal się wahał. Padan Fain.

— A tak w ogóle, to dlaczego go odwiedzasz? On jest Sprzymierzeńcem Ciemności, sam się do tego przyznał, i to wyjątkowo nikczemnym. Niech szczerze, Egwene, przecież on sprowadził trolloków do Pola Emonda! Sam się nazwał psem Czarnego i od Zimowej Nocy cały czas tropił moje ślady.

— Cóż, strzegą go żelazne kraty, Rand.

Teraz była jej kolej, żeby się zawahać. Spojrzała na niego nieomal błagalnie i mówiła dalej:

— Rand, on każdej wiosny przyjeżdżał swym wozem do Dwu Rzek, odkąd się urodziłam. Zna wszystkich ludzi, których ja znam, wszystkie miejsca. To dziwne, ale im dłużej siedzi w zamknięciu, tym łagodniejszy się robi. Jakby się uwalniał od Czarnego. Znowu potrafi się śmiać i opowiada zabawne historyjki o ludziach z Pola Emonda albo o miejscach, o których nigdy przedtem nie słyszałam. Czasami wydaje się taki, jak kiedyś. Ja po prostu lubię porozmawiać z kimś o domu.

„Ponieważ ja cię unikałem — pomyślał — i ponieważ Perrin unika wszystkich, a Mat spędza cały czas na grze w kości i hulance.”

— Źle, że tak się boczyłem — mruknął i westchnął. — Cóż, skoro Moiraine uważa, że tobie nic nie grozi, więc mnie pewnie też się nic nie stanie. Ale nie musisz się w to mieszać.

Egwene wstała i zajęła się swoją suknią, otrzepywała ją, unikając jego wzroku.

— Moiraine powiedziała, że to bezpieczne? Egwene?

— Moiraine nie powiedziała mi wcale, że mogę odwiedzać pana Faina — wyznała lekliwie.

Zapatrzył się na nią, a potem wybuchnął:

— W ogóle jej nie pytałaś. Ona nic nie wie. Egwene, to głupota. Padan Fain jest Sprzymierzeńcem Ciemności, równie podłym jak każdy Sprzymierzeniec.

— On jest zamknięty w klatce — odparła sztucznym głosem — a ja nie muszę prosić Moiraine o zezwolenie na wszystko, co robię. Chyba trochę późno zacząłeś zważać na to, co mówi Aes Sedai, prawda? No więc jak, idziesz?

— Umiem znaleźć lochy bez twojej pomocy. Oni już mnie szukają albo będą mnie szukać, nie wyjdzie ci to na dobre, jak znajdą cię w moim towarzystwie.

— Beze mnie — oznajmiła Wyniośle — najprawdopodobniej potkniesz się o własne nogi i wylądujesz prosto na kolanach Amyrlin, a potem wszystko jej wyśpiewasz, gdy będziesz próbował się wyłgać.

— Krew i popioły, powinnaś należeć do Koła Kobiet w naszej wiosce. Gdyby mężczyźni byli rzeczywiście tacy niezdarni i bezradni, jak się tobie najwyraźniej wydaje, wówczas nigdy...

— Masz zamiar tak tu stać i gadać, czekając na to, żeby cię naprawdę znaleźli? Pozbieraj swoje rzeczy, Rand, i chodź ze mną.

Nie czekając na odpowiedź, obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb korytarza. Mruczając coś pod nosem, niechętnie usłuchał.

Na bocznych korytarzach, którymi wędrowali, było niewielu ludzi — głównie służący. Rand jednak miał uczucie, że wszyscy zwracają na niego szczególną uwagę; nie na człowieka objuczonego do podróży, lecz na niego, Randa al'Thora konkretnie. Wiedział, że to tylko wymysł wyobraźni — liczył na to — ale wcale mu nie ulżyło, gdy zatrzymali się w przejściu w podziemiach twierdzy, przed wysokimi drzwiami z osadzoną w środku żelazną kratą i podobnie do wszystkich drzwi w zewnętrznym murze, obitych grubymi płachtami żelaza. Pod kratą wisiała kołatka.

Przez kratę Rand zobaczył nagie ściany i dwóch żołnierzy z czubami na głowach, na stole, przy którym siedzieli, stała lampa. Jeden z mężczyzn ostrzył sztylet jakimś kamieniem długimi, powolnymi ruchami. Na moment nawet nie przestał gładzić ostrza, kiedy Egwene zastukała kołatką, wywołując donośny szcęk żelaza uderzającego o żelazo. Drugi mężczyzna, o obojętnej i ponurej twarzy, patrzył chwilę w stronę drzwi, jakby się namyślał, zanim wreszcie wstał i podszedł. Był krępy i zwalisty, ledwie sięgał do okratowanego otworu.

— Czego tam? Ach, to znowu ty, dziewczyno. Przyszłaś się spotkać ze swoim Sprzymierzeńcem Ciemności? Kto to jest? — Nie wykonał żadnego ruchu, aby otworzyć drzwi.

— To mój przyjaciel, Changu. On też chce zobaczyć Pana Faina.

Mężczyzna przyjrzał się Randowi, dolna warga opadła, odsłaniając zęby. Rand nie uznał tego za uśmiech.

— No tak — odparł wreszcie Changu. — Tak. Duży jesteś, co? Duży. A wystrojony jak nie wiadomo kto. Ktoś cię pojmał za młodu na Wschodnich Bagnach i oswoił? Hałaśliwie odciągnął rygle i otworzył drzwi. — No dobra, wchodźcie, skoro chcecie. — Nadal nie rezygnował z szyderczego tonu. — Uważaj, co byś się nie puknął w głowę, mój panie.

To niebezpieczeństwo Randowi nie groziło, pod wysokimi drzwiami mógł przejść nawet Loial. Wszedł do środka w ślad za Egwene, krzywiąc się i zastanawiając, czy ten Changu przypadkiem nie chce narobić im jakichś kłopotów. Po raz pierwszy w Shienarze spotkał kogoś tak nieuprzejmego, nawet Masema był tylko chłodny, a nie wyraźnie nieuprzejmy. Jednakże Changu tylko zatrzasnął za nimi drzwi i zasunął ciężkie rygle, potem podszedł do półek wiszących za stołem i wziął jedną ze stojących na nich lamp. Drugi mężczyzna ani na moment nie przestał ostrzyć noża, nawet nie oderwał odeń wzroku. W pomieszczeniu nie było nic prócz stołu, ławek i półek, na podłodze leżała słoma, a do dalszej części lochów wiodły jeszcze jedne drzwi.

— Przyda się wam chyba jakieś światło — powiedział Changu — na spotkanie

w mroku z tym, co się przyjaźni nie tylko z wami ale i z Ciemnością. — Zaniósł się śmiechem, ochryplym, bez śladu rozbawienia, i zapalił lampę. — On już na was czeka. — Wcisnął lampę do rąk Egwene i nieomal ochoczo otworzył wewnętrzne drzwi. — On na was czeka. Tam, w ciemności.

Rand zatrzymał się niepewnie, między czernią, którą widział przed sobą i uśmiechniętym szeroko Changu za swoimi plecami, ale Egwene złapała go za rękaw i pociągnęła do przodu. Drzwi zatrzasnęły się, omal nie przycinając mu pięt, i rozległ się szczełk zasuwanych rygli. W otaczającym ich mroku nie było żadnego innego światła, prócz tego niewielkiego kręgu rozlewającego się wokół lampy.

— Jesteś pewna, że on nas stąd wypuści? — spytał. Zauważył, że ten człowiek nawet nie spojrzął na jego miecz, ani na łuk, w ogóle nie spytał, co on niesie w tobołkach. — Jak na strażników nie spisują się najlepiej. Równie dobrze moglibyśmy tu przyjść, żeby wyswobodzić Faina.

— Oni wiedzą, że ja tego nie zrobię — odparła, wyraźnie jednak zakłopotana, i dodała: — Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, zachowują się coraz paskudniej. Wszyscy strażnicy. Są wstrętni i ponurzy, coraz bardziej. Gdy przyszedłam po raz pierwszy, Changu opowiadał mi zabawne historie, a Nidao teraz w ogóle przestał się odzywać. Ale myślę, że jak się pracuje w takim miejscu, to człowiekowi trudno zachować dobry nastrój. Może to z mojego powodu. Na mnie to miejsce też nie działa najlepiej.

Pomimo tych słów pociągnęła go z przekonaniem w mrok. Rand nie spuszczał wolnej ręki z miecza.

Blade światło lampy ukazało przestronną salę, po obu stronach biegł rząd żelaznych krat, za którymi mieściły się cele przedzielone kamiennymi ścianami. Tylko w dwóch celach, które minęli po drodze, znajdowali się jacyś więźniowie. Zalani zniecka strumieniem światła, siadali gwałtownie na wąskich pryczach, osłaniali oczy rękoma i rzucali groźne spojrzenia zza palców. Rand był pewien, że te spojrzenia są groźne, mimo że nie widział ich twarzy. Oczy błyszczały odbitym światłem lampy.

— Ten lubi sobie wypić i potem się bije — mruknęła półgłosem Egwene, wskazując krępego jegomościa o zniekształconych dłoniach. — Ostatnio w pojedynkę zrujnował całą izbę w miejskiej gospodzie i mocno pokiereszował kilku ludzi.

Drugi więzień był ubrany w haftowany złotem kaftan z szerokimi rękawami i krótkie, błyszczące trzewiki.

— Próbował wyjechać z miasta, nie regulując rachunku w gospodzie — powiedziała i prychnęła ze złością, bo przecież ojciec jej był nie tylko burmistrzem Pola Emonda, lecz również właścicielem gospody. — Nie zapłacił też należności kilku sklepikarzom i kupcom.

Mężczyźni powarkiwali na ich widok, ciskali gardłowe przekleństwa, równie

niemiłe dla uszu jak te, które Rand słyszał z ust strażników karawan kupieckich.

— Oni też z każdym dniem są coraz gorsi — powiedziała cicho i przyśpieszyła kroku.

Zdażyła go mocno wyprzedzić, a gdy wreszcie doszli do znajdującej się na samym końcu celi Padana Faina, Rand został wypchnięty z kręgu światła. Zatrzymał się w mroku otaczającym lampę.

Fain siedział na prycy, pochylał się z napięciem do przodu, jakby już na nich czekał, dokładnie tak, jak mówił Changu. Bardzo chudy, z przenikliwym spojrzeniem, długimi rękoma i wydatnym nosem, był jeszcze bardziej zmizerowany, niż Rand pamiętał. Nie zmizerowany od pobytu w lochach — jedzenie podawano tu takie samo jak służącym i nawet najgorszemu z więźniów go nie żałowano — lecz od tego, co zrobił przed przybyciem do Fal Dara.

Jego widok przywołał wspomnienia, bez których Randowi łatwiej by się żyło. Fain na koźle wielkiej fury, przejeżdżający przez Most Wozów, przybywający do Pola Emonda w Zimową Noc. To podczas Zimowej Nocy pojawiły się trolloki, zabijały, paliły, polowały. Polowały na trzech młodych ludzi, jak wyjaśniła Moiraine.

„Polowały na mnie, mimo że tego nie wiedziały, wykorzystując Faina jako psa gończego.”

Na widok Egwene Fain wstał, nie osłaniając oczu, nawet nie mrugając z powodu światła. Uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech, który ledwie tknął jego wargi, a potem podniósł wzrok ponad jej głowę. Spojrzał prosto na Randa, ukrytego za nią w mroku, wycelował w niego długi palec.

— Czuję, że się tam ukrywasz, Randzie al'Thor — powiedział, a właściwie wyjęczał zawodzącym głosem. Nie ukryjesz się ani przede mną, ani przed nimi. Myślałeś, że już po wszystkim prawda? Ale bitwa nigdy nie ma końca, al'Thor. Oni już idą po mnie i idą też po ciebie, a wojna toczy się dalej. Dla ciebie się nigdy nie skończy, czy będziesz żył czy umrzesz. Nigdy.

Ni stąd, ni zowąd zaczął śpiewać.

Już niebawem wszyscy wolni będą  
Z tobą razem i razem ze mną.  
Już niebawem wszystkich śmierć zaskoczy  
Ciebie tak samo, mnie na pewno przeoczy.

Opuścił rękę i zadarł głowę, wbijając pełen napięcia wzrok w ciemność. Usta wykrzywił mu chytry grymas, zachichotał z głębi gardła, jakby to, co tam zobaczył, go rozbawiło.

— Mordeth wie więcej niż wy wszyscy. Mordeth wie. Egwene cofała się z celi, by się wreszcie zatrzymać obok Randa i kraty celi znalazły się zaledwie na skraju światła. Ciemność skryła domokrążcę, nadal jednak słyszeli jego chichot. Mimo



że go nie widział, Rand był przekonany, że Fain wciąż wpatruje się w coś, czego tam nie ma.

Czując, jak przesywa go dreszcz, oderwał palce od rękojeści miecza.

— Światłości! — wychrypiał. — Nadal uważasz, że on się zachowuje tak jak kiedyś?

— Czasami jest z nim lepiej, a czasem gorzej. — Głos Egwene brzmiał niepewnie. — Dzisiaj jest gorzej, znacznie gorzej niż zazwyczaj.

— Ciekawe, co on tam widzi. On oszalał, wpatruje się w kamienny sufit, jakby coś widział pomimo mroku.

„Gdyby tam nie było sklepienia, zagłądałby prosto do komnat kobiet. Tam gdzie jest Moiraine i Zasiadająca na Tronie Amyrlin.”

Znowu przesył go dreszcz.

— On oszalał.

— To nie był dobry pomysł, Rand. — Oglądając się przez ramię w stronę celi, odciągnęła go stamtąd i zniżyła głos, jakby się bała, że Fain podsłuchuje. Ściągał ich chichot domokrażcy.

— Nawet gdyby tu nikt nie zagłądał, nie mogłabym z nim tu zostać i ty chyba też nie powinieneś. Jest w nim dziś coś takiego... — Wciągnęła urywany oddech. — Znam jeszcze jedno miejsce, jeszcze bezpieczniejsze od tego. Nie wspominałam o nim, bo łatwiej było wprowadzić cię tutaj. Oni nigdy nie zajrzą do pokoi kobiet. Nigdy.

— Pokoje kobiet...! Egwene, Fain jest być może obłąkany, ale ty jeszcze bardziej. Nie można się ukryć przed szerszeniami w gnieździe szerszeni.

— Znasz lepsze miejsce? Do której części twierdzy nie może wejść żaden mężczyzna bez zaproszenia kobiety, nawet lord Agelmar? Gdzie jest takie miejsce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy szukać mężczyzny?

— Gdzie jest takie miejsce, w którym z pewnością jest mnóstwo Aes Sedai? To szaleństwo, Egwene.

Obmacując jego tobołki, odezwała się takim tonem, jakby wszystko już zostało postanowione.

— Owiń miecz i łuk w swój płaszcz, to wtedy będzie się wydawało, że niesiesz jakieś moje rzeczy. Chyba nietrudno będzie znaleźć dla ciebie gorszy kaftan i koszulę. Tylko musisz się przygarbić.

— Powiedziałem ci, że tego nie zrobię.

— Upierasz się jak muł, więc możesz z powodzeniem udawać moje zwierzę pociągowe. No, chyba że wolisz zostać tutaj z panem Fainem.

Z czarnych cieni dobiegł ich nabrzmiały chichotem szept Faina.

— Bitwa nigdy nie ma końca, al'Thor. Mordeth wie.

— Miałbym większe szanse, gdybym się zdecydował przeskoczyć mur — mruknął Rand.

Zdjął jednak tobołki z ramienia i idąc za jej radą, zaczął owijać miecz, łuk i kołczan.

Ukryty w mroku Fain wybuchł śmiechem.

— To się nigdy nie skończy, al’Thor. Nigdy.

## WEZWANIE

Samotna w swoich komnatach, w tej części twierzy, którą zamieszkiwały kobiety, Moiraine poprawiła narzucony na ramiona szal, haftowany w skrócone gałązki bluszczu i winorośli, po czym przyjrzała się efektowi w wysokim, oprawionym w ramy lustrze, stojącemu w kącie izby. Gdy popadała w złość, jej wielkie, ciemne oczy nabierały ostrego wyrazu, stając się podobne do oczu sokoła. W tym momencie niemal przebijały srebrzyste szkło na wylot. Szczęśliwym zrządzeniem losu miała ten szal w swoich sakwach, gdy przybyła do Fal Dara. Takie szale, z rozjarzonym, białym Płomieniem Tar Valon pośrodku i długimi frędzlami o barwie, która wskazywała, do których Ajah należy właścicielka — frędzle szala Moiraine były błękitne jak poranne niebo — rzadko noszono poza Tar Valon, a nawet tam z reguły tylko w Białej Wieży. Niewiele w Tar Valon oprócz posiedzeń w Komnacie Wieży stanowiło ceremoniał wymagający zakładania szali, zaś widok Płomienia poza Błyszczącymi Murami potrafił wywoływać popłoch wśród całych rzesz ludzi albo sprowadzać Synów Światłości. Strzała Białego Płaszca mogła się okazać równie śmiertelna dla Aes Sedai jak dla każdego innego człowieka, a Synowie byli znanymi przebiegłymi, by pozwolić Aes Sedai zobaczyć łucznika przed wypuszczeniem strzały, gdy jeszcze mogłaby coś z tym zrobić. Moiraine wcale się nie spodziewała, że będzie nosić szal w Fal Dara, jednakże podczas audjencji u Zasiadającej na Tronie Amyrlin należało przestrzegać pewnych nakazów przyzwoitości.

Była szczupłą, raczej niewysoką, i dzięki typowemu dla wszystkich Aes Sedai gładkiemu licu, na ogół wyglądała na młodszą, niż była w istocie, miała też w sobie władcą grację i opanowanie, za sprawą których potrafiła zawładnąć wszelkim zgromadzeniem. Cechy te, nabyte podczas dorastania w Królewskim Pałacu w Cairhien, bynajmniej nie zagięły, a wręcz nabrały mocy, im dłużej była Aes Sedai. Wiedziała, że dzisiaj będą jej potrzebne jak mało kiedy. Była jednak opanowana, choć tylko na zewnątrz.

„Musiały wyniknąć jakieś kłopoty, bo inaczej nie przybyłaby tu osobiście” — pomyślała bodaj po raz dziesiąty. Ale za tą myślą, kryło się jeszcze tysiąc innych pytań. „Co to za kłopoty i kogo wybrała do swej świty? Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz? Nie wolno dopuścić, by coś się teraz nie powiodło.”

Pierścień Wielkiego Węża na prawej dłoni zalśnił mętnym światłem, gdy dotknęła filigranowego, złotego łańcuszka, zdobiącego jej włosy spływające falami na ramiona. Z łańcuszka zwisał na sam środek czoła mały kamyk barwy czystego błękitu. Wiele kobiet z Białej Wieży wiedziało o sztuczkach, które robiła za pomocą tego kamyka, używając go do koncentracji. Była to zwykła, wypolerowana grudka błękitnego kryształu i jako młoda dziewczyna z jej pomocą pobierała pierwsze nauki, gdy nie miała nikogo, kto mógłby nią kierować. Ta dziewczyna zapamiętała opowieści o *angrealu* i jeszcze potężniejszym *sa'angrealu* — tych baśniowych pozostałościach po wieku Legend, dzięki którym Aes Sedai potrafiły przenosić więcej Jedynej Mocy, niż się dało bez wspomagania — zapamiętała je i uznała, że do przenoszenia niezbędna jest koncentracja. Siostry z Białej Wieży znały niektóre jej sztuczki, podejrzewały ją też o inne, łącznie z nie istniejącymi — przeżyła szok, gdy o nich usłyszała. Za pomocą kamyka dokonywała prostych, niewielkich rzeczy, mimo że czasami przydatnych, takich, które mogło wymyślić sobie dziecko. Jeśli jednak Zasiadającej na Tronie Amyrlin towarzyszyły nie te kobiety, które powinny, wówczas za sprawą wszystkich pogłosek na temat Moiraine, kryształ mógł je mocno wytrącić z równowagi.

Nagle rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Żaden mieszkaniec Shienaru nie pukałby w taki sposób do obcych drzwi, a już z pewnością nie do jej drzwi. Nie odeszła od lustra, dopóki oczy nie odpowiedziały jej spokojem, skrywając w swych ciemnych głębinach wszelką myśl. Dotknęła sakiewki z miękkiej skóry wiszącej u pasa.

„Nieważne, jakie kłopoty wyciągnęły ją z Tar Valon, zapomni o nich, gdy przedstawię jej ten.”

Kolejne łomotanie, jeszcze bardziej natarczywe niż poprzednie, rozległo się, zanim jeszcze zdążyła przejść przez pokój i otworzyć drzwi, obdarzając spokojnym uśmiechem dwie kobiety, które po nią przyszły.

Rozpoznała obydwie. Ciemnowłosa Anaiya w szalu z błękitnymi frędzlami i jasnowłosa Liandrin w swojej czerwieni. Liandrin, młoda nie tylko z wyglądu, piękna, o twarzy jak lalka i drobnych, gniewnych ustach, unosiła właśnie rękę, zamierzając raz jeszcze załomotać. Ciemne brwi i oczy silnie kontrastowały z licznymi warkoczykami barwy miodu, opadającymi jej na ramiona, lecz taka kombinacja nie należała do rzadkości w Tarabonie. Obydwie kobiety przewyższały Moiraine wzrostem, Liandrin o niecałą dłoń.

Nieciekawą twarz Anaiyi przeciął uśmiech, gdy Moiraine otworzyła drzwi. Ten uśmiech dodawał jej nie tylko urody, ale wystarczał za wszystko. Nieomal każdy, do kogo uśmiechnęła się Anaiya, czuł się uspokojony, bezpieczny i wyróżniony.

— Niechaj Światłość cię opromieni, Moiraine. Miło cię znowu zobaczyć. Jak się miewasz? Już tak długo cię nie widziałam.

— Moje serce jest lżejsze dzięki twej obecności, Anaiyo. — Była to bez wąt-

pienia prawda; ucieszyła się, że ma choć jedną przyjaciółkę wśród Aes Sedai, które przybyły do Fal Dara. — Niechaj Światłość cię opromieni.

Liandrin zacisnęła usta i skubnęła rąbek szala.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin żąda, byś się przed nią stawiała, Siostrze.

Jej zimny głos był gniewny. Liandrin wiecznie wyglądała z jakiegoś powodu na niezadowoloną, nie tylko z powodu Moiraine, w każdym razie nie wyłącznie. Krzywiąc się, usiłowała zająrzeć do pokoju ponad ramieniem Moiraine.

— Ta komnata jest otoczona pasem ochronnym. Nie możemy wejść do środka. Dlaczego bronisz się przed swoimi siostrami?

— Bronię się przed wszystkim — odparła bez zająknięcia Moiraine. — Wiele usługujących mi kobiet zżera ciekawość, nie chcę, żeby przetrząsały pokój podczas mojej nieobecności. Aż do teraz nie musiałam nikogo wyróżniać. — Zatrzasnęła za sobą drzwi i teraz wszystkie trzy stały na korytarzu. — Może pójdziemy? Nie można pozwolić, by Amyrlin czekała.

Ruszyła korytarzem, trąkająca Anaiya szła obok niej a Liandrin stała przez chwilę i wpatrywała się w drzwi, jakby się zastanawiała, co Moiraine za nimi ukrywa. Potem jednak pośpiesznie do nich dołączyła. Maszerowała z drugiego boku Moiraine, sztywnymi krokami jak jakaś strażniczka. Anaiya szła spacerowym krokiem, dotrzymując towarzystwa. Stopy odziane w miękkie kamasze zapadały się bezgłośnie w grube dywany o prostych wzorach.

Po drodze dygały przed nimi ubrane w świąteczne stroje służące, wiele dygało jeszcze głębiej niż przed lordem Fal Dara. Trzy Aes Sedai i Zasiadająca na Tronie Amyrlin w twierdzy, takiego zaszczytu żadna z tych kobiet nie spodziewała się zaznać za swego życia. Z komnat wyległo kilka kobiet ze szlacheckich rodów, one też się kłaniały, czego z pewnością nie zrobiłyby przed lordem Agelmarem. Moiraine i Anaiya uśmiechały się i kiwały głowami w odpowiedzi na te oznaki szacunku, jednakowo w stronę służących, jak i szlachetnie urodzonych. Liandrin wszystkie ignorowała.

Naturalnie spotykały tu wyłącznie kobiety. Żaden mężczyzna, który miał więcej niż dziesięć lat, nie mógł wejść do pokoi kobiet bez pozwolenia albo zaproszenia, tylko kilku małych chłopców biegało i bawiło się na tych korytarzach. Niezdarnie przyklekali na jedno kolano, idąc w ślad za swymi dygającymi głęboko siostrami. Anaiya rozdawała uśmiechy i mierzwiła czupryny na małych główkach.

— Tym razem, Moiraine — powiedziała Anaiya — wyjechałaś z Tar Valon na zbyt długo. Stanowczo za długo. Tar Valon tęskni za tobą. Twoje siostry za tobą tęsknią. A poza tym jesteś potrzebna w Białej Wieży.

— Niektóre z nas muszą pracować w świecie — odparła łagodnie Moiraine. — Białą Wieżę pozostawiam tobie, Anaiyo. Ale wy tam w Tar Valon wiecie więcej o świecie niż ja. Mnie często umyka nawet to, co się działo tam, gdzie byłam poprzedniego dnia. Jakie przywozicie wieści?

— Trzech kolejnych fałszywych Smoków! — Liandrin wypluła z siebie te

słowa. — Pustoszą ziemię Saldaei, Murandy i Łzy. A tymczasem wy, Niebieskie, uśmiechacie się i nic nie mówicie, uparcie trwając przy przeszłości.

Anaiya uniosła brew, a Liandrin zamknęła gwałtownie usta, głośno prychnając.

— Trzech — zadumała się cicho Moiraine. Jej oczy załśniły na moment, lecz szybko to ukryła. — Trzech w ciągu ostatnich trzech lat, a teraz trzech jednocześnie.

— Tymi trzema trzeba się będzie zająć, tak samo jak poprzednimi. Całym tym męskim robactwem i obdartą tłuszczą, która wędruje za jego sztandarami.

Moiraine prawie ubawiła pewnością w głosie Liandrin. Prawie. Za dużo wiedziała o realiach, za dużo o możliwościach.

— Czy te kilka miesięcy wystarczyło, byś zapomniała, Siostrze? Ostatni fałszywy Smok praktycznie rozdarł Ghealdan na kawałki, zanim jego armia, nawet jeśli złożona z samej obdartej tłuszczy, została pokonana. Tak, Logain już został dowieziony do Tar Valon, jest poskromiony i niczemu nie zagraża, jak przypuszczam, ale kilka naszych sióstr zginęło, gdy próbowały go pojmać. Śmierć bodaj jednej naszej siostry stanowi dla nas większą stratę, niż możemy znieść, a straty w Ghealdan były jeszcze większe. Tamtych dwóch przed Logainem nie potrafiło przenieść Mocy, a mimo to ludzie w Kandorze i Arad Doman znakomicie ich pamiętają. Pamiętają spalone wsie i ludzi poległych w walce. Czy świat poradzi sobie z trzema naraz? Ilu zgromadzi się pod ich sztandarami? Nigdy nie było trudno o wyznawców kogoś, kto twierdził, że jest Smokiem Odrodzonym. Jak wielkie będą tym razem wojny?

— Sprawa nie wygląda aż tak rozpaczliwie — powiedziała Anaiya. — Na ile się orientujemy, tylko ten z Saldaei potrafi przenieść Moc. Nie miał czasu, by zgromadzić wielu wyznawców i nasze siostry już tam pojechały, by się nim zająć. Mieszkańcy Łzy nękają fałszywego Smoka i jego wyznawców, ukrytych na terenach Haddon Mirk, natomiast tamten z Murandy już dał się zakuć w łańcuchy. — Wydała z siebie krótki śmiech. — I pomyśleć, że to właśnie mieszkańcy Murandy poradzili sobie tak szybko ze swoim fałszywym Smokiem. Zapytasz takiego, to nawet ci nie powie, że pochodzi z Murandy, tylko że z Lugard, Illian albo, że jest człowiekiem jakiegoś lorda czy lady. A jednak ze strachu, że któryś z sąsiadujących z nimi krajów mógłby mieć wymówkę do dokonania inwazji, rzucili się na swego fałszywego Smoka nieledwie w tym samym momencie, w którym otwarł usta, żeby się ogłosić.

— A jednak — zauważyła Moiraine — nie należy lekceważyć faktu, że aż trzech objawiło się w jednym czasie. Czy któraś z moich sióstr była w stanie sformułować Przepowiednię?

Szansa na to była niewielka, od wielu stuleci mało która Aes Sedai wykazywała choć odrobinę tego Talentu, choćby najmniejszą — więc nie była zdziwiona, gdy Anaiya potrząsnęła głową. Nawet jej trochę ulżyło.

Dotarły do skrzyżowania korytarzy jednocześnie z lady Amalimą. Wykonała

głęboki ukłon, rozpościerając swoje jasnozielone spódnice.

— Chwała Tar Valon — wymamrotała. — Chwała Aes Sedai.

Siostrze lorda Fal Dara należało się coś więcej niż zwykłe skinienie głową. Moiraine ujęła dłoń Amalisy i wyprostowała ją.

— Tobie należy się chwała, Amaliso. Powstań, Siostrze.

Amalisa wyprostowała się z gracją, rumieniec wykwitł na twarzy. Nigdy w życiu nie była w Tar Valon i nazwanie Siostrą przez Aes Sedai stanowiło wielki zaszczyt nawet dla niej, z jej pochodzeniem. W średnim wieku, niewysoka i ciemna, obdarzona była dojrzałą urodą, podkreśloną dzięki barwie policzków.

— Czuję się zaszczycona twą obecnością, Moiraine Sedai.

Moiraine uśmiechnęła się.

— Jak długo już się znamy, Amaliso? Czy muszę cię nazywać lady Amalisą, jakbyśmy nigdy nie siadały wspólnie do herbaty?

— Oczywiście że nie. — Amalisa odwzajemniła uśmiech.

Na jej twarzy malowała się taka sama siła jak u jej brata, nie osłabiona bynajmniej łagodniejszą linią policzków i podbródka. Niektórzy powiadali, że Agelmar, twardy i nieugięty wojownik, nie zawsze potrafił się przeciwstawić swej siostrze.

— Jednak odkąd jest tu Zasiadająca na Tronie Amyrlin... Gdy król Easar odwiedza Fal Dara, prywatnie nazywam go *magami*, czyli wujaszek, zupełnie jak wtedy, gdy byłam mała i on sadzał mnie sobie na ramiona, ale przy ludziach powinno być inaczej.

Anaiya syknęła z rozdrażnieniem.

— Etykieta jest czasami niezbędna, jednakże ludzie często jej nadużywają. Proszę, nazywaj mnie Anaiyą, a ja będę cię nazywała Amalisą, o ile mi pozwolisz.

Kątem oka Moiraine dostrzegła Egwene, w głębi bocznego korytarza, znikającą pośpiesznie za rogiem. Tuż za nią, jakby przylepiona do jej pięt, wlokła się zgarbiona postać, ubrana w skórzany kaftan, ze spuszczoną głową i rękoma pełnymi jakichś tobołków. Moiraine pozwoliła sobie na nieznacznym uśmiech, który natychmiast ukryła.

„Jeśli ta dziewczyna wykaże tyle samo inicjatywy w Tar Valon — pomyślała z satysfakcją — wówczas któregoś dnia zasiądzie na Tronie Amyrlin. O ile nauczy się kontrolować tę zdolność. O ile zostanie jeszcze jakiś Tron Amyrlin, na którym będzie mogła zasiąść.”

Moiraine skupiła znów swą uwagę na pozostałych. Liandrin właśnie kończyła swą kwestię.

— ... i z przyjemnością skorzystam z okazji, by poznać wasz kraj.

Na jej twarzy widniał teraz uśmiech, szczerzy i nieomal dziewczęcy, a głos brzmiał przyjaźnie.

Moiraine zachowała niewzruszoną twarz, gdy Amalisa przedłużała zaproszenie, by dołączyły do niej i dworek w jej prywatnym ogrodzie. Liandrin potrakto-

wała niezwykle ciepło tę propozycję. Miała niewiele przyjaciółek, ani jednej poza Czerwonymi Ajah.

„Z pewnością żadnej spoza Aes Sedai. Prędzej zaprzyjaźniłaby się z jakimś mężczyzną albo trollokiem.”

Moiraine nie była pewna, czy Liandrin dostrzeże istotną różnicę między mężczyznami a trollokami. Nie była pewna, czy taką różnicę zna w ogóle jakaś Czerwona Ajah.

Anaiya wyjaśniła, że w tym momencie muszą dotrzymać towarzystwa Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

— Naturalnie — odparła Amalisa. — Niechaj Światłość ją opromienia, a Stwórca ma w swej opiece. Później zatem się spotkamy.

Stała wyprostowana, skłoniła jedynie głowę, kiedy odchodziły.

Po drodze Moiraine popatrywała na Liandrin, starając się jednak ani przez moment nie okazywać otwartej ciekawości. Aes Sedai o włosach barwy miodu patrzyła prosto przed siebie, różane wargi wydeło zamyślenie. Wydawało się, że zapomniała o Moiraine i Anaiyi.

„Co ona zamierza?”

Anaiya najwyraźniej niczego nie zauważyła, ona jednak zawsze akceptowała ludzi, zarówno w tym, czym byli, jak i w tym, kim chcieli być. Moiraine wiecznie zdumiewało, że Anaiya tak dobrze sobie radzi w Białej Wieży, lecz te, które w swym postępowaniu kierowały się przebiegłością, najwyraźniej poczytywały jej otwartość, uczciwość i gotowość do akceptacji całego otoczenia za podstępny fortel. Były zupełnie zbite z pantałyku, gdy się okazywało, że Anaiya naprawdę mówi to, co myśli i myśli to, co mówi. Ponadto potrafiła zawsze dotrzeć do sedna każdej sprawy. I akceptowała to, co widziała. Pogodnym tonem kontynuowała przekazywanie wieści.

— Nowiny z Andoru są dobre i złe. Zamieszki uliczne w Caemlyn wygasły wraz z nadejściem wiosny, ale dużo się mówi, o wiele za dużo, obwiniając Królową, a także Tar Valon, o zbyt długą zimę. Morgase utrzymuje się na tronie z większym trudem niż w ubiegłym roku, ale nadal go utrzymuje i najpewniej nie straci, dopóki Gareth Bryne będzie Kapitanem-Generałem Gwardii Królewskiej. A lady Elayne, Dziedziczka Tronu i jej brat, lord Gawyn, przybyli bezpiecznie do Tar Valon, by rozpocząć nauki. W Białej Wieży obawiano się już, że ten obyczaj zostanie zerwany.

— To niemożliwe, dopóki w ciele Morgase kryje się choć jedno tchnienie — powiedziała Moiraine.

Liandrin drgnęła nieznacznie, jakby właśnie się obudziła.

— Módl się, by nadal miała to tchnienie. Świtę towarzyszącą Dziedzicze Tronu ścigali do samej rzeki Erinin Synowie Światłości. Do samych mostów Tar Valon. Ich rzesze nadal obozują pod murami Caemlyn, czyhając na każdą możliwość siania niezgody, a w samym Caemlyn wielu jest takich, którzy bacznie



nadstawiają uszu.

— Być może najwyższy to czas, by Morgase nareszcie nauczyła się trochę uważać — westchnęła Anaiya. — Świat z każdym dniem staje się coraz bardziej niebezpieczny, nawet dla królowej. A może szczególnie dla królowej. Zawsze była uparta. Pamiętam, jak przybyła do Tar Valon jako młoda dziewczyna. Nie posiadała zdolności, by móc zostać prawdziwą siostrą i to napełniało ją wielką goryczą. Czasami wydaje mi się, że wywiera nacisk na córkę właśnie z tego powodu, niepomna, czego chce dziewczyna.

Moiraine parsknęła lekceważąco.

— Elayne urodziła się z iskrą, tu nie było co wybierać. Morgase nie mogła ryzykować, by dziewczyna umarła z braku wyszkolenia, nawet gdyby wszyscy Synowie Światłości z całej Amadicii mieli rozbić obozowiska pod Caemlyn. Rozkazałaby Garethowi Bryne'owi i Gwardii Królewskiej przemocą wyciąć drogę do Tar Valon, a Gareth Bryne zrobiłby to nawet w pojedynkę, gdyby musiał.

„Ale i tak musi zachować bliższe dane o potencjale dziewczyny w tajemnicy. Czy lud Andoru świadomie zaakceptowałby Elayne na Lwim Tronie, w następstwie Morgase, gdyby się o tym dowiedział? Nie królową, szkoloną zgodnie z obyczajem w Tar Valon, lecz prawdziwą Aes Sedai?”

Wszelkie zapiski historyczne wspominały o zaledwie garstce królowych, które miały prawo do tytułu Aes Sedai, i tych kilka, które dopuściły, by o tym wiadano, żałowały potem przez całe życie. Poczowała lekki smutek. Zanosilo się na zbyt wiele wydarzeń, by obdarzać wsparciem, lub nawet tylko zainteresowaniem, jeden kraj i jeden tron.

— Co jeszcze, Anaiyo?

— Musisz wiedzieć, że w Illian ogłoszono Wielkie Polowanie na Róg, po raz pierwszy od czterystu lat. Mieszkańcy Illian twierdzą, że zbliża się Ostateczny Bój — Anaiya zadrżała przelotnie, ale mówiła dalej, nie przerywając — i że należy znaleźć Róg Valere przed ostateczną bitwą z Cieniem. Już ciągną tam ludzie ze wszystkich krain, każdy chce stać się częścią legendy, każdy pragnie znaleźć Róg. Murandy i Altara stąpają, rzecz jasna, na palcach, uważając, że to wszystko stanowi parawan jakichś działań przeciwko nim. Pewnie właśnie dzięki temu mieszkańcy Murandy złapali swojego fałszywego Smoka tak szybko. W każdym razie bardowie będą mogli dodać wiele nowych opowieści do swoich cykli. Oby Światłość sprawiła, żeby to były tylko opowieści.

— Być może nie takie opowieści, jakich się spodziewają — stwierdziła Moiraine.

Jej twarz pozostała spokojna, nawet gdy Liandrin obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

— Tak przypuszczam — powiedziała pogodnie Anaiya. — Opowieści, jakich się spodziewają najmniej, będą dokładnie pasowały do cykli. A poza tym mam do zaferowania tylko same plotki. Lud Morza jest czymś poruszony, ich statki

śmigają od portu do portu, ledwie się zatrzymując. Siostry z wysp mówią, że Coramoor, ich Wybrany, nadchodzi, ale nic więcej nie chcą dodać. Wiesz, jak pilnie Atha'an Miere strzegą tajemnic Coramoor przed obcymi i pod tym względem nasze siostry swoim myśleniem przypominają bardziej Lud Morza niż Aes Sedai. Aielowie też wyraźnie się burzą, również nikt nie wie, dlaczego. Nikt nigdy nie wie, o co chodzi Aielom. Na szczęście brak oznak, by znowu chcieli przekroczyć Grzbiet Świata, Światłości dzięki. — Westchnęła i pokręciła głową. — Czego ja bym nie dała, by mieć choć jedną siostrę wywodzącą się z Aielów. Tylko jedną. Za mało o nich wiemy.

Moiraine roześmiała się.

— Czasami mam wrażenie, że ty należysz do Brązowych Ajah, Anaiyo.

— Równina Almoth — powiedziała Liandrin, sama wyraźnie zdziwiona, że coś jej się wymknęło z ust.

— To już prawdziwa plotka, siostró — odparła Anaiya. — Garść pogłosek posłyszanych tuż przed naszym wyjazdem z Tar Valon. Rzekomo na Równinie Almoth, a być może i na Głowie Tomana toczą się walki. Jak powiadam, rzekomo. Te pogłoski nie są pewne. To plotki o plotkach. Wyjechałyśmy, zanim dowiedziano się czegoś więcej.

— To by pewnie dotyczyło Tarabonu i Arad Doman — powiedziała Moiraine i potrząsnęła głową. — Kłócili się o Równinę Almoth od blisko trzystu lat, ale nigdy nie doszło do otwartej walki.

Spojrzała na Liandrin, od Aes Sedai oczekiwano, że będą wyzbywały się więzów lojalności wobec swych dawnych krajów i władców, mało która jednak wypełniała do końca ten nakaz. Trudno było nie interesować się losami własnej ojczyzny.

— Czemu teraz mieliby...?

— Dość tej próżnej gadaniny — wtrąciła gniewnie kobieta o włosach barwy miodu. — Zasiadająca na Tronie Amyrlin czeka na ciebie, Moiraine.

Trzema szybkimi krokami wyprzedziła pozostałe i zamaszystym ruchem otworzyła wysokie, dwuczęściowe drzwi.

— Z tobą Amyrlin nie będzie strzępiła języka.

Mimo woli dotykając mieszka u pasa, Moiraine minęła Liandrin, skinieniem głowy dziękując jej za przytrzymanie drzwi. Nawet się nie uśmiechnęła na widok błysku gniewu na twarzy Liandrin.

„Co knuje ta paskudna dziewczyna?”

Posadzki w przedsiönku pokrywało kilka warstw jaskrawych dywanów, sam pokój urządzono ze smakiem, wstawiając doń kilka krzeseł, wyściełanych ław i niewielkich stolików, z surowego lub tylko wypolerowanego drewna. Przy wysokich otworach strzelniczych wisały brokatowe kotary, dzięki czemu bardziej przypominały okna. Na kominkach nie płonął ogień, dzień był ciepły i chłód Shienaru miał nadejść nie wcześniej jak po zmroku.

Zastała tam zaledwie kilka Aes Sedai ze świty Amyrlin. Verin Mathwin i Serafelle, z Brązowych Ajah, nawet nie podniosły głów, gdy Moiraine weszła do środka. Serafelle czytała zachłannie jakąś starą księgę, oprawioną w zniszczoną i spłowiałą skórę, ostrożnie przewracając porwane stronicę, natomiast pulchna Verin siedziała na skrzyżowanych nogach pod oknem strzelniczym, trzymała mały kwiatek pod światło i precyzyjną dłonią wprowadzała notatki oraz szkice do książki wspartej na kolanie. Obok niej na podłodze stał otwarty kałamarz, na podółku miała cały stos kwiatów. Brązowe siostry rzadko interesowały się czymś więcej niż poszukiwaniem wiedzy. Moiraine zastanawiała się czasami, czy one w ogóle wiedzą, co się dzieje na świecie, lub choćby nawet tuż przed ich nosem.

Pozostałe trzy kobiety, znajdujące się w komnacie, odwróciły się, lecz żadna nie raczyła podejść do Moiraine i tylko na nią patrzyły. Jednej z nich, szczupłej kobiety z Żółtych Ajah, nie znała, zbyt mało czasu spędzała w Tar Valon, by znać wszystkie Aes Sedai, mimo że ich liczba nie była już taka duża jak w przeszłości. Znała natomiast dwie pozostałe. Carlinya miała skórę tak bladą i obyczaję tak zimne, jak białe frędzle jej szala, w każdym calu stanowiąc dokładne przeciwieństwo ciemnej, zapalczącej Alanny Mosvani, z Zielonych Ajah, obydwie jednak stały i wpatrywały się w nią, nic nie mówiąc, nie zdradzając niczego wyrazem twarzy. Alanna energicznym ruchem zarzuciła szal wokół swej szyi, Carlinya ani drgnęła. Szczupła, Żółta siostra odwróciła się z wyraźnym żalem.

— Niechaj Światłość was opromieni, Siostry — powitała je Moiraine.

Żadna nie odpowiedziała. Nie była pewna, czy Serafelle albo Verin w ogóle ją usłyszały.

„Gdzie są pozostałe?”

Nie musiały tu przychodzić wszystkie — większość odpoczywała w swoich pokojach, nabierając sił po podróży — ale Moiraine stała już na skraju wytrzymałości, od tych wszystkich pytań, które kłębiły się w jej głowie, a których nie mogła zadać. Żadne z nich jednak nie ujawniło się na jej twarzy.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i pojawiła się Leane, bez swej złotej laski. Opiekunka Kronik dorównywała wzrostem większości mężczyzn, zwiwna i pełna gracji, wciąż piękna, obdarzona miedzianą skórą i krótkimi, ciemnymi włosami. Na ramionach, zamiast szala, miała zarzuconą niebieską stułę, ponieważ w Komnacie Wieży zasiadała jako Opiekunka, a nie przedstawicielka swoich Ajah.

— Jesteś już — powiedziała dźwięcznie do Moiraine i gestem dłoni wskazała drzwi za sobą. — Chodź, Siostro. Zasiadająca na Tronie Amyrlin czeka.

Mówiła szybkimi, urywanymi sylabami, jak zawsze, niezależnie od tego, czy była zła, radosna czy podniecona. Moiraine weszła w ślad za Leane do środka, zastanawiając się, co teraz czuje Opiekunka. Leane zamknęła za nimi drzwi, które szcęknęły głucho, niczym wrota celi.

Amyrlin siedziała przy szerokim stole stojącym pośrodku wielkiego dywa-

nu, na blacie stała spłaszczona, złota bryła wielkości kufra podróżnego, gęsto inkrustowana srebrem. Stół był masywny, o krótkich nogach, jednak wydawał się uginać pod ciężarem, z podniesieniem którego miałoby trudności dwóch silnych mężczyzn.

Na widok złotej bryły Moiraine musiała się mocno wysilić, żeby zachować niewzruszoną twarz. Ostatnim razem, gdy ją widziała, była zamknięta bezpiecznie w skarbcu Agelmara. Miała zamiar sama o niej powiedzieć Amyrlin, gdy się dowiedziała o jej przybyciu. To, że już była w jej posiadaniu, stanowiło błąhostkę, wprawiającą jednak w zakłopotanie. Mogło się okazać, że wydarzenia wymykają się z jej rąk.

Wykonała zamaszty, głęboki ukłon i zgodnie z obowiązującym ceremoniałem powiedziała:

— Stawiam się zgodnie z twym wezwaniem, Matko.

Amyrlin wyciągnęła dłoń i Moiraine ucałowała pierścień Wielkiego Węża, nie różniący się niczym od pierścieni innych Aes Sedai. Wyprostowała się i zaczęła mówić nieco bardziej towarzyskim tonem, dbając jednak o to, by nie okazać zbytnej poufałości. Pamiętała, że za jej plecami, obok drzwi stoi Opiekunka.

— Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż, Matko. Zasiadająca urodziła się we Łzie, w rodzinie prostego rybaka, nie zaś gdzieś na dworze i nazywała się Suan Sanche, jakkolwiek mało kto ją tak nazywał albo tak o niej myślał, i to od dziesięciu lat, kiedy została wyniesiona z Komnaty Wieży na tron. Była Zasiadającą na Tronie Amyrlin i dość na tym. Szeroką stulę, otulającą jej ramiona, pokrywały pasy w barwach siedmiu Ajah; Zasiadająca należała do wszystkich Ajah i jednocześnie do żadnych z osobna. Zaledwie średniego wzrostu, raczej przystojna niż piękna, miała w twarzy siłę, która tam była jeszcze przed jej wyniesieniem na tron, siłę dziewczyny, wywodzącej się z ulic Maule, dzielnicy portowej Łzy, a pod wpływem jej czystego, błękitnego spojrzenia królowie i królowe, a nawet Kapitan Komandor Synów Światłości, spuszczały oczy. W obecnej chwili w jej oczach widać było napięcie, usta zacisnęły się w nieznanym dotychczas grymasie.

— Wezwaliśmy wiatry, by przyspieszyć nasze statki na Erinin, Cóрко, a nawet zawracałyśmy prądy, by nas wspomagały. — Zasiadająca mówiła głębokim i smutnym głosem. — Widziałam powodzie, które spowodowałyśmy we wsiach położonych nad brzegami rzeki i Światłość tylko wie, cośmy zrobiły z pogodą. Nie zdobyłyśmy sobie ludzkich serc uczynionymi przez nas zniszczeniami i marnotrawieniem płonów. Wszystko, by dotrzeć tu najszybciej jak się da.

Jej wzrok powędrował w stronę złotej bryły, uniosła rękę, jakby miała ją dotknąć, ale zamiast tego rzekła:

— W Tar Valon jest Elaida, Cóрко. Przybyła pospołu z Elane i Gawynem.

Moiraine czuła za plecami Leane, jak zawsze milcząca w obecności ich przywódczyni. Na pewno jednak obserwowała i słuchała uważnie.

— Dziwi mnie to, Matko — powiedziała ostrożnie. — Nie jest to pora, by Morgase pozostawała bez doradzającej jej Aes Sedai.

Morgase należała do tych niewielu władczyń, które otwarcie przyznawały, że korzystają z rad Aes Sedai, nieomal wszyscy mieli taką doradczynię, ale niewielu to zdradzało.

— Elaida nalegała, Córko, i wątpię czy Morgase, choć to przecież królowa, umie przekonać Elaide, gdy ta zechce postawić na swoim. Być może zresztą tym razem wcale nie chciała. Elayne dysponuje potencjałem, jakiego nigdy nie widziałam. Już wykazuje postępy. Czerwone siostry nadymają się jak te ryby zwane purchawkami. Moim zdaniem dziewczyna nie popiera ich sposobu myślenia, ale jest jeszcze młoda, więc kto wie. Nawet jeśli nie uda im się jej ukorzyć, to nie będzie miało większego znaczenia. Elayne być może zostanie najpotężniejszą Aes Sedai od tysiąca lat, a to właśnie Czerwone Ajah ją odnalazły. Dzięki tej dziewczynie cieszą się teraz sporym poważaniem w Komnacie.

— Sprowadziłam z sobą do Fal Dara dwie młode kobiety, Matko — powiedziała Moiraine. — Obydwie pochodzą z Dwu Rzek, gdzie wciąż silna jest krew Manetheren, jakkolwiek one nawet nie pamiętają, że kiedyś istniała kraina zwana Manetheren. Stara krew śpiewa w Dwu Rzekach, Matko, i to głośno. Egwene, wieśniaczka, jest co najmniej równie silna jak Elayne. Poznałam Dziedziczkę Tronu, więc wiem. Jeśli zaś idzie o tę drugą, Nynaeve, to była ona Wiedzącą w ich wsi, jednakże nie jest to zwykła dziewczyna. To chyba coś znaczy, iż mimo młodego wieku tamtejsze kobiety wybrały ją na Wiedzącą. Gdy już nauczy się panować świadomie nad tym, co teraz robi bezwiednie, stanie się równie silna jak pozostałe w Tar Valon. Dzięki szkoleniu zabłyśnie niczym ognisko obok świec, jakim są Elayne i Egwene. I nie ma możliwości, by te dwie wybrały Czerwone Ajah. Mężczyźni je bawią i jednocześnie drażnią, ale one czują do nich sympatię. Z łatwością zneutralizują wszelkie wpływy, jakie Czerwone Ajah zdobyły w Białej Wieży dzięki znalezieniu Elayne.

Amyrlin skinęła głową, jakby to wszystko nie wywarło na niej wrażenia. Ze zdziwienia Moiraine uniosła brwi, zanim zdążyła się opanować i wygładzić rysy. Było to przedmiotem wiecznych zmartwień w Komnacie Wieży, że z każdym rokiem znajdowano coraz mniej dziewcząt nadających się do wyszkolenia w korzystaniu z Jedynej Mocy, a jeszcze mniej znajdowano takich, które miały do tego wrodzoną zdolność. Gorsze jeszcze niż strach przed tymi, którzy winili Aes Sedai za Pęknięcie Świata, gorsze niż nienawiść Synów Światłości, gorsze nawet niż działania Sprzymierzeńców Ciemności, było to przerzedzanie się szeregów i coraz rzadsze umiejętności. Korytarze Białej Wieży, na których niegdyś panował tłok, wyludniały się i to co kiedyś z łatwością osiągnano za pomocą Jedynej Mocy, w czasach obecnych uzyskiwało się jedynie za sprawą najwyższych wysiłków, o ile w ogóle.

— Elaida miała jeszcze jeden powód, by przybyć do Tar Valon, Córko. Dla

pewności posłała sześć gołębi z tą samą wiadomością. Otrzymałam ją, a moge się tylko domyślać, do kogo jeszcze w Tar Valon Elaida tę wiadomość wysłała, a potem przybyła we własnej osobie. Powiedziała w Komnacie Wieży, że igrasz z pewnym młodym człowiekiem, który jest *ta'veren* i na dodatek niebezpiecznym. Był w Caemlyn, zeznała, ale gdy wreszcie dotarła do gospody, w której się zatrzymał, odkryła, żeś go porwała.

— Ludzie z tej gospody służyli nam dobrze i wiernie, Matko. Jeśli skrzywdziła któregoś z nich. . .

Moiraine nie potrafiła ukryć ostrego tonu i usłyszała, jak Leane porusza się niespokojnie. Nikt nie przemawiał do Amyrlin takim tonem, nawet żaden król z wysokości swego tronu.

— Winnaś wiedzieć, Córko — powiedziała oschle Amyrlin — że Elaida nie krzywdzi nikogo z wyjątkiem tych, których uzna za niebezpiecznych albo tych biednych głupców, którzy próbują przenieść Jedyńą Moc. Albo takich, którzy zagrażają Tar Valon. Pozostali, nie należący do Aes Sedai, w jej przypadku mogą być równie dobrze polami na planszy do gry w kamyki. Na szczęście pewien karczmarz, niejaki pan Gill, o ile dobrze pamiętam, najwyraźniej darzy Aes Sedai atencją, tak więc odpowiedział zadowolająco na jej pytania. Prawdę mówiąc, Elaida dobrze się o nim wyrażała. Więcej jednak mówiła o tym młodzieńcu, którego stamtąd zabrałaś. Bardziej niebezpieczny niż jakikolwiek mężczyzna od czasu Artura Hawkinga, powiedziała. Ona bywa zdolna do formułowania Przepowiedni, jak wiesz, i jej słowa wywarły odpowiednie wrażenie na Komnacie.

Przez wzgląd na Leane Moiraine przemówiła najpotulniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. Nie był bardzo zgodny, ale starała się jak mogła.

— Towarzyszy mi tutaj trzech młodych mężczyzn, Matko, lecz żaden z nich nie jest królem i mocno wątpię, by marzył kiedykolwiek o świecie zjednoczonym pod jedną władzą. Nikt nie podzielał marzeń Artura Hawkinga od czasów Wojny Stu Lat.

— Tak, Córko. Młodzi wieśniacy, wiem to od lorda Agelmara. Jednakże jeden z nich to *ta'veren*. — Oczy Amyrlin powędrowały znowu do płaskiej skrzynki. — W Komnacie postanowiono, iż winnaś się udać w odosobnienie, celem odbycia kontemplacji. Zaproponowała to jedna z Delegatesk w imieniu Zielonych Ajah, przy czym dwie inne kiwały z aprobatą, gdy tamta przemawiała.

Leane wydała z siebie odgłos obrzydzenia a może niepokoju. Zawsze trzymała się na uboczu, kiedy mówiła Zasiadająca na Tronie Amyrlin, ale tym razem Moiraine знаła przyczynę jej reakcji. Od tysiąca lat Zielone Ajah żyły w sojuszu z Błękitnymi, od czasów Artura Hawkinga przemawiały jednym głosem.

— Nie mam ochoty plewić grządek w jakiejś dalekiej wiosce, Matko.

„I nie będę tego robić, niezależnie od postanowień Komnaty Wieży.”

— Padła też propozycja, również z ust Zielonych, że na czas odosobnienia winnaś być oddana pod opiekę Czerwonych Ajah. Czerwone Delegateski udawa-

ły zdziwienie, lecz przypominały rybołowy, które wiedzą, że nic nie strzeże ich ofiary. — Amyrlin prychnęła z pogardą. — Czerwone wyznały, iż są niechętnie brani pod opiekę kogoś, nie należącego do ich Ajah, stwierdziły jednak, że postąpią zgodnie z wolą Komnaty.

Moiraine wbrew sobie zadrżała.

— To byłoby... bardzo przykre, Matko.

Gorzej niż przykre, o wiele gorzej, Czerwone z nikim nie obchodziły się łagodnie. Tę myśl stanowczo odsunęła na później.

— Matko, nie rozumiem, skąd ten sojusz Zielonych i Czerwonych. Ich przekonania, stanowisko względem mężczyzn, poglądy na nasze cele jako Aes Sedai, są całkiem rozbieżne. Czerwone i Zielone nie potrafią nawet z sobą rozmawiać, by zaraz nie wybuchnąć krzykiem.

— Wszystko się zmienia, Córko. Jestem piątą z rzędu Błękitną Ajah wyniesioną na Tron Amyrlin. Być może one uważają, że zbyt wiele nas było albo że sposób myślenia Błękitnych nie pasuje już do świata pełnego fałszywych Smoków. Po tysiącu lat wiele rzeczy się zmieniło.

Zasiadająca na Tronie skrzywiła się i zaczęła mówić jakby do siebie.

— Stare mury słabną, padają stare bariery. — Otrząsnęła się i jej głos nabrał siły. — Sformułowano jeszcze jedną propozycję, taką, która do dziś cuchnie niczym śnięta ryba leżąca tydzień w sieciach. Jako że Leane należy do Błękitnych Ajah i ja również się z nich wywodzę, stwierdzono, że skoro mają mi towarzyszyć dwie Błękitne Siostry, to w sumie przedstawicielek Błękitnych Ajah będzie aż cztery. Tę propozycję rzucono mi w Komnacie prosto w twarz, w sposób jakby rozmawiały o naprawie kanałów ściekowych. Przeciwno mnie wystąpiły dwie Białe Siostry i dwie Zielone. Żółte coś między sobą szemrały, a potem nie chciały się wypowiedzieć ani na tak, ani na nie. Jeszcze jedno nie, a twoich sióstr, Anaiyi i Maigan, nie byłoby tutaj. Mówiono nawet otwarcie, że wcale nie powinnam opuszczać Białej Wieży.

Moiraine poczuła jeszcze większy wstrząs niż na wieść, że Czerwone Ajah chcą ją pochwycić w swe ręce. Opiekunka Kronik, niezależnie od Ajah, z których się wywodziła, przemawiała jedynie w imieniu Zasiadającej na Tronie Amyrlin, a Amyrlin przemawiała w imieniu wszystkich Aes Sedai i wszystkich Ajah. Tak to zawsze było i nikt nigdy nie proponował, by było inaczej, nawet w najczarniejszych chwilach Wojen z Trollokami, nawet wówczas, gdy armie Artura Hawkinga wzięły do niewoli wszystkie Aes Sedai, które ocalały w Tar Valon. A nade wszystko Zasiadająca na Tronie Amyrlin była po prostu Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Każda Aes Sedai była obowiązana okazywać jej posłuszeństwo. Nikt nie mógł kwestionować tego, co robiła ani dokąd chciała się udać. Ta propozycja stanowiła występki przeciwko obyczajom i prawom liczącym sobie trzy tysiące lat.

— Kto by się poważył, Matko?

Odpowiedział jej gorzki śmiech.

— Prawie każdy, Córko. Zamieszki w Caemlyn. Zwołanie Wielkiego Polowania, bez powiadomienia aż do czasu proklamacji. Fałszywe Smoki wyrastające niczym czerwonodzwonki po deszczu. Ginać całe narody a jeszcze większe rzesze szlachetnie urodzonych biorą udział w Grze Rodów niż w czasach, gdy Artur Hawking położył kres ich knowaniom. A co najgorsze, każda z nas wie, że Czarny znowu się obudził. Pokaż mi siostrę, która nie sądzi, iż Biała Wieża utraciła kontrolę nad zdarzeniami, jeśli nie jest Brązową Ajah, to jest to martwa siostra. Czas wydaje się dla nas kurczyć, Córko. Czasami wydaje mi się, że nieomal to czuję.

— Jak sama powiedziałaś, Matko, wszystko się zmienia. Jednakże za Lśniącymi Murami czają się jeszcze większe zagrożenia niż w ich wnętrzu.

Zasiadająca na Tronie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w oczy Moiraine, potem wolno skinęła głową.

— Zostaw nas same, Leane. Porozmawiam z mą Córką Moiraine w cztery oczy.

Wahanie trwało zaledwie chwilę, po czym Leane powiedziała:

— Jak sobie życzysz, Matko.

Moiraine czuła jej zdziwienie. Zasiadająca na Tronie odbywała niewiele audiencji bez obecności Strażniczki, z pewnością nie z udziałem siostry, która zasłużyła na karę.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. W przedsionku nie zdradziła ani słowa, które padło w środku, jednakże wieść, że Moiraine została sama z Amyrlin rozniosła się wśród Aes Sedai w Fal Dara niczym dziki ogień po suchym lesie i dała początek spekulacjom.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Amyrlin wstała, a Moiraine poczuła przelotne śwędzenie skóry — druga kobieta przenosiła Jedyńą Moc. Przez chwilę wydawało się, że Amyrlin otacza nimb jaskrawego światła.

— Nie wiem, czy któraś z nich zna tę twoją starą sztuczkę — powiedziała, lekko dotykając błękitnego kamyka zdobiącego czoło Moiraine — ale większość z nas ciągle jeszcze używa różnych sztuczek zapamiętanych z dzieciństwa. W każdym razie nikt już nie usłyszy, o czym teraz rozmawiamy.

Nagle objęła Moiraine ramionami, ciepłym uściskiem wieloletniej przyjaźni. Moiraine odwzajemniła uścisk równie ciepło.

— Jesteś jedyną, Moiraine, przy której pamiętam, kim byłam. Nawet Leane zawsze się zachowuje tak, jakbym się stała wcieleniem stuły i laski, również wtedy, gdy zostajemy same, jakbyśmy nigdy nie chichotały z czegoś jako nowicjuszeki. Czasami żałuję, że już nie jesteśmy nowicjuszkami, ty i ja. Nadal tak niewinne, by móc uważać, że wszystko jest urzeczywistnieniem opowieści barda, nadal dostatecznie niewinne, by móc myśleć, że znajdziemy sobie mężczyzn, którzy mieli być książętami, przystojnymi, silnymi i delikatnymi, pamiętasz? Którzy wytrzymają życie z kobietą obdarzoną mocami Aes Sedai. Nadal tak niewinne, by móc



marzyć o szczęśliwym zakończeniu opowieści barda, o życiu, jakie wiodą inne kobiety, tylko opromienionym większymi darami niż u nich.

— Jesteśmy Aes Sedai, Siuan. Mamy obowiązki. Nawet jeśli ty i ja nie urodziłyśmy się ze zdolnością do przenoszenia Mocy, to czy oddałabyś to za dom i męża, nawet gdyby to miał być książę? Nie wierzę. To marzenie wieśniaczki. Nawet Zielone nie mają takich pomysłów.

Zasiadająca na Tronie odsunęła się od niej.

— Nie, nie wyrzekłabym się tego. Prawie nigdy. Bywają jednak chwile, kiedy zazdroszczę wieśniaczkom. W tej chwili nieomal im zazdroszczę. Moiraine, jeśli ktokolwiek, choćby nawet Leane, odkryje, co planujemy, zostaniemy ujarzmione. I nie powiem, by czyniąc to, postępowały źle.

## CIENŃ W SHIENARZE

Ujarmione! Słowo jakby zadrżało w powietrzu, nieomal dostrzegalnie. W przypadku mężczyzny zdolnego do przenoszenia Mocy, którego należy powstrzymać, zanim obłąd zmusi go do niszczenia wszystkiego co go otacza, nazywa się to poskramianiem, lecz w przypadku Aes Sedai zwano to ujarzmieniem. Ujarmione! Na zawsze niezdolne do kontrolowania przepływu Jedynej Mocy. Zdolne do wyczuwania saidaru, żeńskiej połowy Prawdziwego Źródła, lecz bez możliwości dotykania go. Pamiętające o tym, co przepadło na zawsze. Robiono to tak rzadko, że od każdej nowicjuszki wymagano, by znała imiona wszystkich Aes Sedai, które ujarzmiono od czasu Pęknięcia Świata i żadna nie umiała o nich myśleć bez drżenia. Kobiety znosiły ujarzmienie nie lepiej niż poskromieni mężczyźni.

Moiraine od samego początku wiedziała, na jakie ryzyko się naraża i zdawała sobie sprawę, że jest ono konieczne. Co wcale nie znaczyło, że przyjemnie było żyć z taką myślą. Zmrużyła oczy, tylko płonąca w nich iskra zdradzała gniew i niepokój.

— Leane poszłaby za tobą do zbroczy Shayol Ghul, Siuan i do Otchłani Przeznaczenia. Nie możesz twierdzić, że zdradziłaby ciebie.

— Nie. Ale czy ona uznałaby to za zdradę? Czy to zdrada zdradzić zdrajczynię? Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

— Nigdy. Robimy to, co zrobić trzeba, Siuan. Obydwie wiedziałyśmy o tym od blisko dwudziestu lat. Koło obraca się tak jak chce, a my zostałyśmy wybrane do tego przez Wzór. Jesteśmy częścią Proroctw, a Proroctwa muszą się spełnić. Muszą!

— Proroctwa muszą się spełnić. Nauczano nas, że tak będzie i być musi, a jednak to spełnienie jest zdradą wszystkiego, czego nas uczono. Niektórzy powiedzieliby, że wszystkiego na straży czego stoimy.

Rozcierając ramiona, Amyrlin podeszła do wąskiej szczeliny, by wyjrzeć na leżący poniżej ogród. Dotknęła zasłon.

— Tu, w komnatach kobiet wieszka się draperie, by złagodzić te ponure wnętrza, sady się też piękne ogrody, jednakże nie znajdziesz w tym miejscu niczego, co by nie służyło walce, śmierci i zabijaniu — mówiła dalej tym samym, me-

lancholijnym tonem. — Tylko dwa razy od czasu Pęknięcia Świata pozbawiono Amyrlin jej stuły i laski.

— Tetsuan, która zdradziła Manetheren z zazdrości o moce Elisande, i Bonwhin, która usiłowała wykorzystać Artura Hawkinga jako marionetkę władającą światem, obie omal nie zniszczyły Tar Valon.

Amyrlin nie przestawała przypatrywać się ogrodowi.

— Obydwie Czerwone i zastąpiły je Zasiadające z Błękitnych. Wcale nie chcę być tą trzecią, która utraci stułę i laskę, Moiraine. W twoim przypadku, rzecz jasna, skończyłoby się to ujarzmieniem i wyrzuceniem poza Błyszczące Mury.

— Przede wszystkim Elaida nigdy nie wygra ze mną tak łatwo. — Moiraine wpatrywała się z napięciem w plecy przyjaciółki.

„Światłości, co ją napadło? Nigdy przedtem taka nie była. Gdzie się podziała jej siła, jej zapał?”

— Ale nie dojdzie do tego, Suan.

Druga kobieta odezwała się w taki sposób, jakby niczego nie usłyszała.

— W moim przypadku byłoby inaczej. Nawet pomimo ujarzmienia, obalonej Amyrlin nie wolno się błąkać na wolności. Mogłaby zostać uznana za męczennicę, stać się przyczyną wystąpień opozycji. Tetsuan i Bonwhin zatrzymano w Białej Wieży jako służące. Zwykle pomywaczki, które można było pokazywać innym jako ostrzeżenie, jaki los może spotkać najpotężniejsze. Nikt nie będzie spiskował z powodu kobiety, która od świtu do nocy zmywa podłogi i garnki. Owszem, można się nad nią litować, ale nie można brać jej poważnie w rachubę.

Moiraine wsparła pięści o stół, jej oczy płonęły.

— Spójrz na mnie, Suan. Spójrz na mnie! Chcesz powiedzieć, że się poddasz, po tych wszystkich latach, po tym, czego dokonaliśmy? Poddać się i pozwolić światu, by dalej tak trwał? I to wszystko z obawy, by nie stać się kimś, kto pilnuje czystości garnków!

Włożyła w ten okrzyk całą pogardę, na jaką umiała się zdobyć i poczuła ulgę, gdy przyjaciółka zwróciła się twarzą ku niej. Nadal była w niej siła, stłumiona, ale była. Oczy barwy czystego błękitu, podobnie jak jej oczy, gorzały gniewem.

— Pamiętam, która piszcziała głośniejsz, gdy nas podnoszono z nowicjuszek. Wiedziałś wygodne życie w Cairhien, Moiraine. Nie przypominało to pracy na łodzi rybackiej. — Nagle Suan głośno uderzyła o stół. — Nie, nie proponuję, żeby się poddać, ale też nie chcę patrzeć bezsilnie, jak wszystko wyślizguje się z rąk! Jesteś źródłem większości kłopotów, jakie mam z Komnatą. Nawet Zielone dziwią się, dlaczego nie wezwałam cię do Wieży i nie udzieliłam pouczenia. Połowa towarzyszących mi siostr jest zdania, że powinno się ciebie oddać Czerwonym, a jeśli do tego dojdzie, pożałujesz, żeś nie jest już nowicjuską, którą nie czeka nic gorszego prócz przemienienia. Światłości! Gdyby któraś z nich pamiętała, że przyjaźniłyśmy się jako nowicjuszki, znalazłabym się tam obok ciebie.

— Miałśmy plan! Plan, Moiraine! Znaleźć chłopca i sprowadzić go do Tar

Valon, gdzie mogłybyśmy go kryć, chronić i dawać mu wskazówki. Od twojego wyjazdu z Wieży, dostałam od ciebie tylko dwie wiadomości. Dwie! Mam wrażenie, że próbuję wodzić Palcami Smoka w ciemności. Jedna wiadomość mówiła, że wyjeżdżacie do Dwu Rzek, że udajecie się do wioski o nazwie Pole Emonda. Już niedługo, pomyślałam, chłopiec zostanie odnaleziony i ona niebawem udzieli mu pomocy. Potem wiadomość z Caemlyn, że wyjeżdżacie do Shienaru, do Fal Dara, a nie do Tar Valon. Fal Dara! Stamtąd do Ugoru jest tak blisko, że nieomal można go dotknąć. Fal Dara, na które trolloki i Myrddraale napadają nieomal co dnia. Blisko dwadzieścia lat planowania i poszukiwań, a ty praktycznie ciskasz te nasze plany pod stopy Czarnego. Czyżbyś popadła w obłąd?

Gdy wreszcie udało jej się ożywić swą rozmówczynię, Moiraine przybrała maskę spokoju. Spokoju i jednocześnie niezachwianego uporu.

— Wzór nie zważa na ludzkie plany, Suan. Knuliśmy nasze intrygi, a zapomnieliśmy, z czym mamy do czynienia. *Ta'veren*. Elaida się myli. Artur Paendrag Tanreall nigdy nie był aż tak silnym *ta'veren*. Koło będzie oplatało Wzór wokół tego młodzieńca jak zechce, niezależnie od naszych planów.

Gniew zniknął z twarzy Amyrlin, ustępując miejsca bladości szoku.

— To brzmi, jakbyś proponowała, że powinnyśmy się poddać. Czy sugerujesz, żebyśmy stanęły na uboczu i przypatrywały się płonącemu światu?

— Nie, Suan. Nigdy na uboczu.

„A świat i tak zapłonie, Suan, w taki czy inny sposób, czego byśmy nie zrobiły. Nigdy tego nie potrafiłaś dostrzec.”

— Teraz jednak musimy sobie uświadomić, że nasze plany są ryzykowne. Mamy jeszcze mniej kontroli, niż nam się wydawało. Może nawet tylko tyle, co pod paznokciem. Więcej wichry przeznaczenia, Suan, i my musimy polecieć wraz z nimi, nieważne, w jakim kierunku.

Amyrlin zadrżała, jakby poczuła lodowatą pieśczość tych wichrów na swym karku. Jej dłonie powędrowały do spłaszczonej złotej bryły, zręczne palce znalazły właściwe punkty w labiryncie skomplikowanego wzoru. Pomysłowo osadzone wieko uniosło się, ukazując skrzyżony, złoty róg. Wzięła instrument do rąk i przejechała palcem po zdobnych, srebrnych literach wyrytych w Dawnej Mowie wokół wydętego ustnika.

— Bo nie jest grób przeszkodą na moje wezwanie — przetłumaczyła, tak cicho, jakby mówiła wyłącznie do siebie. — Róg Valere, wykonany po to, by wzywać martwych bohaterów z grobu. A wedle proroctwa miał zostać odnaleziony dokładnie na czas Ostatniej Bitwy.

Gwałtownym ruchem wsunęła Róg do skrzynki i zatrzasnęła wieko, jakby nie potrafiła dłużej znieść jego widoku.

— Agelmar wepchnął mi go do rąk zaraz po zakończeniu ceremonii powitania. Powiedział, że zaczął się bać swego skarbcza, odkąd on się tam znalazł. Pokusa była zbyt wielka, wyjaśnił. Samemu zagrać na Rogu i poprowadzić tę hordę, któ-

ra by odpowiedziała na jego wezwanie, przybywając przez Ugór z północy, celem zrównania Shayol Ghul z ziemią i unicestwienia Czarnego. Cały zapłonął w ekstazie chwały i wtedy jak powiedział, zrozumiał ostrzeżenie, że to nie będzie on, że to nie może być on. Nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie pozbędzie się Rogu, a jednak nadal go pragnął.

Moiraine skinęła głową. Agelmar znał Proroctwo związane z Rogiem, znała je większość tych, którzy walczyli z Czarnym.

„Niechaj ten, co do ust mnie przyłoży, nie o chwale myśli, a tylko o zbawieniu.”

— Zbawienie. — Zasiadająca na Tronie Amyrlin zaśmiała się gorzko. — Sądząc po wyrazie oczu Agelmara, sam nie wiedział, czy oddaje zbawienie, czy też odrzuca potępienie swej własnej duszy. Wiedział tylko, że musi się go pozbyć, zanim spłonie. Próbował zachować to wszystko w tajemnicy, ale po twierdzy już rozeszły się plotki. Mnie jego pokusy są obce, jednak w obecności Rogu czuję, jak ciarki pełzną mi po ciele. Do mojego wyjazdu będzie musiał go na powrót schować w skarbcu. Nie mogłabym spać nawet w pokoju przyległym do tego, w którym on jest. — Potarła czubkami palców zmarszczone czoło i westchnęła. — I miał być odnaleziony nie wcześniej, niż przed Ostatnią Bitwą. Czyżby miała nastąpić tak szybko? Sądziłam. . . miałam nadzieję, że zostało więcej czasu.

— Cykl Karaethon.

— Tak, Moiraine. Nie musisz mi przypominać. Znam Proroctwa o Smoku równie długo jak ty. — Potrzęsła głową. — Od czasów Pęknięcia w każdym pokoleniu nie objawiał się więcej niż jeden fałszywy Smok, a teraz trzech jednocześnie wędruje swobodnie po świecie, a było jeszcze trzech innych w ciągu ostatnich dwóch lat. Wzór domaga się Smoka, ponieważ tka się w stronę Tarmon Gai'don. Czasami owładają mną wątpliwości, Moiraine — wyznała z zadumą w głosie, jakby coś ją zastanowiło, po czym kontynuowała zwykłym tonem. — A jeśli Smokiem był właśnie Logain? Potrafił przynieść Moc, zanim Czerwone sprowadziły go do Białej Wieży, a my poskromiliśmy. Może nim być też Mazrim Taim, ten człowiek z Saldaei. Co robić, jeśli to on? W Saldaei są już nasze siostry, być może już go stamtąd wywiozły. A jeśli myliłyśmy się od samego początku? Co się stanie, jeśli Smok Odrodzony zostanie poskromiony jeszcze zanim zacznie się Ostatnia Bitwa? Nawet proroctwo może się nie sprawdzić, jeśli ten, o którym mówi, padnie ofiarą mordu albo poskromienia. A wtedy staniemy do walki z Czarnym, niczym nagi wobec burzy.

— Żaden nie jest Smokiem, Suan. Wzór nie domaga się jakiegoś Smoka, tylko prawdziwego Smoka. Dopóki się nie objawi, Wzór będzie bezustannie podrzucał fałszywych Smoków, ale potem już żadnych nie będzie. Gdyby Smokiem był Logain albo któryś z pozostałych, nie byłoby więcej fałszywych.

— On bowiem nadejdzie jako nagły świt i przybyciem swym roztrzaska świat, a potem stworzy na nowo. Albo staniemy nagle wobec burzy albo będziemy się

bronić, zasługując potem na ciężką karę. Światłości, dopomóż nam wszystkim.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin otrząsnęła się, jakby chciała zrzucić z siebie własne słowa. Jej twarz była napięta, niczym w oczekiwaniu na cios.

— Przedemną nie ukryjesz swych myśli, tak jak przed innymi, Moiraine. Masz jeszcze coś do powiedzenia i nie są to dobre wieści.

Zamiast odpowiedzi Moiraine wyjęła zza paska skórzaną sakiewkę i rozwiązawszy ją, wytrząsnęła zawartość na stół. Wydawało się, że to tylko niewielka kupka porcelanowych okruchów, lśniących czernią i bielą.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin dotknęła z ciekawością jednego kawałka i wstrzymała oddech.

— *Cuendillar*.

— Prakamień — potwierdziła Moiraine.

Tajemnica tworzenia *cuendillara* zaginęła podczas Pęknięcia Świata, lecz to, co powstało z prakamienia, przetrwało kataklizm. Przetrwały nawet przedmioty pochłonięte przez ziemię albo morze, musiały przetrwać. Nie znano siły zdolnej rozbić *cuendillar*, gdy już stanowił całość, nawet Jedyna Moc skierowana przeciwko prakamieniowi powodowała tylko, że stawał się silniejszy. A więc nie było takiej siły. . . z wyjątkiem siły, która rozbiła ten egzemplarz.

Przywódczyni Aes Sedai pospiesznie pozbierała kawałki. Powstał z nich okrąg wielkości ludzkiej dłoni, w połowie czarniejszy od węgla, w połowie bielszy od śniegu, a obydwie barwy łączyła falista linia, nie zatarta wpływem wieków. Był to starożytny symbol Aes Sedai, jeszcze z czasów poprzedzających Pęknięcie Świata, gdy mężczyźni i kobiety wspólnie rządili Mocą. Połowę tego symbolu zwano teraz Płomieniem Tar Valon, drugą gryzmołono na drzwiach domów jako Smoczy Kieł, gdy chciano oskarżyć mieszkańców o czynienie zła. Istniało ich tylko siedem, opisy wszystkich przedmiotów z prakamienia znajdowały się w archiwach Białej Wieży, a o tych siedmiu pamiętano przede wszystkim. Siuan Sanche wpatrywała się w biało-czarny krąg, jakby to był jadowity wąż leżący na jej poduszce.

— Jedna z pieczęci zabezpieczających więzienie Czarnego — odezwała się wreszcie, z wyraźną niechęcią. Była to jedna z tych siedmiu pieczęci, których Strażniczką była właśnie Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Cała tajemnica świata, o ile świat w ogóle o niej pamiętał, polegała na tym, że od czasu Wojen z Trollokami żadna Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie wiedziała, gdzie się znajdują owe pieczęcie.

— Wiemy, że Czarny czeka, Siuan. Wiemy, że jego więzienie nie pozostanie na zawsze zapieczętowane. Ludzkie dzieła nigdy nie dorównują dziełom Stwórcy. Dowiedzieliśmy się, że znowu dotknął świata, choć tylko, dzięki Światłości, pośrednio. Rosną rzesze Sprzymierzeńców Ciemności i to, co jeszcze dziesięć lat temu nazywaliśmy złem, wydaje się zwykłą błahostką w porównaniu z tym, co teraz jest czynione co dnia.

— Skoro pieczęcie już pękają. . . Być może w ogóle już nie mamy czasu.

— Trochę go jeszcze zostało. Ale to może wystarczyć. Musi wystarczyć.

Amyrlin dotknęła potrzaskanej pieczęci, a w jej głosie zabrzmiało napięcie, jakby zmuszała się do mówienia.

— Widzisz, widziałam tego chłopca na dziedzińcu podczas ceremonii powitania. Dostrzeżenie *ta'veren* to jeden z moich Talentów. Rzadki to talent w dzisiejszych czasach, występuje jeszcze rzadziej niż *ta'veren*, i z pewnością mało przydatny. Wysoki młodzieniec, całkiem przystojny. Niewiele się różni od innych młodych ludzi, których można spotkać na ulicach dowolnego miasta. — Urwała dla zaczerpnięcia oddechu. — Moiraine, on płonął jak słońce. Rzadko obawiam się o własne życie, jednakże jego widok przepełnił mnie lękiem aż po czubki palców u stóp. Miałam ochotę przypaść do ziemi i zaskomleć. Ledwie potrafiłam coś powiedzieć. Agelmar myślał, że jestem na niego zagniewana, bo tak mało się odzywałam. Ten młody człowiek... To ten, którego szukałyśmy przez te całe dwadzieścia lat.

W jej głosie słyszało się ślad pytania. Moiraine postanowiła odpowiedzieć.

— To ten.

— Jesteś pewna? Czy on...? Czy on... potrafi przenosić Jedyńą Moc?

Jej usta napinały się przy wymawianiu tych słów i Moiraine również poczuła napięcie, jakiś skurcz w ciele, chłodny ścisk serca. Niemniej jednak twarz jej pozostała niewzruszona.

— Potrafi.

Mężczyzna korzystający z Jedynej Mocy. O czymś takim żadna Aes Sedai nie potrafiła myśleć bez strachu. Czegoś takiego bał się cały świat.

„I ja to wypuszczę w świat.”

— Rand al'Thor objawi się światu jako Smok Odrodzony.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin wzdrygnęła się.

— Rand al'Thor. Brzmienie tego nazwiska nie wydaje się budzić strachu i sprawiać, by świat stawał w ogniu. — Znowu zadrżała i energicznie roztarła ramiona, lecz wtem jej oczy rozbłysły światłem nagłej myśli. — Jeśli to właśnie on, być może rzeczywiście starczy nam czasu. Ale czy jest bezpieczny? Towarzyszą mu dwie Czerwone siostry, ponadto nie mogę już odpowiadać za Zielone i Żółte. Niech mnie Światłość spali, nie odpowiadam za żadną z nich, nie tylko w tej sprawie. Nawet Verin i Serafelle rzuciłyby się na niego, podobnie jak na szkarłatną żmiję w dziecięcym pokoju.

— Na razie jest bezpieczny.

Zasiadająca czekała na dalsze słowa. Milczenie jednak przeciągnęło się do tego stopnia, że było jasne, iż ich nie usłyszysz. W końcu Suan powiedziała:

— Powiadasz, że nasz dawny plan jest bezużyteczny. Co zatem proponujesz?

— Celowo pozwoliłam mu myśleć, że już się nim nie interesuję, tak by mógł się udać tam, gdzie zechce, nie zważając na mnie. — Podniosła ręce, gdy Zasiadająca otworzyła usta. — To było konieczne, Suan. Rand al'Thor wychował

się w Dwu Rzekach, gdzie w żyłach każdego płynie uparta krew Manetheren, a w porównaniu z nią jego krew przypomina skałę wobec gliny. Trzeba obchodzić się z nim ostrożnie, bo inaczej popędzi w każdym kierunku, z wyjątkiem tego, który my obierzemy.

— W takim razie musimy się z nim obchodzić jak z nowo narodzonym niemowlęciem. Otulimy go w powijaki i będziemy się bawić palcami jego stóp, jeśli twoim zdaniem tego nam potrzeba. Ale jaki jest bezpośredni cel?

— Jego dwaj przyjaciele, Matnim Cauthon i Perrin Aybara, dojrżeli już do zobaczenia świata, zanim na powrót zatoną w tej głuszy, jaką są Dwie Rzeki. O ile w ogóle tam wrócą, oni też są *ta'veren*, mimo że w mniejszym stopniu niż on. Każę im zawieźć Róg Valere do Illian. — Zawahała się i zmarszczyła brew. — Z Matem jest... pewien problem. On ma przy sobie sztylet z Shadar Logoth.

— Shadar Logoth! Światłości, czemu w ogóle pozwoliłaś im znaleźć się blisko tego miejsca. Każdy kamień tego miasta jest skażony. Bezpiecznie nie można stamtąd wynieść najmniejszego kamyczka. Światłości, dopomóż nam, gdyby Mordeth dotknął tego chłopca... — Zasiadająca mówiła takim głosem, jakby się dławiała. — Gdyby do tego doszło, świat zostałby skazany na zatracenie.

— Ale tak się nie stało, Siuan. Robimy to, co nam nakazuje konieczność, a to właśnie było konieczne. Dokonałam tyle, że Mat nie jest w stanie zarazić innych, ale wszedł w posiadanie tego sztyletu o wiele wcześniej, niż się dowiedziałam. Więż wciąż istnieje. Myślałam, że trzeba go będzie zabrać do Tar Valon, ale w obecności tylu sióstr będzie go można uzdrowić tutaj. Przynajmniej dopóki jest tu parę takich, którym ufasz, że nie widują się ze Sprzymierzeńcami Ciemności. Wystarczymy ty, ja i jeszcze dwie inne, użyjemy mojego *angrealu*.

— Jedną z nich może być Leane, poszukam jeszcze drugiej. — Nagle Zasiadająca na Tronie Amyrlin uśmiechnęła się krzywo. — Komnata chce, byś oddała *angreal*, Moiraine. Mało już ich zostało, a ciebie uważa się teraz za... niewiarygodną.

Moiraine uśmiechnęła się, lecz bez udziału oczu.

— Zanim skończę, zacznę myśleć o mnie jeszcze gorsze rzeczy. Mat rzuci się na możliwość zostania częścią legendy o Rogu, Perrina nie powinno być trudno przekonać. Jemu potrzebne jest coś, co go oderwie od jego własnych kłopotów. Rand wie, czym jest, w każdym razie częściowo, trochę, i naturalnie boi się tego. Chciałby odejść gdzieś, samotnie, gdzie nikomu nie wyrządzi krzywdy. Powiada, że już nigdy nie wykorzysta Mocy, ale boi się, że nie będzie umiał nad tym zapanować.

— To całkiem możliwe. Łatwiej przestać pić wodę.

— Dokładnie. A poza tym on chce się uwolnić od Aes Sedai. — Wargi Moiraine rozsunęły się w nieznacznym, mało radosnym uśmiechu. — Jeśli dostanie szansę odłączenia się od Aes Sedai i przebywania dłużej z przyjaciółmi, z pewnością zareaguje równie ochoczo jak Mat.



— Ale przecież on nie może odłączyć się od Aes Sedai. Musisz wybrać się razem z nim w tę podróż. Nie możemy go teraz stracić, Moiraine.

— Nie mogę podróżować razem z nim.

„Z Fal Dara do Illian wiedzie droga daleka, ale on odbył już niemal równie długą podróż.”

— Trzeba go spuścić ze smyczy na jakiś czas. Nie ma na to rady. Kazałam spalić wszystkie ich stare ubrania. Za wiele już było okazji, by jakiś strzępek odzieży wpadł w niepowołane ręce. Oczyszczę ich przed wyjazdem, nawet się nie zorientują, że to robię. Dzięki temu nie będzie szansy, że ktoś ich wyśledzi, a jedyne pozostałe źródło zagrożenia jest zamknięte w tutejszych lochach.

Przywódczyni Aes Sedai, która już miała skinąć z aprobatą, obdarzyła ją pytającym spojrzeniem, Moiraine nie przestała jednak kontynuować wątku.

— Dołożę wszelkich starań, by podróżowali jak najbezpieczniej, Siuan. A gdy Rand będzie mnie potrzebował w Illian, ja tam będę i dopatrzę, by to on wręczył Róg Radzie Dziewięciu i Zgromadzeniu. Przypilnuję wszystkiego w Illian. Siuan, ludzie stamtąd pójdą za Smokiem, albo nawet za samym Ba'alzamonem, byleby tylko przyniósł im Róg Valere, podobnie postąpi większość zgromadzonych na Polowaniu. Prawdziwy Smok Odrodzony nie będzie musiał zwoływać swych wyznawców, zanim ruszą przeciwko niemu narody. Już od samego początku będzie go otaczał cały naród i wspierać będzie armia.

Amyrlin opadła z powrotem na swoje krzesło, ale natychmiast pochyliła się do przodu. Wyraźnie miotła się między zmęczeniem a nadzieją.

— Tylko czy on będzie chciał się ogłosić? Jeśli on się boi... Światłość wie, że powinien, Moiraine, ale mężczyźni, którzy mienia się Smokiem, pragną władzy. Jeśli on nie...

— Dysponuję środkami, dzięki którym nazwą go Smokiem, czy on tego chce, czy nie. A nawet jeśli z jakiegoś powodu zawiodę, sam Wzór dopilnuje, by nazwano go Smokiem, czy on tego chce, czy nie. Pamiętaj, on jest *ta'veren*, Siuan. Nie ma większej kontroli nad swoim losem niż knot świecy nad płomieniem.

Siuan westchnęła.

— To ryzykowne, Moiraine. Ryzykowne. Ale mój ojciec zwykł powtarzać: „Dziewczyno, jeśli nie skorzystasz z szansy, to nigdy nie zdobędziesz nawet miedziaka.” Musimy zabrać się za nasze plany. Usiądź, tego nie da się zrobić w pośpiechu. Poślę po wino i ser.

Moiraine pokręciła głową.

— Już i tak za długo konferowałyśmy na osobności. Gdyby któraś spróbowała podsłuchiwać i odkryła pas ochronny, wówczas zaczęłyby coś podejrzewać. Nie warto ryzykować. Możemy odbyć kolejne spotkanie jutro.

„A poza tym, moja najdroższa przyjaciółko, nie mogę powiedzieć ci wszystkiego i nie mogę ryzykować, byś się dowiedziała, że coś przed tobą ukrywam.”

— Chyba masz rację. Ale spotkamy się jutro z samego rana. Muszę się dowiedzieć wielu rzeczy.

— Jutro — zgodziła się Moiraine.

Siuan wstała i znowu się uściskały.

— Jutro rano powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Wchodzącą do przedsiönka Moiraine, Leane obdarzyła przenikliwym spojrzeniem, po czym pomknęła do komnaty Amyrlin. Moiraine usiłowała zrobić skruszoną minę, jakby właśnie została srodze zbesztana przez Zasiadającą na Tronie Amyrlin — większość kobiet, nawet tych wyposażonych w wielką siłę charakteru, powracała z owych osławionych nagan z wielkimi oczami, na miękkich kolanach — lecz taka mina była dla niej czymś obcym. Wyglądała przede wszystkim na zagniewaną, co nieźle pasowało do tego samego celu. Ledwie zauważyła pozostałe kobiety zebrane w zewnętrznej izbie, spostrzegła tylko, że jedne wyszły, a na ich miejsce pojawiły się inne, obrzuciła je pobieżnym spojrzeniem. Robiło się późno, a trzeba było jeszcze dużo zrobić przed nastaniem poranka. Bardzo dużo pracy, zanim znowu porozmawia z Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

Przyśpieszając kroku, podążyła w głąb warowni.

\* \* \*

Przybywało księżyc, toteż kolumna wędrująca przez tarabońską noc, przy wtórce pobrękiwania uprzęży, mogłaby stanowić imponujący widok, gdyby ktokolwiek ją oglądał. Całe dwa tysiące Synów Światłości, na wspaniałych wierzchowcach, w białych pelerynach i płaszczach, wypolerowanych zbrojach, a za nimi ciąg wozów z zapasami, kowali i stajennych z gromadami remontów. W tej rzadko zalesionej okolicy były wsie, oni jednak trzymali się z dala od traktów, omijali nawet zagrody farmerów. Mieli spotkać się z... kimś... w wiosce małej jak plama po musze, w pobliżu granicy Tarabonu, na skraju Równiny Almoth.

Geofram Bornhald, jadący na czele swych ludzi, zachodził w głowę, po co to wszystko. Aż za dobrze pamiętał swoją rozmowę z Pedronem Niallem, Lordem Kapitanem Komandorem Synów Światłości w Andorze, ale niewiele się podczas niej dowiedział.

— Jesteśmy sami, Geofram — powiedział siwowłosy starzec. Jego głos był słaby i skrzypiący ze starości. — Pamiętam, jak składałeś przysięgę... ile to lat... trzydzieści sześć z pewnością.

Bornhald wyprostował się.

— Mój lordzie kapitanie komandorze, czy mogę spytać, dlaczego zostałem wezwany z Caemlyn i to z takim pośpiechem? Jedno pchnięcie i Morgase stoczy

się ze swego tronu. Są Rody w Andorze, które patrzą na konszachty z Tar Valon w taki sam sposób jak my i są gotowe wystąpić z roszczeniami do tronu. Kazałem Eamonowi Valdzie strzec wszystkiego, jednakże on zdawał się całkowicie pochłonięty pogonią za Dziedziczką Tronu w jej drodze do Tar Valon. Nie zdziwiłbym się na wieść, że ten człowiek porwał dziewczynę albo nawet zaatakował Tar Valon.

A Dain, syn Bornhald, przybył tam zanim Bornhald został niezwany. Dain był pełen zapału. Czasami aż za bardzo. Dość go miał w sobie, by na ślepo pójść za każdym poduszczeniem Valdy.

— Valda podąża drogą Światłości, Geoframie. Ty jednak potrafisz najlepiej dowodzić bitwami ze wszystkich Synów. Zgromadź legion złożony z najlepszych ludzi, jakich znajdziesz i zaprowadź ich do Tarabonu, unikając wszelkich oczu przywiązanych do języka, który umie mówić. Jeśli oczy coś zobaczą, trzeba obciąć taki język.

Bornhald zawahał się. Pięćdziesięciu albo nawet stu Synów mogło wkroczyć na każdy teren, nie narażając się na żadne pytania, w każdym razie pytania zadane otwarcie, ale cały legion. . .

— Czy to wojna, mój lordzie kapitanie komandorze? Dużo jest gadania na ulicach. Rodzą się pogłoski, jakoby wojska Artura Hawkinga powróciły.

Starzec nie odpowiedział.

— Król. . .

— Król nie dowodzi Synami, lordzie kapitanie Bornhald. — Po raz pierwszy w głosie Lorda Kapitana Komandora dało się słyszeć rozdrażnienie. — Ja nimi dowodzę. Niech król siedzi sobie w swoim pałacu i robi to, co umie najlepiej. Czyli nic. We wsi zwanej Alcruna ktoś będzie na ciebie czekał i tam otrzymasz dalsze rozkazy. Spodziewam się, że twój legion wyruszy za trzy dni. Idź już, Geoframie. Masz pracę do wykonania.

Bornhald zmarszczył czoło.

— Wybacz, lordzie kapitanie komandorze, ale kto będzie tam na mnie czekał? Czy ryzykuję wplątaniem się w wojnę z Tarabonem?

— Usłyszysz to, co musisz wiedzieć, gdy już dotrzesz do Alcruny.

Lord Kapitan Komandor wydał się nagle starszy niż w rzeczywistości. Pograżony w roztertaniu, skubał brzeg swej białej tuniki, z wielkim złotym słońcem na piersi, co symbolizowało Synów.

— Są pewne takie siły; które działają poza twoją wiedzą, Geofram, których ty nawet znać nie możesz. Zbierz jak najszybciej swych ludzi. A teraz idź. Nie pytaj mnie o nic więcej. I niechaj Światłość ci towarzyszy.

Bornhald wyprostował się w siodle, rozmasował zastałe mięśnie pleców.

„Starzeję się” — pomyślał.

Cały dzień i cała noc w siodle, z dwoma przystankami dla napojenia koni, a już czuł każdy siwy włos na swej głowie. Jeszcze przed paroma laty nawet by

tego nie zauważył.

„Przynajmniej nie zabiłem nikogo niewinnego.”

Potrafił być równie twardy względem Sprzymierzeńców Ciemności, jak każdy człowiek, który złożył przysięgę Światłości — Sprzymierzeńców Ciemności należało niszczyć, dopóki jeszcze nie wciągnęli całego świata w Cień — ale najpierw zawsze się upewniał, czy to rzeczywiście Sprzymierzeńcy Ciemności. Przy takiej liczbie ludzi trudno było uniknąć oczu mieszkańców Tarabonu, ale jakoś mu się udało. Nie trzeba było uciszać niczyich języków.

Nadjechali wysłani przez niego wcześniej zwiadowcy, a za nimi podążali jeszcze inni ludzie w białych płaszczach, niektórzy mieli w rękach pochodnie przepędzające noc z czoła kolumny. Bornhald zaklął ledwie słyszalnie i nakazał wszystkim się zatrzymać, przypatrując się uważnie tym, którzy na niego czekali.

Na płaszczach mieli takie same złote słońca jak on, takie same jak wszyscy Synowie Światłości, a ich przywódca miał nawet złote supły świadczące, że dorównuje rangą Bornhaldowi. Jednakże za słońcami mieli naszyte czerwone kije pastusze. To byli Śledczy. Za pomocą rozpalonego żelaza, szczypców i przytapienia w wodzie Śledczy wymuszali zeznania i skruchę na Sprzymierzeńcach Ciemności, ale niektórzy twierdzili, że orzekają winę, jeszcze zanim zaczęli coś robić. Między innymi Geofram Bornhald należał do tych, którzy tak twierdzili.

„Czy zostałem tu przysłany, żeby się spotkać ze Śledczymi?”

— Czekaliśmy na ciebie, lordzie kapitanie Bornhald — powiedział dowódca chrapliwym głosem. Był wysoki, miał haczykowaty nos i błysk pewności siebie w oczach, właściwy wszystkim Śledczym. — Powinieneś być tu dotrzeć wcześniej. Jestem Einor Saren, drugi po Jaichimie Carridinie, który dowodzi Ręką Światłości w Tarabonie.

Ręka Światłości — Ręka, która dogrzebuje się prawdy, jak powiadali. Nie lubili, gdy ich nazywano Śledczymi.

— W tej wsi jest most. Każ swym ludziom go przekroczyć. Porozmawiamy w gospodzie. Jest zadziwiająco wygodna.

— Lord kapitan komandor przykazał mi unikać wszelkich oczu.

— Wieś została. . . uspokojona. Każ teraz swym ludziom ruszać. Teraz ja rozkazuje. Mam rozkazy opatrzone pieczęcią lorda kapitana komandora, gdybyś żywił jakieś wątpliwości.

Bornhald stłumił pomruk, który podszedł mu do gardła. Wieś uspokojona. Zastanawiał się, czy ciała zgromadzono w stosach na skraju wsi, czy raczej zostały wrzucone do rzeki. To byłoby podobne do Śledczych, zimnych do tego stopnia, że zdolnych wymordować całą wieś dla zachowania tajemnicy i tak głupich, że mogli wrzucić ciała do rzeki, by popłynęły wraz z jej nurtem i obwieściły o ich czynie wszystkim od Alcruny po Tanchico.

— Mam tylko wątpliwości odnośnie do powodów, dla których znalazłem się w Tarabonie z dwoma tysiącami ludzi, Śledczy.

Twarz Sarena ściągnęła się, lecz głos nadal brzmiał surowo i władczo.

— To proste, lordzie kapitanie. Na całej Równinie Almoth jest wiele miast i wsi, którymi nikt nie rządzi prócz burmistrza albo rady miejskiej. Najwyższy czas, by je oddano pod opiekę Światłości. W takich miejscach znajdzie się wielu Sprzymierzeńców Ciemności.

Koń Bornhalda zastukał głośno kopytami.

— Powiadasz, Sarenie, że przeprowadziłem w tajemnicy cały legion przez większą część Tarabonu tylko po to, by wypłenić garstkę Sprzymierzeńców Ciemności z jakichś zapyziałych wsi?

— Jesteś tu po to, by robić, co ci się każe, Bornhaldzie. By wykonywać dzieła Światłości! A może ty jej unikasz? — Uśmiech Sarena przypominał grymas. — Jeśli to bitwa jest tym, czego szukasz, to może dostaniesz swoją szansę. Obcy zgromadzili wielkie siły na Głowie Tomana, więcej niż Tarabon i Arad Doman pospołu są w stanie odeprzeć, nawet gdyby im się udało zaprzestać swoich waśni na dostatecznie długi czas, by móc działać razem. Jeśli obcym uda się przebić, wówczas będziesz mógł sobie walczyć, ile dusza zapagnie. Mieszkańcy Tarabonu twierdzą, że ci obcy to monstra, stwory Czarnego. Niektórzy powiadają, że w walce wspomagają ich Aes Sedai. Jeśli ci obcy są Sprzymierzeńcami Ciemności, wówczas nimi też trzeba się będzie zająć. Gdy przyjdzie na nich kolej.

Bornhald przestał oddychać na moment.

— A zatem pogłoski nie kłamią. Armie Artura Hawkinga wróciły.

— Obcy — powiedział Saren beznamiętnym tonem. Wyraźnie żałował, że w ogóle o nich wspomniał. — To Obcy i prawdopodobnie Sprzymierzeńcy Ciemności, nieważne skąd. Tyle tylko wiemy i tylko tyle powinieneś wiedzieć. Nie stanowią teraz przedmiotu twojej troski. Marnujemy czas. Poślij swych ludzi na drugi brzeg rzeki, Bornhaldzie. We wsi przekażę ci treść twoich rozkazów.

Zawrócił swego konia i pogalopował tą samą drogą, którą przybył, tuż za nim pognali jeźdźcy trzymający pochodnie.

Bornhald zacisnął powieki, by przyśpieszyć powrót nocy.

„Używają nas jak kamyków na planszy.”

— Byar!

Otworzył oczy, gdy przy jego boku zjawił się zastępca, sztywno wyprostowany w siodle. W oczach tego człowieka o ponurej twarzy płonęło nieomal takie samo światło jak we wzroku Śledczego, ale poza tym był dobrym żołnierzem.

— Przed nami jest jakiś most. Każ legionowi go przekroczyć i rozbić obozowisko na drugim brzegu. Dołączę do was najszybciej, jak się da.

Ujął wodze i ruszył w kierunku, w którym zniknął Śledczy.

„Kamyki na planszy. Ale kto je przestawia? I dlaczego?”

\* \* \*

Popołudniowe cienie ustąpiły miejsca wieczornym, Liandrin wędrowała przez pokoje kobiet. Ciemności za otworami strzelniczymi rosły, napierając na światło lamp korytarza. Zmierzch stanowił kłopotliwą porę dla Liandrin, zmierzch i świt. O świcie rodził się dzień, tak samo jak wraz ze zmierzchem rodziła się noc, lecz o świcie noc umierała, a o zmierzchu dzień. Moc Czarnego wyrastała ze śmierci, Czarny czerpał moc ze śmierci i dlatego o takich porach Liandrin miała wrażenie, że czuje, jak ta moc się burzy. W każdym razie coś się ruszało w półcieniach. Coś, co być może potrafiłaby złapać, gdyby się odwróciła dostatecznie szybko, coś, co by z całą pewnością zobaczyła, gdyby mocno wyteżyła wzrok.

Mijane po drodze służące, ubrane w czerń i złoto, dygały przed nią, Liandrin jednak nie odpowiadała. Patrzyła prosto przed siebie i nic innego nie widziała.

Gdy już stanęła pod właściwymi drzwiami, omiotła szybkim spojrzeniem obie strony korytarza. W zasięgu wzroku znajdowały się wyłącznie służące, żadnych mężczyzn, rzecz jasna. Otworzyła drzwi i bez pukania weszła do środka.

Zewnętrzna izba, należąca do komnat lady Amalisy, była rzęsiście oświetlona, ogień płonący na palenisku chronił przed chłodem shienarańskiej nocy. Amalisa i jej dworki siedziały na krzesłach i dywanach, słuchały tej, która stała i czytała na głos. Był to *Taniec jastrzębia z kolibrem*, autorstwa Tevena Aerwina, który w utworze wykładał zasady właściwego zachowania mężczyzn wobec kobiet i kobiet wobec mężczyzn. Liandrin zacisnęła usta w cienką kreskę, oczywiście nie czytała tego dzieła, ale słyszała o nim tyle, ile musiała. Amalisa i jej towarzyszki witały każdą nową uwagę chóralnym śmiechem, padały sobie w objęcia i były piętami o posadzkę, zupełnie jak młode dziewczęta.

To czytająca pierwsza spostrzegła obecność Liandrin. Urwała nagle, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Pozostałe odwróciły się, by zobaczyć, w co tak się wpatruje i zamiast śmiechu w komnacie zapanowało ogólne milczenie. Wszystkie z wyjątkiem Amalisy poderwały się niezdarnie na nogi, pośpiesznie przyglądając włosy i spódnice.

Lady Amalisa wyprostowała się z gracją, promiennie uśmiechnięta.

— Twoja obecność to dla nas zaszczyt, Liandrin. Nie mogłaś nam sprawić miłszej niespodzianki. Nie spodziewałam się ciebie wcześniej niż jutro. Myślałam, że zechcesz odpocząć po tak długiej podróży. . .

Liandrin weszła jej brutalnie w słowo, przemawiając do pustej przestrzeni.

— Chcę rozmawiać z lady Amalisą na osobności. Wszystkie stąd wyjdźcie. Natychmiast.

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia, po czym pozostałe kobiety pożegnały Amalisę. Jedna po drugiej dygały przed Liandrin, ona jednak nie raczyła im

odpowiedzieć. Nadal wpatrywała się przed siebie w coś nie istniejącego, widząc je jednak i słysząc. Pożegnalne zwroty grzecznościowe zduszało zdenerwowanie wywołane usposobieniem Aes Sedai. Zlekceważone oczy wbijały się w posadzkę. Przemykały się do drzwi, obchodząc ją niezdarnym łukiem, by przypadkiem nie zaczepić Liandrin rąbkiem spódnicy.

Gdy drzwi zamknęły się za ostatnią, Amalisa zaczęła:

— Liandrin, nie rozu. . .

— Czy ty podążasz drogą Światłości, moja córko?

Nazwanie jej córką w tej sytuacji nie raziło śmiesznością. Amalisa była starsza o kilka lat, ale należało przestrzegać pradawnych form grzecznościowych. Nawet jeśli od wieków były zapomniane, nadeszła wreszcie pora, by je przypomnieć.

Liandrin spostrzegła, że popełniła błąd, wypowiadając to pytanie. W ustach Aes Sedai mogło zrodzić wątpliwości i niepokój, niemniej jednak plecy Amalisy zeszywniały, a twarz zhardziała.

— To obraza, Liandrin Sedai. Wywodzę się z Shienaru, z szlchetnego domu i żołnierskiej krwi. Moi przodkowie walczyli z Cieniem, jeszcze zanim powstał Shienar, trzy tysiące lat, nigdy nie zaniedbując tej służby, nie pozwalając sobie na bodaj chwilę słabości.

Liandrin nie ustąpiła pola, zmieniła tylko cel ataku. Pokonała komnatę kilkom krokami, podniosła oprawny w skórę egzemplarz *Tańca jastrzębia z kolibrem* z półki nad kominkiem i zważyła go w dłoniach, nawet nań nie patrząc.

— W Shienarze, spośród innych krain, moja córko, Światłość cenić należy szczególnie, a Cień winien budzić największą grozę.

Niedbałym ruchem cisnęła książkę do ognia. Ogarnęły ją płomienie, jakby to była kłoda drewna, z głuchym rykiem smagając wnętrze komina. W tym samym momencie wszystkie lampy w izbie rozjarzyły się z przeciągłym sykiem, zalewając wnętrze światłem.

— Przede wszystkim tutaj. Tutaj, w bliskości tego przeklętego Ugoru, tej krainy, w której czyha rozkład. Tutaj, gdzie nawet ten, któremu się wydaje, że podąża drogą Światłości, może zostać skażony przez Cień.

Na czole Amalisy zalśniły paciorki potu. Dłoń, którą uniosła, by oprotować utratę książki, wolno opadła do boku. Nie zmieniła wyrazu twarzy, Liandrin jednak zauważyła, że przełknęła ślinę i przestąpiła z nogi na nogę.

— Nie rozumiem, Liandrin Sedai. Chodzi o tę książkę? To zwykłe głupstwo.

W jej głosie słychać było nieznaczne drżenie.

„Dobrze.”

Szklane podstawy lamp zaczęły pękać pod wpływem coraz gorętszych i wyższych płomieni, izba pojaśniała, jakby zalewały ją promienie południowego słońca. Amalisa stała sztywna jak słup, z twarzą napiętą, jakby usiłowała powstrzymać powieki od mrugania.

— To ty jesteś głupia, moja córko. Nie interesują mnie książki. Ludzie stąd wkraczają na Ugór i wędrują przez jego skażę. Prosto do Cienia. Nie wierzysz, że przesiakają skażą? Chcą tego czy nie, i tak przesiakają. Myślisz, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin przybyła tu z innego powodu?

— Nie — padło bez tchu.

— Z Czerwonych się wywodzę, moja córko — ciągnęła nieubłaganie Liandrin. — Poluję na każdego, co skażą przesiakł. Poluję na wysoko i nisko urodzonych, bez wyjątku.

— Ja nie... — Amalisa niepewnie zwilżyła wargi i wyraźnie dokładała wszelkich starań, żeby się opanować. Nie rozumiem, Liandrin Sedai. Błagam...

— Zaś na wysoko urodzonych przede wszystkim.

— Nie! — Jakby nagle straciła jakąś niewidzialną podporę, Amalisa padła na kolana i spuściła głowę. — Błagam, Liandrin Sedai, powiedz, że nie chodzi ci o Agelmara. To nie może być on.

Korzystając z tej chwili zwątpienia i dezorientacji; Liandrin zaatakowała. Nie ruszając się z miejsca, jąła smagać biczem Jedynej Mocy. Amalisa jęknęła i drgnęła nerwowo, jakby ktoś ukłuł ją igłą, a nadaśane usta Liandrin rozchyliły się w uśmiechu.

Była to wymyślona przez nią jeszcze w dzieciństwie sztuczka, gdy dopiero zaczynała korzystać ze swych umiejętności. Przyłapaną przez Nauczycielkę Nowicjuszek otrzymała surowy zakaz jej stosowania, jednakże dla Liandrin zakaz oznaczał tylko jeszcze jedną rzecz, którą musiała ukrywać przed tymi, które jej zazdrościli.

Zrobiła krok do przodu i gwałtownym ruchem uniosła podbródek Amalisy. Metal, który ją usztywniał, wciąż tam był, lecz już nieszlachetny, kowalny dla byle młota. Z kąćków oczu Amalisy płynęły łzy, połyskiwały na policzkach. Liandrin pozwoliła ogniom przygasnąć do zwykłego blasku, już ich nie potrzebowała. Złagodziła słowa, jakkolwiek głos nadal był twardy jak stal.

— Córko, nikt nie pragnie, byś wraz z Agelmarem została oddana ludziom jako Sprzymierzeńcy Ciemności. Pomogę ci, ale i ty musisz mi pomóc.

— Pomóc t... tobie? — Amalisa przyłożyła dłoń do skroni, wyraźnie oszłomiona. — Błagam, Liandrin Sedai, ja nie... rozumiem. To wszystko jest... To wszystko...

Nie była to umiejętność doskonała, Liandrin nie potrafiła zmusić każdego, by robił to, co ona chce — mimo że się starała, och, jak ona się starała! Potrafiła jednak otworzyć ich na przyjęcie argumentów, sprawić, by chcieli jej uwierzyć, by bardziej niż czegokolwiek pragnęli być przekonani co do jej słuszności.

— Bądź posłuszna, córko. Bądź posłuszna i odpowiadaj na me słowa zgodnie z prawdą, a obiecuję, że nikt nie nazwie ani ciebie, ani lorda Agelmara Sprzymierzeńcami Ciemności. Nie będą cię wlec naga przez ulice, aby wychłostać za miastem, o ile wcześniej nie zdołaliby rozedrzeć cię na strzępy. Nie dopuszczę do



tego. Rozumiesz?

— Tak, Liandrin Sedai, tak. Zrobię to, co każesz i będę odpowiadała zgodnie z prawdą.

Liandrin wyprostowała się, patrząc z góry na drugą kobietę. Lady Amalisa nie podniosła się z klęczek, twarz miała ufną jak dziecko, dziecko czekające na kogoś mądrzejszego i silniejszego, u kogo mogłoby szukać otuchy i pomocy. Liandrin uznała, że to właściwa postawa. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Aes Sedai wystarczał zwykły ukłon albo dygnięcie, podczas gdy przed królami i królowymi mężczyźni oraz kobiety klękali.

„Jaka to królowa dzierży teraz nad nią władzę?”

Gniewnie wykrzywiła usta i Amalisa zadrzała.

— Zachowaj spokój, moja córko. Przybyłam tu, by ci pomóc, a nie karać. Ukarani zostaną jedynie ci, którzy sobie na to zasłużyli. Mów tylko samą prawdę.

— Będę, Liandrin Sedai. Będę, przysięgam na mój dom i honor.

— Moiraine przybyła do Fal Dara ze Sprzymierzeńcem Ciemności.

Amalisa była zanadto przerażona, by zdradzić zdziwienie.

— Och nie, Liandrin Sedai. Nie. Ten człowiek przybył później. Jest już zamknięty w lochach.

— Później, powiadasz. Ale czy to prawda, że ona z nim często rozmawia? Czy często przebywa w towarzystwie tego Sprzymierzeńca Ciemności? W pojedynkę?

— Cz. . . czasami, Liandrin Sedai. Tylko czasami. Ona pragnie z niego wydobyć powód, dla którego tu przybył. Moiraine Sedai jest. . .

Liandrin gwałtownie uniosła rękę i Amalisa przełknęła wszystko, co jeszcze chciała dodać.

— Moiraine towarzyszyło trzech młodych ludzi. Wiem o tym. Gdzie oni są? Zagłądałam do ich pokoi, ale nie dało się ich znaleźć.

— Ja. . . ja nie wiem, Liandrin Sedai. Wyglądają na miłych chłopców. Z pewnością nie myślisz, że są Sprzymierzeńcami Ciemności.

— Nie, Sprzymierzeńcami Ciemności nie są. Gorzej. O wiele niebezpieczniejsi niż Sprzymierzeńcy, moja córko. Całemu światu zagraża niebezpieczeństwo z ich powodu. Trzeba ich odnaleźć. Wydasz rozkazy swym sługom, by przeszukali warownię, szukać będą też twoje dworki, jak również ty sama. Zajrzyjcie do każdej szczeliny i szpary. Dopatrzysz tego osobiście. Osobiście! I z nikim innym nie będziesz o tym rozmawiać, z wyjątkiem tych, których wymieniłam. Nikt inny nie może się dowiedzieć. Nikt. Tych chłopców trzeba będzie sekretnie usunąć z Fal Dara i do Tar Valon zabrać. W całkowitej tajemnicy.

— Jak każesz, Liandrin Sedai. Nie rozumiem jednak, po co te tajemnice. Nikt tutaj nie będzie stawał na drodze Aes Sedai.

— A o Czarnych Ajah słyszałaś?

Oczy Amalisy omal nie wyskoczyły z orbit, odsunęła się od Liandrin, unosząc rękę, jakby chciała osłonić się przed ciosem.

— To n... nikczemne pogłoski, Liandrin Sedai. N... nikczemne. N... nie ma takich Aes Sedai, kt... które b... by służyły Czarnemu. Ja w to nie wierzę. Musisz mi uwierzyć! Na Światłość p... przysięgam, że nie wierzę. Na mój honor i na mój ród, przysięgam...

Liandrin spokojnie pozwoliła Amalisie mówić dalej, patrząc, jak pod wpływem jej milczenia wyciekają z niej resztki sił. Wiadomo było, że Aes Sedai pałają gniewem, strasznym gniewem na tych, którzy bodaj napomknęli o Czarnych Ajah, znacznie większym niż na tych, którzy twierdzili, że wierzą w ich zatajone istnienie. Po tym wszystkim, odkąd jej wola tak bardzo osłabła pod wpływem dziecinnej sztuczki, Amalisa będzie jak glina w jej rękach. Jeszcze tylko jeden cios.

— Czarne Ajah istnieją, dziecko. Istnieją i są tutaj, w murach Fal Dara.

W tym momencie Amalisa ukłękła, szeroko rozwierając usta. Czarne Ajah! Aes Sedai, które były jednocześnie Sprzymierzeńcami Ciemności! To równie potworne, jak wieść, że sam Czarny wszedł do warowni Fal Dara. Liandrin nie ustała jednak.

— Każda Aes Sedai, którą mijasz na korytarzach, może być Czarną siostrą. Przysięgam, że tak jest. Nie mogę ci zdradzić, które to są, ale otoczę cię swoją opieką. O ile drogą Światłości podążać będziesz, a mnie posłuszeństwo okażesz.

— Okażę — wyszeptła ochryple Amalisa. — Okażę. Błagam, Liandrin Sedai, błagam, powiedz, że będziesz chronić mego brata i moje dworki...

— Ochroń tego, kto na ochronę zasłuży. Zatrósz się o siebie, moja córko. I myśl tylko o tym, co ci nakazałam. Tylko o tym. Losy świata od tego zależą, moja córko. Musisz zapomnieć o wszystkim innym.

— Tak, Liandrin Sedai. Tak. Tak.

Liandrin odwróciła się i przeszła przez pokój, nie oglądając się za siebie, dopóki nie dotarła do drzwi. Amalisa cały czas klęczała, wciąż wpatrywała się w nią z lękiem.

— Powstań, lady Amaliso. — Liandrin mówiła łagodnym głosem, ze śladem lekkiej drwiny.

„Też mi siostra! Nie przetrwałaby ani dnia jako nowicjuszka. Ale rozkazywać potrafi.”

— Powstań.

Amalisa prostowała się powolnymi, sztywnymi ruchami, jakby jej dłonie i stopy przez wiele godzin nosiły na sobie pęta. Gdy wreszcie stanęła na nogach, Liandrin przemówiła, używając na powrót całej tej stali, jaką straszyla wcześniej:

— A jeśli zawiedziesz świat, jeśli zawiedziesz mnie, wówczas pozazdrościsz temu Sprzymierzeńcowi Ciemności, który siedzi w waszych lochach.

Liandrin nie sądziła, na podstawie wyrazu twarzy Amalisy, by zawód mógł nastąpić z powodu braku jakichkolwiek starań z jej strony.

Liandrin zatrzasnęła drzwi za sobą i nagle poczuła, że swędzi ją skóra. Wstrzymała oddech, obróciła się błyskawicznie, rozglądając po jasno oświetlonej sali. Pusto. Za otworami strzelniczymi panowała już głęboka noc. W komnacie nie było nikogo, a jednak była pewna, że czuje utkwione w niej oczy. Pusty korytarz, cienie tam, gdzie nie docierało światło lamp wiszących na ścianach, to wszystko szydziło z niej. Niepewnie wzruszyła ramionami, po czym z determinacją ruszyła przed siebie.

„Coś mi się uroiło. Nic więcej.”

Już późna noc, a tyle jeszcze do zrobienia przed świtem. Jej rozkazy były jasno sprecyzowane.

\* \* \*

Ciemności choć oko wykol zalegały lochy niezależnie od pory dnia, chyba że ktoś przyniósł latarnię, jednakże Padan Fain usiadł na skraju pryczy, przenikając wzrokiem mrok z uśmiechem na twarzy. Słyszał, jak pozostali dwaj więźniowie rzucają się przez sen, mamrocząc o jakichś koszmarach. Padan Fain czekał na coś, na coś, czego się spodziewał od bardzo długiego czasu. Zbyt długiego. Ale odtąd już niedługiego.

Drzwi zewnętrznej izby otworzyły się, do środka wpłynęła struga światła, ciemną linią obrysowując postać na progu.

Fain wstał.

— To ty! Nie ciebie się spodziewałem.

Z wyraźną obojętnością pochylił się do przodu. Krew w jego żyłach popłynęła szybciej, miał wrażenie, że mógłby wyskoczyć z warowni, gdyby zechciał.

— Niespodzianka, co? No cóż, wejdz. Noc nie jest już młoda, a ja też czasem potrzebuję snu.

Lampa znalazła się teraz we wnętrzu celi, Fain zadarł głowę, uśmiechając się szeroko do czegoś niewidzialnego, a jednak wyczuwalnego poprzez kamienne sklepienie lochów.

— To się jeszcze nie skończyło — wyszeptał. — Bitwa nigdy nie ma końca.

# CIEMNE PROROCTWO

Drzwi domostwa farmy drżały po wpływie wściekłego walenia od zewnątrz; ciężka sztaba podskakiwała w zawiasach. Za oknem tuż obok drzwi widać było obdarzoną wydatnym pyskiem sylwetkę trolloka. Okien było więcej i więcej też ciemnych kształtów za nimi. Nie dość jednak ciemnych, by Rand potrafił je odróżnić.

„Okna” — pomyślał z rozpaczą.

Cofnął się od drzwi, ściskając obiema rękami swój miecz.

„Nawet jeśli drzwi wytrzymają, będą mogli wybić okna. Czemu nic nie robią z oknami?”

Przy akompaniamencie ogłuszającego, metalicznego trzasku jeden z zawiasów wyskoczył częściowo z framugi, zawisając luźno na gwoździach wyrwanych z drewna na długość palca. Sztaba zadrżała pod wpływem kolejnego ciosu, znowu zachrobotały gwoździe.

— Musimy je powstrzymać! — krzyknął Rand.

„Ale nie uda nam się. Nie uda nam się ich powstrzymać.”

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia, ale drzwi były tylko jedne. Ta izba przypominała ozdobną skrzynię. Tylko jedne drzwi i tyle okien.

— Musimy coś zrobić. Cokolwiek!

— Za późno — orzekł Mat. — Nie rozumiesz?

Szeroki uśmiech dziwnie wyglądał na jego bezkrwistej, pobladłej twarzy, zza pazuchy, na wysokości piersi, wystawała rękojeść sztyletu, wieńczący ją rubin płonął jak ogień. W tym kamieniu było więcej życia niż w jego twarzy.

— Za późno, byśmy mogli coś zmienić.

— Wreszcie się ich pozbyłem — powiedział Perrin ze śmiechem. Krew spływała z jego twarzy, z pustych oczodołów strugi łez. Wyciągnął przed siebie pokryte czerwienią dłonie, próbując zmusić Randa, by spojrzał na to, co on w nich trzymał. — Jestem już wolny. To koniec.

— To się nigdy nie kończy, al’Thor — krzyknął Padan Fain, czołgający się na środku podłogi. — Bitwa nigdy nie ma końca.

Drzwi eksplodowały lawiną drzazg, Rand musiał uskoczyć przed frunącymi przez powietrze drewnianymi odłamkami. Do środka wkroczyły dwie odziane na

czerwono Aes Sedai, ukłonami witając nadejście swego pana. Twarz Ba'alzamona była skryta za maską koloru zaschłej krwi, jednakże Rand widział płomienie jarzące się zza szczelin na oczy, słyszał huk ognia dobiegający z ust.

— Z nami sprawa jeszcze nie zakończona, al'Thor — powiedział Ba'alzamon i potem jednocześnie z Fainem: — Dla ciebie bitwa nigdy nie ma końca.

Rand usiadł na podłodze i wydał zduszony jęk. Szczypaniem próbował wyrwać się ze snu. Miał wrażenie, że wciąż słyszy głos Faina, tak wyraźnie, jakby domokrażca stał obok niego.

„To się nigdy nie kończy. Bitwa nigdy nie ma końca.”

Rozejrzał się dookoła mętnym wzrokiem, pragnąc się przekonać, że nadal pozostaje ukryty przed wszystkimi w tym miejscu, w którym zostawiła go Egwene, to jest na sienniku w kącie jej izby. Pokój zalewało ciemne światło padające z pojedynczej lampy. W jej kiepskim świetle dostrzegł Nynaeve. Robiła coś na drutach, siedząc na bujanym krześle, ustawionym z drugiej strony jedyne łóżka, na którym pościel była nietknięta. Za oknami panowała noc.

Ciemnooka i szczupła Nynaeve zaplatała włosy w gruby warkocz, który przezucony przez ramię sięgał jej prawie do pasa. Nie wyzbyła się obyczajów nabytych w domu. Miała spokojną twarz i lekko się kołysząc, wydawała się cała zatopiona w swej robótce. Nie było słychać żadnych dźwięków, wyjąwszy monotonne poszczekiwanie drutów. Dywan tłumił skrzypienie bujanego fotela.

Ostatnimi czasy bywały takie noce, kiedy tęsknił do dywanu, który by leżał na zimnej, kamiennej posadzce jego pokoju, lecz w Shienarze wszystkie pokoje dla mężczyzn były puste i nagie. Tutaj na ścianach wisały dwa gobeliny, z widokami górskich wodospadów, a otwory łucznicze zdobiły zasłony haftowane w kwiaty. W niskim, okrągłym wazonie na stole przy łóżku stały kwiaty, białe poranne gwiazdy, więcej wychylało się z oblewanych białą glazurą kinkietów na ścianach. W kącie stało wysokie lustro, drugie wisało nad umywalką wyposażoną w dzban i misę w niebieskie prążki. Ciekaw był, po co Egwene potrzebne aż dwa lustra, on w swojej izbie nie miał żadnego i bynajmniej za nim nie tęsknił. Paliła się tylko jedna lampa, ale cztery dodatkowe stały w pokoju nieomal tak dużym, jak ten, który on dzielił razem z Matem i Perrinem. Egwene mieszkała sama.

Nie podnosząc głowy, Nynaeve powiedziała:

— Jeśli śpisz po południu, nie powinieneś się spodziewać, że będziesz spał nocą.

Zrobił obrażoną minę, mimo że ona nie mogła tego zobaczyć. Przynajmniej tak mu się wydawało. Była od niego starsza o zaledwie kilka wiosen, ale autorytet Wiedzącej postarzał o pięćdziesiąt lat.

— Musiałem się gdzieś ukryć i byłem zmęczony — powiedział i szybko dodał: — Nie wszedłem tu tak po prostu. To Egwene zaprosiła mnie do komnat kobiecych.

Nynaeve opuściła robótkę i obdarzyła go rozbawionym uśmiechem. Była

piękną kobietą. W domu tego nigdy nie zauważał; o Wiedzącej po prostu tak się nie myślało.

— Światłości dopomóż. Rand, ty z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do mieszkańców Shienaru. Zaproszony do komnat kobiecych, słyszane rzeczy! — Parsknęła. — Lada chwila zaczniesz mówić o swoim honorze i zaczniesz prosić, by pokój miał w łasce twój miecz.

Miał nadzieję, że dzięki mętnemu światłu ona nie dostrzeże rumieńca na jego twarzy. Nynaeve zmierzyła wzrokiem rękojeść miecza, wystającą z podłużnego tobołka ułożonego obok niego na podłodze. Wiedział, że ona nie aprobeje tego miecza, w ogóle żadnego miecza, ale przynajmniej przestała o tym gadać.

— Egwene powiedziała mi, dlaczego musisz się ukrywać. Nie martw się. Będziemy cię ukrywały przed Zasiadającą albo przed obojętnie którą Aes Sedai, jeśli tego chcesz.

Spojrzała mu w oczy i zaraz odwróciła wzrok, ale zdążył jeszcze dostrzec jej zakłopotanie. Jej zważenie.

„Zgadza się, potrafię przenosić Moc. Mężczyzna władający Jedyńą Mocą! Powinnaś pomóc Aes Sedai, by mnie upolowały i poskromiły.”

Spochmurniał. Wygładził skórzany kaftan, który znalazła dla niego Egwene i obrócił się tak, by móc usiąść oparty o ścianę.

— Gdy tylko będzie można, ukryję się w jakimś wozie, albo wymknę się z twierdzy. Nie będziecie musieli długo mnie ukrywać.

Nynaeve nie odpowiedziała, na powrót zajęta swoją robótką, gniewnym okrzykiem potraktowała zagubione oczko.

— Gdzie jest Egwene?

Ułożyła robótkę na kolanach.

— Nie wiem, czemu się dziś za to zabrałam. Z jakiegoś powodu nie potrafię liczyć oczek. Poszła zobaczyć się z Padanem Fainem. Jej zdaniem widok znajomych twarzy może mu pomóc.

— Z pewnością nie moja twarz. Powinna trzymać się z dala od niego. Jest niebezpieczny.

— Ona chce mu pomóc — spokojnie odparła Nynaeve. — Pamiętaj, że uczyła się na moją pomocnicę, a do zadań Wiedzącej nie należy wyłącznie przepowiadanie pogody. Zalicza się do nich także uzdrawianie. Egwene bardzo chce uzdrawiać, pragnie tego z całej duszy. A gdyby Padan Fain był rzeczywiście taki niebezpieczny, wówczas Moiraine coś by powiedziała.

Wybuchnął śmiechem.

— Nie pytałyście jej o to. Egwene przyznała się do tego, a już sobie wyobrażam ciebie, jak prosisz o pozwolenie na cokolwiek.

Uniesiona brew Nynaeve starła uśmiech z jego twarzy. Nie miał jednak ochoty przeproszać. Znajdowali się daleko od domu i nie rozumiał, jak ona chce być dalej Wiedzącą z Pola Emonda, skoro wybiera się do Tar Valon.

— Już zaczęły mnie szukać? Egwene nie jest pewna, czy w ogóle przybędą, ale Lan powiada, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin przybyła tu z mego powodu, a ja liczę się z jego zdaniem.

Nynaeve przez chwilę nie odpowiadała, tylko bawiła się kłębkami włóczki.

— Nie jestem pewna — powiedziała w końcu. — Niedawno temu zajrzała tu jedna ze służących. Żeby pościelić łóżko, twierdziła. Jakby Egwene miała już iść spać, mimo uczty wydawanej dziś wieczorem na cześć Zasiadającej. Odesłałam ją, nie widziała cię.

— W pokojach mężczyzn nikt nikomu nie ścieli łóżek.

Obdarzyła go nieruchomym spojrzeniem, takim, od którego jeszcze rok temu zacząłby się jąkać. Potrząsnął głową.

— Nie szukałyby mnie przy pomocy służących, Nynaeve.

— Gdy trochę wcześniej przeszłam się do spiżarni na kubek mleka, po korytarzach kręciło się o wiele za dużo kobiet. Te, które usługują przy uczcie, powinny były już się przebrać, a inne albo powinny były im pomagać, albo też usługiwać, albo... — Zmarszczyła z niepokojem czoło. — Z powodu wizyty Amyrlin wszyscy mają pełne ręce roboty. A tamte nie kręciły się po pokojach kobiecych tak zwyczajnie. Widziałam samą lady Amalise, wychodzącą ze spichlerza obok spiżarni, twarz miała całą pokrytą kurzem.

— To niedorzeczne. Czemu ona miałaby brać udział w poszukiwaniach? Albo w ogóle któraś z tutejszych kobiet, skoro już o tym mowa. Użyłyby żołnierzy lorda Agelmara i Strażników. I wszystkich Aes Sedai. Na pewno coś przygotowują w związku z ucztą. Niech szczenę, jeśli wiem, na czym polega shienarańska uczta.

— Czasami zachowujesz się tak, jakbyś miał głowę pełną wełny, Rand. Mężczyźni, których spotkałam, też nie wiedzieli, co robią te kobiety. Słyszałam narzekania, że muszą wszystko robić sami. Wiem, że one nie mają powodu, żeby cię szukać. Żadna z Aes Sedai nie wydawała się zainteresowana. Ale Amalisa powinna się szykować do uczty, zamiast szargać swe suknie w spichlerzu. One czegoś szukały, czegoś bardzo ważnego. Nawet gdyby zaczęła się kąpać i przebierać tuż po tym, jak ją spotkałam, czasu zostało jej na to bardzo mało. A skoro już o tym mowa, to jeśli Egwene zaraz nie przyjdzie, będzie musiała wybierać między zmianą sukni a spóźnieniem się.

Dopiero teraz zauważył, że Nynaeve nie jest ubrana w zgrzebne, wełniane suknie z Dwu Rzek, do których przywykł. Miała na sobie suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu, przy szyi i na rękawach haftowaną w przebiśniegi. W sercu każdego kwiatka kryła się mała perła, a jej pas przetykało srebro i spinała srebrna sprzączka obrzeżona perłami. Nigdy przedtem jej nie widział w takim stroju. Nawet świąteczny przyodziewek, który nosiła w domu, mu nie dorównywał.

— Wybierasz się na ucztę?

— Naturalnie. Nawet gdyby Moiraine nie powiedziała, że powinnam, to nigdy nie pozwoliłabym jej myśleć, że ja... Na chwilę w jej oczach rozjarzył się

gniewny płomień i już wiedział, co chciała powiedzieć. Nynaeve nigdy by nie dopuściła, by ktoś sądził, że się boi, nawet jeśli tak rzeczywiście było. Na pewno nie Moiraine, a już szczególnie Lan. Miał nadzieję, że ona nie zdaje sobie sprawy z tego, że wie o jej uczuciach do Strażnika.

Po chwili jej wzrok złagodniał, gdy padł na rękaw sukni.

— Dostałam to od lady Amalisy — powiedziała tak cicho, że zastanawiał się, czy przypadkiem nie do siebie. Pogładziła jedwab palcami, dotykając haftowanych kwiatów, uśmiechnięta, pogrążona w myślach.

— Na tobie wygląda bardzo pięknie, Nynaeve. W ogóle jesteś dziś bardzo piękna.

Skrzywił się, ledwie to powiedział. Wszystkie Wiedzące były bardzo przewrażliwione odnośnie do swego autorytetu, a Nynaeve jeszcze bardziej niż większość. Członkinie Koła Kobiet z Dwu Rzek zawsze patrzyły jej przez ramię, bo była młoda, a może też z powodu jej urody i sławetnych sporów z Burmistrzem oraz Radą Wioski.

Gwałtownie oderwała dłoń od haftów i spojrzała na niego groźnie, marszcząc brwi. Natychmiast zaczął mówić, zamykając jej usta.

— Nie mogą wiecznie rygłować bram. A jak już je otworzą, wtedy zniknę i Aes Sedai już mnie nigdy nie znajdą. Perrin twierdzi, że są takie miejsca na Czarnych Wzgórzach i Stepach Caralain, gdzie całymi dniami nie spotkasz żywej duszy. Może... Może jakoś wymyślę, co zrobić z... — Zmieszany, wzruszył ramionami. Nie musiał tego mówić, nie jej. — Nawet jeśli nic nie wymyślę, nie będzie tam nikogo, kogo mógłbym skrzywdzić.

Nynaeve milczała przez chwilę, po czym wolno powiedziała:

— Nie jestem taka pewna, Rand. Moim zdaniem wcale się niczym nie różnisz od reszty wiejskich chłopców, jednak Moiraine upiera się, że ty jesteś *ta'veren* i że Koło jeszcze z tobą nie skończyło. Czarny najwyraźniej...

— Shai'tan nie żyje — powiedział ochryple i nagle wydawało się, że wewnątrz pokoju zaczęło drgać. Chwycił się za skronie, przetaczające się pomiędzy nimi fale spowodowały zawroty głowy.

— Ty głupcze! Ty koszmarny, ślepy, stuknięty głupcze! Wzywać Czarnego, ściągać na siebie jego uwagę! Nie dość ci kłopotów?

— On nie żyje — wymamrotał Rand, rozcierając głowę. Przełknął ślinę. Zawroty głowy powoli ustawały. — W porządku, w porządku. Ba'alzamon, jeśli sobie życzysz. Ale on nie żyje, widziałem, jak umierał, widziałem, jak płonął.

— Ty naprawdę jesteś głupcem, Randzie al'Thor. — Pogroziła mu pięścią. — Natarłabym ci uszu, gdybym uważała, że dzięki temu nabierzesz choć trochę rozumu...

Reszta słów utonęła w huku dzwonów, które nagle rozdźwięczały się we wnętrzu fortecy.

Zerwał się na równe nogi.



— To alarm! Szukają. . .  
„Wezwij Czarnego, a dopadnie cię jego zło.”  
Nynaeve wstała powoli, z niepokojem kręcąc głową.  
— Nie, chyba nie. Gdyby cię szukali, to dzwony by nie biły, żeby cię ostrzec.  
Nie, to nie alarm, nie chodzi o ciebie.  
— No to co?  
Podbiegł do najbliższego otworu w ścianie i wyrzwał na zewnątrz.  
Wokół twierdzy, niczym robaczki świętojańskie, roiły się światła latarni i pochodni. Niektóre pędziły do zewnętrznych murów i wież, lecz większość wirowała w ogrodzie tuż pod nimi i na dziedzińcu, którego fragment stąd widział. Przyczyna alarmu kryła się w środku twierdzy. Dzwony ucichły, przestając zagłuszać czyjeś krzyki, nie potrafił jednak zrozumieć ich treści.  
„Jeśli to nie o mnie chodzi. . .”  
— Egwene — powiedział nagle.  
„Jeśli on jeszcze żyje, jeśli istnieje jeszcze zło, to powinien przyjść po mnie.”  
Nynaeve odwróciła się od drugiej szczeliny strzelniczej.  
— Co?  
— Egwene.  
Szybkimi krokami pokonał pokój i wyciągnął z tobołka swój miecz.  
„Światłości, on ma skrzywdzić mnie, nie ją.”  
— Ona jest w lochach z Fainem. A jeśli się jakoś wyswobodził?  
Dopadła go przy drzwiach, złapała za ramię. Sięgała mu zaledwie do ramienia, ale uścisk przypominał żelazo.  
— Nie rób z siebie większego koziołowego durnia niż dotychczas, Randzie al’Thor. Nawet jeśli to nie ma nic wspólnego z tobą, te kobiety czegoś naprawdę szukają! Światłości, człowieku, to są pokoje kobiece. Na korytarzach będą Aes Sedai, nie ma co w to wątpić. Egwene nic się nie stanie. Miała zamiar zabrać tam z sobą Mata i Perrina. Nawet jeśli wpakowała się w jakieś kłopoty, to oni się nią zaopiekują.  
— A jeśli ona ich nie znalazła, Nynaeve? Egwene by to na pewno nie zatrzymała. Poszłaby tam sama, tak samo jak ty, i doskonale o tym wiesz. Światłości, mówiłem jej, że Fain jest niebezpieczny! Niech szczenę, mówiłem!  
Wyrwał się z jej uścisku, gwałtownie otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz.  
„Spal mnie Światłości, on miał skrzywdzić mnie!”  
Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie na widok jego zgrzebnej koszuli posługacza, kaftana i miecza w wyciągniętej ręce. Nawet zaproszeni mężczyźni nie wchodzili uzbrojeni do komnat kobiecych, chyba że twierdza była atakowana. Korytarze wypełniały kobiety, służące w czarno-złotyach strojach, mieszkające w twierdzy damy w jedwabiach i koronkach, kobiety w haftowanych szalach z długimi frędzlami, wszystkie mówiły jednocześnie i bardzo głośno, każda chciała wiedzieć, co się dzieje. Do spódnic przywierały rozwrzeszczane dzieci. Rand

przepychał się między nimi, omijając kogo się dało, niewyraźnie przepaszając te, które potrącił, starając się ignorować oszołomione spojrzenia.

Jedna z kobiet, w szalu zarzuconym na ramiona, odwróciła się, by wejść do swego pokoju i wtedy zobaczył tylną część szala, zobaczył połyskującą białą łzę na samym środku pleców. Nagle rozpoznał twarze, które widział na zewnętrznym dziedzińcu. Poczul na sobie wzrok zaalarmowanych Aes Sedai.

— Kim jesteś? Co ty tu robisz?

— Czy twierdzą ktoś atakuje? Odpowiadaj, człowieku!

— To nie jest żaden żołnierz. Kim on jest? Co się dzieje?

— To ten młody lord z południa!

— Niech ktoś go zatrzyma!

Strach podważył mu wargi, obnażające zęby, ale nie zatrzymywał się, a nawet próbował biec jeszcze szybciej.

W pewnym momencie na korytarzu pojawiła się jakaś kobieta, stała twarzą w twarz naprzeciwko niego i wtedy zatrzymał się mimo woli. Tę twarz rozpoznałby wszędzie, czuł, że nie zapomni jej do końca życia. Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Na jego widok jej oczy rozszerzyły się, zrobiła krok w tył. Inna Aes Sedai, ta sama, którą wtedy widział z laską w dłoniach, stanęła między nim i Zasiadającą na Tronie, krzycząc coś, czego nie rozumiał z powodu narastającej wrzawy.

„Ona wie. Światłości dopomóż, ona wie. Moiraine jej powiedziała.”

Burknął coś opryskliwie i pobiegł dalej.

„Światłości, pozwól się tylko upewnić, że Egwene jest bezpieczna, zanim one...”

Słyszał za sobą krzyk, ale nie zwrócił na niego uwagi.

W całej twierdzy było dość zamieszania. Mężczyźni biegali po dziedzińcach z mieczami w dłoniach, w ogóle na niego nie patrząc. Na tle huku dzwonów alarmowych wyróżniały się inne hałasy. Krzyki. Wrzaski. Metal odbijający się dźwięcznie od metalu. Starczyło mu czasu, by pojąć, że to odgłosy bitwy — „Walka? We wnętrzu Fal Dara?” — gdy zza rogu wypadły prosto na niego trzy trolloki.

Ludzkie twarze zniekształcały włochate pyski, jednemu z nich wyrastały baranie rogi. Wyszczrzyły zęby i unosząc sierpowate miecze popędziły prosto w jego stronę.

Na korytarzu, który jeszcze chwilę temu był pełen biegnących ludzi, zrobiło się prawie zupełnie pusto, pozostał tylko on i trzech trolloków. Złapany z zaskoczenia niezdarnie wyciągnął miecz z pochwy i usiłował wykonać Kolibra Całującego Różę. Wstrząśnięty widokiem trolloków w samym sercu warowni Fal Dara, wykonał tę pozycję tak źle, że Lan zapewne uciekłby z niesmakiem. Trollok o niedźwiedzim pysku z łatwością się przed nią uchylił sprawiając, że pozostali dwaj na moment wypadli z rytmu.

Nagle minęło go kilkunastu rozpędzonych mężczyzn, biegli prosto na trolloków, ubrani częściowo do uczty, ale trzymali miecze w pogotowiu. Trollok o niedźwiedzim pysku warknął coś przed śmiercią, jego towarzysze umknęli, ściągani przez rozchybotaną stal. Powietrze rozbrzmiewało dochodzącymi zewsząd okrzykami i wrzaskiem.

„Egwene!”

Rand popędził w głąb warowni, pokonując korytarze pozbawione śladów życia, jakkolwiek tu i ówdzie napotykał na ciała martwych trolloków. Albo martwych ludzi.

Dobiegł do skrzyżowania korytarzy i spojrzął od tyłu na toczącą się walkę. Leżało tam nieruchomo sześciu zakrwawionych mężczyzn z kitami na głowach, siódmy właśnie ginął. Myrddraal wyciągnął swe ostrze z brzucha mężczyzny i zadał jeszcze jedno pchnięcie, żołnierz krzyknął przeraźliwie, wypuścił miecz z rąk i upadł. Pomor poruszał się z wężową gracją, okrywająca jego pierś zbroja, złożona z nakładających się czarnych płatów, dodatkowo wspomagała tę iluzję. Obrócił się, blada, bezoka twarz popatrzyła na Randa, po chwili już szedł w jego stronę, śmiejąc się bezkrwistym uśmiechem, bez pośpiechu. Nie musiał śpieszyć do samotnego człowieka.

Rand miał wrażenie, że ukorzenił się, zamierając w miejscu, język przysechł mu do podniebienia. Spojrzenie Bezokiego to strach. Tak powiadają na całym Pograniczu. Trzęsącymi się dłońmi uniósł miecz. Nawet nie pomyślał o przywołaniu pustki.

„Światłości, on dopiero co zabił siedmiu uzbrojonych żołnierzy. Światłości, co ja mam robić. Światłości!”

Myrddraal zatrzymał się nagle, jego uśmiech znikł.

— On jest mój, Rand.

Rand wzdrygnął się, gdy obok niego stanął Ingtar, ciemny i zwalisty, w żółtym świątecznym kaftanie, trzymał oburącz miecz. Na moment nie spuścił oczu z twarzy Myrddraala, nawet jeśli bał się jego spojrzenia, to zupełnie tego nie okazał.

— Ty sobie poćwicz na jakimś trolloku — powiedział cicho — zanim się zmierzysz z czymś takim.

— Szedłem właśnie sprawdzić, czy Egwene jest bezpieczna. Poszła do lochów odwiedzić pana Faina i...

— No więc idź do niej.

Rand przełknął ślinę.

— Zabierzmy się za niego razem, Ingtarze.

— Nie jesteś jeszcze gotów. Idź do swojej dziewczyny. No idź! Chcesz, żeby trolloki znalazły ją bezbronną?

Przez chwilę Rand trwał w miejscu, niezdecydowany. Pomor uniósł miecz, zamierzył się na Ingtara. Usta tamtego wykrzywiło bezgłośnie warknięcie, Rand

jednak wiedział, że to nie strach. A Egwene mogła być sama w lochu, w towarzystwie Faina albo i gorzej. Nadal jednak było mu wstyd, gdy biegł w stronę schodów wiodących do podziemi. Wiedział, że spojrzenie Pomora może zastraszyć każdego człowieka, jednak Ingтар pokonał tę groźbę. Nadal miał wrażenie, że jego żołądek zwinął się w supeł.

W podziemiach warowni panowała cisza, korytarze były mętnie oświetlone przez migoczące pochodnie rozwieszane w dużych odstępach na ścianach. W pobliżu lochów zwolnił i zaczął się skradać, najciszej jak potrafił, na palcach. Zgrzytanie butów po nagim kamieniu wydawało się rozsadzać uszy. Drzwi do lochów były uchylone na szerokość dłoni, miast być zamknięte i zaryglowane.

Wpatrzony w nie, bezskutecznie usiłował przełknąć ślinę. Otworzył usta, by zawołać, ale zaraz szybko je zamknął. Jeśli tam była Egwene i miała jakieś kłopoty, to krzykiem mógł tylko przestrzec tego, kto jej zagrażał. Opanował się, robiąc głęboki wdech.

Jednym szybkim ruchem popchnął drzwi pochwą miecza trzymaną w lewej dłoni i skoczył do środka, wystawiając ramię, by wykonać przewrót na słomie pokrywającej posadzkę, po czym zerwał się na nogi i jął obracać wokół własnej osi, by dokładnie ogarnąć wnętrze izby, i rozpaczliwie śledził tego, kto go mógł zaatakować. Wypatrywał Egwene, nikogo jednak nie zobaczył.

Jego wzrok padł na stół i wtedy stanął jak wryty, z zastygłym oddechem, z zastygłą myślą. Po obu stronach wciąż pałęj się lampy, niczym jakieś ozdobne nakrycia, leżały głowy strażników otoczone kałużami krwi. Ich oczy wpatrywały się w niego, wytrzeszczone ze strachu, usta rozdziawione w ostatnim krzyku, którego nikt nie mógł usłyszeć. Rand zakrztusił się i zgiął w pół, mdłości nie przedstawiały targać żołądkiem, gdy zwymiotował jego zawartość na słomę. W końcu jakoś udało mu się wyprostować, otarł usta rękawem, czując, że gardło ma zupełnie zdarte.

Powoli ogarniał całość wnętrza, niedokładnie zbadanego podczas pośpiesznego poszukiwania ewentualnych napastników. Na słomie wały się krwawe szczątki. Z wyjątkiem dwóch głów nie potrafił w nich rozpoznać nic ludzkiego. Niektóre z tych strzępów wyglądały na przeżute.

„To właśnie się stało z resztą ciała.”

Był zaskoczony spokojem, jaki opanował jego myśli, nieomal równy spokojowi pustki, którą osiągnął nawet się nie starając. Niejasno jednak przeczuwał, że spowodował to szok.

Żadnej z głów nie rozpoznał. Od czasu, gdy był tu poprzednio, strażników zmieniono. To go ucieszyło. Poczulby się o wiele gorzej, gdyby ich znał, nawet gdyby jednym z nich okazał się Changu. Krew plamiła także ściany, wszędzie tam gdzie spojrział, układała się w kształt pośpiesznie nagryzmołonych liter, pojedynczych słów, a nawet całych zdań. Jedne były zamazane i koślawe, w języku, którego nie rozumiał, choć rozpoznawał w nim pismo trolloków. Inne udało mu

się odcyfrować, czego zresztą żałował. Błuznierstwa i sprośności, od których nawet stajenny albo strażnik kupiecki by zbladł.

— Egwene.

Spokój znikł. Wsunął pochwę miecza za pas i porwał lampę ze stołu, ledwie zauważając, że roztrącił głowy.

— Egwene! Gdzie jesteś?

Zaczął iść w stronę wewnętrznych drzwi, zrobił dwa kroki i zatrzymał się z wytrzeszczonymi oczyma. Słowa wypisane na drzwiach, ciemne i połyskujące wilgocią w świetle lampy, dawały się odczytać całkiem łatwo.

SPOTKAMY SIĘ ZNOWU NA GŁOWIE TOMANA.  
TO SIĘ NIGDY NIE KOŃCZY, AL'THOR.

Nagle zdretniała dłoń wypuściła miecz. Nie odrywając oczu od drzwi, pochylił się, by go podnieść. Zamiast tego jednak, chwycił garść słomy i z furią zaczął ścierać słowa. Dysząc ciężko, szorował drzwi tak długo, aż napis zamienił się w krwawą plamę, ale nie mógł przestać.

— Co ty robisz?

Słyszając za sobą ostry głos, odwrócił się błyskawicznie, pochylając, by schwycić miecz.

Na progu zewnętrznych drzwi stała jakaś kobieta, zeszywniała z odrazy. Jej włosy, splecione w kilkanaście warkoczyków, swą barwą przypominały blade złoto, jednak ciemne oczy spoglądały na niego ostrym spojrzeniem. Z wyglądu nie była raczej starsza od niego, była piękna, choć zaciskała usta w grymasie, który mu się wcale nie podobał. Potem zauważył otulający ją szczelnie szal, z długimi, czerwonymi frędzlami.

„Aes Sedai. Światłości dopomóż, to Czerwona Ajah.”

— Ja... Ja właśnie... To obrzydlistwo. Wyjątkowo ohydne.

— Wszystko trzeba zostawić tak, jak jest, byśmy to mogły zbadać. Niczego nie dotykaj.

Zrobiła krok do przodu, przypatrując mu się, on zaś zrobił krok w tył.

— Tak, tak jak myślałam. Jeden z tych przywiezionych przez Moiraine. Co cię z tym łączy? — Gestem ręki ogarnęła głowy na stole i krwawe gryzmoły na ścianach.

Przez chwilę wpatrywał się w nią wybałuszonymi oczami.

— Ja? Nic! Ja tu przyszedłem, by znaleźć... Egwene!

Odwrócił się w stronę wewnętrznych drzwi, a Aes Sedai krzyknęła:

— Nie! Najpierw mi odpowiesz!

Znienacka okazało się, że jedyne, co może zrobić, to stać, trzymając lampę i miecz. Ze wszystkich stron napierało na niego lodowate zimno. Miał wrażenie,

jakby głowę wepchnięto w zmrożone imadło, ledwie mógł oddychać od ucisku w piersi.

— Odpowiadaj, chłopcze. Powiedz, jak się nazywasz.

Mimo woli stęknął głucho, usiłując coś powiedzieć pomimo zimna, które wydawało się wciskać mu twarz w głąb czaszki, oplatać pierś zamrzniętymi, żelaznymi obręczami. Zacisnął szczęki, by nic nie powiedzieć. Boleśnie przewracał oczami, próbując spojrzeć na nią groźnie przez płamę łez.

„Oby cię Światłość spaliła, Aes Sedai! Nie powiem ani słowa, niech cię Cień pochłonie!”

— Odpowiadaj, chłopcze! Natychmiast!

Lodowate igły przewierały jego mózg śmiertelnym bólem, zgrzytały na powierzchniach kości. Pustka ukształtowała się w jego wnętrzu, jeszcze zanim o niej pomyślał, ale już nie mógł wytrzymać tego bólu. Niewyraźnie poczuł światło i ciepło kryjące się gdzieś w oddali. Daleko poza świadomością, a jednak już w zasięgu.

„Światłości, co za ziąb. Muszę dotrzeć... do czego? Ona mnie chce zabić. Muszę do tego dotrzeć, bo inaczej ona mnie zabije.”

Rozpaczliwie parł w stronę światła.

— Co się tu dzieje?

Nagle zimno, ucisk i igły zniknęły. Czuł słabość w kolanach, ale zmusił je by zeszywniały. Nie chciał padać na klęczki, nie chciał jej dawać satysfakcji. Pustka zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

„Ona próbowała mnie zabić.”

Dyszac ciężko, uniósł głowę. Na progu stała Moiraine.

— Pytałam, co się tu dzieje, Liandrin — powiedziała.

— Znalazłam tu tego chłopca — odparła spokojnie Czerwona Aes Sedai. — Nie tylko jego, lecz również pomordowanych strażników. To jeden z tych twoich chłopców. A co ty tu robisz, Moiraine? Bitwa toczy się nad nami, a nie tutaj.

— Mogłabym ci zadać takie samo pytanie, Liandrin. — Moiraine rozejrzała się po izbie, lekko tylko zaciskając usta na widok rzezi. — Dlaczego ty tu jesteś?

Rand odwrócił się od nich w drugą stronę, niezdarnie odciągnął rygle i otworzył wewnętrzne drzwi.

— Tam jest Egwene — obwieścił wszystkim, których to interesowało i wszedł do środka, wysoko unosząc lampę. Jego kolana nadal miały ochotę się ugiąć, sam nie wiedział, jakim cudem jeszcze potrafił ustać, ale przede wszystkim musiał znaleźć Egwene. — Egwene!

Z prawej strony dobiegło go głucho rżenie i odgłosy szamotania, wyciągnął więc lampę w tamtym kierunku. Więzień w fantastycznym kaftanie zwisał z żelaznych krat swojej celi, jego pas był zaczepiony o pręty i owinięty wokół szyi. W momencie, gdy Rand na niego spojrział, wierzgnął nogą po raz ostatni, szorując stopami po usłanej sianem podłodze i znieruchomiał, język i wytrzeszczone oczy

nabrały nieomal czarnej barwy. Kolanami prawie dotykał podłogi, jakby w każdej chwili mógł na niej stanąć, gdyby tylko chciał.

Cały dygocząc, Rand zajął do następnej celi. Wielki mężczyzna o zniekształconych dłoniach kulił się w kącie, z oczyma tak szeroko wytrzeszczonymi, jakby zaraz miały się rozpaść. Na widok Randa krzyknął przeraźliwie i odwrócił w drugą stronę, oszalały czepiając się kamiennej ściany.

— Nic ci nie zrobię — zawołał Rand.

Mężczyzna nie przestawał krzyczeć i drapać muru. Zakrwawione ręce zostawiały długie, ciemne smugi. Nie po raz pierwszy usiłował się przebić przez kamień za pomocą gołych dłoni.

Rand odwrócił się, ulgą dla niego było to, że już wcześniej wypróżnił żołądek. Nie mógł jednak nijak pomóc żadnemu z nich.

— Egwene!

Światło wreszcie dotarło do ostatniej celi. Drzwi klatki, gdzie siedział Fain, stały otworem, w środku nie było nikogo, natomiast przed celą na kamiennej posadzce leżały dwa kształty, na widok których Rand skoczył do przodu i padł na kolana.

Egwene i Mat leżeli bezwładnie, nieprzytomni... albo martwi. Wtem, zauważył, że ich piersi unoszą się i opadają, i poczuł głęboką ulgę. Oboje wydawali się nietknięci.

— Egwene? Mat? — Odłożył miecz i delikatnie potrząsnął ciałem Egwene.  
— Egwene?

Nie otwierała oczu.

— Moiraine! Egwene jest ranna! Mat też!

Mat oddychał z wyraźnym trudem, a jego twarz była śmiertelnie blada. Rand miał wrażenie, że zaraz się rozplącze.

„On miał skrzywdzić mnie. To ja wezwałem Czarne. Ja!”

— Nie ruszaj ich. — W głosie Moiraine nie słychać było zdenerwowania, ani nawet zdziwienia.

Komnata znienacka została zalana powodzią jasności, gdy do środka weszły obydwie Aes Sedai. Każda trzymała nad swoją głową rozchybotaną kulę płonąca zimnym światłem.

Liandrin maszerowała środkiem przestronnej sali, wolną dłonią podtrzymując spódnicę, natomiast Moiraine zatrzymała się na chwilę przed dwoma więźniami.

— Z tym jednym nic już się nie da zrobić — powiedziała — a ten drugi może zaczekać.

Liandrin dotarła do Randa jako pierwsza i już pochylała się nad Egwene, jednak w tym momencie dopadła tam Moiraine i położyła wolną dłoń na czole dziewczyny. Liandrin wyprostowała się, jednak na jej twarzy rysował się grymas.

— Nie jest mocno ranna — orzekła po chwili Moiraine. — Uderzono ją tutaj. — Pokazała miejsce na skroni Egwene, ukryte pod włosami. Rand nie zauważył

tam niczego. — To jest jedyne obrażenie, którego zaznała. Nic jej nie będzie.

Rand przeniósł wzrok z jednej Aes Sedai na drugą.

— Co z Matem?

Liandrin wygięła brew w łuk i obróciła się, by popatrzeć na Moiraine z kwaśną miną.

— Cicho bądź — powiedziała Moiraine.

Zamknęła oczy, nie odejmując palców od miejsca, w które uderzono Egwene. Egwene mruknęła coś i poruszyła się, potem na powrót znieruchomiła.

— Czy ona...?

— Ona śpi, Rand. Wyzdrowieje, tylko najpierw musi to odespać. — Moiraine przesunęła się w stronę Mata, ale da tykała go tylko przez krótką chwilę i zaraz cofnęła rękę. — Z nim jest gorzej — powiedziała cicho. Obmacała pas Mata, rozchyliła jego kaftan i wydała gniewny okrzyk. — Sztylet zniknął.

— Jaki sztylet? — spytała Liandrin.

Nagle w zewnętrznej sali rozległy się głosy mężczyzn, okrzyki obrzydzenia i gniewu.

— Tutaj — zawołała Moiraine. — Przynieście nosze dla dwóch osób. Szybko.

Ktoś w zewnętrznej izbie powtórzył jej okrzyk.

— Fain zniknął — zauważył Rand.

Obydwie Aes Sedai spojrzały na niego. Nie potrafił nic wyczytać z ich twarzy. Oczy połyskiwały odbitym światłem.

— Sama to widzę — odparła beznamiętnym tonem Moiraine.

— Mówiłem jej, że ma tu nie przychodzić. Mówiłem, że on jest niebezpieczny.

— Kiedy tu weszłam — powiedziała zimnym głosem Liandrin — niszczył właśnie napis w zewnętrznej komnacie.

Niespokojnie poruszył się na klęczkach. Oczy obydwu Aes Sedai wyglądały identycznie. Mierzyły go i ważyły, zimne i straszne.

— To... to było plugastwo — odparł. — Tylko plugastwo.

Nadal wpatrywały się w niego, nic nie mówiąc.

— Nie myślicie chyba, że ja... Moiraine, ty chyba nie myślisz, że ja miałem coś wspólnego z tym... co się tu stało.

„Światłości, naprawdę? To ja wezwałem Czarnego.”

Nie odpowiedziała, a on poczuł chłód, który wcale nie zelżał, gdy do środka wbiegli mężczyźni z pochodniami i lampami. Moiraine i Liandrin pogasiły swoje kule. Lampy i pochodnie dawały znacznie mniej światła, wnet też cienie wyskoczyły z zakamarków celi. Mężczyźni z noszami pośpiesznie zbliżyli się do leżących na podłodze. Prowadził ich Ingtar. Kita na czubku jego głowy nieomal drżała z gniewu, wyraźnie miał ochotę znaleźć coś, na czym mógłby wypróbować swój miecz.

— A więc Sprzymierzeniec Ciemności też zniknął — warknął. — Cóż, to wydarzenie najmniej godne uwagi dzisiejszej nocy.



— Drobiazg nawet w tym miejscu — zgodziła się Moiraine ostrym tonem. Dyrgowała mężczyznami układającymi Egwene i Mata na noszach. — Dziewczyne trzeba zanieść do jej pokoju. Jakaś kobieta winna przy niej czuwać, w razie gdyby się obudziła w środku nocy. Może się przestraszyć, a bardziej niż czego innego potrzebuje teraz snu. Zaś ten chłopiec... — Dotknęła Mata, gdy dwaj mężczyźni unosili nosze i natychmiast cofnęła rękę. — Zabierzcie go do komnat Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Znajdźcie Amyrlin, gdziekolwiek jest, i powiedzcie, że go tam zanieśliście. Powiedzcie jej, że on się nazywa Matrim Cauthon. Dołączę do niej najszybciej jak się da.

— Do Amyrlin! — krzyknęła Liandrin. — Ty chcesz, by była Uzdrowicielką dla twego... dla twego pupila? Jesteś obłąkana, Moiraine.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin — odparła spokojnie Moiraine — nie żywi uprzedzeń właściwych Czerwonym Ajah, Liandrin. Ona uzdrowi mężczyznę, nawet jeśli nie jest jej do niczego potrzebny. Idźcie już! — rzuciła w stronę niosących nosze.

Liandrin popatrzyła na Moiraine i na mężczyzn wynoszących Mata i Egwene, po czym odwróciła się, by spojrzeć na Randa. Usiłował ją zlekceważyć. Skoncentrował się na chowaniu miecza do pochwy oraz otrzepywaniu słomy ze spodni i koszuli. Gdy jednak podniósł głowę, ona wciąż mu się przyglądała, z twarzą równie zimną i obojętną jak lód. Nic nie mówiąc, odwróciła się, by ogarnąć zamysłonym spojrzeniem pozostałych mężczyzn. Jeden przytrzymał ciało wisielca, drugi odczepiał pas. Ingtar i inni czekali z należnym szacunkiem. Jeszcze raz zerknęła na Randa i wyszła, z głową uniesioną jak jakaś królowa.

— Twarda kobieta — mruknął Ingtar i wyraźnie się zdziwił, że coś takiego mu się powiedziało. — Co się tu działo, Randzie al'Thor?

Rand pokręcił głową.

— Nic nie wiem z wyjątkiem tego, że Fain uciekł w jakiś sposób. I zranił przy tym Egwene i Mata. Widziałem izbę strażników... — rzekł i zadrżał. — To, co tam się stało, Ingtarze, tak przestraszyło tego człowieka, że aż się powiesił. Myślę, że ten drugi popadł w obłęd, gdy to zobaczył.

— Wszystkich nas dzisiejszej nocy dotknęło obłąkanie.

— A tamten Pomor... czy go zabiłeś?

— Nie! — Ingtar wcisnął swój miecz do pochwy, rękojeść wystawała ponad prawe ramię. Wyglądał na jednocześnie zagniewanego i zawstydzonego. — Zdążył uciec z twierdzy, razem z tymi wszystkimi, których nie udało nam się zabić.

— Przynajmniej ty żyjesz, Ingtarze. Tamten Pomor zabił siedmiu ludzi!

— Żyje? To aż takie ważne? — Nagle gniew zniknął z twarzy Ingtara, ustępując miejsca zmęczeniu i bólowi. — Mieliśmy go w rękach. W naszych rękach! I utraciliśmy, Rand. Utraciliśmy! — Mówił takim tonem, jakby sam nie wierzył w to, co mówi.

— Co straciliśmy? — spytał Rand.

— Róg! Róg Valere. Zniknął, razem ze skrzynką.

— Przecież był w skarbcu.

— Skarbiec został splądrowany — wyjaśnił zmęczonym głosem Ingtar. — Nic prawie nie wzięli, z wyjątkiem Rogu. Tylko to, co mogli napchać do kieszeni. Żałuję, że nie wzięli wszystkiego, a jego zostawili. Ronan nie żyje, a także ci strażnicy, którym kazał pilnować skarbcza. — Zniżył głos. — Kiedy byłem mały, Ronan utrzymał Wieżę Jehaan mając tylko dwudziestu ludzi przeciwko tysiącu trolloków. Ale nie poddał się tak łatwo. Starzec miał krew na sztylcie. Żaden człek nie może prosić o nic więcej. — Milczał chwilę. — Weszli przez Psią Bramę i wyszli tą samą drogą. Zabiliśmy pięćdziesięciu albo i więcej, ale zbyt wielu uciekło. Trolloki! Nigdy przedtem nie było trolloków w twierdzy. Nigdy!

— Jak oni mogli się przedostać przez Psią Bramę, Ingtarze? Jeden człowiek mógłby tam zatrzymać całą setkę. A poza tym wszystkie bramy były zamknięte. — Poruszył się niespokojnie, przypominawszy sobie, dlaczego tak było. — Strażnicy mieli nikomu ich nie otwierać.

— Mieli poderżnięte gardła — powiedział Ingtar. — Obydwaj byli porządnymi ludźmi, a zostali zarżnięci jak świnie. Zrobił to ktoś z wewnątrz. Ktoś ich zamordował, a potem otworzył bramę. Ktoś, kto mógł podejść do nich blisko, nie budząc podejrzeń. Ktoś, kogo znali.

Rand popatrzył na pustą celę, w której przedtem siedział Padan Fain.

— Ale to znaczy...

— Tak. W Fal Dara są Sprzymierzeńcy Ciemności. Albo byli. Wkrótce dowiemy się, jak jest naprawdę. Kajin sprawdza właśnie, kogo brakuje. Pokój! Zdrada w warowni Fal Dara!

Rozejrzał się gniewnym wzrokiem po lochach, przypatrzył się czekającym na niego ludziom. Wszyscy mieli miecze, przypasane do świątecznych strojów, niektórzy hełmy na głowach.

— Marnujemy czas. Wychodzić! Wszyscy!

Rand wyszedł razem z nimi. Ingtar poklepał jego kaftan.

— Cóż to? Postanowiłeś zostać stajennym?

— To długa historia — odparł Rand. — Za długa, by ją teraz opowiadać. Może innym razem.

„Może nigdy, jeśli będę miał szczęście. Może uda mi się uciec w tym całym zamieszaniu. Nie, nie mogę. Muszę najpierw wiedzieć, że Egwene jest zdrowa. I Mat. Światłości, co się z nim stanie bez sztyletu?”

— Domyślam się, że lord Agelmar podwoił strażę przy bramach.

— Potroił — powiedział Ingtar z wyraźną satysfakcją. — Nikt nie wejdzie, ani nie wyjdzie przez te bramy. Jak tylko lord Agelmar usłyszał, co się stało, wydał rozkaz, że nikomu nie wolno opuścić twierdzy bez jego pisemnego zezwolenia.

„Gdy tylko usłyszał...?”

— Ingtarze, a co było wcześniej? Kto wydał ten wcześniejszy rozkaz, że nikt nie może stąd wyjść?

— Wcześniejszy rozkaz? Jaki wcześniejszy rozkaz? Rand, twierdza nie była zamknięta, dopóki lord Agelmar nie dowiedział się o tym wszystkim. Ktoś wprowadził cię w błąd.

Rand powoli pokręcił głową. Ani Ragan ani Tema nie mogli wymyślić czegoś takiego. I nawet gdyby to Zasiadająca na Tronie Amyrlin wydała rozkaz, Ingtar musiałby o nim wiedzieć.

„Więc kto? I jak?”

Zerknął z ukosa na Ingtara, zastanawiając się, czy przypadkiem nie kłamie.

„Ty jesteś naprawdę obłąkany, skoro podejrzewasz Ingtara.”

Doszli do izby-strażników. Ucięte głowy i szczątki zostały już usunięte, tylko czerwone smugi na stole i wilgotne plamy na słomie wskazywały, gdzie się przedtem znajdowały. Były tam dwie Aes Sedai, kobiety o pogodnych obliczach, otulone w szale z brązowymi frędzlami, badały słowa nagryzmołone na ścianach, nie zważając na to, co ich spódnice zbierały z podłogi. Każda miała kałamarz ustawiony na piórniku przymocowanym do pasa i za pomocą pióra zapisywała coś w niewielkiej książeczce. Żadna nie spojrzała nawet na przechodzących obok mężczyzn.

— Popatrz tutaj, Verin — powiedziała jedna z nich, wskazując fragment kamiennej ściany pokryty rzędami pisma trolloków. — To wygląda interesująco.

Druga podeszła pośpiesznie, ścierając po drodze czerwone plamy ze spódnicy.

— Tak, widzę. O wiele pewniejsza dłoń niż pozostałe. Nie należała do trolloka. Bardzo interesujące.

Zaczęła coś pisać w swej książce, często podnosząc głowę, by odcyfrowywać kanciaste litery na ścianie.

Rand wyszedł pośpiesznie na zewnątrz. Nawet gdyby to nie były Aes Sedai, nie chciał pozostawać w tym samym pomieszczeniu z kimś, kto uważał, że odczytywanie pisma trolloków wypisanego ludzką krwią jest „interesujące”.

Ingtar i jego ludzie szli przodem, pochłonięci czekającymi ich obowiązkami. Rand ociągał się, nie bardzo wiedząc, dokąd się udać. Powrót do komnat kobiet nie byłby łatwy bez pomocy Egwene.

„Światłości, oby ona wyzdrowiała. Moiraine powiedziała, że nic jej nie będzie.”

Zanim wszedł na pierwszy stopień wiodący na górę, znalazł go Lan.

— Możesz wracać do swojej izby, jeśli chcesz, pasterzu. Moiraine kazała zabrać twoje rzeczy z pokoju Egwene i zanieść je tam.

— Skąd ona wiedziała...?

— Moiraine wie dużo rzeczy, pasterzu. Już powinienesz to rozumieć. Trzeba było bardziej uważać. Wszystkie kobiety opowiadają o tym, jak biegniesz przez korytarze i wymachiwałeś mieczem. Zgromiłeś Amyrlin wzrokiem, tak mówią.

— Światłości! Przykro mi, że je rozgniewałem, Lan, ale ja tam zostałem zaproszony. A kiedy usłyszałem alarm... Niech szczenę, Egwene była w lochach!

Lan wydał usta w zadumie, poza tym jego twarz zachowała zwykły, kamienny wyraz.

— Och, one wcale nie są specjalnie zagniewane. Jakkolwiek wiele uważa, że jakaś silna ręka powinna cię tu trzymać. Są bardziej zafascynowane. Nawet lady Amalisa nie przestaje o ciebie wypytywać. Niektóre zaczęły już wierzyć w opowieści służących. Uważają, że jesteś księciem w przebraniu, pasterzu. Co nie jest takie złe. Mamy takie powiedzenie na Ziemiach Granicznych: „Lepiej mieć u swego boku jedną kobietę niż dziesięciu mężczyzn.” Z tego, jak z sobą rozmawiają, wynika, że usiłują zdecydować, czyja córka jest dostatecznie silna, żeby się tobą zająć. Jak się nie będziesz pilnował, pasterzu, to wżenią cię w jakiś shienarański dom i nawet nie spostrzeżesz, co się dzieje.

Nagle wybuchnął śmiechem; wyglądało to dziwnie, jakby to skała się śmiała.

— Biegać po korytarzach komnat kobiecych w samym środku nocy, w kaftanie posługacza, i machać mieczem. Jeśli nie każą cię wychłostać, to przynajmniej będą o tobie gadały przez całe lata. W życiu nie widziały kogoś tak osobliwego jak ty. Każda żona, jaką by dla ciebie wybrały, z pewnością uczyniłaby cię głową swego domu już po dziesięciu latach i jeszcze pomogła myśleć, że sam tego dokonałeś. Szkoda, że musisz wyjechać.

Rand dotąd gapił się jak oniemiały na Strażnika, teraz jednak wybuchnął opryskliwym głosem:

— Staralem się. Bramy są strzeżone i nikt nie może stąd wyjść. Próbowałem, gdy jeszcze był dzień. Nawet nie mogłem wyprowadzić Rudego ze stajni.

— Teraz to nieważne. Moiraine mnie przysłała, żebym ci powiedział. Możesz odejść, kiedy tylko będziesz chciał. Nawet w tej chwili. Moiraine kazała Agelmarrowi, by jego rozkaz nie obejmował twojej osoby.

— Czemu teraz, a nie wcześniej? Czemu nie mogłem odejść wcześniej? Czy to ona kazała zaryglować bramy? Ingtar twierdzi, że nic nie wiedział o rozkazie zatrzymania wszystkich ludzi w warowni na dzisiejszą noc.

Randowi wydało się, że Strażnik się zaniepokoił, usłyszał jednak tylko:

— Jak ktoś ci daje konia, pasterzu, to nie narzekaj, że nie jest tak szybki, jak byś chciał.

— A co z Egwene? I Matem? Czy naprawdę nic im nie jest? Nie mogę wyjechać, dopóki się o tym nie przekonam.

— Dziewczyna jest zdrowa. Obudzi się rano i pewnie nawet nie będzie pamiętała, co się stało. Ciosy w głowę zawsze tak działają.

— A co z Matem?

— Wybór należy do ciebie, pasterzu. Możesz wyjechać teraz albo jutro, albo w przyszłym tygodniu. To zależy od ciebie.

Ruszył przed siebie, pozostawiając Randa samego, na korytarzu w podziemiach twierdzy Fal Dara.

## KREW PRZYZYWA KREW

Gdy z komnat Zasiadającej na Tronie Amyrlin wyniesiono już nosze z leżącym na nich Matem, Moiraine pieczołowicie owinęła *angreal* — niewielką, pociemniałą ze starości figurkę kobiety w zwiewnej szacie, wyrzeźbioną z kości słoniowej — w kwadratowy kawałek jedwabiu i schowała do sakiewki. Praca z innymi Aes Sedai, wspólne łączenie ich zdolności, kierowanie przepływem Jedynej Mocy dla realizacji pojedynczego celu, męczyło nawet w najbardziej sprzyjających warunkach, nawet z pomocą *angrealu*, a całonocnej pracy, bez ani chwili snu, nie dawało się zaliczyć do sprzyjających warunków. A dzieło, które wykonywały przy chłopcu, nie było łatwe.

Leane dyrygowała mężczyznami wynoszącymi nosze. Czyniła to za pomocą gwałtownych gestów i dosadnych słów. Obydwaj stale pochylali głowy, zdenerwowani, że otacza ich tyle Aes Sedai, w tym sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin, nie wspominając już o fakcie, iż dopiero co używały Mocy. Czekali dotychczas na korytarzu, przycupnięci pod ścianą, dopóki praca nie została ukończona i już bardzo pragnęli zniknąć wreszcie z kobiecych komnat. Mat leżał z zamkniętymi oczyma i mocno pobladłą twarzą, lecz jego pierś unosiła się i opadała równym rytmem głębokiego snu.

„Jak to wpłynie na przebieg wydarzeń? — zastanawiała się Moiraine. — Mat nie jest do niczego potrzebny, skoro Róg zniknął, ale jednak...”

Drzwi za Leane i mężczyznami przenoszącymi nosze zamknęły się, Zasiadająca westchnęła ciężko.

— To paskudna sprawa. Paskudna.

Rysy twarzy miała gładkie, zacierała jednak ręce, jakby chciała je umyć.

— Ale dość ciekawa — stwierdziła Verin. Była czwartą Aes Sedai, którą Zasiadająca wybrała do tego zadania. — Szkoda, że nie mamy sztyletu, bo wtedy dzieło Uzdrawienia zostałoby zakończone. Na przekór wszystkiemu, co dzisiaj nocy uczyniliśmy, on długo nie pociągnie. To sprawa miesięcy, w najlepszym razie.

Trzy Aes Sedai były same w komnatach Amyrlin. Na niebie widocznym przez otwory strzelnicze perlił się już świt.

— Ale przynajmniej zostało mu kilka miesięcy — ostrym tonem wskazała

Moiraine. — I jeśli uda się odzyskać sztylet, więz zostanie przerwana.

„O ile uda się go odzyskać. No tak, to jasne.”

— Jeśli jeszcze można ją przerwać — zgodziła się Verin.

Była przysadzistą kobietą o kwadratowej twarzy i mimo braku oznak wieku, daru przysługującego wszystkim Aes Sedai, jej kasztanowe włosy lekko siwiały. Tylko to stanowiło u niej ślad przeżytych lat, świadcząc, że jest bardzo stara, nawet jak na Aes Sedai. Mówiła jednak dźwięcznym głosem, harmonizującym z gładkimi policzkami.

— Był jednak z nim związany bardzo już długo, co należy brać pod uwagę. I może być z nim związany jeszcze w przyszłości, niezależnie od tego, czy sztylet zostanie odnaleziony. Być może zaszły w nim zmiany, które uniemożliwią pełne Uzdrawienie, nawet jeśli nie będzie już mógł zarażać skazą innych. To taki niewielki przedmiot, ten sztylet — zadumała się — a zanieczyści każdego, kto będzie go nosił przy sobie dostatecznie długo. Zaś ten, który ma go przy sobie, będzie z kolei zanieczyszczał wszystkich, którzy wejdą z nim w kontakt, a oni będą zanieczyszczać następnych i cała nienawiść i podejrzliwość, które zniszczyły Shadar Logoth, te ręce, które wszyscy mężczyźni i kobiety podnieśli na innych, znowu wyrwą się na świat. Ciekawam, ilu ludzi to zło może zakazić w ciągu, powiedzmy, jednego roku. To chyba można obliczyć z dość dokładnym przybliżeniem.

Moiraine obdarzyła Brązową Siostrę krzywym spojrzeniem.

„Czeka nas kolejne niebezpieczeństwo, a ona o nim mówi, jakby to była zagadka z książki. Światłości, te Brązowe naprawdę w ogóle nie zwracają uwagi na to, co się wokół nich dzieje.”

— Zatem musimy odnaleźć ten sztylet, Sostro. Agelmar wysyła swoich ludzi, by schwytali tych, którzy zabrali Róg i zabijali jego sługi, tych samych, którzy zabrali sztylet. Jeśli znajdą jedno, to znajdą też i drugie.

Verin przytaknęła, jednocześnie marszcząc czoło.

— Jeśli jednak sztylet zostanie odnaleziony, to kto będzie go w stanie bezpiecznie dostarczyć? Ten, kto go znajdzie, naraża się na ryzyko skażenia, ponieważ będzie miał go przy sobie dostatecznie długo. Nawet w jakiejś skrzyni, porządnie opakowanej i wyścielonej od środka, nadal będzie przez długi czas niebezpieczny dla wszystkich znajdujących się w pobliżu. Nie będąc w stanie zbadać sztyletu, nie możemy być pewne, jak dokładnie trzeba go osłonić. Ty jednak go widziałaś, Moiraine, i nie tylko. Miałaś z tym sztyletem do czynienia, gdy pomagałaś temu młodemu człowiekowi, by mógł przeżyć kontakt z nim i nie zarażał innych. Zapewne masz spore pojęcie o tym, jak silny jest jego wpływ.

— Jest jeden człowiek — oświadczyła Moiraine — który może odzyskać sztylet, sam się przy tym nie narażając. Ten, którego otoczyłyśmy polem ochronnym i zabezpieczyłyśmy przeciwko skazie najlepiej, jak tylko się dało. Mat Cauthon.

Amyrlin skinęła głową.

— Tak, oczywiście. On może to zrobić. O ile będzie żył dostatecznie długo.

Światłość tylko wie, jak daleką drogę przewędruje sztylet, zanim ludzie Agelmara go znajdą. O ile go znajdą. A jeśli chłopiec umrze wcześniej... Cóż, gdy sztylet pozostanie bez dozoru tak długo, wówczas przybędzie nam jeszcze jedno zmartwienie. — Przetarła oczy zmęczonym gestem. — Myślę, że musimy też odnaleźć Padana Faina. Dlaczego ten Sprzymierzeniec Ciemności jest dla nich aż taki ważny, że narażali się na ryzyko, by go wyratować? Łatwiej było poprzestać na kradzieży Rogu. Co prawda, wejście do takiej warowni to podobne ryzyko jak żeglowanie po Morzu Sztormów przy zimowym wietrze, a jednak poważyli się na podwójne ryzyko, by wyswobodzić tego Sprzymierzeńca Ciemności. Skoro Zaczajeni uważają, że jest tak ważny...

Urwała, a Moiraine wiedziała, że zastanawia się, czy to rzeczywiście Myrddraale wydawali rozkazy.

— Wówczas my też tak musimy myśleć.

— Trzeba go znaleźć — zgodziła się Moiraine, z nadzieją, że nie okazuje zaniepokojenia zbyt wyraźnie — ale najprawdopodobniej odnaleziony zostanie wraz z Rogiem.

— Jest dokładnie, jak mówisz, Córko. — Zasiadająca przycisnęła palce do ust, by stłumić ziewnięcie. — A teraz, Verin, jeśli mi wybaczysz, chciałabym zamienić kilka słów z Moiraine, i trochę się przespać. Spodziewam się, że Agelmar uprze się, by wydać dziś ucztę, skoro ubiegły wieczór został zepsuty. Okazałaś bezcenną pomoc, Córko. Proszę pamiętać, nie mów nikomu o charakterze obrażeń, na jakie cierpi ten chłopiec. Niektóre z naszych Sióstr dopatrywałyby się w nim wpływu Cienia, a nie czegoś, co jest dziełem wyłącznie ludzkim.

Nie trzeba było wymieniać Czerwonych Ajah. A być może, przyszło na myśl Moiraine, nie tylko Czerwonych należało się teraz wystrzegać.

— Nic, rzecz jasna, nie powiem, Matko. — Verin ukloniła się, lecz nie wykonała ani jednego ruchu w stronę drzwi. — Pomyślałam, że może zechcesz to obejrzeć, Matko.

Wyciągnęła zza pasa niewielką książeczkę, oprawną w miękką, brązową skórę.

— To zostało napisane na ścianach lochów. Jest kilka kłopotów z przekładem. Większość napisów jest ta sama co zawsze, bluźnierstwa i przechwałki, trolloków wyraźnie nie stać na nic więcej. Niemniej jednak pewien fragment wykonała inna, znacznie bardziej umiętna dłoń. Wykształcony Sprzymierzeniec Ciemności albo Myrddraal. Może to zwykła drwina, a jednak ubrana w formę wiersza albo pieśni, zdaje się brzmieć jak prorocтво. Niewiele wiemy o prorocत्वach Cienia, Matko.

Zasiadająca wahała się tylko chwilę i skinęła głową. Proroctwa Cienia, ciemne proroctwa, na nieszczęście spełniały się tak samo, jak proroctwa Światłości.

— Przeczytaj mi to.

Verin przekartkowała książeczkę, chrząknęła i zaczęła czytać spokojnym, jednostajnym głosem.



Człowiek, co przenosi, samotnie stoi.  
Przyjaciół swych w ofierze składa.  
Dwie drogi przed nim, jedna ku śmierci gorszej od umierania,  
druga ku życiu wiecznemu.  
Którą obierze? Którą obierze?  
Czyja dłoń chroni? Czyja dłoń morduje?  
Krew karmi krew.  
Krew przyzywa krew.  
Krwia jest, krwią była i krwią na zawsze zostanie. Luc przybył do Gór

Przeznaczenia

Isam na wysokich przełęczach czekał  
Polowanie zaczęte. Psy Cienia gonitwę podjęły,  
mordem pochłonięte.  
Jeden żył, a drugi umarł, obaj zaś istnieją.  
Nadszedł Czas Zmiany  
Krew karmi krew.  
Krew przyzywa krew.  
Krwia jest, krwią była i krwią na zawsze zostanie.  
Stróże na Głowie Tomana czekają.

Młota nasienie pali pradawne drzewo.  
Śmierć obsieje pola, lato je spali, zanim nadejdzie  
Wielki Pan.  
Śmierć zbierze plon, a ciała uwiędną, zanim nadejdzie  
Wielki Pan.  
Raz jeszcze nasienie zabije pradawne zło, zanim nadejdzie  
Wielki Pan.  
Nadchodzi już Wielki Pan  
Nadchodzi już Wielki Pan  
Krew karmi krew.  
Krew przyzywa krew.  
Krwia jest, krwią była i krwią na zawsze zostanie.  
Nadchodzi już Wielki Pan.

Gdy skończyła, zapanowało długie milczenie.  
W końcu Amyrlin przemówiła:  
— Kto jeszcze to widział, Córko? Kto o tym wie?  
— Jedynie Serafelle, Matko. Jak tylko skopiowałyśmy ten wiersz, kazałam  
oczyścić ściany. Ludzie nie zadawali pytań, bardzo chcieli pozbyć się jak naj-  
szybciej tych napisów.  
Amyrlin skinęła głową.

— To dobrze. Zbyt wielu na Ziemiach Granicznych umie odczytywać pismo trolloków. Lepiej nie dawać im kolejnych powodów do zmartwień. Już mają ich w nadmiarze.

— Co z tego rozumiesz? — spytała ostrożnie Moiraine. — Myślisz, że to prorocstwo?

Verin przekrzywiła głowę, pogrążona w myślach przypatrywała się notatkom.

— Być może. Formą przypomina tę garść znanych nam czarnych prorocstw. A niektóre fragmenty są całkiem zrozumiałe. Ale nadal może to być zwykła drwina. — Przyłożyła palec do jednego z wersów. — „Nadchodzi znowu Córka Nocy.” Może to oznaczać jedynie, że Lanfear znowu wyrwała się na wolność. Albo ktoś chce, żebyśmy tak myśleli.

— To by nas mocno zaniepokoiło, Córko — powiedziała Zasiadająca na Tronie Amyrlin — gdyby to się okazało prawdą. Jednakowoż Przekłęci wciąż są uwięzieni.

Zerknęła na Moiraine, przelotnie okazując zdenerwowanie, lecz zaraz opanowała twarz.

— Mimo że pieczęcie słabną, Przekłęci wciąż są uwięzieni.

Lanfear. W Dawnej Mowie: Córka Nocy. W żadnych zapiskach nie padało jej prawdziwe imię, to natomiast sama sobie wybrała, w odróżnieniu od większości Przeklętych, którym imiona nadali przez nich zdradzeni. Zdaniem niektórych była najpotężniejszą z Przeklętych, tuż po Ishamaelu, Zdrajcy Nadziei, ale kryła się ze swą potęgą. Zbyt mało zostało z tamtych czasów, by jakkolwiek badacz mógł orzec coś, będąc całkowicie przekonany o słuszności swej tezy.

— Biorąc pod uwagę wszystkich fałszywych Smoków, którzy ostatnio się objawili, nie jest zaskakujące, że ktoś chciałby w to wmieszać Lanfear.

Głos Moiraine pozostał równie niezmacony jak twarz, lecz wewnętrznie cała się gotowała. O Lanfear wiedziano bez wątpliwości tylko jedno: jeszcze zanim przeszła na stronę Cienia, była kochanką Lewsa Therina Telamona, zanim tamten poznał Ilyenę.

„Komplikacja do niczego nam niepotrzebna.”

Zasiadająca na Tronie Amyrlin zasępiła się, jakby przyszło jej do głowy to samo, natomiast Verin pokiwała głową, dla niej to były wyłącznie słowa.

— Inne imiona też są oczywiste, Matko. Lord Luc, to naturalnie brat Tigraine, w owym czasie Dziedziczki Tronu Andoru, który zniknął w Ugorze. Nie wiem natomiast, kim jest Isam i co on miał wspólnego z Lukiem.

— W swoim czasie dowiemy się wszystkiego, co trzeba wiedzieć — orzekła bez zająknięcia Moiraine. — Nie istnieje żaden dowód, że to prorocstwo.

Znała to imię. Isam był synem Breyan, żony Laina Mandragoram, której próba przejścia tronu Malkier na rzecz swego męża spowodowała inwazję hord trolloków. Breyan i jej nieletni syn zniknęli, gdy hordy zalały całą Malkier. Isama łączyły z Lanem więzy krwi.

„A może nadal łączą? Muszę to przed nim ukryć, dopóki się nie dowiem, jak zareaguje. Dopóki jesteśmy z dala od Ugoru. Gdyby on się dowiedział, że Isam wciąż żyje. . .”

— Stróże czekają na Głowie Tomana — ciągnęła Verin. — Jest paru takich, którzy obstawają przy twierdzeniu, że armie, które Artur Hawking posłał na drugi brzeg Oceanu Aryth, powrócą któregoś dnia, natomiast przez cały ten czas. . . — Z pogardą pociągnęła nosem. — Do Miere A’vron, Obserwujący Fale nadal są zorganizowani w. . . społeczność, to chyba najlepsze słowo. Przypuszczam, że. . . ta społeczność osiedliła się na Głowie Tomana, w Falme. A jeden z dawnych przydomków Artura Hawkinga brzmiał Młot Światła.

— Sugerujesz, Córko — powiedziała Zasiadająca na Tronie Amyrlin — że armie Artura Hawkinga, a raczej ich potomkowie, mogą rzeczywiście powrócić po tysiącu latach?

— Krążą pogłoski o wojnie toczącej się na Równinie Almoth i Głowie Tomana — wolno oświadczyła Moiraine. — A Hawking posłał tam nie tylko armie, lecz również dwóch swoich synów. Jeśli oni przeżyli w tej krainie, do której w końcu dotarli, to całkiem też możliwe, że wciąż żyją potomkowie Artura Hawkinga. Albo wcale nie.

Zasiadająca ostrzegła Moiraine wzrokiem, najwyraźniej żałując, że nie są same, bo wtedy mogłaby zapytać Moiraine, do czego właściwie zmierza. Moiraine uspokoiła ją gestem, na co jej przyjaciółka zareagowała skrzywieniem.

Verin, z nosem wciąż w notatkach, w ogóle tego nie zauważyła.

— Ja nie wiem, Matko. Ale wątpię w to wszystko. Nic nie wiemy o ziemiach, na które Artur Hawking wysłał swych zdobywców. Bardzo niedobrze, że Lud Morza nie godzi się przepłynąć Oceanu Aryth. Powiadają, że po jego drugiej stronie leżą Wyspy Zmarłych. Szkoda, że nie wiem, o czym właściwie mowa, ale ta przekłeta małomówność Ludu Morza. . . — Westchnęła, wciąż nie podnosząc głowy, — Wszystko, czym dysponujemy, to jedno odniesienie do „ziem skrytych przez Ciebie, za zachodzącym słońcem, za Oceanem Aryth, gdzie panują Armie Nocy.” Wcale z tego nie wynika, czy armiom, które posłał tam Hawking, udało się pokonać te „Armie Nocy” albo w ogóle przetrwać śmierć Hawkinga. Kiedy wybuchła Wojna Stu Lat, wszyscy zaledwie byli zajęci wykrawaniem własnej części imperium Hawkinga, by poświęcić choć jedną myśl jego armiom znajdującym się za oceanem. Wydaje mi się, Matko, że gdyby ich potomkowie wciąż jeszcze żyli i mieli zamiar powrócić, wówczas nie ociągali by się tak długo.

— A zatem twoim zdaniem, Córko, to nie jest prorocstwo?

— Weźmy teraz to „pradawne drzewo” — powiedziała Verin, pogrążona we własnych myślach. — Zawsze krążyły pogłoski, tylko i wyłącznie pogłoski, że lud Almoth, gdy jeszcze istniał, był w posiadaniu gałązki *Avendesory*, być może nawet żywego szczepu. A sztandar Almoth był „błękitny w imię nieba i czarny w imię ziemi, połączonych rozłożystym Drzewem Życia”. Naturalnie mieszkańcy

Tarabonu Drzewem Człowieka nazywali samych siebie i twierdzili, że wywodzą się z władców i szlacheckich rodów z Wieku Legend. Istnieją jeszcze inne możliwości, ale z pewnością zauważysz, Matko, że co najmniej trzy skupiają się wokół Równiny Almoth i Głowy Tomana.

Głos Amyrlin brzmiał zwodniczo łagodnie.

— Czy orzekniesz coś wreszcie, Córko? Jeśli potomni Artura Hawkinga jednak nie mają powrócić, to ten napis nie jest prorocstwem, a to pradawne drzewo znaczy tyle samo, co łeb śniętej ryby.

— Mogę ci podać tylko tyle, co wiem, Matko — powiedziała Verin, podnosząc wzrok znad swych notatek — i pozwolę, byś sama się na ten temat wypowiedziała. Jestem przekonana, że ostatnie niedobitki armii Artura Hawkinga wyginęły dawno temu, ale samym przekonaniem jeszcze nie sprawiam, by tak naprawdę było. Czas Zmiany, naturalnie, odnosi się do końca Wieku, a Wielki Pan. . .

Zasiadająca uderzyła w stół z siłą grzmotu.

— Doskonale wiem, kim jest Wielki Pan, Córko. Myślę, że powinnaś już stąd odejść. — Zrobiła głęboki wdech i wyraźnie się opanowała. — Idź, Verin. Nie chcę się na ciebie gniewać. Nie chcę zapominać, na czyj rozkaz kucharze piekli na noc ciastka, gdy byłam nowicjuską.

— Matko — odezwała się Moiraine — nie ma w tym nic, co by sugerowało, że to prorocstwo. Każdy, kto ma choć odrobinę rozumu i wiedzy, potrafiłby coś takiego ułożyć, a nikt nigdy nie twierdził, że Myrddraalom nie staje rozumu.

— I rzecz jasna — dodała spokojnie Verin — człowiek, co przenosi, oznacza jednego z tych trzech młodych ludzi, którzy ci towarzyszą, Moiraine.

Moiraine utkwiała w niej oszołomiony wzrok.

„Nie mają pojęcia, co się wokół nich dzieje? Ale ja jestem głupia.”

Zanim się połapała, co robi, sięgnęła do pulsującej łuny, do Prawdziwego Źródła. Jedyna Moc pomknęła jej żyłami, napełniając energią, tłumiąc blask Mocy otaczający Zasiadającą na Tronie Amyrlin, która zrobiła dokładnie to samo. Moiraine nigdy przedtem nie przyszło do głowy, by użyć Mocy przeciwko innej Aes Sedai.

„Żyjemy w niebezpiecznych czasach i świat balansuje nad przepaścią, więc trzeba zrobić to, co trzeba. Trzeba. Och, Verin, dlaczego musiałaś wtykać nos tam, gdzie nie jego miejsce?”

Verin zamknęła książeczkę i wsunęła ją z powrotem za pas, potem popatrzyła kolejno na obie kobiety. Oczom jej nie mógł umknąć widok poświaty, otaczającej każdą z nich, tego światła, które brało się z dotykania Prawdziwego Źródła. Tylko ktoś wyszkolony do przenoszenia mógł dostrzec łunę, jednak żadna Aes Sedai nie mogła jej przeoczyć u drugiej kobiety.

Do twarzy Verin przyłgał cień satysfakcji, niczym jednak nie zdradziła, czy wie, że to, co powiedziała, przypomina grom z jasnego nieba. Przypominała tylko osobę, która znalazła kawałek pasujący do układanki.

— Tak, tak mi się wydało, że tak musi być. Moiraine nie mogła zrobić tego sama, a kto mógł jej pomagać w tym lepiej, niż jej przyjaciółka z młodości, ta sama, która razem z nią wymykała się ukradkiem na dół, by wykraść ciastka? — Zamrugła. — Wybacz mi, Matko. Nie powinnam była tego mówić.

— Verin, Verin. — Amyrlin pokręciła głową z niedowierzaniem. — Oskarżasz swoją siostrę... i mnie?... Nawet nie wypowiem, o co. I martwisz się, że przemówiłaś do Zasiadającej na Tronie Amyrlin w zbyt poufały sposób? Wybiłaś otwór w dnie łodzi, i teraz martwisz się, że tonie. Zastanów się, co ty sugerujesz, Córko.

„Za późno, Siuan — pomyślała Moiraine. — Gdybyśmy nie popadły w panikę i nie sięgnęły do Źródła, to być może wtedy... Ale ona już się upewniła.”

— Dlaczego nam to mówisz, Verin? — spytała głośno. — Jeśli wierzysz w to, co mówisz, to powinnaś wyjawiać to innym siostronom, szczególnie Czerwonym.

Oczy Verin rozszerzyły się ze zdumieniem.

— Tak. Tak, chyba powinnam. Nie przyszło mi to do głowy. Ale gdybym to uczyniła, to ty zostałabyś ujarzmiona, Moiraine, i ty też, Matko, a ten mężczyzna poskromiony. Nikt nigdy nie opisywał progresji zachodzącej w mężczyźnie, który włada Mocą. Kiedy dokładnie objawia się szaleństwo i w jaki sposób nim owłada? Jak szybko się rozwija? Czy on może funkcjonować, skoro jego ciało gnije? Jak długo? O ile nie zostanie poskromiony, to co ma się stać z tym młodym człowiekiem? Jeśli się go przypilnuje i udzieli mu wskazówek, będziemy mogły coś rejestrować, przynajmniej przez jakiś czas. A poza tym pozostaje jeszcze *Cykl Karaethon*. — Spokojnie wytrzymała ich oszołomione spojrzenia. — Zakładam, Matko, że to on jest Smokiem Odrodzonym? Nie wierzę, że dopuściłabyś, by człowiek potrafiący przenosić Moc, mógł poruszać się na wolności, o ile to nie Smok.

„Jej chodzi wyłącznie o wiedzę — pomyślała z podziwem Moiraine. — Oto kulminuje najstraszliwsze proroctwo, jakie znane jest światu, być może oznaczające koniec tego świata, a ją obchodzi wyłącznie wiedza. Ale mimo to nadal jest niebezpieczna.”

— Kto jeszcze o tym wie? — Amyrlin mówiła słabym, a mimo to wciąż władczym głosem. — Domyślam się, że Serafelle. Kto jeszcze, Verin?

— Nikt, Matko. Serafelle nie interesuje się specjalnie niczym, czego już nie opisano w księgach, i to w miarę możliwości w czasach jak najbardziej zamierzonych. Jej zdaniem po całym świecie rozproszonych jest tyle starych ksiąg, manuskryptów i fragmentów, że ilością swą przewyższają dziesięciokrotnie nasze zbiory w Tar Valon. Żywi przekonanie, iż jest jeszcze dużo dawnej wiedzy, którą można odszukać...

— Dostyc, Sostro — przerwała jej Moiraine.

Puściła Prawdziwe Źródło i po chwili poczuła, że Amyrlin zrobiła to samo. Odplywowi Mocy zawsze towarzyszyło uczucie utraty, jakby to była krew i ży-

cie uciekające z otwartej rany. Jakaś jej cząstka pragnęła nadal dotykać Źródła, lecz w odróżnieniu od niektórych swoich siostr, zgodnie z najważniejszym celem narzucanej sobie dyscypliny, nie szukała upodobania w tym uczuciu.

— Usiądź, Verin, i powiedz nam, co wiesz i jak się tego dowiedziałaś. Niczego nie pomijaj.

Verin wzięła krzesło — spojrzawszy na Amyrlin, czy ta pozwoli jej usiąść w swej obecności — a Moiraine przypatrywała się jej smutnym wzrokiem.

— To niepodobna — zaczęła Verin — by ktoś, kto dokładnie studiuje stare księgi, nie zauważył nic więcej prócz waszego dziwnego zachowania. Wybacz mi, Matko. Już dwadzieścia lat temu, podczas oblężenia Tar Valon, natknęłam się na pierwszą wskazówkę, a było to tylko...

„Światłości, dopomóż mi. Verin, jak ja cię kochałam za te ciastka i za to twoje łono, na którym mogłam się wypłakać. Zrobię jednak to, co muszę. Zrobię to. Muszę.”

\* \* \*

Perrin wyjrzał ostrożnie zza rogu na oddalające się plecy Aes Sedai. Pachniała lawendowym mydłem, czego inni wcale by nie wyczuli nawet z bardzo bliska. Gdy tylko zniknęła z zasięgu wzroku, pośpieszył do drzwi infirmerii. Już wcześniej próbował zobaczyć się z Matem, a ta Aes Sedai — słyszał, jak ktoś ją nazywał Leane — omal nie przycięła mu głowy, nawet nie patrząc, kim jest. W pobliżu Aes Sedai czuł się nieswojo, szczególnie wtedy, gdy próbowały spojrzeć mu w oczy.

Nasłuchiwał chwilę przy drzwiach — nie słyszał niczyich kroków z obu stron korytarza, jak również nic po drugiej stronie drzwi — wszedł do środka i ostrożnie zamknął je za sobą.

Izba infirmerii była długa, miała białe ściany, z wejść na balkony dla łuczników, po obu jej stronach, padało do wewnątrz mnóstwo światła. Mat leżał na jednym z wąskich łóżek, stojących rzędem pod ścianą. Perrin spodziewał się, że po ostatniej nocy większość nich powinna być zajęta, ale zaraz sobie przypomniał, iż twierdza jest pełna Aes Sedai. Jediną rzeczą, której Aes Sedai nie potrafiły uleczyć swym Uzdrawianiem, była śmierć. Czuł jednak, że w izbie pachnie chorobą.

Perrin skrzywił się na myśl o chorobie. Mat leżał spokojnie, z zamkniętymi oczyma, dłonie trzymał nieruchomo na okrywających go kocach. Wyglądał na wyczerpanego. Nawet nie na mocno chorego, a raczej tak, jakby przepracował trzy dni na polu i dopiero teraz położył się, by wypocząć. Pachniał... nie najlepiej, co by nie mówić. Perrin nie potrafił określić tego zapachu. Po prostu był to zły

zapach.

Przysiadł ostrożnie na sąsiednim łóżku. Zawsze wszystko robił ostrożnie. Zawsze był roślejszy od większości ludzi, roślejszy od innych chłopców, od tak dawna, jak sięgał pamięcią. Musiał uważać, by komuś przypadkowo nie zrobić krzywdy albo czegoś nie rozbić. To już zdążyło stać się jego drugą naturą. Zawsze też lubił wszystko z góry przemyśleć, a czasami dodatkowo omówić z kimś innym.

„Ponieważ Randowi wydaje się, że jest jakimś lordem, nie mogę z nim pogadać, a Mat z pewnością nie będzie miał zbyt wiele do powiedzenia.”

Ubiegłej nocy poszedł do jednego z ogrodów, żeby się nad wszystkim zastanowić. Pod wpływem tego wspomnienia nadal ogarniał go wstyd. Gdyby tam nie poszedł, byłby blisko Egwene i Mata, i może wtedy nie zrobiono by im krzywdy. Wiedział jednak, że najprawdopodobniej leżałby teraz na którymś z tych łóżek, podobnie jak Mat, albo już by nie żył, ale to nie zmieniało jego stanu uczuć. Poszedł do ogrodu i to nie miało nic wspólnego z atakiem trolloków, którym tak się teraz przejmował.

Siedział w mroku i znalazły go tam usługujące kobiety oraz jedna z dam należących do świty lady Amalisy, lady Timora. Na jego widok Timora kazała tamtym natychmiast pobiec dalej, usłyszał, jak im nakazała:

— Znajdźcie Liandrin Sedai! Szybko!

Stały jak wryte, wpatrzone w niego takim wzrokiem, jakby myślały, że zaraz zniknie w oparach dymu, jak jakiś bard. Dokładnie w tym momencie rozległy się pierwsze dzwony alarmowe i wszyscy w twierdzy zaczęli nagle biegać.

— Liandrin — mruknął teraz. — Czerwona Ajah. One się zajmują wyłącznie mężczyznami, którzy potrafią prze. nosić Moc. Nie myślisz chyba, że jej zdaniem ja jestem jednym z takich, prawda?

Mat naturalnie nie odpowiedział. Spochmurniały Perrin podrapał się po nosie.

— Gadam do siebie. Jeszcze tylko tego mi brakowało na domiar wszystkiego.

Powieki Mata zatrzepotały.

— Kto...? Perrin? Co się stało? — Nie podniósł do końca powiek, a sądząc po głosie, właściwie ciągle jeszcze spał.

— Nie pamiętasz, Mat?

— Czego? — Mat sennym ruchem uniósł dłoń do twarzy, po czym opuścił ją z westchnieniem. Powieki znowu zaczynały opadać. — Pamiętam Egwene. Poprosiła, żebym poszedł... z nią... na spotkanie z Fainem. — Jego śmiech przeszedł w ziewnięcie. — Nie poprosiła. Nakazała... Nie wiem, co się stało potem... — Zacisnął usta i znowu zaczął oddychać głębokim, równym oddechem snu.

Perrin poderwał się na nogi, uszy jego bowiem pochwyciły odgłos zbliżających się kroków, ale nie miał gdzie się ukryć. Nadal stał obok łóżka Mata, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła Leane. Zatrzymała się, wsparła zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach i wolno zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Nieomal dorównywała mu wzrostem.

— Jesteś młodzieńcem nieomal tak pociągającym, że przy tobie wręcz żałuję, że nie wywodzę się z Zielonych — zaczęła cichym, a jednocześnie dźwięcznym głosem. — Nieomal. Jeśli jednak zdenerwowałeś mojego pacjenta... cóż, zanim przeszłam do Wieży, miewałam już do czynienia z braćmi prawie tak dużymi jak ty, więc nie myśl sobie, że te barki na coś ci się zdadzą.

Perrin kaszlnął. Często nie rozumiał, o co chodzi kobietom, gdy mówiły różne rzeczy.

„Inaczej niż Rand. On zawsze wie, co powiedzieć dziewczynie.”

Zorientował się, że w jego spojrzeniu z pewnością czai się groźba, więc z miejsca się jej pozbył. Nie chciał myśleć o Randzie, a nade wszystko nie chciał denerwować jakiejś Aes Sedai, szczególnie tej tutaj, która już zaczynała przytupywać nogą ze zniecierpliwienia.

— Ależ... ja go wcale nie denerwowałem. Nadal śpi, nie widzisz?

— Istotnie. To dobrze dla ciebie. Ale właściwie, co ty tu robisz? Pamiętam, że już raz cię stąd przepędziłam, nie myśl sobie, że zapomniałam.

— Chciałem się tylko dowiedzieć, jak on się miewa.

Zawahała się.

— Miewa się mianowicie tak, że śpi. A za kilka godzin wstanie z tego łóżka i będzie się wydawało, że nigdy mu nic nie było.

Pod wpływem jej wahania zaperzył się. Być może kłamała, choć Aes Sedai nigdy nie kłamią, ale też nie zawsze mówią prawdę. Nie bardzo wiedział, co się dzieje — Liandrin go szukała, a Leane okłamywała — pomyślał jednak, że już czas najwyższy, by wreszcie uwolnić się od Aes Sedai. Nie mógł nic zrobić dla Mata.

— Dziękuję — powiedział. — To w takim razie niech on śpi dalej. Wybacz, proszę.

Usiłował prześliznąć się obok niej, kierując się w stronę drzwi, jednak zniecka wyciągnęła ręce i chwyciła jego głowę, przyciągając twarz do swej twarzy, by móc zajrzeć w oczy. Miał wrażenie, że coś przez niego przepływa, ciepła fala, która zaczęła się w czubku głowy, dotarła do stóp, a potem zawróciła. Wyrwał się z jej dłoni.

— Jesteś zdrowy jak młode, dzikie zwierzę — powiedziała, wydymając wargi.

— Ale jeśli masz te oczy od urodzenia, to ja jestem Białym Płaszczem.

— Zawsze miałem te same oczy — warknął.

Lekko się zmieszał, że przemówił do Aes Sedai takim tonem, ale zdziwiony był tak samo jak ona, gdy schwycił ją delikatnie za ramiona i uniósłszy, postawił na bok, usuwając ze swojej drogi. Popatrzeni na siebie, a on zastanawiał się, czy jego oczy są podobnie rozwarte z oszołomienia jak jej.

— Wybacz, proszę — powtórzył i pobiegł.

„Moje oczy. Moje przez Światłość przekłete oczy!”



Promienie porannego słońca odbiły się od nich, zalśniły niczym wypolerowane złoto.

\* \* \*

Rand przewracał się na łóżku, usiłując znaleźć wygodną pozycję na cienkim materacu. Przez szczeliny strzelnicze przesączało się światło słońca, ozłacając nagie, kamienne mury. Nie spał podczas pozostałej części nocy i mimo zmęczenia był przekonany, że już nie uda mu się zasnąć. Skórzany kaftan leżał na podłodze między jego łóżkiem a ścianą, ale resztę rzeczy miał na sobie, łącznie z nowymi butami. Miecz stał oparty o łóżko, łuk i kołczan leżały w kącie, na tobołkach z ubraniem.

Nie umiał się wyzbyć uczucia, że powinien skorzystać z szansy, którą dała mu Moiraine i natychmiast wyjechać. To pragnienie nie opuszczało go przez całą noc. Trzy razy podnosił się, by ruszyć w drogę. Dwa razy posunął się nawet tak daleko, że otworzył drzwi. Na korytarzach było pusto, z wyjątkiem służących wykonujących późne posługi, droga była wolna. Musiał się jednak upewnić.

Pojawił się Perrin, ze spuszczoną głową, mocno ziewając. Rand podniósł się.

— Jak się czuje Egwene? I Mat?

— Ona śpi, tak mi powiedziano. Nie chcieli mnie wpuścić do kobiecych komnat, bym mógł się z nią zobaczyć. Mat jest. . . — Nagle Perrin spochmurniał i wbił wzrok w podłogę. — Skoro tak się nim interesujesz, to czemu sam nie poszedłeś go zobaczyć? Już myślałem, że w ogóle cię nie interesujemy. Sam to zresztą powiedziałeś.

Otworzył swoją część szafy i zaczął przetrząsać rzeczy w poszukiwaniu czystej koszuli.

— Poszedłem do infirmerii, Perrin. Była tam jedna Aes Sedai, ta wysoka, która zawsze towarzyszy Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Powiedziała, że Mat śpi, że przeszkadzam i mogę przyjść kiedy indziej. Bardzo była podobna do pana Thane'a, gdy wydaje rozkazy swoim ludziom w młynie. Wiesz, jaki jest pan Thane, opryskliwy, każdy według niego ma wszystko robić dobrze od samego początku i to jak najszybciej.

Perrin nie odpowiedział. Zrzucił tylko z siebie kaftan i ściągnął koszulę przez głowę.

Rand przez chwilę wpatrywał się w plecy przyjaciela, a potem parsknął śmiechem.

— Chcesz coś usłyszeć? Wiesz, co ona mi powiedziała? Ta Aes Sedai w infirmerii. Widziałeś, jaka ona jest wysoka. Wysoka jak większość mężczyzn.

Gdyby miała więcej wzrostu, to mogłaby mi patrzeć prosto w oczy. No więc zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem mruknęła: „Wysoki jesteś, co? Gdzieś ty był, jak ja miałam szesnaście lat? Albo chociaż trzydzieści?” A potem zaczęła się śmiać, jakby to wszystko było żartem. I co ty na to?

Perrin wbił się wreszcie w świeżą koszulę i spojrzał na niego spode łba. Z tymi zwalistymi ramionami i gęstymi lokami przypominał Randowi rannego niedźwiedzia. Niedźwiedzia, który nie rozumie, dlaczego go zraniono.

— Perrin, ja. . .

— Jeśli chcesz sobie żartować z Aes Sedai — wszedł mu w słowo Perrin — to twoja sprawa, wasza lordowska mość. — Zaczął wpychać koszulę do spodni. — Ja nie spędzam tyle czasu na. . . dowcipkowaniu, to chyba właściwe słowo? . . . w obecności Aes Sedai. No, ale ja jestem tylko nieokrzesanym kowalem i mógłbym jeszcze komuś zawadzać, wasza lordowska mość.

Porwał kaftan z podłogi i ruszył w stronę drzwi.

— Niech szczenę, Perrin, naprawdę przepraszam. Bałem się i myślałem, że mam kłopoty. Może je miałem, może nadal je mam, nie wiem, i nie chciałem, żebyście ty i Mat dzielili je ze mną. Światłości, ubiegłej nocy szukały mnie wszystkie kobiety. Zdaje się, że to właśnie jest część tego kłopotu, w który się wpakowałem. Tak myślę. A Liandrin. . . Ona. . . — Gwałtownie wyrzucił ręce w górę. — Perrin, wierz mi, nie chciałbyś doświadczyć tego na własnej skórze.

Perrin znieruchomiał, stał jednak przed drzwiami i tylko odrobinę odwrócił głowę, pozwalając Randowi zobaczyć jedno złote oko.

— Szukały cię? Może szukały nas wszystkich?

— Nie, one szukały właśnie mnie. Wolałbym, by było inaczej, ale wiem lepiej.

Perrin potrząsnął głową.

— Wiem, że Liandrin też mnie chciała widzieć. Słyszałem.

Rand zmarszczył brew.

— Po co miałaby. . . ? To niczego nie zmienia. Popatrz, pierwszy otworzyłem usta i przyznałem, że źle postąpiłem. Naprawdę nie chciałem, Perrin. A teraz proszę, powiedz mi o Macie.

— On śpi. Leane, tak się nazywa ta Aes Sedai, powiedziała, że za kilka godzin już wstanie. — Niespokojnie wzruszył ramionami. — Myślę, że kłamała. Wiem, że Aes Sedai nigdy nie kłamią, w każdym razie nie można ich na tym przyłapać, ale ona kłamała albo coś kryła. — Umilkł, patrząc z ukosa na Randa. — Naprawdę zrobiłeś to wszystko nieumyślnie? Wyjedziemy stąd razem? Ty, ja i Mat?

— Nie mogę, Perrin. Nie mogę ci powiedzieć dlaczego, ale naprawdę muszę jechać sam. . . Perrin, zaczekaj!

Drzwi zatrzęsły się za przyjacielem.

Rand opadł z powrotem na łóżko.

— Nie mogę ci powiedzieć — mruknął. Uderzył pięścią w bok łóżka. — Nie mogę.

„Za to możesz jechać już teraz — odezwał się jakiś głos w jego głowie. — Egwene będzie zdrowa. Mat wstanie za jakąś godzinę lub dwie. Możesz już odejść. Zanim Moiraine zmieni zdanie.”

Zaczął się nawet powoli podnosić, ale łomotanie do drzwi sprawiło, że gwałtownie poderwał się na nogi. Gdyby to wracał Perrin, na pewno by nie pukał. Łomotanie rozległo się ponownie.

— Kto tam?

Do izby wszedł Lan, zatraskując za sobą drzwi piętą. Jak zwykle miał przy sobie miecz, przypasany do zwykłego kaftana, tego, który dzięki zielonej barwie nieomal ginął na tle lasu. Tym razem jednak lewe ramię miał obwiązane szeroką złotą wstęgą, ozdobioną na końcach frędzlami sięgającymi mu nieomal do łokcia. Do supła przypięty był złoty żuraw w locie, symbol Malkier.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin chce cię widzieć, pasterzu. Nie możesz tak iść. Ściągaj koszulę i uczesz włosy. Przypominają stóg siana.

Otworzył szafę i zaczął grzebać w rzeczach, które Rand zamierzał zostawić.

Rand stał jak zamurowany, miał wrażenie, że ktoś go uderzył obuchem w głowę. Naturalnie jakoś to przeczuwał, ale był przekonany, że zdąży zniknąć, zanim nadejdzie wezwanie.

„Ona wie. Światłości, jestem tego pewien.”

— Co to znaczy, że ona chce mnie widzieć? Ja wyjeżdżam, Lan. Miałeś rację. Idę zaraz do stajni, biorę konia i wyjeżdżam.

— Trzeba to było zrobić ubiegłej nocy. — Strażnik rzucił na łóżko koszulę z białego jedwabiu. — Nikt nie odmawia audiencji u Zasiadającej na Tronie Amyrlin, pasterzu. Nawet lord Kapitan Komandor Białych Płaszczy. Pedron Niall potrafiłby całą noc planować, jak ją zabić, gdyby mógł to zrobić bezkarnie, ale na wezwanie stawiłby się.

Odwrócił się i podniósł w górę jeden z kaftanów z wysokim kołnierzem, które trzymał w ręku.

— Ten może być.

Po każdym rękawie pięty się haftowane złotą nicią grube linie poplątanych pńczy o długich cierniach, takie same oplataty mankiety. Na kołnierzu, obrzeżonym złotem, odznaczały się złote czaple.

— Kolor też jest właściwy. — Wyraźnie coś go bawiło albo cieszyło. — No dalej, pasterzu. Zmień koszulę. Rusz się.

Rand z niechęcią ściągnął przez głowę koszulę ze zgrzebnej wełny.

— Będę się czuł jak jakiś dureń — wybąkał. — Jedwabna koszula! W życiu nie miałem na sobie jedwabnej koszuli. I nigdy też nie nosiłem takiego wymyślnego płaszcza, nawet w święto.

„Światłości, jak Perrin mnie w tym zobaczy... Niech szesz, po całej tej głupiej gadaninie o byciu lordem, jak on mnie w tym zobaczy, to już nigdy nie będzie chciał słuchać mojego tłumaczenia.”

— Nie możesz stanąć przed Zasiadającą na Tronie Amyrlin ubrany jak stajenny, który właśnie skończył swoją robotę przy koniach, pasterzu. Pokaż mi swoje buty. Mogą być. No dalej, ruszaj się, ruszaj. Nie każ Amyrlin czekać. Nie zapomnij o mieczu.

— Mój miecz! — Jedwabna koszula na głowie Randa stłumiła jęk. Pociągnął ją gwałtownie w dół. — W komnatach kobiet? Lan, jeśli pójde na audiencję do Amyrlin. . . do Zasiadającej na Tronie Amyrlin, z mieczem u pasa, to ona. . .

— Nic nie robi — przerwał mu kwaśnym tonem Lan. — Jeśli Amyrlin się ciebie boi, a lepiej, byś myślał, że się nie boi, bo ja nie znam niczego, czego ta kobieta by się bała, to na pewno nie jest to zasługa miecza. A teraz zapamiętaj, masz uklęknąć, jak już do niej podejdziesz. Tylko na jedno kolano, to ważne — przestrzegł go. — Nie jesteś jakimś kupcem, przyłapanym na niedoważaniu. Może lepiej przećwicz.

— Wydaje mi się, że to potrafię. Widziałem jak Gwardziści Królowej przyklękali przed Królową Morgase.

Wargi Strażnika tknęły cień uśmiechu.

— Tak, zrób to tak, jak oni. To im da co nieco do myślenia.

Rand zmarszczył czoło.

— Dlaczego mi to mówisz, Lan? Jesteś Strażnikiem. Zachowujesz się tak, jakbyś był po mojej stronie.

— Jestem po twojej stronie, pasterzu. Trochę. Tyle, by ci pomóc. — Twarz Strażnika przypominała kamień, a przyjazne słowa, wygłaszane opryskliwym tonem, brzmiały dziwacznie. — Nauczyłem cię wszystkiego, co mogłem, i nie pozwolę, żebyś się upodlił i popłakał. Koło wplata nas wszystkich do Wzoru zgodnie ze swą wolą. Ty masz w swych działaniach jeszcze mniej swobody niż większość ludzi, ale na Światłość, przyjmij to stojąc. Pamiętaj, kim jest Zasiadająca na Tronie Amyrlin, pasterzu, i okaż jej należyty szacunek, ale zrób to, co ci radzę i patrz jej w oczy. No, nie stój tu tak i nie gap się. Schowaj koszulę do spodni.

Rand zamknął usta i schował koszulę.

„Pamiętać, kim ona jest? Niech szczenę, czego ja bym nie dał, żeby móc zapomnieć, kim ona jest!”

Lan nie przestawał wydawać poleceń, Rand w tym czasie nałożył czerwony kaftan i przypasał miecz. Co mówić i do kogo, a czego nie mówić. Co robić, a czego nie robić. A nawet, jak się ruszać. Nie był pewien, czy to wszystko spałmięta — większość wydawała się dziwna i łatwa do zapomnienia — i czuł, że właśnie tym, czego zapomni, wprawi Aes Sedai w złość.

„O ile już nie są złe. Skoro Moiraine powiedziała o wszystkim Zasiadającej, to komu jeszcze powiedziała?”

— Lan, czemu nie mogę zwyczajnie wyjechać, tak jak zamierzałem? Zanim by się dowiedziała, że jednak się przed nią nie stawię, już bym pokonał strażników pilnujących murów i dalej galopował.

— A ona wysłałaby za tobą pościg, zanim byś zdążył daleko odjechać. Amyrlin dostaje to, czego chce. — Poprawił pas Randa, sprzączka znalazła się teraz pośrodku. — To, co dla ciebie robię, jest dla ciebie najlepsze. Wierz mi.

— Ale po co to wszystko? Co to wszystko znaczy? Dlaczego mam przykładąć rękę do serca, gdy Zasiadająca na Tronie Amyrlin wstanie? Dlaczego mam odmówić wszystkiego prócz wody, dlaczego mam uronić trochę na podłogę i powiedzieć: „Ziemię dręczy pragnienie”? A jak mnie spyta, ile mam lat, to czemu mówić, ile lat upłynęło od czasu, gdy dano mi miecz? Nie rozumiem połowy z tego, co mi powiedziałeś.

— Trzy krople, pasterzu, nie rozlej wszystkiego. Masz nakapać tylko trzy krople. Zrozumiesz później, o ile teraz to zapamiętasz. Traktuj to jak podtrzymywanie obyczaju. Zasiadająca postąpi z tobą tak, jak musi. Jeśli uważasz, że możesz tego uniknąć, to znaczy, że twoim zdaniem możesz polecieć do księżycy jak Lenn. Nie możesz uciec, ale może uda ci się przez jakiś czas nie ugiąć i przynajmniej zachować swoją dumę. Niech mnie Światłość spali, pewnie marnuję czas, ale nie mam nic lepszego do roboty. Nie ruszaj się.

Strażnik wyciągnął z kieszeni spory kawałek szerokiej, ozdobionej frędzlami wstęgi i obwiązał nim ramię Randa. Do supła przypiął szpilę emaliowaną na czerwono, zwieńczoną orłem z rozpostartymi skrzydłami.

— Kazałem to wykonać dla ciebie i znakomicie pasuje do tej okazji. To im da do myślenia.

Teraz już nie było żadnych wątpliwości. Strażnik się uśmiechał.

Rand popatrzył na szpilę zafrasowanym wzrokiem. *Caldazar*. Czerwony Orzeł Manetheren.

— Cierń dla stopy Czarnego — wymamrotał — i kolec dla jego dłoni. — Spojrzał na Strażnika. — Manetheren umarło dawno temu i poszło w niepamięć. Lan. Teraz to tylko nazwa występująca w księgach. Na ich miejscu są Dwie Rzeki, a ja, czego by nie mówić, jestem pasterzem i rolnikiem. To wszystko.

— Cóż, miecz, którego nie można było złamać, został w końcu roztrzaskany na kawałki, pasterzu, ale walczył z Cieniem do końca. Istnieje jedna zasada, nadrzędna wobec wszystkich innych, dla każdego mężczyzny. Cokolwiek by się działo, trzeba to przyjąć stojąc. No jak, jesteś już gotów? Zasiadająca na Tronie Amyrlin czeka.

Czując chłodny węzeł gdzieś w brzuchu, Rand wyszedł w ślad za Strażnikiem na korytarz.

# SMOK ODRODZONY

Z początku Rand siedł obok Strażnika na zeszywniałych nogach, bardzo znerwowany.

„Przyjmij to stojąc”.

Lanowi łatwo to było mówić. To nie jego wzywała Zasiadająca na Tronie Amyrlin. On się nie zastanawiał, czy nie poskromią go przypadkiem przed zachodem słońca, albo czy nie zrobią czegoś jeszcze gorszego. Rand miał wrażenie, że coś mu uwięzło w gardle; nie mógł przełknąć śliny, choć bardzo tego potrzebował.

Korytarze roiły się od ludzi, służących, którzy uwijali się przy swych porannych obowiązkach, oraz wojowników z mieczami przypasanymi do domowych strojów. Kilku małych chłopców z drewnianymi mieczami kręciło się obok starszych, naśladując ich kroki. Nie zostało ni śladu po walce, jednakże atmosfera powszechnej czujności udzieliła się nawet dzieciom. Dorośli mężczyźni przypominali koty zaczajone na stado szczurów.

Ingтар obdarzył Randa i Lana jakimś osobliwym spojrzeniem, nieomal zakłopotanym, otworzył usta, ale nic nie powiedział, gdy go mijali. Kajin, wysoki, chudy, o niezdrowej cerze, uderzył się pięściami w głowę i wykrzyknął:

— *Tai'shar Malkier! Tai'shar Manetheren!*

Prawdziwa krew Malkier. Prawdziwa krew Manetheren.

Rand drgnął.

„Światłości, dlaczego on to powiedział? Nie bądź głupcem — przekonywał siebie. — Oni tu wszyscy wiedzą o Manetheren. Znają wszystkie dawne opowieści, w których jest choć trochę o walce. Niech szczenę, muszę się opanować.”

Lan uniósł pięści w odpowiedzi.

— *Tai'shar Shienar!*

A gdyby się powążył, to czy potrafiłby zniknąć w tłumie na dostatecznie długą chwilę, by zdążyć dopaść swego konia?

„Jeśli ona pośle za mną pościg. . .”

Napięcie rośnie w nim z każdym krokiem.

Gdy już doszli do komnat kobiet, Lan nagle warknął:

— Kot Pokonujący Dziedziniec!

Zaskoczony Rand instynktownie zaczął iść w sposób, jakiego go nauczono, z wyprostowanym grzbietem, lecz rozluźnionymi mięśniami, jakby zwisał z drutu rozpiętego nad głową. Był to spokojny, nieomal arogancki, powolny krok. Jego spokój był jednakże tylko pozorny. Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co robi. Równym krokiem pokonali ostatni zakręt korytarza.

Kobiety strzegące wejścia do komnat podniosły swe zrównoważone oblicza, gdy nadeszli. Niektóre siedziały za pochyłymi stołami, sprawdzając coś w wielkich księgach i czasami coś do nich wpisując. Inne robiły na drutach lub haftowały na tamborku. Wartę pełniły nie tylko kobiety w jedwabiach, lecz także służące w świątecznych sukniach. Zwieńczone łukiem drzwi stały otworem, nikt ich nie strzegł oprócz tych kobiet. Bo nie było też potrzeby. Żaden Shienaranin by tu nie wszedł bez zaproszenia, a każdy byłby gotów bronić tych drzwi w razie potrzeby, przy czym taka konieczność wprowadziłaby go w absolutną konsternację.

Rand czuł wrzenie w żołądku, palące i żrące.

„Spójrz tylko na nasze miecze i zaraz nas zawrócą. Cóż, tego właśnie chcę, nieprawdaż? Jeśli nas zawrócą, to może jednak uda mi się uciec. O ile nie każą strażom nas ścigać”.

Z rozpaczą uczeplił się pozycji, którą pokazał mu Lan, naśladowującej gałązkę na powierzchni wody, tylko dzięki niej nie odwrócił się na pięcie i nie uciekł.

Jedna z dam ze świąty lady Amalisy, Nisura, kobieta o okrągłej twarzy, odłożyła na bok swój haft i wstała, gdy się zatrzymali. Omiotła wzrokiem miecze i zacisnęła usta, ale nie odezwała się ani słowem. Wszystkie kobiety zaprzestały krzątać się i tylko patrzyły, ciche i napięte.

— Cześć wam obydwóm — powiedziała Nisura, lekko skłaniając głowę. Zerknęła na Randa tak przelotnie, że wcale nie był pewien, czy rzeczywiście zerknęła. Przypomniało mu się, co mówił Perrin.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin was oczekuje.

Gestem ręki kazała im ruszyć, a dwie inne damy — nie służące, bo okazywano im zaszczyt — poszły przodem jako eskorta. Obydwie ukłoniły się, o włos niżej niż Nisura i nakazały im przejść pod łukiem. Spojrzały raz z ukosa na Randa, a potem już w ogóle na niego nie patrzyły.

„Czy one szukały nas wszystkich, czy tylko mnie? Czemu wszystkich?”

W środku obdarzono ich spojrzeniami, które mówiły: aż dwóch mężczyzn w komnatach kobiet, gdzie mężczyźni stanowili jakże rzadki widok. Rand spodziewał się tych spojrzeń, a ich miecze były przedmiotem ataku więcej niż jednej uniesionej brwi, jednak żadna z kobiet nie odezwała się ani słowem. Obydwaj zostawiali na swej drodze zawiązki rozmów, szepty tak ciche, że Rand nie mógł nic zrozumieć. Lan kroczył do przodu, jakby nic nie zauważał. Rand trzymał się o krok z tyłu za swoją eskortą i żałował, że nic nie słyszy.

W pewnym momencie dotarli do komnat Zasiadającej na Tronie Amyrlin, w korytarzu przed drzwiami stały trzy Aes Sedai. Wysoka Aes Sedai, Leane, trzy-

mała swą laskę ze złotym płomieniem. Rand nie znał pozostałych dwóch, jedna należała do Białych Ajah, druga do Żółtych, sądząc po barwie frędzli. Przypominał sobie jednak ich twarze, zagapione na niego, gdy pędem pokonywał te same korytarze. Gładkie twarze Aes Sedai, z oczyma pełnymi wiedzy. Lustrowały go z uniesionymi brwiami i wydętymi ustami. Kobiety, które przyprowadziły Lana i Randa dygnęły, oddając ich w ręce Aes Sedai.

Leane obejrzała się na Randa z nieznacznym uśmiechem. W porównaniu z uśmiechem głos zabrzmiał jak warknięcie.

— Kogoś ty dziś sprowadził do Zasiadającej na Tronie Amyrlin, Lanie Gaidin? Młodego Iwa? Lepiej by Zielone go nie widziały, bo jeszcze któraś z nich zwiąże go z sobą, zanim zdąży odetchnąć. Zielone lubią wiązać z sobą młodych.

Rand zastanawiał się, czy to możliwe, by człowiek się pocił pod skórą. Miał wrażenie, że z nim tak się właśnie działo. Miał ochotę spojrzeć na Lana, ale przypomniał sobie tę część zaleceń Strażnika.

— Jestem Rand al'Thor, syn Tama al'Thora, z Dwu Rzek, dawniej Manetheren. Tak jak zostałem wezwany przez Zasiadającą na Tronie Amyrlin, Leane Sedai, tak też i stawiam się. Jestem gotów. — Był zaskoczony, że głos ani razu mu nie zadrżał.

Leane zamrugła, a jej uśmiech zbladł, ustępując miejsca zamyśleniu.

— Czy to niby jest ten pasterz, Lanie Gaidin? Dziś rano nie był tak pewien siebie.

— Jest mężczyzną, Leane Sedai — odparł bez zająknięcia Lan — niczym więcej, niczym mniej. Jesteśmy, kim jesteśmy.

Aes Sedai pokręciła głową.

— Świat z każdym dniem staje się coraz dziwniejszy. Przypuszczam, że ten kowal nałoży koronę i przemówi wzniosłym stylem.

Zniknęła we wnętrzu komnaty, by zapowiedzieć ich przybycie.

Nie było jej zaledwie kilka chwil, Rand jednak zdążył poczuć się nieswojo pod wpływem wzroku pozostałych Aes Sedai. Próbował niewzruszenie odwzajemnić ich spojrzenia, tak jak mu zalecił Lan, a one przysunęły do siebie głowy i zaczęły coś szeptać.

„O czym one rozmawiają? Co one wiedzą? Światłości, czy one zamierzają mnie poskromić? Co ten Lan mówił o przyjmowaniu wszystkiego, co się zdarzy?”

Wróciła Leane i nakazała Randowi wejść do środka. Gdy Lan ruszył jego śladem, przyłożyła laskę do jego piersi, zagrządzając mu drogę.

— Ty nie, Lanie Gaidin. Moiraine Sedai ma dla ciebie inne zadanie. Twoje lwiątko samo o siebie zadba.

Drzwi zatrzasnęły się za Randem, ale jeszcze usłyszał głos Lana, żarliwy i pełen siły, ale przeznaczony wyłącznie dla jego uszu.

— *Tai'shar Manetheren!*



Po jednej stronie komnaty siedziała Moiraine, po drugiej jedna z tych Brązowych Aes Sedai, które widział w lochach, jednak jego wzrok przykuła przede wszystkim kobieta siedząca na wysokim krześle za szerokim stołem. Zastłony były częściowo zasunięte na otworach łuczniczych, światło, które wpadało przez zostawione w nich szpary, nie pozwalało widzieć dokładnie jej twarzy. Rozpoznał ją jednak. Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

Szybko przykląkł na jedno kolano, z lewą ręką na rękojeści miecza, drugą pięść wspierając na wzorzystym dywanie i skłonił głowę.

— Tak jak mnie wezwałaś, Matko, tak też się stawiam. Jestem gotów. — Uniósł głowę w samą porę, by zauważyć, jak unosi brew.

— Doprawdy, chłopcze? — W jej głosie słyszało się nieledwie rozbawienie. I coś jeszcze, czego nie potrafił odczytać. Na twarzy z pewnością nie było żadnego rozbawienia. — Wstań, chłopcze i pozwól mi się przyjrzeć.

Wyprostował się i próbował zachować spokojną twarz. Musiał mocno się starać, by nie zaciskać dłoni.

„Trzy Aes Sedai. Ilu ich potrzeba do poskromienia jednego mężczyzny? Za Logainem posłały ich kilkanaście, albo i więcej. Czy Moiraine zrobiłaby mi to?”

Spojrzał Zasiadającej na Tronie Amyrlin prosto w oczy. Nawet nie mrugnęła powieką.

— Usiądź, chłopcze — powiedziała w końcu, wskazując krzesło z drabinkowym oparciem, ustawione pod kątem prostym do stołu. — Obawiam się, że to nie potrwa krótko.

— Dziękuję ci, Matko. — Skłonił w tym momencie głowę, jak przykazał mu Lan, zerknął na krzesło i dotknął miecza. — Jeśli pozwolisz, Matko, wołę stać. Warta nigdy nie ma końca.

Przywódczyni Aes Sedai wydała z siebie odgłos irytacji i spojrzała na Moiraine.

— Dopuszciasz do niego Lana, Córko? Przepawa z nim będzie już i tak trudna bez obyczajów Strażników.

— Lan uczył wszystkich chłopców, Matko — odparła spokojnie Moiraine. — Temu poświęcił nieco więcej czasu niż pozostałym, bowiem on nosi miecz.

Brązowa Aes Sedai poruszyła się niespokojnie na swoim krześle.

— Gaidinowie mają nieugięte karki i wielką godność, Matko, ale są użyteczni. Ja bym nie mogła się obyć bez Tomasa, tak jak ty nie zrezygnowałabyś z Alrica. Słyszałam nawet, jak Czerwone żałowały, że nie mają Strażników. A Zielone, oczywiście...

Trzy Aes Sedai całkowicie go w tym momencie ignorowały.

— Ten miecz — powiedziała Amyrlin — zdaje się, że jest ozdobiony znakiem czapli. Jak on wszedł w jego posiadanie, Moiraine?

— Tam al'Thor wyjechał z Dwu Rzek jako młodzieniec, Matko. Wstąpił do wojska w Illian, służył podczas Wojny Białych Płaszczy i ostatnich dwu wojen

z Łzą. Po jakimś czasie został mistrzem miecza i Drugim Kapitanem Towarzyszy. Po Wojnie o Aiel, Tam al'Thor powrócił do Dwu Rzek z żoną rodem z Caemlyn i tym chłopcem, wówczas jeszcze niemowlęciem. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, zaoszczędziłabym wielu wysiłków, ale przynajmniej wiem to teraz.

Rand wytrzeszczył oczy na Moiraine. Wiedział, że Tam wyjechał z Dwu Rzek, a potem wrócił z żoną obcego pochodzenia i tym mieczem, ale cała reszta. . .

„Gdzieś ty się dowiedziała tego wszystkiego? Nie w Polu Emonda. Chyba że Nynaeve powiedziała tobie więcej niż mnie. Z chłopcem. Nie powiedziała z synem. Ale ja nim jestem”.

— Przeciwno Łzie. — Zasiadająca skrzywiła się nieznacznie. — Cóż, w tej wojnie było za co winić obie strony. Głupi mężczyźni, którzy woleli walczyć zamiast rozmawiać. Czy możesz potwierdzić, że to ostrze jest autentyczne, Verin?

— Znam odpowiednie sprawdziany, Matko.

— Zatem weź go i sprawdź, Córko.

Trzy kobiety nawet na niego nie patrzyły. Rand zrobił krok w tył, z całej siły ściskając rękę miecza.

— Dostałem ten miecz od swego ojca — powiedział ze złością. — Nikt mi go nie zabierze.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że Verin nawet nie ruszyła się z krzesła. Popatrzył na nie zdezorientowany, usiłując odzyskać równowagę.

— A zatem — powiedziała Zasiadająca — masz w sobie nie tylko ten ogień, który zaszczerpił ci Lan. To dobrze. Przyda ci się.

— Jestem tym, czym jestem, Matko — wykrztusił wcale gładko. — Jestem gotów na to, co ma się stać.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin skrzywiła się.

— Ręka Lana. Posłuchaj mnie, chłopcze. Za kilka godzin Ingтар wyjeżdża na poszukiwanie skradzionego Rogu. Jedzie z nim twój przyjaciel, Mat. Spodziewam się, że twój drugi przyjaciel... Perrin?... też się wybierze. Czy chcesz im towarzyszyć?

— Mat i Perrin jadą? Dlaczego? — Nieco poniewczasie przypomniał sobie, by dodać pełne szacunku: — Matko.

— Wiedziałaś o sztylcie, który nosił przy sobie twój przyjaciel? — Skrzywienie ust zdradzało, co ona myśli o sztylcie. — On też został skradziony. Dopóki się go nie odnajdzie, więź łącząca Mata z tym ostrzem nie zostanie do końca przerwana i w końcu umrze. Możesz z nimi jechać, jeśli chcesz. Możesz też zostać tutaj. Lord Agelmar bez wątpienia udzieli ci gościny na tak długo, jak będziesz chciał. Ja również dzisiaj wyjeżdżam. Moiraine Sedai będzie mi towarzyszyła, także Egwene i Nynaeve, zostałbyś wówczas sam. Wybór należy do ciebie.

Rand wybałuszył oczy.

„Ona mówi, że mogę zrobić to, co chcę. Czy po to mnie tu ściągnęła? Mat umiera!”

Zerknął na Moiraine, siedzącą nieruchomo, z rękoma splecionymi na kolanach. Wyglądała tak, jakby nic w świecie nie mogło interesować jej mniej jak to, dokąd on się uda.

„W jakim kierunku chcecie mnie popchnąć, Aes Sedai? Niech szczenę, a pójdę w innym. Ale skoro Mat umiera... Nie mogę go opuścić. Światłości, w jaki sposób znajdziemy ten sztylet?”

— Nie musisz dokonywać tego wyboru w tej chwili — powiedziała Amyrlin. To najwyraźniej też jej nie interesowało. — Będziesz jednak musiał się zdecydować, zanim Ingтар wyruszy w drogę.

— Pojadę z Ingtare, Matko.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin przytaknęła niedbale.

— Skoro już to załatwiliśmy, możemy przejść do ważniejszych spraw. Wiem, że potrafisz korzystać z Mocy, chłopcze. Co o tym wiesz?

Randowi zrzędała mina. Pochłonięty zmartwieniem o Mata poczuł, że te wypowiedziane zdawkowym tonem słowa uderzają go niczym rozkołysane wrota stodoly. Wszystkie rady i zalecenia Lana zawirowały. Wpatrywał się w nią, obliżując wargi. Co innego było myśleć, że ona wie, a innego było się dowiedzieć, że rzeczywiście wie. Czoło jego pokryło się perlistym potem.

Pochyliła się do przodu, czekając na odpowiedź, miał jednak uczucie, że ona chce z powrotem opaść na oparcie. Przypomniał sobie, co mówił Lan.

„Jeśli ona się ciebie boi...”

Miał ochotę roześmiać się w głos. Tak, jeśli ona się mnie boi...

— Nie, nie umiem. To znaczy... Nie robiłem tego celowo. To się samo działo. Ja nie chcę... korzystać z Mocy. Już tego nigdy nie zrobię. Przysięgam.

— Nie chcesz — powiedziała Zasiadająca. — Cóż, to bardzo roztropnie z twojej strony. I jednocześnie głupio. Niektórych można nauczyć korzystania z Mocy, większość się do tego nie nadaje. Jest jednak bardzo skromna liczba takich, którzy rodzą się z tym darem. Prędzej czy później zaczynają władać Jedyńą Mocą, czy tego chcą, czy nie, nieuchronnie jak ryby wyrastają z ikry. Będziesz dalej korzystał z Mocy, chłopcze. Nie możesz temu zapobiec. I lepiej naucz się to robić, naucz się to kontrolować, bo inaczej już wkrótce popadniesz w obłąd. Jedyńa Moc zabija tych, którzy nie potrafią kontrolować jej przepływu.

— Jak niby mam się tego nauczyć? — spytał podniesionym tonem.

Moiraine i Verin siedziały na swoich miejscach, niczym nie wzruszone, obserwowały go.

„Jak jakieś pająki”.

— Jak? Moiraine twierdzi, że nie może nauczyć mnie niczego, a ja sam nie wiem, jak mam się uczyć, co z tym robić. Zresztą wcale nie chcę. Chcę przestać to robić. Nie możesz tego zrozumieć? Chcę przestać!

— Powiedziała ci prawdę, Rand — odezwała się Moiraine takim tonem, jakby właśnie odbywali miłą pogawędkę. — Ci, którzy mogli cię tego nauczyć, Aes

Sedai mężczyźni, wyginęli przed trzema tysiącami lat. Żadna z żyjących Aes Sedai nie potrafi cię nauczyć dotykania *saidinu*, tak jak ty nie mógłbyś się nauczyć dotykania *saidaru*. Ptak nie nauczy ryby latać, ani też ryba nie nauczy ptaka pływać.

— Zawsze uważałam, że to nic nie warte porzekadło — odezwała się ni stąd, ni zowąd Verin. — Są takie ptaki, które nurkują i pływają. A na Morzu Sztormów są takie ryby, które latają, mają długie płetwy, które rozpościerają się na szerokość naszych wyciągniętych ramion, mają też dzioby przypominające miecze, które mogą przebić...

Zawiesiła głos, wyraźnie wzburzona. Moiraine i Zasiadająca na Tronie Amyrlin popatrzyły na nią obojętnie.

Rand wykorzystał tę przerwę, żeby odzyskać choć trochę panowania nad sobą. Zgodnie z naukami Tama uformował pojedynczy płomień w umyśle i wlał weń swój strach, poszukując pustki, spokoju próżni. Płomień wydawał się rozrastać, dopóki nie otulił wszystkiego, aż w końcu zrobił się zbyt wielki, by Rand mógł coś jeszcze pomyśleć albo sobie wyobrazić. Zaraz potem płomień zniknął, pozostawiając po sobie uczucie spokoju. Na jego skraju nadal migotały emocje, strach i gniew, przypominające czarne plamy, jednakże pustka utrzymywała się. Myśl ślizgała się po jej powierzchni niczym kamyki po lodzie. Aes Sedai odwróciły od niego uwagę zaledwie na chwilę, gdy zaś ponownie na niego spojrzały, miał spokojną twarz.

— Czemu przemawiasz do mnie w taki sposób, Matko? — spytał. — Powinnaś mnie poskromić.

Zasiadająca na Tronie Amyrlin skrzywiła się i spojrzała na Moiraine.

— Czy to Lan go tego nauczył?

— Nie, Matko. Ma to od Tama al'Thora.

— Dlaczego? — powoził pytanie Rand.

Zasiadająca popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała:

— Ponieważ jesteś Smokiem Odrodzonym.

Próżnia zakołysała się. Świat się zakołysał. Wszystko dookoła wydawało się wirować. Skoncentrował się na nicości i pustka powróciła, świat znieruchomiał.

— Nie, Matko. Potrafię korzystać z Mocy, ale, Światłości dopomóż mi, nie jestem ani Raolinem Darksbane, ani Guairem Amalasinem, ani też Yurianem Stonebow. Możesz mnie poskromić, zabić albo puścić wolno, ale nie będę potulnym fałszywym Smokiem, którego Tar Valon będzie wlokło na swej smyczy.

Usłyszał, jak Verin głośno syknęła, a oczy Zasiadającej rozszerzyły się, jej spojrzenie stało się twarde jak błękitna skała. Na niego to nie podziałało, omsknęło się po pustce wypełniającej jego wnętrze.

— Gdzieś ty usłyszał te nazwiska? — spytała rozkazującym tonem Amyrlin. — Kto ci powiedział, że Tar Valon trzyma na smyczy każdego fałszywego Smoka?

— Przyjacielu, Matko — powiedział. — Pewien bard. Nazywał się Thom Merilin. Już nie żyje.

Zerknął na Moiraine, która wydała jakiś dźwięk. Ona twierdziła, że Thom nie zginął, ale nigdy tego nie udowodniła, a on nie widział sposobu, w jaki człowiek mógł przeżyć walkę wręcz z Pomorem. Była to uboczna myśl i zaraz uległa zatarciu. Pozostała jedynie pustka i jedność.

— Nie jesteś fałszywym Smokiem — odparła stanowczo Zasiadająca. — Jesteś prawdziwym Smokiem Odrodzonym.

— Jestem pasterzem z Dwu Rzek, Matko.

— Córko, opowiedz mi tę historię. Prawdziwą historię, chłopcze. Słuchaj uważnie.

Moiraine zaczęła mówić. Rand nie odrywał oczu od twarzy Zasiadającej, ale wszystko słyszał.

— Blisko dwadzieścia lat temu Aielowie przekroczyli Grzbiet Świata, Mur Smoka, jeden jedyny raz w swych dziejach. Spustoszyli Cairhien, zniszczyli wszystkie armie wysłane przeciwko nim, spalili samo miasto Cairhien i przemocą utorowali sobie drogę do Tar Valon. Działo się to zimą, padał śnieg, lecz dla Aielów zimno czy ciepło niewielkie miało znaczenie. Ostatnia bitwa, ostatnia, która się liczyła, rozgorzała pod Błyszczącymi Murami, w cieniu Góry Smoka. Po trzech dniach i trzech nocach walki Aielów odparto. Albo raczej nie dopuszczono, by wypełnili zamiar, z jakim przybyli, to znaczy zabicie Króla Lamana z Cairhien za jego występki przeciwko Drzewu. W tym właśnie momencie zaczyna się moja opowieść. A także twoja.

„Przetoczyli się po Murze Smoka jak powódź. Aż do samych Błyszczących Murów”.

Rand bardzo pragnął, by jego wspomnienia zblakły, słyszał jednak głos Tama, chorego i majaczącego Tama, wywlekającego tajemnice ze swej przeszłości. Ten głos przywarł do obrzeży pustki, łomotał w nią, chcąc dostać się do środka.

— Byłam wówczas jedną z Przyjętych — powiedziała Moiraine — podobnie jak nasza Matka, Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Wkrótce zostałyśmy przyjęte do wspólnoty i tamtej nocy usługiwałyśmy ówczesnej Zasiadającej. Była tam również jej Opiekunka Kronik, Hitara Moroso. Wszystkie inne pełne siostry z Tar Valon wyszły poza mury i dokonywały Uzdrowienia tylu rannych, ile tylko mogły znaleźć, nawet Czerwone. Świtało już. Ogień na palenisku nie wystarczał do pokonania chłodu. Śnieg wreszcie przestał padać i w komnatach Zasiadającej w Białej Wieży czułyśmy dym spalenizny dolatujący z okolicznych wsi.

„Podczas bitew jest zawsze gorąco, nawet jeśli toczą się na śniegu. Trzeba było uciekać od zapachu śmierci”.

Bredzenie Tama przywarło do spokoju pustki we wnętrzu Randa. Pustka zadrdzała i zaczęła się kurczyć, uspokoiła się i znowu zafalowała. Oczy Zasiadającej zdawały się przewiercać go na wylot. Znowu poczuł pot na twarzy.

— To był tylko sen spowodowany gorączką — powiedział. — On był chory. — Podniósł głos. — Nazywam się Rand al'Thor. Jestem pasterzem. Mój ojciec nazywa się Tam al'Thor, a moją matką była. . .

Moiraine dotychczas pozwoliła mu mówić, w tym jednak momencie jej monotony głos przerwał mu, cichy i nieubłagany.

— *Cykl Karaethon*, Proroctwa o Smoku, powiadają, że Smok się odrodzi na zboczach Góry Smoka, tam, gdzie zginął podczas Pęknięcia Świata. Hitara Sedai potrafiła czasem głosić Przepowiednie. Była stara, włosy miała tak białe jak ten śnieg za murami, lecz jej Przepowiednie zawierały siłę. Poranne światło, wpadające przez okna, uległo natężeniu, gdy podawałam jej herbatę. Zasiadająca na Tronie Amyrlin spytała mnie, jakie są wieści z pola bitwy. A Hitara Sedai zerwała się ze swego krzesła, jej zeszywniałe ręce i nogi drżały, twarz miała taką, jakby zaglądała do Otchłani Potępienia w Shayol Ghul, i krzyknęła: „On się znowu narodził! Czuję go! Smok łapie swój pierwszy oddech na zboczu Góry Smoka! On nadchodzi! On nadchodzi! Światłości, dopomóż nam! Światłości, dopomóż światu! On leży na śniegu i krzyczy donośnie jak grzmot! On płonie jak słońce!” I padła w moje ramiona, martwa.

„Zbocze góry. Słysząc było płacz dziecka. Rodziła w samotności, a potem umarła. Dziecko zsiniało z zimna”. Rand usiłował wyprzeć z siebie głos Tama. Pustka kurczyła się.

— Sen z gorączki — wykrztusił.

„Nie mogłem zostawić tego dziecka”.

— Urodziłem się w Dwu Rzekach.

„Zawsze wiedziałem, że chciałaś mieć dzieci, Kari”.

Oderwał wzrok od oczu Amyrlin. Usiłował zatrzymać pustkę. Wiedział, że to nie ta metoda, ale sama rozpadała się w nim.

„Tak, kochana. Rand to dobre imię”.

— Nazywam. . . się. . . Rand. . . al'Thor!

Czuł, jak trzęsą mu się nogi.

— I tak dowiedziałyśmy się, że Smok się Odrodził — ciągnęła Moiraine. — Zasiadająca kazała nam przysiąc, że obydwie dochowamy tajemnicy, bowiem nie wszystkie siostry rozumiały Odrodzenie tak, jak należało je rozumieć. Wysłała nas na poszukiwanie. Wiele dzieci ta bitwa pozbawiła ojców. Zbyt wiele. My natomiast usłyszałyśmy opowieść o człowieku, który znalazł niemowlę na zboczu góry. I to było wszystko. Jakiś człowiek i niemowlę płci męskiej. Tak więc szukałyśmy dalej. Szukałyśmy przez całe lata, znajdowałyśmy kolejne wskazówki, badałyśmy Proroctwa. „W jego żyłach będzie płynęła pradawna krew, a wychowa go stara krew”. Tak brzmiało jedno z nich, były też inne. Jest jednak wiele miejsc, gdzie stara krew, odziedziczona po Wieku Legend, wciąż jest silna. Potem, w Dwu Rzekach, gdzie stara krew Manetheren wciąż się sączy niczym rzeka przez powódź, w Polu Emonda, znalazłam trzech chłopców, którzy urodzili się

w ciągu tych tygodni, gdy trwała bitwa na Górze Smoka. I jeden z nich potrafi korzystać z Mocy. Myślisz, że trolloki cię ścigały, bo jesteś *ta'veren*? Jesteś Smokiem Odrodzonym.

Kolana Randa poddały się, przysiadł na podłodze, dłonie opadły płasko na dywan, broniąc go przed upadkiem na twarz. Pustka zniknęła, spokój legł w gruzach. Podniósł głowę, a one na niego patrzyły, trzy Aes Sedai. Twarze miały spokojne, gładkie, niczym powierzchnie stawów nie zmaconych najdrobniejszą falą, nawet nie mrugnęły powieką.

— Mój ojciec nazywa się Tam al'Thor, a ja urodziłem się. . .

Wpatrywały się w niego, nie wykonując najmniejszego ruchu.

„One kłamią. Ja nie jestem. . . tym, co one mówią! W jakiś sposób, jakoś, kłamią, usiłują mnie wykorzystać”.

— Nie dam się wam wykorzystać.

— Dla kotwicy to nie upodlenie, że się ją wykorzystuje do przytrzymywania łodzi — powiedziała Amyrlin. — Zostałeś spłodzony do tego celu, Randzie al'Thor. „Kiedy wiatry z Tarmon Gai'don oczyszczą ziemię, on zmierzy się z Cieniem i przywróci światu Światłość”. Proroctwa muszą się spełnić, bo inaczej Czarny wyrwie się na wolność i przemieni świat na swoje podobieństwo. Ostatnia Bitwa nadchodzi, a ty urodziłeś się po to, by zjednoczyć ludzkość i poprowadzić ją przeciwko Czarnemu.

— Ba'alzamon nie żyje — wychrypiał Rand, a Amyrlin prychnęła pogardliwie jak jakiś stajenny.

— Jeśli w to wierzysz, to jesteś takim samym głupcem jak Doorani. Wielu wierzy, że on nie żyje, albo przynajmniej tak twierdzą, ja jednak zauważyłam, że wcale nie na próżno go wzywają. Czarny żyje i wyrwa się na wolność. Zmierzysz się z Czarnym. To twoje przeznaczenie.

„To twoje przeznaczenie”.

Słyszał to już kiedyś, we śnie, który być może nie całkiem był snem. Zastanawiał się, co by powiedziała Amyrlin, gdyby wiedziała, że Ba'alzamon przemawiał do niego we snach.

„To już się skończyło. Ba'alzamon zginął. Widziałem, jak umierał.”

Nagle dotarło do niego, że płaszczy się jak żaba, kuląc się pod ich wzrokiem. Usiłował na nowo uformować pustkę, lecz ich głosy wirowały mu w głowie, rozwiewając wszelkie wysiłki.

„To twoje przeznaczenie. Dziecko leżące na śniegu. Jesteś Smokiem Odrodzonym. Ba'alzamon nie żyje. Rand to dobre imię, Kari. Nie dam się wykorzystać!”

Czerpać siły z uporu właściwego jego rodzinnej okolicy, zmusić plecy, by się wyprostowały.

„Przyjmij to stojąc. Przynajmniej zachowasz swą godność”.

Trzy Aes Sedai obserwowały go bez wyrazu.

— Co. . . — Z wysiłkiem opanował głos. — Co macie zamiar ze mną zrobić?

— Nic — powiedziała Amyrlin.

Zamrugał. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał, nie takiej się obawiał.

— Powiadasz, że chcesz towarzyszyć swemu przyjacielowi podczas jego wyprawy z Ingtarem. Wolno ci. Nie nazaczyłam cię w żaden sposób. Niektóre z sióstr być może wiedzą, że jesteś *ta'veren*, ale nic więcej. Tylko my trzy wiemy, kim naprawdę jesteś. Twój przyjaciel Perrin zostanie do mnie przyprowadzony, tak jak ty, odwiedzę też twego drugiego przyjaciela w infirmerii. Możesz jechać, jeśli chcesz, bez strachu, że pošlemy za tobą Czerwone Siostry.

„Kim naprawdę jesteś”.

Rozgorzał w nim gniew, rozpalony do czerwoności i niszczący. Zmusił go, by pozostał w nim, ukryty.

— Dlaczego?

— Proroctwa muszą się spełnić. Puścimy cię wolno, wiedząc czym jesteś, bo inaczej ten świat, który znamy, zginie, a Czarny zaleje ziemię ogniem i śmiercią. Zważ moje słowa, nie wszystkie Aes Sedai żywią takie same przekonania. Są takie tu, w Fal Dara, które by cię zabiły, gdyby znały bodaj dziesiątą część tego, czym jesteś i nie czułyby przy tym więcej żalu niż przy patroszeniu ryby. Ale również mężczyźni, ci co z taką radością przyjmowali twoje towarzystwo, zrobiliby to samo, gdyby wiedzieli. Uważaj na siebie, Randzie al'Thor, Smoku Odrodzony.

Popatrzył kolejno na każdą z nich.

„Wasze Proroctwa mnie w żadnym stopniu nie dotyczą.”

Odwzajemniały spojrzenie z takim spokojem, że trudno było uwierzyć w to przekonywanie, że jest najbardziej nienawidzonym, najbardziej budzącym strach człowiekiem na całym świecie. Przeszedł przez strach i wyszedł po jego drugiej stronie, napotykać na jakieś chłodne miejsce. Tylko gniew jeszcze go jakoś rozpałał. Mogły go poskromić albo spalić na węgiel tak jak stał, już go to nie obchodziło.

Przypomniała mu się część zaleceń Lana. Ujął rękojeść lewą dłonią, zamasztywym ruchem wyrwał miecz zza pleców, chwytając pochwę w prawą rękę, po czym skłonił głowę, nie uginając przy tym ramion.

— Za twym pozwoleniem, Matko, czy mogę opuścić to miejsce?

— Udzielam ci pozwolenia na odejście, mój synu.

Już wyprostowany odczekał jeszcze jedną chwilę.

— Nie dam się wykorzystać — oświadczył.

Odwrócił się i wyszedł, żegnany głębokim milczeniem.



\* \* \*

Po wyjściu Randa milczenie przeciągnęło się, przerwała je dopiero Amyrlin, głośno wciągając oddech.

— Nie mogę się otrząsnąć po tym, co właśnie zrobiliśmy — powiedziała. — To było konieczne, ale... Czy to odniosło skutek, Córki?

Moiraine pokręciła głową, zrobiła to nieznacznym ruchem.

— Nie wiem. Ale to było i jest konieczne.

— Konieczne — zgodziła się Verin. Dotknęła czoła, potem spojrzała na wilgoć okrywającą jej palce. — On jest silny. I tak uparty, jak mówiłaś, Moiraine. O wiele silniejszy, niż się spodziewałam. Może będziemy go musiały jednak pokrozić zanim... — Jej oczy rozszerzyły się. — Ale nie możemy, prawda? Proctwa. Światłości, wybacz nam za to, co wypuszczamy na świat.

— Proctwa — powtórzyła Moiraine, kiwając głową. — Zrobimy potem to, co będziemy musiały. Tak samo jak teraz.

— To, co musimy — powiedziała Amyrlin. — Tak. Ale kiedy on nauczy się czerpać Moc, niech Światłość dopomoże nam wszystkim.

Cisza zapadła na nowo.

\* \* \*

Nadciągała burza. Nynaeve to czuła. Wielka burza, gorszej w życiu nie widziała. Potrafiła wsłuchiwać się w wiatr i przepowiedzieć, jaka będzie pogoda. Wszystkie Wiedzące twierdziły, że to potrafią, mimo że wiele z nich tak naprawdę nie umiało. Nynaeve czuła się znacznie swobodniej z tą umiejętnością, zanim się dowiedziała, że to manifestacja Mocy. Każda kobieta, która potrafiła wsłuchać się w wiatr, umiała korzystać z Mocy, jakkolwiek większość z nich prawdopodobnie robiła to nieświadomie, podobnie jak ona, doświadczając tego jedynie sporadycznie.

Tym razem jednak działo się coś złego. Słońce przypominało złotą kulę na tle czystego błękitu nieba, ptaki śpiewały w ogrodach, ale to nie było to. Wsłuchiwanie się w wiatr nie byłoby żadną wielką sztuką, gdyby nie potrafiła przepowiedzieć pogody jeszcze przed pojawieniem się jakichś znaków. Tym razem uczucie było jakieś złe, nie bardzo podobne do tego, które owładało nią zazwyczaj. Burza też była jakby zanadto oddalona, za daleka, żeby ją w ogóle mogła usłyszeć. A jednak miała wrażenie, że z nieba lunie deszcz, śnieg i grad, wszystko jednocześnie, a wyjące wiatry wstrząsną kamiennymi murami twierdzy. Czuła także dobrą

pogodę, która miała się utrzymać przez wiele dni, jednakże zła aura ją tłumiała.

W szczelinie strzelniczej przycupnęła niebieska zięba, mając jakby za nic przecucia Nynaeve i zajrzała do wnętrza ciekawskim wzrokiem. Na jej widok odleciała, połyskując błękitnymi i białymi piórkami.

Wpatrywała się w miejsce, na którym usiadł ptak.

„Jest burza i nie ma jej. To coś oznacza. Ale co?”

W głębi korytarza, pełnego kobiet i małych dzieci, zobaczyła oddalającego się Randa, eskortujące go kobiety musiały biec, żeby dotrzymać mu kroku. Nynaeve pokiwała energicznie głową. Jeśli miała rozpętać się burza, która nie będzie burzą, to on miał stanowić jej centrum. Złapała w garść spódnice i pobiegła w ślad za nim.

Kobiety, z którymi zdążyła się zaprzyjaźnić od przyjazdu do Fal Dara, próbowały coś do niej zagadać, wiedziały, że Rand przybył wraz z nią, że oboje pochodzą z Dwu Rzek i koniecznie chciały usłyszeć, po co Amyrlin go wezwała.

„Zasiadająca na Tronie Amyrlin!”

Czując lód w trzewiach, poderwała się do biegu, lecz zanim opuściła komnaty kobiet, zdążył jej zniknąć za licznymi zakrętami i pośród rzeszy ludzkiej.

— W którą stronę on poszedł? — spytała Nisurę.

Nie trzeba było dodawać, o kogo pyta. Usłyszała imię Randa w rozmowach innych kobiet, zgromadzonych wokół zwieńczonych łukiem drzwi.

— Nie wiem, Nynaeve. Szedł tak szybko, jakby sam Jad Serca deptał mu po piętach. Być może tak było, bo przyszedł z mieczem za pasem. A przecież Czarny nie powinien nękać jego myśli, skoro już o tym mowa. Do czego zmierza świat? A jego zaprowadzono do Amyrlin w jej komnatach. Powiedz mi, Nynaeve, czy on jest naprawdę księciem z twojego kraju?

Inne kobiety umilkły i przysunęły bliżej, by też móc słuchać.

Nynaeve nie bardzo zdawała sobie sprawę, co odpowiedziała. Coś, dzięki czemu ją puściły. Wybiegła z komnat kobiet, obracając głowę przy każdym skrzyżowaniu korytarzy w poszukiwaniu Randa, zaciskając pięści.

„Światłości, co one z nim zrobiły? Trzeba go było jakoś wyrwać z rąk Moiraine, niech ją Światłość oślepi. Jestem jego Wiedzącą”.

„Nie porzuciłam ich — zapewniała się zapalczywie. Sprowadziłam Mavrę Mallen z Deven Ride, żeby zajęła się ich sprawami do czasu mojego powrotu. Potrafi sobie dobrze radzić z burmistrzem i Radą Wioski, ma też dobre stosunki z Kołem Kobiet. Mavra będzie musiał wrócić do swojej wioski. Żadna wieś nie poradzi sobie bez Wiedzącej przez dłuższy czas”.

Nynaeve ścierpła wewnętrznie. Zniknęła z Pola Emonda na wiele miesięcy.

— Jestem Wiedzącą z Pola Emonda — powiedziała na głos.

Ubrany świątecznie służący, z belą tkaniny w dłoniach, zamrugał na jej widok, po czym skłonił się nisko i czmychnął na bok. Sądząc po wyrazie jego twarzy, bardzo chciał się znaleźć w jakimś innym miejscu.

Czerwieniąc się, Nynaeve rozejrzała się dookoła, by sprawdzić, czy nikt tego nie zauważył. Na korytarzu stało tylko kilku mężczyzn, pogrążonych we własnych rozmowach oraz parę kobiet w czerni i złocie, zajętych własnymi sprawami, które dygały albo kiwały głowami, kiedy je mijała. Odbywała tę sprzeczkę z samą sobą już setki razy, ale po raz pierwszy zdarzyło jej się mówić do siebie na głos. Mruknęła coś pod nosem i zacisnęła mocno usta, gdy się połapała, co robi.

Już zaczynała pojmować, że jej poszukiwania są daremne, gdy nagle natknęła się na Lana, stojącego plecami do niej, wyglądającego na zewnętrznego dziedziniec przez otwór strzelniczy. Z zewnątrz słychać było hałas wywoływany przez ludzi i konie, rżenie i okrzyki. Lan tak był pochłonięty tą czynnością, że raz wreszcie wydawał się w ogóle jej nie słyszeć. Nie mogła ścierpieć faktu, że nigdy nie mogła podkraść się do niego, niezależnie od tego, jak cicho by stąpała. W Polu Emonda uważano, że jest dobra w tropieniu zwierzyny, mimo że tą umiejętnością kobiety zupełnie się nie interesowały.

Zatrzymała się w pół kroku, przyciskając dłonie do brzucha, by uspokoić ich trzepotanie.

„Powinam sobie zadawać ranelu i baraniego języka” — pomyślała ponuro. Mieszankę tych ziół, którą aplikowała każdemu, kto chodził osowiały i twierdził, że jest chory, albo udawał, że jest chory. Ranel i barani język trochę człowieka ożywiały, bez uszczerbku dla jego zdrowia, ale za to paskudnie smakowały i ten smak czuło się potem na języku przez cały dzień. Było to idealne lekarstwo na robienie z siebie durnia.

Bezpiecznie ukryta przed jego wzrokiem, przyjrzała mu się dokładnie, gdy tak stał wsparty o kamień i skrobał palcem po brodzie, wpatrzony w to, co się działo na dole.

„Jest przede wszystkim za wysoki, a poza tym tak stary, że mógłby być moim ojcem. Człowiek o takiej twarzy z pewnością bywa okrutny. Nie, on nie jest okrutny. Nigdy”.

No i był królem. Jego kraj został zniszczony, gdy on jeszcze był mały i Lan nie rościł praw do korony, ale naprawdę był królem.

„Czego król mógłby chcieć od wieśniaczki? Poza tym jest Strażnikiem. Związany z Moiraine. Będzie jej wierny aż do śmierci, jeszcze bardziej niż kochanek, i ona go ma dla siebie. Ona ma wszystko, czego ja bym chciała, niech ją Światłość spali!”

Ledwie odwrócił się od okna, błyskawicznie skrzyła, chcąc odejść.

— Nynaeve. — Jego głos schwytał ją i przytrzymał niczym pętla. — Chciałem porozmawiać z tobą na osobności. Cały czas wydajesz się przesiadywać w komnatach kobiet albo w czyimś towarzystwie.

Spojrzenie mu w twarz kosztowało sporo wysiłku, ale gdy podniosła wzrok, wiedziała, że ma spokojne rysy.

— Szukam Randa. — odparła, nie chcąc mu dać do zrozumienia, że go unika.

— Lan, powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba już dawno temu. Okryłam się wstydem, do czego już nigdy nie dopuszczę, powiedziałaś mi, że mam odejść.

— Nigdy nie powiedziałem. . . — Zrobił głęboki wdech. — Powiedziałem, że nie mam ci nic do zaoferowania prócz wdowich szat. Żadnego daru, jaki mężczyzna winien ofiarować kobiecie. Mężczyzna, który zasługuje na miano mężczyzny.

— Rozumiem — odparła chłodno. — Zresztą król nie daje podarunków wieśniaczkom. A taka wieśniaczka nie może ich przyjmować. Czy widziałeś Randa? Muszę z nim porozmawiać. Miał się zobaczyć z Amyrlin. Nie wiesz przypadkiem, czego od niego chciała?

Jego oczy płonęły niczym błękitny lód w słońcu. Usztywniła nogi, żeby przestać się cofać i odpowiedziała mu równie gniewnym spojrzeniem.

— Niechaj Czarny porwie Randa al'Thora i Zasiadającą na Tronie Amyrlin — zazgrzytał, wciskając jej coś do ręki. — Ofiaruję ci coś, a ty przyjmiesz, choćbym miał ci to przykuć łańcuchami do szyi.

Oderwała wzrok od jego oczu. Kiedy się gniewał, przypominał swym spojrzeniem niebieskookiego sokoła. W dłoni trzymał złoty sygnet, ciężki i wytarty ze starości, tak wielki, że nieomal pomieściłby obydwie jej kciuki. Był na nim wyryty, wierny w każdym szczególe, żuraw frunący nad laną i koroną. Zabrakło jej oddechu. Pierścień królów Malkier. Zapominając o gniewie, uniosła twarz.

— Nie mogę tego przyjąć, Lan.

Bezceremonialnie wzruszył ramionami.

— To drobiazg. Stary i bezużyteczny już. Ale są tacy, którzy z miejsca go rozpoznają, gdy tylko zobaczą. Pokażesz go, a otrzymasz gościnę i wszelką pomoc, jaka ci będzie potrzebna, od każdego władcy na Ziemiach Granicznych. Pokażesz go jakiemuś Strażnikowi, a on zaraz udzieli ci wsparcia albo pošle do mnie wiadomość. Przyślesz go mnie, albo przypieczętowaną nim wiadomość, a przybędę do ciebie, bezzwłocznie i niezawodnie. Przysięgam.

Krawędzie jej pola widzenia zamglily się.

„Jeśli teraz zacznę płakać, to się zabiję”.

— Nie mogę. . . Nie chcę żadnych podarunków od ciebie, al'Lanie Mandragoran. Masz, weź go.

Nie pozwolił oddać sobie pierścienia. Zamknął jej dłoń w swojej dłoni, uściskiem delikatnym i jednocześnie bezwzględny jak kajdany.

— Więc przyjmij go przez wzgląd na mnie, żeby uczynić mi przysługę. Albo wyrzuc go, jeśli cię irytuje. Nie potrafię zrobić z nim nic lepszego.

Drgnęła, gdy pogładził palcem jej policzek.

— Muszę już iść, Nynaeve *mashiara*. Amyrlin chce wyjechać przed południem, a tyle jeszcze trzeba zrobić. Być może znajdziemy czas na rozmowę podczas podróży do Tar Valon.

Odwrócił się i odszedł, przemierzając korytarz długimi krokami.

Nynaeve dotknęła policzka. Nadal czuła to miejsce, w którym ją dotknął.

„*Mashiara*”.

Znaczyło to ukochaną całym sercem i duszą, lecz również utraconą miłość. Utraconą bezpowrotnie.

„Głupia kobieto! Przestań się zachowywać jak młódka, która jeszcze nigdy nie zaplatała włosów. Nie trzeba pozwalać, by pod jego wpływem. . .”

Lekko ściskając pierścień odwróciła się i podskoczyła w miejscu, gdy spotkała się twarzą w twarz z Moiraine.

— Od jak dawna tu stoisz? — spytała rozdrażnionym głosem.

— Nie tak dawno, by słyszeć coś, czego nie powinnam — odparła gładko Moiraine. — Wkrótce wyjeżdżamy. Właśnie się dowiedziałam. Musisz zająć się pakowaniem swoich rzeczy.

Wyjeżdżamy. Nie dotarło, gdy mówił to Lan.

— Muszę się pożegnać z chłopcami — mruknęła, po czym obdarzyła Aes Sedai ostrym spojrzeniem. — Co wyście zrobili z Randem? Został zabrany do Amyrlin. Po co? Czy powiedziałaś jej o... o...?

Nie potrafiła tego wypowiedzieć. Pochodził z jej rodzinnej wioski, żyła o tyle od niego dłużej, by nieraz się nim opiekować, kiedy był mały, natomiast nie była w stanie nawet pomyśleć o tym, czym on się stał, nie czując przy tym skrętów żołądka.

— Amyrlin zobaczy się z wszystkimi trzema, Nynaeve. *Ta'veren* nie są czymś tak powszechnym, by zrezygnowała z okazji obejrzenia sobie trzech naraz, w jednym miejscu. Być może udzieli im paru słów zachęty, ponieważ oni jadą z Ingta-rem ścigać tych, którzy ukradli Róg. Wyjeżdżają mniej więcej o tej samej porze co my, więc lepiej się pośpiesz z tymi pożegnaniami.

Nynaeve dopadła do najbliższego okna i wyjrzała na zewnętrzny dziedziniec. Zobaczyła konie, juczne i pod wierzch, oraz uwijających się wśród nich ludzi, coś do siebie pokrzykujących. Tylko palankin Amyrlin otaczała wolna przestrzeń, dźwigająca go para koni czekała cierpliwie, bez niczyjej opieki. Na podwórku było też kilku Strażników, doglądali swoich koni, a po drugiej stronie stał Ingta, otoczony grupą shienarańskich wojowników odzianych w zbroje. Od czasu do czasu bruk dziedzińca przemierzał jakiś Strażnik albo jeden z ludzi Ingta, by zamienić z nimi słowo.

— Powinnam była zabrać ci chłopców — powiedziała, nadal wyglądając na zewnątrz.

„A także Egwene, gdybym potrafiła to zrobić, nie zabijając jej. Światłości, dlaczego ona musiała się urodzić z tą przeklętą umiejętnością?”

— Powinnam była zabrać ich do domu.

— Są już dostatecznie dorośli, by nie trzymać się sznurków przy fartuchu — odparła oziębło Moiraine. — A ty doskonale wiesz, dlaczego nie mogłaś tego zrobić. Co najmniej z jednym z nich. Poza tym to by znaczyło, że Egwene pojedzie sama do Tar Valon. A może postanowiłaś wyrzec się Tar Valon? Jeśli nie nauczysz

się poprawnie korzystać z Mocy, wówczas nie będziesz mogła użyć jej przeciwko mnie.

Nynaeve obróciła się błyskawicznie, by spojrzeć w twarz Aes Sedai. Mimo woli otworzyła usta.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Myślałaś, że o niczym nie wiem, dziecko? No cóż, jak sobie życzysz. Rozumiem zatem, że jednak wybierasz się do Tar Valon? Tak, tak się spodziewałam.

Nynaeve miała ochotę ją uderzyć, stracić ten nieznaczny uśmiech, który przemknął przez twarz Aes Sedai. Od czasu Pęknięcia Aes Sedai nie mogły już otwarcie rządzić, ani też otwarcie korzystać z Jedynej Mocy, niemniej jednak spiskowały i manipulowały ludźmi, pociągały za sznurki jak w teatrze marionetek, używały tronów i narodów niczym kamyków na planszy do gry.

„Ona chce również wykorzystać mnie, w jakiś sposób. Skoro królowie i królowe, to czemu nie Wiedząca? Właśnie w taki sposób wykorzystuje Randa. Nie jestem dzieckiem, Aes Sedai”.

— Co ty wyprawiasz z Randem? Czy już nie dość go wykorzystowałaś? Nie wiem, dlaczego jeszcze nie kazałaś go poskromić, skoro jest tu Amyrlin i te wszystkie inne Aes Sedai, ale pewnie jest jakiś powód. Na pewno spisek, który właśnie knujesz. Skoro Amyrlin wiedziała, do czego zmierzasz, to zaryzykuje stwierdzenie, że...

Moiraine weszła jej w słowo.

— Niby czemu Amyrlin miałaby interesować się jakimś pasterzem? Oczywiście, gdyby przykuł jej uwagę w niewłaściwy sposób, mógłby zostać poskromiony, albo nawet zabity. Ostatecznie jest tym, czym jest. A po ubiegłej nocy wiele tu wszędzie gniewu. Każdy szuka kogoś, kogo można by winić.

Aes Sedai popadła w milczenie i pozwoliła, by milczenie się przeciągnęło. Nynaeve wpatrywała się w nią, zgrzytając zębami.

— Tak — odezwała się w końcu Moiraine — znacznie lepiej nie budzić śpiącego lwa. A ty najlepiej zrobisz, jak zabierzesz się zaraz za pakowanie.

Ruszyła w kierunku, w którym zniknął Lan, wydając się sunąć po powierzchni podłogi.

Krzywiąc się, Nynaeve z całej siły uderzyła pięścią o ścianę, czując, jak pierścien wbija się w jej dłoń. Rozprostowała palce, by na niego popatrzeć. Wydawał się podgrzewać jej gniew, skupiać nienawiść.

„Nauczę się. Tobie się wydaje, że uciekniesz przede mną, bo już umiesz. Ale ja nauczę się tego lepiej, niż myślisz i ja cię ukaram za to wszystko, co zrobiłaś. Za to, co zrobiłaś Matowi i Perrinowi. Za Randa, oby mu Światłość pomogła, a Stwórca go osłaniał. Szczególnie za Randa”.

Zacisnęła dłoń wokół ciężkiego kółka.

„I za mnie”.

\* \* \*

Egwene obserwowała służkę układającą jej suknie w obitym skórą kufrze podróżnym, nadal czując się lekko nieswojo, choć przywykała do tego blisko miesiąc, że ktoś inny robił to, z czym ona znakomicie poradziłaby sobie sama. To były takie piękne suknie, każda otrzymana w podarunku od lady Amalisy, tak samo jak ta suknia do jazdy konnej z szarego jedwabiu, którą teraz miała na sobie, niby całkiem zwyczajna, z wyjątkiem tych kilku przebiśniegów wyhaftowanych na piersi. Wiele pozostałych sukien było znacznie bardziej ozdobnych. Każda z nich wyróżniałaby się swym blaskiem w niedzielę albo podczas Bel Tine. Westchnęła, przypomniawszy sobie, że w najbliższą niedzielę ma się już znaleźć w Tar Valon, a nie w Polu Emonda. Na podstawie tych niewielu — praktycznie żadnych — słów, którymi Moiraine opisała jej szkolenie nowicjuszek, spodziewała się, że być może nie wróci do domu wiosną, ani na Bel Tine, nawet w najbliższą niedzielę, która po nim przypadała.

Nynaeve wetknęła głowę do jej izby.

— Jesteś gotowa? — Wsunęła się cała do środka. — Zaraz mamy się stawić na dziedzińcu.

Też miała na sobie suknię do jazdy konnej, uszytą z niebieskiego jedwabiu, ozdobioną w talii czerwonymi anemonami. Również podarunek od Amalisy.

— Już prawie, Nynaeve. Nieomal żałuję, że wyjeżdżam. Nie sądzę, byśmy w Tar Valon miały wiele okazji do noszenia tych ślicznych sukien, które dała nam Amalisa. — Nagle wybuchnęła śmiechem. — Ale tak poza tym, Wiedząca, nie będę tęskniła za kąpielami, podczas których muszę cały czas oglądać się przez ramię.

— Znacznie lepiej kąpać się samemu — żarliwie przytaknęła Nynaeve. Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, tylko policzki pokraśniały.

Egwene uśmiechnęła się.

„Ona myśli o Lanie”.

Nadal dziwnie było myśleć, że Nynaeve, Wiedząca, marzy o jakimś mężczyźnie. Uznała, że lepiej nie mówić o tym Nynaeve w ten sposób, ale ostatnio Wiedząca zachowywała się czasami tak dziwnie, jak każda dziewczyna, która oddała swe serce wybranemu mężczyźnie.

„I to takiemu, który nie jest jej wart, bo brak mu rozumu. Ona go kocha i ja widzę, że on ją też kocha, więc dlaczego brak mu rozsądku, by coś powiedzieć?”

— Chyba nie powinnaś mnie już nazywać Wiedzącą — powiedziała nagle Nynaeve.

Egwene zamrugała. Tego nikt właściwie od niej nie wymagał i Nynaeve nigdy się przy tym nie upierała, chyba że była zła albo żądały tego oficjalne okazje, ale

to...

— Czemu nie?

— Jesteś już kobietą.

Nynaeve zerknęła na jej nie zaplecione włosy, a Egwene zwalczyła w sobie odruch natychmiastowego skręcenia ich w coś na kształt warkocza. Aes Sedai czesały swoje włosy tak, jak chciały, ona swoje nosiła rozpuszczone, bo to stanowiło symbol rozpoczętego nowego życia.

— Jesteś kobietą — powtórzyła stanowczo Nynaeve. — Jesteśmy obie kobietami, daleko od Pola Emonda, i jeszcze długo nie zobaczymy domu. Lepiej, jak zaczniesz mnie nazywać po prostu Nynaeve.

— Jeszcze zobaczymy dom, Nynaeve. Na pewno.

— Nie próbuj pocieszać Wiedzącej, dziewczyno — burknęła Nynaeve, uśmiechnęła się jednak przy tym.

Rozległo się pukanie do drzwi, lecz zanim Egwene zdążyła je otworzyć, do środka weszła Nisura, z wyraźnym podnieceniem na twarzy.

— Egwene, ten młody człowiek od was próbuje wejść do komnat kobiet. — Sądząc po tonie głosu, uważała to za skandal. — I ma przy sobie miecz. Tylko dlatego, że Amyrlin pozwoliła mu tu wejść... Lord Rand powinien zachowywać się bardziej należycie. Wzniecił wielką wrzawę. Egwene, musisz z nim porozmawiać.

— Lord Rand — parsknęła Nynaeve. — Ten młodzieniec wyraźnie wyrósł już ze swych spodni. Niech go tylko dopadnę w swoje ręce, a wnet się przekona, kto to jest lord.

Egwene położyła dłoń na ramieniu Nynaeve.

— Pozwól, że z nim porozmawiam, Nynaeve. Sam na sam.

— Ależ proszę bardzo. Najlepsi mężczyźni nie są wcale lepsi od tych, co wołają się trzymać domu. — Nynaeve umilkła, po czym dodała, częściowo do siebie: — Ale z kolei warto tych najlepszych przyuczyć, by trzymali się domu.

Egwene kręciła głową, idąc w ślad za Nisurą przez korytarz. Jeszcze pół roku temu Nynaeve nigdy by nie wygłosiła tej drugiej uwagi.

„Ale ona nigdy nie przyuczy Lana, by trzymał się domu”.

Wróciła myślami do Randa. A więc spowodował wielką wrzawę?

— Przyuczyć go, by trzymał się domu? — mruknęła. — Jeśli jeszcze nie nauczył się dobrych manier, to obedrę go żywcem ze skóry.

— Czasami trzeba zrobić to, co konieczne — powiedziała Nisura, żwawo marszerując. — Mężczyźni nigdy nie są bardziej cywilizowani jak tylko w połowie, dopóki się nie ożenią. — Spojrzała z ukosa na Egwene. — Czy masz zamiar poślubić lorda Randa? Nie chcę wsadzać nosa w nie swoje sprawy, ale wybierasz się wszak do Białej Wieży, a Aes Sedai rzadko wychodzą za mąż, ja sama słyszałam tylko o kilku z Zielonych Ajah, raczej niewielu, i...



Egwene była w stanie dopowiedzieć resztę. Słyszała rozmowy w komnatach kobiet na temat odpowiedniej żony dla Randa. Z początku rozmowy te powodowały ukłucia zazdrości i gniewu. Od czasu, gdy byli dziećmi, nie był obiecany żadnej innej, prócz niej. Jednakże miała zostać Aes Sedai, a on był tym, czym był. Mężczyzną, który potrafił korzystać z Mocy. Mogła go poślubić. I patrzeć, jak popada w obłęd, a potem umiera. Można go było przed tym uchronić jedynie drogą poskromienia.

„Nie mogę mu tego zrobić. Nie mogę!”

— Nie wiem — odparła ze smutkiem.

Nisura skinęła głową.

— Nikt nie będzie kłusował tam, gdzie ty masz prawo, ale ty udajesz się do Wieży, a z niego będzie dobry mąż. Oczywiście, jak już zostanie przeszkolony. A oto i on.

Wszystkie kobiety zebrane przy wejściu do komnat kobiecych obserwowały trzech mężczyzn znajdujących się na zewnętrznym korytarzu. Rand, z mieczem przypasanym na czerwonym kaftanie, stał przed Agelmarem i Kajinem. Żaden z tych dwóch nie miał miecza, nawet mimo wydarzeń ubiegłej nocy, bo przebywali przecież w izbach zamieszkałych przez kobiety. Egwene zatrzymała się z tyłu.

— Rozumiesz, dlaczego nie możesz tam wejść — mówił właśnie Agelmar. — Ja wiem, że w Andorze obyczaj są inne, ale czy mnie rozumiesz?

— Ja nie próbowałem tam wejść. — Sądząc po głosie Randa, wyjaśniał to wszystko już nie raz. — Powiedziałem lady Nisurze, że chcę się zobaczyć z Egwene, a ona odparła, że Egwene jest zajęta i że będę musiał poczekać. Ja tylko zawołałem ją od drzwi. Wcale nie chciałem wchodzić. One tak się na mnie rzuciły, że mogłbyś pomyśleć, że wzywałem Czarnego.

— Kobiety mają swoje zwyczaje — stwierdził Kajin. Był wysoki jak na Shienaranina, nieomal dorównywał wzrostem Randowi, szczupły i niezdrowy z wyglądu. Kępka włosów na czubku jego głowy była czarna jak smoła. — Same wyznaczyły zasady obowiązujące w ich komnatach i my ich przestrzegamy, nawet jeśli są głupie. — Na te słowa sporo kobiet uniosło brwi, więc pośpiesznie chrząknął. — Należy przesyłać wiadomość, jeśli się chce rozmawiać z jakąś kobietą, ale zostanie ona dostarczona dopiero wtedy, gdy zechcą, a do tego czasu musisz czekać. Taki jest tutejszy obyczaj.

— Ja muszę się z nią zobaczyć — upierał się Rand. — Niebawem wyjeżdżamy. Dla mnie jest to wręcz za późno, ale i tak muszę się zobaczyć z Egwene. Odzyskamy Róg Valere, sztylet i na tym koniec. Koniec z tym. Ale chcę ją zobaczyć, zanim odjadę.

Egwene skrzywiła się, mówił dziwnym tonem.

— Nie trzeba się tak zaperzać — uspokajał go Kajin. — Razem z Ingtarem znajdziecie Róg albo nie. Jak nie, to odzyska go ktoś inny. Koło obraca się, jak

chce, a my jesteśmy tylko nitkami we Wzorze.

— Nie pozwól, by ten Róg cię opętał — powiedział Agelmar. — On potrafi przejąć władzę nad człowiekiem, już ja wiem, jak bardzo, a nie o to chodzi. Człowiek winien szukać obowiązku, nie sławy. Stanie się to, co ma się stać. Jeśli Róg powstał, by głosić chwałę Światłości, to na pewno będzie ją głosił.

— A oto i twoja Egwene — oznajmił Kajin, zauważywszy ją.

Agelmar obejrzał się i skinął głową, zauważając ją obok Nisury.

— Zostawiam cię w jej rękach, Randzie al'Thor. Pamiętaj, tutaj jej słowa są prawem, nie twoje. Lady Nisuro, nie bądź dla niego zbyt surowa. On tylko pragnął ujrzeć tę młodą kobietę i nie zna naszych obyczajów.

Egwene ruszyła w ślad za Nisurą, która torowała jej drogę przez tłum przypatrujących się im kobiet. Nisura skłoniła lekko głowę przed Agelmarem i Kajinem, ostentacyjnie nie zrobiła tego przed Randem. Mówiła napiętym głosem.

— Lordzie Agelmarze. Lordzie Kajinie. On już powinien był poznać nasze obyczaje, miał dość czasu, ale jest zbyt wielki, by dostać za to klapsa, więc pozwalam, by Egwene się z nim rozprawiła.

Agelmar poklepał Randa po ramieniu ojcowskim gestem.

— Widzisz. Porozmawiasz z nią, nawet jeśli nie w taki sposób, jak chciałeś. Chodź, Kajin. Musimy jeszcze wiele rzeczy sprawdzić. Amyrlin wciąż obstaje przy...

Jego głos umilkł w oddali, gdy oddalił się razem z drugim mężczyzną. Rand nie ruszył się z miejsca i wpatrywał się w Egwene.

Egwene zauważyła, że kobiety nadal patrzyły. Przypatrywały się również jej, nie tylko Randowi. Czekały, co ona zrobi.

„Więc oczekuje się ode mnie, że się z nim rozprawię, tak?”

Czuła jednak, jak jej serce wyrywa się ku niemu. Jego włosy bardzo potrzebowały grzebienia. Twarz wyrażała gniew, upór i zmęczenie.

— Chodź ze mną — powiedziała.

Za nimi rozległ się głuchy pomruk, gdy ruszył obok niej w głąb korytarza, daleko od kobiecych komnat. Rand wydawał się zmagać z samym sobą, szukać słów, które mógłby powiedzieć.

— Słyszałam o twoich... wyczynach — powiedziała w końcu. — O tym, jak biegałeś wczoraj po komnatach kobiet z mieczem. Jak przyszedłeś z mieczem na audiencję u Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Nadal nic nie mówił, tylko szedł za nią, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Ona cię... nie skrzywdziła, prawda?

Nie potrafiła się zmusić, by go zapytać, czy został poskromiony, bynajmniej nie wyglądał łagodnie, a ona nie miała pojęcia, jak wygląda ktoś, kto to przeszedł.

Wzdrygnął się.

— Nie. Ona nie... Egwene, Amyrlin... — Potrząsnął głową. — Nie zrobiła mi nic złego.

Miała uczucie, że chciał powiedzieć coś zupełnie innego. Zazwyczaj potrafiła z niego wyciągnąć to, co przed nią ukrywał, ale kiedy naprawdę postanowił, że będzie uparty, byłoby jej łatwiej wydłubać cegłę z muru paznokciami. Sądząc po układzie jego szczęki, w tym momencie był bardziej uparty niż zwykle.

— Czego ona od ciebie chciała, Rand?

— Nic ważnego. *Ta'veren*. Chciała zobaczyć *ta'veren*. — Twarz mu zmięknęła, gdy spojrział na nią. — A co z tobą, Egwene? Wydobrzałaś już? Moiraine obiecała, że wydobrzejesz, ale ty byłaś taka zeszywniała. Z początku myślałem, żeś umarła.

— No cóż, żyję.

Roześmiała się. Nie potrafiła sobie przypomnieć nic z tego, co się stało po tym, jak poprosiła Mata, by razem z nią poszedł do lochów, aż do chwili, gdy przebudziła się we własnym łóżku. Z tego, co słyszała o wydarzeniach ubiegłej nocy, nieomal się cieszyła, że nic nie pamięta.

— Moiraine powiedziała, że zostawiłaby mi ból głowy jako karę za głupotę, gdyby umiała dokonać Uzdrawienia całej reszty prócz niego.

— Mówiłem ci, że Fain jest niebezpieczny — mruknął. — Mówiłem ci, ale ty nie chciałaś słuchać.

— Jeśli masz zamiar rozmawiać w taki sposób — oznajmiła stanowczo — to oddam cię Nisurze. Ona nie będzie z tobą rozmawiała tak jak ja. Ostatni mężczyzna, który usiłował się wepchnąć do komnat kobiet, spędził cały miesiąc z rękoma po łokcie w mydlanej wodzie, bo musiał pomagać kobietom w praniu, a przecież tylko próbował odszukać swoją narzeczoną i wszczął kłótnię. W każdym razie był na tyle przezorny, że nie wziął z sobą miecza. Światłość jedna wie, co by z tobą zrobiły.

— Wszyscy chcą coś ze mną zrobić — burknął. — Wszyscy chcą mnie do czegoś wykorzystać. A ja się nie dam. Jak już znajdziemy Róg i sztylet Mata, już więcej nie dam się wykorzystywać.

Wydała z siebie pomruk rozdrażnienia, chwyciła go za ramiona i obróciła twarzą w swoją stronę. Spojrzała na niego groźnie.

— Jeśli nie zaczniesz mówić do rzeczy, Randzie al'Thor, to przysięgam, że natrę ci uszu.

— Mówisz zupełnie jak Nynaeve. — Roześmiał się. Gdy jednak na nią spojrział, jego śmiech zamarł. — Ja myślę... myślę, że już cię nigdy nie zobaczę. Wiem, że musisz jechać do Tar Valon. Wiem o tym. I zostaniesz Aes Sedai. Ja już skończyłem z Aes Sedai, Egwene. Nie będę ich marionetką, ani Moiraine, ani żadnej innej.

Wyglądał na tak zagubionego, że zapragnęła ułożyć jego głowę na swoim ramieniu, a jednocześnie bił od niego taki upór, że naprawdę miała ochotę natrzeć mu uszu.

— Posłuchaj mnie, ty wielki wole. Ja zostanę Aes Sedai i znajdę sposób, żeby ci pomóc. Znajdę.

— Następnym razem jak mnie zobaczysz, będziesz pewnie chciała mnie pokroić.

Rozejrzała się pośpiesznie dookoła, nikogo prócz nich nie było w tej części korytarza.

— Jak nie będziesz strzegł swojego języka, to nie będę mogła ci pomóc. Chcesz, żeby ktoś się dowiedział?

— Już i tak zbyt wielu ludzi o tym wie — odparł. — Egwene, wolałbym, by wszystko było inaczej, ale nie jest. Żałuję... Uważaj na siebie. I obiecaj mi, że nie wybierzesz Czerwonych Ajah.

Łzy zalały jej oczy, gdy objęła go ramionami.

— To ty uważaj na siebie — wyszeptała żarliwie w jego pierś. — Jeśli nie będziesz uważał, to ja... to ja...

Miała wrażenie, że słyszy jego wymamrotane „Kocham cię”, ale po chwili stanowczym ruchem zdjął jej ręce ze swych ramion i delikatnie odsunął od siebie. Odwrócił się i ruszył przed siebie długimi krokami, nieomal pobiegł.

Podskoczyła w miejscu, gdy Nisura dotknęła jej ręki.

— Miał taką minę, jakbyś wyznaczyła mu zadanie, na które nie ma ochoty. Ale nie możesz pozwalać, by widział, jak płaczesz z tego powodu. To podważa cały sens tego zadania. Chodź. Nynaeve czeka na ciebie.

Egwene ruszyła za Nisurą, wycierając po drodze policzki.

„Uważaj na siebie, ty gamoniu z głową wypchaną wełną, Światłości, zaopiekuj się nim”.

# POŻEGNANIA

Zewnętrzny podwórzec pełen był celowego zamieszania, kiedy Rand wreszcie wydostał się nań, niosąc juki i tobolek zawierający harfę oraz flet. Słońce pięło się ku zenitowi. Mężczyźni krzatali się gorączkowo wokół koni, podciągając popręgi przy siodłach i poprawiając uprzęż zaprzęgów, wokoło rozbrzmiewały podniesione głosy. Inni jeszcze gorączkowo biegali, uzupełniając na ostatnią chwilę zawartość swoich toreb przy siodłach, donosząc wodę pracującym lub w pośpiechu starając się załatwić coś, o czym właśnie sobie przypomnieli. Każdy jednak najwyraźniej dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, co robi i dokąd podąża. Krużganki straży i balkony dla łuczników były ponownie zatłoczone, a podniecenie elektryzowało poranne powietrze. Kopyta stukwały po kamiennym bruku. Jeden z zaprzężonych koni zaczął wierzgać i stajenny ruszył, by go uspokoić. Powietrze przesycił ciężki, koński zapach. Płaszcz Randa wydymał się w podmuchach bryzy marszczącej wywieszzone na wieżach sztandary z godłem atakującego sokoła, jednak przewieszony przez plecy łuk skutecznie krępował jego poły.

Spoza otwartych bram dochodziły dźwięki pikinierów i łuczników Amyrlin formujących czworobok. Marszowym krokiem zbliżali się właśnie od jednej z bocznych bram. Któryś z trębaczy sprawdzał swój róg.

Niektórzy ze Strażników uważnie obserwowali Randa, gdy ten przemierzał podwórzec, kilka brwi uniosło się na widok znaku czapli na mieczu, nie padło jednak żadne słowo. Połowa z nich nosiła płaszcze tak wyrafinowanie uszyte, iż niemal nie sposób było na nie patrzeć. Stał tam Mandarb, ogier Lana, wysoki, czarny, z płonącymi oczyma, Strażnika jednak nie było, brakowało także Aes Sedai, w ogóle nieobecność kobiet była uderzająca. Aldieb, biała klacz Moiraine kroczyła delikatnie w ślad za ogierem.

Gniady ogier Randa znajdował się w innej grupie, po przeciwległym końcu dziedzińca, wraz z chorążym dierżącym sztandar Szarej Sowy Ingtara, samym Ingtarem oraz dwudziestoma innymi ludźmi, uzbrojonymi w lance zakończone dwustopowymi, stalowymi grotami. Ostrza lanc były wzniesione, twarze zakrywały opuszczone przyłbice hełmów, złote opończe z wyhaftowanym na piersi Czarnym Jastrzębiem spływały na napierśniki. Jedynie hełm Ingtara wyposażony był w pióropusz. Rand rozpoznawał niektóre twarze. Szorstki w słowach Uno,

z długą blizną na podbródku i jednym okiem. Ragan i Masema. Inni, z którymi czasem zdarzyło mu się wymienić parę słów lub pograć w kamienie. Ragan poma-chał do niego, Uno skinął głową, lecz większość postąpiła podobnie jak Masema — chłodne spojrzenie i ucieczka wzrokiem. Ich juczne konie stały spokojnie, tylko ogony miarowo chłostały boki.

Wielki gniadosz zatańczył nerwowo, gdy Rand mocował juki i tobołek za wysokim, tylnym łękiem siodła.

— Spokojnie Rudy — wymamrotał, wkładając nogę w strzemię i wskakując na siodło. Nie ściągnął jednak wodzy, pozwalając ogierowi pozbyć się trochę nagromadzonej w stajni energii.

Ku zaskoczeniu Randa od strony stajni nieoczekiwanie nadjechał Loial. Jego wierzchowiec, o owłosionych pęcinach, był wielki i mocny jak sam prawdziwy Dhurran. Pomimo iż wszystkie inne konie wyglądały przy nim jak Bela, Ogir, siedząc na nim, wyglądał jakby dosiadał kuczka.

Loial wydawał się nie uzbrojony, Rand nigdy nie słyszał, by Ogirowie nosili broń — *stedding* stanowiło wystarczającą ochronę. Nadto Loial miał własne predylekcje i pomysły odnośnie do tego, co może przydać się w podróży. Kieszenie jego płaszcza były znacząco wypchane, a na jukach odciskały swe ślady kanciaste rogi ksiąg.

Ogir zatrzymał swego konia w pobliżu i spojrzał na Randa, zakończone pędzelkami uszy zastrzygły niepewnie.

— Nie miałem pojęcia, że również jedziesz — powiedział Rand. — Myślałem, iż masz już dosyć podróżowania z nami. Tym razem nie da się przewidzieć, jak długo to wszystko potrwa i gdzie się skończy.

Koniuszki uszu Loiala podniosły się odrobinę.

— Kiedy spotkałem was po raz pierwszy, również nic nie było wiadome. A nadto, co wówczas powiedziałem i dzisiaj jest ważne. Nie mogę przepuścić okazji oglądania, jak rzeczywista historia oplata się wokół *ta'veren*. I pomożenia w odnalezieniu Rogu. . .

Mat i Perrin nadjechali w ślad za Loialem, zamilkli słysząc słowa Randa. Twarz Mata nosiła ślady zmęczenia wokół oczu, lecz rozświetlał ją blask zdrowia.

— Mat — powiedział Rand — przepraszam za to, co powiedziałem. Perrin, nie miałem tego na myśli. Zachowałem się głupio.

Mat spojrzał tylko na niego, potrząsnął głową i cicho rzekł do Perrina coś, czego Rand nie mógł usłyszeć. Uzbrojony był wyłącznie w łuk i kołczan, Perrin zaś miał nadto topór przytroczone do pasa. Wielkie ostrze topora miało kształt półksiężycy, i połyskiwało groźnie, a jego ciężar równoważył ostry szpic usadowiony po przeciwnej stronie trzonka.

— Mat? Perrin? Naprawdę, nie chciałem. . .

Pojechali dalej, w stronę oddziału Ingtara.

— Nie jest to odpowiedni płaszcz do podróży — zwrócił uwagę Loial.  
Rand spojrział w dół na złote ciernie spinające szkarłatne rękawy i skrzywił się.

„I nic dziwnego, że Mat i Perrin myślą, iż stroję się w cudze piórka”.

Kiedy wrócił do pokoju okazało się, iż jego rzeczy zostały już spakowane i wysłane. Wszystkie zwykłe płaszcze, które posiadał, znajdowały się obecnie na grzbietach juczych koni, tak przynajmniej powiedział służący. Zaś płaszcze zostawione w garderobie były co do jednego równie strojne, jak okrycie, które założył. W torbie miał jedynie kilka koszul, wełniane skarpety i zapasowe spodnie. W końcu jakoś udało mu się usunąć złoty sznur z rękawa, aczkolwiek schował do kieszeni szpilkę ze złotym orłem. Ostatecznie Lan ofiarował mu ją w prezencie.

— Przebiorę się, kiedy wieczorem staniemy na popas — wymamrotał. Po chwili wziął głęboki oddech: — Loial, wyrzekłem do ciebie słowa, których mówić nie powinienem. Teraz pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że mi wybaczysz. Miałbyś wszelkie prawo wypomnieć mi je, niemniej proszę cię, byś tego nie czynił.

Loial uśmiechnął się, jego uszy wyprężyły. Podprowadził bliżej konia.

— Ja przez cały czas wypowiadam coś, czego nie powinienem. Starsi zawsze mówili, iż najpierw mówię, a dopiero godzinę później zdarza mi się pomyśleć.

Nagle, tuż przy jego strzemienu pojawił się Lan. Łuski jego zbroi miały zielono-szary kolor, służyć mogły znakomicie zakamuflowaniu w lesie lub pośród ciemności.

— Muszę z tobą porozmawiać pasterzu. — Spojrział na Loiala. — Na osobności, jeśli pozwolisz, Budowniczy. Ten skinął głową i odprowadził swego wielkiego konia na bok.

— Nie wiem, czy powinienem cię wysłuchać — odrzekł Rand. — Te śmieszne rzeczy i wszystko to, co mi powiedziałeś, nie okazało się nazbyt pomocne.

— Kiedy nie możesz odnosić wielkich zwycięstw, pasterzu, naucz się kontentować małymi. Jeśli udało ci się przekonać otoczenie, iż jesteś czymś więcej, niż tylko wiejskim chłopcem, którym łatwo będzie manipulować, to już jest mały triumf. Teraz bądź cicho i słuchaj. Czasu zostało tylko na jedną lekcję, najtrudniejszą. Chowanie Miecza.

— Każdego ranka, przez godzinę nie pozwalałeś mi robić nic innego, jak tylko wyciągać to przekłete ostrze i na powrót chować w pochwie. Na stojąco, siedząco, na leżąco. Sądzę, że już potrafisz schować je do pochwy, nie kalecząc się przy tej okazji.

— Powiedziałem słuchaj, pasterzu — warknął Strażnik. — Przyjdzie czas, gdy będziesz musiał osiągnąć cel za wszelką cenę. Może się to zdarzyć zarówno w czasie ataku, jak i obrony. A jedyną drogą do celu — pozwolić, by miecz schował się w twym własnym ciele.

— To szaleństwo — odparł Rand. — Dlaczego kiedykolwiek miałbym...?

— Będziesz wiedział, kiedy ta chwila przyjdzie, pasterzu — przerwał mu Strażnik. — Kiedy cena warta będzie wysiłku i nie pozostanie ci żaden inny wybór. Nazywa się to Chowaniem Miecza. Zapamiętaj więc.

Ukazała się Amyrlin, która szła przez dziedziniec u boku lorda Agelmara oraz Leane wraz z jej sztabem. Ubrany w zielony aksamitny płaszcz lord Fal Dara nie wyglądał nawet obco pośród tak wielu uzbrojonych ludzi. Nigdzie jednak nie było widać śladu innych Aes Sedai. Kiedy przechodzili obok, Randowi udało się posłyszeć fragment rozmowy.

— Ależ Matko — protestował Agelmar — nie miałeś nawet czasu, by odpocząć po podróży. Obiecałem, że wydam dzisiaj na twą cześć ucztę, o jaką raczej trudno w Tar Valon.

Amyrlin potrząsnęła głową, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

— Nie mogę, Agelmarze. Wiesz dobrze, że zostałabym, gdybym mogła. I tak nie planowałam długiej wizyty, a teraz naglące sprawy wymagają mej obecności w Białej Wieży. Moje miejsce jest tam.

— Matko, to hańba dla mnie, że przyjeżdżasz jednego dnia i opuszczasz nas następnego. Przysięgam ci, iż nie powtórzą się wydarzenia zeszłej nocy. Potroiłem załogi u bram miasta, podobnie jak oddziały straży. Sprowadziłem z miasta akrobatów, a z Mos Shirae przyjechał bard. Król Easar ma przybyć z Fal Moran, posłałem po niego, gdy tylko...

W miarę jak oddalali się w głąb dziedzińca, ich głosy cichły, wchłaniane przez gziełk przygotowań. Amyrlin ani razu nie spojrzała w kierunku Randa.

Kiedy ten wreszcie rozejrzał się wokół siebie, Strażnik już poszedł i nigdzie nie było go widać. Loial na powrót podprowadził konia do boku Randa.

— To człowiek, którego trudno schwytać i zatrzymać, nieprawdaż Rand? Nigdzie go nie ma, potem znienacka się pojawia, potem znowu znika, i zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, jak przychodzi, czy odchodzi.

„Chowanie Miecza. — Randem wstrząsnął dreszcz. — Wszyscy Strażnicy muszą być szaleni”.

Strażnik, z którym rozmawiała Amyrlin, nagle pochylił się w siodle. Zanim dotarł do szerokich bram, już gnał na złamanie karku. Patrzyła za nim, w jego postawie był niezwykle upór.

— Dokąd on tak pędzi? — głośno zdziwił się Rand.

— Słyszałem — odparł Loial — że wciąż słała dzisiaj gońców, aż do Arad Doman. Plotka głosi, iż są jakieś kłopoty na Równinie Almoth, a Tron Amyrlin chce wiedzieć, o co dokładnie chodzi. Nie rozumiem jednak, dlaczego właśnie teraz? Z tego, co wiem, pogłoski o tych kłopotach dotarły wraz z Aes Sedai, z Tar Valon.

Rand poczuł zimny dreszcz. Ojciec Egwene posiadał w domu wielką mapę, mapę, nad którą marząc, ślęczał niejeden raz, kiedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak wyglądają marzenia, gdy się spełniają. Stara była to mapa, ukazywała kra-



je i ludy, o których przyjezdni kupcy powiadali, iż już nie istnieją, ale Równina Almoth była na niej zaznaczona — graniczyła z Głową Tomana.

„Spotkamy się znowu na Głowie Tomana”.

Było to na przeciwległym końcu znanego mu świata, na wybrzeżach Oceanu Aryth.

— To nie ma nic wspólnego z nami — wyszeptał. — Nic wspólnego ze mną.

Loial wydawał się nie słyszeć. Drapiąc się po nosie palcem grubym jak kiełbasa, Ogir wciąż wpatrywał się w bramę, za którą zniknął Strażnik.

— Jeżeli tak bardzo ją to interesuje, czemu nie wysłała kogoś przed opuszczeniem Tar Valon? Cóż, wy ludzie zachowujecie się gorączkowo, biegacie wkoło, krzycząc. — Uszy wyprężyły mu się z zakłopotania. — Przepraszam, Rand. Wiesz przecież, że zdarza mi się powiedzieć coś, zanim pomyślę. Sam jestem równie pochopny i raptowny.

Rand roześmiał się. Był to śmiech niezbyt radosny, ostatecznie jednak dobrze było mieć się choćby z czegoś pośmiać.

— Być może, gdybyśmy żyli równie długo jak wy, Ogirowie, bylibyśmy bardziej stateczni.

Loial miał dziewięćdziesiąt lat, co wedle norm Ogirów nie wystarczało, aby pozwolić mu na samodzielne opuszczanie *stedding*. To, że jednak wyruszył w drogę stanowiło, jak podkreślał, dowód jego porywczoci. Jeśli więc Loial był przykładem łatwo gorączkującego się Ogira, to o pozostałych należało chyba sądzić podobnie jak Rand, że byli wykuci z kamienia.

— Być może — zadumał się Loial — lecz wy ludzie potraficie tak dużo zrobić ze swym żywotem. My tylko prowadzimy długie narady w *stedding*, pielęgnujemy gaje. Przecież nawet nasze budowle zostały wszystkie wykonane, zanim długa tułaczka dobiegła końca. To właśnie gaje były drogie sercu Ogira, nie zaś miasta, których budową zapisali się w pamięci ludzi. To pragnienie zobaczenia gajów, zasadzonych, aby upamiętnić Ogirów Budowniczych ze *stedding*, skłoniły mnie do opuszczenia domu. Ale od kiedy zdecydowaliśmy się powrócić do *stedding*... — jego słowa powoli cichły, w miarę zbliżania się Amyrlin.

Ingтар i jego towarzysze wyprostowali się w siodłach, przygotowując do zeskoczenia z nich i klęknięcia, lecz gestem nakazała im pozostać w miejscu. Przy boku miała Leane, Agelmar trzymał się o krok z tyłu. Z jego posępnej twarzy wyczytać można było, iż porzucił daremne usiłowania zatrzymania jej dłużej.

Zanim odezwała się słowem, najpierw przez chwilę patrzyła każdemu w oczy. Na twarzy Randa jej wzrok nie spoczął ani trochę dłużej niż na pozostałych.

— Niech pokój spłynie na twój miecz, lordzie Ingtatze — rzekła na koniec. — Sława Budowniczym, Loial Kiseran.

— Zaszczycasz nas, Matko. Niech pokój spłynie na Tar Valon. — Ingтар skłonił się w siodle, pozostali Shienarańczycy postąpili podobnie.

— Wszelka cześć dla Tar Valon — powiedział Loial, kłaniając się.

Jedynie Rand, oraz dwaj jego przyjaciele, których konie stały po przeciwnej stronie oddziału, pozostali wyprostowani. Zastanawiał się coś takiego chciałyby im powiedzieć. Leane popatrzyła krzywo na trójkę chłopców, oczy Agelmara rozszerzyły się, lecz Amyrlin nie zwróciła na to uwagi.

— Wyruszacie więc w poszukiwaniu Rogu Valere — zaczęła — i nadzieję świata zabieracie ze sobą. Róg nie może pozostać w niewłaściwych rękach, szczególnie w rękach Sprzymierzeńców Ciemności. Ci, którzy przybędą na jego wezwanie, uczynią to niezależnie od tego, kto weń zadmie, przysięgą związani z Rogiem, nie ze Światłością.

Słowa te wywołały poruszenie wśród słuchających mężczyzn. Dotąd każdy wierzył, iż wezwani z grobu bohaterowie walczyć będą za Światłość. Jeśli mieliby się okazać sługami Cienia, wówczas...

Amyrlin ciągnęła dalej, lecz Rand już nie słuchał, bo oto powrócił Obserwator. Pod jego wzrokiem włosy zjeżyły mu się na karku. Wpatrywał się w zatłoczone balkony dla łuczników, przepatrywał dziedziniec, szeregi ludzi ściśnięte na krążgankach straży, u szczytu murów. Gdzieś pomiędzy nimi tkwiły niewidoczne, śledzące go oczy. Spojrzenie lepiło się doń jak wstrętne mazidło.

„To nie może być Pomor, przecież nie tutaj. A więc kto? Lub co?”

Przechylił się w siodle, zmuszając Rudego do zwrotu — szukał. Gniadosz nerwowo przestępował z nogi na nogę.

Nagle coś błysnęło tuż przed twarzą Randa. Człowiek przechodzący za plecami Amyrlin krzyknął i upadł, z jego boku sterczała czarnopióra strzała. Amyrlin stała spokojnie spoglądając na rozdarcie rękawa, jej krew wolno kapała na szary jedwab.

Kobieta krzyknęła i nagle podwórzec rozbrzmiał krzykami i lamentem. Tłum na murach zafalował gniewnie, a każdy mężczyzna znajdujący się na dziedzińcu obnażył miecz. Nawet Rand, z czego dopiero po chwili, niepomiernie zdziwiony, zdał sobie sprawę.

Agelmar potrząsnął ostrzem ku niebu.

— Znaleźć go! — wrzasnął. — Doprowadzić do mnie!

Kolor jego twarzy zmienił się z czerwieni w biel, gdy zobaczył krew na rękawie Amyrlin. Padł na kolana, skłaniając nisko głowę.

— Wybacz, Matko! Nie dopilnowałem twego bezpieczeństwa. Niech okryje się hańbą.

— Bzdury, Agelmarze — odparła Amyrlin. — Leane przestań tak biegać wokół mnie i zajmij się tamtym człowiekiem. Wiele razy zacięłam się mocniej podczas skrobania ryby, a on rzeczywiście potrzebuje pomocy. Agelmarze, wstań! Wstań, lordzie Fal Dara! Nie zawiodłeś mnie i nie masz powodów do wstydu. Zeszłego roku, w Białej Wieży, gdzie przy każdej bramie miałam swoich żołnierzy, a dookoła wszędzie Strażników, człowiek z nożem przedostał się na odległość pięciu stóp. Bez wątplenia Biały Płaszcz, aczkolwiek nie mam na to dowodu. Proszę

wstań, teraz bowiem ty mnie zawstydzasz.

Kiedy Agelmar wstawał, ujęła palcami rozdarty rękaw.

— Kiepski strzał, jak na łucznika Białych Płaszczy, kiepski nawet jak na Sprzymierzeńca Ciemności. — Zamrugła oczyma, aż jej wzrok spoczął na Randzie. — O ile oczywiście celował we mnie.

Spojrzenie powędrowało dalej, zanim Rand zdążył coś wyczytać w jej twarzy. Nagle jednak zapragnął zeskoczyć z konia i natychmiast gdzieś się schować.

„Nie strzelano do niej, doskonale o tym wie”.

Leane podniosła się z miejsca, gdzie klęczała. Ktoś narzucił płaszcz na twarz człowieka trafionego strzałą.

— Nie żyje, Matko. — W głosie rozbrzmiewało zmęczenie. — Był martwy, zanim padł na ziemię. Nawet gdybym była tuż przy nim. . .

— Zrobiłaś, co mogłaś, Córko. Śmierci nie można Uzdrowić.

Agelmar podszedł bliżej.

— Matko, jeśli w pobliżu są zabójcy Białych Płaszczy, albo Sprzymierzeńcy Ciemności, musisz pozwolić mi wysłać ze sobą ludzi. Przynajmniej niech ci towarzyszą do rzeki. Nie miałbym po co żyć, gdyby coś złego przytrafiło ci się w Shienar. Proszę, wróć do kobiecych komnat. Własnym życiem zapewnię ci ochronę, dopóki nie będziesz gotowa do podróży.

— Zachowaj spokój — odrzekła mu. — To zadrapanie nie odwlecze mojego odjazdu nawet na chwilę. Tak, tak, z radością zgodzę się na to, by twoi ludzie towarzyszyli mi do rzeki, jeśli nalegasz. Lecz nie pozwolę, żeby cała ta sprawa na moment choćby odwlokła wyjazd lorda Ingtara. Dopóki Róg nie zostanie na powrót odnaleziony, liczy się każde uderzenie serca. Za pozwoleniem, lordzie Agelmarze, czy zechciałbyś wydać rozkazy swym sługom?

Agelmar pochylił głowę w zgodzie. W tej chwili oddałby jej nawet Fal Dara, gdyby tylko poprosiła.

Amyrlin odwróciła się do Ingtara i zgromadzonych za nim ludzi. Znowu nawet nie spojrzała na Randa. Zaskoczyło go, gdy nagle uśmiechnęła się.

— Założyłabym się, że Illian nie wyposaży swego Wielkiego Polowania na Róg w tak gromką odprawę — powiedziała. — Ale do was należy prawdziwe Wielkie Polowanie. Jest was niewielu, więc możecie podróżować szybko, wystarczy jednak, by wypełnić swą powinność. Nakładam na ciebie, lordzie Ingtarze z Domu Shinowa, i na was wszystkich, obowiązek odnalezienia Rogu Valere. I niech nic nie stanie wam na przeszkodzie.

Ingtar gwałtownym ruchem wyciągnął miecz z pochwy i ucałował obnażone ostrze.

— Na moje życie i duszę, na mój Dom i honor, przysięgam to uczynić, Matko.

— Jedź więc.

Ingtar popędził konia w kierunku bramy.

Rand wbił pięty w boki Rudego i pognał za kolumną, która już znikafa w cieniu bram.

Nieświadomi tego, co zdarzyło się w środku, pikinierzy i łucznicy Amyrlin stali, tworząc żywy mur, wzdłuż drogi od bram do właściwego miasta, a Płomień Tar Valon lśnił na ich piersiach. Dobosze i trębacze czekali w pobliżu bram, gotowi stanąć w szeregu, kiedy tylko ich pani opuści bramę. Tuż za rzędem uzbrojonych ludzi, tłoczno było na placu przed wieżą. Niektórzy wznosili okrzyki na widok sztandaru Ingtara, sporo osób bez wątpienia myślało, iż to odjeżdża Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Wzmagający się pomruk ścigał Randa poprzez plac.

Dogonił Ingtara w Miejscu, gdzie ulicę ograniczały niskie strzechy domów i sklepów, gdzie tłum gęsto stał po obu jej stronach. Niektórzy również wznosili okrzyki. Mat i Perrin jechali na samym czele kolumny obok Ingtara i Loiala, lecz jedynie dwaj ostatni obejrzeni się, gdy Rand do nich dołączył.

„W jaki sposób miałbym ich przeprosić, skoro nie pozwalają mi nawet zbliżyć się na tyle, żeby cokolwiek powiedzieć. Niech szczepnę, wcale nie wygląda, jakby umierał”.

— Changu i Nidao zniknęli — rzekł nagle Ingtar. Wydawał się zimny i zły, ale również wstrząśnięty. — Jeszcze w wieży policzyliśmy wszystkich, żywych i martwych. Liczyliśmy dwukrotnie, ostatniej nocy i ponownie rankiem. Nie doliczyliśmy się jedynie ich dwu.

— Changu zeszłej nocy stał na warcie w lochach — powiedział Rand wolno.

— Nidao był razem z nim. Mieli objąć drugą wartę. Zawsze trzymali się razem, nawet jeśli wymagało to dodatkowej służby, lub konieczności przehandlowania jej z kimś innym. To nie był ich czas, kiedy się wszystko stało, lecz... Walczyli w Wąwozie Tarvina, miesiąc temu, i uratowali lorda Agelmara, kiedy jego koń padł i obskoczyły go trolloki. A teraz... Sprzymierzeńcy Ciemności. — Wciągnął głęboki oddech. — Wszystko się rozpada.

Jakiś człowiek na koniu sforsował cizbę zgromadzoną wzdłuż ulicy i włączył się do kolumny, zajmując miejsce za Ingtarem. Sądząc po ubiorze był to mieszkaniec miasta; szczupły, z pomarszczoną twarzą i długimi, siwiejącymi włosami. Do jego siodła przymocowany był tobołek i bukłak z wodą, przy pasie wisiał krótki miecz, zębaty łamacz mieczy oraz pałka.

Ingtar pochwycił spojrzenie Randa.

— To jest Hurin, nasz wężyciel. Nie ma potrzeby, aby Aes Sedai wiedziały o nim. Nie dlatego, że to co czyni jest złe. Król trzyma wężyciela w Fal Moran, w Ankor Dail też mają jednego. Po prostu Aes Sedai rzadko lubią to, czego nie rozumieją, a on na dodatek jest mężczyzną... Rzecz jasna, jego talenty nie mają nic wspólnego z Mocą. Powiedz, mu to sam, Hurmie.

— Tak, lordzie Ingtar — powiedział mężczyzna. Ze swego siodła nisko skłonił się Randowi. — To zaszczyt służyć ci, mój panie.

— Mów do mnie Rand. — Rand wyciągnął rękę, po chwili Hurin uśmiechnął

się i uściskał ją.

— Jak sobie życzysz, lordzie Rand. Lord Ingтар i lord Kajin nie przykładają nadmiernej uwagi do manier, lord Agelmar rzecz jasna również, lecz w mieście powiadają, iż jesteś zagranicznym księciem z południa, a niektórzy z zagranicznych panów niezmiernie dbają o poprawność zachowania w ich obecności.

— Nie jestem lordem.

„W końcu przynajmniej od tego udało mi się uwolnić”.

— Po prostu, Rand.

Hurin zamrugał.

— Jak sobie życzysz, mój pa... ach... Rand. Jestem wężycielem, jak wiesz. Tej niedzieli upłyną cztery lata. Przedtem nigdy nie słyszałem o czymś takim, teraz jednak wiem, że są inni podobni do mnie. Wszystko zaczęło się stopniowo. Najpierw czułem złe wonie, tam gdzie inni nie czuli nic, potem moje zdolności wzrosły. Minął rok, zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje. Potrafię wyczuwać zapach przemocy, zabijania i bólu. Czuję miejsca, w których dokonywano gwałtu. Potrafię iść śladem tego, który to zrobił. Każdy ślad jest inny, nie ma więc problemu z odróżnieniem ich. Lord Ingтар usłyszał o mnie i przyjął mnie na służbę, na służbę królewskiej sprawiedliwości.

— Potrafisz wyczuwać zapach przemocy? — zapytał Rand. Nie potrafił się powstrzymać przed spoglądaniem na nos swego rozmówcy. Zwykły nos, ani duży, ani mały. — Powiadasz, że rzeczywiście potrafisz tropić kogoś, kto powiedzmy, zabił innego człowieka? Czuć jego zapach?

— Potrafię, mój pa... ach... Rand. Z upływem czasu zapach się rozwiewa, ale im gorszego gwałtu się dopuszczono, tym dłużej trwa. Och, potrafię wyczuć pole bitwy po upływie dziesięciu lat, chociaż ślady po walczących dawno już zniknęły. Wyżej, w okolicach Ugoru, ślady trolloków niemal nigdy nie znikają. To znaczy nie samych trolloków, lecz zabijania i bólu. Natomiast zapach walki w karczmie, podczas której, dajmy na to, złamię komuś rękę... taki zapach zanika w ciągu kilku godzin.

— Zdaje mi się, że rozumiem, dlaczego nie chciałbyś, aby znalazły cię Aes Sedai.

— Ach, lord Ingтар miał rację w tym, co powiedział o Aes Sedai, niech Światłość je oświeca... ach... Rand. Kiedyś w Cairhien przeżyłem spotkanie z jedną z nich, z Brązową Ajah, choć, zanim nie pozwoliła mi odejść, przysiągłbym, że to była Czerwona. Przez cały miesiąc trzymała mnie próbując dojść, w jaki sposób potrafię czuć. Koniecznie chciała się tego dowiedzieć. Przez cały czas mruczała: „Czy to stare talenty odradzają się, czy powstają nowe?” i patrzyła na mnie tak, jakbym naprawdę używał Jedynej Mocy. W pewnej chwili sam zacząłem w to wierzyć. Lecz przecież nie oszalałem i w istocie nic nie byłem w stanie zrobić. Po prostu czuję zapach.

Rand nie mógł w tym momencie nie wspomnieć na słowa Moiraine: „Stare ba-

riery słabną. Coś rozpada się i zmienia w naszych czasach. Stare rzeczy odradzają się i powstają nowe. Być może za naszego życia zobaczymy koniec wieku”.

Wstrząsnął nim dreszcz.

— A więc, będziemy tropić tych, którzy ukradli Róg, posługując się twoim nosem.

Ingтар przytaknął. Hurin uśmiechnął się z dumą i powiedział:

— Tak właśnie zrobimy... ach... Rand. Pewnego razu ścigałem mordercę aż do Cairhien, innym razem przez całą drogę do Maradon, aby doprowadzić ich przed oblicze królewskiej sprawiedliwości. — Jego uśmiech zniknął, teraz wydawał się bardziej zakłopotany. — Ale ta sprawa jest najgorsza. Morderstwo roztacza wstrętny zapach, lecz to... — Nos mu się zmarszczył. — W tę sprawę, zeszłej nocy byli zaangażowani ludzie. Musieli być Sprzymierzeńcami Ciemności, chociaż na podstawie samego zapachu nie da się tego powiedzieć. Będę szedł za zapachem trolloków i Póćzlówieka. I czegoś jeszcze gorszego.

Jego głos powoli cichł, ginąc wśród grymasów i mamrotania, Rand jednak słyszał powtarzającą się frazę:

— Coś gorszego jeszcze, Światłości ratuj.

Dojechali do bram miasta, tuż za murami Hurin uniósł twarz i wciągnął w rozwarłe nozdrza powiew wiatru. Prychnął z niesmakiem.

— Tędy, lordzie Ingтарze. — Wskazał na południe.

Ingтар wydawał się zaskoczony.

— Nie w kierunku Ugoru?

— Nie, lordzie Ingтарze. Ohyda! — Hurin wytarł usta w płaszcz. — Niemal mogę posmakować ich zapach. Pojechali na południe.

— Miała rację tedy Zasiadająca na Tronie Amyrlin — powiedział wolno Ingтар. — Wielka i mądra kobieta, która zasłużyła na lepsze sługi niż ja. Trzymajmy się więc śladu, Hurin.

Rand odwrócił się i spojrzał poprzez bramę na ulicę wiodącą do wieży, potem na samą wieżę. Miał nadzieję, że Egwene nic się nie stało.

„Nynaeve zaopiekuje się nią. Być może tak będzie nawet lepiej, jak czyste cięcie, które boli dopiero wówczas, gdy już jest po wszystkim”.

Podążał za Ingtarem i sztandarem Szarej Sowy, na południe. Zrywał się wiatr, który pomimo świecącego słońca mrozem wiał w plecy. Zdawało się, że w jego podmuchach słyhać śmiech, niewyraźny i kpiący.

\* \* \*

Woskowy księżyc oświetlał wilgotne, pograżone w nocnym mroku ulice Il-

lian, wciąż rozbrzmiewające przeciągającymi się obchodami święta. Za kilka dni miało nastąpić oficjalne otwarcie Wielkiego Polowania na Róg, wśród parady i ceremonii, które swą tradycję wywodziły aż z Wieku Legend. Uroczystości na cześć uczestników Polowania zbiegły się w czasie ze Świętem Teven, z jego słynnymi turniejami i nagrodami dla bardów. Nagroda główna, jak zazwyczaj, miała przypaść temu, który najlepiej zadeklamuje *Wielkie Polowanie na Róg*.

Tej nocy bardowie śpiewali w rezydencjach i pałacach miasta, gdzie zażywali rozrywki wielcy i potężni, Myśliwi zaś przybywali ze wszystkich stron świata, aby ścigać i zdobyć, jeśli nawet nie sam Róg, to przynajmniej nieśmiertelność w pieśni i opowieści. Tej nocy cieszyli się muzyką i tańcem, otoczeni entuzjastami kosztowali lodów, aby ochłodzić czoła rozpalone pierwszym tego roku prawdziwym upałem. Karnawał wyległ na ulice i trwał pośród rozświetlonej księżycową poświatą parnej nocy. Dopóki nie rozpocznie się Polowanie, każdy dzień zmieni się w święto, każda noc rozbrzmi zabawą.

Ludzie mijali Bayle'a Domona. Przesuwały się najdziwniejsze i najbardziej fantazyjne kostiumy, z których wiele raczej odkrywało, niż przykrywało nagłość ciał. Krzycząc i śpiewając przebiegały kilkusobowe grupy, które po chwili rozpadały się na chichoczące i trzymające się za ręce pary, by następnie znów przyłączyć się do ochryptego chóru. Fajerwerki eksplodowały na niebie, złotem i srebrem rozbłyskując na tle czerni. W mieście przebywało obecnie prawie tyle samo iluminatorów, co bardów.

Domon równie niewiele uwagi poświęcał fajerwerkom, co Polowaniu. Szedł właśnie, aby spotkać się z ludźmi, co do których żywił podejrzenia, że mogą chcieć go zabić.

Po Moście Kwiatów przekroczył jeden z licznych w mieście kanałów i dostał się do Pachnącej Dzielnicy, w portowej części Illian. Kanał śmierdział zawartością niezliczonych nocników i nawet ślad po kwiatkach nie pozostał w pobliżu mostu. Nad dzielnicą unosił się zapach juty i smoły, dobiegający od doków stoczni. W połączeniu z kwaśnym odorem mułu zatoki tworzył nieznośną zawiesinę w powietrzu tak gęstym od upału, że można by je niemalże pić. Domon oddychał ciężko. Za każdym razem, gdy powracał z krain północy, był zaskoczony, pomimo że przecież tutaj się właśnie urodził, upałem wczesnego lata spływającym na Illian.

W jednym ręku trzymał grubą pałkę, druga spoczywała na rękojeści krótkiego miecza, który tyle razy już służył mu w walce z rzeczonymi zbójcami, wdzierającymi się na pokłady statków handlowych. Z pewnością niejeden rozbójnik czał się w mroku tej roz hulanej nocy, podczas której łupy mogły być bogate, a ofiary zazwyczaj miały w sobie spore ilości wina.

Był mocno zbudowanym, muskularnym mężczyzną, a prosty płaszcz z pewnością nie czynił go wystarczająco bogatym w oczach zaczajonych pośród mroku łowców złota, żeby chcieli ryzykować spotkanie z jego pałką. Tych kilku, którym

rzuciła się w oczy jego sylwetka na tle światła wylewającego się przez okna, chyłkiem umknęło w ciemność. Ciemne, długie włosy spływały mu na ramiona, długa broda okalała okrągłą twarz. Na tej twarzy nigdy właściwie nie gościł wyraz łagodności, teraz jednak była tak sroga, jakby jej właściciel postanowił utorować sobie drogę poprzez mur. Miał spotkać się z tutejszymi ludźmi i nie był z tego powodu szczęśliwy.

Tłum świętujących zgęstniał nieco, przechodzili obok śpiewając i fałszując, bo wino mieszało im języki.

„*Róg Valere*, na moją starą prababkę! — myślał ponuro Domon. — W tej sprawie ryzykuję moim statkiem. I, skarz mnie Fortuno, moim życiem”.

Wszedł do gospody. Nad drzwiami widniał rysunek wielkiego, białego przegowanego borsuka, tańczącego na tylnych łapach przed człowiekiem, trzymającym srebrną łopatę. Gospoda nazywała się „Spokój Borsuka”, chociaż nawet karczmarza, Nieda Sidoro, nie wiedziała, skąd pochodziła ta nazwa. W Illian zawsze była taka gospoda.

Sala ogólna była dobrze oświetlona i cicha, podłogę wysypano trocinami, muzyk delikatnie brzdąkał na dwunastostrunowym instrumencie, grając jedną ze smutnych piosenek Ludu Morza. Nieda nie zezwalała na żadne awantury w swojej gospodzie, a jej siostrzeniec Bili był wystarczająco silny, aby unieść człowieka jedną ręką. Żeglarze, dokerzy i magazynierzy przychodzili do „Borsuka”, aby napić się, trochę porozmawiać, zagrać w kamienie lub strzałki. Teraz sala była wypełniona jedynie w połowie, nawet zwolennicy spokoju skuszeni zostali splendorem święta. Rozmowy toczyły się przyciszonym głosem, Domon jednak zdołał usłyszeć wzmianki na temat Polowania i fałszywego Smoka, którego pochwycili Murandianie, oraz tego Smoka którego Taireńczycy właśnie ścigali po Haddon Mirk. Istniały, jak się zdawało, pewne wątpliwości co do tego, czy lepszy byłby martwy Smok, czy Taireńczycy.

Domon skrzywił się.

„Fałszywe Smoki! Skarz mnie Fortuno, nie ma już żadnego bezpiecznego miejsca w dzisiejszych czasach”.

Lecz w rzeczywistości nie troszczył się wcale ani o fałszywych Smoków, ani o Polowanie.

Gruba właścicielka, z włosami zaplecionymi z tyłu głowy, wycierała kufle, równocześnie uważnie przypatrując się swym gościom. Nie przerywając swego zajęcia, nawet nie patrząc na Demona, opuściła jedną powiekę, zaś drugim okiem wskazała trzech mężczyzn siedzących przy stole w kącie. Zachowywali się cicho, nawet jak na zwyczajne panujące w „Borsuku”. Wyczuć można było niemalże bijący od nich smutek. Ich aksamitne, czarne kapelusze w kształcie dzwonu oraz czarne płaszcze haftowane na piersiach pasami srebra, szkarłatu i złota, odznaczały się pośród zwykłych, prostych ubiorów pozostałych gości.

Domon westchnął i sam zajął stół w kącie.



„Tym razem Cairhienianie”.

Wziął z rąk usługującej dziewczyny kufel brązowego piwa i pociągnął długi łyk. Kiedy postawił naczynie na stole, trzech mężczyźni w prążkowanych płaszczach stali już przed nim. Wykonał dłonią nieznaczny gest, dając do zrozumienia Niedzie, że pomoc Biliego nie będzie potrzebna.

— Kapitan Domon?

Wszyscy trzech praktycznie niczym nie różnili się między sobą, lecz mówiącego otaczała delikatna aura, która Domonowi pozwoliła rozpoznać przywódcę. Jak się wydawało, nie byli uzbrojeni. Pomimo bogatych ubiorów wyglądali, jakby wcale nie potrzebowali broni. W na pozór zwyczajnych twarzach lśniły twarde oczy.

— Kapitan Bayle Domon, ze statku „Spray”?

Domon krótko skinął głową, trzech mężczyźni usiedli, nawet nie czekając na zaproszenie. Rozmawiał ten, który mówił poprzednio, pozostali dwaj tylko patrzyli, ledwo mrugając oczyma.

„Straż przyboczna — pomyślał Domon — pomimo tych strojnych ubiorów. Kim musi być ten człowiek, skoro może sobie pozwolić na prywatną ochronę?”

— Kapitanie Domon, mamy osobę, którą należy przewieźć z Mayene do Illian.

— „Spray” jest statkiem rzeczny — przerwał mu Domon. — Ma zbyt słabe zanurzenie i kil nieodpowiedni do pływania po głębokich wodach.

Nie była to całkowita prawda, lecz dla ludzi z lądu powinno wystarczyć.

„Ostatecznie będzie to jakaś zmiana w porównaniu z Łzą. Stają się coraz sprytniejsi”.

Mężczyzna wydawał się całkowicie niezmiyszany.

— Słyszeliśmy, żeś zrezygnował z rzecznego handlu.

— Może tak, może nie. Jeszcze nie zdecydowałem.

W istocie nie była to prawda. Postanowił już więcej nie wracać w górę rzeki, nie wracać na Ziemię Graniczne, nigdy, nawet za cały jedwab przewożony w tairińskich statkach. Saldeańskie futra i pieprz, nie były po prostu tego warte i nie miało to nic wspólnego z zasłyszаныmi plotkami o fałszywych Smokach. Zastanawiał się jednak, skąd ktoś miałby o tym wiedzieć. O swojej decyzji z nikim nie rozmawiał, a jednak ludzie w jakiś sposób wiedzieli.

— Z łatwością możesz dopłynąć do Mayene. Bez wątpienia, kapitanie, zdecyduje się pan pożegłować wzdłuż linii brzegu za cenę tysiąca złotych marek.

Wbrew woli Domon wybałuszył oczy. Było to czterokrotnie więcej, niżli zaoferowano mu ostatnio, suma wystarczająco duża, by człowiekowi rozdziawiła się gęba ze zdziwienia.

— Chcecie, abym kogo przewiózł? Samą Pierwszą z Mayene? A więc Łzie udało się ją w końcu wypędzić?

— Nie ma potrzeby wymieniania żadnych nazwisk, kapitanie.

Mężczyzna położył na ladzie dużą skórzaną sakiewkę i zapieczętowany pergamin. Sakiewka ciężko pobrzękiwała, gdy przesuwiał ją w poprzek stołu. W wielkim, czerwonym, woskowym kręgu, spinającym zwinięty pergamin, odcisnięte było słońce o wielu promieniach — pieczęć Wschodzącego Słońca Cairhien.

— Dwieście w formie zaliczki. Za tysiąc marek, jak sądzę, nie będziesz dopytywał się o nazwiska. Gdy wręczysz to pismo, rzecz jasna z nie naruszoną pieczęcią, Kapitanowi Portu w Mayene, otrzymasz następne trzysta i pasażera. Resztę kwoty zatrzymam do czasu, aż dostarczysz pasażera tutaj. Otrzymaś je pod warunkiem, że nie uczynisz żadnych wysiłków w celu odkrycia jego tożsamości.

Domon wciągnął głęboki oddech.

„Fortuno, warto by było popłynąć nawet tylko za to, co jest w tej sakiewce”.

Tysiąc marek stanowiło więcej pieniędzy, niż byłby w stanie zaoszczędzić przez trzy lata. Podejrzał, że gdyby trochę bardziej wysondował trzech mężczyzn, znalazłby inne dane, dokładniej wskazujące na to, iż jego podróż związana jest z tajnymi porozumieniami pomiędzy Radą Dziewięciu z Illien a Pierwszą z Mayene. Państwo-miasto Pierwszej było prowincją Łzy wyłącznie z nazwy, bez wątpienia więc przydałaby się jej pomoc Illian. Ponadto, wielu w Illian mówiło, że czas już przyszedł na następną wojnę, że Łza zabiera więcej niż tylko sprawiedliwy podatek z handlu na Morzu Sztormów. Piękną sieć na niego zarzucono, wpadłby w nią pewnie, gdyby to nie była już trzecia tego typu próba w ciągu ostatniego miesiąca.

Wyciągnął rękę, aby wziąć sakiewkę, ale mężczyzna, z którym rozmawiał, chwycił go za nadgarstek. Domon spojrzał na niego, tamten zupełnie niezmierny odwzajemnił spojrzenie.

— Musi pan wypłynąć najszybciej jak to tylko możliwe, kapitanie.

— O pierwszym brzasku — odburknął Domon, a mężczyzna pokiwał głową i zwolnił uścisk.

— O pierwszy brzasku więc, kapitanie Domon. Pamiętaj, tylko dyskretni ludzie pozostają przy życiu i mogą cieszyć się wydawaniem pieniędzy.

Domon patrzył, jak trzej mężczyźni opuszczali karczmę, później zatopił wzrok w sakiewce i pergaminie. Ktoś chciał, żeby pożegłował na wschód. Łza czy Mayene, nie miało znaczenia, zawsze chodziło o wschód. Pomyślał, że wie, kto to taki.

„Tym razem jednak znowu nie udało mi się uzyskać żadnej wskazówki, która naprowadziłaby mnie na trop”.

Skąd mógł wiedzieć, kto jest Sprzymierzeńcem Ciemności. Miał jednak pewność, że od kiedy opuścił Marabon i popłynął w dół rzeki, podążali za nim Sprzymierzeńcy Ciemności. Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki. Tego był pewien. Prawdziwym pytaniem jednak, na które nie uzyskał nawet prześlysku odpowiedzi, było: dlaczego?

— Kłopoty Bayle? — zapytała Nieda. — Wyglądasz, jakbyś przed chwilą zobaczył trolloka.

Zachichotała, dźwięk pasował do kobiety o jej tuszy. Podobnie jak większość ludzi, którzy nigdy nie byli na Ziemiach Granicznych, Nieda nie wierzyła w trolloki. Domon próbował przekazać jej prawdę, bawiły ją te historie, uważała je jednak w całości za kłamstwa. W śnieg nie wierzyła również.

— Żadnych kłopotów, Nieda. — Rozwiązał sakiewkę, wyciągnął monetę i wręczył jej. — Stawiam wszystkim. Niech piją, dopóki wystarczy, później dam ci następną.

Nieda, zaskoczona, oglądała monetę.

— Marka z Tar Valon. Zaczęłeś handlować z wiedźmami, Bayle?

— Nie! — powiedział ochryple. — Tego nie zrobię nigdy!

Sprawdziła monetę zębami, potem szybko wsunęła za szeroki pas.

— Cóż, przynajmniej jest z tego pożytek. Zresztą sądzę, że wiedźmy nie są takie złe, jak się o nich opowiada. O wielu mężczyznach nie mogłabym tego powiedzieć. Znam człowieka, który mi ją wymieni. Biorąc pod uwagę ilość gości dzisiejszego wieczoru, zapewne nie będziesz musiał mi dawać następnej. Jeszcze piwa, Bayle?

Skinął tępo głową, chociaż kufel był niemalże pełny. Ciężko odeszła od stołu. Była jego przyjaciółką, z pewnością więc nie rozpowie o tym, co widziała. Siedział, wpatrując się w skórzaną sakiewkę. Następny kufel wyrósł przed nim, zanim zdecydował się otworzyć sakiewkę na tyle, by obejrzeć monetę. Rozgarnął je zrogowaciałym palcem. Złote marki zaśniły w świetle lamp, na każdej z nich wybity był Płomień Tar Valon. Pośpiesznie zawiązał rzemyk. Niebezpieczne monety. Jedna lub dwie przejdą nie zauważone, lecz taka ilość powie ludziom dokładnie to, co pomyślała sobie Niech. W mieście byli Synowie Światłości i chociaż prawa Illian nie zakazywały robienia interesów z Aes Sedai, nie mogłyby udać się do magistratu, by szukać ochrony przed Białymi Płaszczami. Ludzie, którzy go wynajęli, upewnili się, że nie zatrzyma po prostu złota i nie zostanie w Illian.

Kiedy tak siedział, zamartwiając się, do „Borsuka” wszedł jego zastępca na „Sprayu”, Yarin Maeldan, wiecznie roztargniony, podobny do bociana. Stał przed stołem, przy którym siedział Domon, brwi miał ściągnięte nad długim nosem.

— Carn nie żyje, kapitanie.

Domon popatrzył na niego, grymas wykrzywił mu twarz. Za każdym razem, kiedy odrzucał zlecenie mające go zaprowadzić na wschód, ginął jeden z jego ludzi. W ten sposób stracił już trzech. Magistrat nie zrobił nic w tej sprawie. Ulice są w nocy niebezpieczne, powiedzieli, a marynarze nadmiernie ostrzy w słowach i kłótlivi. Urzędnicy magistratu rzadko przejmowali się wypadkami w Pachnącej Dzielnicy, dopóki nie dotyczyły szanowanych obywateli.

— Tym razem się przecież zgodziłem — wymruczał.

— To nie wszystko, kapitanie — dodał Yarin. — Pocięli Carna nożami, jakby chcieli coś z niego wyciągnąć. A niecałą godzinę temu jacyś ludzie próbowali się zakraść na pokład „Spraya”. Przepędziły ich strażę portu. Trzeci raz w ciągu dziesięciu dni, nawet szczury z nabrzeża nie są tak wytrwałe. Zawsze czekają, aż szum wokół jednej sprawy ucichnie, zanim spróbują znowu. I jeszcze zeszłej nocy ktoś przetrząsnął mój pokój pod „Srebrnym Delfinem”. Zabrali trochę srebra, więc sądziłem, że to złodzieje, ale zostawili moją sprzączkę od pasa wysadzaną granatami i kamieniami księżycowymi, która leżała na samym wierzchu. Co się dzieje, kapitanie? Ludzie się boją, zresztą ja też stałem się trochę niespokojny?

Domon poderwał się z krzesła.

— Zbieraj załogę, Yarin. Znajdź ich i powiedz, że „Spray” wyrusza, gdy tylko na pokładzie będzie dosyć rąk do refowania żagli.

Wepchnął pergamin do kieszeni, chwycił sakiewkę ze złotem i, popychając przed sobą zastępcę, wyszedł z gospody.

— Zbieraj ich, Yarin, odpłynę bowiem bez wszystkich, którzy nie zdążą, nawet gdyby właśnie wbiegali na molo.

Domon klepnął Yarina w ramię, przynaglając do biegu, po czym twardym krokiem poszedł w kierunku doków. Nawet ci rabusie, którzy słyszeli pobrzękujące w sakiewce monety, nie próbowali szukać z nim zwady, wyglądał bowiem jak człowiek zamierzający dokonać morderstwa.

Kiedy dotarł do „Spraya”, niektórzy członkowie załogi przepychając się już wbiegali na pokład, a po kamiennym molo rozbrzmiewały odgłosy kroków reszty. Nie wiedzieli, że boi się tego, co go ściga, nie zdawali sobie nawet sprawy, że w ogóle coś go ściga, ale wiedzieli przecież, iż jego łódź przynosi duże zyski, a wedle Illiańskich zwyczajów dzielił się nimi z załogą.

„Spray” miał osiem stóp długości, dwa maszty i szeroką pokładnicę, z miejscem do przymocowania towarów, które nie zmieściłyby się w okazałych skądinąd ładowniach. Wbrew temu co Domon powiedział Cairhieńczykom — o ile byli to Cairhieńczycy — uważał, że statek dałby sobie radę na otwartym morzu. Morze Sztormów w okresie lata było spokojniejsze.

— Musi dać sobie radę — wymruczał, schodząc do swej kabiny pod pokładem.

Rzucił mieszek ze złotem na łóżko wbudowane starannie w zrab kadłuba, jak zresztą wszystko w rufowej kabynie, i wyciągnął z kieszeni pergamin. Zapalił latarnię, zawiesił ją na czopie nad głową i uważnie obejrzał zapieczętowany dokument, obracając go na wszystkie strony, jakby mógł przeczytać jego zawartość bez otwierania. Na dźwięk stukania do drzwi zmarszczył brwi.

— Wejść.

Yarin wsunął głowę do środka.

— Wszyscy na pokładzie, ale trzech nie mogę się doliczyć, kapitanie. Cóż, zostawiłem im wiadomość w każdej tawernie, szulerni i melinie dzielnicy. Zdążą

na pokład, zanim będziemy mieli dość światła, by popłynąć w górę rzeki.

— „Spray” wypływa zaraz. Na morze. — Domon uciął protesty Yarina dotyczące światła, przyptływów i niedostosowania „Spraya” do żeglugi po otwartym morzu. — Zaraz! „Spray” może pokonać piaszczyste łachy nawet przy najniższym poziomie wody. Zapomniałeś już pewnie, jak żeglować podług gwiazd? Wyprowadź go stąd, Yarin. Wyprowadź go zaraz i przyjdź do mnie, kiedy znajdziemy się już poza falochronem.

Jego zastępca zawahał się, Domon nigdy nie pozwalał, aby bardziej niebezpieczne manewry wykonywać bez niego. Zawsze stał na pokładzie i wydawał rozkazy. Wyprowadzenie „Spraya” z portu w nocy na pewno nie było manewrem bezpiecznym, niezależnie od płytkiego zanurzenia statku, potem jednak kiwnął głową i zniknął. Chwilę później kabinę kapitana wypełniły dźwięki wykrzykiwanych przez Yarina rozkazów i tupot bosych stóp po pokładzie. Nie zwracał na nic uwagi, nawet gdy statek zakołysał się, łapiąc przyptływ.

Na koniec podniósł osłonę lampy i wsunął w płomień ostrze noża. Z lampy wydobył się dym, kiedy olej opalił metal i nim nóż zdążył rozżarzyć się do czerwoności. Domon odsunął mapy i rozpostarł pergamin płasko na stole. Potem przesunął rozgrzaną stal powoli pod woskową pieczęcią, w taki sposób, że jej wierzch pozostał nienaruszony.

Dokument był prosty, bez preambuły i zwyczajowych pozdrowień. Jego treść zaś spowodowała, że Domonowi po czole spłynęły grube krople potu.

*Okaziciel niniejszego listu jest Sprzymierzeńcem Ciemności, ści-ganym w Cairhien za morderstwa i inne okropne zbrodnie, z których wymienić należy kradzież wymierzoną przeciwko Naszej Osobie. Wzywamy więc was, abyście zaarrestowali tego człowieka oraz przejęli wszystkie rzeczy pozostające w jego posiadaniu, włącznie z najdrobniejszymi. Nasz wysłannik pojawi się, aby odebrać rzecz Nam skradzioną. Niech więc wszystko, co człowiek ów posiada, wyjąwszy rzecz nadmienioną przypadnie wam jako nagroda za jego schwytanie. Sam zaś podły niegodziwiec winien być powieszony niezwłocznie, aby jego skażone Cieniem łotrostwo nie zatruwało dłużej Światłości.*

Pieczętowane Naszą Własną Dłonią

Galladrian su Riatin Rie  
Król Cairhien  
Obrońca Muru Smoka

W cienkiej warstwie czerwonego wosku, pod podpisem, odcisnięto pieczęć Wschodzącego Słońca Cairhien oraz Pięć Gwiazd Domu Riatin.

„Obrońca Muru Smoka, na moją starą prababkę — zaśmiał się w duchu Domon. — Niewielkie ma prawo ten człowiek, by nosić takie miano”.

Przez chwilę uważnie oglądał pieczęcie i podpis, trzymając dokument w świetle lampy, nosem niemalże szorując po pergaminie, lecz w pieczęci nie wykrył żadnej usterki, co zaś do podpisu, to i tak nie znał charakteru pisma Galladriana. Jeśli nie król podpisał dokument, ktokolwiek to zrobił, najpewniej zadbał o to, by fałszerstwo nie dawało się łatwo wykryć. I tak nie było żadnej różnicy. We Łzie list ten okazywany przez Illianina będzie tożsamy z natychmiastowym oskarżeniem. Podobnie w Mayene, gdzie wpływy Taireńczyków były tak silne. Obecnie trwał pokój, a ludzie mogli swobodnie wpływać i wypływać z portów, ale nie kochano Illian w Łzie i wzajemnie. Szczególnie, mając pretekst taki jak ten.

Przez chwilę myślał o tym, by wsadzić pergamin prosto w ogień lampy — to była zbyt niebezpieczna rzecz dla posiadacza listu, obojętnie czy w Łzie, czy w Illian — lecz ostatecznie wetknął go ostrożnie do ukrytej szafki za stołem, którą jedynie on umiał otworzyć.

— Moja własność, tak?

Od czasu kiedy zamieszkał na pokładzie statku, zbierał antyki. To, czego nie mógł kupić, ponieważ było za drogie lub zbyt wielkie, włączał do kolekcji oglądając i zapamiętując. Wszystkie pozostałości po czasach minionych, cuda rozproszone po świecie, one właśnie, kiedy był chłopcem, skłoniły go do zaciągnięcia się na statek. W Maradon, podczas ostatniej podróży włączył do swej kolekcji cztery przedmioty, i od tego czasu trwał też ten pościg Sprzymierzeńców Ciemności. No i oczywiście trolloków, przynajmniej przez pewien czas. Słyszał, że Biały Most został zrównany z ziemią wkrótce po tym, jak stamtąd odpłynął a plotki głosiły, że zamieszany był w to Myrddraal i trolloki. To właśnie, pomijając inne poszlaki, pierwotnie przekonało go, że nic sobie nie imaginuje, i to spowodowało, iż zachował czujność, kiedy zaproponowano mu tę pierwszą, dziwną ofertę, dając tak wiele pieniędzy za prostą podróż do Łzy i racząc tak nieprzekonującą opowieścią.

Pogrzebał w schowku i rozłożył na stole wszystko, co nabył w Maradon. Oto pałeczka świetlna, pozostałość po Wieku Legend, przynajmniej tak mawiano. Z pewnością dzisiaj już nikt nie umiał ich wytwarzać. Odpowiednio droga i rzadsza, niżli uczciwi sędziowie. Wyglądała jak gładki szklany pręt, grubszy od kciuka i nieco krótszy niż przedramię, kiedy jednak trzymało się ją nad głową, świeciła jasno jak latarnia. Pałeczki były równie kruche jak szkło, omal nie stracił „Spraya” w pożarze wywołanym przez pierwszą, którą posiadał. Mały, poczerniały patyną lat kawałek kości słoniowej, przedstawiający mężczyznę trzymającego miecz. Człowiek, który mu go sprzedał, twierdził, że jeśli wystarczająco długo trzymać go w dłoni, zacznie wydzielać ciepło. Domonowi nigdy to się nie zdarzyło, podobnie jak żadnemu z członków załogi, niemniej był stary, a to już wystarczająco zaspokajało jego upodobania kolekcjonera. Czaszka kota wielkiego jak lew, tak stara, że przemieniona w kamień. Przecież żaden lew nigdy nie miał kłów

długich na stopę, wielkich niemalże jak u dzika. Gruby krążek, wielkości męskiej dłoni, w połowie biały, w połowie czarny, z krętą linią oddzielającą kolory. Sklepiarz w Maradon powiedział, że pochodzi z Wieku Legend, przekonany zresztą, że wypowiada kłamstwo, ale Domon jedynie przez chwilę wahał się, zanim zapłacił, rozpoznał bowiem coś, o czym sprzedawca nie miał pojęcia — starożytny symbol Aes Sedai, jeszcze sprzed Pęknięcia Świata. Posiadanie tej rzeczy nie było specjalnie bezpieczne, lecz dla kogoś kto fascynował się starymi przedmiotami, niemożliwe było przejście obojętnie obok.

A oprócz tego zrobiony był z prakamienia. Sklepiarz nigdy nie śmiałby dopowiedzieć tego do kłamstw, które jak sądził, wygłaszał. Żaden handlarz z nadrzecznego sklepiu w Maradon nie byłby w stanie dostarczyć nawet jednego kawałeczka *cuendillara*.

Krążek nagle stał się twardy i gładki w jego dłoni, niemalże zupełnie bezwartościowy, nie dlatego że popełnił pomyłkę w ocenie, lecz ponieważ obawiał się, iż to właśnie jego pragną ścigający go ludzie. Pałeczki świetlne, figurki z kości słoniowej, nawet przemienione w kamień kości widział już wiele razy, w wielu miejscach. Jednak nawet wiedząc o tym, czego tamci chcą — jeśli diagnoza była trafna — wciąż nie umiał wymyślić powodu, dlaczego go ścigają i kim są prześladowcy. Marki z Tar Valon i starożytny symbol Aes Sedai. Podrapał dłonią wargi, na języku rozpostarł się gorzki smak strachu.

Pukanie do drzwi. Schował krążek, a na pozostałe przedmioty leżące na stole nasunął rozwinięte mapy.

— Wejść.

Wszedł Yarin.

— Jesteśmy już poza falochronem, kapitanie.

Domon przez chwilę czuł tylko zaskoczenie, potem dołączyła do tego złość na samego siebie. Nigdy nie zdarzyło mu się tak o wszystkim zapomnieć, że nie czuł nawet jak „Spray” kołysze się na falach.

— Kurs na zachód, Yarin. Dopilnuj tego.

— Ebou Dar, kapitanie?

„To za blisko. Co najmniej pięćset lig”.

— Zanim zawiniemy tam, będę miał wystarczająco dużo czasu, aby wyciągnąć mapy i wykreślić kurs, potem poześlujemy na zachód.

— Na zachód, kapitanie? Tremalking? Lud Morza nie dopuszcza innych kupców poza swoimi własnymi.

— Ocean Aryth, Yarin. Mnóstwo sposobności pohandlowania między Tarabon a Arad Doman i niewiele tarabońskich czy domańskich statków, którymi należałoby się przejmować. Słyszałem, że nie lubią morza. I wszystkie te małe miasta na Głowie Tomana, nie związane z żadną wielką siłą. Możemy nawet zabrać Saładańskie futra i pieprz, sprowadzane do Bandar Eban.

Yarin wolno pokiwał głową. Zawsze widział tylko ciemne strony przedsięwzięcia, ale był z niego dobry żeglarz.

— Futra i pieprz kosztować będą więcej, niż gdybyśmy popłynęli po nie w górę rzeki, kapitanie. Słyszałem też, że toczy się tam jakaś wojna. Jeżeli Tarabon i Arad Doman walczą ze sobą, handel może być w ogóle zawieszony. Wątpię także, czy uda nam się wiele zarobić na miastach Głowy Tomana. Największe, Falme, jest niewielką miejsciną.

— Taraboni i Domanie zawsze sprzeczali się o Równinę Almoth i Głowę Tomana. Nawet jeśli ostatnimi czasy doszło do eskalacji działań, mądry człowiek i tak sobie zawsze poradzi. Zachód, Yarin.

Kiedy Yarin wyszedł na pokład, Domon szybko dołączył czarno-biały krążek do przedmiotów znajdujących się w skrytce, a resztę rzeczy wsadził za pazuchę.

„Sprzymierzeńcy Ciemności albo Aes Sedai. Nigdy nie będę tańczyć tak jak mi zagrają. Skarz mnie Fortuno, nie będę”.

Po raz pierwszy od miesięcy, czując się bezpiecznie, Domon wszedł na pokład „Spraya”, który pochylił się, by schwytać wiatr, kierując swój ukłon na zachód, w stronę ciemniejącego w nocnym mroku morza.



## POLOWANIE ROZPOCZYNA SIĘ

Od samego początku podróży, zapowiadającej się zresztą na długą, Ingtar narzucił tak szybkie tempo, iż Rand trochę obawiał się o konie. Zwierzęta już od wielu godzin szły kłusem, a przecież mieli przed sobą cały dzień i zapewne wiele jeszcze dni. Patrząc na zacięty wyraz twarzy Ingtara, Rand niemalże spodziewał się, że tamten ma zamiar złapać złodziei Rogu już zaraz, pierwszego dnia, w pierwszej godzinie. Nie zdziwiłoby go, gdyby tak było naprawdę, przecież wskazywał na to już ton głosu, którym składał przysięgę Tronowi Amyrlin. Nie powiedział więc nic. Lord Ingtar dowodził, niezależnie od tego, jak przyjacielsko zachowywał się w stosunku do Randa, i zapewne nie doceniłby odpowiednio rady pasterza.

Hurin jechał krok za Ingtarem, lecz w istocie to on prowadził, wskazując drogę na południe. Teren był falisty, pokryty lasami. Tuż obok siebie, gęsto stłoczone rosły jodły, drzewa skórzane i dęby. Droga, którą wskazywał Hurin, prowadziła niemalże prosto jak strzała, odchylając się jedynie wówczas, gdy trzeba było ominąć kilka wyższych wzgórz i wyraźnie widziało się, iż szlak dookoła będzie szybszy, niżli przez stok. Sztandar Szarej Sowy łopotał na wietrze.

Rand chciał jechać obok Mata i Perrina, lecz kiedy zbliżył konia, Mat trącił Perrina łokciem i tamten niechętnie pogalopował za nim na czoło kolumny. Powiadając sobie, iż nie ma sensu jechać samotnie z tyłu, Rand pogonił konia na przód. Jego przyjaciele wtedy na powrót zajęli miejsca w ariergardzie. I znowuż Mat był inicjatorem całej akcji.

„Niech szeszna. Chciałem tylko przeprosić”.

Poczuł się samotnie. Świadomość, że wina leży po jego stronie bynajmniej nie polepszała samopoczucia.

Na szczycie jednego ze wzgórz Uno zsiadł z konia i zbadał dokładnie ubity kopytami grunt. Rozgrzebał leżące na ziemi końskie łajno i mruknął:

— Piekielnie szybko gnają, mój panie. — Jego głos brzmiał tak, jakby krzyczał, podczas gdy w rzeczywistości normalnie wypowiadał słowa. — Nie zbliżyliśmy się do nich nawet na godzinę. Niech szeszna, mogliśmy wręcz stracić tę cholerną godzinę. Zajeżdż swoje przeklęte konie, jeżeli dalej tak pójdzie. — Wskazał na udeptany kopytami ślad. — A więc to nie konie. Przeklęte trolloki.

Znalazłem cholerne ślady kózlich kopyt.

— Złapiemy ich — odpowiedział Ingтар zawzięcie.

— Nasze konie, mój panie. Nie byłoby dobrze zajeździć je na śmierć, zanim ich nie złapiemy, mój panie. Nawet jeśli tamtym padną konie, przeklęte trolloki są bardziej wytrwałe.

— Złapiemy ich. Na koń, Uno.

Uno popatrzył na Randa swoim jedynym okiem, potem wzruszył ramionami i wspiał się na siodło. Ingтар powiódł ich pędem w dół przeciwległego stoku, tak że przez całą drogę na poły ześlizgiwali się, a potem galopem na następne wzgórze.

„Dlaczego on na mnie patrzy w taki sposób?” — zastanawiał się Rand. Uno był jednym z tych, którzy nigdy nie okazywali mu nadmiernej przyjaźni. Nie była to jednak otwarta niechęć, jak w przypadku Masemy Uno nie był miły dla nikogo, wyjąwszy kilku weteranów, równie posiwiiałych w bojach co on.

„Z pewnością nie wierzy w opowieść głoszącą, że jestem lordem”.

Uno przez większość czasu wpatrywał się w teren rozciągający się przed nimi, kiedy jednak zorientował się, że Rand patrzy na niego, odpowiedział mu spojrzeniem, ale nie towarzyszyły temu żadne słowa. Nie znaczyło to wiele. Z równą łatwością mógł patrzeć prosto w oczy Ingтарowi. Był to jego normalny sposób bycia.

„Szlak wybrany przez Sprzymierzeńców Ciemności, i coś jeszcze” — dumiał Rand a Hurin tymczasem wciąż mamrotał o „czymś gorszym”. Przez złodziei Rogu, Rand nigdy nie zbliżał się zaudto do zamieszkałych wiosok. Widział je ze szczytów wzgórz, na odległość mili lub większą, nigdy jednak nie znaleźli się dostatecznie blisko, by rozróżnić ludzi na ulicach. Z tej samej przyczyny ich mieszkańcy również nie byli w stanie zobaczyć kierującego się na południe oddziału. Mijali także farmy, z domami o dachach z niską strzechą, wysokimi stodołami i dymiącymi kominami, położone na szczytach wzgórz, albo na zboczach czy w dolinach, lecz każdorazowo w zbyt dużej odległości, by rolnicy mogli dostrzec tych, których ścigali.

W końcu nawet Ingтар musiał przyjąć do wiadomości, że konie nie są w stanie dłużej biec w takim tempie. Rand posłyszał wymamrotane przekleństwa, gdy Ingтар uderzył pięścią we własne udo. Ostatecznie jednak kazał wszystkim zsiąć z koni. Pobiegli truchtem, wiodąc konie za uzdy, po zboczu wzgórz w górę, potem w dół, a po przebyciu mili wskoczyli na siodła i pognali naprzód. Potem znowu zsiadli i biegli. Bieg przez milę i jazda przez milę. Bieg i jazda.

Rand był zaskoczony, gdy zobaczył, jak Loial krzywi się podczas jednej takiej rundy, gdy właśnie biegli, wspinając się na zbocze. Kiedy pierwszy raz się spotkali, Ogir nie przepadał specjalnie za jazdą i końmi, przedkładając nad nie wiarę we własne stopy, teraz jednak zapewne musiał zmienić zdanie.

— Lubisz biegać, Rand? — zapytał Loial uśmiechając się. — Ja bardzo. Byłem najszybszy w Stedding Shangtai. Raz nawet prześcignąłem konia.

Rand tylko kiwnął głową. Nie chciał marnować tchu na rozmowy. Spojrzał w stronę Mata i Perina, lecz tamci ciągle trzymali się z tyłu, zbyt wielu dzieliło ich ludzi, by wypatrzeć sylwetki. Zastanawiał się, jak Shienaranie radzą sobie w zbrojach. Żaden z nich nie zwolnił, ani nawet nie poskarżył się na głos. Uno sprawiał nawet wrażenie, jakby w ogóle nie musiał ocierać potu z czoła, a chorąży ani na chwilę nie zwinął sztandaru Szarej Sowy.

Poruszali się szybko, lecz zapadał już zmierzch, a w przodzie nie było widać nawet śladu ściganych. Na koniec, niechętnie, Ingтар zarządził postój i rozbicie obozowiska na noc. Shienaranie zaczęli rozpalać ogniska i wiązać konie do palików. Robili to ze zręcznością, która mogła się narodzić jedynie z długiego doświadczenia. Na pierwszą wartę Ingтар rozstawił parami sześciu strażników.

Pierwszą rzeczą, jaką Rand zrobił, było odnalezienie swego tobołka w wiklinowych koszach zawieszonych na grzbietach jucznych koni. Nie było to trudne — wśród zapasów znajdowało się jedynie kilka osobistych bagaży — ale kiedy wreszcie go otworzył, wrzasnął tak, że wszyscy w obozowisku poderwali się na nogi z obnażonymi mieczami w dłoniach.

Nadbiegł Ingтар.

— Co się dzieje? Pokój, czy ktoś wdarł się do środka? Nie słyszałem wartowników.

— To te płaszcze — wymruczał Rand przez ściśnięte gardło, wciąż patrząc na to, co wyłoniło się z tobołka.

Pierwszy płaszcz był czarny, haftowany srebrną nicią, drugi biały i przystrojony złotem. Oba miały czaple na kołnierzach i były tak zdobne, jak ten szkarłatny, który miał na sobie.

— Służący powiedzieli, że zapakowali mi dwa dobre, użyteczne płaszcze. A spójrzcie na te!

Ingтар wsunął miecz do pochwy. Pozostali mężczyźni powoli usiedli na ziemi.

— Cóż, są użyteczne.

— Nie mogę tego nosić. Nie mogę przez cały czas chodzić ubrany tak jak teraz.

— Możesz. Płaszcz to płaszcz. Jak rozumiem, Moiraine Sedai sama dopilnowała pakowania twoich rzeczy. Być może Aes Sedai niezbyt dobrze wiedzą, co mężczyźni noszą w polu. — Ingтар uśmiechnął się. — Kiedy złapiemy te trolloki, zapewne trzeba to będzie uczcić. Wówczas będziesz jak najbardziej odpowiednio ubrany na to święto, nawet jeśli reszta nas nie.

Powędrował z powrotem do ognisk, na których gotowała się strawa.

Rand trwał w bezruchu, odkąd Ingтар wymienił imię Moiraine. Wpatrywał się w płaszcze.

„Co ona robi? Cokolwiek to jest, nie dam się wykorzystywać”.

Zwinął wszystko razem i wepchnął węzełek na powrót do kosza.

„Zawsze mogę jechać nago” — pomyślał gorzko.

Podczas wyprawy Shienaranie na przemian zajmowali się gotowaniem. Kiedy Rand powrócił do ogniska, Masema mieszał w kociołku. Zapach gulaszu, przyrządzonego z rzepy, cebuli i suszonego mięsa, rozniósł się po obozowisku. Ingtar został obsłużony pierwszy, później Uno, reszta stała w szeregu, czekając na swoją kolej. Masema nałożył na talerz Randa wielką chochlę gulaszu, ten szybko odszedł na bok, aby uczynić miejsce dla następnego i jednocześnie uważając, by nie poplamzić płaszcz przelewającą się przez brzegi naczynia masą. Ssał poparzony kciuk. Masema patrzył na niego z wyraźnym uśmiechem, który obejmował jednak tylko usta, nigdy nie sięgając oczu. Teraz Uno podszedł do Randa i szturchnął go w bok.

— Nie mamy aż tyle tego cholernego jedzenia, żebyś mógł je rozlewać na tym przeklętym gruncie.

Jednooki mężczyzna popatrzył na Randa i poszedł dalej. Lecz wzrok Masemy wciąż ścigał chłopca, stał wpatrzony w niego i pocierał sobie ucho.

Rand dołączył do Ingtara i Loiala, siedzących pod rozłożystym dębem. Hełm lorda leżał na ziemi za nim, prócz niego nikt nie zdjął żadnej części zbroi. Mat i Perrin siedzieli obok, jedząc łąpczywie. Na widok płaszcz Randa Mat uśmiechnął się szyderczo, Perrin jednak popatrzył tylko w górę — złote oczy zalśniły w słabym świetle dochodzącym od ogniska — zanim wrócił na powrót do jedzenia.

„Przynajmniej tym razem nie odsuwają się ode mnie”.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok Ingtara, po przeciwnej stronie niż oni.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego Uno tak się we mnie wpatruje. To pewnie przez ten przeklęty płaszcz.

Ingtar siedział przez chwilę pogrążony w myślach, przeżuując kęs gulaszu. Na koniec powiedział:

— Uno bez wątpienia zastanawia się, czy jesteś godzien ostrza ze znakiem czapli.

Mat parsknął głośno, lecz Ingtar, nie przejmując się, ciągnął dalej:

— Nie przejmuj się tym, co robi Uno. Gdyby tylko mógł, traktowałby lorda Agelmara jak niedojrzałego rekruta. Cóż, może nie Agelmara, lecz wszystkich pozostałych na pewno tak. Ma język jak pilnik, ale jego rady są zawsze dobre. Nic w tym dziwnego, walczył już, zanim jeszcze się urodziłem. Słuchaj tego, co mówi, nie zwracając uwagi na jego język, a na pewno stosunki wam się ułożą.

— Myślałem, że jest jak Masema.

Rand wsunął łyżkę gulaszu do ust. Był bardzo gorący, mimo to przełknął. Nic nie miał w ustach od czasu opuszczenia Fal Dara, a dzisiejszego ranka był zbyt przejęty, by jeść. W brzuchu mu zaburczało. Zastanawiał się, czy jeśliby powiedział Masemie, że jedzenie było dobre, to cokolwiek by się zmieniło.

— Masema zachowuje się tak, jakby mnie nienawidził. Nie rozumiem dlaczego?

— Masema służył trzy lata na Pograniczu Wschodnim — odrzekł Ingтар. — Walczył w Ankor Dail, przeciwko Aielom. — Zamieszał łyżką gulasz, zmarszczył brwi. — Ja nie zadaję żadnych pytań, rozumiesz. Jeśli Lan Dai Shan i Moiraine Sedai chcą mówić, że pochodzicie z Andoru, z Dwu Rzek, to znaczy że stamtąd pochodzicie. Ale Masema nie może zapomnieć widoku Aielów, a kiedy zobaczył ciebie. . . — Wzruszył ramionami. — Ja nie zadaję żadnych pytań.

Rand rzucił łyżkę na talerz i westchnął.

— Każdy myśli, że jestem kimś, kim nie jestem. Pochodzę z Dwu Rzek, Ingтар. uprawiam tytoń z. . . z moim ojcem i pasę jego owce. Oto kim jestem. Rolnik i pasterz z Dwu Rzek.

— On jest z Dwu Rzek — powiedział Mat pogardliwie. — Wychowywałem się razem z nim, chociaż teraz nikt by tego nie powiedział. Wkładajcie mu do głowy te bzdury o Aielach, dokładajcie do tego, co już w niej jest i nie wiadomo, co otrzymamy. Lorda Aiel najpewniej.

— Z wyglądu jest podobny — powiedział Loial. — Pamiętasz, Rand, wspominałem o tym raz, chociaż sędzę, że zrobiłem to dlatego, iż wówczas nie znałem jeszcze wystarczająco dobrze was. Pamiętasz? „Dopóki nie zniknie mrok, dopóki nie zniknie woda, w Cień z wyszczerzonymi zębami, ostatnim tchem rzucając wyzwanie ugodzenia oka Tego Który Odbiera Wzrok, w ten Dzień ostatni”. Pamiętasz, Rand.

Rand patrzył w talerz. „Owiń sobie głowę *shoufq*, a będziesz wyglądał, wypisz wymaluj jak Aiel”. Tak powiedział Gawyn, brat Elayne, Dziedziczki Tronu Andoru.

„Każdy myśli, że jestem kimś, kim nie jestem”.

— Co to było? — zapytał Mat. — O ugodzeniu w oko Czarnego?

— Tak Aiel mówią o tym, jak długo będą walczyć — odpowiedział Ingтар. — I nie wątpię, że będą. Wyjawszy handlarzy i bardów, Aiel dzielą świat na dwie połowy. Oni i wrogowie. Z powodów, których nikt poza Aiel pewnie nie byłby w stanie zrozumieć, jakieś pięćset lat temu uczynili wyjątek dla Cairhienian, ale nie sędzę, by postąpili tak jeszcze kiedykolwiek.

— Również tak uważam — westchnął Loial. — Niemniej zezwalają Tuatha'anom, Ludowi Wędrowców, przemierzać Pustkowie. A nadto nie widzą wrogów w Ogirach, chociaż wątpię, aby którykolwiek z nas chciałby udać się na Pustkowie. Aielowie przyjeżdżają czasami do Stedding Shangtai, handlujemy z nimi śpiewającym drzewem. Twardzi ludzie!

Ingтар pokiwał głową.

— Chciałbym mieć ze sobą takich twardych. Choćby w połowie.

— To żart? — zaśmiał się Mat. — Gdybym przebiegł milę, niosąc na plecach całe to żelastwo, jakie wy zakładacie, padłbym na ziemię i spał przez tydzień. A wy potraficie tak mila za milą.

— Aiel są twardzi — powiedział Ingтар. — Mężczyźni i kobiety, są równie

twardzi. Walczyłem z nimi i wiem. Biegliby pięćdziesiąt mil, by u końca drogi stoczyć bitwę. Są bezwzględnyimi piechurami, z bronią czy bez. Wyjąwszy miecz. Z jakichś powodów nawet dotknąć nie chcą miecza. Ani wsiąść na konia, zresztą nie jest to im do niczego potrzebne: Jeżeli ty masz miecz, a Aiel tylko gołe dłonie, jest to równa walka. Pod warunkiem, że jesteś dobry. Pasą bydło i kozy w miejscach, gdzie ty lub ja umarlibyśmy z pragnienia przed upływem dnia. Wkopują swe wioski w potężne skaliste iglice, daleko w głębi pustkowia. Mieszkają tam od samego Pęknięcia, lub coś koło tego. Artur Hawking próbował ich stamtąd wykurzyć i wykrwawił się w tej kampanii. Była to jedyna, wielka porażka, jaką kiedykolwiek poniósł. Za dnia powietrze na Pustkowiu Aiel aż łśni od upału, a w nocy zamarza. A Aiel spojrzy na ciebie niebieskimi oczami i powie, że nie ma innego miejsca na ziemi, w którym chciałby żyć. I doprawdy nie będzie kłamał. Jeśliby kiedykolwiek spróbowali wyjść stamtąd, nad wyraz trudno byłoby ich zatrzymać. Wojny z Aiel trwały trzy lata, a walczyliśmy tylko z trzema spośród trzynastu klanów.

— Szare oczy odziedziczone po matce nie czynią z niego Aiela — powiedział Mat.

Ingтар wzruszył ramionami i rzekł:

— Jak powiedziałem, nie zadaję żadnych pytań.

Kiedy Rand ostatecznie ułożył się do snu, głowa aż brzęczała mu od nieproszonych myśli.

„Wypisz wymaluj Aiel. Moiraine Sedai mówi, że jesteście z Dwu Rzek. Aielowie spustoszyli wszystkie ziemie aż do Tar Valon. Urodzony na stokach Góry Smoka. Smok Odrodzony.”

— Nie dam się wykorzystywać — mamrotał, ale sen długo nie nadchodził.

Ingтар zwinął obóz rankiem, zanim jeszcze słońce wstało. Zjedli śniadanie i ruszyli na południe, gdy chmury na wschodzie dopiero zaróżowiły się od blasku wschodzącego słońca a krople rosy wciąż jeszcze wisały na liściach. Tym razem Ingтар wysłał zwiadowców, a choć wciąż jechali szybko, nie było to już zajeżdżanie koni. Rand myślał, że Ingтар zapewne zrozumiał, iż nie da się wszystkiego załatwić w ciągu jednego dnia. Ślad, wedle Hurina, wciąż wiódł na południe. Dwie godziny po wschodzie słońca jeden ze zwiadowców powrócił galopem i zawołał:

— Przed nami opuszczone obozowisko, mój panie. Dokładnie na tym wzgórzu. Musiało ich być tam trzydziestu lub czterdziestu ostatniej nocy.

Ingтар spał konia ostrogami, jakby mu powiedziano, że Sprzymierzeńcy Ciemności wciąż jeszcze tam są, a Rand musiał dotrzymać mu kroku, aby nie zostać stratowanym przez Shienaran, którzy pogalopowali za nim na wzgórze.

Niewiele było tu jednak do oglądania. Wystygłe popioły ogniska, dobrze ukrytego pomiędzy drzewami, i coś, co wyglądało jak porzucone w nich resztki posiłku. Stosy śmieci w pobliżu ogniska już obsiadły roje much.

Ingтар kazał pozostałym wycofać się, po czym zsiadł z konia i wraz z Uno

przeszedł przez obozowisko, dokładnie badając grunt. Hurin objeżdżał je po obwodzie, węsząc. Rand siedział na swym ogierze obok innych mężczyzn, nie miał najmniejszej ochoty oglądać miejsca, gdzie obozowały trolloki i Sprzymierzeńcy Ciemności. I Pomor. „I coś jeszcze gorszego”.

Mat pieszo wdrapał się na szczyt wzgórza i podszedł do miejsca obozowiska.

„A więc tak wygląda obóz Sprzymierzeńców Ciemności? Śmierdzi trochę, ale na pozór nie różni się niczym od normalnego”.

Wskoczył na kupę popiołów, wykopał z niej kawałek spalonej kości i pochylił się, by ją podnieść.

„Co jedzą Sprzymierzeńcy Ciemności? Nie wygląda na kość owcy ani krowy”.

— Popołniono tutaj morderstwo — oznajmił ponuro Hurin i przyłożył chusteczkę do nosa. — Coś gorszego niż morderstwo.

— To były trolloki — powiedział Ingтар, patrząc wprost na Mata. — Przypuszczam, że zgłodniały, a Sprzymierzeńcy Ciemności byli właśnie pod ręką.

Mat rzucił poczerniałą kość, wyglądał, jakby się miał zaraz rozchorować.

— Nie jadą już na południe, mój panie. — Słowa Hurina przyciągnęły ogólną uwagę. Wskazywał do tyłu, na północny wschód. — Może mimo wszystko zdecydowali się przedrzeć w kierunku Ugoru, okrążyć nas. Może jadąc na południe chcieli tylko nas zgubić.

W jego głosie dźwięczała nuta niepewności. Wydawał się zakłopotany.

— Obojętnie co zrobią — odwarknął Ingтар. — Teraz złapię ich. Na koń!

Niecałą godzinę później Hurin ściągnął wodze i zawołał:

— Znowu zmienili kierunek. Znowu południe. I kogoś jeszcze tutaj zabili.

Na przełęczu pomiędzy dwoma wzgórzami nie było widać żadnych popiołów, ale po kilku minutach poszukiwań odnaleziono ciało. Był to mężczyzna — skręcony i wepchnięty pod krzaki. Tylna część czaszki została wgnieciona do środka, oczy wciąż miał wytrzeszczone, jak w momencie zadania ciosu. Nikt go nie rozpoznał, choć miał na sobie shienarańskie ubranie.

— Nie będziemy marnować czasu na grzebanie Sprzymierzeńca Ciemności — burknął Ingтар. — Jedziemy na południe — zawołał i nim skończył mówić, już zastosował się do własnego polecenia.

Dzień jednakże upłynął tak samo jak poprzedni. Uno zbadał ślady i końskie odchody i oznajmił, że udało im się zyskać nieco na czasie i zmniejszyć odległość do ściganych. Tymczasem zapadł zmierzch, a w promieniu wzroku nie było widać ani trolloków, ani Sprzymierzeńców Ciemności. Następnego ranka natrafili na następne opuszczone obozowisko, gdzie, jak twierdził Hurin, popełniono następne morderstwo. I znowu nastąpiła zmiana kierunku, tym razem na północny zachód. Podążali tym szlakiem jakiś czas, po upływie mniej więcej dwóch godzin natknęli się na kolejne ciało. Mężczyźni rozłupano głowę toporem. I jeszcze raz zmiana kierunku. Również na południe. Znowu, w myśl słów Uno, udało im się nadrobić nieco dystansu. Aż do zmroku nie widzieli nic prócz odległych farm.

Dzień następny był identyczny, zmiany kierunku, morderstwa i tak dalej. I następny również.

Z każdym dniem byli odrobinę bliżej ściganej zwierzyny, lecz Ingтар wściekał się. zaproponował dalszą jazdę po prostej, kiedy rankiem ślad zmienił kierunek — z pewnością na powrót wjadą na ślad wiodący na południe, a jadąc po cięciwie łuku, zyskają więcej czasu. Zanim jednak ktokolwiek otworzył usta, stwierdził, że pomysł może okazać się fatalny, jeśli ścigani nie skręcą na południe. Zmuszał wszystkich do jeszcze szybszej jazdy, do wcześniejszego wstawania i poruszania się, dopóki nie zapadną całkowite ciemności. Przypominał im o obowiązku, jaki nałożyła na nich Zasiadająca na Tronie Amyrlin, o konieczności odzyskania Rogu Valere i pokonania wszystkich przeszkód. Mówił o sławie, którą zdobędą, o opowieści i historii, które utrwalą ich imiona w opowiadaniach bardów i pieśniach trubadurów. Oto ludzie, którzy odnaleźli Róg! Mówił, jakby nie mógł przestać i wpatrywał się w ślad, po którym jechali, jakby na jego końcu czekała na niego sama Światłość. Nawet Uno zaczął krzywo na niego patrzeć.

I tak dojechali do rzeki Erinin.

\* \* \*

Zdaniem Randa miejscowość nie zasługiwała właściwie nawet na to, by nazwać ją wioską. Siedział na koniu, pomiędzy drzewami, i wpatrywał się w pół tuzina małych domków krytych drewnianym gontem, z okapem sięgającym niemal do ziemi, rozłożonych na szczycie wzgórza wznoszącego się nad wodami rzeki, połyskującymi w porannym słońcu. Miejsce wyglądało na niemal zupełnie opuszczone. Minęło dopiero kilka godzin od czasu, jak zwinęli obóz, lecz był już najwyższy czas na odnalezienie pozostałości obozowiska Sprzymierzeńców Ciemności, jeśli wzór miał być zachowany. Jednakowoż nic takiego dotąd nie widzieli.

Sama rzeka niezbyt przypominała potężną Erinin z opowieści, znajdowali się jednak blisko jej źródeł w Grzbiecie Świata. Od przeciwległego brzegu porośniętego drzewami, dzieliło ich jakieś sześćdziesiąt kroków bystrego nurtu. Tam, po drugiej stronie, stał podobny do barki prom, poruszany przy pomocy grubej liny. Był to pierwszy ślad, który prowadził prosto do siedziby ludzkiej. Prosto ku domom na wzgórzu. Pylista droga, do której przytuliły się domki, była zupełnie pusta.

— Zasadzka, mój panie? — zapytał cicho Uno.

Ingтар wydał niezbędne rozkazy, a Shienaranie wyciągnęli lance i rozproszyli się, aby okrążyć domy. Na znak ręką galopem wjechali pomiędzy zabudowania



ze wszystkich kierunków naraz, niczym grom — oczy bacznie rozglądające się dookoła, lance wzniesione, kurz tryskający spod kopyt. Nic, całkowity spokój. Ściągnęli wodze i kurz zaczął opadać.

Rand zdjął strzałę z cięciwy, wsunął na powrót do kołczana, a łuk przewiesił przez plecy. Mat i Perrin postąpili tak samo. Loial i Hurin po prosu czekali w miejscu, gdzie zostawił ich Ingтар, wpatrując się niespokojnie w wioskę.

Ingтар pomachał dłonią i wszyscy podjechali, aby dołączyć do Shienaran.

— Nie podoba mi się zapach tego miejsca — wymruczał Perrin, kiedy wjechali pomiędzy domy. Gdy Hurin popatrzył na niego, spokojnie odpowiedział spojrzeniem, aż tamten spuścił wzrok. — Źle pachnie.

— Przekłęci Sprzymierzeńcy i trolloki przeszli prosto przez wioskę, mój panie — powiedział Uno, wskazując na resztki śladów po kopytach. — Wiodą prosto do promu, który przekłęci zostawili po drugiej stronie. Krew i krwawe popioły. Mamy cholerne szczęście, że nie odcięli go i puścili z prądem.

— Gdzie się podzieli ludzie? — zapytał Loial.

Drzwi domostw były otwarte, firanki fruwały w oknach, lecz nikt nie wyszedł sprawdzić, co oznacza tętent kopyt.

— Przeszukajcie domy! — rozkazał Ingтар.

Mężczyźni zsiadli z koni, ruszyli wypełnić rozkaz, ale wkrótce wrócili, kręcąc głowami.

— Po prostu zniknęli, mój panie — rzekł Uno. — Przekłęci, po prostu zniknęli, niech szczenę. Jakby sobie zwyczajnie wstali i zdecydowali się iść w cholerę, w samym środku przeklętego dnia.

Przerwał raptownie, natarczywie wskazując na dom za plecami Ingтара.

— Tam jest kobieta w oknie! Jak ja, przeklęty, mogłem jej nie zauważyć.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć już biegł w stronę domu.

— Nie przestrasz jej! — krzyknął Ingтар. — Uno, potrzebujemy informacji. Niech cię Światłość oślepi, nie przestrasz jej!

Jednooki mężczyzna zniknął już w otwartych drzwiach, a Ingтар donośnym głosem zawołał:

— Nie uczynimy ci krzywdy, dobra pani. Jesteśmy lennikami lorda Agelmara, z Fal Dara. Nie bój się. Nie wyrządzimy ci krzywdy.

Okno na szczycie dachu otworzyło się i Uno wystawił głowę na zewnątrz, rozglądając się dziko. Rzucił przekleństwo i zniknął na powrót we wnętrzu. Jego powrotowi towarzyszyło zamieszanie i głucho uderzenia, jakby kopniakami torował sobie drogę przez dom. Na koniec pojawił się w drzwiach.

— Uciekła, mój panie. Ale była tam. Kobieta w białej sukni, w oknie. Widziałem ją. Mam wrażenie, że przez chwilę widziałem ją w środku, ale potem uciekła i... — Wciągnął głęboko oddech. — Dom jest pusty, mój panie.

Miarą jego podniecenia mogło być to, że nie przeklinał.

— To franki! — wymruczał Mat. — Gonił przeklęte franki.

Uno rzucił mu ostre spojrzenie, potem wrócił do konia.

— Gdzie oni zniknęli? — zapytał Rand Loiala. — Myślisz, że uciekli, kiedy nadeszli Sprzymierzeńcy Ciemności? „I trolloki, i Myrddraal. I to coś jeszcze gorszego, co wyczuwał Hurin. Sprytni ludzie, jeśli zmykali tak szybko, jak się dało”.

— Obawiam się, Rand, że Sprzymierzeńcy Ciemności zabrali ich ze sobą. — Powiedział wolno Loial. Warknął, na jego twarzy pojawił się grymas, który upodobił jego szeroki nos do zwierzęcego pyska. — Dla trolloków.

Rand przełknął ślinę i pożałował, że w ogóle zapytał. Rozmyślenia o tym, w jaki żywią się trolloki, nie należały do przyjemnych.

— Cokolwiek tutaj się stało — podsumował Ingtar — zrobili to nasi Sprzymierzeńcy Ciemności. Hurin, czujesz przemoc? Zabijanie? Hurin!

Węszyciel wyprostował się w siodle i dziko rozejrzał dookoła. Wpatrywał się w przeciwny brzeg rzeki.

— Czy przemoc, mój panie? Tak. Lecz zabijanie, nie. Lub nie dokładnie. — Spojrzał z ukosa na Perrina. — Nigdy przedtem nie czułem czegoś takiego, mój panie. Na pewno jednak ktoś tutaj cierpiał.

— Czy na pewno przeprawili się przez rzekę? Może znowu zawrócili?

— Pokonali rzekę, mój panie. — Hurin niespokojnie wpatrywał się w drugi brzeg. — Przeprawili się. Ale co robili na drugim brzegu... — Wzruszył ramionami.

Ingtar pokiwał głową.

— Uno, chcę mieć ten prom tutaj. I zanim się nie przeprawimy, wyślij zwiadowców na drugi brzeg. To, że tutaj nie ma zasadzki, nie oznacza, że nie napadną nas, gdy będziemy rozdzieleni przez rzekę. Prom nie wygląda na wystarczająco duży, byśmy w nim wszyscy pomieścili się naraz. Dopilnuj tego.

Uno skłonił się i po chwili Ragan oraz Masema pomagali sobie ściągać zbroje. Rozebrani do przepasek, ze sztyletami wetkniętymi z tyłu na plecach, potruczali do rzeki na krzywych nogach jeźdźców i już po chwili byli w wodzie, przesuając się, dłoń za dłonią, wzdłuż grubej liny, po której kursował prom. Pośrodku rzeki przewód opuszczał się na tyle, że zamoczyli się po pas, a prąd był silny i ściągał ich do rzeki. Niemniej w krótkim czasie, szybciej niżli Rand się spodziewał, zaczęli wdrapywać się na żebrowane burty promu, pomagając sobie wzajemnie. Potem wyciągnęli sztylety i zniknęli w lesie.

Po jakimś czasie, który zdawał się trwać wieczność, pojawili się na powrót i wolno rozpoczęli przeciągać prom przez rzekę. Barka przybiła do brzegu poniżej wioski, a Masema przycumował ją do brzegu. Natomiast Ragan podbiegł do miejsca, w którym czekał Ingtar. Jego twarz była blada, blizna na policzku w kształcie strzały wyostrzyła się, głos drżał.

— Tamten brzeg... Nie ma zasadzki na tamtym brzegu, mój panie, ale... — Skłonił się głęboko, wciąż mokry i drżący po wyprawie. — Mój panie, sam musisz

to zobaczyć. Wielki kamienny dąb, pięćdziesiąt kroków na południe od miejsca, w którym przybija prom. Nie mogę powiedzieć słowa. Musisz to sam zobaczyć.

Ingтар zmarszczył brwi. Patrzył to na Ragana, to na brzeg. Ostatecznie powiedział.

— Dobrze się spisałeś, Ragan. Obaj dobrze się spisaliście. — Głos mu się nieco ożywił. — Znajdź w domach coś, żeby mogli się osuszyć, Uno. I sprawdź, czy ktoś nastawił wodę na herbatę. Wlej w nich coś gorącego, jeśli możesz. Potem przepraw drugą rotę i juczne zwierzęta. — Odwrócił się do Randa. — Cóż, jesteś gotowy zobaczyć drugi brzeg Erinin?

Nie czekając na odpowiedź pojechał w dół, do promu, wiodąc Hurina i połowę lansjerów.

Rand wahał się jedynie przez chwilę, po czym ruszył za nim. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że Perrin pojechał jako pierwszy, na jego twarzy gościł ponury grymas zawziętości. Kilku lansjerów, wśród gburowatych żartów, zsiadło z koni, by chwycić linę i przeciągnąć prom na drugą stronę.

Mat czekał do ostatniej chwili i dopiero kiedy jeden z Shienaran odcumowywał prom, spał konia i wepchnął się na pokład.

— Wcześniej czy później i tak muszę to zrobić — powiedział zadyszany, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Muszę go znaleźć.

Rand potrząsnął głową. Ponieważ Mat wyglądał tak zdrowo jak zawsze, niemal zapomniał, po co wyruszył w drogę.

„Znaleźć sztylet. Niech Ingтар zdobędzie Róg. Ja chcę tylko sztyletu dla Mata”.

— Znajdziemy go, Mat.

Mat popatrzył spode łba, okraszając ponure spojrzenie szyderczym grymasem adresowanym do jego płaszcz, i odwrócił się. Rand westchnął.

— Wszystko wróci do normy, Rand — powiedział cicho Loial. — Jakoś się ułoży.

Kiedy odbili od brzegu, prąd szarpnął promem, naciągnięta lina wydała ostry trzask. Lansjerzy dziwnie wyglądali jako przewoźnicy, spacerując po pokładzie w hełmach i zbrojach, z mieczami przytroczonymi na plecach, lecz stosunkowo dobrze dawali sobie radę.

— W taki sposób opuściliśmy dom — powiedział nagle Perrin. — W Taren Ferry. Buty przewoźników łomotały po pokładzie, woda gulgotała przy burtach. Tak opuściliśmy dom. Tym razem będzie gorzej.

— Jak może być jeszcze gorzej? — zapytał Rand.

Perrin nie odpowiedział. Wpatrywał się w drugi brzeg, a jego złote oczy niemal świeciły własnym blaskiem. Nie było w nich jednak entuzjazmu.

Po chwili Mat zapytał:

— Jak może być jeszcze gorzej?

— Będzie. Czuję to.

To było wszystko, co Perrin powiedział. Hurin spojrział na niego nerwowo, ale przecież Hurin wydawał się nieustannie popatrywać nerwowo, od chwili kiedy opuścili Fal Dara.

Prom przybił do południowego brzegu z głuchym, pustym odgłosem mocnych desek ocierających się o twardą glinę, niemalże wślizgując się pod zwisające gałęzie drzew, a Shienaranie ciągnący linę na powrót dosiedli koni, wyjąwszy dwóch, którym Ingтар kazał wrócić promem po resztę. Pozostali ruszyli za lordem na brzeg.

— Pięćdziesiąt kroków do wielkiego kamiennego dębu — powiedział Ingтар, gdy wjechali między drzewa.

Jego głos brzmiał nad wyraz rzeczowo. Jeśli Ragan nawet mówić o tym nie mógł... Niektórzy żołnierze poprawili miecze na plecach i trzymali lance gotowe do boju.

Początkowo Rand pomyślał, że postacie, zwisające na ramionach z grubych gałęzi kamiennego dębu, to strachy na wróble. Szkarłatne strachy na wróble. Potem rozpoznał twarze. Changu i ten drugi człowiek, który stał z nim na warcie. Nidao. Oczy wytrzeszczone, zęby wyszczerzone bólem rozwierającym usta. Żyli długo jeszcze po tym, jak wszystko się zaczęło.

W gardle Perrina odezwał się głos, niemalże warczenie.

— Najgorsze, co w życiu widziałem — powiedział Hurin słabym głosem. — Najgorsze, co w życiu czułem, wyjąwszy lochy Fal Dara tamtej nocy.

Rand szaleńczo poszukiwał pustki. Płomień jakby się pojawił, coś jak mdłe światło pełgające w rytm konwulsyjnego przełykania śliny, ale odszedł, zanim zdążył owinać się pustką. Mdłości pulsowały jednak w pustce wraz z nim. Przynajmniej raz nie na zewnątrz, lecz w środku.

„Nic dziwnego nie ma w tym widoku”.

Myśl rozprysnęła się w pustce jak kropla wody spadająca na rozgrzaną blachę.

„Co im się stało?”

— Obdarto ich żywcem ze skóry — usłyszał słowa z tyłu, za plecami, a potem odgłos wymiotów. Pomyślał, że to Mat, ale wszystko działo się tak daleko, w pustce. Lecz mdłe migotanie było tutaj również. Pomyślał, że za chwilę wywróca mu się wnętrzności.

— Odciać ich — wychrypiał Ingтар. Wahał się przez chwilę, po czym dodał: — Pogrzebać ich. Nie możemy być pewni, czy byli Sprzymierzeńcami Ciemności. Mogli być jeńcami. Mogli być. Niech zazną na koniec ostatniego uścisku matki.

Mężczyźni ostrożnie podjechali, z wyciągniętymi nożami, ale nawet dla zaprawionych w bojach Shienaran nie było to łatwe zadanie — odciać obłupione ze skóry ciała ludzi, których znali.

— Dobrze się czujesz, Rand — zapytał Ingтар. — Dla mnie to również nie jest łatwe.

— W... porządku, Ingтар.

Rand pozwolił pustce zniknąć. Bez niej czuł się nieco lepiej, żołądek wciąż się skręcał, ale tak było lepiej. Ingтар pokiwał głową i zawrócił konia, by moc patrzeć na krzątających się mężczyzn.

Pogrzeb był prosty. Dwie dziury wykopane w ziemi i złożone w nich ciała. Shienaranie stali w milczeniu, patrząc. Ci, którzy wykopali groby, bez dodatkowych ceremonii zaczęli na powrót je zasypywać.

Rand był wstrząśnięty, ale Loial wyjaśnił cicho:

— Shienaranie wierzą, że wszyscy pochodzimy od ziemi i do ziemi musimy wrócić. Nigdy nie używają trumien, ani całunów, a ciała chowa się bez odzieży. Ziemia musi ogarnąć ciało. Nazywają to ostatnim uściskiem matki. I nigdy nie wypowiada się przy tym żadnych słów, wyjąwszy: „Niech Światłość cię oświeca, a Stwórca da ci schronienie. Ostatni uścisk matki wita cię w domu”. — Loial westchnął i potrząsnął ciężką głową. — Nie sądzę, aby tym razem ktoś to powiedział. Rand, niezależnie od tego, co mówił Ingтар, nie może być większych wątpliwości, że Changu i Nidao zabili strażników przy Psiej Bramie i wpuścili Sprzymierzeńców Ciemności do wieży. To oni muszą być odpowiedzialni za to wszystko.

— A więc kto strzelał do... do Amyrlin? — Rand przełknął ślinę. — „Kto strzelał do mnie?”

Loial nic nie powiedział.

Uno nadjechał z resztą mężczyzn, wiodąc juczne konie, w chwili kiedy ostatnie łopaty ziemi sypały się na groby. Ktoś powiedział mu, co odkryli i jednooki mężczyzna splunął.

— Przez kozła lizane trolloki robią tak na całym Ugorze. Robią tak czasami, kiedy chcą wstrząsnąć twoimi przekłętymi nerwami, albo ostrzec cię, byś ich nie ścigał. Niech szczenę, jeśli miałyby na nas to podzielać.

Zanim odjechali, Ingтар zatrzymał się na chwilę przy dwóch nie oznaczonych grobach, dwóch kopcach gołej ziemi, które wyglądały na zbyt małe, by pomieścić ludzi. Po chwili milczenia powiedział:

— Niech Światłość cię oświeca, a Stwórca da ci schronienie. Ostami uścisk matki wita cię w domu.

Potem podniósł głowę i spojrzał każdemu prosto w oczy. Na żadnej twarzy nie zagościł nawet ślad uczucia, najbardziej kamienna była twarz samego Ingtara.

— Uratowali życie lordowi Agelmarowi na Przełęczy Tarwina — rzekł, a kilku lansjerów pokiwało głowami. Ingтар zawrócił konia i zapytał:

— W którą stronę Hurin?

— Na południe, mój panie.

— Chwytaj ślad. Polujemy.

Las wkrótce ustąpił miejsca łagodnie pofałdowanej równinie, czasem przeciętej płytkim strumieniem, który wymył sobie parów o wysokich brzegach, czasem łagodnymi pochyłościami czy przysadzistymi wzgórzami, ledwie tylko zasługującymi na swoją nazwę. Idealna kraina dla koni. Ingтар skorzystał z okazji i narzucił

mocne tempo, przy którym kopyta końskie niemal połykały przestrzeń. Od czasu do czasu Rand widział w oddali coś, co mogło być farmą, raz nawet sądził, że dostrzegł całą wioskę, że w odległości kilku mil widzi dym unoszący się z kominów i coś połyskującego bielą w słońcu, lecz w bezpośredniej bliskości kraina była pozbawiona obecności człowieka. W istocie były to tylko długie pasma trawy, usiane kępami krzewów i pojedynczymi drzewami, czasami małe zarośla, pasma nigdy nie szersze niż sto kroków.

Ingтар wysłał zwiadowców, dwóch mężczyzn, którzy jechali na przedzie, pokazując się jedynie wtedy, gdy pokonywali szczyt przygodnego wzniesienia. Ingтар miał na szyi srebrny gwizdek, którym w każdej chwili mógł przywołać zwiadowców, gdyby ślad zmienił kierunek. Ale jak dotąd to nie nastąpiło. Jechali na południe. Wciąż na południe.

— W tym tempie dotrzemy do pół Talidaru w ciągu trzech, czterech dni — powiedział Ingтар, gdy tak jechali. — Tutaj Artur Hawking odniósł największe zwycięstwo. Półludzie prowadzili z Ugoru zastępy trolloków przeciwko niemu. Sześć dni i nocy trwała bitwa, a kiedy skończyła się, trolloki uciekły z powrotem na Ugór i nigdy nie ośmieliły się wyzywać go ponownie. Na pamiątkę zwycięstwa wznosił tutaj pomnik, iglicę o wysokości stu piędzi. Nie pozwolił wypisać na nim swego imienia, lecz tylko imiona tych, którzy polegli, i na szczycie umieścił złote słońce, symbol triumfu Światłości nad Cieniem.

— Chciałbym go zobaczyć — powiedział Loial — nigdy nie słyszałem o tym pomniku.

Ingтар milczał przez chwilę, a kiedy odezwał się znowu, głos jego był cichy:

— Już go nie ma, Budowniczy. Kiedy Hawking umarł, ci, którzy walczyli o jego imperium, nie mogli przecież zostawić pomnika jego zwycięstwa, nawet jeśli nie było wymienione na nim jego imię. Nic po pomniku nie zostało prócz nasypu, na którym stał. Za trzy, cztery dni będziemy mogli najpewniej już go zobaczyć.

Ton jego głosu nie zachęcał do dalszej konwersacji.

Złote słońce wisiało nad ich głowami, gdy mijali jakąś budowlę, kwadratową, wykonaną z otynkowanej cegły, oddaloną o niecałą milę od trasy ich przejazdu. Była stosunkowo niska, nie wyższa niż dwa piętra, które wciąż jeszcze stały. Unosiła się nad nią atmosfera opuszczenia, dachy zniknęły, wyjąwszy kilka wypustów czarnej dachówki przylegającej do krokwi. Większość białego niegdyś tynku odpadła, obnażając szerniałą od wiatru i deszczu cegłę. Niektóre ściany zwały się, ukazując wewnętrzne dziedzińce i niszczone komnaty. Krzaki, a nawet drzewa rosły w szczelinach popękanych posadzek.

— Dwór — wyjaśnił Ingтар i odrobina lepszego samopoczucia, którą jakby znów odzyskał, zniknęła, kiedy patrzył na budowlę. — Myślę, że kiedy Harad Dakar jeszcze stało, dookoła uprawiano ziemię i pielęgnowano sady. Haradanie kochali swoje sady.

— Harad Dakar? — zapytał Rand, a Ingтар prychnął.

— Czy nikt już się nie uczy historii? Harad Dakar, stolica Haradanu, do którego kiedyś należały ziemie, przez które przejeżdżamy.

— Widziałem starą mapę — powiedział Rand sztywno. — Widziałem zaznaczone na niej krainy, które już nie istnieją. Maredo i Goaban, Carralain. Lecz Haradanu na niej nie było.

— Były również i inne, które pochłonał czas — powiedział Loial. — Mar Haddon, który obecnie nazywa się Haddon Mirk, Almoth. Kintara. Wojna Stu Lat rozerwała imperium Artura Hawkinga na wiele krain, wielkich i małych. Małe zostały połknięte przez wielkie, lub zjednoczyły się w inny sposób, jak Altara i Murandy. Połączenie dokonane przemocą jest, jak sądzę, lepszym określeniem niż zjednoczenie.

— A więc co z nimi się stało? — dopytywał się Mat.

Rand nie zorientował się, że tymczasem Perrin i Mat przyłączyli się do nich. Dotąd zawsze trzymali się z tyłu, jak najdalej od Randa al'Thora.

— Nie byli w stanie wytrwać razem — odpowiedział Ogir. — Plony nie obrodziły, handel nie funkcjonował. Zawiedli ludzie. W każdym przypadku coś poszło źle i lud znikł. Często sąsiednie kraje włączały opuszczoną krainę w granice swego terytorium, lecz te aneksje nigdy nie okazały się trwałe. Z czasem ziemia ostatecznie pustoszała. Rozproszone wioski jeszcze tu i ówdzie istniały, lecz większość obrócona została w pustkowia. Harad Dakar też ostatecznie zostało porzucone, lecz nawet przed tą dziejową chwilą była to już tylko skorupa, nastał tu bowiem król, który nie był w stanie panować nad tym, co działo się wewnątrz murów miasta. Z tego co wiem, samo Harad Dakar w tej chwili zupełnie nie istnieje. Zniknęły wszystkie miasta i grody, kamień wywieźli rolnicy i wieśniacy, wykorzystując go dla własnych celów. Większość zbudowanych z kamienia wiosek i farm dziś nie istnieje. Tak było napisane w książkach, które czytałem, a wokół nie widzę nic, co mogłoby mnie skłonić do zmiany opinii.

— To był prawdziwy kamieniołom, Harad Dakar, od co najmniej stu lat — powiedział Ingтар gorzko. — Ludzie odeszli ostatecznie, a później miasto zostało rozwleczone, kamień po kamieniu. Wszystko zniszczono, a to, co jeszcze zostało, niszczy nadal. Wszystko wokół ginie. Niemalże nie da się już znaleźć ludu, który rzeczywiście panowałby nad obszarem, który zajmuje na mapie i niemal nie ma już krainy, która zajmowałaby dzisiaj na mapie obszar równy temu, jaki zajmowała choćby sto lat temu. Kiedy skończyła się Wojna Stu Lat można było podróżować, przejeżdżając bezpośrednio z kraju do kraju, bez końca, od samego Ugoru aż po Morze Sztormów. Dzisiaj, przez prawie całą drogę poruszamy się po pustkowiach, o które nie upomina się żaden lud. My, na Ziemiach Granicznych mamy naszą walkę i ona czyni nas silnymi, powstrzymując przed rozproszeniem. Być może tamci nie mieli nic, co by uczyniło ich silnymi. Mówisz, że zawiedli, Budowniczy? Tak, zawiedli, a który lud, dzisiaj jeszcze silny i jednolity, zawie-

dzie jutro? Jesteśmy wypierani, my ludzie. Wymywani jak szczątki łodzi przez powódź. Jak długo jeszcze, zanim nie zostanie nic prócz Ziemi Granicznych? Jak długo, zanim my również pogodzimy się z porażką i nie zostanie już nic prócz trolloków i Myrddraali, na całym szlaku aż do Morza Sztormów?

Wszyscy milczeli, wstrząśnięci. Nawet Mat nie przerwał ciszy, która zapadła. Ingtar jechał zagubiony we własnych, czarnych rozmyślaniach.

Po chwili, galopując wrócili zwiadowcy, wyprostowani w siodłach, lance wzniesione ku niebu.

— Wioska przed nami, mój panie. Nie widziano nas. Lecz leży prosto na trasie, którą się poruszamy.

Ingtar otrząsnął się z zadumy, ale nie wypowiedział ani słowa, dopóki nie wjechali na grzbiet niskiego wzgórza, wznoszącego się nad wioską, a nawet wówczas był to tylko rozkaz zatrzymania się, kiedy wyciągnął lornetkę z toreb przy siodle i podniósł ją do oczu, obserwując wioskę.

Rand z zainteresowaniem przypatrywał się zabudowaniom. Wioska było równie duża jak Pole Emonda, chociaż rzecz jasna wydawała się niewielka w porównaniu z niektórymi miasteczkami, jakie widział od czasu opuszczenia Dwu Rzek, nie mówiąc już o wielkich miastach. Domy były niskie, ze ścianami wyłożonymi białą gliną, na spadzistych dachach rosło coś, co z daleka wyglądało jak trawa. Kilkanaście wiatraków, rozrzuconych po wiosce, obracało leniwie długie, pokryte płótnem ramiona, lśniące białe w świetle słońca. Wioskę otaczał porośnięty trawą, niski mur, sięgający do piersi mężczyzny. Przed wałem wykopano fosę, wbijając w jej dno zaostrome pale. Jedynej przerwy w murze, jaką mógł dostrzec, nie zamykała brama, ale przypuszczał, że łatwo może zostać zablokowana przy pomocy wozu lub furmanki. Nigdzie nie można było dostrzec ludzi.

— Nawet psa z kulawą nogą w zasięgu wzroku — powiedział Ingtar, chowając lornetkę na powrót do torby. — Jesteście pewni, że was nie widziano? — zapytał, zwracając się do zwiadowców.

— Nie, chyba że sprzyjała im potęga wzroku Czarnego, mój panie — odrzekł jeden z mężczyzn. — Nawet nie przekroczyliśmy wzniesienia. Poza tym, wtedy również nie widzieliśmy nikogo, mój panie.

Ingtar pokiwał głową.

— Ślad, Hurin?

Hurin wciągnął głęboki oddech.

— W kierunku wioski, mój panie. Prosto do środka, na ile mogę osądzać z odległości, w której się znajdujemy.

— Patrzeć uważnie — rozkazał Ingtar, zbierając wodze. — I nie wiercie, że są przyjaźnie nastawieni, nawet wtedy, gdy się uśmiechają. O ile tam w ogóle ktoś jest.

Poprowadził ich stępą w kierunku wioski, jednocześnie sięgając za plecy i luzując miecz w pochwie.



Rand usłyszał za plecami charakterystyczne szczęki, pozostali postąpili tak samo. Po chwili zrobił tak samo ze swoim mieczem. Podjęcie próby przeżycia nie jest tym samym, co starania, by zostać bohaterem, zdecydował.

— Myślisz, że ci ludzie pomagają Sprzymierzeńcom Ciemności? — zapytał Perrin Ingtara.

Shienaranin ociągał się z odpowiedzią.

— Niezbyt kochają Shienaran — powiedział na koniec. — Zważają, że powinniśmy ich ochraniać. My, albo Cairhienianie. Tamci żywią pretensje o te ziemie, od kiedy umarł ostatni król Hardan. O całe te rozległe ziemie, aż po Erinin. Choć nie byli w stanie jej zatrzymać. Zrezygnowali ze swych roszczeń prawie sto lat temu. Ci nieliczni ludzie, którzy żyją tak daleko na południu, nie muszą się obawiać trolloków, niemniej grasują tutaj liczne bandy zbójców. Dlatego zbudowali mur i wykopali fosę. We wszystkich wioskach tak robią. Ich pola zapewne są ukryte w okolicznych kotlinach, ale nikt nie mieszka poza murem. Zaprzysięgną hołd lenny każdemu królowi, który ofiaruje im ochronę, ale my wszystkie siły kierujemy przeciw trollokom. No i za to właśnie nas nie kochają.

Kiedy dojechali do przerwy w murze, Ingtar rzucił rozkaz:

— Patrzeć uważnie!

Wszystkie ulice prowadziły do placu pośrodku wioski i wszystkie były jednako opustoszałe. Nikt nie wyglądał też przez okna. Nawet pies nie przebiegł przez ulicę i nie pojawiła się nawet kura. Nic żywego. Otwarte drzwi kołysały się w zawiasach, których skrzypienie w podmuchach wiatru tworzyło kontrapunkt dla trzeszczenia wiatraków. Kopyta końskie wydawały głuchy, głośny odgłos na ubitej glinie ulic.

— Jak przy promie — wymruczał Hurin — ale inaczej. — Jechał zgarbiony w siodle, głowę skłonił nisko, jakby chciał się schować za własnymi ramionami. — Dopuszczono się tutaj przemocy, ale... Nie wiem. Było tutaj zło. Pachnie złem.

— Uno — powiedział Ingtar — weź jedną rotę i przeszukaj domy. Jeśli kogoś znajdziesz, przyprowadź do mnie, na plac. Tylko nie przestrasz ich tym razem. Potrzebuję odpowiedzi, a nie ludzi uciekających przed zagrożeniem.

Poprowadził swoich żołnierzy w kierunku środka wioski, podczas gdy Uno i dziesięciu innych zsiadło z koni.

Rand, wahając się, rozglądał się dookoła. Skrzypiące drzwi, trzeszczące wiatraki, kopyta koni, wszystko to czyniło zbyt dużo hałasu, i odbijało się tak głośnym echem, jakby w wiosce była zupełna pustka. Przyjrzał się domom. Wyglądały na zupełnie pozbawione życia. Firanki w otwartych oknach chlastały o ściany. Z westchnieniem zsiadł z konia i podszedł do najbliższego domu, potem zatrzymał się, wpatrzony w drzwi.

„To tylko drzwi. Czego się boisz?”

Zastanawiał się, skąd to uczucie, że coś czeka po drugiej stronie. Pchnął je.

Wewnątrz zobaczył czystą izbę. Niegdyś czystą. Stół był zastawiony do posiłku, krzesła z drabinkami oparcie ustawione dookoła, na niektórych talerzach znajdowało się już jedzenie. Kilka much fruwało nad miskami z rzepą i grochem, znacznie większa ilość pełzała po zimnej pieczeni, siedząc w skrępełym tłuszczu. Płat pieczeni był do połowy odkrojony. Widelec wciąż stał wbity w mięso, a nóż częściowo leżał na talerzu, jakby go ktoś upuścił. Rand wszedł do środka.

Pstryk.

Łysy, uśmiechnięty mężczyzna, w prostej odzieży z szorstkiej tkaniny, nakładał płat pieczeni na talerz trzymany przez kobietę o pobrużdżonej twarzy. Ona też się uśmiechała. Dodała grochu oraz rzepy i podała talerz jednemu z dzieci siedzących przy stole. Dzieci była szóstka, dziewczynki i chłopcy, od zupełnie malutkich do tak dużych, że mogły patrzeć ponad stołem. Kobieta powiedziała coś, a biorąc od niej talerz dziewczyna roześmiała się. Mężczyzna zaczął odkrawać następny płat.

Nagle jedna z dziewczynek krzyknęła, wskazując palcem przez drzwi, na ulicę. Mężczyzna rzucił nóż i odwrócił się, potem również krzyknął, twarz ściągnęło mu przerażenie, porwał dziecko na ręce. Kobieta chwyciła drugie, i rzuciła się desperacko w stronę pozostałych, jej usta wykrzywiały się oszalałe, w całkowitej ciszy. Wszyscy biegli w stronę drzwi w tylnej części izby.

Drzwi gwałtownie otworzyły się i...

Pstryk.

Rand nie mógł się poruszyć. Bzyczenie much krążących nad stołem wzmogło się. Oddech tworzył chmurę pary przed twarzą.

Pstryk.

Łysy, uśmiechnięty mężczyzna, w prostej odzieży z szorstkiej tkaniny, nakładał płat pieczeni na talerz trzymany przez kobietę o pobrużdżonej twarzy. Ona też się uśmiechała. Dodała grochu oraz rzepy i podała talerz jednemu z dzieci siedzących przy stole. Dzieci była szóstka, dziewczynki i chłopcy, od zupełnie malutkich do tak dużych, że mogły patrzeć ponad stołem. Kobieta powiedziała coś, a biorąc od niej talerz dziewczyna roześmiała się. Mężczyzna zaczął odkrawać następny płat.

Nagle jedna z dziewczynek krzyknęła, wskazując palcem przez drzwi, na ulicę. Mężczyzna rzucił nóż i odwrócił się, potem również krzyknął, twarz ściągnęło mu przerażenie, porwał dziecko na ręce. Kobieta chwyciła drugie, i rzuciła się desperacko w stronę pozostałych, jej usta wykrzywiały się oszalałe, w całkowitej ciszy. Wszyscy biegli w stronę — drzwi w tylnej części izby.

Drzwi gwałtownie otworzyły się i...

Pstryk.

Rand wyteżał siły, ale jego mięśnie zdawały się zamarzać. W pokoju było chłodniej, miał ochotę trząść się z zimna, ale nie mógł wykonać nawet takiego ruchu. Muchy rozpełzły się po całym stole. Sięgnął po pustkę. Pojawiło się ciepkie

światło, ale nie dbał o to. Powinien...

Pstryk.

Łysy, uśmiechnięty mężczyzna, w prostej odzieży z szorstkiej tkaniny, nakładał płat pieczeni na talerz trzymany przez kobietę o pobrużdżonej twarzy. Ona też się uśmiechała. Dodała grochu oraz rzepy i podała talerz jednemu z dzieci siedzących przy stole. Dzieci była szóstka, dziewczynki i chłopcy, od zupełnie malutkich do tak dużych, że mogły patrzeć ponad stołem. Kobieta powiedziała coś, a biorąc od niej talerz dziewczyna roześmiała się. Mężczyzna zaczął odkrawać następny płat.

Nagle jedna z dziewczynek krzyknęła, wskazując palcem przez drzwi, na ulicę. Mężczyzna rzucił nóż i odwrócił się, potem również krzyknął, twarz ściągnęło mu przerażenie, porwał dziecko na ręce. Kobieta chwyciła drugie, i rzuciła się desperacko w stronę pozostałych, jej usta wykrzywiały się oszalałe, w całkowitej ciszy. Wszyscy biegli w stronę drzwi w tylnej części izby.

Drzwi gwałtownie otworzyły się i...

Pstryk.

Pokój zamarał. „Tak zimno”. Muchy zaczerniły blat stołu, ściany stanowiły ruchomą masę much, podłoga, sufit były całkowicie pokryte czernią. Wchodziły na Randa, pokrywając go, pełzały po twarzy, dostawały się do oczu, nosa, ust. „Światłości, pomóż mi. Zimno”. Zbita masa much ryczała jak grzmot. „Zimno”. Wdzierały się w pustkę, kpiąc z jej przestrzeni, okrywając go lodem. Desperacko sięgnął po mrugające światło. Żołądek skręcał się, ale przynajmniej było ciepłe. Ciepłe. Gorące. On był gorący.

Nagle przedarł się do... czegoś. Nie wiedział do czego, ani jak. Stałowe pajęczyny. Promienie księżycy wykute z kamienia. Kruszyły się pod jego palcami, lecz wiedział, że nie dotyka niczego. Kruszyły się i topniały pod wpływem gorąca, jakie przezeń przepływało, gorąca jak ogień na palenisku w kuźni, jak pożar świata, jak...

Wszystko zniknęło. Zdyszany, rozglądał się wokół rozszerzonymi oczami. Kilka much leżało na pokrojonej w połowie pieczeni, na talerzu. Martwych much. „Sześć much. Tylko sześć”. Więcej było w miskach, jakiś tuzin małych, czarnych truchełków na zimnych warzywach. Wszystkie martwe. Wybiegł na ulicę.

Mat, kiwając głową, właśnie wychodził z domu po przeciwnej stronie ulicy.

— Nikogo tu nie ma — rzekł do Perrina, ciągle siedzącego na koniu. — Wygląda, jakby po prostu wstali od stołów podczas kolacji i odeszli.

Od strony placu doleciał krzyk.

— Znaleźli coś — powiedział Perrin, wbijając pięty w boki konia. Mat wgramolił się na siodło i pogalopował za nim.

Rand powoli dosiadał Rudego, ogier płoszył się, jakby wyczuwając jego niepokój. Spoglądał na budynki, jadąc niezbyt szybko w kierunku placu, ale nie potrafił się zmusić, by na którymkolwiek zatrzymać dłużej spojrzenie.

„Mat wszedł do środka i nic mu się nie stało”.

Postanowił, że jego noga nie postanie więcej w żadnym z tych domów, niezależnie od tego, co by się działo. Wbił buty w boki Rudego, zmuszając go do przyspieszenia kroku.

Wszyscy stali nieruchomo, jak posągi przed frontem dużego budynku o podwójnych drzwiach. Rand nie sądził, by mogła to być gospoda, przede wszystkim nie posiadała żadnego herbu. Zapewne było to miejsce spotkań mieszkańców wioski. Dołączył do milczącego kręgu i spojrzał tam, gdzie patrzyli wszyscy.

Do drzwi przybito rozkrzyżowanego człowieka, grubymi gwoździami, za nadgarstki i ramiona. Dodatkowe gwoździe sterczały z oczu, utrzymując głowę wzniesioną do góry. Wyszła, czarna krew wyrysowała wachlarze na policzkach. Odarcia na drewnie drzwi, na wysokości butów, świadczyły, że żył jeszcze, kiedy go rozwieszano. Przynajmniej na początku.

Oddech zamarł Randowi w gardle. Nie człowiek. Tych czarnych szat, w kolorze ciemniejszym niż czerń, nigdy nie nosił żaden człowiek. Wiatr szarpał skrajem płaszcza przyciśniętego ciałem do drzwi — ale nie zawsze tak się działo, sam wiedział najlepiej, normalnie wiatr nie dotykał nawet tych szat — w bladej, bezkrwistej twarzy nie było żadnych oczu.

— Myrddraal — wyszeptał i dźwięk jego głosu jakby uwolnił pozostałych. Na powrót zaczęli się poruszać i oddychać.

— Kto... — zaczął Mat, ale musiał przerwać, by przełknąć ślinę. — Kto mógł zrobić coś takiego Pomorowi?

Pod koniec głos mu się załamał.

— Nie wiem — powiedział Ingtar. — Nie mam pojęcia.

Rozejrzał się wokoło, przypatrując twarzom, czy też może licząc obecnych, aby upewnić się, że nikt nie zaginął.

— I nie sądzę, abyśmy mogli dowiedzieć się tego tutaj. Jedziemy. Na koń! Hurin znajdź ślad wychodzący z wioski.

— Tak, mój panie. Tak. Z przyjemnością. Tędy, mój panie. Wciąż kierują się na wschód.

Odjechali, zostawiając martwego Myrddraala tam, gdzie wisiał, wiatr rozwiewał jego czarny płaszcz. Hurin pierwszy minął mur, nie czekając aż Ingtar wysunie się na czoło, a Rand był tuż za nim.

## BŁYSKI WZORU

Po raz pierwszy Ingтар zarządził koniec dziennej marszruty, kiedy jeszcze słońce złoćiło się wysoko nad horyzontem. Mocni Shienaranie zaczęli odczuwać efekty tego, co zobaczyli w wiosce. Jeszcze nigdy dotąd nie zatrzymywali się tak wcześnie, a przysze obozowisko wyglądało na miejsce, którego będzie można łatwo bronić. Była to głęboka kotlina, niemalże doskonale okrągła i wystarczająco obszerna, by pomieścić wygodnie wszystkich mężczyzn i konie. Niespotykany gąszcz karłowatych dębów i skórzanych drzew pokrywał zewnętrzne stoki. Samo obrzeże kotliny było wystarczająco wysokie, aby skryć obozowisko, nawet bez porastających je drzew. Wzniesienie mogło być w tym płaskim kraju niemalże uznane za wzgórze.

Gdy zsiadli z koni, Rand usłyszał, co Uno rzekł do Ragam.

— Wszystko, co ci, do czorta, mogę powiedzieć, to że ją, do cholery, widziałem, niech szczenę. Było to tuż przedtem zanim znaleźliśmy Pólczłowiewka, niech go liże kozioł. To ta sama cholerna kobieta, co przy tym cholernym promie. Była tam, a potem przekłetej nie było. Możesz mówić, co ci się podoba, ale uważaj jak ty, cholera, to mówisz, albo cię sam obedrę z przekłetej skóry i spalę ten przez kozła lizany łachman, ty mlekopijco o owczych bebechach.

Rand zamarł z jedną nogą na ziemi, a drugą jeszcze w strzemieniu.

„Ta sam kobieta? Ale przy promie nie było żadnej kobiety, tylko firanki powiewające na wietrze. I przecież nie mogła dostać się do tej wioski przed nami, jeśli wcześniej była gdzieś indziej”.

Wioska...

Trwoźnie uciekł od tej myśli. Bardziej nawet niż przygwoźdzonego do drzwi Pomora zapomnieć pragnął tę izbę, muchy i ludzi, którzy byli i nie byli. Pólczłowiek był rzeczywiście — każdy to widział — ale izba...

„Może w końcu popadam w szaleństwo”.

Żałował, że Moiraine nie ma tutaj, że nie może z nią porozmawiać.

„Tęsknić za Aes Sedai? Jesteś głupcem. Jesteś z dala od tego i tam pozostań. Ale czy naprawdę jestem? Co tam się stało?”

— Konie juczne i zapasy do środka — zarządził Ingтар, gdy lansjerzy zaczęli rozbijać obóz. — Wytrzyjcie konie, potem osiodłajcie je znowu, na wypadek

gdybyśmy musieli szybko ruszać. Każdy śpi obok swego wierzchowca i nie rozpalamy na noc ognia. Warty zmieniają się co dwie godziny. Uno, chcę, żebyś wysłał zwiadowców, niech pójdą tak daleko, jak tylko mogą dojechać, by wrócić przed zmrokiem. Chcę wiedzieć, co się tam dzieje.

„Czuje to — pomyślał Rand. — Że to nie tylko jacyś Sprzymierzeńcy Ciemności, kilka trolloków i ewentualnie Pomor”.

Jacyś Sprzymierzeńcy Ciemności, kilka trolloków i może Pomor! Nawet kilka dni temu nie było to przecież żadne „jacyś”. Nawet na Ziemiach Granicznych, nawet na odległość dnia jazdy od Ugoru, Sprzymierzeńcy Ciemności, trolloki i Myrddraal wystarczyłyby za nocny koszmar. Zanim zobaczył Myrddraala rozpiętego na drzwiach. „Co w całym, Światłością oświetlanym, świecie mogło tego dokonać? Co, w Światłością nie oświetlanym?” Co to było zanim wszedł do izby, gdzie rodzina jadła kolację, a śmiech ich nagle zamarł? „Musiałem sobie to wyobrazić. Musiałem”. Nawet we własnym umyśle nie brzmiało to zbyt przekonująco. Przecież nie wyobraził sobie wiatru na szczycie wieży, ani Amyrlin mówiącej...

— Rand! — Podskoczył, gdy Ingтар przemówił mu nad uchem. — Przez całą noc masz zamiar stać z jedną nogą w strzemieniu?

Rand postawił drugą nogę na ziemi.

— Ingтар, co się zdarzyło tam, w tej wiosce?

— Trolloki ich zabrały. Tak samo jak ludzi przy promie. Oto, co się zdarzyło. Ten Pomor...

Ingтар wzruszył ramionami i spojrzał w dół na płaski, owinięty w brezent tobołek, duży i kanciasty, który trzymał w ramionach. Spoglądał na niego, jakby widział tam jakieś tajemnice, których wolałby raczej nie odkrywać.

— Trolloki zabrały ich. Tak postępują również w wioskach i farmach w pobliżu Ugoru, czasami, kiedy uda im się minąć w nocy wieże graniczne. Raz uda nam się odbić ludzi, a innym razem nie. Czasami odbijamy ludzi i niemal żałujemy, że nam się udało. Trolloki nie zawsze zabijają, zanim zaczną oprawiać i krajać. A Półludzie lubią się... zabawić. To jest gorsze od tego, co robią trolloki.

Jego głos był tak spokojny, jakby mówił o codziennych sprawach i może rzeczywiście dla żołnierza shienarańskiego tak było.

Rand wziął głęboki oddech, aby uspokoić żołądek.

— Ten Pomor tam niezbyt dobrze się bawił, Ingтар. Co mogło przygwoździć Myrddraala do drzwi? Żywego?

Ingтар wahał się, potrząsał głową, potem włożył duże zawiniątko w rękę Randa.

— Weź. Moiraine Sedai kazała dać ci to podczas pierwszego noclegu na południe od Erinin. Nie wiem, co jest w środku, ale powiedziała, że możesz tego potrzebować. Powiedziała też, aby ci przekazać, żebyś dbał o to, od tego może zależeć twoje życie.

Rand wziął tobolek niechętnie, pod dotykiem brezentu dostał gęsiej skórki. W środku było coś miękkiego. Jakby ubranie. Trzymał je ostrożnie.

„O Myrddraalu też nie chcę myśleć. Co się stało w tej izbie?”

Zdał sobie nagle sprawę, że woli myśleć o Pomorze, nawet o zdarzeniu w izbie, niż o tym, co Moiraine mogła mu przekazać.

— Wtedy kazano mi również powiedzieć, że jeśli coś mi się stanie, lansjerzy pójdą za tobą.

— Za mną!

Randa zatkało. Zapomniał o zawiniątku i całej reszcie. Ingtar odpowiedział na niedowierzające spojrzenie spokojnym skinieniem głowy.

— To szaleństwo! Nigdy nie prowadziłem niczego więcej niżli stada owiec, Ingtar. Poza tym, Moiraine nie mogła ci wyznaczać zastępcy. A twoim zastępcą jest Uno.

— Uno i ja zostaliśmy wezwani do lorda Agelmara tego ranka, kiedy wyruszyliśmy. Moiraine Sedai również tam była, ale to lord Agelmar wydał rozkaz. Jesteś moim zastępcą, Rand.

— Ale dlaczego, Ingtar? Dlaczego?

W tej całej sprawie można było jasno i wyraźnie dostrzec dłoń Moiraine, jej oraz Amyrlin. Popychały go drogą, którą wybrały.

Shienaranin wyglądał, jakby również niczego nie rozumiał, był jednak żołnierzem, przyzwyczajonym — w trakcie niekończącej się wojny na Ugorze — do wykonywania rozkazów.

— Słyszałem plotki wychodzące z komnat kobiecych, że jesteś naprawdę... — Rozłożył odziane w rękawice dłonie. — Nieważne. Wiem, że zaprzeczysz. Tak jak przeczysz temu, co przypomina twoja twarz. Moiraine Sedai powiada, że jesteś pasterzem, ale nigdy nie widziałem pasterza noszącego na ostrzu miecza znak czapli. Nieważne. Nie będę twierdził, że sam ciebie wybrałem, jednak sądzę, iż masz w sobie coś takiego, co pozwoli ci zrobić to, co konieczne. Spełnisz swój obowiązek, gdy będzie trzeba.

Rand chciał powiedzieć, że nie jest to jego obowiązek, ale zamiast tego wyrwało mu się:

— Uno wie o tym. Kto jeszcze, Ingtar?

— Wszyscy lansjerzy. Kiedy my Shienaranie jedziemy na wyprawę, każdy człowiek wie, kto jest następnym w hierarchii, na wypadek gdyby dowodzący padł. Nieprzerywalny łańcuch, aż do ostatniego żywego człowieka, nawet gdyby to był tylko ten, który opiekuje się końmi. W ten sposób, rozumiesz, nawet jeśli rzeczywistość zostanie jako ostatni z oddziału, nie będzie wtedy zwykłym maruderem, uciekającym i szukającym ocalenia. Jest dowódcą i obowiązek wzywa go do zrobienia tego, co zrobione być musi. Jeśli obejmie mnie ostatni uścisk matki, obowiązek przechodzi na ciebie. Ty odnajdziesz Róg i zabierzesz go tam, gdzie jego miejsce. Ty to zrobisz!

Ostatnie słowa wymówił ze szczególnym naciskiem.

Tobołek w rękach Randa zdawał się ważyć dziesięć kamieni.

„Światłości, jest sto mil stąd, a wciąż może wyciągnąć dłoń i szarpnąć smycz. Tędy, Rand. Tamtędy. Jesteś Smokiem Odrodzonym, Rand”.

— Nie chcę obowiązków, Ingтар. Nie wezmę ich na siebie. Jestem tylko pastere-  
rzem! Dlaczego nikt w to nie wierzy?

— Spełnisz swój obowiązek, Rand. Kiedy zawiedzie człowiek na szczycie łańcucha, wszystko pod nim rozpadnie się. Zbyt dużo rzeczy się ostatnio rozpada. Zbyt wiele już runęło. Pokój niech spłynie chwałą na twój miecz, Randzie al’Thor.

— Ingтар, ja . .

Lecz Ingтар już odszedł, mówiąc tylko, że chce sprawdzić, czy Uno wysłał już zwiadowców.

Rand spoglądał na zawiniątko, które trzymał w ramionach i oblizywał wargi. Obawiał się, że wie, co jest w środku. Chciał zajrzeć do środka, a jednocześnie pragnął, nie otwierając je, rzucić w ogień; pomyślał, że nawet mógłby tak postąpić, gdyby był pewien, iż spali się w taki sposób, aby nikt nie zobaczył, co jest w środku, gdyby był pewien, że to co jest w środku, w ogóle się spali. Lecz nie mógł zajrzeć tutaj, gdzie mogły go zobaczyć oczy pozostałych.

Rozejrzał się po obozowisku. Shienaranie rozładowywali juczne zwierzęta, niektórzy przygotowywali zimną kolację złożoną z suszonego mięsa i prasowanego chleba. Mat i Perrin zajmowali się swoimi końmi, a Loial siedział na kamieniu i czytał książkę, fajka o długim ustniku zwisała mu między zębami, nad jego głową unosiła się wstęga poskręcane-  
go dymu. Ściskając zawiniątko, jakby bał się, że je upuści, Rand wślizgnął się między drzewa.

Przykłęknął na małej polanie, otoczonej przez gęsto splecione gałęzie i położył zawiniątko na ziemi. Przez pewien czas tylko na nie patrzył.

„Nie powinna. Nie mogła. — A cichy głos wewnątrz odpowiadał. — O tak, mogła. Mogła i powinna”.

Na koniec zabrał się do rozwiązywania niewielkich węzłów na sznurku, którym było oplecione. Zgrabne węzły zawiązane były z precyzją, która wyraźnie wskazywała na obecność ręki Moiraine. Żaden służący nie zrobił tego za nią, nie mogła ryzykować, by jakiś służący to zobaczył.

Kiedy wreszcie ostatni węzeł został rozplątany, odkrył zawiniątko rękoma, które były już zupełnie zdrętwiałe. Potem wpatrywał się niemo, a w ustach miał pył. Całość składała się z jednego kawałka, nie splatana, nie farbowana, nie malowana. Sztandar, biały jak śnieg, wystarczająco duży, by być widzianym na całym obszarze pola bitewnego. W poprzek maszerowała falująca postać, podobna do węża o łusce ze szkarłatu i złota, lecz węża na czterech łapach, każdej zakończonej pięcioma złotymi pazurami. Węża o oczach jak słońce i złotej, lwiej grzywie. Raz kiedyś już go widział, a Moiraine powiedziała mu, co to jest. Sztandar, który wciągał Lews Therin Telamon, Lews Therin Zabójca Rodu podczas Wojny Cienia.



Sztandar Smoka.

— Spójrzcie na to! Spójrzcie na to, co on ma!

Mat wpadł na polanę. Perrin, wolniej nieco, wszedł za nim.

— Najpierw pstrokate płaszcze — warknął Mat — a teraz sztandar. Teraz już nigdy nie doczekamy się końca lordowania, z. . .

Mat zbliżył się dostatecznie, aby zobaczyć wyraźnie sztandar i mina mu zrzedła.

— Światłości! — Cofnął się o krok. — Niech szeszne!

Był tam, gdy Moiraine objaśniała, czyj jest to sztandar. Perrin również.

Gniew zawrzał w sercu Randa, gniew na Moiraine i Zasiadającą na Tronie Amyrlin za to, że popychają go, pociągają. Porwał sztandar w obie dłonie i potrząsnął nim przed twarzą Mata, słowa wrzały w nim, wymykały się kontroli.

— Słusznie! Sztandar Smoka!

Mat cofnął się o krok.

— Moiraine chce, abym był kukiełką, tańcząca na sznurkach Tar Valon, fałszywym Smokiem dla Aes Sedai. Zamierza wepchnąć mi go do gardła, nie dbając o to, czego ja chcę. Ale ja-nie-pozwolę-się-wykorzystywać!

Mat cofał się dalej, aż stanął oparty o pień drzewa.

— Fałszywy Smok? — Przełknął ślinę. — Ty? To. . . szaleństwo.

Perrin nie odszedł. Przykucnął na ziemi, zaplótł swe potężne ramiona wokół kolan i wpatrywał się w Randa swymi świecącymi, jasnymi oczami.

— Jeżeli Aes Sedai chcą z ciebie zrobić fałszywego Smoka. . .

Przerwał, zmarszczył brwi, ponownie przemyślał wszystko od początku. Na koniec powiedział cicho:

— Rand, potrafisz przenosić?

Mat wydał stłumione westchnienie.

Rand pozwolił na to, by sztandar opadł na ziemię, wahał się tylko przez chwilę, zanim ze znużeniem kiwnął głową.

— Nie prosiłem o to. Nie chciałem tego. Ale. . . Ale nie sądzę, abym wiedział, jak przestać. — Obraz izby pełnej much, zupełnie bezwiednie stanął mu przed oczyma. — Nie sądzę, aby mi pozwoliły przestać.

— Niech szeszne — sapnął Mat. — Krew i krwawe popioły! Zdajesz sobie sprawę, że zabiją nas. Wszystkich. Perrina i mnie, tak samo jak ciebie. Jeżeli Ing-tar i pozostali dowiedzą się, podetną nasze przeklęte gardła, wyręczając trolloków. Światłości, najpewniej pomyślą, że byliśmy zamieszani w kradzież Rogu i zabiliśmy tych ludzi w Fal Dara.

— Zamknij się, Mat — powiedział spokojnie Perrin.

— Nie mów mi, żebym się zamknął. Jeżeli Ing-tar nas nie zabije, to Rand oszaleje i zrobi to zamiast niego. Niech szeszne! Niech szeszne! — Mat obsunął się po pniu drzewa i usiadł na ziemi. — Dlaczego cię nie poskromiły? Jeżeli Aes

Sedai wiedzą, dlaczego cię nie poskromiły? Nigdy nie słyszałem, aby pozwoliły mężczyźnie, który potrafi władać Mocą, po prostu odejść.

— Nie wszystkie o tym wiedzą — westchnął Rand. — Amyrlin. . .

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin! Ona wie? Światłości, nic dziwnego, że patrzyła na mnie tak dziwnie.

— . . . a Moiraine mi powiedziała, że jestem Smokiem Odrodzonym, a potem obie powiedziały, że mogę jechać, dokąd chcę. Nie rozumiesz, Mat? One usiłują mnie wykorzystać.

— Ale bez względu na to, ty i tak przenosisz Moc — burknął Mat. — Na twoim miejscu już bym się znajdował w połowie drogi do Oceanu Aryth. I nie zatrzymywałbym się tak długo, aż nie znajdę jakiegoś miejsca, w którym nie ma i raczej nigdy nie będzie żadnych Aes Sedai. I żadnych ludzi. To jest, chciałem powiedzieć. . . no cóż. . .

— Zamknij się, Mat — naskoczył na niego Perrin. — Dlaczego tu jesteś, Rand? Im dłużej będziesz się trzymał ludzi, tym większa pewność, że ktoś się o wszystkim dowie i pośle po Aes Sedai. Te Aes Sedai, które ci nie powiedzą, że masz sam dbać o własne sprawy. — Urwał i zamyślony podrapał się po głowie. — A Mat ma rację co do Ingtara. Nie wątpię, że nazwałby cię Sprzymierzeńcem Ciemności i zabił. Być może zabiłby nas wszystkich. On wyraźnie cię lubi, ale moim zdaniem i tak by to zrobił. Fałszywy Smok? Inni tak samo. Masema nawet takiej wymówki by nie potrzebował. Więc czemu nie odjechałeś?

Rand wzruszył ramionami.

— Już miałem ruszyć w drogę, ale najpierw przyjechała Amyrlin, potem ukradli Róg, sztylet i Moiraine powiedziała, że Mat umiera i. . . Światłości, stwierdziłem wtedy, że mogę zostać z wami przynajmniej do czasu, zanim nie odnajdziemy sztyletu. Pomyślałem, że mógłbym się przydać. Może się myliłem.

— Wyruszyłeś z nami z powodu sztyletu? — spytał cicho Mat. Otarł nos i skrzywił się. — W ogóle mi to nie przyszło do głowy. W ogóle nie pomyślałem, że chciałeś. . . Aaaach! A dobrze się czujesz? Znaczy się, jeszcze nie popadłeś w obłąd, prawda?

Rand wygrzebał z ziemi kamyk i rzucił nim w Mata.

— Aua! — Mat potarł ramię. — Ja tylko spytałem. No, bo te wszystkie paradne stroje i całe to gadanie, że jesteś lordem. Cóż, raczej nie pasują do kogoś, kto ma poukładane w głowie.

— Próbowałem się was pozbyć, durniu! Bałem się, że rzeczywiście popadnę w obłąd i zrobię wam coś złego. — Spojrzał na sztandar, jego głos ścichł. — Tak się w końcu stanie, jeśli z tym nie skończę. Światłości, nie wiem, jak z tym skończyć.

— Tego się właśnie bałem — powiedział Mat, wstając. — Nie obraż się, Rand, ale chyba będę sypiał jak najdalej od ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko. To znaczy, jeśli zostaniesz z nami. Słyszałem kiedyś o jednym gościu, który potrafił

korzystać z Mocy. Opowiadał mi o tym strażnik kupiecki. Zanim odnalazły go Czerwone Ajah, obudził się któregoś dnia i cała jego wieś była zrównana z ziemią. Domy, ludzie, wszystko z wyjątkiem łóżka, na którym spał, wieś wyglądała, jakby przetoczyła się po niej jakaś góra.

— W takim razie, Mat, powinienes spać obok niego, głowa przy głowie — stwierdził Perrin.

— Może jestem durniem, ale wolę być żywym durniem. — Mat zawahał się, popatrując z ukosa na Randa. — Posłuchaj, wiem, że pojechałeś z nami, bo chciałeś mi pomóc, i jestem wdzięczny. Naprawdę jestem. Ale ty już nie jesteś dawnym Randem. Rozumiesz mnie, prawda?

Czekał, jakby się spodziewał odpowiedzi. Żadna nie padła. W końcu zniknął między drzewami, w kierunku, gdzie położony był obóz.

— A ty co powiesz? — spytał Rand.

Perrin pokręcił głową, kołysząc potarganymi lokami.

— Nie wiem, Rand. Niby jesteś ten sam, a jednocześnie nie. Mężczyzna korzystający z Mocy, moja matka lubiła mnie tym straszyć, kiedy byłem mały. Po prostu nie wiem. — Wyciągnął rękę i dotknął rogu sztandaru. — Na twoim miejscu chyba bym to spalił albo zakopał w ziemi. A potem zacząłbym uciekać, tak szybko, że żadna Aes Sedai już by mnie nigdy nie znalazła. Tu Mat miał rację.

Wstał, zmrużonymi oczyma ogarnął niebo na zachodzie, powoli wchłaniające czerwień zachodzącego słońca.

— Czas wracać do obozu. Przemyśl to, co powiedziałem, Rand. Ja bym uciekał. Ale może ty nie możesz uciekać. O tym też pomyśl. — Wydawał się wpatrywać swymi żółtymi oczyma we własne wnętrze, mówił zmęczonym głosem. — Czasami nie można uciec.

Potem on także odszedł.

Rand ukląkł, wpatrzony w sztandar rozpostarty na ziemi.

— A właśnie, że czasami można uciec — mruknął. — Ale może ona mi to dała, żeby mnie zmusić do ucieczki. Może wymyśliła coś takiego, co wymaga mojej ucieczki. Ale ja nie zrobię tego, co ona chce. Nie zrobię. Zakopię go w tym miejscu. Powiedziała jednak, że moje życie może od niego zależeć, a Aes Sedai nigdy nie kłamią w taki sposób, by można je było na tym przyłapać... — Nagle jego ramiona zatrzęsły się od cichego śmiechu. — Gadam sam do siebie. Może już zacząłem popadać w obłąd.

Kiedy wracał do obozowiska, ciągle miał przy sobie owinięty w płótno sztandar, tylko mniej starannie złożony i nie przewiązany sznurkiem Moiraine.

Światło dnia zaczynało blednąć i połowa kotliny skryła się w cieniu padającym z jej zboczy. Żołnierze układali się już do snu, każdy obok swego konia, z lancami w zasięgu ręki. Mat i Perrin umościli sobie legowisko przy swoich wierzchowcach. Rand spojrzął na nich smutnym wzrokiem, potem wziął Rudego, który stał dokładnie tam, gdzie go zostawił, z dyndającymi wodzami, i przeszedł na drugą

stronę kotliny, gdzie znalazł Hurina i Loiala. Ogir przerwał czytanie i badał do połowy zakopany kamień, na którym siedział, wodził po czymś na jego powierzchni długim cybuchem fajki.

Hurin wstał i obdarzył Randa czymś na kształt ukłonu.

— Miałem nadzieję, że tobie nie przeszkodzi, jak sobie tu pościelę, lordzie... mhm... Rand. Właśnie słuchałem Budowniczego.

— Jesteś tu, Rand — powiedział Loial. — Wiesz, myślę, że ktoś kiedyś obciosał ten kamień. Widzisz, jest zwietrzały, ale wydaje się, że to pozostałości jakiejś kolumny. Są też na nim znaki. Nie bardzo potrafię je odcyfrować, ale wyglądają jakby znajomo.

— Może w świetle poranka uda ci się go obejrzeć dokładniej — podpowiedział Rand. Zdjął sakwy z grzbietu Rudego. — Twoje towarzystwo mnie cieszy, Hurin.

„Cieszy mnie towarzystwo każdego, kto się mnie nie boi. Ale jak długo jeszcze będę je miał?”

Przełożył całą zawartość jednej sakwy do drugiej — zapasowe koszule, spodnie i wełniane skarpety, przybory do szycia, hubkę z krzesiwem, drewnianą skrzynkę ze sztucami, zawiniątko z suszonym mięsem i suchary na wszelką ewentualność i wszystkie inne niezbędne podróżnikowi rzeczy — po czym wepchnął owinięty w płótno sztandar do pustej kieszeni. Sakwa wybrzuszyła się mocno, rzemienie ledwo sięgały sprzączek, tak była wypchana.

Loial i Hurin, jakby wyczuwając jego nastrój, nie odzywali się, gdy ściągał sakwy i uzdę z grzbietu Rudego, wycierał sierść wielkiego gniadosza kępkami trawy i zdejmował zeń siodło. Rand nie przyjął oferowanej mu strawy, czuł, że w tym momencie nic by nie mógł przełknąć, nawet gdyby to był najlepszy posiłek, jaki mu w życiu podano. Wszyscy trzej zrobili sobie posłania obok kamienia, za poduszkę służył złożony koc, za nakrycie płaszcz.

W całym obozowisku zapanowała już cisza, Rand jednak nie mógł zasnąć nawet wtedy, gdy zapadła głęboka noc. Jego myśli miotają się we wszystkie strony. Sztandar.

„Do czego ona próbuje mnie zmusić”.

Wioska.

„Co mogło zabić Pomora w taki sposób?”

Ten dom we wsi, to było najgorsze.

„Czy to się naprawdę stało?”

„Czy ja już popadłem w obłęd? Uciekać czy zostać? Muszę zostać. Muszę pomóc Matowi w znalezieniu sztyletu”.

Znękany zapadł wreszcie w sen, wraz ze snem otoczyła go pustka, nieproszona, migotała niepokojącą luną, zakłócającą senne wizje.

\* \* \*

Uśmiechając się wiecznie przylepionym do warg uśmiechem, który nigdy nie obejmował oczu, Padan Fain spojrział na północ, wbił wzrok w czerń nocy otaczającą jedyne ognisko w jego obozie. Nadal myślał o sobie jako o Padanie Famie — Padan Fain stanowił sam rdzeń jego istoty — ale zmienił się i wiedział o tym. Wiedział teraz wiele rzeczy, o wiele więcej, niż podejrzewać mogli ci, którym kiedyś służył. Został Sprzymierzeńcem Ciemności wiele lat wcześniej, jeszcze zanim Ba'alzamon go wezwał i kazał ścigać trzech młodych ludzi z Pola Emonda, destylując z niego to, co o nich wiedział, destylując go i napełniając z powrotem powstałym z takiej destylacji ekstraktem, dzięki czemu Fain mógł ich czuć, odnajdywać ich zapach, gdziekolwiek byli, podążać w ślad za nimi, dokądkolwiek by uciekli. Szczególnie ten jeden. Nadal, jakąś cząstką swego wnętrza, czuł skurcz strachu na wspomnienie, co zrobił z nim Ba'alzamon, ale ta cząstka była niewielka, ukryta, zduszona. Zmienił się. Tropienie tych trzech zagnało go do Shadar Logoth. Nie chciał tam iść, ale musiał być posłuszny. Wtedy. A w Shadar Logoth. . .

Fain wciągnął głęboki oddech i przejechał palcem po sztylcie z rubinową rękojeścią, przymocowanym do pasa. Ten sztylet też pochodził z Shadar Logoth. Była to jedyna broń, jaką nosił przy sobie, jedyna, której potrzebował, i miał wrażenie, że stanowi jego część. Teraz już stanowił jedność. Tylko to się liczyło.

Zbadał wzrokiem teren otaczający jego ognisko. Dwunastu ostatnich Sprzymierzeńców Ciemności, w swych niegdyś paradnych strojach, teraz zmiętych i brudnych, kuliło się z jednej strony w ciemnościach. Wpatrzeni nie w ogień, lecz w niego. Po drugiej stronie przycupnęły trolloki, dwadzieścia trolloków, oczy o nazbyt ludzkim wyrazie, osadzone w ludzkich twarzach wykrzywionych zwierzęcym grymasem, śledziły każdy jego ruch, tak jak mysz obserwuje kota.

Z początku była to istna mordęga, co rano odkrywać, że nie jest się zupełną całością, odkrywać, że znowu dowódcą jest Myrddraal, pieniący się złością i rozkazujący, że mają się udać na północ, do Ugoru, do Shayol Ghul. Stopniowo jednak te poranki słabości stawały się coraz krótsze, aż w końcu. . . Przypomniał sobie młot w swej dłoni, wbijanie ostrych kołków i uśmiechnął się, tym razem uśmiech ogarnął także jego oczy, napełniając je radością rozkosznego wspomnienia.

Jego ucho wyłowilo rozlegające się w mroku łkanie i uśmiech zbladł.

„Nie trzeba było pozwalać, by trolloki zabrały ich aż tak wielu”.

Cała wieś spowalniała ich przemarsz. Gdyby tych kilka domostw przy promieniu stało pustych, to może. . . Ale trolloki były chciwe z natury i owładnięty euforią na widok umierającego Myrddraala, nie przypilnował ich tak, jak powinien.

Zerknął na trolloki. Wszystkie niemal dwukrotnie przewyższały go wzrostem, dzięki swej sile zdolne zetrzeć jedną ręką na strzępy, a jednak cofały się przed nim i kulily.

— Zabijcie ich. Wszystkich. Możecie się najeść, ale zwalcie wszystkie szczątki na stos, żeby nasi znajomi mogli ich zobaczyć. Głowy ułóżcie na wierzchu. Do dzieła, tylko porządnie. — Roześmiał się, ale zaraz przerwał sobie krótkim: — Jazda!

Trolloki niezdarnie gramoliły się z miejsc, dobywały sierpowatych mieczy i unosiły w górę topory. Po chwili od strony, w której leżeli związani wieśniacy, rozległy się krzyki i zawodzenia. Błagania o litość i przeraźliwy płacz dzieci urywały znienacka głuche łomoty i niemiłe dla ucha mlaski, jakby ktoś miażdżył melony.

Fain odwrócił się tyłem od tej kakofonii, by popatrzeć na swych Sprzymierzeńców Ciemności. Oni też należeli do niego, ciałem i duszą. Taką duszą, jaka w nich pozostała. Każdy dał się splugawić równie głęboko, jak kiedyś on, zanim znalazł wyjście. Nie mieli dokąd pójść, jak tylko z nim. Nie spuszczała z niego oczu, pełnych strachu i błagania.

— Myślicie pewnie, że zgłodnieją, nim znowu natrafimy na jakąś wioskę albo farmę? Być może. Myślicie, że pozwolę im zjeść któregoś z was? Cóż, może jednego lub dwóch. Nie ma już koni, którymi dałoby się was zastąpić.

— To byli zwykli prostacy — wykrztusiła niepewnym głosem jakaś kobieta. Brud znaczył jej twarz, lecz po zgrabnie skrojonej sukni można było rozpoznać bogatą przedstawicielkę stanu kupieckiego. Kosztowną tkaninę popielatej barwy pokrywały teraz plamy, w spódnicy widniało długie rozdarcie.

— To byli wieśniacy. My służyliśmy... ja służyłam.

Fain przerwał jej, beztronski ton sprawiał, że słowa zabrzmiały tym surowiej.

— Kim wy dla mnie jesteście? Czymś gorszym niż wieśniacy. Może stadem bydła dla trolloków? Jeśli chcecie przeżyć, bydłeta, to musicie być przydatni.

Twarz kobiety niejako rozpadła się. Kobieta załkała i nagle wszyscy pozostali zaczęli paplać jeden przez drugiego, zapewniać go, jacy są przydatni, oni wszyscy, mężczyźni i kobiety, którzy cieszyli się wpływami i pozycją, zanim wezwano ich do Fal Dara, by tam wywiązali się ze swych ślubowań. Wykrzykiwali nazwiska ważnych, potężnych ludzi, których znali z Ziemi Granicznych, Cairhien i innych krain. Próbowali wyjawić wszystko, co wiedzieli na temat innych krajów, sytuacji politycznej, aliansów, intryg, usiłowali wypaplać wszystko, byle tylko pozwolił sobie służyć. Wytworzony przez nich harmider mieszał się z odgłosami rzezi dokonywanej przez trolloków i znakomicie do niej pasował.

Fain w ogóle ich nie słuchał — nie bał się stawać do nich plecami od czasu, gdy zobaczyli, jaki los spotkał Pomora — i zajął się swą nagrodą. Klęcząc, gładził rękoma ozdobną, złotą szkatułę, czując zamkniętą w niej moc. Musiał kazać ją nieść trollokom — nie ufał ludziom na tyle, by zapakować ją do sakiew przy

końskim siodle, któryś z nich mógł pragnąć władzy z taką siłą, by przewyciężyć strach przed nim, natomiast trolloki nie marzyły o niczym oprócz zabijania — i jeszcze nie odgadł, jak się ją otwiera. Ale to przyjdzie z czasem. Wszystko przyjdzie z czasem. Wszystko.

Wyjął sztylet z pochwy, ułożył go na szkatule i dopiero wtedy umościł sobie leże przy ogniu. Ostrze strzegło lepiej niż trollok albo człowiek. Wszyscy widzieli, co się stało, kiedy go użył, tylko ten jeden raz; nikt nie miał odwagi podejść na odległość bliższą niż piędziesiąt do tego nagiego ostrza, o ile on sam nie wydał takiego rozkazu, a i wtedy słuchano go z niechęcią.

Leżał pod derkami i patrzył się w stronę północy. Nie czuł w tym momencie al'Thora, dzieliła ich zbyt wielka odległość. A może al'Thor robił tę swoją sztuczkę ze znikaniem. W twierdzy ten chłopak zniemacka potrafił wymknąć się zmysłom Faina. Nie wiedział, na jakiej zasadzie się to odbywało, ale al'Thor powracał potem, równie nagle jak zniknął. Tym razem też wróci.

— Tym razem to ty do mnie przyjdiesz, al'Thor. Dotąd to ja cię tropiłem niczym pies naprowadzony na ślad, ale teraz to ty mnie będziesz gonił. — Jego śmiech brzmiał jak rechot, słysząc go, sam wiedział, że jest obłąkany, ale nie dbał o to. Obłąd to też była jego część. — Przyjdź do mnie, al'Thor. Taniec jeszcze się nie zaczął. Zatańczymy na Głowie Tomana i tam się od ciebie uwolnię. Nareszcie zobaczę cię martwego.

## WPLECIONE DO WZORU

Egwene pośpiesznie ruszyła za Nynaeve do grupki Aes Sedai otaczających ciasno palankin Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Pragnienie dowiedzenia się, co jest powodem nagłego zamętu w Fal Dara, wzięło górę nad zmartwieniem z powodu Randa. W tym momencie on i tak znajdował się poza jej zasięgiem. Wśród koni Aes Sedai stała Bela, jej kudłata klacz, a także wierzchowiec Nynaeve.

Strażnicy, z dłońmi na rękojeściach mieczy i oczyma bezustannie kontrolującymi otoczenie, utworzyli stalowy krąg wokół Aes Sedai i palankinu. Oni tylko stanowili wysepkę względnego spokoju na dziedzińcu, bowiem shienarańscy żołnierze wciąż biegali wśród przerażonych mieszkańców warowni. Egwene przejechała się do Nynaeve — obydwie zupełnie zignorowały karcące spojrzenia Strażników, wszyscy wiedzieli, że wybierają się w drogę razem z Amyrlin — i z szermowania tłumu wychwyciła dość informacji, by wiedzieć teraz, że z na pozór niewiadomego kierunku wypadła strzała, a łucznik jeszcze nie został złapany.

Egwene znieruchomiała, szeroko otwierając oczy, zbyt zaszokowana, by choć pomyśleć, że stoi w otoczeniu Aes Sedai. Zamach na życie Zasiadającej na Tronie Amyrlin. To się nie mieściło w głowie.

Amyrlin siedziała w palankinie przy odsuniętych zasłonach, przyciągając wzrok wszystkich rozdartym rękawem zaplamionym krwią. Patrzyła z wysoka na lorda Agelmara.

— Znajdziesz tego łucznika albo nie, mój synu. Tak czy owak, moje sprawy w Tar Valon wzywają mnie równie pilnie, jak Ingtara na jego polowanie. Wyjeżdżam.

— Ależ Matko — zaprotestował Ingtar — zamach na twoje życie wszystko zmienia. Nadal nie wiemy, kto przysłał tego człowieka, ani też dlaczego. Za godzinę będę miał dla ciebie zarówno łucznika, jak i odpowiedzi na pytania.

Amyrlin odpowiedziała śmiechem, w którym nie było słyhać rozbawienia.

— Będzie ci potrzebna sprytniejsza przynęta albo mocniejsze sieci do złapania tej ryby, mój synu. Zanim pojdziesz tego człowieka, będzie za późno, by jeszcze dziś odjechać. Zbyt wiele jest tu oczu, które napawałyby się widokiem mego martwego ciała, by zanadto się przejmować czymś takim. Możesz mi potem przysłać wiadomość o tym, co wykryłeś, o ile w ogóle coś wykryjesz. — Omiotła wzro-



kiem wieże otaczające dziedziniec, parapety i balkony dla łuczników, wciąż pełne ludzi, mimo że okryte ciszą. Strzała padła z jednego z tych miejsc. — Myślę, że ten łucznik uciekł już z Fal Dara.

— Ale, Matko...

Kobieta w palankinie spostponowała go gestem, wskazując, że dyskusja skończona. Nawet władca Fal Dara nie mógł wywierać zbytniego nacisku na Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Jej oczy spoczęły na Egwene i Nynaeve, oczy przewiercające na wskroś, zdające się widzieć wszystko, co chciało się zachować w tajemnicy. Egwene zrobiła krok w tył, po chwili jednak opanowała się i dygnęła, zastanawiając się, czy tak jest poprawnie. Nikt jej nigdy nie wyjaśniał, jaka etykieta obowiązuje na spotkaniach z Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Nynaeve stała sztywno wyprostowana, wytrzymała spojrzenie Amyrlin, poszukała jednak po omacku dłoni Egwene i ścisnęła ją mocno, a Egwene odwzajemniła uścisk.

— Więc to są te dwie, Moiraine — powiedziała Amyrlin.

Moiraine nieznacznie skinęła głową i druga Aes Sedai znowu zaczęła przypatrywać się dwóm kobietom z Pola Emonda. Egwene nerwowo przełknęła ślinę. One wszystkie wyglądały tak, jakby wiedziały o różnych rzeczach, o takich, których nie wiedzieli inni ludzie i świadomość, że tak naprawdę jest, bynajmniej w niczym nie pomagała.

— Istotnie, wyczuwam w każdej z nich wspaniałą iskrę. Tylko co się z takiej iskry wykrzesze? Oto pytanie, prawda?

Egwene miała wrażenie, że jej usta są pełne piachu. Widziała kiedyś, jakim wzrokiem pan Padwhin, cieśla z ich wioski, patrzył na swoje narzędzia; mniej więcej w taki sam sposób Amyrlin patrzyła na nie obydwie. Ta do tego celu, druga do innego.

Nagle Amyrlin powiedziała:

— Czas ruszać. Na koń! Lord Agelmar i ja wypowiadamy tu słowa, jakie wypowiedzieć należy, a wy nie musicie się zaraz tak gapić niczym nowicjuszek w święto. Na koń!

Na jej rozkaz Strażnicy rozeszli się do swych wierzchowców, a wszystkie Aes Sedai z wyjątkiem Leane, posuwistymi krokami ruszyły do swoich koni, ani przez moment nie tracąc przy tym swej czujności. Kiedy Nynaeve i Egwene odwracały się, by spełnić polecenie, u boku lorda Agelmara stanął służący ze srebrnym kielichem. Agelmar ujął go z grymasem niezadowolenia na ustach.

— Wraz z tym naczyniem przyjmij, Matko, me życzenie, aby twa dzisiejsza wyprawa powiodła się jak najlepiej, a wszystkie...

Dalszych słów Egwene już nie usłyszała, wdrapywała się bowiem już na siodło Beli. Jeszcze nie klepnęła kudłatej klaczy i nie ułożyła spódnic, gdy palankin już zbliżał się do otwartych bram, a niosące go konie szły równym krokiem bez żadnych wodzy lub postronka. Leane jechała obok palankinu, z laską zatknietą w strzemionie. Egwene i Nynaeve dołączyły na sam koniec kolumny Aes Sedai.

Okrzyki i wiwaty tłumów, oblegających ulice miasta, witały pochód, ginęły jednak w łomocie bębnow i grzmotach trąb. Kolumnę prowadzili Strażnicy, pod powiewającym sztandarem Białego Płomienia osłaniali również Aes Sedai, by nie dopuścić do nich ludzkiej ciżby. Lucznicy i pikinierzy, których piersi także zdobił Płomień, podążali z tyłu, zorganizowani podług rang. Kiedy kolumna wymaszerowała z miasta i skierowała się na południe, trąby ucichły, wciąż jednak słychać było wiwaty. Egwene często oglądała się za siebie, dopóki drzewa i wzgórza nie skryły murów i wież Fal Dara.

Nynaeve, jadąca obok niej, potrząsnęła głową.

— Randowi nic nie będzie. Jest z nim lord Ingtar i dwudziestu lansjerów. A zresztą i tak nic nie możesz zrobić. Żadna z nas nic nie może zrobić. — Zerknęła ukradkiem w stronę Moiraine, zgrabna biała klacz Aes Sedai i wysoki, czarny ogier Lana tworzyły dziwną parę. — Jeszcze nie teraz.

Kolumna stopniowo skręcała na zachód, ale nie posuwała się zbyt szybko. Nawet piechurzy w zbrojach nie potrafili prędko pokonywać shienarańskich wzgórz, ani też utrzymać dłużej równego tempa. Wszyscy jednak parli do przodu najszybciej jak mogli.

Obozowiska rozbijano późną nocą. Amyrlin nie zezwalała na postój wcześniej, nim światła było już tylko tyle, że starczało go do rozbicia namiotów, spłaszczonych białych kopuł, w których ledwie można się było wyprostować. Każda para Aes Sedai, z tych samych Ajah, miała dla siebie jeden namiot, natomiast Amyrlin i Opiekunka mieszkały oddzielnie. Moiraine dzieliła swój z dwoma Błękitnymi siostrami. Żołnierze spali na ziemi w swoim własnym obozowisku, Strażnicy otulali się w płaszcze w pobliżu namiotów tych Aes Sedai, z którymi byli związani. Namiot zamieszkiwany przez Czerwone Siostry wyglądał dziwnie samotnie bez Strażników, natomiast przy należącym do Zielonych panowała nieomal biesiadna atmosfera, dwie Aes Sedai często siadywały na zewnątrz jeszcze długo po zapadnięciu zmroku i wiodły rozmowy z czterema Strażnikami, którzy im towarzyszyli.

Lan przyszedł raz do namiotu, który Egwene dzieliła z Nynaeve, po czym wyprowadził Wiedzącą nieco dalej, w mrok. Egwene wychyliła się odrobinę za płachtę zasłaniającą wejście, by móc ich podpatrywać. Nie słyszała, o czym mówili, zobaczyła tylko, że Nynaeve w pewnym momencie wybuchnęła gniewem, a po powrocie owinęła się w koce i nie chciała w ogóle rozmawiać. Egwene wydało się, że ma wilgotne policzki, mimo iż ukryła twarz pod rąbkiem koca. Lan długo stał w mroku i patrzył na ich namiot, zanim sobie poszedł. Potem nigdy już ich nie odwiedził.

Moiraine nie zbliżała się do nich, tylko mijając je obdarzała skinieniem głowy. Wydawało się, że całe godziny spędzała na rozmowach z innymi Aes Sedai, z wszystkimi z wyjątkiem Czerwonych, kolejno odciągając je na bok podczas jazdy. Amyrlin rzadko pozwalała się zatrzymywać, a i wówczas na bardzo krótko.

— Może ona nie ma już dla nas czasu — zauważyła ze smutkiem Egwene.

Moiraine była jedyną znajomą Aes Sedai, być może jedyną, której mogła ufać. — Znalazła nas i teraz jedziemy do Tar Valon. Sądzę, że interesują ją już inne rzeczy.

Nynaeve zachnęła się.

— A ja uważam, że ona z nami skończy dopiero po swoim trupie albo po naszym trupie. Jest wyjątkowo przebiegła, tu o to chodzi.

Za to inne Aes Sedai odwiedzały ich namiot. Egwene omal nie wyskoczyła ze skóry, tamtej pierwszej nocy spędzonej poza Fal Dara, gdy płachta okrywająca wejście odsunęła się i do środka wsunęła głowę zażywna Aes Sedai o kwadratowej twarzy, z siwiejącymi włosami i jakby lekko roztargnionym wyrazem ciemnych oczu. Zerknęła na latarnię, zawieszoną w najwyższym miejscu namiotu, i płomień jakby się wydłużył. Egwene odniosła wrażenie, że coś czuje, że nieomal dostrzega coś, co otoczyło Aes Sedai w momencie, w którym płomień się rozrastał. Moiraine powiedziała jej któregoś dnia — kiedy częściej udzielała swych nauk — że będzie mogła zobaczyć, jak inna kobieta korzysta z Mocy, a także odróżnić kobietę zdolną do korzystania, nawet jeśli taka nie będzie nic robiła.

— Jestem Verin Mathwin — przedstawiła się kobieta z uśmiechem. — A wy to Egwene al'Vere i Nynaeve al'Maera. Z Dwu Rzek, dawniej Manetheren. To silna krew. Krew, która śpiewa.

Egwene i Nynaeve podniosły się, zamieniając spojrzenia.

— Czy to wezwanie do Zasiadającej na Tronie Amyrlin? — spytała Egwene.

Verin roześmiała się. Nos miała ubrudzony smużką atramentu.

— Ależ nie, nie. Amyrlin ma ważniejsze sprawy do załatwienia niż widywać dwie młode kobiety, które nawet nie są jeszcze nowicjuszkami. Jakkolwiek nigdy nic nie wiadomo. Obydwie posiadacie znaczny potencjał, szczególnie ty, Nynaeve. Któregoś dnia. . . — Urwała, w zamyśleniu potarła palcem nos tuż nad plamką atramentu. — Ale to nie jest ten dzień. Przyszłam, żeby udzielić ci lekcji, Egwene. Obawiam się, że trochę za wcześnie zabrałaś się za coś, czego na razie sama nie powinnaś robić.

Egwene obejrzała się nerwowo na Nynaeve.

— Co ja zrobiłam? Niczego świadomie.

— Och nic złego. Być może coś niebezpiecznego, ale niezupełnie złego. — Verin przysiadła na płóciennej podłodze, podwijając pod siebie nogi. — Usiądźcie obydwie. Usiądźcie. Nie mam zamiaru nadwierać szyi. — Zaczęła szukać wygodniejszej pozycji. — Siadajcie.

Egwene usiadła na skrzyżowanych nogach przed Aes Sedai i robiła co mogła, żeby nie patrzeć na Nynaeve.

„Nie powinnam czuć się winna, dopóki się nie dowiem, czy rzeczywiście coś zawiniłam. Zresztą może wcale nie zawiniłam”.

— Co takiego zrobiłam, co jest niebezpieczne a niezupełnie złe?

— No cóż, korzystałaś z Mocy, dziecko.

Egwene potrafiła tylko wytrzeszczyć oczy, natomiast Nynaeve wybuchnęła:

— To niedorzeczne. Po co jedziemy do Tar Valon, jak nie z tego powodu?

— Moiraine. . . chciałam powiedzieć, że Moiraine udzielała mi lekcji — wykrztusiła Egwene.

Verin uniosła rękę i obie umilkły. Być może trudno było odczytać jej intencje, ale ostatecznie była to Aes Sedai.

— Dziecko, czy tobie się wydaje, że Aes Sedai od razu uczą korzystania z Mocy pierwszą lepszą dziewczynę, która twierdzi, że chce być jedną z nas? No cóż, sądzę, że raczej nie jesteś pierwszą lepszą dziewczyną, ale taką samą. . . — Z powagą pokręciła głową.

— Więc czemu ona to robiła? — spytała podniesionym tonem Nynaeve.

Jej nie uczono i Egwene wciąż nie była pewna, czy Nynaeve to dręczy, czy nie.

— Bo Egwene już wcześniej korzystała z Mocy — cierpliwie wyjaśniła Verin.

— Ja. . . Ja też. — Sądząc z jej głosu, Nynaeve bynajmniej nie była szczęśliwa z tego powodu.

— Twoje okoliczności są inne, dziecko. Fakt, że wciąż żyjesz, wskazuje, że przeżyłaś rozmaite kryzysy i wyszłaś z nich i to bez niczyjej pomocy. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, ile masz szczęścia. Na każde cztery kobiety zmuszone do robienia tego, co ty robiłaś, z życiem uchodzi tylko jedna. Naturalnie, dzikie. . . — Verin skrzywiła się. — Wybacz, ale zdaje się, że tak właśnie my z Białej Wieży często nazywamy kobiety, które bez żadnego przygotowania uzyskały pewną pozorną kontrolę, podobnie jak ty, przypadkową i ledwie zasługującą na miano kontroli, ale nadal jest to swego rodzaju kontrola. Dzikie borykają się z trudnościami, to fakt. Nieomal zawsze otaczają się murem, by same nie wiedzieć, co takiego właściwie robią, i te mury zakłócają świadomą kontrolę. Im dłużej takie mury są wznoszone, tym trudniej jest je zburzyć, ale jeśli uda się je w końcu usunąć. . . cóż, niektóre z najbieglejszych sióstr, jakie zna historia naszej społeczności, były najpierw dzikie.

Nynaeve poruszyła się z irytacją i spojrzała na wejście do namiotu, jakby chciała wyjść.

— Nie rozumiem, co to wszystko ma ze mną wspólnego — powiedziała Egwene.

Verin spojrzała na nią mrugając, jakby się zastanawiała, skąd ona się tam wzięła.

— Z tobą? Ano nic. Twój problem jest zupełnie inny. Większość dziewcząt, które chcą zostać Aes Sedai, nawet te, które mają w sobie odpowiednie zadatki, tak jak ty, też się tego boją. Nawet gdy w końcu dotrą do Wieży i nauczą się, co i jak robić, jakaś siostra lub jedna z Przyjętych musi je jeszcze prowadzić przez wiele miesięcy, krok po kroku. Ale nie ciebie. Z tego co wiem od Moiraine, wskoczyłaś w to z miejsca, gdy tylko się dowiedziałaś, że możesz, zaczęłaś po omacku szukać drogi w ciemnościach, ani razu się nie zastanawiając, czy przy następnym

kroku nie otworzy się przed tobą bezdenne otchłań. Och, były przed tobą podobne, nie jesteś wyjątkiem. Sama Moiraine do takich należała. Gdy się dowiedziała, coś ty robiła, nie miała innego wyjścia, jak tylko zacząć cię uczyć. Czy Moiraine nigdy ci tego wszystkiego nie tłumaczyła?

— Nigdy. — Egwene bardzo pragnęła, by tak nie zapierało jej tchu podczas mówienia. — Musiała się zajmować... innymi sprawami.

Nynaeve warknęła coś bezgłośnie.

— Cóż, Moiraine nigdy nie uważała za konieczne mówić komuś coś, czego ta osoba nie musi wiedzieć. Wiedza nie służy żadnym realnym celom, ale z kolei z niewiedzą jest tak samo. Ja sama osobiście zawsze wolę wiedzieć, niż nie wiedzieć.

— A czy ona istnieje? To znaczy ta otchłań?

— Oczywiście nie taka głęboka — powiedziała Verin, przekrzywiając głowę. — Ale przy następnym kroku? — Wzruszyła ramionami. — Widzisz, dziecko, im bardziej się starasz dotykać Prawdziwego Źródła, im bardziej się starasz korzystać z Jedynej Mocy, tym łatwiej to potem robić naprawdę. Tak, na początku sięgasz z wysiłkiem do Źródła i najczęściej przypomina to chwytnie powietrza. Albo rzeczywiście dotykasz *saidara*, ale nawet wtedy, gdy poczujesz, jak Jedyna Moc przepływa przez ciebie, przekonujesz się, że nic z nią nie możesz zdziałać. Albo coś osiągasz, ale jest to coś zupełnie niezgodnego z twymi zamierzeniami. Na tym polega niebezpieczeństwo. Zazwyczaj, dzięki wskazówkom i naukom, a także lekowi, który hamuje taką dziewczynę, zdolność dotykania Źródła oraz zdolność korzystania z Mocy pojawiają się razem z umiejętnością kontrolowania własnych czynów. Ty natomiast od razu próbowałaś korzystać z Mocy, nie mając nikogo, kto by cię nauczył, jak kontrolować, co robisz. Ja wiem, że twoim zdaniem wcale nie posunęłaś się zbyt daleko i jest to prawda, ale przypominasz kogoś, kto nauczył się sam wbiegać na wzgórze, nawet nie na wszystkie, tylko niektóre, nie umiając nawet z nich zbiegać albo w ogóle chodzić. Prędzej czy później spadniesz, jeśli nie nauczysz się całej reszty. Nie mówię w tej chwili o tym, co się dzieje z nieszczęsnymi mężczyznami, którzy próbują korzystać z Mocy, ty nie popadniesz w obłęd, nie umrzesz, bo masz przecież siostry, które cię poprowadzą i wyszkolą, ale coż mogłabyś uzyskać całkowicie przypadkiem, bez żadnych intencji?

Mgiełka, która do tej pory zasnuwała oczy Verin, zniknęła na moment. Wydawało się, że Aes Sedai przeniknęła Egwene i Nynaeve swym wzrokiem na wskroś, podobnie jak Amyrlin.

— Twoje wrodzone zdolności są silne, dziecko, a staną się jeszcze silniejsze. Musisz się nauczyć, jak je kontrolować, żeby nie wyrządzić krzywdy sobie albo komuś innemu, nawet bardzo wielu ludziom. Tego właśnie Moiraine próbowała cię nauczyć, ja spróbuję ci w tym pomóc dziś wieczorem i tego będą cię codziennie uczyły inne siostry, dopóki nie oddamy cię w najbardziej umiejętną rękę Sheriam. Ona jest Mistrzynią Nowicjuszek.

„Czy ona wie o Randzie? To niemożliwe. Nigdy nie pozwoliłaby mu opuścić Fal Dara, gdyby coś podejrzewała” — pomyślała Egwene.

Była jednak pewna, że nie wyobraziła sobie tego, co zobaczyła.

— Dziękuję ci, Verin Sedai. Będę się starała.

Nynaeve pośpiesznie podniosła się z miejsca.

— Zostawię was same, pójdę sobie posiedzieć przy ognisku.

— Powinnaś zostać — odparła Verin. — Skorzystałabyś na tym. Z tego, co mówiła Moiraine, wynika, że wystarczy ci odrobina nauk, żeby zostać Przyjętą.

Nynaeve wahała się tylko chwilę, zanim stanowczo potrząsnęła głową.

— Dziękuję za propozycję, ale mogę z tym poczekać, dopóki nie przybędziemy do Tar Valon. Egwene, gdybyś mnie potrzebowała, będę. . .

— Wedle wszelkich oznak — weszła jej w słowo Verin — jesteś dorosłą kobietą, Nynaeve. Zazwyczaj im młodsza jest nowicjuszka, tym większe robi postępy. Niekoniecznie w nauce, lecz dzięki temu, że od nowicjuszki oczekuje się, że będzie zawsze robiła to, co się jej każe, i nie będzie niczego kwestionowała. Przydaje się to zasadniczo tylko wtedy, gdy nauki dochodzą do pewnego momentu. Wahanie w niewłaściwym momencie albo podważanie sensu tego, co ci kazano zrobić, może mieć tragiczne skutki, lepiej więc przez cały czas podporządkowywać się dyscyplinie. Z drugiej jednak strony od Przyjętych oczekuje się, by podważały sens różnych rzeczy, kiedy uzna się już, że wiedzą, jakie i kiedy pytania zadawać. Jak myślisz, co byś wolała?

Dłonie Nynaeve, spoczywające na spódnicy, zacisnęły się, znowu spojrzała w stronę płachty zasłaniającej wejście do namiotu, marszcząc przy tym czoło. W końcu nieznacznie skinęła głową i na powrót usadowiła się na podłodze.

— Myślę, że chyba się przyłączę — oświadczyła.

— Znakomicie — odparła Verin. — Zaczynamy. Ty już znasz tę część, Egwene, ale specjalnie dla Nynaeve przeprowadzę was przez to krok po kroku. Po jakimś czasie to się stanie drugą naturą, będziecie robiły to szybciej, niż pomyślicie, teraz jednak najlepiej działać powoli. Zamknijcie, proszę, oczy. Na początku to lepiej wychodzi, jak nic nie rozprasza uwagi.

Egwene zamknęła oczy. Nastąpiła chwila milczenia.

— Nynaeve — powiedziała Verin — proszę, zamknij oczy, naprawdę dzięki temu pójdzie lepiej.

Kolejna pauza.

— Dziękuję ci, dziecko. Teraz musicie oczyścić się z wszystkiego. Opróżnijcie umysły. W waszych umysłach znajduje się teraz tylko jedna myśl. Pączek kwiatu. Tylko to. Tylko ten pączek. Widzicie go ze wszystkimi szczegółami. Czujecie jego zapach. Czujecie go pod palcami. Każdą żyłkę każdego liścia, każdą krzywą każdego płatką. Czujecie, jak pulsuje w nim sok. Czujecie go. Znacicie go. Jesteście nim. Wy i ten pączek to jedno. Jesteście jednością. Jesteście tym pączkiem.

Jej głos wibrował hipnotycznie, Egwene jednak przestała go słyszeć, wcześniej wykonywała bowiem to ćwiczenie razem z Moiraine. Robiło się jej powoli, ale Moiraine wytłumaczyła, że wraz z doświadczeniem będzie szło coraz szybciej. Wewnętrznie stała się pączkiem róży, z ciasno zwiniętymi, czerwonymi płatkami. I nagle pojawiło się tam jeszcze coś innego. Światło. Światło napierające na płatki. Płatki powoli rozchylały się, zwracając ku światłu, wchłaniając światło. Róża i światło stały się jednym. Czują przesączający się do niej cieniutki strumyczek. Garnęła się do niego, chcąc więcej, dążyła do niego, pragnąc więcej. . .

W mgnieniu oka wszystko zniknęło, róża i światło. Moiraine również uprzedziła, że tego nie można robić na siłę. Westchnęła i otworzyła oczy. Nynaeve miała ponury wyraz twarzy. Verin była spokojna jak zawsze.

— Nie możesz sprawić, żeby to się stało — mówiła Aes Sedai. — Musisz pozwolić, żeby to się stało. Musisz się poddać Mocy, zanim uzyskasz nad nią kontrolę.

— To istna głupota — burknęła Nynaeve. — Wcale się nie czuję jak kwiat. Jeśli już mam się jakoś czuć, to czuję się jak krzew tarniny. Chyba jednak poczekam przy ognisku.

— Jak sobie życzysz — odparła Verin. — Czy ja już wspominałam, że nowicjuszeki są obowiązane wykonywać codzienne posługi? Zmywają statki, szorują podłogi, piorą, usługują przy stole, wszystkie tego typu rzeczy. Ja osobiście myślę, że służące bardziej się nadają do takich zadań, ale na ogół uważa się, że takie prace kształtują charakter. Och, jednak zostajesz? Znakomicie. No cóż, dziecko, przypomnij sobie, że i tarnina kwitnie czasem, przypomnij sobie, jak pięknie wyglądają jej białe kwiatki wśród cierni. Spróbujemy jeszcze raz. Od samego początku, Egwene. Zamknij oczy.

Kilkakrotnie, zanim wreszcie Verin odeszła, Egwene czuła, jak przepływa przez nią Moc, ani razu jednak ten strumień nie był silny, udało jej się jedynie spowodować, że powietrze zadrgało, lekko unosząc płachtę zasłaniającą wejście do namiotu. Była przekonana, że więcej by osiągnęła kichając. Lepiej jej szło przy Moiraine, czasami przynajmniej. Żałowała, że to nie Moiraine ją teraz uczy.

Nynaeve nie poczuła nawet jednego błysku, w każdym razie tak twierdziła. Pod koniec ćwiczeń oczy miała tak skupione, a usta tak zaciśnięte, że Egwene bała się, czy przypadkiem zaraz nie zwymyśla Verin, jakby Aes Sedai była wieśniaczką atakującą jej prywatność. Jednak Verin powiedziała jej tylko, że ma jeszcze raz zamknąć oczy, tym razem bez towarzystwa Egwene.

Egwene siedziała, popatrywała na obydwie w przerwach między ziewnięciami. Zrobiła się późna noc, normalnie już dawno układałyby się do snu. Nynaeve miała twarz tygodniowego trupa, zaciskała powieki tak silnie, jakby ich nigdy nie miała otworzyć, a pięści ułożone na podolku połyskiwały białymi kłykciami. Egwene miała nadzieję, że Wiedząca nie straci panowania nad sobą, skoro już tak długo trzymała się w ryzach.

— Poczuj w sobie przepływ — mówiła jej Verin. Jej głos nie uległ zmianie, lecz nagle w oczach pojawił się błysk. — Poczuj przepływ. Przepływ Mocy. Niech to przypomina bryzę, lekkie poruszenie powietrza.

Egwene usiadła wyprostowana. Kiedy Verin udzielała jej wskazówek, rzeczywiście przepływała przez nią Moc.

— Lekka bryza, najłżejsze drgnienie powietrza. Łagodne.

Nagle koce ułożone na stosie buchnęły płomieniami niczym drewno na podpałkę.

Nynaeve głośno krzyknęła i otworzyła oczy. Egwene nawet nie zauważyła, czy sama krzyknęła. Wiedziała tylko, że stoi i usiłuje kopniakiem wyrzucić płonące koce na zewnątrz, zanim cały namiot zajmie się ogniem. Zanim kopnęła po raz drugi, płomienie zniknęły, a ze zwęglonej masy unosiły się skrzycone smużki dymu i zapach spalonej wełny.

— No tak — powiedziała Verin. — No tak. Nie spodziewałam się, że będę musiała gasić ogień. Nie mdlej, dziecko. Już wszystko dobrze. Ja się tym zajmę.

— Ja... ja się zezłościłam — mówiła Nynaeve drżącymi wargami; cała krew uciekła z jej twarzy. — Mówiłaś mi o bryzie, mówiłaś, co mam robić i ogień zwyczajnie wskoczył mi do głowy. Ja... ja nie chciałam niczego spalić. To był tylko niewielki ogień w... w mojej głowie. — Przeszył ją dreszcz.

— Domyślałam się, że to był niewielki ogień. — Verin wybuchnęła śmiechem, ale zaraz umilkła, gdy jeszcze raz zerknęła na twarz Nynaeve. — Dobrze się czujesz, dziecko? Jeśli się czujesz chora, to mogę...

Nynaeve zaprzeczyła, Verin pokiwała głową.

— Potrzebny ci odpoczynek. Obydwie go potrzebujecie. Zmuszałam was do zbyt ciężkiej pracy. Musicie odpocząć. Amyrlin każe wszystkim wstać i ruszyć w drogę jeszcze przed pierwszym brzaskiem. — Wstała i rozgarnęła zwęglone koce. — Każę wam przysłać kilka nowych. Mam nadzieję, że to zdarzenie dowiodło, jak ważne jest zachowanie kontroli. Musicie się nauczyć robić to, co — zamierzałyście i nic więcej. Nie dość, że można zrobić komuś krzywdę, to nadto nie podołać ilości zaczerpniętej Mocy. Na razie nie jesteście w stanie radzić sobie z dużą ilością, ale będzie jej przybywało coraz więcej. Jeśli więc zaczerpniecie za dużo, ona was zniszczy. Możecie nawet umrzeć. Albo wypalić się, zmarnować wszystkie zdolności, jakimi dysponujecie. — Po czym, jakby im właśnie nie powiedziała, że spacerują po krawędzi noża, dodała pogodnie: — Śpijcie dobrze! — I z tymi słowami wyszła z namiotu.

Egwene objęła Nynaeve ramionami i mocno ją przytuliła.

— Wszystko w porządku, Nynaeve. Nie trzeba się bać. Jak już się nauczysz kontrolować...

Nynaeve wybuchnęła ochryplym śmiechem.

— Ja się wcale nie boję. — Zerknęła z ukosa na dymiące koce i zaraz oderwała wzrok. — Trzeba trochę więcej niż niewielkiego ognia, żeby mnie nastraszyć.



Jednak nie spojrziała już ani razu na te koce, nawet kiedy pojawił się Strażnik, żeby je zabrać i wymienić na nowe.

Verin już więcej do nich nie przyszła, zgodnie ze swą obietnicą. W rzeczy samej, w miarę upływu podróży, na południe i zachód, dzień po dniu, tak szybko, jak mogli maszerować piechurzy, Verin nie zwracała na obydwie kobiety więcej uwagi niż Moiraine, niż jakakolwiek Aes Sedai. Aes Sedai nie odnosiły się do nich zasadniczo nieprzyjaźnie, trzymały je raczej na dystans i z rezerwą, jakby cały czas coś absorbowało ich uwagę. Ten chłód zwiększał zakłopotanie Egwene i przypominał wszystkie opowieści, które usłyszała, gdy była dzieckiem.

Opowieści, które jej matka opowiadała o Aes Sedai, zawsze były pełne wymysłów głupich ludzi, jednakże ani jej matka, ani żadna inna kobieta z Pola Emonda nigdy nie widziała żadnej Aes Sedai, dopóki nie przybyła tam Moiraine. Sama Egwene zaś spędziła mnóstwo czasu z Moiraine, która stanowiła żywy dowód na to, że nie wszystkie Aes Sedai są takie, jak się o nich opowiada. Chłodne manipularki i bezlitosne niszczycielki. Sprawczynie Pęknięcia Świata. Teraz przynajmniej wiedziała, że Pęknięcie Świata spowodowali mężczyźni Aes Sedai, kiedy jeszcze istnieli, w Wieku Legend, ale to nie bardzo pomagało. Nie wszystkie Aes Sedai były zgodne ze swymi wizerunkami z opowieści, ale ile takich było i które?

Aes Sedai, które co wieczór przychodziły do ich namiotu, tak się różniły, że myśli wcale nie dawały się uporządkować. Alviarin była chłodna i rzeczowa, niczym kupiec zajmujący się handlem wełną i tytoniem, zdziwiona, że Nynaeve też uczestniczy w lekcji, udzieliła jej jednak zgody; nie szczędziła słów krytyki, lecz zawsze była gotowa spróbować raz jeszcze. Alanna Mosvani dużo się śmiała i tyle samo czasu spędziła na opowiadaniu o świecie i mężczyznach, co na nauce. Mocno interesowała się Randem, Perrinem i Matem, co Egwene bardzo dodało otuchy. Szczególnie to zainteresowanie Randem. Najgorsza była Liandrin, jedyna, która nosiła szal, pozostałe pochowały swe szale jeszcze przed wyjazdem z Fal Dara. Liandrin cały czas skubała czerwone frędzle, nauczyła mało, okazując przy tym niechęć. Zarzuciła Egwene i Nynaeve pytaniami, jakby one były oskarżone o jakieś przestępstwo, a wszystkie pytania dotyczyły trzech chłopców. Nie przestawała pytać, dopóki Nynaeve nie kazała jej się wynosić — Egwene nie była pewna, dlaczego Nynaeve to zrobiła — i wtedy wyszła, udzielając im przedtem ostrzeżenia:

— Strzeżcie się, córki. Nie jesteście już w swojej wiosce. Zanurzyłyście stopy w czymś, w czym żyją stwory mogące was pokąsać.

Kolumna dotarła wreszcie do wioski o nazwie Medo, położonej na brzegu rzeki Mora, która biegła wzdłuż granicy Shienaru i Arafel, a dalej wpadała do Erinin.

Egwene była przekonana, że to pytania Aes Sedai odnośnie do Randa sprawiły, iż zaczęła o nim snuć i zamartwiać się o niego, o to, czy poszukiwania Rogu Valere nie zawiodły na Ugór. Te sny były zawsze złe, przy czym na samym po-

czątku przypominały zwykle koszmary, ale tamtej nocy, kiedy dotarli do Medo, coś się w nich zmieniło.

— Przepraszam, Aes Sedai — spytała zuchwale Egwene — czy widziałaś może Moiraine Sedai?

Szczupła Aes Sedai pomachała jej w odpowiedzi ręką i pośpiesznie odeszła zatłoczoną, oświetloną pochodniami wiejską ulicą, wołając do kogoś, żeby uważał na jej konia. Kobieta należała do Żółtych Ajah, mimo że nie miała na sobie szala, Egwene nic więcej o niej nie wiedziała, nie znała nawet jej imienia.

Medo było małą wioską — Egwene przeżyła szok, gdy sobie uświadomiła, że wioska, którą uważa za „małą”, jest równie duża jak Pole Emonda — i obecnie wypełniało ją więcej przybyszów z obcych stron niż rdzennych mieszkańców. Na wąskich uliczkach tłoczyły się konie i ludzie przepychający się do przystani przez tłum wieśniaków, którzy klękali za każdym razem, gdy mijała ich szybkim krokiem jakaś nie dostrzegająca ich Aes Sedai. Całą scenę oświetlały jaskrawo płonące pochodnie. Dwie przystanie wbijały się w rzekę Mora niczym kamienne palce, przy każdej stały dwa niewielkie dwumasztowce. Stamtąd przenoszono na pokłady konie, za pomocą powrozów zawieszonych na bomach i płóciennych kołysek umocowanych na ich brzuchach. Więcej statków — z wysokimi burkami, solidnie zbudowanych, z latarniami na szczytach masztów — tłoczyło się na zalanej promieniami księżyca rzece, już załadowanych albo czekających na swoją kolej. Łodzie wiosłowe zabierały łuczników i pikinierów, dzięki uniesionym pikom przypominały ogromne jeże unoszące się na powierzchni wody.

Na przystani, po lewej stronie, Egwene znalazła Anaię, obserwującą przebieg ładowania i poganiającą tych, którzy nie poruszali się dostatecznie szybko. Mimo że nigdy nie wypowiedziała do Egwene nawet dwóch słów, wiedziała, że Anaiya odróżnia się od pozostałych, bardziej przypomina kobiety z rodzinnej wioski. Egwene potrafiła ją sobie wyobrazić w kuchni, jak piecze chleb, inne nie jawiły się jej w taki sposób.

— Anaiya Sedai, czy widziałaś może Moiraine Sedai? Muszę z nią porozmawiać.

Aes Sedai rozejrzała się, z marsem roztargnienia na czole.

— Co? Ach to ty, dziecko. Moiraine tu nie ma. A twoja przyjaciółka, Nynaeve, jest już na „Królowej rzeki”. Musiałam ją sama wrzucić na pokład, cały czas krzyczała, że nie odpłynie bez ciebie. Światłości, co za awantura! Sama już powinnaś być na pokładzie. Znajdź jakąś łódkę, która płynie w ślad za „Królową rzeki”. Obydwie macie płynąć razem z Zasiadającą na Tronie Amyrlin, więc zachowuj się należycie, jak już się znajdziesz na statku. Bez jakichś scen albo kłótni.

— Na którym statku płynie Moiraine Sedai?

— Moiraine nie wsiadła na żaden statek, dziewczyno. Ona odjechała, dwa dni temu, Amyrlin przejęła jej obowiązki. — Anaiya skrzywiła się i potrząsnęła głową, jakkolwiek większość jej uwagi była nadal skupiona na ludziach pracujących

na przystani. — Najpierw Moiraine znika razem z Lanem, potem Liandrin rusza w ślad za piętami Moiraine, a zaraz potem Verin, przy czym żadna nie raczy powiedzieć nikomu ni słowa. Verin nawet nie zabrała swojego Strażnika, Tomas już obgryza paznokcie ze zmartwienia.

Aes Sedai zadarła głowę i spojrzała na niebo. Nie osłonięta chmurami woskowa tarcza księżycy rzucała jasny blask.

— Znowu będziemy musiały wezwać wiatr i to też wcale nie ucieszy Amyrlin. Mówi, że chce, abyśmy dotarli w godzinę do Tar Valon i nie ścierpi żadnej zwłoki. Nie chciałabym być na miejscu Moiraine, Liandrin albo Verin, gdy Amyrlin znowu je zobaczy. Pożalają, że nie są już nowicjuzkami. A czemu pytasz dziecko, o co ci chodzi?

Egwene wciągnęła głęboki wdech.

„Moiraine odjechała? To niemożliwe! Muszę to komuś powiedzieć, komuś, kto mnie nie wyśmiej”.

Wyobraziła sobie Anaię w Polu Emonda, jak wysłuchuje swą córkę, która jej się zwierza z kłopotów, Anayia pasowała do takiego wizerunku.

— Anayia Sedai, Rand ma kłopoty.

Anayia zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

— Ten wysoki chłopiec z twojej wioski? Pewnie już za nim tęsknisz, prawda? Cóż, nie byłabym zdziwiona, gdyby popadł w tarapaty. Tak się często dzieje z młodymi ludźmi w jego wieku. Mimo że to ten drugi... Mat?... wyglądał bardziej na takiego, który doprasza się kłopotów. Nie bój się, dziecko. Nie mam zamiaru śmiać się z ciebie ani też cię lekceważyć. Jakie on ma kłopoty i skąd ty o nich wiesz? On i lord Ingtar znaleźli już pewnie Róg i wrócili do Fal Dara. Bo inaczej musieliby zapuścić się po niego do Ugoru, a wtedy nic by się nie dało dla nich zrobić.

— Ja... moim zdaniem oni nie są ani w Ugorze, ani w Fal Dara. Miałam sen. — Powiedziała to częściowo wyzywającym tonem. Czowała, że to co mówi, brzmi głupio, ale ten sen wydawał się taki rzeczywisty. Niby koszmar senny, a taki realny. Najpierw pojawił się w nim jakiś człowiek z maską na twarzy i ogniem zamiast oczu. Mimo tej maski odniosła wrażenie, że jest zaskoczony jej widokiem. Przerazona jego wyglądem, czuła, że kości zaraz jej popękają od targającego nimi dygotania, nagle jednak zniknął i wtedy zobaczyła Randa, spał na ziemi, otulony w swój płaszcz. Stała nad nim jakaś kobieta i przypatrywała mu się. Jej twarz była ukryta w cieniu, lecz oczy zdawały się błyszczeć jak księżyc, a Egwene wiedziała, że w tej kobiecie kryje się zło. Błysnęło światło i wtedy zniknęli. Obydwoje. A w tle, zupełnie jak jakiś materialny przedmiot, czuło się niebezpieczeństwo, jakby sidła miały zaraz pochwycić nic nie podejrzewającą owcę, pułapka z mnóstwem szczęk. Koszmar nie zbladł wraz z przebudzeniem, tak jak to na ogół bywa ze snami. A niebezpieczeństwo wydawało się tak silne, że miała ochotę obejrzeć się przez ramię — ale z jakiegoś powodu przeczuwała, że ono czyha na Randa,

nie na nią.

Zastanawiała się, czy ta kobieta to Moiraine i zbeształa się za taką myśl. Lian-drin bardziej pasowała do tej roli. Albo może Alanna, ona też się interesowała Randem.

Jakoś nie potrafiła opowiedzieć o wszystkim Anayi.

— Anayia Sedai — zaczęła zgodnie z etykietą — wiem, że to brzmi głupio, ale on się znalazł w niebezpieczeństwie. Wielkim niebezpieczeństwie. Jestem o tym przekonana. Czuję to. Nawet teraz.

Anayia wyraźnie się nad czymś zastanawiała.

— No cóż — odparła cichym głosem — istnieje możliwość, której nikt do-  
tąd nie brał w rachubę, lecz ja zaryzykuję takie stwierdzenie. Możesz być Śniącą.  
Szansa na to jest niewielka, dziecko, ale... Nie miałyśmy w swoich szeregach  
żadnej Śniącej od... czterystu albo i pięciuset lat. A ten dar jest blisko związany  
z głosem Przepowiedni. Jeśli naprawdę potrafisz Śnić, to być może również  
potrafisz głosić Przepowiednie. Coś takiego to palec w oczy Czerwonych. Natu-  
ralnie mógł ci się przyśnić zwykły koszmar, spowodowany późną porą i zimną  
strawą, a poza tym nasza podróż jest wyczerpująca od chwili, gdy opuściliśmy  
Fal Dara. No i ty tęsknisz za tym młodym człowiekiem. To powód znacznie bar-  
dziej prawdopodobny. Tak, tak, dziecko, ja to wiem. Martwisz się o niego. Czy  
w swoim śnie widziałaś znaki wskazujące, jaki to rodzaj niebezpieczeństwa?

Egwene potrząsnęła głową.

— On po prostu zniknął, a ja poczułam niebezpieczeństwo. I zło. Czuję je,  
jeszcze zanim zniknął. — Zadrżała i roztarła ręce. — Nadal je czuję.

— Cóż, porozmawiamy o tym jeszcze na pokładzie „Królowej rzeki”. Jeśli  
jesteś Śniącą, dopilnuję, byś otrzymała nauki, jakich Moiraine powinna ci udzie-  
lić, gdyby tu... Hej wy tam! — krzyknęła Aes Sedai tak nagle, że Egwene aż  
podskoczyła. Wysoki mężczyzna, który właśnie przysiadł na kadzi z winem, też  
podskoczył. Kilku innych przyśpieszyło kroku. — To czeka na załadunek i nie  
służy do siedzenia! Porozmawiamy o tym na łodzi, dziecko. Nie, ty głupcze! Sam  
tego nie udźwigniesz! Chcesz sobie coś zrobić?

Anayia zeszła z przystani, ukazując nieszczęsnym wieśniakom jeszcze bar-  
dziej nieokrzesaną stronę swego języka, o którą Egwene nigdy by jej nie podej-  
rzewała.

Egwene wyteżyła oczy, patrząc w stronę skrytego w mroku południa. On tam  
gdzieś był. Nie w Fal Dara, nie na Ugorze. Była pewna.

„Uważaj na siebie, ty idioto z kłębem wełny zamiast rozumu. Jeśli dasz się  
zabić, zanim ja cię z tego wyciągnę, to obedrę cię żywcem ze skóry”.

Nie przyszło jej do głowy, by zadać sobie pytanie, w jaki sposób ona go z cze-  
goś wyciągnie, skoro właśnie znajdowała się w drodze do Tar Valon.

Otuliła się szczelniej płaszczem i wyruszyła na poszukiwanie łódki płynącej  
do „Królowej rzeki”.

## OD KAMIENIA DO KAMIENIA

Obudzony blaskiem wschodzącego słońca, Rand zastanawiał się, czy przypadkiem nadal nie śni. Siadał powoli, wytrzeszczając oczy. Wszystko się zmieniło albo prawie wszystko. Słońce i niebo wyglądały tak, jak się spodziewał, mimo że nieco blade, nie przesłonięte żadną chmurą. Loial i Hurin leżeli obok niego, otuleni w płaszcze i nadal pogrążeni we śnie, a ich konie wciąż stały spętane o krok od nich, jednak cała reszta zniknęła. Żołnierze, konie, przyjaciele, wszyscy i wszystko zniknęło.

Sama kotlina też uległa przeobrażeniu, znajdowali się teraz w samym jej środku, a nie na skraju. Obok głowy Randa wznosił się walec z szarego kamienia wysoki na trzy pięćdziesiąt, o szerokości pełnego kroku, pokrywały go setki, a może tysiące głęboko wyrytych figur i znaków w języku, którego nie znał. Dno kotliny było wybrukowane białym kamieniem, płaskie i równe jak posadzka, wypolerowane do takiej gładkości, że nieledwie lśniło. Do skraju prowadziły szerokie, wysokie stopnie, ułożone w koncentrycznych pierścieniach o różnych barwach. Natomiast drzewa otaczające kotlinę były poczerniałe i powykręcane, jakby stratowane przez huragan ognia. Wszystko wydawało się bledsze niż powinno, podobnie jak słońce, bardziej przygaszone, jakby widziane poprzez mgłę. Tyle że żadnej mgły nie było. Tylko oni trzej i konie sprawiali wrażenie czegoś naprawdę materialnego. Kiedy jednak dotknął kamienia, na którym leżał, też odniósł wrażenie, że jest on materialny.

Wyciągnął rękę, zaczął szarpać Loiala i Hurina.

— Obudźcie się! Obudźcie się i powiedzcie, czy ja śnię. Błagam, obudźcie się!

— Czy to już rano? — spytał Loial, usiadł i w tym momencie rozdziawił usta, a jego duże, okrągłe oczy zrobiły się jeszcze większe.

Hurin przebudził się nerwowo, po czym poderwał się na równe nogi i zaczął skakać niczym pchła po rozpalonym kamieniu, rozglądając się to w jedną, to w drugą stronę.

— Gdzie my jesteśmy? Co się stało? Gdzie są wszyscy? Gdzie my jesteśmy, lordzie Rand? — Padł na kolana, załamując ręce, nie przestając wodzić rozszałymi wzrokiem dookoła siebie. — Co się stało?

— Nie wiem — wolno odparł Rand. — Miałem nadzieję, że to sen, ale... Może to jest sen.

Miewał już sny, które nie były snami, zupełnie jednak nie pragnął ani śnić ich powtórnie, ani też pamiętać. Wstał nieufnie. Wszystko zostało tak, jak było.

— Chyba jednak nie — oświadczył Loial. Przypatrywał się uważnie kolumnie, bynajmniej nie uszczęśliwiony. Długie brwi opadły mu na policzki, a porośnięte kępami włosów uszy przypominały zwiędłe rośliny. — To chyba ten sam kamień, obok którego ułożyliśmy się wczoraj do snu. Wydaje mi się, że wiem już, co to jest.

Po raz pierwszy słysząc było, że jest nieszczęśliwy z powodu swej wiedzy.

— To...

„Nie”.

Że to był tamten kamień nie umniejszało szaleństwa tego, co widział wokół siebie, zniknięcia Mata, Perrina i Shienaran, wszystkie zmiany.

„Myślałem, że udało mi się uciec, a to się zaczęło na nowo i już niczego nie mogę nazwać szaleństwem. Chyba że to, co noszę w sobie”.

Popatrzył na Loiala i Hurina. Nie zachowywali się tak, jakby on popadł w obłąd, oni też to wszystko widzieli. Coś w tych stopniach zwróciło jego uwagę: różne barwy, siedem, poczynawszy od błękitnej aż po czerwoną.

— Każdy dla innych Ajah — powiedział.

— Nie, lordzie Rand — jęknął Hurin. — Nie. Aes Sedai by nam tego nie zrobiły. Na pewno nie! Ja podążam drogą Światłości!

— Wszyscy nią podążamy, Hurin — powiedział Rand. — Aes Sedai nie zrobią ci nic złego.

„Chyba że staniesz im na drodze”.

Czy to może być dziełem Moiraine?

— Loial, twierdzisz, że wiesz, co to za kamień. Cóż to takiego?

— Powiedziałem, że wydaje mi się, że wiem, Rand. Widziałem fragment pewnej starej książki, zaledwie kilka stron; jedna z nich przedstawiała rysunek tego kamienia, tego Kamienia — powtórzył to słowo znacznie dobitniej, by podkreślić jego wagę — albo jakiegoś innego, bardzo podobnego. A podpis głosił: „Od Kamienia do Kamienia biegają nici "jeśli", pomiędzy światami, które mogą być”.

— Co to znaczy, Loial? To nie ma żadnego sensu.

Ogir ze smutkiem potrząsnął swą ogromną głową.

— Widziałem tylko kilka stron. Była tam mowa o tym, że w Wieku Legend Aes Sedai, niektórzy z tych, którzy potrafili podróżować, ci najpotężniejsi, byli w stanie używać tych Kamieni. Nie ma tam jednak mowy o tym, w jaki sposób, aczkolwiek wykoncypowałem, że być może Aes Sedai w jakiś sposób używali tych Kamieni do podróżowania do tych światów. — Zerknął w górę, na spopiełniające drzewa, i natychmiast spuścił wzrok, jakby nie chciał myśleć o tym, co się

znajduje poza skrajem kotliny. — Jednakże nawet jeśli Aes Sedai mogą je wykorzystywać, albo mogli kiedyś, nie ma wśród nas żadnej Aes Sedai, która mogłaby skorzystać z Mocy, więc naprawdę nie wiem, jak to się odbywa.

Rand poczuł, że swędzi go skóra.

„Używane przez Aes Sedai. W Wieku Legend, kiedy żyli jeszcze Aes Sedai mężczyźni”.

Niejasno przypomniał sobie pustkę, która zamykała się wokół niego, gdy zasypiał, przepełniając budzącą niepokój łuną. I przypomniał sobie także tamtą izbę we wsi i światło, po które sięgnął, by uciec.

„Jeśli to była męska połowa Prawdziwego Źródła. . . Nie, to niemożliwe. A jeśli tak? Światłości, cały czas się zastanawiałem, czy uciekać, a to cały czas tkwi w mojej głowie. Może to ja nas tu sprowadziłem?”.

Nie chciał o tym myśleć.

— Światy, które mogą być? Nie rozumiem, Loial.

Ogir wzruszył ramionami, ciężko i z niepokojem.

— Ja też nie, Rand. Większa część tego tekstu brzmiała podobnie. „Gdy kobieta w lewo lub w prawo pobiegnie, czy wtedy Czas rozdzieleniu ulegnie? Czy Koło tka wtedy dwa Wzory? Tysiąc, wraz z każdym obrotem? Tyle, ile jest gwiazd? Czy jeden jest prawdziwy, a pozostałe tylko jego cieniami i odbiciami?” Widzisz sam, to nie było jasne. Głównie pytania, z których większość zdawała przeczyć sobie nawzajem. A poza tym niewiele tego było.

Znowu zaczął przypatrywać się kolumnie, ale miał taką minę, jakby pragnął, by zniknęła.

— Tych kamieni jest rzekomo bardzo wiele, rozproszonych po całym świecie, a być może tak było w przeszłości, nigdy jednak nie słyszałem, by ktoś taki znalazł. Nigdy nie słyszałem, by ktoś w ogóle natrafił na coś podobnego.

— Lordzie Rand? — Hurin już wstał i wyraźnie się uspokoił, jednakże ścisnął swój płaszcz w pasie obiema rękami, sądząc po wyrazie twarzy bardzo pragnął, by go wysłuchano. — Lordzie Rand, sprowadzisz nas z powrotem, prawda? Tam, gdzie jest nasze miejsce? Ja mam żonę, panie mój, i dzieci. Melia już i tak źle przyjmie moją śmierć, a bez ciała, które mogłaby oddać w objęcia matki, smucić się będzie po sam kres swych dni. Rozumiesz, panie mój. Nie mogę jej pozostawić w niewiedzy. Sprowadź nas z powrotem. A gdybym umarł, a ty byś nie mógł jej oddać mego ciała, to powiadom ją, niech choć tyle dostanie.

Pod sam koniec właściwie już o nic nie pytał. Do jego głosu zakradła się nuta pewności.

Rand już otwierał usta, by znowu powtórzyć, że nie jest żadnym lordem, ale zamknął je, nic nie mówiąc. Teraz nie było to na tyle istotne, by o tym wspominać.

„To ty go w to wpakowałeś”.

Bardzo chciał zaprzeczyć, ale wiedział, czym jest, wiedział, że potrafi skorzystać z Mocy, nawet jeśli zawsze wyglądało na to, że to się dzieje po prostu samo.

Loial twierdził, że Aes Sedai używały Kamieni, a to oznaczało przenoszenie Jedynej Mocy. Loial mówił zawsze to, co wiedział, tego można było być pewnym — Ogir nigdy nie kłamał, mówiąc, że coś wie — a nie mieli w pobliżu nikogo innego, kto potrafiłby władać Mocą.

„Ty go w to wpakowałeś, więc musisz go wyciągnąć, Musisz spróbować”.

— Zrobię, co będę mógł, Hurin. — A ponieważ Hurin był Shienaraninem, dodał: — Na mój Dom i honor. Dom pasterza i honor pasterza, ale swymi czynami sprawię, że dorównają domowi i honorowi lorda.

Hurin puścił poły płaszcza. Pewność dotarła nawet do jego oczu. Ukłonił się głęboko.

— To zaszczyt służyć tobie, mój panie.

Rand uczuł napływ wyrzutów sumienia.

„On wierzy, że wróci do domu, bo shienarańscy lordowie zawsze dotrzymują słowa. I co masz zamiar zrobić, lordzie Rand?”

— Tylko bez tego, Hurin. Nie kłaniaj się. Ja nie jestem. . . — Nagle zrozumiał, że już więcej nie powinien przekonywać tego człowieka, że nie jest lordem. Węszyciel nie tracił ducha tylko dzięki swej wierze, nie mógł przecież mu jej odbierać, nie w tej chwili. Nie w tym miejscu.

— Przestań się kłaniać — dokończył niezręcznie.

— Jak sobie życzysz, lordzie Rand. — Uśmiech Huńna był niemal równie szeroki jak tamtego dnia, gdy Rand spotkał go po raz pierwszy.

Rand kaszlnął.

— Tak. No, tak właśnie sobie życzę.

Obydwaj obserwowali go, Loial z ciekawością, Hurin ufnie, obydwoj czekali, co zrobi.

„To ja ich tutaj sprowadziłem. Na pewno ja. Więc muszę ich stąd wydostać. A to oznacza. . .”

Nabrał powietrza do płuc i ruszył po białych kamieniach, w stronę pokrytego symbolami walca. Każdy symbol otaczały cienkie linie pisma, którego nie znał, dziwaczne litery układały się w faliste i spiralne linie, w niektórych miejscach przechodziły z nienacka w nieregularne haczyki i kąty, po czym znowu układały się w szereg. Przynajmniej nie było to pismo trolloków. Niechętnie ułożył dłoń na kolumnie. Jej powierzchnia wyglądała jak suchy, wypolerowany kamień, w dotyku jednak była dziwnie śliska, niczym naoliwiony metal.

Zamknął oczy i uformował płomień. Pustka ogarniała go powoli, opornie. Wiedział, że to jego strach ją blokuje, strach przed tym, na co się poważa. Cały strach, jaki przelewał do pustki, natychmiast restytuował się na nowo.

„Nie umiem tego zrobić. Nie potrafię zaczerpnąć Mocy. Ja nie chcę. Światłości, musi istnieć jakiś inny sposób”.

Zdjęty rozpaczą zmusił swe myśli do znieruchomienia. Czuł paciorki potu spływające mu z czoła po twarzy. Nieugięcie trwał tak dalej, wypychał swoje łęki



do trawiącego je ognia, podsycając go, by stawał się coraz większy. Pustka już również tam była.

Wreszcie sam rdzeń jego istnienia począł się unosić w przestrzeni pustki. Widział światło — *saidin* — nawet z zamkniętymi oczyma, czuł bijące od niego ciepło, otoczyło go, otoczyło wszystko, jednocześnie wszystko tłumiąc. Zamigotało niczym płomyk świecy oglądany przez papier nasączony oliwą. Zjełczałą oliwą. Cuchnącą oliwą.

Sięgnął do niego — nie bardzo wiedział, w jaki sposób do niego sięgnął, ale to był ruch, wyciągnięcie się ku temu światłu, w stronę *saidina* — i nie złapał nic, jakby przebierał rękoma w wodzie. Miał wrażenie, że to zamulony staw, piana unosząca się na powierzchni czystej wody, ale tej wody nie potrafił zagarnąć. Co jakiś czas przeciekała między jego palcami, lecz nie osadzała się na nich ani jedna kropla, tylko gładka piana, od której cierpła mu skóra.

Rozpaczliwie usiłował utworzyć obraz kotliny takiej, jaką była poprzednia, z Ingtarem i lansjerami śpiącymi obok swych koni, z Matem i Perrinem, z Kamieniem zagrzebanym prawie do samego szczytu. Tworzył ten obraz na zewnątrz pustki, przywierając do skorupy, która go otaczała. Usiłował połączyć ten obraz ze światłem, próbował zlać je z sobą. Kotlina wyglądała cały czas tak samo, byli w niej tylko on, Loial i Hurin. Rozbolała go głowa. Razem, z Matem, Perrinem i Shienaranami. Płonący ból w głowie. Razem!

Pustka rozpadła się na tysiąc ostrych jak brzytwa odłamków, tnąc jego umysł.

Dygocząc, zatoczył się w tył, z szeroko rozwartymi oczyma. Miał pokaleczone dłonie od napierania na Kamień, ręce drżały z bólu, żołądek chybotął się na myśl o pokrywającym go plugastwie, a głowa... Usiłował uspokoić oddech. Coś takiego nigdy dotąd się z nim nie działo. Kiedy pustka znikwała, to znikwała jak przekłuta bańka, po prostu znikwała, w oka mgnieniu. Nigdy nie rozpadała się jak rozbite szkło. Głowę miał odrętwiałą, jakby te tysiąc cięć zadano jej tak szybko, że ból jeszcze nie zdążył nadejść. Niemniej jednak każda rana wydawała się tak realna, jak zadana nożem. Dotknął skroni i zdziwił się, nie zobaczywszy krwi na palcach.

Hurin nadal mu się przypatrywał, nadal mu ufał. Węszyciel wręcz wydawał się z każdą chwilą nabierać coraz więcej pewności. Lord Rand coś robił. Do tego właśnie służą lordowie. Chronią ziemię i ludzi swym ciałem i życiem, a kiedy dzieje się coś złego, oni to naprawiają i pilnują, by zatriumfowała uczciwość i sprawiedliwość. Dopóki Rand coś robił, cokolwiek, Hurin nie mógł stracić wiary, że wszystko skończy się dobrze. Tak właśnie postępowali lordowie.

Loial miał nieco inne spojrzenie, marszczył się z lekkim zdziwieniem, lecz również wbił oczy w Randa. Rand bardzo był ciekaw, o czym on teraz myśli.

— Warto było spróbować — zapewnił ich. „Światłości! Zapach zjełczałej oliwy jest we mnie! Ja nie chcę, żeby on był we mnie!” — Zapach wolno się rozwiewał, wciąż jednak miał uczucie, że zaraz zacznie wymiotować. — Za kilka chwil

znowu spróbuję.

Miał nadzieję, że jego głos brzmi pewnie. Nie miał pojęcia, jak działają takie Kamienie, czy to co robi, ma jakieś szanse powodzenia.

„Może obowiązują jakieś zasady obchodzenia się z nimi. Może trzeba zrobić coś specjalnego. Światłości, może nie da się użyć tego samego kamienia dwa razy, albo...”

Przerwał te rozmyślania. I tak na nic się nie zdawały. Musiał to zrobić. Patrzył na Loiala i Hurina i przyszło mu do głowy, że teraz rozumie, o co chodziło Lanowi, gdy mówił, że obowiązek napiera na człowieka jak góra.

— Panie mój, myślę... — Hurin zawiesił głos, przez chwilę wyraźnie zakłopotany. — Lordzie Rand, a może by tak poszukać jakichś Sprzymierzeńców Ciemności, można by zmusić kogoś, żeby nam wyjawiał, jak się wraca.

— Zapytałbym Sprzymierzeńca Ciemności albo nawet samego Czarnego, gdybym wierzył, że otrzymam prawdziwą odpowiedź — odparł Rand. — Ale tylko my tu jesteśmy. Tylko my trzej.

„Tylko ja. Ja jestem jedyny, który musi to zrobić.”

— Moglibyśmy podążyć ich śladem, panie mój. Gdyby udało się nam ich złapać...

Rand zagapił się na wężyciela.

— Wciąż czujesz ich zapach?

— A czuję, mój panie. — Hurin zmarszczył brew. — Ślad jest słaby, jakby wyblakły, tak jak wszystko tutaj, ale nadal go czuję. Tu, od tego miejsca. — Wskazał brzeg kotliny. — Nie rozumiem, mój panie, ale... Ostatniej nocy przysięgłbym, że ślad zawraca w stronę kotliny, do tego miejsca, w którym byliśmy. Cóż, teraz to też jest to samo miejsce, tylko ślad jest słabszy, jak powiedziałem. Nie stary, ale słabszy, jak... nie wiem nic, lordzie Rand, tylko tyle, że on tu jest.

Rand zaczął się zastanawiać. Jeśli byli tu Fain i Sprzymierzeńcy Ciemności, to być może wiedzieli, jak stąd wrócić. Na pewno, skoro wiedzieli, jak tu dotrzeć. A poza tym oni mieli Róg i sztylet. Mat musiał dostać ten sztylet. Z tego przede wszystkim powodu trzeba ich było odnaleźć. Ze wstydem musiał jednak przyznać, że zdecydował tu jego lęk przed ponowną próbą. Że bał się przenosić Moc. Mniej się bał spotkania ze Sprzymierzeńcami Ciemności i trollkami, mając do pomocy tylko Hurina i Loiala, niż tego.

— No to pójdziemy za Sprzymierzeńcami Ciemności. — Usiłował mówić pewnym głosem, tak jakby to zrobił Lan albo Ingтар. — Trzeba odzyskać Róg. Jeśli nawet nie wymyślimy sposobu, jak go odebrać, to przynajmniej będziemy wiedzieli, gdzie oni są, gdy znowu odnajdziemy Ingтар.

„Żeby tylko mnie nie pytali, w jaki sposób go odnajdziemy”.

— Hurin, upewnij się, czy to aby na pewno jest ten trop, za którym winniśmy pójść.

Węszyciel wskoczył na siodło, wiedziony pragnieniem zrobienia czegokolwiek, być może pragnieniem wydostania się z kotliny, kazał swemu koniowi wdrapać się po szerokich, kolorowych stopniach. Podkowy zwierzęcia zadźwięczały głośno na kamieniach, nie zostawiając jednak na nich ani jednego śladu.

Rand spakował powróż, którym spętany był Rudy, do toreb przy siodle — sztandar wciąż tam był, mimo że nie zmartwiłby się, gdyby się okazało, że zostawił go za sobą — po czym zgarnął łuk, kołczan i wspiął się na grzbiet ogiera. Tobałek z płaszcza Thoma Merrilina tworzył niewielki kopczyk za siodłem.

Loial podprowadził do niego swego wielkiego wierzchowca, z ziemi Ogira sięgał głową nieomal do ramienia

Randa siedzącego w siodle. Nadal wyglądał na zaskoczonego.

— Myślisz, że powinniśmy tutaj zostać? — spytał Rand. — Jeszcze raz spróbować użyć Kamienia? Jeśli Sprzymierzeńcy Ciemności są tutaj, na swoim miejscu, to musimy ich odszukać. Nie możemy zostawić Rogu Valere w rękach Sprzymierzeńców Ciemności, słyszałeś, co mówiła Amyrlin. Musimy także odzyskać sztylet. Mat bez niego umrze.

Loial skinął głową.

— Tak Rand, to prawda. Tylko, Rand, te Kamienie. . .

— Znajdziemy inny. Sam mówiłeś, że one są rozproszone i jeśli wszystkie wyglądają z zewnątrz tak samo jak ten, wówczas nietrudno chyba znaleźć inny.

— Rand, ten fragment księgi mówił, że Kamienie pochodzą z wcześniejszego Wiek niż Wiek Legend i że nawet Aes Sedai nie znały się na nich w tamtych czasach, mimo że korzystały z nich najpotężniejsze. One ich używały z pomocą Jedynej Mocy, Rand. Jak twoim zdaniem możemy użyć tego Kamienia, żeby nas przeniósł z powrotem? Albo jakiegoś innego Kamienia, który znajdziemy?

Przez chwilę Rand potrafił się tylko zagapić na Ogira, pracując umysłem szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

— Jeśli one są starsze niż Wiek Legend, to może ludzie, którzy z nich korzystali, nie używali Mocy. Musi istnieć jakiś sposób. Sprzymierzeńcy Ciemności dotarli w to miejsce, a oni z pewnością nie używają Mocy. Ja znajdę ten sposób, niezależnie od tego, jaki on jest. Sprowadzę nas z powrotem, Loial.

Popatrzył na wysoką kamienną kolumnę, pokrytą dziwaczными znakami i poczuł ukłucie strachu.

„Światłości, żebym tylko nie musiał używać Mocy, aby tego dokonać”.

— Zrobię to, Loial, obiecuję. W taki czy inny sposób.

Ogir skinął głową, wyraźnie powątpiewając. Wskoczył na swego ogromnego konia i w ślad za Randem wjechał po stopniach na górę, by przyłączyć się do Hurina skrytego wśród poczerńniętych drzew.

Teren przed nimi opadał w dół, lekko pofalowany, rzadko zalesiony, gdzieś tam porośnięty trawą czy przecięty strumieniem. W połowie drogi do horyzontu

Randowi wydało się, że widzi jeszcze jedną plamę spalenizny. Była zupełnie biała, wszystkie kolory wyblakły. W oczy nie rzucały się żadne ludzkie ślady z wyjątkiem kamiennego kręgu, który pozostawili za sobą. Niebo było zupełnie puste, żadnego dymu z komina, ptaków, tylko kilka chmur i bladożółte słońce.

Najgorsze jednak było to, że cały teren wydawał się niejako wykręcać oko. Normalnie wyglądało wszystko, co znajdowało się w najbliższym zasięgu, a także to, co było w oddali, lecz na linii wzroku. Natomiast wystarczyło obrócić głowę, by spojrzeć na to, co się widziało kątem oka, i zaraz ten widok zaczynał pędzić, by znaleźć się jak najbliżej, gdy go będą oglądać wprost. Zjawisko to wywoływało potworne zawroty głowy, nawet konie rżały nerwowo i wywracały oczami. Rand usiłował ruszać głową jak najwolniej, trochę to pomagało, mimo że wszystko to, co powinno tkwić nieruchomo, nadal wyraźnie się poruszało.

— Czy we fragmencie księgi była o tym jakaś wzmianka? — spytał Rand.

Loial pokręcił głową, a potem przełknął ślinę, jakby pożałował, że nią poruszył.

— Nic.

— Domyślam się, że nie o to w niej szło. Którędy teraz, Hurin?

— Na południe, lordzie Rand. — Węszyciel nie odrywał wzroku od ziemi.

— No to na południe.

„Musi istnieć jakaś droga powrotna, nie wymagająca używania Mocy”.

Rand uderzył piętami w boki Rudego. Usiłował mówić beztróskim głosem, jakby nie spodziewał się żadnych kłopotów w najbliższej przyszłości.

— Co takiego mówił Ingtar? Trzy albo cztery dni jazdy do pomnika Artura Hawkinga? Ciekaw jestem, czy on też tu istnieje, tak jak te Kamienie. Jeśli to jest świat, który mógłby istnieć, to może on tam ciągle jeszcze stoi. Warto byłoby go zobaczyć, prawda Loial?

Pojechali na południe.

# WILCZY BRAT

— Zniknęli? — zawołał z góry Ingtar. — A moi strażnicy nic nie widzieli. Nic! Oni nie mogli tak po prostu zniknąć.

Słuchając go, Perrin kulił ramiona i patrzył na Mata, który stał nieco dalej, marszcząc się i coś do siebie mrużąc. Wyglądał, jakby sprzeczał się z sobą. Słońce wyzierało znad horyzontu, dawno już minęła pora, gdy trzeba było ruszyć w drogę. Na kotlinę padały długie cienie, wyciągały się i rzedły, lecz nadal kształtem przypominały drzewa, które je rzucały. Juczne konie, obładowane, połączone już powrozem, stukały niecierpliwie kopytami, wszyscy jednak stali przy swoich wierzchowcach i czekali.

Nadszedł wielkimi krokami Uno.

— Ani jednego śladu, kozioł ich lizał, panie mój. — Mówił urażonym głosem, porażka stawiała jego umiejętności pod znakiem zapytania. — Niech szczenę, ani cholernego drapnięcia kopytem. Zniknęli, jakby ich piorun strzelił.

— Trzech ludzi i trzy konie nie mogą zniknąć ot tak po prostu — warknął Ingtar. — Sprawdź jeszcze raz teren, Uno. Jeśli ktoś może się wywiedzieć, w którą stronę poszli, to tylko ty.

— Może zwyczajnie uciekli — odpowiedział Mat.

Uno zatrzymał się i spiorunował go wzrokiem.

„Jakby przeklął Aes Sedai” — pomyślał z niedowierzaniem Perrin.

— Po co mieliby uciekać? — Głos Ingtara zabrzmiał niebezpiecznie spokojnie. — Rand, Budowniczy, mój wężyciel... mój wężyciel!... po co któryś z nich miałby uciekać, a tym bardziej wszyscy trzej?

Mat wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Rand był...

Perrin miał ochotę czymś w niego rzucić, uderzyć go, zrobić cokolwiek, żeby go uciszyć, ale patrzyli na nich Ingtar i Uno. Poczuli, jak zalewa go ulga, gdy Mat zawahał się, po czym rozłożył ręce i burknął:

— Nie wiem, dlaczego. Tak mi się po prostu pomyślało.

Ingtar skrzywił się.

— Uciekli — warknął, jakby w to nie wierzył ani przez chwilę. — Budowniczy może sobie jechać, gdzie chce, ale Hurin nie mógł tak zwyczajnie uciec. Tak

samo Rand al'Thor. Nie zrobiłby tego, on zna swoje powinności. Ruszaj, Uno. Przeszukaj jeszcze raz teren.

Uno wykonał pół ukłonu i odszedł pośpiesznie, rękojeść miecza chybotła się nad jego plecami.

— Z jakiego powodu Hurin miałby odchodzić tak bez słowa, w samym środku nocy? — zrzędził Ingtar. — Wie przecież, co jest naszym celem. Jak ja mam wpaść na trop tego plugawego pomiotu Cienia bez niego? Dałbym tysiąc złotych koron za stado gończych psów. Gdyby mi nie stało rozumu w głowie, powiedziałbym, że to sprawka Sprzymierzeńców Ciemności, którzy dzięki temu mogliby się prześlizgnąć na wschód albo zachód bez mojej wiedzy. Pokój, już sam nie wiem, czy mi dostaje rozumu.

Sztywnymi krokami ruszył w ślad za Uno.

Perrin niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Sprzymierzeńcy Ciemności bez wątpienia z każdą chwilą oddalali się coraz bardziej. Coraz dalej od nich, a wraz z nimi Róg Valere — a także sztylet z Shadar Logoth. Nie sądził, by Rand, cokolwiek się stał, cokolwiek mu się przydarzyło, zaniechał pogoni.

„Ale dokąd on odjechał i dlaczego?”

Loial mógł towarzyszyć Randowi z przyjaźni, ale po co Hurin?

— Może on rzeczywiście uciekł? — mruknął do siebie i zaraz rozejrzał się dookoła. Nikt tego najwyraźniej nie usłyszał, nawet Mat nie zwracał nań żadnej uwagi. Przejechał dłonią po włosach. Gdyby jego ściagały Aes Sedai za to, że jest fałszywym Smokiem, wówczas on też by uciekł. Jednak zamartwianie się o Randa nie pomagało w odnalezieniu śladów Sprzymierzeńców Ciemności.

Istniał być może pewien sposób, gdyby zechciał się na niego zdecydować. Wcale nie miał na to ochoty. Uciekał od tego, ale być może teraz już dłużej się nie da.

„Doskonale do mnie pasuje to, co powiedziałem Randowi. Żałuję, że nie mogę uciec”.

Mimo że wiedział, co może zrobić — co musi zrobić — żeby pomóc, wciąż się wahał.

Nikt na niego nie patrzył. Nikt by się nawet nie domyślił, co się z nim dzieje, nawet gdyby patrzył. W końcu, z niechęcią, zamknął oczy i pozwolił sobie odpłynąć, pozwolił odpłynąć swoim myślom, gdzieś daleko, z dala od niego.

Z początku próbował zaprzeczać, jeszcze, zanim jego oczy zaczęły zmieniać barwę z ciemnobrązowej na złotożółtą. Podczas tamtego pierwszego spotkania, w tamtej pierwszej chwili rozpoznania, nie chciał w to wierzyć i od tego czasu uciekał przed rozpoznaniem. Nadal miał chęć uciekać.

Jego myśli odpłynęły, szukając po omacku tego czegoś, co musiało gdzieś być, tego co zawsze było w okolicach, gdzie ludzi było niewielu albo dzieliły ich spore odległości — szukały jego braci. Nie chciał o nich myśleć w ten sposób, ale wszak byli jego braćmi.

Z początku bał się, że to, co robi, to efekt jakiejś skazy Czarnej albo Jedynej Mocy — jednakże złych dla człowieka, który nie chciał być niczym więcej jak zwykłym kowalem i wieść swe życie w Światłości oraz pokoju. Od tego czasu zdawał sobie z grubsza sprawę, co musi czuć Rand, jak to jest bać się samego siebie, czuć się skalanym. Jeszcze nie całkiem się z tym uporał. Jednakże to, co on robił, było starsze niż ludzie korzystający z Jedynej Mocy, jego początki towarzyszyły narodzinom Czasu. To nie Moc, wyjaśniła mu Moiraine. Coś, co zaniknęło dawno temu, a teraz pojawiło się na nowo. Egwene też o tym wiedziała, choć wołałaby, żeby tak nie było. Wołałaby, by nikt o tym nie wiedział. Liczył, że nikomu nie powiedziała.

Kontakt. Poczł je, pocł inne umysły. Poczł swych braci, wilki.

Ich myśli dotarły do niego w postaci wirującej mieszanki obrazów i emocji. Z początku nie był w stanie wyróżnić nic prócz czystych emocji, ale już po chwili umysł ubrał je w słowa.

„Wilczy brat. Niespodzianka. Dwunogi, który mówi”.

Mglisty obraz, wyblakły upływem czasu, nawet nie stary, tylko jeszcze starszy, ludzie biegnący razem z wilkami, dwa stada na wspólnym polowaniu.

„Słyszeliśmy, że to się powtórzy. Czy jesteś Długim Kłem?”

Pojawił się niewyraźny obraz człowieka odzianego w skóry, z długim nożem w dłoni, lecz nakładał się na niego inny obraz, ważniejszy, przedstawiający kudłatego wilka z jednym kłem dłuższym od pozostałych, stalowym kłem połyskującym w słońcu. Wilk biegł na czele stada, szarżującego zapamiętale przez głęboki śnieg w stronę jelenia, który znaczył dla nich życie zamiast powolnej śmierci z głodu, potem jeleni miażdżony na proch pod ich brzuchami, promienie słońca odbijające się od bieli, wywołujące ból oczu, wiatr omiatający wściekłym rykiem przełęcz, wzbijający tumany śniegu, które wtenczas robiły się podobne do mgły i... Obrazy przedstawiające imiona wilków zawsze były skomplikowane.

Perrin rozpoznał człowieka. Elyas Machera, ten który przedstawił go wilkom po raz pierwszy. Czasami żałował, że w ogóle poznał Elyasa.

„Nie” — pomyślał i spróbował utworzyć jego obraz w umyśle.

„Tak. Słyszeliśmy o tobie”.

Nie był to stworzony przez niego obraz, przedstawiał młodego mężczyznę ze zwalistymi ramionami i potarganymi, brązowymi lokami, młodego mężczyznę z toporem u pasa, o którym inni myśleli, że porusza się i myśli powoli. Ten człowiek tam był, gdzieś na obrazie stworzonym przez wilcze umysły, lecz zaraz zastąpił go intensywniejszy obraz zwalistego, dzikiego byka z zakrzywionymi rogami z błyszczącego metalu, cwałującego przez mrok z szybkością i żwawością właściwą młodemu wiekowi, kędzierzawa sierść połyskiwała w świetle księżyca, na nic nie zważając, rzucał się między Białe Płaszcze na koniach, powietrze było rześkie, zimne i ciemne, krew na rogach taka czerwona i...

„Młody Byk”.

Przez chwilę Perrin był tak zaszokowany, że utracił kontakt. Nawet nie marzył, że dadzą mu jakieś imię. Bardzo żałował, że nie pamięta, jak je zdobył. Dotknął swego topora, połyskującego ostrza w kształcie półksiężyca.

„Światłości, dopomóż, zabiłem dwóch ludzi. Oni by zabili mnie i Egwene jeszcze prędzej, ale...”

Odepchnął to wszystko na bok — dokonało się już i zostało za nim, nie miał ochoty pamiętać — przekazał wilkom zapach Randa, Loiala i Hurina i spytał, czy wyczuwają tych trzech. To była jedna z tych rzeczy, która pojawiła się w nim wraz ze zmianą oczu, potrafił identyfikować ludzi po zapachu, wcale ich nie widząc. Ponadto miał teraz ostrzejszy wzrok, widział zawsze z wyjątkiem czarnych jak węgiel ciemności. Zawsze starał się zapalać lampy albo świece, zanim jeszcze ktoś inny pomyślał, że są potrzebne. Wilki przekazały obraz ludzi na koniach zbliżających się pod koniec dnia do kotliny. Wtedy po raz ostatni widziały albo złapały zapach Randa i pozostałych dwóch mężczyzn.

Perrin zawahał się. Następnego kroku na nic się nie zda, jeśli nie powie o wszystkim Ingtarowi.

„A Mat umrze, jeśli nie znajdziemy tego sztyletu. Niech szczenę, Rand, czemu zabrałeś z sobą wężyciela?”

Tamtego jednego razu, gdy zszedł razem z Egwene do lochów, pod wpływem zapachu Faina zjeżyły mu się włosy na całym ciele, nawet trolloki nie pachniały tak paskudnie. Miał ochotę przebić się przez kraty celi i rozedrzeć tego człowieka na kawałki, a odkrycie, że ma w sobie coś takiego, przeraziło go jeszcze bardziej niż sam Fain. Żeby zamaskować zapach Faina w swoim umyśle, dodał jeszcze woń trolloków i dopiero wtedy głośno zawył.

Z oddali dobiegły go odgłosy wilczego stada, konie w dolinie zadudniły kopytami i zaczęły przeraźliwie rzeć. Niektórzy żołnierze przejechali palcami po długich ostrzach lanc i zbadali niespokojnym wzrokiem brzeg kotliny. W głowie Perrina działało się znacznie gorzej. Czuł gniew wilków, nienawiść. Istniały tylko dwie rzeczy, których wilki nienawidziły. Wszystko inne jakoś tolerowały, natomiast ognia i trolloków nienawidziły i były zdolne przejść przez ogień, żeby zabijać trolloki.

Bardziej jeszcze niż zapach trolloków, woń Faina wprawiała je w szal, jakby wyczuły coś, w porównaniu z czym trolloki zdawały się pachnieć naturalnie i prawidłowo.

„Gdzie?”

Niebo w jego głowie zafalowało, ziemia obróciła się. Wschód, czy zachód, wilki nie wiedziały. Znały ruchy słońca i księżyca, przemiany pór roku, kształty ziemi. Perrin przemyślał zagadkę. Południe. I coś jeszcze. Gotowość zabijania trolloków. Wilki pozwolą Młodemu Bykowi wziąć udział w zabijaniu trolloków. Mógł sprowadzić dwunogich z ich twardymi skórami, jeśli chciał, lecz Młody Byk, Dym, Dwa Jelenie, Zimowy Brzask i cała reszta stada zapolują na Wykośla-



wionych, którzy odważyli się wdrzeć na ich ziemię. Niejadalne mięso i gorzka krew poparzą języki, ale trzeba ich zabić. Zabić ich. Zabić Wykoślawionych.

Dał się zarazić ich furii. Rozchylił usta, by gniewnie zawarczeć i zrobił krok, by się do nich przyłączyć, by pobiec wraz z nimi i polować, i zabijać.

Zerwał kontakt z wysiłkiem, pozostawiając tylko słabe uczucie obecności wilków. Mógł wskazać, gdzie są, mimo dzielącej ich odległości. Czuł chłód w swoim wnętrzu.

„Jestem człowiekiem, nie wilkiem. Światłości, dopomóż mi, jestem człowiekiem!”

— Dobrze się czujesz, Perrin? — spytał Mat i podszedł bliżej. Mówił tym samym tonem co zawsze, nonszalanckim, w którym ostatnio pojawiła się jakaś gorzka nuta, ale wyglądał na zmartwionego. — Tylko tego mi trzeba. Rand zniknął, a teraz ty jesteś chory. Nie wiem, gdzie tu szukać Wiedzącej, żeby się tobą zajęła. Chyba mam trochę kory brzozy w swoich torbach. Mogę ci przyrządzić z niej herbatę, jeśli Ingtar pozwoli nam zostać tu dostatecznie długo. Pomoże ci, jeśli zrobię ją odpowiednio mocną.

— Nic... nic mi nie jest, Mat.

Zbył przyjaciela potrząśnięciem głowy i poszedł szukać Ingtara. Shienarański lord razem z Uno, Raganem i Masemą badali grunt wokół krawędzi kotliny. Wszyscy trzej spojrzeli na niego krzywo, gdy odciągnął Ingtara na bok. Upewnił się, że są daleko od nich, zanim się odezwał.

— Nie wiem, dokąd pojechał Rand i tamci dwaj, Ingtarze, ale Padan Fain i trolloki, a także jak sądzę reszta Sprzymierzeńców Ciemności, nadal kierują się na południe.

— Skąd to wiesz? — spytał Ingtar.

Perrin zrobił głęboki wdech.

— Wilki mi powiedziały.

Czekał na coś, czego nie mógł być pewien. Na śmiech, pogardę, zarzut, że sprzyja Ciemności, oskarżenie o szaleństwo. Rozmyślnie zatknął kciuki za pasem, na plecach, z dala od topora.

„Nie będę zabijał. Już nigdy. Jeśli on będzie mnie próbował zabić jako Sprzymierzeńca Ciemności, będę uciekał, ale nikogo nie zabiję”.

— Słyszałem o takich rzeczach — wolno odparł Ingtar po jakiejś chwili. — Plotki. Był taki Strażnik, nazywał się Elyas Machera, o którym niektórzy powiadali, że potrafi rozmawiać z wilkami. Zniknął wiele lat temu. — Najwyraźniej dostrzegł coś w oczach Perrina. — Znasz go?

— Znam go — odparł beznamiętnym tonem Perrin. — To on jest... Nie chcę o tym rozmawiać. Nie prosiłem o to.

„Tak właśnie mówił Rand. Światłości, jak ja żałuję, że nie jestem w domu i nie pracuję w kuźni pana Luhhana”.

— Te wilki — powiedział Ingtar — czy one wytropią dla nas Sprzymierzeńców Ciemności i trolloków?

Perrin przytaknął.

— To dobrze. Będę miał Róg, nieważne jakim sposobem. — Shienaranin zerknął na Uno i pozostałych, którzy wciąż poszukiwali śladów. — Ale lepiej nikomu o tym nie mówić. Na Ziemiach Granicznych wierzy się, że wilki przynoszą szczęście. Trolloki się ich boją. Ale lepiej, żeby to na razie zostało między nami. Niektórzy mogliby nie zrozumieć.

— Ja bym wolał, żeby nikt nigdy się nie dowiedział — oświadczył Perrin.

— Powiem im, że twoim zdaniem posiadasz talent Hurina. To dla nich znana rzecz, są z nią obcy. Niektórzy widzieli, jak marszczyłeś nos w tamtej wiosce i przy promie. Słyszałem żarty na temat twojego wybrednego nosa. Tak. Ty nas dzisiaj naprowadzisz na trop, Uno wypatrzy dostatecznie dużo ich śladów, by potwierdzić, że to ich trop i przed zapadnięciem zmroku wszyscy co do jednego nabędą przekonania, że jesteś wężycielem. Będę miał Róg. — Zerknął na niebo i podniósł głos. — Marnujemy dzień! Na koń!

Ku zdziwieniu Perrina Shienaranie najwyraźniej zaakceptowali opowieść Ingtara. Na twarzach niektórych malował się sceptycyzm — Masema posunął się nawet tak daleko, że splunął — lecz Uno skinął głową z rozmysłem i tym wypowiedział się w imieniu większości. Najtrudniej było przekonać Mata.

— Wężyciel! Ty? Masz zamiar tropić morderców po zapachu? Perrin, ty jesteś równie szalony jak Rand. Ja jestem jedynym z Pola Emonda, który pozostał przy zdrowych zmysłach, odkąd Egwene i Nynaeve pomknęły do Tar Valon, żeby zostać...

Sam sobie przerwał i niespokojnie zerknął w stronę Shienaran.

Perrin zajął miejsce Hurina obok Ingtara, gdy niewielka kolumna ruszała na południe. Mat nadal wygłaszał tyrady pogardliwych uwag, dopóki Uno nie znalazł pierwszych śladów pozostawionych przez trolloki i ludzi na koniach, lecz Perrin nie zwracał na niego większej uwagi. Robił wszystko, co mógł, by powstrzymać wilki przed wysforowaniem naprzód, celem zabijania trolloków. Wilki obchodziło jedynie zabijanie Wykoślawionych, natomiast Sprzymierzeńcy Ciemności nie różnili się niczym od innych dwunogich. Perrin nieomal widział Sprzymierzeńców Ciemności rozbiegających się w popłochu w kilkunastu kierunkach, w trakcie gdy wilki będą dokonywały rzezi trolloków, uciekających z Rogiem Valere. Uciekających ze sztyletem. Nie sądził, że kiedy trolloki będą już martwe, uda mu się zainteresować wilki tropieniem ludzi, nawet gdyby miał jakieś pojęcie, których trzeba tropić. Cały czas wiódł z nimi spór i pot zaczął zalewać mu czoło, zanim odebrał pierwsze błyski obrazów, od których zaczęło mu się przewracać w żołądku.

Ściągnął wodze, zatrzymując konia w pół kroku. Pozostali zrobili to samo, patrzyli na niego i czekali. Patrzył prosto przed siebie i kłął bezgłośnie, z goryczą.

Wilki mogły zabijać ludzi, ale nie tę zdobycz preferowały. Z jednej strony pamiętały dawne wspólne polowania, a z drugiej dwunodzy mieli zły smak. Wilki były bardziej wybredne odnośnie do swego pożywienia, niż sobie wyobrażał. Nie jadały padliny, chyba że groziła im śmierć głodowa, i nie potrafiły zabić więcej niż zjeść. To, co Perrin czuł ze strony wilków, dawało się najlepiej opisać jako obrzydzenie. I pojawiły się też obrazy. Widział je znacznie wyraźniej, niż sobie życzył. Ciała mężczyzn, kobiet i dzieci, zwalone na bezładny stos. Przesiknięta krwią ziemia, rozryta przez końskie kopyta i oszalałe próby ucieczki. Rozdarte ciało. Powyrywane głowy. Łopoczące skrzydłami sępy, o piórach zaplamionych czerwienią, okrwawione, łyse głowy dziobiące i pożerające. Uwolnił się od obrazu, jeszcze przed opróżnieniem żołądka.

W dali, ponad drzewami widział czarne plamki wirujące nad samą ziemią, opadające i na powrót się wznoszące. Sępy walczące o swój posiłek.

— Tam jest coś niedobrego. — Z trudem przełknął ślinę, napotykając wzrok Ingtara. Jak to dopasować do opowieści, że jest wężycielem?

„Nie chcę przyglądać się temu z bliska. Ale oni będą chcieli zbadać to miejsce, jak tylko wypatrzą sępy. Muszę im powiedzieć coś takiego, by wybrali okrężną drogę”.

— Ci ludzie z tamtej wioski... Sądzę, że trolloki ich zabiły.

Uno zaczął cicho kłać, a paru innych Shienaran coś mruknęło bezgłośnie. Żaden z nich jednak najwyraźniej nie uznał tego oświadczenia za dziwne. Lord Ingtar powiedział, że jest wężycielem, a wężyciele potrafili wyczuwać rzeź.

— A poza tym ktoś jedzie za nami — powiedział Ingtar.

Mat skwapliwie zawrócił swego konia.

— Może to Rand. Wiedziałem, że mnie nie opuści.

Na północy wzbijały się rzadkie, rozproszone tumany pyłu, jakiś koń biegł po terenie rzadziej porośniętym przez trawę. Shienaranie rozdzielili się, z lancami w pogotowiu, rozglądali się we wszystkich kierunkach. Nie było to miejsce, w którym obcy mógł zostać uznany za coś zwykłego.

Pojawiła się jakaś plamka — koń i jeździec, kobieta, tylko dla oczu Perrina, dużo wcześniej, zanim ktoś inny ją wypatrzył — i szybko się do nich zbliżała. Na ich widok przeszła w kłus, wachlując się dłonią. Przysadzista, z siwiejącymi włosami, z płaszczem przywiązany do siodła, zamrugła zamglonymi oczami.

— To Aes Sedai — stwierdził rozczarowany Mat. — Znam ją. Nazywa się Verin.

— Verin Sedai — przywitał ją ostrym tonem Ingtar, po czym ukłonił się jej z siodła.

— Przysłała mnie Moiraine Sedai, lordzie Ingtarze — obwieściła Verin z uśmiechem satysfakcji. — Pomyślała, że może będziesz mnie potrzebował. Ależ ja galopowałam. Już myślałam, że złapię was dopiero pod samym Cairhien. Wdzieliście wioskę naturalnie? Och, to było coś wyjątkowo paskudnego, niepraw-

daż? I ten Myrddraal. Na wszystkich dachach siedziały kruki i wrony, ale żaden się do niego nie zbliżył, mimo że był martwy. Musiałam odpędzić tyle much, ile waży Czarny, żeby się przekonać, co to takiego. Szkoda, że nie miałam czasu, by go zdjąć. Nigdy nie miałam okazji badać...

Nagle zmrużyła oczy i jej beztroska rozwiła się jak dym.

— Gdzie jest Rand al'Thor?

Ingтар skrzywił się.

— Zniknął, Verin Sedai. Zniknął ostatniej nocy bez śladu. On, Ogir i Hurin, jeden z moich ludzi.

— Ogir, lordzie Ingтарze? I twój wężyciel zniknął razem z nim? Co tamci dwaj mają wspólnego z...?

Ingтар spojrział na nią wytrzeszczonymi oczyma, na co ona parsknęła.

— Myślałeś, że uchronisz przede mną taki sekret? — Parsknęła raz jeszcze.

— Wężyciele. Zniknęli, powiadasz?

— Tak, Verin Sedai.

Ingтар wyraźnie się zdenerwował. Nigdy nie było łatwo usłyszeć, że Aes Sedai znają sekrety, które człowiek usiłował przed nimi zataić. Perrin miał nadzieję, że Moiraine nikomu o nim nie powiedziała.

— Ale ja mam... mam nowego wężyciela. — Shienarański lord wskazał Perrina. — Ten człowiek również wydaje się posiadać tę umiejętność. Znajdę Róg Valere, tak jak przysięgłem, nie musisz się obawiać. Twoje towarzystwo będzie mile widziane, Aes Sedai, jeśli zechcesz pojechać z nami.

Ku zdziwieniu Perrina mówił takim tonem, jakby nie do końca myślał w ten sposób.

Verin zerknęła na Perrina, a on drgnął niespokojnie.

— Nowy wężyciel i to właśnie wtedy, gdy tracisz poprzedniego. Jakie to... zrzędzenie opatrności. Nie znaleźliście żadnych śladów? Nie, jasne, że nie. Powiedziałaś, że żadnych śladów. Dziwna ta ostatnia noc.

Obróciła się w siodle, patrząc na północ i Perrin przez chwilę miał wrażenie, że ona ma zamiar wrócić tą samą drogą, którą przyjechała.

Ingтар spojrział na nią z marsem na czole.

— Czy myślisz, że ich zniknięcie ma coś wspólnego z Rogiem, Aes Sedai?

Verin usiadła prosto.

— Z Rogiem? Nie. Nie, chyba... nie. Ale to dziwne. Bardzo dziwne. Dziwne rzeczy mi się nie podobają, dopóki ich nie zrozumie.

— Mogę kazać dwóm ludziom, by cię zawiedli do miejsca, w którym zniknęli, Verin Sedai. Nie będą z tym mieli trudności.

— Nie. Skoro twierdzisz, że zniknęli bez śladu... — Przez chwilę przypatrywała się Ingтарowi z nieodgadnioną twarzą. — Pojadę z wami. Być może ich odnajdziemy, albo oni odnajdą nas. Porozmawiamy podczas jazdy, lordzie Ingтарze.

Opowiedz mi wszystko, co się da na temat tego młodego człowieka. O wszystkim, co robił, co mówił.

Ruszyli przy akompaniamencie pobrzękiwania uprzęży i zbroi, Verin jechała blisko Ingtara i dokładnie go o wszystko wypytywała, jednak głosem zbyt cichym, aby dało się coś podsłuchać. Gdy Perrin próbował zająć z powrotem swoje miejsce, spostponowała go wzrokiem i został z tyłu.

— Ona goni Randa — wymamrotał Mat — nie Róg.

Perrin skinął głową.

„Gdziekolwiek dotarłeś, Randzie, zostań tam. Tam jest bezpieczniej niż tutaj”.

# ZABÓJCA RODU

Widok dziwnie wyblakłych wzgórz, zdających się sunąć w jego stronę, gdy tylko prosto na nie spojrział, wywoływał u Randa zawroty głowy, jeśli tylko nie otoczył się pustką. Czasami ogarniała go bez udziału świadomości, lecz unikał jej jak śmierci. Już lepsze były mdłości niż dzielenie pustki razem z tym niepokojącym światłem. Lepiej było patrzeć na wyblakły krajobraz. Zresztą starał się nie patrzeć na nic zbyt oddalonego, chyba że znajdowało się dokładnie na linii wzroku.

Twarz Hurina nosiła niewzruszony wyraz, gdy koncentrował się na wyszukiwaniu tropu, zupełnie jakby usiłował ignorować okolicę, którą ten trop przecinał. Za każdym razem, gdy wędzyciel wreszcie zauważył, co ich otacza, wzdrygał się i wycierał dłonie o kaftan, po czym wystawiał nos do przodu niczym pies, oczy zachodziły mu szklistą mgiełką, wykluczał istnienie wszystkiego innego. Loial kulił się w siodle i rozglądał się dookoła ze zmarszczonym czołem, nerwowo strzygąc uszami i coś do siebie mrużąc.

Teren, po którym teraz jechali, znowu poczerniał, wypalona ziemia pod kopytami koni chrzęściła, jakby i ona uległa zwęgleniu. Zgorzałe łąki, raz szerokości mili, innym razem zaledwie stu kroków, rozciągały się na wschód i zachód, prosto niczym lotem strzały. Rand dwukrotnie zauważył koniec wypalonego obszaru, raz gdy przez taki przejeżdżali, drugi raz, gdy go mijali nie opodał; zgorzeliska zbiegały się w jednym punkcie. Podejrzewał, że wszystkie podpalone miejsca wyglądają tak samo.

Widział kiedyś w Polu Emonda, jak Whatley Eldin zdobił swój wóz na niedzielę. What malował różne sceny jaskrawymi kolorami i otaczał je skomplikowanymi girlandami. Na samych krawędziach przykładał czubek pędzla do powierzchni wozu, wykonując cienką linię, która grubiała, gdy przycisnął pędzel mocniej, a potem znowu robiła się cieńsza, gdy dotykał nim słabiej. Tak właśnie wyglądała ta okolica, jakby ktoś pomazał ją monstrualnie wielkim pędzlem z ognia.

Na wypalonej ziemi nic nie rośło, mimo że przynajmniej niektóre pogorzeliska były bardzo stare. W powietrzu nie unosił się swąd, Rand nie poczuł nawet najbliższego śladu, gdy wychylony z grzbietu konia zerwał szerniącą gałązkę

i powąchał. Pożary wybuchły dawno temu, a jednak nic na nowo nie urosło na tej ziemi. Czerni ustępowała zieleni i zieleń czerni wzdłuż linii tak równych, jak wykrojonych nożem.

Reszta krajobrazu była równie martwa jak pogorzelska, mimo iż ziemię porastała trawa, a drzewa nosiły listowie. Wszystko miało spłowiąły wygląd, niczym ubrania prane zbyt często i pozostawiane za długo na słońcu. Nie było tam żadnych ptaków ani zwierząt, Rand przynajmniej żadnych nie widział i nie słyszał. Jastrzębie nie krążyły po niebie, nie poszcze kiwały polujące lisy, nie śpiewał żaden ptak. Nic nie szeleściło w trawie, ani nie huśtało się na gałęziach drzew. Żadnych pszczoł i motyli. Kilkakrotnie przepawali się przez strumienie, dno miały płytkie, lecz często płynęły przez głębokie jary o stromych brzegach, przez które konie musiały gramolić się z trudem w dół i potem wspinać na górę. W wodzie nie było żadnych zanieczyszczeń z wyjątkiem błota z dna zmaconego przez końskie kopyta, lecz ani jeden piskorz czy okoń nie wychyliły się z wiru, żaden pająk wodny nie zakotłosał się na powierzchni, nie zatrzymała się nad nią ważka.

Woda nadawała się na szczęście do picia, jako że zawartość ich bukłaków nie mogła wystarczyć na całą wieczność. Rand spróbował jej jako pierwszy, a Loialowi i Hurinowi kazał zaczekać, czy coś się z nim przypadkiem nie stanie, zanim pozwolili im się napić. On ich w to wpakował i teraz również ten obowiązek należał do niego. Woda była chłodna i mokra, tyle tylko dawało się o niej powiedzieć. Zupelnie brakowało jej smaku, jakby została wcześniej przegotowana. Loial krzywił się, koniom też nie smakowała, potrzasały łbami i piły niechętnie.

Raz zauważyli przejaw życia, w każdym razie Rand uznał, że to na pewno jakieś życie. Dwukrotnie dostrzegł wiotką smugę, pełznącą po niebie, podobną do kreski wyrysowanej przez chmurę. Wydawało się, że te kreski są zbyt proste, by mogły być czymś naturalnym, nie potrafił sobie jednak wyobrazić, co też mogło je wyrysować. Nie wspomniał o nich pozostałym. Być może nawet ich nie zauważyli, Hurin był skupiony wyłącznie na tropieniu, Loial natomiast zamknął się w sobie. W każdym razie nic nie mówili o tych liniach.

Gdy mieli już za sobą połowę poranka, Loial znienacka zeskoczył z grzbietu swego ogromnego wierzchowca, nie mówiąc ani słowa, i wielkimi krokami podszedł do kępy żarnowca miotlastego, którego pnie rozdzielały się na liczne grube konary, sztywne i proste, nie wyżej jak krok ponad ziemią. Na samym szczycie wszystkie konary ponownie się rozszczepiały, tworząc gęstą plątaninę liści, której krzew zawdzięczał swą nazwę.

Rand zatrzymał Rudego i już miał spytać Loiala, co właściwie robi, gdy nagle coś w zachowaniu Ogira, jakby niepewność, kazało mu umilknąć. Loial najpierw wpatrywał się dłuższą chwilę w drzewo, po czym przyłożył dłonie do pnia i zaczął śpiewać gardłowym, cichym basem.

Rand już raz słyszał pieśni drzewne Ogirów, gdy Loial zaśpiewał umierającemu drzewu i przywrócił mu życie, słyszał także o wyśpiewanym drewnie, przed-

miotach wykuwanych z drzew za pomocą drzewnych pieśni. Talent ginął, wyjaśnił Loial, on sam należał do nielicznych, którzy jeszcze posiadali tę zdolność, dlatego właśnie wyśpiewane drewno tym bardziej było poszukiwane i cenione. Gdy słyszał śpiewającego Loiala przedtem, odniósł wrażenie, że to śpiewa sama ziemia, teraz jednak Loial mruzczał swoją pieśń nieomal tak, jakby nie dowierzał własnym siłom i echo pieśni roznosiło się po ziemi niczym szept.

Brzmiało to jak czysta pieśń, muzyka bez słów, w każdym razie Rand żadnych słów nie potrafił wyróżnić, a jeśli nawet były, to zlewały się z muzyką, tak jak woda wpływająca do strumienia. Hurin jęknął głośno i wytrzeszczył oczy.

Rand nie bardzo wiedział, co robi Loial, ani też jak to robi, Ogir śpiewał cicho, a jednak pieśń działała hipnotycznie, wypełniając umysł nieomal tak samo jak pustka. Loial przesunął swymi ogromnymi dłońmi po pniu, wciąż śpiewając, pieszcząc go zarówno głosem jak i palcami. Pień wydawał się teraz gładki, jakby Ogir kształtował go dotykiem swych dłoni. Rand zamrugał. Był przekonany, że ze szczytu tego pnia wyrastają gałęzie podobnie jak z pozostałych, teraz jednak urywał się zaokrąglonym, gładkim końcem tuż nad głową Ogira. Pieśń brzmiała dziwnie znajomo, zupełnie jakby Rand ją znał.

Nagle głos Loiala osiągnął punkt kulminacyjny — brzmiał nieomal jak hymn dziękczynny — i zaczął ucichać, cichnąć tak, jak cichnie łagodny wiatr.

— Niech szczenę — wydyszał Hurin, kompletnie oszołomiony. — Niech szczenę, nigdy w życiu nie słyszałem czegoś takiego... Niech szczenę.

Loial trzymał w dłoniach laskę własnego wzrostu i grubą jak przedramię Randa, gładką i wypolerowaną. W miejscu pnia krzewu żarnowca wyrastała teraz młoda gałązka.

Rand zrobił głęboki wdech.

„Wiecznie coś nowego, wiecznie coś, czego się nie spodziewałem i czasami to wcale nie jest potworne”.

Patrzył, jak Loial dosiada konia, wkładając laskę przed sobą pod siodło i zastanawiał się, po co Ogirowi laska, skoro jechali konno. Potem zobaczył, że gruby pręt nie jest wcale taki duży w porównaniu z Loialem, zauważył też sposób, w jaki tamten go trzyma.

— Drąg — powiedział zdziwiony. — Nie wiedziałem, że Ogirowie używają broni, Loial.

— Zazwyczaj nie — odparł nieomal szorstkim tonem Ogir. — Zazwyczaj. Cena zawsze była zbyt wysoka. — Zważył ogromny drąg w dłoniach i zmarszczył swój szeroki nos z niesmakiem. — Starszy Haman powiedziałby z pewnością, że zbyt długie stylisko przymocowałem do swego topora, ale ja tego nie zrobiłem z pośpiechu albo niedbalstwa, Rand. To miejsce...

Zadrżał i zastrzygł uszami.

— Niebawem odnajdziemy drogę powrotną — zapewnił go Rand, starając się, by w jego głosie słychać było przekonanie.



Loial odpowiedział mu tak, jakby go w ogóle nie słuchał.

— Wszystko jest... powiązane, Rand. Czy coś żyje, czy nie żyje, myśli, czy nie myśli, wszystko, co istnieje, pasuje do siebie. Drzewo nie myśli, ale jest częścią całości, a ta całość... czuje. Nie potrafię wyjaśnić tego lepiej, podobnie jak tego, co znaczy być szczęśliwym, ale... Rand, ta ziemia się cieszy, że wykonana została z niej broń. Cieszy!

— Światłości, oświeć nas — zamruczał zdenerwowany Hurin — i oby osłaniała nas dłoń Stwórcy. Mimo że nasza droga wiedzie w ostatnie objęcia matki, Światłości, oświeć nam tę drogę.

Stale powtarzał ten katechizm, jakby zawierał w sobie zaklęcie mogące go ochronić.

Rand oparł się odruchowi, by rozejrzeć się dookoła. Zdecydowanie nie patrzył w górę. W tym momencie wystarczyłaby jeszcze jedna z tych dymnych kresek na niebie, żeby ich załamać.

— Nie ma tu nic, co by nam mogło wyrządzić krzywdę — powiedział stanowczym tonem. — A zresztą zachowamy czujność i dopilnujemy, by nic złego się nam nie stało.

Miał ochotę śmiać się z samego siebie, z udawanej pewności. Nie był pewien niczego. Gdy jednak obserwował pozostałych — Loiala z jego opadłymi włochochymi uszami i Hurina, usiłującego na nic nie patrzeć — wiedział, że ktoś z nich musi udawać pewność siebie, bo inaczej strach i niepewność spowodują, iż się zupełnie załamią.

„Koło obraca się jak chce”.

Wyparł z siebie tę myśl.

„To nie ma nic wspólnego z Kołem. Nic wspólnego z *ta'veren*, Aes Sedai albo Smokiem. Jest jak jest, to wszystko”.

— Loial, możesz już ruszać?

Ogir potaknął, ze smutkiem gładząc drag. Rand zwrócił się do Hurina.

— Nadal czujesz trop?

— Czuję, lordzie Rand. Czuję go.

— No to idźmy jego śladem. Jak już znajdziemy Faina i Sprzymierzeńców Ciemności, bo czemu by nie, to wrócimy do domu jako bohaterowie, ze sztyletem dla Mata i Rogiem Valere. Prowadź nas, Hurin.

„Bohaterowie? Dobrze będzie, jak uda mi się wyprowadzić nas stąd żywych”.

— To miejsce mi się nie podoba — obwieścił martwym głosem Ogir. Trzymał drag w taki sposób, jakby się spodziewał, że niebawem będzie go musiał użyć.

— A poza tym wcale nie mamy ochoty zatrzymywać się tutaj, prawda? — powiedział Rand.

Hurin wybuchnął gromkim śmiechem, jakby on powiedział jakiś dowcip, natomiast Loial skarcił go wzrokiem.

— Rzeczywiście nie mamy, Rand.

W miarę jednak jak posuwali się na południe, widział, że to wygłoszone przez niego zdawkowym tonem oświadczenie, że wróćą do domu, podniosło ich trochę na duchu. Hurin siedział nieco bardziej wyprostowany w siodle, a uszy Loiala nie były już takie przywiedłe. Nie było to ani miejsce, ani czas, żeby im mówić, że on dzieli z nimi ich strach, więc zachował go dla siebie i borykał się z nim w milczeniu.

Hurin przez cały poranek zachował dobry humor, mrużąc: „Poza tym wcale nie mamy zamiaru się zatrzymywać”, po czym chichotał, aż w końcu Rand miał ochotę mu powiedzieć, żeby się przymknął. Około południa wężyciel rzeczywiście umilkł, potrząsał tylko głową i marszczył czoło, a Rand zapragnął, by on wciąż powtarzał jego słowa i wybuchał śmiechem.

— Czy masz jakieś kłopoty z odnalezieniem tropu, Hurin? — spytał.

Wężyciel wzruszył ramionami z wyraźnym zakłopotaniem.

— Tak, lordzie Rand, i jednocześnie nie, można powiedzieć.

— Musi być albo tak, albo tak. Czy zgubiłeś trop? To nie twoja wina, jeśli tak się stało. Powiedziałaś na początku, że jest słaby. Jeśli nie uda nam się znaleźć Sprzymierzeńców Ciemności, wówczas poszukamy innego Kamienia i wrócimy za jego pomocą.

„Światłości, wszystko tylko nie to”.

Rand nie zmienił wyrazu twarzy.

— Skoro Sprzymierzeńcy Ciemności mogli tu przyjść i odejść, to nam też się to uda.

— Och, ja go nie zgubiłem, lordzie Rand. Nadal czuję ich smród. To nie to. To po prostu... To... — Hurin skrzywił się i wybuchnął: — To jest tak, jakbym go sobie przypominał, a nie czuł. Ale tak nie jest. Cały czas krzyżują się z nimi dziesiątki innych tropów, dziesiątki dziesiątek, i wszelkie odmiany woni przemocy, jedne całkiem świeże, tylko wyblakłe jak wszystko tutaj. Tego ranka, zaraz po tym, jak wyjechaliśmy z kotliny, przysięgłbym, że zaledwie przed kilkoma minutami tuż pod moimi stopami zamordowano setki ludzi, ale tam nie było żadnych ciał, nawet śladu na trawie, z wyjątkiem odcisków kopyt naszych koni. Gdyby coś takiego się zdarzyło naprawdę, ziemia byłaby zryta i przesiąknięta krwią, a tam nie było ani jednego śladu. Wszystko tu jest takie, mój dobry panie. Ja jednak idę za tropem. Naprawdę idę. To miejsce po prostu wyczerpuje mnie nerwowo. Oto powód. Na pewno o to chodzi.

Rand zerknął na Loiala — Ogir dysponował niekiedy najdziwniejszą wiedzą — teraz jednak wyglądał na równie zadziwionego jak Hurin. Rand postarał się, by jego głos zabrzmiał o wiele pewniej, niż się w istocie czuł.

— Wiem, że robisz, co możesz, Hurin. Wszyscy jesteśmy nerwowo wyczerpani. Po prostu staraj się najlepiej jak potrafisz, a na pewno ich znajdziemy.

— Jak powiadasz, lordzie Rand. — Hurin uderzył boki konia piętami. — Jak powiadasz.

Jednakże o zmierzchu nadal nie zobaczyli ani śladu Sprzymierzeńców Ciemności, a Hurin stwierdził, że trop jest coraz słabszy. Węszyciel stale mruczał do siebie o „przypominaniu”.

Śladu nie było ani jednego. Dosłownie ani jednego. Rand nie był tak dobrym tropicielem śladów jak Uno, jednakże od każdego chłopca w Dwu Rzekach oczekiwało się, że będzie potrafił odnajdywać ślady zagubionej owcy albo królika na kolację. Niczego nie wypatrył. Zupełnie tak, jakby żadna żywa istota nie wtargnęła do tej krainy do czasu ich przybycia. Gdyby rzeczywiście wyprzedzali ich Sprzymierzeńcy Ciemności, musieliby już coś znaleźć. Jednakże Hurin podążał uparcie tropem, który jak twierdził, wciąż wyczuwał.

Gdy słońce dotarło do linii horyzontu, rozbili obóz wśród kępy drzew nie tkniętych spalenizną, posilili się zapasami ze swoich sakw. Suchary i suszone mięso popili wodą o mdłym smaku. Trudno się nasycić takim posiłkiem, który niełatwo się przeżuwa i raczej jest niezbyt smaczny. Rand uznał, że to im pewnie wystarczy do końca tygodnia. A potem. . . Hurin jadł powoli, natomiast Loial przełknął swoją porcję z grymasem na twarzy, po czym rozsiadł się wygodniej ze swoją fajką i drażgiem w zasięgu ręki. Rand starał się, by ich ognisko było niewielkie i dobrze ukryte wśród drzew. Fain, Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki mogli być dostatecznie blisko, by wypatrzeć ogień, mimo stałych narzekań Hurina odnośnie do dziwnego charakteru tropu, jaki za sobą zostawiali.

Dziwiło go, że zaczął o nich myśleć jako o Sprzymierzeńcach Ciemności Faina, trollokach Faina. Fain był przecież zwykłym szaleńcem.

„No to czemu go uwolnili?”

Czarny umieścił Faina w swoich planach odszukania go. Być może to się jakoś z tym wiązało.

„No to czemu on ucieka, zamiast mnie ścigać? A co zabiło tamtego Pomora? Co się stało w tamtej izbie pełnej much? A te oczy, obserwujące mnie w Fal Dara? I tamten wiatr, który mnie pochwycił jak żywica żuka. Nie. Nie, Ba'alzamon na pewno nie żyje”.

Aes Sedai w to nie wierzyły. Moiraine nie wierzyła, ani Amyrlin. Uparł się, że nie będzie o tym więcej myślał. Musiał teraz myśleć wyłącznie o odzyskaniu sztyletu dla Mata. O znalezieniu Faina i Rogu.

„To się nigdy nie skończy, al'Thor”.

Ten głos przypominał lekki wiatr szepczący w tyle głowy, cichy, lodowaty pomruk wdzierający się do zakamarków umysłu. Wręcz miał ochotę poszukać pustki, żeby przed nim uciec, ale przypomniał sobie, co go tam czeka i porzucił pragnienia.

W półmroku zmierzchu ćwiczył różne postawy ze swoim mieczem, tak jak go uczył Lan, mimo że bez pustki. Rozdzieranie Jedwabiu. Koliber Całujący Różę. Czapla Brodząca w Sitowiu, dla umiejętności zachowania równowagi. Skupiony wyłącznie w szybkich, pewnych ruchach, zapominając na jakiś czas, gdzie jest,

ćwiczył tak wytrwale, że cały się oblał potem. Jednakże gdy skończył, wszystko powróciło, nic nie uległo zmianie. Nie było zimno, ale cały dygotał, więc otulił się płaszczem i skulił przy ognisku. Pozostałym udzielił się jego nastrój, dokończyli posiłek szybko i w milczeniu. Nikt nie zaprotestował, gdy zarzucił ziemią ostatnie drżące płomyki.

Rand pełnił wartę jako pierwszy, spacerował po skraju zagajnika ze swoim łukiem, czasami wysuwał miecz z pochwy. Lodowaty księżyc, nadal w pełni, odznaczał się wysoko na tle czerni, a noc była równie cicha jak dzień, równie pusta. Pusta, to było najwłaściwsze słowo. Ta kraina była tak pusta jak pokryty kurzem garnek na mleko. Trudno było uwierzyć, że na całym świecie żyje ktoś jeszcze, na tym świecie, z wyjątkiem ich trzech, trudno było uwierzyć, że gdzieś tam, przed nimi, wędrują Sprzymierzeńcy Ciemności.

Złakniony towarzystwa, rozłożył płaszcz Thoma Merrilina, a na nim futerały z twardej skóry, w których schowane były flet i harfa. Potem wyjął złoto-srebrny flet z futerału, pogładził go, wspominając, jak bard uczył go na nim grać i odegrał kilka nut „Wiatru, który kołysze wierzbą”. Grał cicho, by nie pobudzić pozostałych, a po chwili z westchnieniem schował flet i ponownie zawinął go w płaszcz.

Trzymał wartę do późnej nocy, pozwalając, by tamci się wyspali. Nie wiedział, czy jest bardzo późno, gdy nagle zauważył, że podniosła się mgła. Zalegała tuż nad ziemią, tak gęsta, że Hurin i Loial wyglądali jak kopce, stworzone jakby z chmur. Na księżyc patrzyło się niczym przez zaslonę ze zmoczonego jedwabiu. Teraz, o takiej porze, obojętnie co mogło zakraść się do nich niepostrzeżenie. Dotknął miecza.

— Miecze się mnie nie imają, Lewsie Therinie. Powinieneś o tym wiedzieć.

Mgła zawirowała wokół stóp Randa, kiedy obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi, miecz sam wszedł mu w rękę, ostrze ze znakiem czapli stanęło pionowo tuż przed oczyma. Do jego wnętrza wskoczyła pustka, po raz pierwszy ledwie zauważył skażone światło *saidina*.

Przez mgłę szła w jego stronę niewyraźna postać, wspierała się wysoką laską. Za nią, tak jakby sam cień rzucał ogromny cień, mgła ciemniała do tego stopnia, że stawała się czarniejsza od nocy. Randowi ścierpła skóra. Postać była coraz bliżej, aż w końcu przeobraziła się w sylwetkę człowieka, całego, łącznie z dłońmi, spowitego w czerń, z maską z czarnego jedwabiu skrywającą twarz, cień towarzyszył mu również. Laska była identycznie czarna, przypominała zwęglone drewno, a przy tym gładka i lśniąca niczym woda oświetlona promieniami księżyca. Otwory na oczy w masce rozjarzyły się na krótką chwilę, jakby za nimi kryły się nie oczy, lecz ognie, Rand jednak nie musiał się dowiadywać, kto to jest.

— Ba'alzamon — wydyszał. — To sen. To na pewno sen. Zasnąłem i...

Ba'alzamon wybuchł śmiechem przypominającym ryk ognia z otwartego paleniska.

— Wiecznie usiłujesz temu zaprzeczać, Lewsie Therinie. Jeśli wyciągnę rękę,

będę mógł cię dotknąć, Zabójco Rodu. Zawsze mogę cię dotknąć, zawsze i wszędzie!

— Ja nie jestem Smokiem! Nazywam się Rand al'...! — Rand zacisnął szczęki, żeby się powstrzymać od dalszego krzyku.

— Och, ja przecież znam nazwisko, którego teraz używasz, Lewsie Therinie. Znam wszystkie nazwiska, których używałaś, w miarę jak kolejny Wiek gonił Wiek poprzedni, jeszcze wcześniej, zanim zostałeś nazwany Zabójcą Rodu. — Głos Ba'alzamon powoli nabierał mocy, ognie w oczach buchały czasem tak wysoko, że Rand widział je poprzez otwory w jedwabnej masce, widział je w postaci bezkresnych mórz ognia. — Znam cię, znam twą krew i twój ród aż do pierwszej iskry życia, która go zapoczątkowała, aż do Pierwszej Chwili. Nigdy się przede mną nie ukryjesz. Nigdy! Jesteśmy z sobą związani tak nierozłącznie jak dwie strony monety. Zwykli ludzie mogą się ukryć w splotach Wzoru, lecz *ta'veren* wyróżniają się niczym ognie sygnałne na wzgórzu, a ty, ty wyróżniasz się tak, jakby ku niebu wystrzelono dziesięć tysięcy strzał, żeby wskazać miejsce twego pobytu! Jesteś mój i na zawsze w zasięgu mojej ręki!

— Ojciec Kłamstw! — wykrztusił Rand. Pomimo wypełniającej go pustki, miał wrażenie, że język przywarł mu do podniebienia.

„Światłości, błagam, niech to będzie sen”.

Ta myśl wymknęła się poza obrzeża pustki.

„Bodaj jeden z tych snów, które nie są snami. To niemożliwe, żeby on naprawdę stał przede mną. Czarny jest uwięziony w Shayol Ghul, zapieczętowany przez Stwórcę w momencie Stworzenia...”

Za wiele wiedział o prawdzie, by to w czymś pomogło.

— Właściwie cię nazwano! Gdybyś mógł mnie pojmać tak bez żadnego trudu, to czemu jeszcze tego nie zrobiłeś? Bo nie możesz. Ja podążam drogą Światłości, a ty nie możesz mnie dotknąć!

Ba'alzamon wsparł się na swej lasce i patrzył przez chwilę na Randa, po czym podszedł do Loiala i Hurina, przyjrzał im się z wysoka. Razem z nim wędrował ogromny cień. Nie zmaścił oparów mgły, zauważył Rand — poruszał się, wymachiwał laską przy każdym swoim kroku, jednakże szara mgła nawet nie zawirowała wokół jego stóp, tak jak wokół stóp Randa. To dodała mu otuchy. Być może Ba'alzamon wcale tu nie było. Może to był tylko sen.

— Dziwnych znajdujesz sobie wyznawców — zadumał się Ba'alzamon. — Zawsze tak było. Ci dwaj. Ta dziewczyna, która usiłuje się tobą opiekować. Biedna to strażniczka i słaba, Zabójco Rodu. Gdyby nawet starczyło jej całego życia na nabywanie sił, nigdy nie osiągnęłaby takiej siły, byś mógł się skryć za jej plecami.

„Dziewczyna? Kto? Moiraine z pewnością nie jest dziewczyną”.

— Nie wiem, o czym ty mówisz, Ojciec Kłamstw. Ty kłamiesz, łżesz, a nawet gdy mówisz prawdę, przekręcasz ją tak, że staje się kłamstwem.

— Doprawdy, Lewsie Therinie? Wiesz, czym jesteś, kim jesteś. Powiedziałem ci. I tak samo te kobiety z Tar Valon.

Rand drgnął niespokojnie, a Ba'alzamon wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał jak huk pioruna.

— One uważają się za bezpieczne w Białej Wieży, ale rzesze moich wyznawców przewyższają je wielokrotnie. Aes Sedai zwana Moiraine powiedziała mi, kim ty jesteś, nieprawdaż? Czy ona kłamała? Albo czy ona należy do mnie? Biała Wieża chce cię wykorzystać jak psa na smyczy. Czy ja kłamię? Czy ja kłamię, mówiąc, że poszukujesz Rogu Valere?

Znowu się roześmiał, spokój pustki nie pomógł, Rand nie był w stanie nic zrobić, tylko zakryć dłońmi uszy.

— Czasami odwieczni wrogowie walczą z sobą tak długo, że w końcu stają się sojusznikami, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. One mierzą w ciebie, ale związały się z tobą tak blisko, że jest tak, jakbyś ty kierował ciosem.

— Ty mną nie kierujesz — odparł Rand. — Zaprzeczam tobie.

— Przywiązałem cię tysiącami sznurków, Zabójco Rodu, każdy jest cieńszy od jedwabiu i mocniejszy niżli stal. Czas przeciągnął tysiące wstęg między nami. Bitwa, którą my dwaj toczyliśmy. . . pamiętasz w ogóle coś z tego? Czy choć ci świta, że już walczyliśmy wcześniej z sobą, niezliczone bitwy, od samego początku Czasu? Doskonale wiem, że nie pamiętasz! Ta bitwa wkrótce dobiegnie końca. Nadchodzi Ostatnia Bitwa. Ostatnia, Lewsie Therinie. Naprawdę myślisz, że możesz jej uniknąć? Ty biedny, drżący robaku. Będziesz mi służył albo zginiesz! I tym razem cykl nie rozpocznie się na nowo wraz z twoją śmiercią. Grób należy do Wielkiego Władcy Ciemności. Tym razem, jeśli zginiesz, zostaniesz całkowicie zniszczony. Tym razem Koło zostanie strzaskane, czego byś nie uczynił, a świat przekuty w nowy kształt. Służ mi! Służ Shai'tanowi, bo inaczej zostaniesz zniszczony na zawsze!

Kiedy padło to imię, wydawało się, że powietrze gęstnieje. Ciemność za Ba'alzamonem nabrzmiała i rozrosła się, grożąc, że pochłonie wszystko. Rand poczuł, jak go otacza, zimniejsza niż lód i jednocześnie gorętsza niż rozżarzone węgle, czarniejsza niżli śmierć, wsysała go w swoją otchłań, przejmowała panowanie nad światem.

Schwycił rękojeść miecza tak silnie, że aż rozboleły go kłykie.

— Zaprzeczam tobie i zaprzeczam twój moc. Podążam drogą Światłości. Światłość ma nas w swej opiece, a my chronimy się w dłoni Stwórcy.

Zamrugał. Ba'alzamon ciągle tam stał i nadal wisiła za nim ogromna płachta ciemności, wydawało się jednak, że to wszystko złudzenie.

— Chcesz zobaczyć mą twarz? — To był szept.

Rand przełknął ślinę.

— Nie.

— Powinieneś. — Odziana w rękawicę dłoń powędrowała do czarnej maski.

— Nie!

Maska opadła. Odstłoniła ludzką twarz, straszliwie poparzoną. Jednakże między szerniałymi na brzegach czerwonymi bruzdami, które przecinały jej rysy, skóra wyglądała na zdrową i gładką. Czarne oczy popatrzyły na Randa, okrutne wargi uśmiechnęły się, połyskując białymi zębami.

— Popatrz na mnie, Zabójco Rodu i zobacz setną część swego losu. — Na krótką chwilę te oczy i usta przemieniły się w wejścia do bezdennych jaskiń ognia. — Oto co nie pilnowana Moc może uczynić, nawet ze mną. Ja jednak uzdrawiam, Lewsie Therinie. Znam ścieżki wiodące do większej mocy. Spali cię niczym ęgę w palenisku.

— Nie dotknę jej! — Rand poczuł otaczającą go pustkę, poczuł *saidina*. — Nie dotknę.

— Nie dasz rady się opanować.

— Zostaw... mnie... W SPOKOJU!

— Moc. — Głos Ba'alzamona stał się łagodny, przymilny. — Znowu możesz mieć moc, Lewsie Therinie. Jesteś z nią związany w tej chwili. Wiem to. Widzę to. Czuję, Lewsie Therinie. Poczuj łunę płonącą w twym wnętrzu. Poczuj moc, która może należeć do ciebie. Wystarczy tylko po nią sięgnąć. Jednakże dzieli cię od niej Cień. Obłąd i śmierć. Nie musisz umierać, Lewsie Therinie, już nigdy.

— Nie — odparł Rand, lecz tamten głos nie przestawał mówić, próbował zaryć się w niego.

— Mogę nauczyć cię kontrolować moc, dzięki czemu cię nie zniszczy. Nie ma nikogo innego wśród żyjących, kto mógłby cię tego nauczyć. Wielki Władca Ciemności może cię uchronić przed szaleństwem. Moc może być twoja, możesz żyć wiecznie. Wiecznie! W zamian wystarczy, jak będziesz służył. Tylko służył. Proste słowa: „Jestem twój, Wielki Panie” i moc będzie twoja. Moc przewyższająca wszystko, o czym śnią kobiety z Tar Valon i wieczne życie, jeśli tylko się poddasz i będziesz służył.

Rand oblizwał wargi.

„Nie popaść w obłąd. Nie umrzeć”.

— Nigdy! Podążam drogą Światłości — zazgrzytał ochryple. — A tobie nigdy nie uda się mnie dotknąć!

— Dotknąć cię, Lewsie Therinie? Dotknąć cię? Ja cię mogę spalić! Posmakuj tego, poznaj, jak ja poznałem! Czarne oczy znowu stały się ogniem, z ust wykwitł płomień, który rósł długo, aż w końcu wydawało się, że jarzy się mocniej niż słońce w samej pełni lata. Powiększał się wciąż i nagle miecz Randa rozżarzył się tak, jakby właśnie został wyciągnięty z paleniska w kuźni. Krzyknął przeraźliwie, czując, jak rękojeść parzy go w ręce, wrzasnął i upścił miecz. A mgła zajęła się ogniem, ogniem, który skakał w górę, który palił wszystko.

Jęcząc głośno, Rand uderzał się po ubraniu, które dymiło, tliło się i rozpadało na popiół, uderzał się dłońmi, które czerniały i kurczyły się, jako że nagie ciało

pękało i odpadało płatami w ogniu. Krzyczał przeraźliwie. Ból napierał na wypełniającą go pustkę, kiedy usiłował wpełznąć w nią jak najgłębiej. Był w niej blask, skażone światło poza zasięgiem wzroku. W połowie oszalały, nie zważając już, czym jest, sięgał do *saidina*, próbował owinać się wokół niego, próbował ukryć w nim przed ogniem i bólem.

Ogień, równie nagle jak wybuchł, zgasł. Rand spojrział wytrzeszczonymi oczyma na swoją dłoń wystającą z czerwonego rękawa kaftana. Na wełnianej tkaninie nie było nawet śladu sadzy.

„Wyobraziłem sobie to wszystko”.

Rozejrzał się dookoła oszalałym wzrokiem. Ba'alzamon zniknął. Hurin poruszał się we śnie, wężyciel i Loial nadal wyglądali jak dwa kopce wystające ponad mgłę nisko zalegającą tuż nad ziemią.

„Ja naprawdę to sobie wyobraziłem”.

Zanim uczucie ulgi miało szansę się rozrosnąć, ból przeszył jego prawą rękę, podniósł ją do oczu. We wnętrzu dłoni miał odcisniętą czapkę. Czapkę z rękojęści swego miecza, gniewną i czerwoną, odbitą tam tak wyraźnie, jakby to był rysunek wykonany ręką jakiegoś artysty.

Wygrzebał chusteczkę z kieszeni kaftana i owinał ją wokół ręki. Czuł w niej pulsowanie. Pustka by temu zaradziła — w pustce miał świadomość bólu, ale nie czuł go — ale wyrzucił tę myśl ze swego umysłu. Już dwukrotnie, nieświadomie — a raz celowo, nie mógł o tym zapomnieć — próbował zaczerpnąć Jedynej Mocy, kiedy znajdował się w pustce. To właśnie tym próbował go skusić Ba'alzamon. Tego właśnie chciały od niego Moiraine i Zasiadająca na Tronie Amyrlin. A on nie chciał.



## W ZWIERCIADLE CIEMNOŚCI

Nie powinieneś był tego robić, lordzie Rand — powiedział Hurin, gdy Rand obudził ich tuż przed świtem. Słońce nadal się kryło za horyzontem, ale światła już było dosyć. Mgła stopniała, gdy jeszcze panował mrok, blednąc z niechęcią. — Jeśli pragnąc nas oszczędzić, nadwerężysz sił, kto nam pomoże wrócić do domu?

— Musiałem pomyśleć — odparł Rand. Nie było ani śladu po mgle, ani po Ba'alzamonie. Pogładził chustkę owiniętą wokół prawej dłoni. Stanowiło to dowód jego bytności. Z całych sił pragnął opuścić to miejsce. — Musimy zaraz dosiąść koni, jeśli mamy zamiar złapać Sprzymierzeńców Ciemności Faina. Już dawno po czasie. Suchary możemy jeść podczas jazdy.

Loial, który właśnie się przeciągał, znieruchomiał, jego ręce sięgały wysokości, jakiej dosięgnąłby Hurin, stawając na ramionach Randa.

— Twoja ręka, Rand. Co się stało?

— Skaleczyłem się. To nic takiego.

— Mam balsam w sakwie. . .

— To nic takiego! — Rand wiedział, że mówi opryskliwym głosem, ale wystarczyłoby jedno spojrzenie na to piętno, by wywołać pytanie, na które nie miał ochoty odpowiadać. — Czas ucieka. Ruszajmy już.

Zabrał się za siodłanie Rudego, niezdarne z powodu skaleczonej dłoni, Hurin doskoczył do swojego wierzchowca.

— Nie trzeba być takim drażliwym — mruknął Loial.

Jakikolwiek ślad, stwierdził Rand, byłby czymś naturalnym w tym świecie. Za wiele jest rzeczy nienaturalnych. Nawet widok jednego odcisku końskiego kopyta stanowiłby miły widok. Fain, Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki musieli zostawić jakiś trop. Nie odrywał wzroku od ziemi, usiłując wyłowić choćby jeden. ślad żywej istoty.

Nie zobaczył nic, ani przewróconego kamyka, ani odrzuconej bryłki ziemi. Raz spojrzął za siebie, żeby się upewnić, czy w tej ziemi końskie kopyta w ogóle mogą zostawiać ślady — zerwana darń i ubita trawa wyraźnie wyznaczały pokonaną przez nich drogę, natomiast grunt przed nimi był zupełnie nienaruszony. Jednak Hurin upierał się, że czuje trop, słaby i niewyraźny, ale wciąż wiodący na południe.

Węszyciel ponownie skupił całą swoją uwagę na wyszukiwanym przez niego tropie, niczym pies myśliwski ścigający jelenia, natomiast Loial ponownie zatopił się we własnych myślach, mrużąc coś do siebie i pocierając ogromny drąg przymocowany do siodła.

Nie jechali dłużej niż godzinę, gdy Rand zobaczył w oddali iglicę. Tak był pochłonięty wypatrywaniem śladów, że zanim ją w ogóle zauważył, stożkowata kolumna już wyraźnie wychynęła ponad drzewa.

— Ciekaw jestem, co to takiego.

Kolumna stała dokładnie na ich drodze.

— Nie wiem, co to może być — odparł Loial.

— Jeśli to... gdyby to był nasz świat, lordzie Rand... Hurm poprawił się niespokojnie w siodle. — Cóż, ten pomnik, o którym opowiadał lord Ingtar, ten wzniesiony na cześć zwycięstwa Artura Hawkinga nad trollokami, to była właśnie wielka iglica. Ale ona została zburzona tysiąc lat temu. Nie zostało nic prócz wielkiego kopca, wielkiego jak wzgórze. Widziałem je, zanim z rozkazu lorda Agelmara przyjechałem do Cairhien.

— Według słów Ingtara — powiedział Loial — powinny nas od niej dzielić trzy albo cztery dni jazdy. Jeśli to w ogóle ona. Nie wiem, dlaczego niby tak miałyby być. Nie wygląda, że tu w ogóle żyją jacyś ludzie.

Węszyciel wbił wzrok w ziemię.

— O to właśnie chodzi, prawda, Budowniczy? Nikogo dookoła, a ona tam stoi, przed nami. Może powinniśmy trzymać się z dala, lordzie Rand. Stąd nie sposób stwierdzić, coż to właściwie takiego i czy są tam jacyś ludzie.

Rand bębnił przez chwilę palcami po wysokim łęku siodła i zastanawiał się.

— Musimy w miarę możliwości jak najściślej trzymać się tropu — orzekł w końcu. — Jak dotąd, wcale nie zbliżyliśmy się do Faina, więc nie należy tracić czasu. Jeśli zobaczymy jakichś ludzi albo coś niezwykłego, wówczas postaramy się ich ominąć. Do tego czasu jedziemy przed siebie.

— Jak rzeczesz, lordzie Rand — odrzekł dziwnym głosem węszyciel i zerknął przelotnie na Randa podejrziwym wzrokiem. — Jak rzeczesz.

Rand marszczył przez chwilę brwi, zanim wreszcie zrozumiał. Teraz z kolei on westchnął. Lordowie nie wyjaśniają niczego tym, którzy wypełniają ich rozkazy, tylko innym lordom.

„Nie prosiłem go, by mnie uważał za jakiegoś przeklętego lorda”.

„Ale on cię za niego uznał — odpowiedział mu jakiś cichy głos — a ty mu na to pozwoliłeś. Dokonałeś wyboru, teraz musisz spełnić swój obowiązek”.

— Podejmij trop, Hurmie — powiedział Rand.

Węszyciel błysnął uśmiechem ulgi i pognął swego konia do przodu.

Blade słońce wspinało się coraz wyżej po nieboskłonie, jechali wciąż przed siebie, a gdy wreszcie zawisło ponad ich głowami, od iglicy dzieliło ich około

jednej mili. Dotarli do brzegu strumienia, rzeźbiącego płytką szczelinę, głębokości najwyżej jednego kroku. Przestrzeń dzielącą ich od iglicy porastały rzadkie drzewa. Rand widział kopiec, na którym ją postawiono, okrągłe wzgórze ze spłaszczonym wierzchołkiem. Szara iglica wznosiła się na wysokość przeszło stu piędzi, widać było już szczyt wyrzeźbiony na kształt ptaka z rozpostartymi skrzydłami.

— Jastrząb — powiedział Rand. — To jest pomnik Hawkinga. Na pewno. Tu kiedyś byli ludzie, może nawet jeszcze są. Po prostu tutaj pobudowali go w innym miejscu i nigdy nie zburzyli. Pomyśl o tym, Hurin. Kiedy wrócimy, będziesz mógł opowiedzieć, jak naprawdę wyglądał. Z wszystkich ludzi żyjących na świecie, tylko nas trzech go widziało.

Hurin przytaknął.

— Tak, mój panie. Dzieci z chęcią wysłuchają opowieści o tym, jak ich ojciec widział iglicę Hawkinga.

— Rand — zaczął Loial zmartwionym głosem.

— Możemy pokonać tę odległość galopem — oświadczył Rand. — No dalej. Przyda nam się trochę szybszej jazdy. Może to martwa kraina, ale my jesteśmy żywi.

— Rand — powiedział Loial — ja myślę, że to nie jest...

Nie czekając, aż skończy, Rand wbił pięty w boki Rudego i ogier pomknął przed siebie. Pokonał wstęgę strumienia dwoma skokami, rozbryzgując wodę na boki, po czym wdrapał się na drugi brzeg. Hurin pognął swego wierzchowca tuż za nim. Rand słyszał za sobą wołanie Loiala, ale tylko się roześmiał, machnął ręką do Ogira na znak, że ma jechać za nimi i galopował dalej. Jeśli nie odrywał oczu od jednego miejsca, okolica nie wydawała się tak nieprzyjemnie pomykać i ślizgać, przyjemnie było poczuć powiew wiatru na twarzy.

Kopiec zajmował obszar dobrych dwóch hajdów, porośnięte trawą zbocze wznosiło się pod łagodnym kątem. Szara iglica wznosiła się ku niebu, tak kanciasta i szeroka, że mimo swej wysokości, wyglądała na masywną, nieomal przysadzistą. Randowi śmiech zamarł na ustach, ściągnął wodze Rudego z ponurą miną.

— Czy to pomnik Hawkinga, lordzie Rand? — spytał niespokojnie Hurin. — Coś dziwnie wygląda.

Rand rozpoznał to niezdarne, kanciaste pismo, które pokrywało przód pomnika, odcyfrował też kilka symboli wyrytych na podstawie, każdy z nich wysokości niemalże człowieka. Rogata czaszka trolloków Da'vol. Żelazna pięść Dhai'mon. Trójząb Ka'bol i trąba powietrzna Ahf frait. Był tam też jastrząb, wyrzeźbiony na samym dole. Rozpostarłszy skrzydła o rozpiętości dziesięciu kroków, leżał na grzbiecie, przebity błyskawicą, a kruki wydziobywały mu oczy. Ogromne skrzydła na szczycie iglicy zdawały się zatrzymywać promienie słoneczne.

Usłyszał teraz głos Loiala, który zbliżał się galopem.

— Próbowałem ci wytłumaczyć, Rand — powiedział Loial. — To kruk, nie jastrząb. Ja go wyraźnie widziałem.

Hurin zawrócił konia, nie chcąc patrzeć na iglicę ani chwili dłużej.

— Ale dlaczego? — spytał Rand. — Przecież Artur Hawking pokonał tutaj trolloki. Ingtar tak powiedział.

— Nie tutaj — wolno odparł Loial. — To jasne, że nie tutaj. „Od Kamienia do Kamienia biegają nici „jeśli”, pomiędzy światami, które mogą być”. Zastanawiałem się nad tym i myślę, że chyba wiem, co znaczą te „światy, które mogą być”. Być może wiem. To światy, które mogłyby być naszym światem, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Może właśnie dlatego to wszystko ma taki... spłowiaty wygląd. Bo to jest „jeśli”, „może”. Zaledwie cień prawdziwego świata. W tym świecie, jak sądzę, trolloki wygrały. Może dlatego nie widzieliśmy żadnych wiosek ani ludzi.

Randowi ścierpła skóra. Tam, gdzie odnosiły zwycięstwo, trolloki nie zostawiały żadnych ludzi przy życiu, chyba że na pożywienie. Jeśli one odniosły zwycięstwo nad całym tym światem...

— Gdyby trolloki zwyciężyły, byłyby tutaj wszędzie. Do tej pory zobaczylibyśmy ich z tysiąc. Już wczoraj byłibyśmy martwi.

— Nie wiem, Rand. Być może po tym, jak pozabijały ludzi, pozabijały również siebie nawzajem. Życie trolloków polega na zabijaniu. Tylko to robią, po to właśnie istnieją. Ja po prostu nie wiem.

— Lordzie Rand — odezwał się nagle Hurin — tam się coś poruszyło.

Rand błyskawicznie zawrócił konia, przygotowany na widok szarżujących trolloków, lecz Hurin wskazywał na drogę, którą przyjechali, a na niej nic nie było widać.

— Co ty zobaczyłeś, Hurin? Gdzie?

Węszyciel opuścił rękę.

— Dokładnie tam na skraju tych drzew, około mili stąd. Wydało mi się, że to... kobieta... i coś jeszcze, czego nie rozpoznałem, ale... — Zadrżał, a potem dokończył: — ...tak trudno rozpoznawać rzeczy, które nie wejdą człowiekowi pod sam nos. Ojoj, od tego miejsca kłębi mi się w żołądku. Pewnie coś sobie zmyśliłem, mój panie. To miejsce jest idealne do głupich wymysłów. — Przygarbił ramiona, jakby czuł na nich napór iglicy. — To był pewnie tylko wiatr, mój panie.

— Obawiam się, że trzeba przemyśleć coś jeszcze — powiedział Loial. Wyraźnie zakłopotany, wskazywał na południe. — Co tam widzicie?

Sunący z naprzeciwka krajobraz zmuszał Randa do zezowania.

— Taki sam teren jak ten, po którym właśnie jechaliśmy. Drzewa. Dalej jakieś wzgórza i góry. Nic innego. Co chcesz, żebym zobaczył?

— Te góry — westchnął Loial. Kępki włosów na jego uszach obwisły, a końcówki brwi sięgnęły policzków. — To na pewno Sztylet Zabójcy Rodu, Rand. Nie

może tam być innych gór, chyba że ten świat całkowicie się różni od naszego. Jednakże Sztylet Zabójcy Rodu jest położony ponad sto lig na południe od Erinin. O wiele dalej. Trudno oceniać odległości w tym miejscu, ale... Myślę, że dotrzemy doń przed zmierzchem.

Nie musiał dodawać nic więcej. Stu lig nie pokonaliby w czasie krótszym niż trzy dni.

— Może to miejsce jest podobne do Dróg — mruknął Rand bez zastanowienia.

Usłyszał jęk Hurina i natychmiast pożałował, że nie trzymał języka na wodzy.

Nie była to przyjemna myśl. Jeśli się weszło do jakiejś Bramy — znajdowały się tuż poza granicami *stedding* i w gajach Ogirów — i wędrowało przez cały dzień, wówczas można było wyjść przez inną Bramę oddaloną o sto lig od miejsca, od którego się zaczęło wędrowkę. Drogi były w obecnych czasach ciemne i straszne, podróżowanie po nich oznaczało ryzykowanie śmiercią lub szaleństwem. Nawet Pomory bały się podróżować Drogami.

— Jeśli to są Drogi, Rand — wolno powiedział Loial — to czy każdy błędnie postawiony krok również tutaj może nas zabić? Czy są tu rzeczy, jak dotąd niewidoczne, które mogą nam zrobić coś jeszcze gorszego, niż tylko zabić?

Hurin ponownie jęknął.

Pili wodę, jechali przed siebie, nie zastanawiając się zupełnie nad tym światem. Beztroska była przyczyną rychłej śmierci w Drogach. Rand przełknął ślinę, z nadzieją, że jego żołądek zaraz się uspokoi.

— Za późno, żeby się przejmować tym, co za nami — powiedział. — Od tej chwili jednak będziemy uważali na swoje kroki.

Zerknął na Hurina. Węszyciel wtulił głowę w ramiona, miotał oczami na wszystkie strony, jakby gorączkowo zastanawiał się, co na niego skoczy i skąd. Ten człowiek tropił morderców, ale teraz zważyło się na niego więcej, niż mógł znieść.

— Opanuj się, Hurin. Jeszcze nie zginęliśmy i nie zginiemy. Po prostu od tej chwili musimy być ostrożni. To wszystko.

W tym właśnie momencie usłyszeli przeraźliwy krzyk, stłumiony przez odległość.

— To kobieta! — powiedział Hurin. Nawet ta odrobina normalności wyraźnie go ożywiła. — Wiedziałem, że...

Znowu usłyszeli krzyk, znacznie bardziej rozpaczliwy niż poprzedni.

— Musiałaby umieć fruwać — orzekł Rand. — Ona jest na południe od nas. — Kopniakami zmusił Rudego, by już po dwóch krokach zaczął biec na złamanie karku.

— Bądź ostrożny, sam ostrzegałeś! — krzyknął w ślad za nim Loial. — Światłości, Rand, pamiętaj! Bądź ostrożny!

Rand położył się płasko na grzbiecie Rudego, pozwalając ogierowi ruszyć pełnym galopem. Łatwo było mówić o ostrożności, ale w głosie kobiety brzmiał

śmiertelny strach. Jej krzyk nie pozostawiał mu czasu na ostrożność. Na skraju następnego strumienia, w parowie o stromych brzegach, głębszym niż większość dotąd przekraczanych, ściągnął wodze, Rudy zahamował, rozbryzgując na wszystkie strony grad kamieni i grud błota. Krzyki nie ustawały...

„Tam!”

Ogarnął wszystko jednym spojrzeniem. W odległości jakichś dwustu kroków, pośrodku strumienia, stała obok swego konia kobieta i cofała się w kierunku drugiego brzegu. Ułamaną gałęzią odpędzała warczące... coś. Rand przełknął ślinę, przez chwilę oszołomiony. Gdyby żaba była tak wielka jak niedźwiedź, albo gdyby niedźwiedź miał szarozieloną skórę żaby, mógłby tak wyglądać. Wielki niedźwiedź.

Nie zastanawiając się dłużej, zeskoczył na ziemię, zdejmując łuk z pleców. Gdyby próbował podejść bliżej, mogłoby być za późno. Kobieta ledwie potrafiła utrzymać to... coś... na odległość wyciągniętej gałęzi. Dzielił ich spory dystans — mrugał, starając się go ocenić, dystans wydawał się zmieniać o całe pięćdziesiąt za każdym razem, gdy to coś się poruszyło — niemniej jednak cel był duży. Naciąganie cięciwy obandażowaną dłonią nie wychodziło zgrabnie, wypuścił jednak strzałę, zanim unieruchomił nogi.

Grot utkwiał do połowy w skórze, a bestia odwróciła się błyskawicznie, by spojrzeć na Randa. Mimo odległości odruchowo zrobił krok w tył. Nie przychodziło mu do głowy żadne zwierzę o takim ogromnym, trójkątnym łbie, szerokim dziobie, zakrzywionym do rozrywania mięsa. Poza tym stworzenie miało troje oczu, małych i dzikich, otoczonych wyraźnie twardymi obwódkami. Bestia rozpedziła się i rzuciła się w jego stronę przez strumień, wielkimi susami, rozbryzgując wodę. Oko mamiło Randa, jakby niektóre ze skoków były dwukrotnie dłuższe niż inne, choć przecież musiały być takie same.

— W oko! — zawołała kobieta. Zważywszy poprzednie krzyki, jej głos brzmiał teraz zaskakująco spokojnie. — Musisz trafić w oko, żeby go zabić.

Przyciągnął lotki następnej strzały do ucha. Z niechęcią poszukał pustki, nie chciał tego robić, jednak to właśnie w tym celu uczył go Tam i wiedział, że bez niej nigdy nie uda mu się trafić.

„Mój ojciec” — pomyślał z uczuciem straty i wypełniła go pustka. Zobaczył migotliwe światło *saidina*, ale zamknął się przed nim. Stał się jednością z łukiem, ze strzałą, z monstualnym kształtem pędzącym prosto na niego. Zespolił się z tym maleńkim okiem. Nawet nie poczuł, gdy strzała wyskoczyła z cięciwy.

Bestia zerwała się do kolejnego skoku, w najwyższym punkcie jej lotu strzała trafiła prosto w środkowe oko. Zwierzę wylądowało, wzbijając ogromną fontannę wody i błota. Po chwili już tylko kręgi rozchodziły się po powierzchni wody, ciało jednakże pozostawało zupełnie nieruchome.

— Dobry strzał i bardzo odważny — zawołała kobieta. Zdążyła już dotrzeć do swego konia i jechała mu na spotkanie. Rand poczuł lekkie zdziwienie, iż nie za-

częła uciekać w chwili, kiedy uwaga stwora została odwrócona. Minęła zwałiste cielsko, nadal otaczane drobnymi falami znamionującymi drgawki agonii, nawet na nie nie zerknąwszy. Jej wierzchowiec wdrapał się na drugi brzeg, potem zsiadła.

— Niewielu ludzi odważyłoby się stanąć do walki z szarżującym *grolmem*, mój panie.

Cała odziana była w biel. Suknię miała podkasaną do jazdy na koniu i spiętą srebrnym pasem, buty wyzierające spod brzegu spódnicy też zdobiło srebro. Nawet jej siodło było białe i nabijane srebrem. Śnieżnobiała klacz, z wygiętym w łuk karkiem i roztańczonym krokiem, nieomal dorównywała wzrostem gniadoszowi Randa. Jednakże jego wzrok przykuła przede wszystkim kobieta, na pierwszy rzut oka być może rówieśniczka Nynaeve. Po pierwsze: była wysoka, o dłoń wyższa od Wiedzącej i jej oczy znajdowały się prawie na linii jego wzroku. Po drugie: była piękna, cera o barwie kości słoniowej odznaczała się wyraźnie na tle długich, ciemnych jak noc włosów i czarnych oczu. Widział w życiu wiele pięknych kobiet. Moiraine była piękna, nawet mimo swego chłodu, podobnie Nynaeve, gdy nie władał nią jej krewki temperament. Egwene i Elayne, Dziedziczka Tronu Andor, potrafiły zaprzeczyć człowiekowi dech w piersiach. Natomiast ta kobieta... Język przysechł mu do podniebienia, czuł jak serce na powrót zaczyna bić.

— Twoja świta, mój panie?

Zaskoczony obejrzał się. Hurin i Loial już do nich dołączyli. Hurin gapił się w taki sposób, w jaki Rand najprawdopodobniej też patrzył, nawet Ogir był wyraźnie zafascynowany.

— Moi przyjaciele — przedstawił ich. — Loial i Hurin. Ja nazywam się Rand. Rand al'Thor.

— Nigdy przedtem o tym nie myślałem — powiedział nagle Loial takim głosem, jakby mówił do siebie — jeśli jednak istnieje coś takiego jak doskonałe ludzkie piękno, w twarzy i kształcie, to...

— Loial! — krzyknął Rand.

Uszy Ogira zeszywniały z zażenowania. Uszy Randa też były czerwone, słowa Loiala za bardzo ujawniały to, co on sam myślał.

Kobieta roześmiała się melodyjnie, ale w następnej chwili była na powrót władczo uroczysta, niczym królowa na swoim tronie.

— Nazywam się Selene — powiedziała. — Ryzykowałeś życiem, by uratować moje. Należę do ciebie, lordzie Randzie al'Thor.

I z tymi słowami, ku przerażeniu Randa, uklękła przed nim.

Nie patrząc na Hurina, ani Loiala, pośpiesznie pomógł jej wstać.

— Mężczyzna, który nie zdecyduje się polec w obronie kobiety, nie jest mężczyzną.

Natychmiast okrył się wstydem, czerwieniąc się. Było to shienarańskie powiedzenie i wiedział, że brzmi pompatycznie, jeszcze zanim wymknęło mu się z ust,

ale to ona zaraziła go swoim zachowaniem i nie potrafił się przed tym powstrzymać.

— Chciałem rzec... To znaczy, to było...

„Głupcze, nie możesz mówić kobiecie, że ratowanie jej życia to drobiazg”.

— To był dla mnie zaszczyt. — Zabrzmiało to niby po shienarańsku i jednocześnie uroczyście. Miał nadzieję, że wystarczyło, w myślach nie potrafił znaleźć już nic więcej, jakby jego umysł nadal znajdował się w pustce.

Nagle poczuł na sobie jej wzrok. Wyraz twarzy Selene nie uległ zmianie, lecz pod wpływem spojrzenia tych czarnych oczu miał uczucie, że jest zupełnie nagi. Spontanicznie wyobraził sobie Selene bez ubrania. Jego twarz znowu okryła się rumieńcem.

— Aaach! Ach, skąd pochodzisz, Selene? Odkąd się tu znaleźliśmy, nie napotkaliśmy żadnej ludzkiej istoty. Czy pochodzisz z jakiegoś pobliskiego miasta?

Popatrzyła na niego uważnie, cofnął się o krok. Pod wpływem tego spojrzenia czuł, jak blisko siebie stoją.

— Nie pochodzę z tego świata, mój panie — odparła. — Tu nie ma żadnych ludzi. Nic tu nie żyje z wyjątkiem *grolmów* i kilku innych bestii do nich podobnych. Jestem mieszkanką Cairhien. Nie bardzo wiem, jak się tu znalazłam. Wyjechałam na przejażdżkę, zatrzymałam na krótką drzemkę, a gdy się przebudziłam, razem z koniem znajdowałam się tutaj. Mogę mieć tylko nadzieję, mój panie, że znowu mnie uratujesz i pomożesz wrócić do domu.

— Selene, ja nie jestem... to znaczy, błagam, nazywaj mnie Rand. — Znowu poczuł, jak pieką go uszy.

„Światłości, nic się złego nie stanie, jeśli ona będzie mnie uważała za lorda. Niech szeszę, to przecież nic złego”.

— Jak sobie życzysz... Rand.

Pod wpływem jej uśmiechu poczuł ścisk w gardle.

— Czy pomożesz mi?

— Naturalnie, że pomogę.

„Niech szeszę, jaka ona piękna. I patrzy na mnie tak, jakbym był bohaterem z opowieści”.

Potrząsnął głową, żeby się pozbyć głupich myśli.

— Najpierw jednak musimy odszukać ludzi, których ścigamy. Będę się starał chronić cię przed niebezpieczeństwem, ale naprawdę musimy ich znaleźć. Lepiej dla ciebie, jeśli pojedziesz z nami, niż gdybyś została sama.

Milczała przez chwilę, z nieodgadnionym wyrazem na gładkiej twarzy. Rand nie miał pojęcia, o czym myśli, z wyjątkiem tego, że wyraźnie znowu mu się przyglądała.

— Obowiązkowy z ciebie człowiek — powiedziała wreszcie. Na jej wargach zapełgał nieznaczny uśmiech. — To mi się podoba. Tak. Kim są ci niegodziwcy, których ścigacie?



— Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki, moja pani — wybuchnął Hurin. Wykonał w jej stronę niezdarny ukłon z siodła. — Dokonali mordu w twierdzy Fal Dara i ukradli Róg Valere, moja pani, lecz lord Rand go odzyska.

Rand spojrzął ponurym wzrokiem na wężyciela, Hurin uśmiechnął się blado. „To tyle, jeśli chodzi o zachowanie tajemnicy”.

Przypuszczał, że tutaj to nie miało znaczenia, gdy jednak powrócą już do swego świata...

— Selene, nie wolno ci nikomu opowiadać o Rogu. Jeśli to się rozniesie, zaraz zaczniesz nam deptać po piętach setka ludzi, którzy będą chcieli go pozyskać dla siebie.

— Nie, do tego nigdy nie dojdzie — odparła Selene — by Róg miał wpaść w niepowołane ręce. Róg Valere. Nawet wam nie powiem, jak często śniłam, że go dotykam, że trzymam go w swych dłoniach. Musisz mi obiecać, jak już go będziesz miał, że pozwolisz mi go dotknąć.

— Muszę go najpierw odnaleźć, zanim będę mógł to uczynić. Lepiej ruszajmy już. — Rand podał Selene rękę, by pomóc jej wsiąść na konia, Hurin zaś zsiadł, żeby przytrzymać strzemiono. — Cokolwiek to było, co właśnie zabiłem... *grolm*?... może ich być więcej w okolicy.

Ścisnęła go mocno, miała zadziwiająco silne dłonie, a skóra w dotyku była jak... Jedwab? Coś jeszcze bardziej miękkiego, gładkiego. Rand zadrżał.

— One zawsze tu są — oświadczyła Selene.

Wysoka biała klacz drgnęła nerwowo i obnażyła zęby na widok Rudego, jednakże Selene uspokoiła ją jednym, delikatnym pociągnięciem wodzy.

Rand przełożył łuk na plecy i dosiadł Rudego.

„Światłości, jak to możliwe, by ktoś miał tak miękką skórę?”

— Hurin, którądy wiesz trop? Hurin? Hurin!

Wężyciel wzdrygnął się i ruszył z miejsca, wpatrzony w Selene.

— Tak, lordzie Rand. Ach tak... trop. Na południe, mój panie. Ciągłe na południe.

— No to jedźmy.

Rand obejrzał się niespokojnie na szarozielone cielsko *grolma* leżące w strumieniu. Łatwiej było wierzyć, że to oni są jedynymi żywymi istotami w tym świecie.

— Podejmij trop, Hurin.

Selene z początku jechała obok Randa, rozmawiając o tym i o tamtym; zadawała mu różne pytania i tytułowała lordem. Kilkanaście razy próbował jej powiedzieć, że nie jest żadnym lordem tylko pasterzem i za każdym razem, gdy na nią spojrzął, nie potrafił wydusić z siebie tych słów. Taka dama jak ona z pewnością nie rozmawiałaby w taki sposób z pasterzem, był tego pewien, nawet z takim, który uratował jej życie.

— Staniesz się sławnym człowiekiem, gdy już znajdziesz Róg Valere — powiedziała mu. — Bohaterem legend. Człowiek, który zagra na Rogu będzie twórcą swej własnej legendy.

— Nie chcę na nim grać, ani być częścią żadnej legendy.

Zapewne używała jakichś perfum, wyraźnie czuł otaczającą ją chmurę zapachu, jej obecność zdawała się wypełniać całą jego głowę. Wonne korzenie, ostre i słodkie, łaskotały nozdrza, powodowały, że musiał stale przełykać ślinę.

— Każdy mężczyzna chce być sławny. Mógłbyś się stać najsławniejszym człowiekiem wszystkich Wieków.

Za bardzo przypominało to słowa Moiraine. Smok Odrodzony niezawodnie musiałby się wyróżniać na tle wszystkich Wieków.

— Nie ja — zapewnił ją żarliwie. — Ja tylko... — wyobraził sobie pogardę, z jaką Selene przyjmie wyznanie, że jest tylko pasterzem, nie zaś lordem, jak dotychczas pozwalał jej wierzyć, i zmienił dalsze słowa — próbuję go odnaleźć. I dopomóc pewnemu przyjacielowi.

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

— Skaleczyłeś się w rękę.

— To nic takiego. — Próbował schować zranioną dłoń za kaftan, od ściskania wodzy pulsowała bólem, ale nie zdążył.

Zaskoczony pozwolił, by ujęła jego rękę, potem mógł już tylko albo brutalnie ją wyrwać, albo dopuścić, by odwinęła chustkę. Dotyk miała chłodny i wprawny. Wnętrze dłoni obrzmiało wściekłą czerwienią, lecz odcisnięta w nim czapla nadal odznaczała się wyraźnym, jednoznaczny kształtem,

Dotknęła palcem piętna, ale nic nie powiedziała, nie zapytała nawet, skąd się wzięło.

— Ręka może zeszywnieć, jeśli jej nie zaleczysz. Mam przy sobie maść, która ci pomoże.

Z kieszeni płaszcza wyjęła małą fiolkę, otworzyła ją i zaczęła delikatnie wcierać maść w oparzone miejsce.

Z początku maść wydawała się przenikać skórę chłodem, potem rozlała ciepłem po całym ciele. A działała równie dobrze, jak czasami niektóre maści Nynaeve. Patrzył zdumiony, jak czerwień blednie, a opuchlizna schodzi pod gładzącymi je palcami.

— Niektórzy mężczyźni — powiedziała, nie podnosząc oczu znad jego dłoni — sami postanawiają szukać sławy, innych zaś zmuszają do tego okoliczności. Zawsze lepiej jest decydować samemu, niż zdawać się na przypadek. Człowiek przymuszany nigdy do końca nie będzie panem samego siebie. Niczym kukiełka tańczy na sznurkach tych, którzy go zmusili.

Rand wyswobodził rękę. Piętno wyglądało tak, jakby zostało odcisnięte przed tygodniem, albo dawniej jeszcze, i zdążyło się już całkowicie zagoić.

— O czym ty mówisz? — spytał porywczym tonem.

Uśmiechnęła się do niego i zawstydził się wybuchu.

— No jakże, o Rogu rzecz jasna — odparła spokojnie, chowając maść. Jej klacz, idąca tuż obok Rudego, była tak wysoka, że jej oczy znajdowały się niewiele niżej od oczu ogiera. — Jeśli odnajdziesz Róg, sławy nie unikniesz. Czy jednak zostanie ci ona narzucona, czy też sam po nią sięgniesz? Oto pytanie.

Naprężył dłoń. Mówiła zupełnie tak jak Moiraine.

— Czy jesteś Aes Sedai?

Selene uniosła brwi, spojrzała na niego i ciemne oczy zaiskrzyły się, głos miała jednak spokojny.

— Aes Sedai? Ja? Nie.

— Nie chciałem cię obrazić. Przepraszam.

— Obrazić mnie? Nie czuję się obrażona, ale nie jestem też żadną Aes Sedai. — Nawet z tym grymasem pogardy, wyginającym jej usta, wyglądała pięknie. — One kulą się ze strachu tam, gdzie w ich mniemaniu jest bezpiecznie, a wszak tyle mogłyby zdziałać. Służą, zamiast panować, pozwalają mężczyznom toczyć wojny, zamiast zaprowadzić porządek na świecie. Nie, nigdy nie nazywaj mnie Aes Sedai.

Uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego ramieniu, żeby pokazać, iż się nie gniewa — musiał przełknąć ślinę, gdy poczuł jej dotyk — ale ulżyło mu, gdy pozwoliła swej klaczy zostać w tyle i zrównała się z Loialem. Hurin pokiwał głową w jej stronę, jakby od niepamiętnych czasów służył w rodzinie Selene.

Rand czuł ulgę, jednocześnie tęskniąc za obecnością dziewczyny. Dzieliła ich odległość zaledwie dwu piędzi — wykręcił się w siodle, by patrzeć na nią, jadącą u boku Loiala. Ogir zginał się w pół, żeby móc z nią rozmawiać — ale to nie było tak samo, jak wtedy, gdy jechała obok niego, tak blisko, że czuł ten przyprowadzający o zawrót głowy zapach, tak blisko, że mógł jej dotknąć. Rozzłoszczony wyprostował się. Właściwie wcale nie chciał jej dotykać — przypomniał sobie, że przecież kocha Egwene, wręcz czuł się winny, że musiał to sobie przypominać — ale ona była taka piękna i uważała go za lorda, a poza tym twierdziła, że będzie sławnym człowiekiem. Przepelniony goryczą, borykał się z myślami.

„Moiraine też twierdzi, że możesz być sławny, jako Smok Odrodzony. Selene nie jest Aes Sedai. No właśnie, ona pochodzi ze szlachetnego rodu z Cairhien, a ty jesteś pasterzem. Ona o tym nie wie. Jak długo będziesz pozwalał jej wierzyć w kłamstwo? Dopóki się stąd nie wydostaniemy. Jeśli w ogóle się wydostaniemy. Kiedykolwiek”.

Wraz z tą uwagą w jego myślach zapanowało ponure milczenie.

Usiłował bacznie obserwować okolicę, przez którą przejeżdżali — skoro Selene twierdziła, że kręci się tu więcej tych stworzeń... tych *grolmów*... Cóż musiał jej wierzyć, a Hurin był zbyt zajęty wyszukiwaniem tropu, by zwracać uwagę na coś więcej, zaś Loial tak zatopiony w rozmowie z Selene, że dostrzegłby cokolwiek dopiero wtedy, gdyby go ugryzło w piętę — ale przychodziło mu to z trudem.

Od zbyt raptownego kręcenia głową łzawiły mu oczy, każde wzgórze albo kępa drzew mogły się wydawać oddalone o milę, jak się na nie patrzyło pod jednym kątem i zaledwie o kilkaset piędzi, gdy się spojrzano z innego.

Góry były już coraz bliżej, co do tego przynajmniej nie miał wątpliwości. Sztylet Zabójcy Rodu złowieszczo przesłaniał niebo, a łańcuch ośnieżonych szczytów podobny był do zębów piły. Teren już się zaczynał wznosić, zwiastując bliskość gór. Dotrą do nich na długo przed zmierzchem, być może już za jakąś godzinę.

„Sto lig z okładem w niecałe trzy dni. Nawet więcej. W prawdziwym świecie jechaliśmy prawie cały dzień na południe od Erinin. Tutaj ponad sto lig w niecałe dwa dni”.

— Ona mówi, że miałaś rację odnośnie do tego miejsca, Rand.

Rand wzdrygnął się, nie zauważywszy uprzednio, że Loial podjechał bliżej. Poszukał wzrokiem Selene i zobaczył, że teraz towarzyszy Hurinowi. Węszyciel szczyrzył zęby w uśmiechu, stale się kłaniał i na wszystko, co mówiła, odpowiadał pocieraniem czoła kłykciami. Rand zerknął z ukosa na Ogira.

— Dziwię się, że potrafiłeś ją opuścić, tak blisko stykaliście się głowami podczas jazdy. Odnośnie do czego miałem rację?

— To fascynująca kobieta, nieprawdaż? Niektórzy Starsi nie wiedzą tyle o historii co ona, szczególnie o Wieku Legend, a także... no tak. Ona mówi, że miałaś rację odnośnie do Dróg, Rand. Aes Sedai, kilka z nich, badało takie światy jak ten i te badania posłużyły za podstawę do wyhodowania Dróg. Twierdzi, że istnieją światy, w których czas zmienia się w większym stopniu niż przestrzeń. Spędzisz jeden dzień w takim świecie, a po wyjściu z niego możesz odkryć, że w prawdziwym upłynął rok czy nawet dwadzieścia lat. Albo wręcz odwrotnie. Te światy, ten i inne, są odbiciem prawdziwego. Ten wydaje się nam wyblakły, ponieważ stanowi słabe odbicie, jest to rzeczywistość, która miała niewielkie szanse, by w ogóle zaistnieć. Inne są nieomal takie same jak nasz. Prawie równie wyraziste i nadto zamieszkiwane przez ludzi. Powiada, wyobraź sobie, że są to ci sami ludzie, Rand. Niesamowite, nieprawdaż? Można wejść do takiego świata i spotkać siebie samego. Wzór ma nieskończoną ilość wariantów, twierdzi Selene, a każdy z nich istnieje!

Rand pokręcił głową i zaraz pożałował, bo krajobraz zawirował, wprawiając jego żołądek w chybotanie.

— Skąd ona to wszystko wie? Ty wiesz więcej niż ktokolwiek, kogo spotkałem w życiu, Loial, a cała twoja wiedza o tym świecie ograniczała się do pogłosek.

— To mieszkanka Cairhien, Rand. Królewska Biblioteka w Cairhien należy do największych na świecie, być może jest druga po bibliotece w Tar Valon. Jak wiesz, Aielowie ją rozmyślnie oszczędzili, kiedy palili Cairhien. Oni nie są w stanie zniszczyć ani jednej książki. Czy słyszałeś, że oni...

— Nie obchodzi mnie Aielowie — wszedł mu brutalnie w słowo Rand. —

Skoro Selene tyle wie, to mam nadzieję, że doczytała się, jak nas stąd wydostać. Chciałbym, żeby Selene. . .

— Czego byś chciał od Selene? — spytała ze śmiechem dziewczyna, przyłaczając się do nich.

Rand spojrział na nią wytrzeszczonymi oczyma, miał wrażenie, jakby nie widział jej od wielu miesięcy.

— Chciałbym, żebym Selene znowu dotrzymywała mi towarzystwa w drodze — powiedział.

Loial zachichotał i Rand poczuł, że płonie mu twarz.

Selene uśmiechnęła się, spojrziała na Loiala.

— Wybaczysz nam, *alantynie*.

Ogir skłonił się ze swego siodła i pozostał z tyłu, choć kępki porastające jego uszy opadły, demonstrując niechęć.

Przez jakiś czas Rand jechał w milczeniu, radując się obecnością Selene. Niekiedy zerkał na nią kątem oka. Bardzo żałował, że nie potrafi jasno określić swych uczuć. Czy ona mogła być Aes Sedai, mimo że zaprzeczyła? Kimś przysłanym przez Moiraine, by popchnąć go na drogę, którą miał podążać zgodnie z planami Aes Sedai? Moiraine nie mogła przewidzieć, że trafią do tego dziwnego świata, poza tym żadna Aes Sedai nie próbowałaby odegnać tamtej bestii kijem, skoro była w stanie ją zabić albo przepędzić, stosując Moc. No tak. Ponieważ Selene uznała, że jest lordem, a w Cairhien przecież nikt nie mógł wiedzieć, iż jest inaczej, nadal pozwalał, by tak myślała. Była z pewnością najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu, inteligentną i wykształconą, która uważała go za odważnego, czego więcej mężczyzna może wymagać od żony?

„To też szaleństwo. Gdybym mógł się ożenić, to wziąłbym Egwene za żonę, ale ja nie mogę prosić żadnej kobiety, by poślubiła człowieka, któremu grozi obłąd, człowieka, który mógłby zrobić jej krzywdę”.

Jednak Selene była tak piękna.

Zauważył, że spogląda na jego miecz. Zawczasu przygotował sobie, co powie. Nie, nie jest mistrzem miecza, broń dał mu ojciec.

„Tam. Światłości, dlaczego to nie ty jesteś moim prawdziwym ojcem?”

Bezlitośnie zdusił w sobie tę myśl.

— To był wspaniały strzał — powiedziała Selene.

— Nie, nie jestem. . . — zaczął Rand i zamrugał. — Strzał?

— Tak. Tamto oko. Cel niewielki, ruchomy, odległość wynosiła sto kroków. Znakomicie posługujesz się łukiem.

Rand poruszył się niezdarnie.

— Ach. . . dziękuję ci. To sztuczka, której nauczył mnie ojciec.

Opowiedział jej o pustce, o tym, jak Tam uczył go strzelania z łuku. Z rozpędu opowiedział jej nawet o Lanie i lekcjach posługiwania się mieczem.

— Jedność — powiedziała z wyraźnym zadowoleniem. Zauważyła jego pytające spojrzenie i dodała: — Tak to się nazywa. . . w niektórych miejscach. Jedność. Chcąc nauczyć się w pełni z niej korzystać, najlepiej stale się nią otaczać, zawsze w niej przebywać. W każdym razie tak słyszałam.

Nawet nie musiał sobie przypominać, co czekało na niego w pustce, by znać swoją odpowiedź na taką propozycję, ale odparł tylko:

— Przemyślę to.

— Noś w sobie cały czas tę swoją pustkę, Randzie al'Thor, a nauczysz się nią posługiwać w najmniej spodziewanych momentach.

— Powiedziałem, że to przemyślę. — Znowu otworzyła usta, ale nie pozwoliła jej mówić. — Ty się na tym wszystkim znasz. Wiesz o pustce, czyli, jak powiadasz, Jedności. O tym świecie. Loial cały czas czyta książki, przeczytał więcej książek, niż ja widziałem na oczy, a znał tylko jeden fragment na temat Kamieni.

Selene wyprostowała się w siodle. Zmienacka jej widok przywiódł mu na myśl Moiraine i Królową Morgase, owładnięte gniewem.

— Jest taka książka, która opisuje te światy — oświadczyła sucho. — Zwierciadła Koła. Widzisz, *alantin* nie widział wszystkich książek, jakie istnieją.

— Co to jest ten *alantin*, jak go tytułujesz? Nigdy nie słyszałem. . .

— Tam jest ten Kamień Portalu, obok którego się obudziłam — powiedziała Selene, pokazując ręką góry, na wschód od drogi.

Rand poczuł, że bardzo brak mu jej ciepła i uśmiechów.

— Jeśli pojedziemy w tamtą stronę, to pomożesz mi wrócić do domu, tak jak obiecałeś. Dotrzemy tam w godzinę.

Rand ledwie spojrział w kierunku, który pokazywała. Użycie Kamienia — nazywała go Kamieniem Portalu — wymagało korzystania z Mocy, nie było innego sposobu zabrania Selene do prawdziwego świata.

— Hurin, jak tam z tropem?

— Słabszy niż dotąd, lordzie Rand, ale wciąż jest. — Węszyciel obdarował Selene ukradkowym uśmiechem i skinieniem głowy. — Chyba zaczyna zbaczać na zachód. Tam jest kilka łatwiejszych przełęczy, które wiodą na szczyt Sztyletu, pamiętam to z mojej wyprawy do Cairhien.

Rand westchnął.

„Faro albo któryś z jego Sprzymierzeńców Ciemności na pewno zna inny sposób na korzystanie z Kamieni. Sprzymierzeniec Ciemności nie mógłby korzystać z Mocy”.

— Ja muszę szukać Rogu, Selene.

— Skąd wiesz, że ten twój drogocenny Róg jest w ogóle w tym świecie? Jedź ze mną, Rand. Odnajdziesz swoją legendę, obiecuję ci. Jedź ze mną.

— Sama możesz użyć Kamienia, Kamienia Portalu — powiedział ze złością. Jeszcze zanim te słowa opuściły jego usta, już chciał je wycofać.

„Dlaczego ona stale mi mówi o legendach?”

Uparcie jednak obstawał przy swoim.

— Kamień Portalowy nie wciągnął cię tu sam. To ty to zrobiłaś, Selene. Skoro zmusiłaś Kamień, by cię tu ściągnął, to możesz go zmusić, żeby cię stąd zabrał. Odwozę cię do niego, ale potem będę musiał ruszyć na poszukiwanie Rogu.

— Ja nic nie wiem o używaniu Kamieni Portalu, Rand. Nawet jeśli naprawdę coś zrobiłam, to nie mam pojęcia, co to było.

Rand przyjrzał się jej uważnie. Siedziała w siodle, sztywno wyprostowana i wysoka, równie władcza jak przedtem, ale jakby też nieco złagodniała. Wyniosła, a jednak krucha i słaba, potrzebowała go. Przedtem przypuszczał, że jest w wieku Nynaeve — kilka lat starsza od niego — ale zrozumiał, że się pomylił. Miała mniej więcej tyle lat co on, była piękna i potrzebowała go. Pomyślał, tylko pomyślał, o pustce migoczącej w jego umyśle i o tamtym świetle. *O saidinie*. Żeby móc użyć Kamienia Portalowego, będzie musiał się znowu zanurzyć w skazie *saidina*.

— Zostań ze mną, Selene — poprosił. — Znajdziemy Róg i sztylet Mata, a zaraz potem drogę powrotną. Obiecuję ci. Tylko zostań ze mną.

— Ty zawsze... — Selene zrobiła głęboki wdech, jakby próbowała się opamiętać. — Jesteś taki uparty. Cóż, potrafię docenić upór w mężczyźnie. Niewiele można się doszukać w kimś, kto jest zbyt uległy.

Rand poczerwieniał. Czegoś takiego nie mówiła nawet Egwene, a przecież od dziecka wróżono im małżeństwo. Takie słowa z ust Selene, jak również towarzyszące im spojrzenie, doprawdy szokowały. Odwrócił się w stronę Hurina, by mu powiedzieć, żeby dalej podążał po śladzie.

Z tyłu dobiegło ich odległe, gardłowe szczerknięcie. Zanim Rand zdążył zawrócić Rudego, żeby spojrzeć w tamtą stronę, usłyszeli kolejny szczerk, a zaraz po nim trzy następne. Z początku nic nie udało mu się wypatrzyć, ponieważ krajobraz jakby migotał w oczach, ale po chwili zobaczył je na tle rozległej kępy drzew, właśnie osiadały szczyt wzgórza. Pięć kształtów, w odległości nie większej na pozór niż pół mili, najdalej tysiąc kroków, zbliżały się trzydziestostopowymi skokami.

— *Grolmy* — powiedziała spokojnie Selene. — Małe stado, ale najwyraźniej już zwietrzyły nasz zapach.

# WYBÓR

— Możemy przed nimi uciec — powiedział Rand. — Hurin, czy dasz radę galopować, jednocześnie trzymając się tropu?

— Tak, lordzie Rand.

— No to jazda. Będziemy...

— To się na nic nie zda — orzekła Selene. Jej biała klacz była jedyną wśród wszystkich wierzchowców, która nie zaczęła wierzgać, usłyszawszy gardłowe poszczekiwania *grolmów*. — One nie zrezygnują. Jak już raz zwietrzą czyjś zapach, to ścigają go, dniem i nocą, aż w końcu go dopadną. Musisz je wszystkie pozabijać albo znaleźć sposób, żeby stąd uciec w jakieś inne miejsce. Rand, Kamień Portalu może nas stąd zabrać, obojętnie dokąd.

— Nie! Możemy je pozabijać. Ja mogę. Już jednego zabiłem. Jest ich tylko pięć. Gdybym tylko znalazł... — Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu dogodnego miejsca i znalazł je. — Za mną!

Zmusił Rudego do galopu, wbijając pięty w jego boki, pewien był, że pozostali podążą w ślad za nim, jeszcze zanim usłyszał tętent kopyt.

Wybrany miejsce było niskie, okrągłe wzgórze, nie porośnięte żadnymi drzewami. Nic nie mogło się do niego zbliżyć niezauważenie. Wskoczył z siodła i ściągnął z pleców długi łuk. Loial i Hurin stanęli obok niego, Ogir ważył w dłoniach ogromny drąg, wężyciel zaciskał w garści krótki miecz. Ani drąg, ani miecz nie mogły się na wiele przydać, w razie gdyby *grolmy* podeszły zbyt blisko.

„Nie dopuszczę, żeby się zbliżyły”.

— To ryzyko nie jest konieczne — oświadczyła Selene. *Grolmy* ledwie ją interesowały, wychylona z siodła skupiła wzrok na Randzie. — Bez trudu dotrzemy do Kamienia Portalu przed nimi.

— Ja je zatrzymam.

Rand pośpiesznie przeliczył strzały, które zostały mu w kołczanie. Osiemnaście, każda długości ramienia, w tym dziesięć z grotami jak dłuta, przeznaczonymi do przebijania zbroi trolloków. Przeciwko *grolmom* były równie dobre, jak na trolloki. Zatknął cztery w ziemi, piątą nasadził na cięciwę.

— Loial, Hurin, nie przydadacie się tutaj. Dosiądźcie koni i bądźcie gotowi odwieźć Selene do Kamienia, gdyby któryś się przedał.



Zastanawiał się, czy w razie czego uda mu się zabić *grolma* mieczem.

„Jesteś obłąkany! Już lepiej korzystać z Mocy”.

Loial coś powiedział, ale nie usłyszał, już szukał pustki, wiedziony zarówno koniecznością, jak i pragnieniem ucieczki przed swymi myślami.

„Wiesz, co nastąpi. Ale w ten sposób nie muszę go dotykać.”

Widział łunę, światło czało się tuż poza zasięgiem wzroku. Wydawało się płynąć ku niemu, jednakże wszystko wypełniało się już pustką. Myśli pomykały po jej powierzchni, widoczne dzięki temu skażonemu światłu.

„*Saidin*. Moc. Szaleństwo. Śmierć”.

Uboczne myśli. Stał się jednym z łukiem, ze strzałą, ze stworzeniami znajdującymi się na szczycie następnego wzniesienia.

*Grolmy* zbliżały się, prześcigając wzajemnie wielkimi skokami, pięć ogromnych, pokrytych grubą skórą kształtów, trójjokich, z rozdziawionymi, zrogowaciałymi paszczami. Ich pochrząkiwania odbijały się od zewnętrznej powłoki pustki, ledwie słyszalne.

Rand nawet nie wiedział, że podnosi łuk, że przyciąga strzałę do policzka, do ucha. Zespolił się, stał się jednym z bestiami, jednym ze środkowym okiem pierwszego. Po chwili strzała zniknęła. *Grolm* padł, jeden z jego towarzyszy naskoczył na upadające ciało i zaczął wydzierać strzępy mięsa przypominającą dziób paszczą. Warknął coś do pozostałych i wtedy rozstały się, tworząc szeroki krąg. Zaraz jednak ruszyły na powrót i tamten, jakby zniewolony, porzucił posiłek i skoczył w ślad za nimi, z pyskiem już umazanym krwią.

Rand pracował płynnymi ruchami, bez udziału świadomości. Napiąć cięciwę i puścić. Napiąć i puścić.

Gdy w powietrze wyleciała piąta strzała, Rand opuścił łuk, nadal pogrążony w pustce, a tymczasem czwarty *grolm* upadł, niczym ogromna kukła, której przecięto sznurki. Mimo że ostatnia strzała wciąż jeszcze leciała, wiedział, że już nie musi więcej strzelać. Ostatnia bestia zwała się na ziemię, jakby stopniały jej kości, ze środkowego oka wystawało pierzaste ostrze. Znowu ze środkowego.

— Wspaniale, lordzie Rand — pochwalił go Hurin. — W życiu nie widziałem kogoś, kto by tak dobrze strzelał.

Pustka nie przestawała osaczać Randa. Światło przywoływało go, a on... ciągnął... ku niemu. Otaczało go, wypełniało.

— Lordzie Rand? — Hurin dotknął jego ramienia, Rand wzdrygnął się, pustka przemieszała się z otoczeniem. — Nic ci nie jest, mój panie?

Rand otarł czoło czubkami palców. Było suche, miał wrażenie, że całe powinno ociekać potem.

— Ja... Nic mi nie jest, Hurin.

— Słyszałam, że za każdym razem, jak to się robi, to się staje coraz łatwiejsze — powiedziała Selene. — Im częściej przebywa się w Jedności, tym jest łatwiej.

Rand spojrzął na nią.

— Cóż, więcej nie będę jej potrzebował, przynajmniej przez jakiś czas.  
„Co się stało? Ja chciałem...”

Nadal tego pragnął, pojął z przerażeniem. Pragnął wrócić do pustki, pragnął, by znowu go wypełniło światło. Wtedy miał wrażenie, że żyje naprawdę, mimo słabości, a teraz był tylko własną imitacją. Nie, gorzej. Wtedy był prawie żywy, wiedział, na czym polega „życie”. Wystarczyło tylko dotknąć *saidina*. . .

— Już nigdy — mruknął. Powędrował wzrokiem do martwych *grolmów*, pięć monstrualnych kształtów leżących na ziemi. Przestały być groźne. — Teraz możemy ruszać. . .

Za martwymi *grolmami*, zza następnego wzniesienia rozległ się gardłowy szczek, aż nadto znajomy, po chwili zawtórowały mu kolejne. Ze wschodu i z zachodu słychać ich było coraz więcej.

Rand uniósł do połowy swój łuk.

— Ile ci zostało strzał? — spytała Selene. — Dasz radę zabić dwadzieścia *grolmów*? Trzydzieści? Sto? Musimy jechać do Kamienia Portalu.

— Ona ma rację, Rand — wolno stwierdził Loial. — Już nie masz wyboru.

Hurin niespokojnie przypatrywał się Randowi. Wciąż słychać było odgłosy *grolmów*, nakładające się na siebie kilkanaście szczekliwych dźwięków.

— Kamień — zgodził się niechętnie Rand. Wskoczył gniewnym ruchem na siodło, przewiesił łuk przez plecy. — Prowadź nas do Kamienia, Selene.

Skinęła głową, kazała swej klaczy zawrócić i pocwałowała. Rand oraz pozostali ruszyli za nią, tamci ochoczo, on z ociąganiem. Ściągały ich poszczekiwanie *grolmów*, zdawało się, że jest ich setka. Tak to brzmiało, jakby *grolmy* półkregiem zamykały ich ze wszystkich stron, zaganiając do przodu.

Selene powiodła ich przez wzniesienia, szybko i zdecydowanie. Teren zaczynał już przechodzić w góry, zbocza wzniesień robiły się coraz bardziej strome, więc konie musiały się skrać po skalnych występkach o wymytych barwach i przyrośniętym do nich rzadkim, wyblakłym poszyciu. Jechało się z każdą chwilą trudniej, po coraz bardziej stromej drodze.

„Nie uda nam się” — pomyślał Rand, gdy Rudemu po raz piąty omsknęło się kopyto i ześlizgnął się w dół, strącając grad kamieni. Loial odrzucił na bok swój drag, na nic by się nie przydał w walce z *grolmami*, a na dodatek jeszcze go spowalniał. Ogir zrezygnował z jazdy, podciągał się do góry jedną ręką, drugą ciągnął za sobą swego wielkiego konia. Zwierzę o włochatych pęcinach miało trudności ze wspinaczką, lecz łatwiej radziło sobie bez jeźdźca na grzbiecie. Za nimi poszczekiwały *grolmy*, już bliżej i bliżej.

Po jakimś czasie Selene ściągnęła wodze i wskazała niewielką kotlinę skrytą w dole pośród granitowych skał. Było w niej wszystko, siedem szerokich, kolorowych stopni, biała posadzka i wysoka kamienna kolumna na środku.

Zsiadła z klaczy, wprowadziła ją do kotliny, a potem po stopniach do samej kolumny. Mający wysoko w górze szczyt budził niepokój. Odwróciła się, by

spojrzeć na Randa i pozostałych. Znowu odezwał się chór gardłowych poszczekiwań *grolmów*, dziesiątki głosów, bardzo głośno. Bardzo blisko.

— Niedługo nas dopadną — powiedziała. — Musisz użyć Kamienia, Rand. Albo wymyślić sposób na zabicie wszystkich *grolmów*.

Wzdychając, Rand zsiadł z konia i wprowadził go do kotliny. Loial i Hurin pośpiesznie podążyli za nim. Mocno zdenerwowany wbił wzrok w pokrytą symbolami kolumnę, w Kamień Portalu.

„Ona na pewno potrafi przenosić Moc, nawet jeśli o tym nie wie, bo inaczej nie dostałaby się tutaj. Moc nie szkodzi kobietom”.

— Jeśli to on cię tu sprowadził — zaczął, ale zaraz mu przerwała.

— Wiem, co to jest — oświadczyła stanowczo — ale nie wiem, jak się tym posługiwać. Sam musisz zrobić wszystko, co należy. — Obwiodła palcem jeden z symboli, nieco większy od pozostałych, trójkąt w kole, ustawiony na wierzchołku. — To oznacza prawdziwy świat, nasz świat. Jestem przekonana, że ci się przyda, gdy będziesz miał jego obraz w umyśle podczas...

Rozłożyła ręce, jakby nie do końca była pewna, co on właściwie ma zrobić.

— Mhm., mój panie? — zagaił nieśmiało Hurin. — Czasu nie zostało wiele. — Obejrzał się przez ramię na skraj kotliny. Poszczekiwanie brzmiało coraz głośniej. — Te stworzenia będą tu lada moment.

Loial przytaknął.

Rand wciągnął powietrze do płuc i położył dłoń na symbolu wskazanym przez Selene. Popatrzył na nią, by się upewnić, czy robi to właściwie, ona jednak przyglądała mu się obojętnie, ani jedna zmarszczka niepokoju nie zmacała jej jasnego czoła.

„Ona wierzy, że możesz ją uratować. Musisz ją uratować”.

Poczuł w nozdrzach jej zapach.

— Mhm... mój panie?

Rand przełknął ślinę i przywołał pustkę. Pojawiła się łatwo, rozlała się wokół niego bez trudu. Pustka. Całkowita pustka, gdyby nie to światło tak rozdygotane, że pod jego wpływem przewracał się żołądek. Pustka, w której był tylko *saidin*. Nawet mdłości wydawały się odległe. Zespolił się z Kamieniem Portalu. Kolumna w dotyku była gładka i odrobinę tłusta, zaś trójkąt w kole wydawał się rozgrzewać piętno na dłoni.

„Muszę przenieść ich w bezpieczne miejsce. Muszę przenieść ich z powrotem.”

Światło płynęło ku niemu, otaczało go, więc... objął je.

Wypełniło go. Wypełnił go żar. Widział Kamień, widział pozostałych, obserwujących go — Loial i Hurin z niepokojem, Selene bez żadnej wątpliwości, że ją uratuje — lecz równie dobrze mogłoby ich tam nie być. Ważne było tylko to światło. Żar i światło, przesączało jego ciało niczym woda wsiąkająca w suchy piasek,

przepelniało go. Czuł jak symbol parzy dłoń. Usiłował wchłonąć to wszystko, cały żar, całe światło. Symbol...

Nagle, jakby na mgnienie oka słońce przestało istnieć, świat zamigotał. I jeszcze raz. Symbol nakryty jego dłonią stał się rozżarzonym węglem, a on spijał światło. Świat zamigotał. Zamigotał! Robiło mu się słabo od tego światła, było ono jak woda dla człowieka umierającego z pragnienia. Migotanie. Wchłonął wszystko. Miał ochotę zwymiotować. Pragnął wszystkiego. Migotanie. Trójkąt w kole przepalał go na wskroś, czuł, jak zwęgla mu dłoń. Migotanie. Pragnął wszystkiego! Krzyknął przeraźliwie, zawył z bólu, zawył z pragnienia.

Migotanie... migotanie... migotaniemigotaniemigotanie...

Obejmowały go czyjeś ręce, ledwie był świadom ich obecności. Zatonął się chwiejnie do tyłu, pustka umykała, razem ze światłem i mdłościami, które go wykręcały. Światło. Patrzył z zalem, jak odchodzi.

„Światłości, to szaleństwo go pragnąć. Ale tyle go we mnie było! Byłem taki...”

Oszołomiony zapatrzył się na Selene. To ona ujęła go za ramiona, wpatrzona z podziwem w jego oczy. Podniósł rękę do twarzy. Piętno czapli wciąż tam było, ale nic poza tym. Żadnego trójkąta w kole wypalonego na ciele.

— Niesamowite — powiedziała wolno Selene. Zerknęła na Loiala i Hurina. Ogir wyglądał na ogłuszonego, oczy miał wielkie jak spodki, wężyciel przykucnął, wspierając się jedną ręką, jakby niepewien, czy może podeprzeć się jeszcze czymś innym. — Jesteśmy tu wszyscy, razem z naszymi końmi. A ty nawet nie wiesz, czego dokonałeś. Niesamowite.

— Czy my...? — zaczął ochryple Rand i musiał urwać, by przełknąć ślinę.

— Rozejrzyj się dookoła — odparła Selene. — Sprowadziłeś nas z powrotem. — Nagle wybuchnęła śmiechem. — Sprowadziłeś nas wszystkich z powrotem.

Rand dopiero teraz zwrócił uwagę na otoczenie. W kotlinie nie było żadnych stopni, jakkolwiek tu i ówdzie wały się podejrzanie gładkie kawałki kamienia, czerwone albo błękitne. Kolumna leżała przewrócona na zbocze góry, częściowo zagrzebana przez odłamki, które od niej odpadły podczas upadku. Pokrywające ją symbole były niewyraźne z powodu wieloletniego działania wiatru i wody. I wszystko wydawało się rzeczywiste. Kolory były soczyste, granit ciemnoszary, roślinność zielonobrazowa. W porównaniu z tamtym miejscem aż nadto żywe.

— Dom — wydyszał Rand i sam wybuchnął śmiechem. — Jesteśmy w domu.

Śmiech Loiala brzmiał jak porykiwania byka, Hurin zaczął dziwacznie płaszać.

— To ty tego dokonałeś — powiedziała Selene, przysuwając się bliżej, tak że jej twarz całkowicie wypełniła oczy Randa. — Wiedziałam, że potrafisz.

Śmiech Randa zamarł.

— Chyba... chyba tak. — Zerknął na przewrócony Kamień Portalu i wyduślił z siebie słaby chichot. — Szkoda tylko, że nie wiem właściwie, co takiego zrobiłem.

Selene zajrzała mu głęboko w oczy.

— Może któregoś dnia się dowiesz — powiedziała cicho. — Jesteś z całą pewnością skazany na robienie wielkich rzeczy.

Jej oczy wydawały się tak ciemne i głębokie jak noc, tak miękkie jak aksamit. Jej usta. . .

„A gdybym ją pocałował. . .”

Zamrugnął i pośpiesznie zrobił krok w tył, chrząkając.

— Selene, błagam, nie mów o tym nikomu. O Kamieniu Portalu i o mnie. Ani ja tego nie rozumiem, ani nikt inny. Wiesz, jak ludzie traktują rzeczy, których nie rozumieją.

Jej twarz była zupełnie bez wyrazu. Nagle zaczął żałować, że nie ma przy nim Mata i Perrina. Perrin potrafił rozmawiać z dziewczętami, a Mat umiał kłamać z kamiennym obliczem. Jemu nie wychodziło najlepiej ani jedno, ani drugie.

Nagle Selene uśmiechnęła się i wykonała na poły żartobliwy ukłon.

— Dochowam twego sekretu, lordzie Randzie al’Thor.

Rand spojrzął na nią i jeszcze raz chrząknął.

„Czy ona się na mnie gniewa? Na pewno by się gniewała, gdybym ją próbował pocałować. Tak myślę”.

Bardzo pragnął, żeby ona przestała na niego patrzeć w taki sposób, jakby wiedziała, co on myśli.

— Hurin, czy to możliwe, by Sprzymierzeńcy Ciemności używali tego Kamienia przed nami?

Węszyciel ponuro pokręcił głową.

— Tutaj oni skręcili na zachód, lordzie Rand. O ile te Kamienie Portalu nie są czymś zwykłym, niż mi się wydaje, to powiedziałbym, że nadal są w tamtym świecie. Ale wystarczy mi niecała godzina, żeby to sprawdzić. Teren tutaj jest taki sam jak tam. Mógłbym odszukać miejsce, w którym tam porzuciłem trop, o ile rozumiecie, o czym mówię, i sprawdzę, czy już tędy przejeżdżali.

Rand zadarł głowę i zerknął na niebo. Słońce — cudownie silne słońce, wcale nie blade — osiadło nisko na zachodzie, rozciągając ich cienie na całą kotlinę. Już tylko godzina dzieliła ich od pełnego zmierzchu.

— Rankiem — powiedział. — Ale obawiam się, że ich zgubiliśmy.

„Nie możemy stracić sztyletu! Nie możemy!”

— Selene, jeśli idzie o ciebie, to rankiem odwieziemy cię do domu. Czy mieszkasz w samym mieście Cairhien, czy. . . ?

— Może jeszcze nie straciliście Rogu Valere — wolno odparła Selene. — Jak wiesz, wiem trochę na temat rozmaitych światów.

— Zwierciadła Koła — powiedział Loial.

Popatrzyła na niego i przytaknęła.

— Tak. Dokładnie. Światy są naprawdę zwierciadłami w pewien sposób, szczególnie te, w których nie ma ludzi. Niektóre z nich odzwierciedlają jedynie

najważniejsze wydarzenia w prawdziwym świecie, lecz na niektóre pada cień tego odbicia, jeszcze zanim wydarzenie ma miejsce. Przemarsz Rogu Valere będzie z pewnością wielkim wydarzeniem. Jego odbicia będą z pewnością bledsze niż odbicia tego, co jest albo było, Hurin na przykład twierdził, że trop, za którym szedł był bledszy.

Hurin zamrugał z niedowierzaniem.

— Chcesz powiedzieć, moja pani, że węszyłem w tych miejscach, w których ci Sprzymierzeńcy Ciemności dopiero będą? Światłości, dopomóż mi, nie podoba mi się to. Już sam zapach miejsca, w którym nastąpił gwałt, jest nieprzyjemny, bez wachania tego, który dopiero nastąpi. Niewiele jest miejsc, w których nigdy nie dopuszczono się przemocy. To by mnie doprowadziło do obłędu, jak amen w pacierzu. Omal nie zrobiło tego to miejsce, które właśnie opuściliśmy. Czułem tam cały czas zabijanie i zadawanie bólu, najobrzydliwsze zło, jakie można sobie wyobrazić. Czułem je nawet na nas. Nawet na pani, moja lady, wybaczyć, że to mówię. Takie właśnie było to miejsce, wykoślawiało mnie w taki sam sposób, w jaki wykręcało wam oczy. — Otrząsnął się. — Cieszę się, że się stamtąd wydostaliśmy. Ja ciągle mam je w nozdrzach.

Rand roztargnionym ruchem potarł się po piętynie na dłoni.

— Co o tym myślisz, Loial? Czy naprawdę mogliśmy wyprzedzić Sprzymierzeńców Ciemności Faina?

Ogir wzruszył ramionami, marszcząc czoło.

— Nie wiem, Rand. Zupełnie się na tym nie znam. Myślę, że wróciliśmy do naszego świata. Jesteśmy chyba na Sztylcie Zabójcy Rodu. Za nim... — Znowu wzruszył ramionami.

— Powinniśmy cię odwieźć do domu, Selene — powiedział Rand. — Twoja rodzina pewnie martwi się o ciebie.

— Za kilka dni się przekonają, że nic mi się nie stało — odparła niecierpliwie. — Hurin może odszukać miejsce, w którym porzucił trop, tak powiedział. Możemy tego dopilnować. Róg Valere zapewne niedługo już tu dotrze. Róg Valere! Rand, pomyśl o tym. Człowiek, który zagra na Rogu będzie żył wiecznie w legendzie.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z legendami — zaprotestował ostrym tonem.

„Ale jeśli dopadną cię Sprzymierzeńcy Ciemności... A jeśli Ingтар ich zgubił? Wówczas Sprzymierzeńcy Ciemności na zawsze zagarną Róg Valere, a Mat umrze”.

— W porządku, kilka dni. W najgorszym przypadku spotkamy Ingtara i jego żołnierzy. Nie wyobrażam sobie, by mogli się zatrzymać, albo zawrócić tylko dlatego, że my... ich opuściliśmy.

— Roztropna decyzja, Rand — powiedziała Selene — i dobrze przemyślana.

Dotknęła jego ramienia, uśmiechnęła się i znowu przyłapał się, że ma ochotę ją pocałować.

— Mhm... powinniśmy podjechać do miejsca, w którym się pojawia. O ile rzeczywiście się pojawia. Hurin, czy mógłbyś jeszcze przed zmierzchem powiedzieć, gdzie moglibyśmy rozbić obozowisko, tak by stamtąd obserwować to miejsce, w którym porzuciłeś trop? — Zerknął na Kamień Portalu i przypomniał sobie, jak zasnął obok takiego Kamienia, przypomniał sobie, jak wtedy pustka zakradła się do niego podczas snu, a z nią światło pustki. — Gdzieś daleko stąd.

— Pozostaw to w moich rękach, lordzie Rand. — Węszyciel wdrapał się na siodło. — Przysięgam, już nigdy więcej nie zasnę, dopóki nie sprawdzę, koło jakiego kamienia się kładę.

Gdy Rand wyprowadzał Rudego z kotliny, zauważył, że częściej patrzy na Seline niż na Hurina. Wydawała się taka chłodna i opanowana, wcale nie starsza od niego, zachowywała się jak królowa, niemniej jednak, kiedy się do niego uśmiechnęła, tak samo jak wtedy...

„Egwene by nie powiedziała, że jestem roztropny. Egwene nazwałaby mnie durniem z głową pełną wełny”.

Zirytowany wbił pięty w boki Rudego.

## DO BIAŁEJ WIEŻY

Egwene kołysała się na rozchybotanym pokładzie „Królowej rzeki”, mknącej w dół szerokiego koryta Erinin, pod zasnutym ciemnymi chmurami niebem, z wydętymi masztami. Sztandar Białego Płomienia łopotał wściekle na grotmaszcie. Wiatr zerwał się w momencie, gdy ostatni człowiek znalazł się na pokładzie któregoś ze statków, jeszcze w Medo, i od tego czasu ani na chwilę nie cichł, ani nie słabł, ni za dnia, ni nocą. Rzeka wezbrała rączym nurtem i nadal rwała, popychając okręty do przodu. Wiatr i rzeka na moment nie uspokoiły się, nie zwolniły też statki, zbite w jedną gromadę. „Królowa rzeki” płynęła na ich czele, w swoim prawie, jako że na jej pokładzie znajdowała się Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

Sternik kurczowo ścisnął rumpel, zapierając się rozstawionymi szeroko nogami, pozostali marynarze uwijali się boso przy swych obowiązkach, całkowicie nimi pochłonięci; czasem tylko zerkali na niebo albo rzekę i zaraz odrywali oczy, pomrukując coś pod nosem. Jakaś wioska właśnie ginęła za nimi w oddali i mały chłopiec biegł brzegiem co sił w nogach, przez krótką chwilę udawało mu się dotrzymać tempa statkom, ale już zostawili go w tyle. Kiedy zniknął, Egwene zeszła pod pokład.

Nynaeve leżała na koi w niewielkiej kajucie, którą dzieliły we dwie, rzucając wściekle spojrzenia.

— Mówią, że dzisiaj dotrzemy do Tar Valon. Światłości dopomóż, z chęcią znowu postawię nogę na pewnym gruncie, nawet jeśli to będzie ziemia Tar Valon.  
— Statek przechylił się, miotany wiatrem i prądem, a Nynaeve przełknęła ślinę.  
— Już nigdy więcej nie wsiądę na żadną łódź — powiedziała bez tchu.

Egwene strzepnęła drobniutkie kropelki wody ze swego płaszcza i powiesiła go na kołku wbitym w drzwi. Nie była to duża kajuta — okrętowi wyraźnie brakowało dużych kajut, nawet ta, którą kapitan odstąpił Amyrlin, była tylko trochę większa od pozostałych. Wyposażona była w dwie koje wbudowane w ściany, z półkami pod spodem i szafkami u góry, i wszystko znajdowało się tu w zasięgu ręki.

Mimo że musiała się starać o zachowanie równowagi, ruchy statku nie męczyły jej tak jak Nynaeve. Przestała podawać jedzenie, gdy po trzeciej próbie Wiedząca rzuciła w nią miską.



— Martwię się o Randa — powiedziała.

— Ja się martwię o nich wszystkich — odparła tępym głosem Nynaeve, a po chwili dodała: — Znowu miałas sen ostatniej nocy? Miałas taki niewidzący wzrok po wstaniu. . .

Egwene skinęła głową. Nie bardzo potrafiła coś ukryć przed Nynaeve, a w przypadku snów nawet tego nie próbowała. Nynaeve z początku próbowała ją czymś leczyć, dopóki nie usłyszała, że zainteresowało to jedną z Aes Sedai, potem zaczęła jej wierzyć.

— Był taki sam jak tamte. Inny, ale taki sam. Randowi grozi niebezpieczeństwo. Wiem to. I to coraz gorsze. On coś zrobił albo coś dopiero zrobi, przez co narazi się na. . . — Opadła na łóżko i pochyliła się w stronę przyjaciółki. — Tak bym chciała wyłowić z tego jakiś sens.

— Przenosi Moc? — spytała cicho Nynaeve.

Egwene rozejrzała się odruchowo dookoła, by sprawdzić, czy nie ma tam kogoś, kto by usłyszał. Były same, drzwi zamknięte, ale i tak odpowiedziała równie przytłumionym głosem.

— Nie wiem. Może.

Nigdy nie było wiadomo, do czego są zdolne Aes Sedai — dosyć się napatrzyła, by wierzyć w każdą opowieść o ich czynach — i nie chciała ryzykować, że któraś ich podsłucha.

„Nie będę narażała Randa na ryzyko. Powinnam im o tym powiedzieć, ale Moiraine wie o wszystkim, a nic nie powiedziała. A poza tym tu chodzi o Randa! Nie mogę”. — Nie wiem, co robić.

— Czy Anayia powiedziała coś jeszcze o tych snach? Nynaeve najwyraźniej wzięła za swój punkt honoru, by nigdy nie dodawać tytułu Sedai, nawet gdy były same. Większość Aes Sedai wydawała się nie zwracać na to uwagi, lecz przez ten obyczaj naraziła się na kilka dziwnych spojrzeń, w tym parę dość surowych, ostatecznie miała pobierać nauki w Białej Wieży.

— „Koło obraca się tak, jak chce” — zacytowała Anayię Egwene. — „Chłopiec jest daleko stąd, dziecko, i nie możemy nic zrobić, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Osobiście dopatrzę, żeby poddano cię sprawdzianowi, jak już dołączymy do Białej Wieży, dziecko”. Aaach! Ona wie, że w tych snach coś jest. Widzę, że ona wie. Lubię tę kobietę, Nynaeve, naprawdę lubię. Ale nie powie mi tego, co chcę wiedzieć. A ja nie mogę powiedzieć jej wszystkiego. Może gdybym potrafiła. . .

— Znowu ten człowiek w masce?

Egwene skinęła głową. Z jakiegoś powodu czuła, że lepiej nie mówić o nim Anayi. Nie umiała sobie uzmysłwić, dlaczego, niemniej była pewna. Człowiek o płonących oczach pojawiał się trzykrotnie w jej snach, za każdym razem, gdy śnił się jej sen, w którym Randowi groziło niebezpieczeństwo. Każdorazowo miał maskę na twarzy, czasami widziała jego oczy, czasami tylko ogień w otworach

maski.

— Śmiał się ze mnie. Śmiał się z taką... pogardą. Jakbym była małym psia-kiem, którego on miał zamiar odkopnąć, żeby nie zagradzał mu drogi. To mnie przeraża. On mnie przeraża.

— Jesteś pewna, że to ma coś wspólnego z pozostałymi snami, z tymi, w których pojawiał się Rand? Czasami sen jest tylko snem.

Egwene gwałtownie podniosła rękę.

— A ty, Nynaeve, mówisz czasami zupełnie tak jak Anayia Sedai! — Położyła szczególny nacisk przy wymawianiu tego tytułu i z zadowoleniem przyjęła grymas na twarzy Nynaeve.

— Jak wreszcie wstanę z tego łóżka, Egwene...

Pukanie do drzwi nie pozwoliło Nynaeve dokończyć tego, co miała zamiar powiedzieć. Zanim Egwene zdążyła zawołać albo ruszyć się z miejsca, do środka weszła Amyrlin we własnej osobie i zamknęła za sobą drzwi. O dziwo, była sama, rzadko opuszczała swoją kajutę, a wówczas zawsze towarzyszyła jej Leane, a czasami jeszcze jakaś inna Aes Sedai.

Egwene poderwała się na równe nogi. Pokój stał się nieco zatłoczony obecnością trzech osób.

— Czy obie czujecie się dobrze? — spytała pogodnie Amyrlin. Przekrzywiła głowę, by spojrzeć na Nynaeve. — Ufam, że dobrze się odżywiacie? Nastroje właściwe?

Nynaeve z trudem podźwignęła się do pozycji siedzącej, wspierając plecami o ścianę.

— Mój nastrój jest nie najgorszy, dziękuję.

— To dla nas zaszczyt, Matko — zaczęła Egwene, ale Amyrlin gestem ręki nakazała jej milczenie.

— Dobrze być znowu na wodzie, ale to się robi równie nudne jak staw przy młynie, jak się nie ma nic do roboty. — Statek zakołysał się, a ona mimowolnie złapała równowagę, wydając się nawet tego nie zauważać. — Dzisiaj ja udzielię wam lekcji. — Przysiadła na skraju łóżka Egwene, podkulając nogi pod siebie. — Siadaj, dziecko.

Egwene usiadła, natomiast Nynaeve usiłowała wstać.

— Chyba przejdę się na pokład.

— Powiedziałam, siadaj!

Głos Amyrlin zabrzmiał jak trzask bicia, ale Nynaeve wciąż chwiejnie usiłowała się podnieść. Wspierała się jeszcze obiema rękami o łóżko, już prawie była wyprostowana. Egwene przygotowała się, by ją złapać, gdy będzie padała.

Nynaeve zamknęła oczy i powoli ułożyła się z powrotem na łóżku.

— Może jednak zostanie. Tam na pewno mocno wieje.

Amyrlin wybuchnęła śmiechem.

— Opowiadano mi, że masz temperament jak rybołów, któremu w gardle utknęła kość. Niektóre z sióstr, dziecko, twierdzą, że niedługo zaczniesz sobie znakomicie radzić jako nowicjuszka, nieważne ile masz lat. Moim zaś zdaniem, jeśli istotnie posiadasz te umiejętności, o których mi opowiadano, wówczas zasługujesz na miano Przyjętej. — Znowu się roześmiała. — Zawsze uważałam, że należy dawać ludziom to, na co zasługują. Tak, podejrzewam, że wiele się nauczysz, kiedy już będziesz w Białej Wieży.

— Wolałabym, żeby któryś ze Strażników nauczył mnie posługiwania się mieczem — odparowała Nynaeve. Spazmatycznie przełknęła ślinę i otworzyła oczy. — Jest ktoś taki, na kim chętnie bym go wypróbowała.

Egwene spojrzała na nią podejrzliwie. Czy Nynaeve miała na myśli Amyrlin — co byłoby głupie, a poza tym niebezpieczne — czy Lana? Karciła Egwene za każdą wzmiankę o Lanie.

— Miecz? — spytała Amyrlin. — Nigdy nie uważałam, by miecze były specjalnie przydatne. Nawet gdybyś posiadała umiejętność władania nim, dziecko, to zawsze znajdą się mężczyźni, którzy też ją mają, a nadto dysponują większą siłą, ale skoro chcesz dostać miecz. . .

Podniosła rękę — Egwene zaparło dech, nawet Nynaeve wytrzeszczyła oczy — i był w niej miecz. Z ostrzem i rękojeścią barwy dziwacznej, niebieskawej bieli, wydawało się, że jest jakby. . . zimny.

— Został wykuty z powietrza, dziecko. Jest równie dobry jak większość stalowych ostrzy, nawet lepszy od nich, ale nadal mało przydatny.

Miecz przemienił się w nóż do obierania jarzyn. Bez żadnych pośrednich przekształceń, po prostu najpierw była to jedna rzecz, a zaraz potem inna.

— A ten jest przydatny.

Nóż przemienił się w mgłę, po chwili mgła się rozviała. Amyrlin ułożyła pustą dłoń na kolanach.

— Niemniej stworzenie czegoś takiego nie jest warte tak wielkiego wysiłku. Lepiej i łatwiej jest nosić przy sobie dobry nóż. Musisz się nauczyć, kiedy korzystać ze swoich zdolności, jak się nimi posługiwać, a kiedy lepiej robić wszystko tak, jakby to robiła zwykła kobieta. Niechaj kowal robi noże do patroszenia ryb. Zbyt częste i zbyt swobodne korzystanie z Jedynej Mocy sprawia, że za bardzo zaczyna się to lubić. Coś takiego prowadzi do niebezpieczeństwa. Zaczynasz pragnąć coraz więcej i prędzej, czym później narażasz się na ryzyko, że zaczerpniesz więcej Mocy, niż potrafisz przenieść. A od tego można się wypalić jak ogarek świecy albo. . .

— Skoro muszę się uczyć tego wszystkiego — wtrąciła sztywno Nynaeve — to wolałabym, się raczej nauczyć czegoś pożytecznego. Wszystko to. . . to. . . : „Spraw, żeby powietrze się poruszyło, Nynaeve. Zapal świecę, Nynaeve. A teraz ją zgaś. Znowu ją zapal”. Fuj!

Egwene na moment zamknęła oczy.

„Błagam, Nyenaeve. Błagam, panuj nad sobą”.

Zagryzła wargi, żeby nie powiedzieć tego na głos.

Amyrlin milczała przez chwilę.

— Pożytecznego — powtórzyła w końcu. — Coś poytecznego. Chciałaś mieć miecz. A gdyby tak napadł mnie jakiś człowiek z mieczem. Co bym zrobiła? Coś pożytecznego, możesz być pewna. Myślę, że to.

Przez chwilę Egwene wydawało się, że widzi lunę otaczającą kobietę siedzącą na drugim końcu jej łóżka. Potem powietrze wyraźnie zgęstniało, Egwene żadnej zmiany nie widziała, była natomiast pewna, że ją czuje. Próbowwała podnieść rękę, nie ruszyła się z miejsca ani o włos, zupełnie jakby była po szyję zagrzebana w gęstej galarecie. Nie mogła ruszyć niczym prócz głowy.

— Wypuść mnie! — wyrzęziła Nynaeve. Groźnie łypała oczami i wykonywała gwałtowne ruchy głową, lecz cała reszta jej ciała była sztywna jak posąg. Egwene zorientowała się wtedy, że nie tylko ją sparaliżowało. — Uwolnij mnie!

— Pożyteczne, nie sądzisz? A to tylko Powietrze. — Amyrlin przemawiała tonem odpowiednim dla towarzyskiej rozmowy, jakby wszystkie trzy wiodły pogawędkę przy herbacie. — Chłop jak dąb, mięśnie, miecz, a ten miecz nie przyda mu się bardziej niż włosy na piersiach.

— Wypuść mnie, powiadam!

— A jak mi się nie spodoba w takim stanie, no to cóż, podniosę go.

Nynaeve unosiła się, skrzecząc wściekle, nadal w pozycji siedzącej, dopóki jej głowa nie dotknęła sufitu. Amyrlin uśmiechnęła się.

— Często żałowałam, że nie potrafię fruwać dzięki temu. Kroniki twierdzą, że Aes Sedai potrafiły latać, w Wieku Legend, nie wyjaśniają jednak dokładnie, jak to się odbywało. W każdym razie nie w taki sposób. To nie ta metoda. Możesz podnieść ręce do góry i podźwignąć komodę, która waży tyle samo co ty, a sprawiasz wrażenie bardzo silnej. Ale choćbyś nie wiem jak się wyteęzała, samej siebie nie podniesiesz.

Nynaeve dziko potrząsała głową, ale poza tym nie udało jej się poruszyć nawet jednym mięśniem.

— Niech cię Światłość spali, puść mnie!

Egwene z trudem przełknęła ślinę i modliła się duchu, by jej również nie podniesiono.

— I tak — kontynuowała Amyrlin — wielki, włochaty mężczyzna nic mi nie może zrobić, a ja za to mogę zrobić z nim wszystko. No cóż, gdyby mi się chciało — pochyliła się teraz do przodu, wbijając wzrok w Nynaeve i nagle jej uśmiech już nie wydawał się przyjazny — mogłabym obrócić go do góry nogami i sprać mu tyłek. O tak. . .

W tej samej chwili Amyrlin poleciała w tył z taką siłą, że jej głowa odbiła się od ściany, i tak już została, jakby coś na nią napierało.

Egwene zagapiła się na nią, zupełnie zaschło jej w gardle.

„To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe”.

— Miały rację — powiedziała Amyrlin. Mówiła napiętym głosem, jakby odychanie przychodziło jej z trudem. — Mówiły, że się szybko uczysz. I mówiły też, że trzeba rozplomienić twój gniew, żeby dotrzeć do samego jądra tego, co potrafisz. — Wciągnęła urywany oddech. — Puścimy się teraz nawzajem, dziecko?

Nynaeve, unosząc się w powietrzu z gorejącymi oczyma, powiedziała:

— Puścisz mnie zaraz, albo... — Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, zagubienia. Poruszyła niemo ustami.

Amyrlin usiadła, rozprostowując ramiona.

— Jeszcze nie umiesz wszystkiego, prawda, dziecko? Nawet setnej części całej reszty. Nie spodziewałaś się, że będę potrafiła cię odciąć od Prawdziwego Źródła. Nadal je czujesz, ale nie potrafisz go dotknąć, tak jak ryba nie może dotknąć księżycy. Jak nabędziesz tyle wiedzy, że będziesz mogła się stać pełnoprawną siostrą, żadna kobieta nie będzie w stanie zrobić ci tego. Im silniejsza się staniesz, tym więcej Aes Sedai będzie potrzebnych, by cię odgradzić od Źródła wbrew twojej woli. Czy teraz już chcesz się uczyć?

Nynaeve zacisnęła usta w cienką kreskę i butnie spojrzała jej prosto w oczy. Amyrlin westchnęła.

— Gdybyś miała o ułamek mniej potencjału, dziecko, odesłałabym cię do Mistrzynie Nowicjuszek i kazała cię więzić przez resztę życia. Ale ty dostaniesz to, co ci się należy.

Nynaeve otworzyła szeroko oczy, ale zdążyła tylko jęknąć, zanim upadła, trafiając na łóżko z głośnym łomotem. Egwene skrzywiła się, materace były cienkie, a drewno pod spodem twarde. Twarz Nynaeve ani drgnęła, poruszyła się zaledwie nieznacznie, nie zmieniając pozycji.

— A teraz — oświadczyła Amyrlin — o ile nie masz ochoty na dalsze demonstracje, przeprowadzimy lekcję. Można wręcz rzec, będziemy kontynuowały lekcję.

— Matko? — odezwała się omdlałym głosem Egwene. Nadal nie mogła ruszyć niczym poniżej brody.

Amyrlin spojrzała na nią pytającym wzrokiem, potem uśmiechnęła się.

— Och. Przepraszam cię, dziecko. Obawiam się, że twoja przyjaciółka przykuła całą moją uwagę.

Nagle Egwene znowu była w stanie się poruszyć, podniosła ręce, jakby chciała się przekonać, iż rzeczywiście może.

— Czy obie jesteście gotowe, żeby się uczyć?

— Tak, Matko — odparła pośpiesznie Egwene.

Amyrlin uniosła brew w stronę Nynaeve.

Upłynęła krótka chwila, zanim Nynaeve odparła twardym głosem:

— Tak, Matko.

Egwene głośno westchnęła z ulgą.

— Znakomicie. No to do dzieła. Opróżnijcie swój umysł, pozostawiając w nim tylko wizerunek pączka kwiatu.

Egwene zdążyła się spocić, jeszcze przed wyjściem Amyrlin. Uważała niektóre Aes Sedai za surowe nauczycielki, lecz ta uśmiechnięta kobieta, o nijakiej twarzy, pochlebstwami zmusiła je, by nie szczędziły wszelkich starań, wydrenowała je z wszystkich sił, a gdy, już nic w nich nie zostało, potrafiła jakby sama sięgnąć do ich wnętrza i wywlec coś jeszcze na zewnątrz. Jednak efekty były. Gdy drzwi za Amyrlin zamknęły się już, Egwene podniosła rękę; wytrysnął z niej mały płomyk, zatańczył w odległości ułamka milimetra nad palcem wskazującym, po czym przeskoczył na czubek drugiego palca. Zakazano jej to robić bez obecności nauczycielki — przynajmniej jednej z Przyjętych — która by jej pilnowała, Egwene jednak była zbyt podniecona poczynionymi przez siebie postęпами, żeby w ogóle o tym pamiętać.

Nynaeve zeskokczyła z łóżka i cisnęła poduszką w zamknięte drzwi.

— Ta... wredna, podła, żalosna... jęcza! Niech ją Światłość spali! Z chęcią rzuciłabym ją na pożarcie rybom. Chętnie zadałabym jej coś takiego, od czego do końca życia chodziłaby zielona! Nic mnie nie obchodzi, że mogłaby być moją matką, w Polu Emonda nie siedziałaby tak spokojnie... — Zazgrzytała zębami tak głośno, że Egwene aż podskoczyła.

Egwene ugasiła płomyk i rozmyślnie wbiła wzrok w kolana. Bardzo żałowała, że nie umie wyślizgnąć się z kajuty w sposób niezauważalny dla Nynaeve.

Lekcja nie poszła Nynaeve najlepiej, ponieważ w obecności Amyrlin cały czas trzymała się na wodzy. Nigdy nie potrafiła zbyt wiele dokonać, dopóki się nie wściekła — wtedy wszystko w niej wybuchało. Po kolejnych porażkach Amyrlin zaczęła robić wszystko, żeby ją znowu rozdrażnić. Egwene mocno pragnęła, by Nynaeve zapomniała, że ona tam była, słyszała wszystko i widziała.

Nynaeve podeszła sztywnymi krokami do łóżka, zatrzymała się i zapatrzyła na ścianę, rękę zaciśniętą w pięść wsparła o biodro. Egwene spojrzała z tęsknotą na drzwi.

— To nie była twoja wina — odezwała się Nynaeve, a Egwene wzdrygnęła się przestraszona.

— Nynaeve, ja...

Wiedząca obróciła się, by na nią spojrzeć.

— To nie była twoja wina — powtórzyła, niezbyt przekonująco. — Ale jeśli piśniesz choć słowo, to... to...

— Ani słowa — obiecała pośpiesznie Egwene. — Nawet nie zapamiętałam niczego takiego, o czym mogłabym komuś opowiadać.

Nynaeve patrzyła na nią jeszcze chwilę, skinęła głową. I nagle się skrzywiła.

— Światłości, nie wiedziałam, że coś może smakować jeszcze gorzej niż surowy korzeń baraniego języka. Zapamiętam to sobie, więc pilnuj się następnym razem, gdy będziesz udawała gęś.

Egwene drgnęła. Na samym początku Amyrlin usiłowała sprowokować gniew Nynaeve. Zmienacka pojawiła się ciemna kulka czegoś, co połyskiwało jak tłuszcz i obrzydliwie cuchnęło, Amyrlin unieruchomiła Nynaeve i wepchnęła jej tę kulkę do ust. Zaciśnęła jej nawet nos, żeby ją zmusić do połknięcia. A Nynaeve wystarczyło zobaczyć coś tylko raz, by zapamiętała na zawsze. Egwene nie wierzyła, by istniał jakiś sposób na powstrzymanie jej od zrobienia czegoś; mimo osiągnięcia z tańczącym płomykiem, nigdy nie umiałyby przytrzymać Amyrlin przy ścianie.

— Przynajmniej już cię nie mdli od przebywania na statku.

Nynaeve chrząknęła, potem wybuchnęła krótkim, ostrym śmiechem.

— Jestem zbyt wściekła, by mogło mnie mdlić. — Znowu roześmiała się ponuro i pokręciła głową. — Jestem zbyt nieszczęśliwa, żeby mnie mdliło. Światłości, tak się czuję, jakby mnie przeciągnięto tyłem przez supeł na powrozie. Jeśli na tym polegają nauki w nowicjacie, to z pewnością stanowią zachętę, by uczyć się jak najpilniej.

Egwene wbiła nachmurzony wzrok w kolana. W porównaniu z Nynaeve, Amyrlin traktowała ją wyjątkowo miło, nagradzała uśmiechem wszystkie jej osiągnięcia, współczuła w przypadku porażek i zaraz znowu obsypywała pochlebstwami. Jednakże Aes Sedai twierdziły zgodnie, że w Białej Wieży będzie inaczej, trudniej, choć nie powiedziały jak. Gdyby dzień po dniu miała przechodzić przez to samo, przez co przeszła Nynaeve, chyba by nie wytrzymała.

W ruchach statku pojawiła się jakaś zmiana. Kołysanie stało się łagodniejsze, nad ich głowami rozległ się tupot nóg po pokładzie. Ktoś coś krzyknął, ale Egwene nie bardzo rozumiała.

Podniosła wzrok na Nynaeve.

— Myślisz że to... Tar Valon?

— Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić — odparła Wiedząca i zdeteminowanym gestem ściągnęła płaszcz z kołka.

Gdy wyszły na pokład, marynarze biegali we wszystkie strony, przeciągali liny, skracali żagle, wyciągali długie wiosła. Wiatr ucichł i przeszedł w lekką bryzę, chmury zaczęły się rozpraszać.

Egwene podbiegła do poręczy.

— To ono! To Tar Valon!

Nynaeve dołączyła do niej z twarzą pozbawioną wyrazu.

Wyspa była ogromna, wydawało się, że rzeka rozdwała ją na dwie połowy. Z obu brzegów do wyspy wyginały się łukami mosty, jakby uszyte z koronek, bieły nie tylko nad samą wodą, lecz również nad bagnistym gruntem. W chwili, gdy słońce przebiło się przez powłokę chmur, mury otaczające miasto, Błyszczące Mury Tar Valon rozbłysły bielą. A na zachodnim brzegu wbijała w niebo swój ułamany szczyt Góra Smoka, z którego wylewała się smużka dymu. Na zboczach tej Góry poległ Smok. Góra Smoka, powstała gdy zginął Smok.

Egwene starała się nie myśleć o Randzie, gdy patrzyła na tę górę.

„Mężczyzna przenoszący Moc. Światłości, dopomóż mu”.

„Królowa rzeki” minęła szeroki otwór w wysokim, okrągłym murze, który wrażał w koryto nurtu. Za nim znajdował się port o owalnym kształcie, otoczony jednym długim nabrzeżem. Żeglarze zrefowali ostatnie żagle i za pomocą samych wiosł wprawdzili statek rufą do przystani. Jak całe nabrzeże długie, wprowadzano teraz do miejsc postoju wszystkie statki, które napłynęły z góry rzeki, obok innych wcześniej zacumowanych. Sztandar Białego Płomienia sprawił, że robotnicy uwijający się na już i tak ruchliwym nabrzeżu zaczęli po nim biegać jeszcze szybciej.

Amyrlin wysiadła na pomost jeszcze zanim zawiązano cumy, wystarczyło, że się pojawiła, a dokerzy natychmiast przerzucili trap do pokładu statku. U jej boku szła Leane, w rękę trzymała laskę z płomieniem na czubku, w ślad za nimi podążyły pozostałe Aes Sedai, które płynęły na statku. Żadna nawet nie zerknęła na Egwene ani Nynaeve. Na wybrzeżu oczekiwała Amyrlin delegacja powitalna — otulone w szale Aes Sedai, które zgodnie z etykietą wykonywały ukłony i całowały pierścień Amyrlin. Całe nabrzeże wrzało, dokonywano wyładunku statków, witano Amyrlin, żołnierze wysiadali na ląd i natychmiast formowali szeregi, robotnicy ustawiali bomby służące do przenoszenia ładunków, od murów dobiegały fanfary trąb, współzawodniczące z wiewatami widzów.

Nynaeve głośno pociągnęła nosem.

— Najwyraźniej zapomniano o nas. Chodź. Same się sobą zajmijmy.

Egwene miała nadal ochotę napawać się pierwszy raz w życiu widzianym widokiem Tar Valon, ale zeszła za Nynaeve pod pokład, by zebrać swoje rzeczy. Kiedy ponownie wyszły na górę, z tobołkami w ramionach, wszyscy żołnierze i trębacze poznikali — podobnie jak i Aes Sedai. Marynarze zamykali z powrotem luki i spuszczały kable do ładowni.

Na pokładzie Nynaeve złapała za ramię jakiegoś dokera, przysadzistego mężczyznę w zgrzebnej brązowej koszuli bez rękawów.

— Nasze konie — zaczęła.

— Jestem zajęty — odburknął, wrywając rękę. — Wszystkie konie zostaną zaprowadzone do Białej Wieży. — Zmierzył je wzrokiem od stóp do głów. — Jak macie jakąś sprawę w Białej Wieży, to lepiej się pośpieszcie. Aes Sedai nie lubią nowych, które są opieszale.

Jakiś inny człowiek, mocujący się z belą, właśnie zrzuconą z powroza, krzyknął coś w jego stronę i wtedy zostawił je, nawet się nie oglądając.

Egwene zamieniła spojrzenia z Nynaeve. Najwyraźniej naprawę pozostawiono je samopas.

Nynaeve opuściła statek z wyrazem ponurej determinacji na twarzy, natomiast Egwene z wielkim przygnębieniem zeszła po trapie na owiane zapachem smoły nabrzeże.

„Tyle gadania, że chcą nas tutaj, a teraz zupełnie przestały się interesować”.



Od pomostu odchodziły szerokie stopnie, wiodące do ogromnego łuku z czerwonego kamienia. Tam Egwene i Nynaeve przystanęły, żeby się rozejrzeć.

Wszystkie budynki wyglądały jak pałace, jakkolwiek stojące najbliżej łuku najwyraźniej mieściły w sobie gospody albo sklepy, sądząc po szyldach zawieszonych nad drzwiami. Wszędzie widać było fantazyjne fasady i ozdoby, każda budowla swym kształtem podkreślała, że zaprojektowano ją w taki sposób, by harmonizowała i jednocześnie odróżniała się od innych, tak kierując wzrokiem oglądającego, jakby wszystko należało do jednego wielkiego wzoru. Niektóre struktury wcale nie przypominały budynków, tylko na przykład ogromne załamujące się fale, skorupy muszli albo wymyślne, ukształtowane przez wiatr klify. Tuż po prawej stronie łuku znajdował się rozległy plac, z fontanną i drzewami, Egwene dostrzegła za nim jeszcze jeden plac. Wszędzie wznosiły się sięgające nieba wieże, wysokie i smukłe, niektóre były z sobą połączone szerokimi mostami. A nad tym wszystkim górowała jedna wieża, wyższa i szersza niż pozostałe, tak biała jak Błyszczące Mury.

— Zaprawdę zapiera dech na pierwszy rzut oka — odezwał się za nimi kobiecy głos. — I za dziesiątym też. I za setnym.

Egwene odwróciła się. Ta kobieta była Aes Sedai, mimo że nie nosiła szala. Egwene nie miała wątpliwości. Nikt inny nie potrafił tak wyglądać, zupełnie pozbawiona śladów upływu lat, ponadto miała w sobie tę pewność siebie, która stanowiła dodatkowe potwierdzenie. Rzut oka na jej dłoń pozwalał dostrzec złoty pierścień, z motywem węża pożerającego własny ogon. Aes Sedai była nieco przysadzista, uśmiechała się ciepło i była jedną z najdziwniej wyglądających kobiet, jakie Egwene widziała w życiu. Jej tusza nie kryła wystających kości policzkowych, kąciki oczu, barwy najczystszej bladej zieleni, opadały lekkim ukosem, a włosy miały odcień nieomal najczystszeogo ognia. Egwene omal nie zachichotała na widok tych włosów i lekko skośnych oczu.

— Naturalnie wybudowali je Ogirowie — ciągnęła Aes Sedai — i niektórzy twierdzą, że to ich najlepsze dzieło. Jedno z pierwszych miast wybudowanych po Pęknięciu. Wtedy nie mieszkało tu nawet pół tysiąca ludzi, a sióstr nie więcej jak dwadzieścia, lecz wybudowali je zgodnie z przyszłymi potrzebami.

— To cudowne miasto — przyznała Nynaeve. — Mamy się udać do Białej Wieży. Przybyliśmy tu, by pobierać nauki, ale nikogo wyraźnie nie interesuje, czy stąd znikniemy, czy pozostaniemy.

— Ależ interesuje — odparła kobieta z uśmiechem. — To ja właśnie wysłałam wam na spotkanie, tylko spóźniłam się z powodu rozmowy z Amyrlin. Jestem Sheriam, Mistrzynie Nowicjuszek.

— Ja nie mam być nowicjuską — odparła Nynaeve stanowczym głosem, tylko nieco zbyt szybko. — Sama Amyrlin powiedziała, że mam być jedną z Przyjętych.

— Mnie też o tym powiedziano. — W głosie Sheriam słychać było rozbawie-

nie. — Nigdy dotąd nie słyszałam o takim przypadku, ale one twierdzą, że ty... jesteś wyjątkowa. Pamiętaj jednak, nawet Przyjęte mogą być wzywane do mojego gabinetu. Wymaga to większego naruszenia zasad niż w przypadku nowicjuszek, ale już tak bywało. — Obróciła się w stronę Egwene, jakby nie zauważając uniesionej brwi Nynaeve. — A ty jesteś naszą nową nowicjuską. Miło jest zawsze witać nową nowicjuskę. Ostatnimi czasy jest ich o wiele za mało. Razem z tobą będzie ich czterdzieści. Tylko czterdzieści. A nie więcej niż osiem albo dziewięć z nich zostanie wyniesionych do godności Przyjętych. Mimo to jednak nie sądzę, byś musiała się o to zanadto martwić, jeśli będziesz ciężko i przykładowo pracowała. Praca jest najważniejsza i nawet ten twój potencjał, którym, jak się dowiaduję, rzekomo dysponujesz, ci jej nie ułatwi. Jeśli nie będziesz się tego trzymała, choćby nie wiem jak było trudno, albo jeśli się załamiesz z powodu obciążeń, to lepiej jeśli odkryjemy to od razu i pozwolimy ci pójść swoją drogą, niż czekać do czasu, gdy staniesz się siostrą i inne będą od ciebie zależne. Życie Aes Sedai nie jest lekkie. My cię tutaj do niego przygotowujemy, o ile masz w sobie to wszystko, co jest wymagane.

Egwene przełknęła ślinę.

„Załać z powodu obciążeń?”

— Będę się starała, Sheriam Sedai — odparła słabym głosem.

„I nie załamie się”.

Nynaeve popatrzyła na nią zmartwionym wzrokiem.

— Sheriam... — Urwała i zrobiła głęboki wdech. — Sheriam Sedai — wydawało się, że przemocą wyrywa z siebie tytuł — czy ją muszą czekać takie trudy? Istnieją granice wytrzymałości człowieka. Wiem... coś... o tym, przez co muszą przechodzić nowicjuszeki. Z pewnością nie trzeba jej tak katować, by sprawdzić, jaką dysponuje siłą.

— Mówisz o tym, co dzisiaj zrobiła z tobą Amyrlin?

Kark Nynaeve zeszywniał, Sheriam zaś wyglądała tak, jakby za wszelką cenę starała się ukryć swoje rozbawienie.

— Mówiłam wam, że rozmawiałam z Amyrlin. Niech się twoja przyjaciółka sama tym zamartwia. Szkolenie nowicjuszek jest ciężkie, ale nie aż tak bardzo. Coś takiego przechodzą Przyjęte podczas pierwszych kilku tygodni.

Nynaeve otworzyła szeroko usta, Egwene miała wrażenie, że oczy Wiedzącej zaraz wyjdą jej z orbit.

— Trzeba wyłapać te, które przypadkiem jakoś się prześlizgnęły przez szkolenie nowicjuszek, mimo że nie powinny. Nie możemy narażać się na ryzyko posiadania w naszych szeregach pełnoprawnej Aes Sedai, która załamie się pod naciskiem świata zewnętrznego.

Aes Sedai przyciągnęła je do siebie, obejmując każdą z nich jednym ramieniem. Nynaeve ledwie wydawała się zauważać, dokąd się kierują.

— Chodźcie — powiedziała Sheriam — dopilnuję, byście się rozgościły w swoich pokojach. Biała Wieża czeka.

## POD SZTYLETEM

Noc na zboczu Sztyletu Zabójcy Rodu była zimna, noce w górach zawsze są zimne. Od wierzchołków nadlatywały podmuchy wiatru, niosące lodowaty chłód od okrywających je śniegów. Pograżony w półśnie Rand przewracał się na twardej ziemi, naciągając na siebie płaszcz i koc. Ręka powędrowała do leżącego obok miecza.

„Jeszcze jeden dzień — rozmyślał ospale. — Jeszcze tylko jeden i potem ruszymy w drogę. Jeśli nikt się tu jutro nie pojawi, Ingтар albo Sprzymierzeńcy Ciemności, obojętnie, to odwiozę Selene do Cairhien”.

Już to sobie wcześniej przyrzekał. Każdego dnia wdrapywali się na zbocze góry, obserwując miejsce, w którym Hurin znalazł trop, w tamtym innym świecie — gdzie zgodnie ze słowami Selene mieli się z całą pewnością pojawić w tym świecie Sprzymierzeńcy Ciemności — a on powtarzał sobie, że czas już ruszać. I wtedy Selene opowiadała mu o Rogu Valere, dotykała jego ręki, zaglądała w oczy i ani się nie połapał, a już się zgadzał na jeszcze jeden dzień, zanim odjadą.

Dygocząc od przenikającego go zimna, myślał o Selene dotykającej jego ręki i zaglądającej mu w oczy.

„Gdyby Egwene to wiedziała, to by mnie ostrzygła jak owcę, Selene też. Egwene już pewnie dotarła do Tar Valon, pobiera nauki, dzięki którym zostanie Aes Sedai. Następnym razem, jak mnie zobaczy, będzie pewnie chciała mnie poskromić”.

Gdy przewrócił się na drugi bok, jego ręka zesunęła się z miecza i dotknęła tobołka kryjącego harfę i flet Thoma Merrilina. Palce bezwiednie zacisnęły się na płaszczu barda.

„Chyba wtedy byłem szczęśliwy, mimo że uciekałem, by ratować życie. Grałem na flecie, żeby zarobić na kolację. Byłem zbyt głupi, by wiedzieć, co się dzieje. Nie ma odwrotu”.

Poczuł dreszcz, otworzył oczy. Jedyne światło padało od ubywającego księżyca, zawisłego nisko na niebie. Ognisko zdradziłoby ich obecność tym, których wypatrywali. Loial mruknął coś przez sen, głuchym pomrukiem. Któryś z koni zastukał kopytem. Pierwszy trzymał wartę Hurin, stał na kamiennym występie nieco wyżej na zboczu góry, niebawem miał przyjść i zbudzić Randa.

Rand przewrócił się na drugi bok... i znieruchomiał. W świetle księżycy zobaczył sylwetkę Selene, pochylającą się nad jego sakwami, z dłońmi przy sprzączkach. Jej biała suknia promieniowała bladym światłem.

— Potrzebujesz czegoś?

Podskoczyła i spojrzała w jego stronę.

— Przes... przestraszyłeś mnie.

Zerwał się z ziemi, zrzucając koc, owinął się płaszczem i podszedł do niej. Był pewien, że zanim położył się spać, ustawił sakwy tuż przy swoim boku, zawsze trzymał je blisko siebie. Odebrał Selene sakwy. Wszystkie sprzączki były zapięte, nawet ta przy bocznej kieszeni, w której schowany był inkryminujący sztandar.

„W jaki sposób moje życie ma od niego zależeć? Jeśli ktoś go zobaczy i będzie wiedział, co to jest, to zginę od razu”.

Spojrzał podejrzliwie.

Selene nie ruszyła się z miejsca, podniosła na niego wzrok. W jej ciemnych oczach połyskiwał księżyc.

— Przyszło mi do głowy — powiedziała — że już za długo noszę tę suknię. Mogłabym ją przynajmniej wytrzepać, gdybym miała co na siebie włożyć w międzyczasie. Na przykład którąś z twoich koszul.

Rand pokiwał głową, czując natychmiastową ulgę. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, jej suknia wydała mu się taka czysta, pamiętał jednak, jak Egwene musiała zawsze od razu usunąć każdą plamkę ze swojej sukni.

— Oczywiście.

Otworzył pojemną kieszeń, do której wepchnął wszystko z wyjątkiem sztandaru i wyciągnął jedną ze swych koszul z białego jedwabiu.

— Dziękuję ci.

Jej ręce powędrowały do pleców. Do guzików, zorientował się.

Odwrócił się błyskawicznie, z otwartymi szeroko oczyma.

— Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybyś mi pomógł.

Rand kaszlnął nerwowo.

— To nie uchodzi. Nie jesteśmy z sobą zaręczeni, ani też...

„Przestań o tym myśleć! Nigdy się z nikim nie ożenisz”.

— To po prostu nie uchodzi.

Pod wpływem jej cichego śmiechu poczuł, jak dreszcz spływa mu po plecach, jakby przejechała palcem po jego kręgosłupie. Usiłował nie słuchać szeleszczenia, które rozległo się za nim.

— Aha... jutro... jutro ruszamy do Cairhien — wykrztusił.

— A co z Rogiem Valere?

— Może się pomyliliśmy. Może oni tu wcale nie przyjadą. Hurin twierdzi, że w Sztylcie Zabójcy Rodu jest wiele przełęczy. Gdyby skręcili tylko odrobinę dalej na zachód, to wcale nie musieliby wjeżdżać w góry.

— Ale szlak, który tropiliśmy, prowadził do tego miejsca. Oni się tu pojawiają. Tutaj pojawi się Róg. Już możesz się odwrócić.

— Ty tak twierdzisz, ale nie wiemy. . .

Odwrócił się i słowa zamarły mu na ustach. Stała z suknią przewieszoną przez ramię, ubrana w jego koszulę, która zwisała z niej workowatymi fałdami. Koszula miała długie ogony, uszyta została na jego wzrost, lecz Selene była wysoka jak na kobietę. Koszula sięgała jej nieco dalej niż do połowy ud. Nie to, żeby nigdy nie widział kobiecych nóg; dziewczęta w Dwu Rzekach zawsze podkasywały spódnice, gdy chciały brodzić w stawach Wodnego Lasu. Przystawały to jednak robić, gdy osiągały już taki wiek, że mogły zaplatać włosy, a poza tym tutaj panowały ciemności. Poświata księżycyca niczym luną rozświetlała jej skórę.

— Czego to nie wiecie, Rand?

Brzmienie jej głosu zmroziło mu stawy. Głośno kaszlnął i szybko odwrócił twarz w inną stronę.

— Uh. . . myślę. . . uh. . . ja. . . uh. . .

— Pomyśl o sławie, Rand. — Dotknęła jego pleców; w ostatniej chwili udało mu się uratować od hańby, jaką by się okrył, gdyby jednak pisnął. — Pomyśl o sławie, jaka przypadnie temu, który odnajdzie Róg Valere. Jaka dumna będę, mogąc stanąć u boku tego, który będzie dzierżył Róg. Nie masz pojęcia o wyżynach, na jakie oboje się wzniesiemy, ty i ja. Z Rogiem Valere w dłoniach możesz być koronowany na króla. Możesz być drugim Arturem Hawkingiem. Ty. . .

— Lordzie Rand! — usłyszeli Hurina, który właśnie wpadł zadyszany do obozowiska. — Mój panie, oni. . . — Zatrzymał się z poślizgiem, w gardle coś mu zabulgotało. Wbił oczy w ziemię, stał wykręcając dłonie. — Wybacz mi, o pani. Nie chciałem. . . Ja. . . Wybacz mi.

Podniósł się Loial, strącając z siebie koc i płaszcz.

— Co się dzieje? Czy to już moja kolej pełnić wartę? — Spojrzał w stronę Randa i Selene, nawet w świetle księżycyca widać było jak wybałusza oczy.

Rand usłyszał za sobą westchnienie Selene. Odsunął się od niej, nadal na nią nie patrząc.

„Ma takie białe nogi, takie gładkie”.

— Co jest, Hurin? — Mówił teraz bardziej opanowanym głosem; był zły na Hurina, na siebie samego, na Selene?

„Nie mam powodu, by się na nią gniewać”.

— Czy coś zauważyłeś, Hurin?

Węszyciel przemówił, nie podnosząc oczu.

— Ognisko, mój panie, tam na wzgórzach. Z początku go nie zauważyłem. Jest małe i ukryte, ale ci, którzy je rozpalili, kryją się przed kimś, kto ich ściga, a nie kimś, kto mógłby się znajdować przed nimi, w górach. Dwie mile, lordzie Rand. Na pewno mniej niż trzy.

— Fain — orzekł Rand. — Ingtar nie bałby się, że ktoś go ściga. To na pewno Fain. — Nagle nie bardzo wiedział, co robić. Czekali na Fainę, ale teraz, gdy ten człowiek znajdował się w odległości mili, nagle stracił całą pewność. — Rano... Rano pojedziemy ich śladem. Jak dotrą tu Ingtar i pozostali, to będziemy ich mogli wskazać.

— I tym sposobem — powiedziała Selene — pozwolisz Ingtarowi zdobyć Róg Valere. I sławę.

— Ja nie chcę... — Niewiele myśląc, odwrócił się, ona stała tam, z tymi bladymi nogami w świetle księżyca i tak zupełnie niezakłopotana ich nagością, jakby byli sami.

„Jakbyśmy byli sami — przyszło mu do głowy. — Ona pragnie mężczyzny, który odnajdzie Róg”.

— Nie damy rady we trzech go odebrać. Ingtarowi towarzyszy dwudziestu lansjerów.

— Nie wiesz na pewno, czy rzeczywiście nie możesz go odebrać. Ilu towarzyszy temu człowiekowi? Tego też nie wiesz. — Jej głos był spokojny, lecz słychać w nim było napięcie. — Nawet nie wiesz, czy ci ludzie, którzy rozbili obozowisko rzeczywiście mają Róg. Jedyne to pójść i sprawdzić. Zabierz z sobą *alantina*, on ma chyba bystry wzrok, nawet w świetle księżyca. Poza tym dość sił, by ponieść szkatułę z Rogiem, gdybyś podjął właściwą decyzję.

„Ona ma rację. Nie wiesz na pewno, czy to Fain”.

Nie byłoby najlepiej, gdyby kazał Hurinowi szukać nie istniejącego tropu i wszyscy znaleźliby się na otwartej przestrzeni w momencie przybycia prawdziwych Sprzymierzeńców Ciemności.

— Pojadę sam — powiedział. — Hurin i Loial będą cię strzegli.

Śmiejąc się, Selene podeszła do niego z taką gracją, jakby tańczyła. Cienie rzucone przez księżyc okrywały jej twarz tajemniczym woalem, a gdy spojrzała na niego, ta tajemniczość sprawiła, że wydała się jeszcze piękniejsza.

— Sama potrafię się strzec, dopóki ty nie wrócisz, żeby mnie chronić. Zabierz *alantina*.

— Ona ma rację, Rand — powiedział Loial i wstał. — Lepiej widzę w świetle księżyca niż ty. Dzięki moim oczom nie będziesz musiał podchodzić tak blisko, jak będąc sam.

— Bardzo dobrze. — Rand podszedł do swojego miecza i przypiął go do pasa. Łuk i kołczan zostawił tam, gdzie leżały, łuk nie był zbyt przydatny w ciemnościach, a poza tym miał zamiar tylko patrzeć, a nie walczyć. — Hurin, pokaż mi to ognisko.

Razem z wężycielem wdrapali się na skalny nawis, który niczym ogromny kamienny kciuk wystawał ze zbocza góry. Ognisko było tylko małą plamką — z początku, gdy Hurin próbował mu je pokazać, nie potrafił go nawet wypatrzeć.

Ten, kto je rozpałił, wyraźnie nie chciał, by go zauważono. Zapamiętał dokładnie to miejsce.

Zanim wrócili do obozu, Loial już osiodłał Rudego i własnego konia. Gdy Rand wspinał się na grzbiet gniadosza, Selene złapała go za rękę.

— Pamiętaj o sławie — wyszeptwała. — Pamiętaj.

Koszula wydawała się pasować na nią lepiej, niż pamiętał, bardziej uwydatniała jej kształty.

Zrobił głęboki wdech i cofnął rękę.

— Strzeż jej, choćbyś miał poświęcić własne życie, Hurin. Loial? — Delikatnie uderzył piętami boki Rudego. Ogromny wierzchowiec Ogira ruszył za nim ciężkim krokiem.

Nie próbowali jechać szybko. Noc skryła zbocze góry, a cienie rzucone przez księżyc sprawiały, że kroki stawiało się niepewnie. Ognisko zniknęło już z zasięgu oczu Randa — bez wątpienia było jeszcze lepiej ukryte przed wzrokiem znajdującym się na tym samym poziomie — ale pamiętał dobrze jego położenie. Dla kogoś, kto nauczył się polować w gęstwinach Zachodniego Lasu, w Dwu Rzekach, odnalezienie ogniska nie mogło być czymś trudnym.

„I co potem?”

Przed oczyma stanęła mu twarz Egwene.

„Jaka dumna będę, mogąc stanąć obok tego, który będzie dzierzył Róg”.

— Loial — powiedział nagle, usiłując uporządkować myśli — kim jest ten *alantin*, którym ona cię tytułuje?

— To z Dawnej Mowy, Rand. — Koń Ogira szedł niezdarnymi krokami, ale odnajdywał drogę z taką pewnością, jakby to był biały dzień. — To oznacza Brata i jest to skrót od *tia avende alantin*. Brat Drzew. Drzewny Brat. To ceremonialny tytuł, ale słyszałem, że w Cairhien są bardzo ceremonialni. W każdym razie w Domach szlachetnie urodzonych. Ci prości ludzie, których poznałem, są dosyć bezpośredni.

Rand zmarszczył brwi. Pasterz nie bardzo by się nadawał na gościa w domu jakichś cairhieńskich wielmożów, ściśle przestrzegających ceremoniałów.

„Światłości, Mat miał rację. Jesteś obłąkany, masz wielką i pustą głowę. Ale gdybym mógł się ożenić...”

Bardzo chciał już przestać o tym wszystkim myśleć i zanim się zorientował, w jego wnętrzu pojawiła się pustka, sprawiając, że myśli stały się odległe, jakby należały do kogoś innego. *Saidin* zaświecił w jego stronę, skinął na niego. Zazgrzytał zębami i próbował go ignorować, przypominało to ignorowanie węgla płonącego we wnętrzu czaszki, ale przynajmniej udało mu się trzymać go z dala od siebie. Nieomal. Już prawie opuszczał pustkę, ale tam w mroku czekali Sprzymierzeńcy Ciemności, z każdą chwilą coraz bliżsi. I trolloki. Potrzebował pustki, potrzebował nawet jej niepokojącego spokoju.

„Nie muszę go dotykać. Nie muszę”.



Po jakimś czasie ściągnął wodze Rudego. Stali u podstawy wzgórza, porastające je skąpo drzewa odznaczały się czarnymi sylwetami na tle nocy.

— Chyba już jesteśmy blisko — powiedział cicho. — Dalej lepiej będzie pójść pieszo. — Zsunął się z siodła i przywiązał wodze gnidosza do gałęzi.

— Dobrze się czujesz? — wyszeptał Loial, zsiadając. — Masz dziwny głos.

— Nic mi nie jest. — Zorientował się, że mówi nienaturalnym głosem. Napiętym. *Saidin* wołał do niego.

„Nie!”

— Uważaj. Nie mogę być całkowicie pewien, jak to daleko stąd, ale to ognisko płonie gdzieś tuż przed nami. Chyba na szczycie tego wzgórza.

Ogir skinął głową.

Rand powoli przekradał się od drzewa do drzewa, ostrożnie stawiając każdy krok, mocno ściskając miecz, by nie zaczepić nim o jakiś pień drzewa i nie wywołać hałasu. Cieszył się, że nie rosły tam żadne zarośla. Loial szedł za nim jak wielki cień, jego sylwetka całkowicie roztopiała się w ciemności. Świat kapał się w księżycowych cieniach i mroku.

Nagle za sprawą jakiegoś figla, spletanego przez światło księżyca, cienie na jego drodze rozproszyły się, zastygł w półkroku, wsparty o szorstki pień drzewa skórzanego. Ciemne pagórki, wystające z ziemi, okazały się ludźmi otulonymi w koce, za nimi widać było grupę większych pagórków. Trolloki. To one spały przy ognisku. Promień księżyca, błakający się między gałęziami drzew, odbił się od ziemi srebrzystozłotym blaskiem w połowie odległości dzielącej obie grupy śpiących. Promień jakby pojaśniał, przez krótką chwilę Rand widział to wyraźnie. Obok tego źródła blasku spał jakiś człowiek, lecz to nie on przyciągał uwagę.

„Szkatuła. Róg”.

A na nim coś leżało, połyskując czerwienią w świetle księżyca.

„Sztylet! Po co Fain miałby kłaść...?”

Nagle Loial zakrył swą ogromną dłońią usta Randa, a przy okazji również sporą część jego twarzy. Obrócił się, by spojrzeć na Ogira. Loial wskazał w prawo, powoli, jakby nagłym ruchem mógł przyciągnąć czyjaś uwagę.

Z początku Rand niczego nie widział, po chwili, w odległości najwyżej dziesięciu kroków od nich, zauważył jakiś poruszający się cień: wysoki, zwalisty kształt, obdarzony wydatnym pyskiem. Randowi dech uwiązał w gardle. Trollok. Unosił pysk, jakby coś zwęszył. Niektóre potrafiły polować, kierując się zapachem.

Przez chwilę czuł drganie pustki. Ktoś z obozowiska Sprzymierzeńców Ciemności drgnął i trollok obrócił się, by spojrzeć w tamtą stronę.

Rand zastygł w miejscu, czekał, aż otoczy go spokój pustki. Obejmował dłońią rękojeść miecza, ale nawet o nim nie myślał. Wszystko stało się pustką. Cokolwiek miało się dziać, działo się. Patrzył na trolloka nawet nie mrugnawszy powieką.

Cień z wielkim pyskiem obserwował obóz Sprzymierzeńców Ciemności jeszcze przez chwilę, po czym, jakby w pełni usatysfakcjonowany, ułożył się na ziemi obok drzewa. Nieomal natychmiast zaczął z tamtej strony napływać głuchy odgłos przypominający rozdieranie zgrzebnej tkaniny.

Loial przyłożył usta do ucha Randa.

— Zasnął — wyszeptał takim tonem, jakby temu nie dowierzał.

Rand skinął głową. Ojciec mówił mu, że trolloki są leniwe, skłonne do porzucania wszelkich innych niż zabijanie zadań, o ile nie zmuszał ich do tego strach. Obrócił się twarzą w stronę obozu.

Wciąż panował tam bezruch i cisza. Promień księżyca nie odbijał się już od szkatuły, jednakże wiedział teraz, który to cień. Widział szkatułę w umyśle, unosiła się w pustce, połyskując złotem, inkrustowana srebrem, zawieszona w łunie *saidina*. Róg Valere i upragniony sztylet Mata, obydwa w zasięgu ręki. Razem ze szkatułą unosiła się twarz Selene. Mogliby rankiem ruszyć w pościg za orszakiem Faina i czekać, dopóki nie dołączy do nich Ingтар. O ile Ingтар przybędzie, o ile jest w stanie znaleźć trop bez wężyciela. Nie, lepszej okazji już nigdy nie będzie. Wszystko w zasięgu ręki. Selene czekała na niego w górach.

Gestem ręki nakazując Loialowi, by szedł za nim, Rand położył się na brzuchu i zaczął się czołgać w stronę szkatuły. Usłyszał zduszony jęk Ogira, nie spuszczał jednak wzroku ze znajdującego się przed nim ciemnego wzgórką.

Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki leżeli po lewej i prawej stronie, on jednak widział kiedyś, jak Tam podkraść się do jelenia tak blisko, że zdołał położyć dłoń na jego boku, zanim zwierzę uciekło. Próbował nauczyć się tego od Tama.

„Obłąd!”

Myśl przeleciała obok, niewyraźna, nieomal poza zasięgiem.

„To obłąd! Popadasz-w-obłąd!”

Ciemne myśli, cudze myśli.

Powoli, bezszelestnie podpełzł do tego jedyne, wyjątkowego cienia i wyciągnął rękę. Poczuł pod palcami skomplikowane zdobienia wyryte w złocie. To była szkatuła, w której krył się Róg Valere. Dotknął jeszcze innego przedmiotu, leżącego na wieku. Sztylet, nie schowany do pochwy. Wytrzeszczył oczy, próbując przebić mrok. Przypomniawszy sobie, co ten sztylet zrobił z Matem, cofnął się natychmiast, a pustka zachybotwała pod wpływem zdenerwowania.

Śpiący nie opodal człowiek — w odległości nie więcej niż dwa kroki od szkatuły, nikt z pozostałych nie spał tak blisko — jęknął przez sen i zaczął się gwałtownie wiercić pod kocami. Rand czekał, aż pustka wymiecie myśl i lęk z umysłu. Pomrukując coś z niepokojem przez sen, mężczyzna znieruchomiał.

Rand jeszcze raz wyciągnął dłoń w stronę sztyletu, nie dotykając go jednak. Na samym początku nie zrobił Matowi nic złego. W każdym razie niewiele, nie w szybkim tempie. Jednym zdecydowanym ruchem uniósł sztylet, schował go za pas i oderwał rękę, jakby to miało skrócić czas, w trakcie którego stykał się z jego

nałą skórą. Gdyby jednak mu zaszkodził, wówczas Mat umarłby bez sztyletu. Czuł go na sobie, jakby to był ciężar ciągnący w dół. Przygniatający go. Niemniej jednak w pustce wrażenia zmysłowe były czymś równie odległym jak myśli, toteż dotknięcie sztyletu prędko wyblakło, jakby z dawna był do niego przyzwyczajony.

Jeszcze chwilę tylko zmarnował na wpatrywanie się w spowitą w cień szkatułę — Róg na pewno był w środku, ale nie wiedział, jak się ją otwiera, a sam nie dałby rady jej udźwignąć — poczym odwrócił się w poszukiwaniu Loiala. Ogir przykucnął niedaleko od niego, ogromna głowa obracała się na wszystkie strony, gdy patrzył to na ludzkie kształty Sprzymierzeńców Ciemności, to na śpiące trolloki. Nawet pomimo mroku widać było wyraźnie, że oczy Loiala już nie mogą być szerzej otwarte, w świetle księżyca przypominały spodki. Rand wyciągnął rękę i ujął jego dłoń.

Ogir drgnął i głośno wciągnął powietrze. Rand przyłożył palec do ust, ułożył rękę Loiala na szkatule i wykonał gest naśladujący podnoszenie. Przez jakiś czas — wydawał się trwać wieczność, w samym środku nocy, zewsząd otoczeni Sprzymierzeńcami Ciemności i trollokami, mimo że nie mogło to trwać dłużej niż kilka uderzeń serca — Loial tylko wytrzeszczał oczy. Potem powoli objął ramionami złotą skrzynkę i wstał. Wydawało się, że zrobił to bez najmniejszego wysiłku.

Równie ostrożnie, a nawet jeszcze ostrożniej niż wchodząc tu, Rand zaczął się wycofywać z obozu, w ślad za Loialem i szkatułą. Ściskając oburącz rękojeść miecza, obserwował śpiących Sprzymierzeńców Ciemności, znieruchomiłe sylwetki trolloków. W miarę jak oddalali się od obozu, wszystkie te cieniste postacie pozwalały wchłaniać się coraz mocniej mrokowi.

„Prawie wolni. Udało się!”

Człowiek, który spał obok szkatuły, znieacka usiadł ze zduszonym jękiem, po czym poderwał się na równe nogi.

— Zniknął! Budzić się, plugawcy! Zniiknąąą!

Był to głos Faina, Rand rozpoznał go nawet w pustce. Pozostali wstawali z ziemi, Sprzymierzeńcy Ciemności i trolloki pytali głośno, co się stało, pomrukiwali i powarkiwali. Głos Faina przeszedł we wściekłe wycie.

— Wiem, że to ty, al’Thor! Ukrywasz się przede mną, ale ja wiem, że tam gdzie jesteś! Znajdźcie go! Znajdźcie go! Al’Thooooor!

Ludzie i trolloki pierzchali na wszystkie strony.

Otulony w przestrzeń pustki Rand na moment nie przestawał iść. Nieomal zapomniany podczas wchodzenia do obozowiska *saidin* zaczął w nim pulsować.

— On nas nie widzi — szepnął Loial. — Jak już dotrzemy do koni. . .

Z ciemności wyskoczył na nich trollok, mimo ludzkiej twarzy, w miejscu, gdzie powinny być usta i nos, miał okrutny orli dziób. W powietrzu rozległ się świst przypominający cięcie sierpem.

Rand poruszał się nie zwiedziony żadnymi myślami. Stał się jednym z ostrzem. Kot Tańczy na Murze. Trollok krzyknął przeraźliwie, gdy upadał,

krzyknął raz jeszcze, gdy zdychał.

— Biegnij, Loial! — rozkazał Rand. Słyszał wołanie *saidina*. — Biegnij!

Niewyraźnie zauważył, jak Loial przechodzi w niezdarny galop, w mroku nocy bowiem zamajaczyła sylwetka następnego trolloka, obdarzonego pyskiem i kłami dzika, z uniesionym toporem. Rand gładko wślizgnął się między trolloka i Ogira, Loial musiał wynieść Róg. Wyższy od Randa o całą głowę i ramiona, o połowę szerszy, trollok napadł go z tłumionym warkotem. Tym razem nie wydał żadnego krzyku. Cofał się tyłem w ślad za Loialem, lustrując wzrokiem noc. *Saidin* śpiewał do niego, jakże słodko brzmiała jego pieśń.

„Niechaj Moc spali ich wszystkich, niech spali Faina i pozostałych na popiół. Nie!”

Oto jeszcze dwóch trolloków, wilk i baran, połyskujące zęby, skrócone rogi. Jaszczurka na Gałęziach Głogu. Uniósł się gładko na kolano, gdy drugi zwałił się na ziemię, nieomal ocierając rogami o jego ramię. Pieśń *saidina* pieściła go uwodzicielsko, ciągnęła go za tysiąc jedwabnych sznurów.

„Spalić ich wszystkich Mocą. Nie. Nie! Lepiej samemu umrzeć. Gdybym sam zginął, wszystko by się skończyło”.

Pojawiła się cała grupa trolloków, rozglądali się niepewnie. Było ich trzech, czterech. Nagle jeden z nich wskazał Randa, pozostali podjęli jego wycie i ruszyli do szarży.

— Niech się to skończy! — krzyknął Rand i skoczył im na spotkanie.

Na moment, jakby zaskoczeni, zwolnili, po czym znowu ruszyli, wydając gardłowe okrzyki, żądni krwi, z wzniesionymi mieczami i toporami. Zatańczył między nimi w takt pieśni *saidina*. Koliber Całuje Różę. Jaka śliczna pieśń. Kot na Gorącym Piasku. Jak nigdy przedtem miecz wydawał się żyć w jego rękach, walczył, jakby ostrze ze znakiem czapli miało nie dopuszczać do niego *saidina*. Czapla Rozwija Skrzydła.

Rand zapatrzył się zdumiony na znieruchomiałe kształty leżące dokoła na ziemi.

— Lepiej samemu umrzeć — powiedział półgłosem. Podniósł oczy i spojrzał na wzgórze, na którym znajdował się obóz. Był tam Fain, Sprzymierzeńcy Ciemności i jeszcze inne trolloki. Nie pokona ich wszystkich. Nie uda mu się stawić im wszystkim czoło i przeżyć. Zrobił krok w tamtą stronę. Następny.

— Rand, chodź tu! — Nagłące, wyszeptane wołanie Loiala napłynęło do niego przez pustkę. — Na życie i Światłość, Rand, chodź tutaj!

Rand pochylił się ostrożnie, by wytrzeć miecz o kaftan trolloka. Potem, równie ceremonialnie, jakby obserwował go Lan, schował ostrze do pochwy.

— Rand!

Jakby nic go nie ponaglało, dołączył do Loiala przy koniach. Ogir przywiązywał szkatułę do siodła paskami od sakwy. Pod spód wepchnął swój płaszcz, by szkatuła mogła bezpiecznie utrzymać się na okrągłym siedzeniu siodła.

*Saidin* przestał śpiewać. Wywracająca żołądek luna była tam, ale cofała się, jakby rzeczywiście odparł jej napór. Przejęty zdziwieniem pozwolił pustce zniknąć.

— Ja chyba popadam w obłąd — powiedział.

Nagle uświadamiając sobie, gdzie są, obejrzał się w stronę, z której przyszli. Z kilkunastu różnych kierunków dobiegały go krzyki i wycia, oznaki poszukiwań, ale nie pościgu. Na razie. Dosiadł grzbietu Rudego.

— Czasami nie rozumiem połowy tego, co mówisz — oświadczył Loial. — Skoro już musisz popaść w obłąd, to czy nie możesz tego zrobić dopiero wtedy, jak już wrócimy do lady Selene i Hurina?

— Jak masz zamiar jechać z tym w siodle?

— Będę biegł! — Na poparcie swych słów narzucił szybki krok, ciągnąc za sobą konia. Rand ruszył zaraz za nim.

Tempo narzucone przez Loiala dorównywało końskiemu cwałowi. Rand był przekonany, że Ogirowi nie uda się w ten sposób biec długo, jednakże nogi Loiala bynajmniej nie osłabły. Rand stwierdził, że być może wcale nie kłamał, przechwalając się kiedyś, że potrafi prześcignąć konia. Podczas biegu Loial oglądał się za siebie co jakiś czas, jednakże okrzyki Sprzymierzeńców Ciemności i wycia trolloków cichły w oddali.

Mimo że teren zaczął się już lekko wznosić w górę, Loial prawie wcale nie zwolnił kroku, wbiegł do ich obozowiska na zboczu góry, lekko tylko zadyszany.

— Macie go! — W głosie Selene słychać było triumf, gdy jej wzrok padł na ozdobną szkatułę przymocowaną do siodła Loiala. Znowu miała na sobie suknię, Randowi wydawała się biała jak śnieg. — Wiedziałam, że dokonasz właściwego wyboru. Czy ja mogę... na niego popatrzeć?

— Czy któryś z nich was ścigał, mój panie? — spytał z niepokojem Hurin. Popatrzył na szkatułę ze zgrozą, lecz jego oczy ześlizgnęły się w mrok, w dół zbocza. — Jeśli ruszyli w pogoń, musimy jak najszybciej stąd uciekać.

— Moim zdaniem nie. Idź na ten występ skalny i sprawdź, czy coś widzisz. — Gdy Hurin pobiegł na zbocze góry, Rand wyskoczył z siodła. — Selene, nie wiem, jak się otwiera tę szkatułę. Loial, a ty?

Ogir pokręcił głową.

— Daj, to spróbuję... — Słuszny, jak na kobietę, wzrost nie pomógł, siodło Loiala znajdowało się bardzo wysoko ponad ziemią. Selene wyciągnęła się do góry, by dotknąć misternie wyrytych wzorów na szkatule, pogładziła je dłońmi, nacisnęła. Rozległ się szcęk, Selene podważyła i otworzyła wieko.

Gdy stała na palcach, by włożyć rękę do środka, Rand sięgnął ponad jej ramieniem i uniósł Róg Valere. Już raz go widział, ale nigdy nie dotknął. Mimo iż pięknie wykonany, nie sprawiał wrażenia czegoś bardzo starego, ani obdarzonego wielką mocą. Skręcony złoty róg, połyskujący bladym blaskiem, z inkrustowanym

srebrnym napisem wijącym się wokół czaszy. Dotknął palcem dziwacznych liter. Wydały się wchłaniać promienie księżyca.

— *Tia mi aven Moiridin isainde vadin* — odczytała Selene. — „Grób nie będzie przeszkodą na moje wezwanie”. Czeka cię jeszcze większa sława niż Artura Hawkinga.

— Zabieram go do Shienaru, do lorda Agelmara.

„Powinien trafić do Tar Valon — pomyślał — ale ja już skończyłem z Aes Sedai. Niech Agelmar albo Ingтар go do nich zawiezie”.

Schował Róg z powrotem do szkatuły, przykuwał wzrok odbitym światłem księżyca.

— To obłąd — orzekła Selene.

Rand wzdrygnął się, słysząc te słowa.

— Obłąd, nie obłąd, to mam właśnie zamiar zrobić. Mówiłem ci, Selene, nie pragnę udziału w sławie. Jeszcze dzisiaj, w tym miejscu, wydawało mi się, że pragnę. Przez jakiś czas wydawało mi się, że chcę...

„Światłości, jest taka piękna. Egwene. Selene. Nie jestem wart żadnej z nich”.

— Coś mnie chyba opętało.

„*Saidin* przybył po mnie, ale odpędziłem go mieczem. A może to też obłąd?”  
Zrobił głęboki wdech.

— Róg Valere należy do Shienaru. A jeśli nawet nie, to lord Agelmar będzie wiedział, co z nim zrobić.

Wrócił z gór Hurin.

— Znowu zapłonęło tam ognisko, lordzie Rand, tym razem o wiele większe. I wydało mi się, że słyszę krzyki. Chyba jeszcze nie wyruszyli w góry.

— Źle mnie zrozumiałeś, Rand — powiedziała Selene. — Nie możesz teraz wracać. Zobowiązałeś się. Ci Sprzymierzeńcy Ciemności nie odejdą z pokorą, ponieważ zabrałeś im Róg. Na pewno nie. O ile nie znasz jakiegoś sposobu, żeby ich wszystkich zabić, będą na ciebie polować tak samo, jak ty polowałeś na nich.

Długie włosy Selene zafalowały, gdy potrząsnęła głową.

— Dlatego nie możesz się cofać, tylko jechać do przodu. O wiele wcześniej dotrzesz do bezpiecznych murów Cairhien niż do Shienaru. Czy myśl o paru dniach spędzonych w moim towarzystwie jest dla ciebie aż tak przykra?

Rand zapatrzył się na szkatułę. Towarzystwo Selene żadną miarą nie było uciążliwe, jednakże w jej obecności nie umiał się wystrzec niepożądanych myśli. Niemniej jednak jazda z powrotem na północ wiązała się z ryzykiem napotkania Faina i jego świty. Tu miała rację. Fain nigdy nie zrezygnuje. Ingтар też nigdy nie zrezygnuje. Jeśli Ingтар będzie nadal podążał na południe, a Rand nie znał powodów, dla których miałby zboczyć z obranej drogi, wówczas przybędzie do Cairhien, prędzej lub później.

— Cairhien — zgodził się. — Będziesz musiała mnie zawieźć do miejsca, w którym mieszkasz, Selene. Nigdy nie byłem w Cairhien. — Wyciągnął rękę, by

zamknąć szkatułę.

— Czy zabrałeś coś jeszcze Sprzymierzeńcom Ciemności? — spytała Selene.

— Wspominałeś wcześniej o jakimś sztylecie.

„Jak mogłem zapomnieć?”

Pozostawił szkatułę i wyciągnął sztylet zza pasa. Nagie ostrze zakrzywiło się jak róg, rękojeść tworzyły złote smoki. Osadzony w niej, wielki jak paznokieć kciuka, rubin zamrugał w świetle księżyca niby złowrogie oko. Ozdobny, nie różnił się niczym od innych noży, Rand jednak znał jego skazę.

— Bądź ostrożny — powiedziała Selene. — Nie skalecz się.

Rand poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Skoro zwykłe noszenie go przy sobie było takie niebezpieczne, to nie chciał myśleć, co mogła spowodować zadana przez niego rana.

— To sztylet z Shadar Logoth — wyjaśnił wszystkim. — Zniekształca każdego, kto nosi go długo przy sobie, przenika do kości skazą, jaką naznaczone jest Shadar Logoth. Bez Uzdrawienia Aes Sedai ta skaza w końcu zabija.

— A więc to właśnie dolega Matowi — powiedział cicho Loial. — Nigdy nie podejrzewałem.

Hurin popatrzył ma sztylet w ręku Randa i otarł swoje ręce o przód kaftana. Wszyciel nie miał najszcześliwszej miny.

— Nikt z nas nie powinien dotykać go, o ile to nie jest konieczne — ciągnął Rand. — Wymyślę jakiś sposób, by można go było nieść. . .

— To niebezpieczne. — Selene popatrzyła, krzywiąc się na ostrze, jakby te węże były prawdziwe i jadowite. — Wyrzuć go. Zostaw albo zakop, jeśli nie chcesz, by wpadł w czyjeś ręce, ale pozbądź się go.

— Mat go potrzebuje — odparł stanowczo Rand.

— Jest zbyt niebezpieczny. Sam tak powiedziałaś.

— On go potrzebuje. Amy. . . Aes Sedai powiedziały, że on umrze, jeśli nie będzie można użyć sztyletu do Uzdrawiania.

„One nadal trzymają go na sznurku, ale to ostrze przetnie ten sznurek. Dopóki nie pozbędę się sztyletu i Rogu, też będą mnie trzymały na sznurku, ale ja nie będę tańczył, choćby nie wiadomo jak zań ciągnęły”.

Ułożył sztylet na szkatule, w skřęcie Rogu — dokładnie się w nim mieścił — i zamknął wieko. Rozległ się głośny trzask.

— Szkatuła powinna nas przed nim chronić. — Liczył na to. Lan powiedział, że należy mówić tonem najgłębszego przekonania, gdy jest się czegoś najmniej pewnym.

— Szkatuła na pewno nas ochroni — powiedziała zdenerwowanym głosem Selene. — A teraz mam zamiar dokończyć to, co mi zostało ze snu tej nocy.

Rand pokręcił głową.

— Jesteśmy za blisko. Zdarzało się, że Fain potrafił mnie odnaleźć.

— Szukaj Jedności, w razie gdybyś się bał — poradziła Selene.

— Rano chciałbym się znaleźć tak daleko od Sprzymierzeńców Ciemności, jak się tylko da. Osiodłam twoją klacz.

— Uparciuch! — Sądząc po głosie, była wyraźnie zła, a gdy na nią spojrzął, zobaczył usta wygięte w uśmiechu, który nie ogarniał jej ciemnych oczu. — Upar-ty mężczyzna przydaje się wtedy. . .

Zawiesiła głos, martwiąc go. Kobiety często nie dopowiadały pewnych rzeczy, a na podstawie swych skromnych doświadczeń wiedział, że to czego nie mówiły, okazywało się źródłem największych kłopotów. Obserwowała w milczemu, jak nakłada siodło na grzbiet białej klaczy i pochyła się, by umocować popręg.

\* \* \*

— Zgromadzić ich tu wszystkich! — warknął Fain.

Trollok o kozim pysku cofnął się przed nim. Ogień, wysoki dzięki spiętrzone-mu na stosie drewnu, oświetlał zbocze wzgórza migotliwymi cieniami. Towarzy-szący mu ludzie kulili się obok ogniska, bojąc się przebywać w ciemności razem z trollokami.

— Zgromadzić ich wszystkich, a niech który choć pomyśli o ucieczce, to po-kazać mu zaraz, czym sobie można za to zasłużyć.

Wskazał trolloka, który jako pierwszy przybył do niego z wieścią, że al'Thora nie można nigdzie znaleźć. Nadal się miotał w błocie powstałym z jego własnej krwi, drgające kopyta ryły w ziemi głębokie bruzdy.

— Idź — szepnął Fain i trollok o kozim pysku pobiegł w mrok.

Fain obejrzał się z pogardą na pozostałych ludzi — „Nadal się mogą przy-dać” — i obrócił się, by popatrzeć na spowity w ciemnościach Sztylet Zabójcy Rodu. Gdzieś tam, w tych górach, był al'Thor. Z Rogiem. Na samą myśl głośno zazgrzytał zębami. Nie wiedział dokładnie gdzie, ale coś go pchało w stronę tych gór. W stronę al'Thora. Tyle w nim pozostało. . . z daru. . . od Czarnego. Led-wie o tym myślał, starał się nie myśleć, dopóki nagle, po tym jak Róg zniknął — „Zniknął!” — al'Thor nie pojawił się tam, przyciągając go jak mięso, które przyciąga wygłodniałe psy.

— Już nie jestem psem. Nie jestem psem! — Słyszał, jak pozostali poruszają się niespokojnie przy ognisku, ale ignorował ich. — Zapłacisz mi za to, co ze mną zrobiono, al'Thor! Cały świat mi zapłaci! — Zaniósł się rechotem, który rozniósł się po nocnym mroku. — Cały świat mi zapłaci!



## SAIDIN

Rand kazał im jechać całą noc, dopiero o świcie pozwolił na krótki postój, by konie mogły trochę odpocząć. Również po to, by dać wypocząć Loialowi. Jako że jego siodło zajmował Róg Valere ukryty w złoto-srebrnej szkatule, Ogir szedł lub biegł obok swego wielkiego wierzchowca, nie skarżąc się ani słowem, nie spowalniając wędrówki. Nad ranem przekroczyli granice Cairhien.

— Chcę go jeszcze raz zobaczyć — oświadczyła Selene, kiedy się zatrzymali. Zsiadła z konia i podeszła do rumaka Loiala. Ich cienie, długie i wąskie, wskazywały na zachód, nad horyzontem bowiem już wyzierało słońce. — Proszę, zdejmij go dla mnie, *alantynie*. — Loial zaczął odwiązywać rzemienne paski. — Róg Valere.

— Nie — powiedział Rand, zsiadając z grzbietu Rudego. — Loial, nie.

Ogir przeniósł wzrok z Randa na Selene, pełen wątpliwości zastrzygł uszami, ale opuścił ręce.

— Chcę zobaczyć Róg — rozkazała Selene.

Rand był przekonany, że nie jest od niego starsza, ale w tym momencie nagle wydała się tak stara i zimna jak te góry, bardziej królewska niż Morgase w całym swoim majestacie.

— Uważam, że powinniśmy trzymać sztylet pod osłoną — odparł Rand. — Z tego, co wiem, oglądanie go może być równie fatalne w skutkach jak dotykanie. Niech zostanie w środku, póki nie włożę go w ręce Mata. On... on będzie go mógł dostarczyć Aes Sedai.

„A jakiej ceny zażądają za Uzdrawienie? Ale nie ma wyboru”.

Czuł się trochę winny za tę ulgę, że przynajmniej sam uwolnił się od Aes Sedai.

„Skończyłem z nimi. W taki czy inny sposób”.

— Sztylet! Ciebie obchodzi tylko ten sztylet. Mówiłam ci, że masz się go pozbyć. Róg Valere, Rand.

— Nie.

Podeszła do niego kołyszącym krokiem, na widok którego coś mu uwięzło w gardle.

— Ja go tylko chcę obejrzeć w świetle dnia. Nawet go nie dotknę. Ty go bę-

dziesz trzymał. Taki obraz zapamiętam na zawsze, ty z Rogiem Valere w dłoniach.

Mówiąc to, ujęła go za ręce, pod wpływem jej dotyku poczuł, jak przechodzą go ciarki i zasycha mu w ustach.

Obraz zapamiętany na zawsze — kiedy ona już odejdzie... Będzie mógł zamknąć sztylet z powrotem, po wyjęciu Rogu ze szkatuły. Trzymanie Rogu w rękach będzie czymś naprawdę szczególnym, gdy uda mu się obejrzeć go w świetle dziennym.

Żałował, że tak mało wie na temat Proroctw Smoka. Któregoś razu, jeszcze w Polu Emonda, słyszał ich kilka z ust jakiegoś kupca, Nynaeve połamana wtedy miotłą na grzbiecie tamtego człowieka. Żadne z tych niewielu, które poznał, nie wspominało Rogu Valere.

„Aes Sedai próbują mnie zmusić, bym zrobił to, czego one chcą”.

Selene nadal patrzyła z napięciem w jego oczy, miała twarz tak młodą i piękną, że pragnął ją pocałować wbrew temu, co o tym myślał. Aes Sedai nigdy tak się nie zachowywały, wyglądała na młodą, a nie pozbawioną wieku.

„Dziewczyna w moim wieku nie może być Aes Sedai. Ale...”

— Selene — powiedział cicho. — Ty nie jesteś Aes Sedai?

— Aes Sedai — nieomal wypluła to słowo, gwałtownie odsuwając ręce. — Aes Sedai! Wiecznie mi to zarzucasz! — Zrobiła głęboki wdech i przygładziła suknię, jakby starała się uspokoić. — Jestem czym i kim jestem. Nie jestem żadną Aes Sedai! — I z tymi słowami okryła się milczącym chłodem, zarażającym, jak się zdawało, nawet poranne powietrze.

Loial i Hurin przyjmowali to wszystko z takim nastawieniem, na jakie ich było stać, próbowali prowadzić rozmowę i pokryć swoje zażenowanie, mimo że mroziła ich swym spojrzeniem. Jechali dalej.

Zanim tamtego wieczoru rozbili obóz nad brzegiem górskiego strumienia, który dostarczył im ryb na kolację, Selene najwyraźniej nieco rozchmurzyła się, gawędziła z Ogirem na temat książek, przemawiała uprzejmie do Hurina.

Mało jednak odzywała się do Randa, dopóki on nie zagadnął pierwszy, zarówno tamtego wieczora, jak i następnego dnia, gdy pokonywali góry, które wznosiły się stromo z obu stron niczym ogromne szare mury o nierównych wierzchołkach, pnących się coraz wyżej. Za każdym jednak razem, gdy na nią spojrzał, przypatrywała mu się z uśmiechem. Czasami był to taki uśmiech, który musiał odwzajemnić, a czasami musiał przez niego kaszlnąć i zaczerwienić z powodu swych myśli, niekiedy też bywał to ten rodzaj tajemniczego, domyślnego uśmiechu, który znał z twarzy Egwene. Pod jego wpływem zawsze miał ochotę się skulić — ale przynajmniej był to jakiś uśmiech.

„Ona na pewno nie jest Aes Sedai”.

Droga zaczęła schodzić w dół, a gdy już zanosilo się na zmierzch, Sztylet Zabójcy Rodu zaczął wreszcie przechodzić we wzgórze, łagodne i okrągłe, porośnięte krzewami raczej niżli drzewami, raczej gąszcz niż las. Nie wiódł tamtędy

żaden trakt, tylko ubita ścieżka, po której mogłyby co jakiś czas przejeżdżać zwykłe fury. Niektóre ze wzgórz przedzielone były tarasami uprawnych pól, lecz o tak późnej godzinie nie pracowali już na nich ludzie. Wszystkie domostwa rolników były położone zbyt daleko od drogi, by Rand mógł zobaczyć coś więcej niż to, że zbudowano je z kamienia.

Gdy wreszcie dostrzegł w oddali wieś, w kilku oknach migotały już światła zwiastujące nadchodzącą noc.

— Dzisiaj będziemy spali w łózkach — obiecał.

— To mi się podoba, lordzie Rand.

Hurin zaśmiał się. Loial pokiwał głową na znak aprobaty.

— Wiejska gospoda — powiedziała z pogardą Selene. — Brudna bez wątpienia i pełna nie umytych ludzi żłopiących piwo. Dlaczego nie przespać się znowu pod gołym niebem? Uwielbiam spanie pod gwiazdami.

— Przystaniesz je tak uwielbiać, gdy podczas snu dopadnie nas Fain i jego trolloki — odparł Rand. — On mnie ściga, Selene. Chce mieć Róg, ale przede wszystkim może znaleźć mnie. Jak ci się wydaje, dlaczego nas tak pilnie strzegłem podczas ostatnich nocy?

— Jeśli Fain nas złapie, to ty z pewnością dasz mu radę. — W jej głosie słychać było chłodne przekonanie. — A we wsi też mogą być Sprzymierzeńcy Ciemności.

— Ale nawet gdyby wiedzieli, kim jesteśmy, nie będą mogli zbyt wiele zdziałać na oczach całej wsi. Chyba że, twoim zdaniem, wszyscy tutejsi mieszkańcy są Sprzymierzeńcami Ciemności.

— A jeśli odkryją, że wiesz Róg? Nieważne, czy ty sam pragniesz sławy, czy nie, nawet chłopcy o niej marzą. — Selene ma rację, Rand — orzekł Loial. — Obawiam się, że nawet wieśniacy będą go chcieli zdobyć.

— Rozwiń swój koc, Loial, i okryj nim szkatułę. Niech cały czas pozostaje zakryta.

Loial wykonał polecenie i Rand skinął głową. Było widać, że pod prążkowanym kocem Loiala znajduje się jakaś skrzynia albo szkatuła, nic jednak nie sugerowało, że jest to coś więcej niż kufer podróżny.

— Kufer z przyodziewkiem mojej lady — powiedział Rand z szerokim uśmiechem i ukłonem.

Selene przyjęła ten docinek milczeniem i nieodgadnionym spojrzeniem. Po chwili znowu ruszyli w drogę.

Nieomal zaraz, po lewej stronie Randa, promień zachodzącego słońca odbił się od czegoś, leżącego na ziemi. Od czegoś wielkiego. Czegoś ogromnego, sądząc po błysku. Zaciekawiony, skierował konia w tamtym kierunku.

— Mój panie? — powiedział Hurin. — A wioska?

— Chcę najpierw to zobaczyć — odparł Rand.

„To jaśniejsze niż odbicie słońca na wodzie. Co to może być?”

Nie odrywając wzroku od blasku, zdziwił się, gdy Rudy nagle się zatrzymał. Już miał pognać go do przodu, gdy odkrył, że stoją na skraju glinianego urwiska, tuż nad ogromnym wykopem. Większa część zbocza wzgórza była wydrążona na głębokość co najmniej stu kroków. Z całą pewnością było tu kiedyś jeszcze jedno wzgórze i być może pola uprawne, szerokość jamy była bowiem dziesięciokrotnie większa niż jej głębokość. Przeciwnie kraniec wydawał się tak mocno ubity, że tworzył rodzaj pochyłej ściany. Na samym dnie znajdowało się kilkunastu mężczyzn, zabierali się właśnie do rozpalania ogniska, tam w dole już zapadała. Ich zbroje co jakiś czas rzucały błyski, u boków kołysały się miecze. Ledwie na nich spojrział.

Z gliny na samym dnie wykopu wystawała gigantyczna kamienna dłoń trzymająca kryształową kulę i to właśnie ona odbijała ostatni blask dnia. Rand otworzył usta ze zdziwienia na widok rozmiarów tej gładkiej kuli — był przekonany, że jej powierzchnia nie jest skażona nawet najdrobniejszą rysą — o średnicy co najmniej dwudziestu kroków.

W pewnej odległości od dłoni odkopano kamienną twarz, proporcjonalnej wielkości. Twarz mężczyzny z brodą wystawała z ziemi z godnością wielu lat, silne rysy wydawały się zawierać mądrość i wiedzę.

Nagle, zupełnie nieproszona, zaczęła się formować pustka, całkowita i kompletna, *saidin* jarzył się i przyzywał. Tak był pochłonięty widokiem tej twarzy i dłoni, że nawet nie zauważył, co się stało. Słyszał kiedyś, jak kapitan statku, Bayle Domon, opowiadał o ręce trzymającej ogromną kryształową kulę; twierdził, że wystaje ona ze wzgórza na wyspie Tremalking.

— To niebezpieczne — powiedziała Selene. — Odjedźmy stąd, Rand.

— Myślę, że potrafię znaleźć prowadzącą do niej drogę — odparł roztargnionym głosem. Słyszał śpiewającego *saidina*. Ogromna kula zdawała się jarzyć bielą światła zachodzącego słońca. Miał wrażenie, że w głębi kryształu światło wiruje i tańczy w takt pieśni *saidina*. Dziwiło go, że ludzie znajdujący się w dole tego nie zauważyli.

Selene podjechała bliżej i ujęła go za ramię.

— Błagam, Rand, musisz stąd odejść.

Popatrzył na jej rękę, zaskoczony, po czym powiódł wzrokiem poprzez ramię aż do twarzy. Wyglądała na autentycznie zaniepokojoną, może nawet przestraszoną.

— Nawet jeśli ten występ nie zawali się pod ciężarem naszych koni i nie połamiemy sobie karków przy upadku, to i tak widać, że ci ludzie to strażnicy, a nikt nie ustawia straży przy czymś, by potem pozwalać byle przechodniowi to oglądać. Co ci przyjdzie z uciekania przed Fainem, jeśli strażnicy cię aresztują. Chodź stąd.

Nagle — dryfująca, daleka myśl — uświadomił sobie, że otacza go pustka. *Saidin* śpiewał, a kula pulsowała — nie musiał nawet patrzeć, by o tym wiedzieć

— i wtedy przyszło mu do głowy, że jeśli on podejmie pieśń, śpiewaną mu przez *saidina*, wówczas ta ogromna kamienna twarz otworzy się i zaśpiewa razem z nim. Razem z nim *i saidinem*. Wszyscy razem.

— Błagam, Rand — powiedziała Selene. — Pojadę z tobą do wsi. Już nic nie będę mówiła o Rogu. Tylko odejdz stąd!

Uwolnił pustkę... ale ona nie chciała odejść. *Saidin* nucił, a światło wypełniająca kulę tętniło niczym serce. Jak jego serce. Loial, Hurin, Selene, wszyscy troje wpatrywali się w niego, lecz najwyraźniej nie zauważali wspaniałości blasku, jaki bił od kryształu. Usiłował odepchnąć od siebie pustkę. Była nieugięta jak granit. Unosił się wśród otaczających ją ścian, niczym pośród kamienia. Pieśń *saidina*, pieśń kuli, czuł, jak one wibrują po jego kościach. Zaciskając zęby, nie chciał się poddać, sięgnął do głębi samego siebie...

„Nie zrezygnuję...”

— Rand.

Nie wiedział, czyj to głos.

... dotarł do źródła własnej istoty, źródła tego, czym był...

„... nie poddam się...”

— Rand.

Pieśń wypełniała go całego, wypełniała całą przestrzeń pustki.

... dotknął kamienia, rozżarzonego od bezlitosnego słońca, zlodowaciałego od bezlitosnej nocy...

„... nie...”

Poczuł, jak go wypełnia, jak oślepia go światło.

— Póki cień nie zniknie — powiedział półgłosem — póki wody nie ustąpią...

Wypełniła go Moc. Stał się jednym z kulą.

— ... w Cień z obnażonymi zębami.

Moc należała do niego. Jedyna Moc.

— ... by splunąć w oko Temu, Który Odbiera Wzrok...

Moc od której Pęka Świat.

— ... ostatniego dnia!

To zabrzmiało jak krzyk i pustka zniknęła. Rudy spłoszył się, grudy gliny trysnęły spod jego kopyt, sypiąc się na dno wykopu. Wielki gniadosz padł na kolana. Rand pochylił się do przodu, chwytając mocno wodze, a Rudy uniósł niezdarnie, cofając w bezpieczne miejsce, z dala od skraju urwiska.

Zauważył, że wpatrują się w niego. Selene, Loial, Hurin, wszyscy troje.

— Co się stało?

„Pustka...”

Dotknął swojego czoła. Pustka nie zniknęła, gdy chciał ją uwolnić, a luna *saidina* stała się jeszcze silniejsza, i... Nie mógł sobie przypomnieć nic więcej. *Saidin*. Czuł chłód.

— Czy ja... coś robiłem? — Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.  
— Coś mówiłem?

— Siedziałeś tylko, sztywny jak posąg — odparł Loial — mruczałeś coś do siebie i nie słuchałeś nikogo. Nie rozumiałem, co mówisz, dopóki nie krzyknąłeś „dzień!” tak głośno, że mógłbyś pobudzić umarłych, a koń tak się spłoszył, że omal nie skoczył do przepaści. Czy jesteś chory? Z każdym dniem zachowujesz się coraz dziwniej.

— Nie jestem chory — odparł ochryple Rand, po czym spokojniejszym tonem dodał: — Nic mi nie jest, Loial.

Selene obserwowała go uważnie.

Od strony wykopu dobiegło ich wołanie mężczyzn, słowa nie dawały się zrozumieć.

— Lordzie Rand — powiedział Hurin. — Ci strażnicy w końcu nas chyba zauważyli. Jeśli znają drogę prowadzącą tu na górę, to będą tu lada moment.

— Tak — odezwała się Selene. — Odjedźmy stąd jak najszybciej.

Rand zerknął na jamę wygrzebaną w ziemi, po czym natychmiast oderwał wzrok. Wielki kryształ odbijał tylko światło wieczornego słońca, ale nie chciał już nań patrzeć. Prawie coś sobie przypominał... coś związanego z tą kulą.

— Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy na nich czekać. Nic nie zrobiliśmy. Poszukajmy jakiejś gospody.

Skierował Rudego w stronę wioski i wkrótce zostawili za sobą wykop i pokrzykujących strażników.

Tak jak wiele wiosek, Tremonsien było położone na szczycie wzgórza, przy czym podobnie do mijanych przez nich farm, wzgórze to było podzielone na tarasy ograniczone murkami z kamienia. Kwadratowe kamienne budynki zajmowały dokładnie wytyczone parcele, z precyzyjnie ogrodzonymi ogródkami od tyłu, przy kilku prostych ulicach, przecinających się prostopadle. Konieczność wykrzywiania ulic biegnących wokół wzgórza najwyraźniej została zlekceważona.

Niemniej jednak ludzie wyglądali na otwartych i przyjaznych, mijając się, kiwali do siebie głowami i dalej pośpiesznie zmiierzali do swych ostatnich obowiązków przed zapadnięciem zmroku. Cechowali się niskim wzrostem — nikt nie sięgał Randowi wyżej jak do ramienia, a niewielu dorównywało Hurinowi — mieli ciemne oczy i blade, wąskie twarze, na ogół nosili ciemne ubrania, z wyjątkiem kilku, z kolorowymi naszykami na piersiach. Powietrze wypełniały zapachy gotowanej stawy — dziwnie przyprawionej, jak osądził nos Randa — jakkolwiek kilka gospodyń stało jeszcze przy drzwiach, by gawędzić z innymi; drzwi składały się z dwóch części, dzięki czemu góra mogła być otwarta, a dół zamknięta. Ludzie mierzyli przybyszów zaciekawionym wzrokiem, nie okazując wrogości. Kilku wpatrywało się nieco dłużej w Loiala, idącego obok konia równie wielkiego jak dhurran, jednakże trwało to zaledwie ułamek chwili dłużej.

Gospoda, na samym szczycie wzgórza, zbudowana była z kamienia tak jak

inne budynki w mieście i wyraźnie oznakowana szyldem wiszącym nad szerokimi drzwiami. „Dziewięć Pierścieni”. Rand zsiadł z uśmiechem z konia i przywiązał Rudego do jednego ze słupków znajdujących się przed budynkiem. „Dziewięć Pierścieni” należało do jego ulubionych opowieści przygodowych kiedy był mały, podejrzewał, że nadal tak jest.

Selene wciąż wyglądała na niespokojną, gdy pomagał jej zsiąść z konia.

— Dobrze się czujesz? — spytał. — Nie przestraszyłem cię tam, prawda? Rudy nigdy nie zrzuciłby mnie w przepaść. — Zastanawiał się, co tak naprawdę się stało.

— Przestraszyłeś mnie — powiedziała urażonym głosem — a mnie wcale nie tak łatwo przestraszyć. Mogłeś się zabić, zabić. . . — Wygładziła suknię. — Jedź ze mną. Dziś w nocy. Zaraz. Jak zawiesz Róg, to zostanę z tobą na całe życie. Przemysł to. Ja u twego boku i Róg Valere w twoich rękach. A to będzie zaledwie początek, obiecuję. Rand potrząsnął głową.

— Nie mogę, Selene. Róg. . .

Rozejrzał się dokoła. Jakiś mężczyzna wyjrzał z mijanego przez nich okna, potem zasunął zasłony, ulica pociemniała i nikogo nie było w zasięgu wzroku prócz Loiala i Hurina.

— Róg nie należy do mnie. Powiedziałem ci.

Odwróciła się do niego, jej biały płaszcz zagroził mu drogę równie skutecznie jak cegły.

# DZIEWIEĆ PIERŚCIENI

Rand spodziewał się, że główna izba gospody będzie pusta, była to bowiem już pora wieczerzy, jednakże przy jednym stole cisnęło się sześciu mężczyzn, grali w kości między kuflami piwa, siódmy siedział osobno przy posiłku. Mimo że gracze nie mieli przy sobie żadnej broni, ani nie nosili zbroi, jedynie proste kaftany i granatowe spodnie, coś w ich sylwetkach podpowiadało Randowi, że to żołnierze. Jego wzrok powędrował do człowieka siedzącego samotnie. Był to oficer, w wysokich butach z wywróconymi cholewami, tuż obok jego krzesła stał miecz wsparty o stół. Przez pierś granatowego oficerskiego kaftana biegły pojedyncze białe i czerwone naszywki, sięgające od ramienia do ramienia. Miał wygolony przód głowy, reszta długich, czarnych włosów zwisała luźno na plecach. Żołnierze byli krótko ostrzyżeni, wyglądali, jakby ich cięto równo, podle tej samej misy. Cała siódemka obróciła się, by popatrzeć na Randa i pozostałych wchodzących do środka.

Właścicielką karczmy była szczupła kobieta obdarzona długim nosem i siwiejącymi włosami, jakkolwiek jej zmarszczki wydawały się stanowić przede wszystkim element uśmiechu. Pośpiesznie wyszła im naprzeciw, wycierając ręce w nieskazitelnie biały fartuch.

— Dobry wieczór — rzekła. Jej bystry wzrok ogarnął haftowany złotem czerwony kaftan Randa i wykwinną, białą suknię Selene i dodała: — Mój panie, moja pani. Nazywam się Maglin Madwen, mój panie. Witajcie w „Dziewięciu Pierścieniach”. I ty, Ogirze. Niewielu z twego ludu tędy przejeżdża, przyjacielu Ogirze. Pochodzisz zapewne ze Stedding Tsofu?

Loialowi, objuczonemu ciężką szkatułą, udało się wykonać niezdarny ukłon.

— Nie, dobra karczmarko. Przybywam z innej krainy, z Ziem Granicznych.

— Z Ziem Granicznych, powiadasz. No cóż. A ty, mój panie? Wybacz, że pytam, ale z wyglądu nie przypominasz kogoś z Ziem Granicznych, jeśli wolno mi tak stwierdzić.

— Pochodzę z Dwu Rzek, pani Madwen, w Andorze. — Zerknął na Selene. Wydawała się nawet nie przyznawać, że on istnieje, jej obojętne spojrzenie jakby w ogóle nie rejestrowało izby czy kogokolwiek z ludzi w niej obecnych. — Lady Selene pochodzi z Cairhien, ze stolicy, a ja pochodzę z Andoru.



— Jak rzeczesz, mój panie. — Wzrok pani Madwen pomknął do miecza Randa; brązowe czaple wyraźnie odznaczały się na pochwie i rękojeści. Lekko zmarszczyła brew, ale zaraz potem, w mgnieniu oka, jej twarz na nowo się wygładziła. — Na pewno ty i twoja piękna dama, a także wasi towarzysze, pragniecie zjeść jakiś posiłek. I zapewne chcecie kwater, jak mniemam. Każę, by zajęto się waszymi końmi. Mam tu dla was, proszę tędy, znakomity stół, a na ogniu wieprzowinę z żółtymi paprykami. Czy zamierzacie polować na Róg Valere, ty i twoja lady, mój panie?

Idący za nią Rand, omal się nie potknął.

— Nie! Skąd taki pomysł?

— Nie gniewaj się, mój panie. W ubiegłym miesiącu już dwukrotnie gościliśmy tu takich, wszyscy napuszeni, przyszli bohaterowie, nie żebym chciała przez to rzec, iż byli podobni do ciebie, mój panie. Niewielu tu przybywa gości z daleka, tylko kupcy ze stolicy po owies i pszenicę. Myślę, że Polowanie jeszcze nie opuściło granic Illian. Niektórzy wprawdzie nie uważają, że naprawdę potrzebne im błogosławieństwo i przyłączają się do innych.

— Nie polujemy na Róg, proszę pani. — Rand nawet nie spojrział na tobół, który piastował Loial, koc w kolorowe paski wybrzuszał się w ogromnych ramionach Ogira i dobrze ukrywał szkatułę. — Nawet nie mamy takich zamiarów. Udajemy się do stolicy.

— Jak rzeczesz, mój panie. Wybacz, że pytam, ale czy twoja lady dobrze się czuje?

Selene popatrzyła na nią i odezwała się po raz pierwszy.

— Czuję się całkiem dobrze. — Jej głos zostawił w powietrzu chłód, który na moment stłumił dalszą rozmowę.

— Nie pochodzi pani z Cairhien, pani Madwen — powiedział nagle Hurin. Objuczony sakwami i tobołkiem Rauda przypominał chodzącą furę pełną bagażów. — Proszę mi wybaczyć, ale pani mowa brzmi inaczej.

Pani Madwen uniosła brwi i rzuciła ukradkowe spojrzenie na Rauda, po czym uśmiechnęła się szeroko.

— Domyślam się, żeś udzielił swemu człowiekowi zezwolenia na swobodne mówienie, ja jednak nawykłam. . . — Jej spojrzenie przeniosło się na oficera, którego uwagę na powrót pochłonął posiłek. — Światłości, nie, nie jestem rodowitą mieszkanką Cairhien, ale na moje grzechy, poślubiłam Cairhienina. Dwadzieścia trzy lata z nim żyłam, a kiedy umarł przy mnie, niechaj Światłość go opromienia, już byłam gotowa wracać do Lugard. Pozostawił mi jednak tę karczmę, a bratu dał pieniądze, mimo że moim zdaniem powinno być na odwrót. Skory do żartów i podstępny był Barin, nie mniej jak inni mężczyźni, a przede wszystkim zaś ci z Cairhien. Proszę zająć miejsce, mój panie? Moja pani?

Karczmarka zamrugwała ze zdziwienia, gdy Hurin zasiadł razem z nimi, Ogira wyraźnie traktowała jako kogoś ważnego, natomiast Hurin w jej oczach ucho-

dził za sługę. Raz jeszcze szybko obejrzawszy się na Rauda, pognęła do kuchni i wkrótce nadeszły dziewczęta, które podały im wieczerzę, chichotały i gapiły się na lorda i lady, a także na Ogira, dopóki pani Madwen nie zagnała ich z powrotem do pracy.

Z początku Rand wpatrywał się nieufnie w jedzenie. Wieprzowina była pościęta na małe kawałki, przemieszana z długimi paskami żółtej papryki i groszkiem, a także mnóstwem innych warzyw i rzeczy, których nie rozpoznał, wszystko zaś oblane było przezroczystym, gęstym sosem. Potrawa wydzieliała jednocześnie słodką i ostrą woń. Selene zaledwie dziobnęła, natomiast Loial zabrał się za nią wyjątkowo ochoczo.

Hurin uśmiechnął się do Randa ponad swoim widelcem.

— Ci ludzie z Cairhien paskudnie przyprawiają swoje jedzenie, lordzie Rand, ale wcale jednak nie jest takie złe.

— Nie ugryzie cię, Rand — dodał Loial.

Rand z wahaniem włożył pierwszy kęs do ust i omal się nie udławił. Jedzenie smakowało tak samo, jak pachniało, słodko i zarazem ostro, wieprzowina była chrupiąca od zewnątrz, a w środku miękka, kilkanaście smaków, przypraw, wszystkie przemieszane i kontrastujące z sobą. Nigdy w życiu nie kosztował czegoś podobnego. Smakowało wspaniale. Dokładnie wyczyścił swój talerz, a gdy pani Madwen wróciła z dziewczętami, by sprzątnąć ich stół, omal nie postąpił podobnie jak Loial i nie poprosił o dokładkę. Selene opróżniła swój talerz zaledwie do połowy, ale szorstko poprosiła jedną z dziewcząt, by go zabrała.

— To przyjemność, przyjacielu Ogirze. — Karczmarka uśmiechnęła się. — Trudno nasycić kogoś takiego jak ty. Catrine, przynieś jeszcze jedną porcję i to szybko.

Jedna z dziewcząt pomknęła do kuchni, a pani Madwen przeniosła swój uśmiech na Randa.

— Mój panie, miałam tu kiedyś człowieka, który grał na biternie, ale poślubił dziewczynę z okolicznej farmy i teraz ona go zmusza, by stroił struny za pługiem. Trudno mi było nie zauważyć, że to, co wystaje z tobołka niesionego przez twój człowieka, przypomina flet. Jako że nie mam tu już mojego muzyka, czy zgodzisz się, by twój człowiek zrobił nam przyjemność odrobiną muzyki?

Hurin zrobił zawstydzoną minę.

— On nie umie grać — wyjaśnił Rand. — Ja gram.

Kobieta zamrugała. Wychodziło na to, że lordowie nie grają na flecie, w każdym razie nie w Cairhien.

— Wycofuję swą prośbę, mój panie. Światłość przyświadczy, a ja zapewniam, że nie chciałam cię obrazić, mój panie. Nigdy bym nie prosiła kogoś takiego jak ty, by grał w izbie mojej karczmy.

Rand wahał się tylko chwilę. O wiele dłużej ćwiczył posługiwanie się fletem niż mieczem, a poza tym monety, które miał w kieszeni, nie mogły mu starczyć na

wieczność. Jak już się pozbędzie tych paradnych strojów — jak już odda Róg Ingtarowi, a sztylet Matowi — grą na flecie zarobi na wieczerzę, gdy będzie szukał jakiejś kryjówki przed Aes Sedai.

„I kryjówki przed samym sobą? Tam coś się wydarzyło. Tylko co?”

— Nie gniewam się — odparł. — Hurin, podaj mi futerał. Po prostu wysuń go z tobołka. — Lepiej było nie pokazywać płaszcza barda, już i tak zbyt wiele nie wymówionych pytań połykiwało w ciemnych oczach pani Madwen.

Instrument, wykonany ze złota i inkrustowany srebrem, wyglądał tak, że mógłby należeć do jakiegoś lorda, gdyby lordowie grali na flecie. Czapła wypalona w jego prawej dłoni nie przeszkadzała w przebieraniu palcami. Maść Selene podziałała tak dobrze, że prawie nie pamiętał o piętnie, dopóki na nie nie spojrzął. Teraz jednak znowu pojawiło się w jego myślach, więc odruchowo zaczął grać „Czapłę na wietrze”.

Hurin kołysał głową w takt melodii, a Loial swoim grubym palcem wystukiwał rytm na blacie stołu. Selene patrzyła na Randa, jakby się zastanawiała, kim właściwie jest. „Nie jestem lordem, moja lady. Jestem pasterzem i grywam na flecie po karczmach”. Natomiast żołnierze przerwali rozmowę, by słuchać, a oficer zamknął drewnianą okładkę książki, którą właśnie zaczął czytać. Niewzruszony wzrok Selene wzniecił w nim iskrę uporu. Specjalnie omijał wszystkie pieśni, które mogły pasować do pałacowych wnętrz albo dworu jakiegoś lorda. Zagrał „Tylko jedno wiadro wody”, „Liście ze starych Dwu Rzek”, „Starego Jaka na drzewie” i „Fajkę pocziwca Priketa”.

Przy tej ostatniej melodii sześciu żołnierzy zawtórowało mu ochrypłymi głosami, Rand jednak nie znał śpiewanych przez nich słów.

Pojechaliśmy nad rzekę Iralell  
Z Tarabonu wojsko nadjechało  
Rozeszliśmy się po brzegu całym  
Słońce już wstawało  
Konie ich zaczerniły ten dzień letni  
Zaczerniły niebiosą ich sztandary  
A jednak my nie oddaliśmy brzegu  
Rzeki Iralell  
Wcale nie oddaliśmy go  
Tak, nie oddaliśmy go  
Nie oddaliśmy ani piędzi brzegu  
tamtego poranka.

Nie po raz pierwszy Rand odkrył, że jedna melodia może się różnić słowami i tytułem w różnych krainach, czasami nawet w różnych wioskach w jednym kraju. Przygrywał im tak długo, dopóki nie wyczerpały się słowa i nie zaczęły

klepać się po ramionach i wygłaszać obraźliwych komentarzy na temat swojego śpiewania.

Gdy Rand opuścił flet, oficer wstał i wykonał jakiś gniewny gest. Żołnierzom śmiech zamarł na ustach, zaszurali krzesłami, by wykonać ukłon przed oficerem z rękoma przyłożonymi do piersi — a także przed Randem — po czym wyszli, nie oglądając się za siebie.

Oficer podszedł do stołu Randa i skłonił się, przykładając dłoń do serca; wygolony przód czaszki wyglądał jak przysypany białym pudrem.

— Niechaj łaska ma cię w swej opiece, mój panie. Ufam, że nie uprzykrzyli ci się swymi śpiewami. To prostacy, ale zapewniam cię, nie chcieli obrazić. Jestem Aldrin Caldevwin, mój panie. Kapitan w Służbie Jego Królewskiej Mości, niechaj Światłość mu przyświeca.

Jego oczy prześlizgnęły się na miecz Randa. Rand miał wrażenie, że Caldevwin zauważył czaple zaraz po jego wejściu do karczmy.

— Wcale mnie nie obrazili.

Oficer swym akcentem przypominał mu Moiraine, każde słowo wymawiał dokładnie i dobitnie.

„Czy ona naprawdę pozwoliła mi odejść? Ciekawe, czy przypadkiem nie jedzie za mną? A może na mnie czeka?”

— Proszę usiąść, kapitanie. Bardzo proszę.

Caldevwin przysunął sobie krzesło od innego stołu.

— Mam nadzieję, że zechcesz mi powiedzieć jedną rzecz, kapitanie. Czy widziałeś tu ostatnio jakichś obcych? Pewną damę, niską i szczupłą, a z nią wojownika o niebieskich oczach. Jest wysoki, czasem nosi miecz przypasany na plecach.

— Nie widziałem tu żadnych obcych — powiedział, siadając sztywno na krześle. — Z wyjątkiem ciebie i twojej pani, mój panie. Mało tu bywa ludzi szlachetnie urodzonych.

Jego oczy błysnęły w stronę Loiala, na czole pojawił się przelotny mars, Hurina ignorował całkowicie.

— Tylko tak sobie pomyślałem.

— Pod Światłością, mój panie, nie chciałbym okazać braku szacunku, ale czy mógłbym poznać twoje miano? Tak mało tu bywa obcych, że chętnie poznaję każdego z nich.

Rand przedstawił się — nie podał tytułu, lecz oficer jakby tego nie zauważył — i podobnie jak karczmarce, dodał: — Z Dwu Rzek w Andorze.

— Słyszałem, że to zdumiewające miejsce, lordzie Rand. Wolno mi cię tak nazywać? I że ludzie Andoru są wspaniali. Nigdy nie widział Cairhienina równie młodego z ostrzem przynależnym mistrzowi miecza. Poznałem kiedyś kilku ludzi z Andoru, między innymi Kapitana Generała Gwardii Królowej. Nie pamiętam jego nazwiska, cóż za wstyd. Może ty mi je łaskawie podpowiesz?

Rand czuł za swoimi plecami obecność młodych posługaczek, które przyszły już sprzątać ze stołów i zamiatać. Caldevwin wydawał się tylko podtrzymywać konwersację, niemniej jednak jego spojrzenie było wyraźnie badawcze.

— Gareth Bryne.

— Naturalnie. Młody, jak na kogoś obciążonego taką odpowiedzialnością.

Rand starał się odpowiedzieć obojętnym tonem.

— Gareth Bryne ma dość siwych pasem we włosach, by móc być twoim ojcem, kapitanie.

— Wybacz mi, lordzie Rand. Chciałem rzec, że wcześniej mu przyszło się za to wziąć. — Caldevwin odwrócił się w stronę Selene i przez chwilę tylko się w nią wgapiał. W końcu otrząsnął się, jakby wychodził z transu. — Wybacz, że tak ci się przypatrywałem, moja lady i wybacz, że tak do ciebie przemawiam, ale Łaska z pewnością cię sobie upodobała. Czy powiesz mi, jak zowią taką piękność?

Selene zdążyła tylko otworzyć usta, gdy jedna z dziewcząt wydała głośny okrzyk i upuściła lampę, którą właśnie zdejmowała z półki. Oliwa rozlała się po podłodze i w mgnieniu oka kałuża zajęła się ogniem. Rand poderwał się na równe nogi, podobnie jak pozostali zasiadający przy stole, lecz zanim podbiegli w tamtą stronę, pojawiła się pani Madwen i razem z dziewczyną ugasiły ogień fartuchami.

— Mówiłam ci, że masz uważać, Catrine — skarciła ją karczmarka, potrząsając okopconym fartuchem przed nosem dziewczyny. — Mogłaś spalić całą karczmę i siebie razem z nią.

Dziewczyna była wyraźnie bliska płaczu.

— Ja naprawdę uważałam, proszę pani, ale nagle poczułam skurcz w ramieniu.

Pani Madwen wyrzuciła ręce w górę gwałtownym gestem.

— Wiecznie masz jakieś wymówki, a i tak bijesz więcej naczyń niż pozostałe. Ach, już dobrze. Posprzątaj to, tylko się nie poparz. — Karczmarka odwróciła się w stronę Randa i pozostałych, nadal stojących przy stole. — Mam nadzieję, że nikt z was nie weźmie tego za złe. Dziewczyna naprawdę nie chciała spalić karczmy. Ciężko jej idzie z naczyniami, jak sobie zacznie marzyć o jakimś młodym chłopcu, ale nigdy przedtem nie upuściła lampy.

— Chciałabym zostać zaprowadzona do swojej izby. Nie czuję się najlepiej. — Głos Selene brzmiał słabo, jakby nie była pewna swojego żołądka, ale poza tym wyglądała i mówiła chłodno, spokojnie, jak zawsze. — To przez podróż i ten pożar.

Karczmarka rozgdakała się jak kwoka.

— Naturalnie, moja lady. Mam dla ciebie i twojego lorda wspaniałą izbę. Czy mam posłać po matkę Caredwain? Ona ma dobrą rękę do uspokajających ziół.

Głos Selene zabrzmiał ostrzej.

— Nie. I życzę sobie mieć osobną izbę.

Pani Madwen obejrzała się na Randa, ale już w następnej chwili troskliwie prowadziła Selene do schodów.

— Jak sobie życzysz, moja pani. Lidan, bądź tak miła i weź rzeczy lady.

Jedna z dziewcząt podbiegła do Hurina, by odebrać od niego sakwy Selene i obydwie kobiety zniknęły na górze, Selene sztywno wyprostowana, milcząca.

Caldevwin odprowadzał je wzrokiem, dopóki nie zniknęły, po czym otrząsnął się. Zajął swoje krzesło dopiero wtedy, gdy Rand usiadł pierwszy.

— Wybacz mi, lordzie Rand, że tak się wgapiłem w twoją panią, ale Łaska z pewnością obdarowała cię jej osobą. Tylko nie przyjmuj tego jako zniewagę.

— To dla mnie żadna zniewaga — odparł Rand. Zastanawiał się, czy wszyscy mężczyźni czują to samo co on, gdy patrzą na Selene. — W drodze do wsi, kapitanie, widziałem ogromną kulę. Wyglądała na kryształową. Co to takiego?

Wzrok Cairhienina nabrał ostrości.

— To część posągu, lordzie Rand — powiedział wolno. Jego wzrok pomknął w stronę Loiala, przez chwilę wyraźnie rozważał coś na nowo.

— Posąg? Widziałem dłoń i twarz. Musi być ogromny.

— Jest ogromny, lordzie Rand. I stary. — Caldevwin urwał. — Mówiono mi, że pochodzi z Wieku Legend.

Rand poczuł zimny dreszcz. Wiek Legend, kiedy wszędzie używano Jedynej Mocy, o ile wierzyć opowieściom.

„Co się tam stało? Wiem, że tam coś zaszło”.

— Wiek Legend — wtrącił się Loial. — Tak, na pewno. Nikt od tamtych czasów nie robił równie wielkich dzieł. Wykopywanie tego posągu musi pewnie kosztować sporo pracy, kapitanie.

Hurin siedział i nie odzywał się ani słowem, jakby wcale nie słuchał, jakby wręcz w ogóle go nie było w izbie.

Caldevwin przytaknął z niechęcią.

— W obozowisku za wykopem umieściłem pięciuset robotników, ale i tak zdąży minąć lato, zanim zupełnie odkopimy posąg. To są ludzie z Foregate. Moja praca polega na pilnowaniu ich, by kopali i jednocześnie nie zbliżali się do wsi. Mieszkańcy Foregate znajdują upodobanie w picciu i hulance, rozumiecie, a tutejsi ludzie wiodą spokojny żywot. — Ton jego głosu mówił, że jego sympatie są całkowicie po stronie mieszkańców wioski.

Rand przytaknął. Ludzie z Foregate zupełnie go nie interesowali.

— Co z nim potem zrobicie?

Kapitan zawahał się, ale Rand tylko popatrzył na niego, gdy mu odpowiedział.

— Sam Galldrian przykazał, by go odwieziono do stolicy.

Loial zamrugnął.

— To wielkie dzieło. Nie wyobrażam sobie, jakim sposobem można przewieźć coś tak dużego i to tak daleko.

— Jego Królewska Mość przykazał — odparł ostrym tonem Caldevwin. — Zostanie ustawiony za miastem, jako pomnik na chwałę Cairhien i Dynastii Riatin. Nie tylko Ogirowie wiedzą, jak poruszać kamienie.

Loial wyglądał na zbitego z tropu, kapitan zaś wyraźnie odzyskał panowanie nad sobą.

— Przyjmij przeprosiny, przyjacielu Ogirze. Mówiłem pośpiesznie i nieokrzesanie. — Nadal mówił nieco gburowatym tonem. — Czy długo zostaniesz w Tremonsien, lordzie Rand?

— Rankiem wyjeżdżamy — odparł Rand. — Jedziemy do Cairhien.

— Przypadkiem wysyłam jutro kilku swoich ludzi do miasta. Muszę ich kolejno zmieniać, jak za długo przypatrują się ludziom wymachującymi kilofami i łopatami, to robią się gnuśni. Nie przeszkodzi ci, jeśli dotrzymają wam towarzyswa? — Ubrał to w formę pytania, ale wyraźnie uważał, że zgoda jest już przesądzona. Wstał, gdy na schodach pojawiła się pani Madwen. — Wybaczysz mi, lordzie Rand, ale muszę jutro wstać wcześniej. Do jutra zatem. Oby Łaska miała was w swej opiece.

Uklonił się Randowi, skinął głową w stronę Loiala i wyszedł.

Gdy drzwi za Cairhieninem zamknęły się, karczmarka podeszła do stołu.

— Umieściłam już twoją lady w jej izbie. Mam też przygotowane pokoje dla ciebie i twego człowieka, a także ciebie, przyjacielu Ogirze. — Urwała, lustrując wzrokiem Randa. — Wybacz mi, jeśli jestem zbyt śmiała, mój panie, ale chyba mogę przemawiać tak swobodnie do lorda, który pozwala odzywać się swemu człowiekowi. Jeśli się mylę... cóż, nie chciałam urazić. Przez dwadzieścia trzy lata Barin Madwen i ja, jak się nie kłóciliśmy, tośmy się całowali, że się tak wyrażę. Chcę przez to powiedzieć, że mam pewne doświadczenie. Tobie się teraz wydaje, że twoja pani już nigdy nie będzie chciała spojrzeć na ciebie, ale ja to sobie myślę, że jak zastukasz dziś nocą do jej drzwi, to ona cię przyjmie. Uśmiechnij się i powiedz, że to wszystko twoja wina, nieważne, czy tak było naprawdę.

Rand chrząknął, miał nadzieję, że twarz mu nie poczerwieniała.

„Światłości, Egwene by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że w ogóle o tym pomyślałem. A Selene by mnie zabiła, gdybym to zrobił. A może nie?”

Ta myśl sprawiła, że policzki mu wręcz zapłonęły.

— Dziękuję... za radę, pani Madwen. Pokoje... — Starał się nie patrzeć na okrytą kocem szkatułę na krześle Loiala; nie odważyli się pozostawić jej bez opieki. — Wszyscy trzej będziemy spali w jednej izbie.

Karczmarka przeżyła wyraźny szok, ale szybko oprzytomniała.

— Jak sobie życzysz, mój panie. Tędy, jeśli pozwolisz. Rand poszedł za nią po schodach. Loial niósł nakrytą kocem szkatułę — schody zaskrzypiały pod nim, ale karczmarka prawdopodobnie myślała, że to sprawił tylko jego ciężar — natomiast Hurin nadal niósł wszystkie sakwy oraz zwinięty płaszcz z harfą i fletem w środku.

Pani Madwen kazała wnieść trzecie łóżko, pośpiesznie rozłożyła je i pościeliła. Już stało tam jedno łóżko, sięgające od ściany do ściany, najwyraźniej od samego początku przeznaczone dla Loiala. Wolnej przestrzeni było tak mało, że ledwie

można było przejść między łózkami. Gdy tylko karczmarka zniknęła, Rand obrócił się do towarzyszy. Loial wepchnął nadal zawiniętą szkatułę pod swoje łóżko, po czym sprawdził grubość materaca. Hurin ustawiał sakwy.

— Czy któryś z was wie, dlaczego kapitan był taki podejrzliwy względem nas? Bo był, jestem o tym przekonany. — Potrząsnął głową. — Tak z nami rozmawiał, jakby myślał, że ukradniemy ten posąg.

— *Daes Dae'mar*, lordzie Rand — odparł Hurin. — Wielka Gra. Gra Domów, tak to niektórzy nazywają. Ten Caldevwin pewnie myśli, że robisz tu coś dla swej korzyści, gdyż inaczej nie byłoby cię tutaj. A cokolwiek by to było, jemu może przynieść szkodę, musiał więc zachować ostrożność.

Rand potrząsnął głową.

— „Wielka Gra”? Co za gra?

— To nie jest żadna gra, Rand — odezwał się Loial ze swojego łóżka. Wyciągnął z kieszeni książkę, ale położył ją bez otwierania na swojej piersi. — Niewiele o tym wiem, Ogirowie nie robią takich rzeczy, niemniej słyszałem o nich. Szlachetnie urodzeni i możne Domy prowadzą manewry, by uzyskać dla siebie korzyści. Robią rzeczy, które mogą im pomóc, zaszkodzić wrogowi albo jedno i drugie. Zazwyczaj wszystko odbywa się w tajemnicy, a jak nie, to starają się, by to wyglądało tak, jakby nie robili czegoś, co im nie przystoi. — Z wyraźnym zdumieniem podrapał się po włochatym uchu. — Ja tego zupełnie nie rozumiem, mimo iż wiem, na czym rzecz polega. Starszy Haman zawsze powtarzał, że potrzeba większego umysłu niż jego umysł, by pojąć czyny ludzi, a ja nie znam wielu inteligentniejszych od Starszego Hamana. Wy ludzie jesteście dziwni.

Hurin spojrzął z ukosa na Ogira, ale powiedział:

— On ma prawo do brania udziału w *Daes Dae'mar*, lordzie Rand. Biorą w tym udział wszyscy południowcy, ale Cairhienowie najczęściej.

— Ci żołnierze rano — powiedział Rand. — Czy będą nam towarzyszyć z powodu udziału Caldevwina w tej Wielkiej Grze? Nie możemy się mieszać do czegoś takiego.

Nie było potrzeby wspominać o Rogu. Wszyscy trzej aż za dobrze zdawali sobie sprawę z jego obecności.

Loial pokręcił głową.

— Nie wiem, Rand. On jest człowiekiem, a to może oznaczać wszystko.

— Hurin?

— Ja też nie wiem. — W głosie Hurina słychać było ten sam niepokój, który malował się na twarzy Ogira. — On być może robi dokładnie to, co powiedział, albo... Na tym polega Gra Domów. Nigdy nic nie wiadomo. Większość życia spędziłem w Foregate, w Cairhien, lordzie Rand, i niewiele wiem o szlachetnie urodzonych Cairhienach, ale.., cóż, *Daes Dae'mar* może być wszędzie niebezpieczna, ale z tego, co słyszałem, najgroźniejsza jest w Cairhien. — Nagle



pojaśniał. — Lady Selene, lordzie Rand. Ona będzie wiedziała lepiej niż ja albo Budowniczy. Możemy ją wypytać rankiem.

Jednakże rankiem okazało się, że Selene zniknęła. Gdy Rand zszedł do głównej izby, pani Madwen wręczyła mu zapieczętowany pergamin.

— Wybacz mi, mój panie, ale trzeba mnie było posłuchać. Trzeba było zastukać do drzwi swojej pani.

Rand odczekał, aż ona zostawi go samego i dopiero wtedy przełamał pieczęć z białego wosku. W wosku był odcisnięty sierp księżycy i gwiazdy.

„Muszę cię opuścić na jakiś czas. Jest tu za dużo ludzi, a poza tym nie podoba mi się Caldevwin. Będę na ciebie czekała w Cairhien. Nigdy nie myśl, że jestem daleko od ciebie. Zawsze będę o tobie myślała, bo wiem, że i ty o mnie myślisz”.

List nie był podpisany, ale eleganckie, ozdobne pismo przypominało swym wyglądem Selene.

Złożył starannie pergamin, schował go do kieszeni i dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz, gdzie Hurin już czekał z końmi.

Był tam również kapitan Caldevwin wraz z drugim, młodszym oficerem, a na ulicy tłoczyło się pięćdziesięciu żołnierzy na koniach. Obydwaj oficerowie mieli gołe głowy, za to dłonie odziali w rękawice ze stalowymi wierzchami, a na błękitne kaftany nałożyli złote napierśniki. Każdy z nich miał na plecach przymocowaną krótką laskę z niewielkim, sztywnym proporcem niebieskiej barwy, który powiewał im nad głową. Na proporcju Caldevwina widniała pojedyncza biała gwiazda, zaś po proporcju młodszego mężczyzny spacerowały dwa białe niedźwiedzie. Obydwaj mocno się odróżniali od żołnierzy w ich prostych zbrojach i hełmach, przypominających metalowe dzwony z otworami na twarz.

Caldevwin wykonał ukłon, gdy tylko Rand wyszedł z karczmy.

— Dzień dobry, lordzie Rand. Oto Elricain Tavolin, który będzie dowodził waszą eskortą, jeśli tak to mogę nazwać.

Drugi oficer ukłonił się, miał głowę wygoloną na taką samą modłę jak Caldevwin. Nie odezwał się ani słowem.

— Cieszę się, że będziemy mieli eskortę, kapitanie — powiedział Rand, starając się, by w jego słowach nie było słyhać niepokoju. Fain nie będzie próbował atakować pięćdziesięciu żołnierzy, jednakże Rand bardzo chciał być pewien, że są rzeczywiście tylko eskortą.

Kapitan zmierzył wzrokiem Loiala, który właśnie zmierzał do swego konia ze szkatułą owiniętą w koc.

— To wielki ciężar, Ogirze.

Loial omal nie zastygł w miejscu.

— Nigdy nie lubię się zanadto oddalać od moich ksiąg, kapitanie. — Jego szerokie usta błysnęły zębami w półświadomym uśmiechu, pośpiesznie zabrał się za przywiązywanie szkatuły do siodła.

Caldevwin rozejrzał się dokoła, marszcząc czoło.

— Twoja lady jeszcze nie zeszła na dół. Brak też jej pięknej klaczy.

— Ona już wyjechała — poinformował go Rand. — Musiała szybko wracać do Cairhien, w nocy.

Brwi Caldevwina uniosły się.

— Podczas nocy? Ależ moi ludzie. . . Wybacz mi, lordzie Rand. — Odciągnął młodego oficera na bok i zaczął mu coś mówić wściekłym półgłosem.

— Ustawił warty wokół karczmy, lordzie Rand — szepnął Hurin. — Selene jakoś się przez nie przedostała nie zauważona.

Rand wspiął się na siodło Rudego z grymasem na twarzy. Jeśli istniała szansa, że Caldevwin jednak nie będzie ich o nic podejrzewał, to Selene ją nieodwołalnie zaprzepaściła.

— Za dużo ludzi, jej zdaniem — mruknął. — W Cairhien będzie ich o wiele więcej.

— Mówiłeś coś, mój panie?

Rand podniósł wzrok, by zobaczyć Tavolina, który dołączył do niego na wysokim, okrytym kurzem wałachu. Hurin też już siedział w siodle, a Loial stał obok łba swego wielkiego konia. Żołnierze uformowali szeregi, natomiast Caldevwin gdzieś zniknął.

— Nic nie idzie po mojej myśli — powiedział Rand.

Tavolin obdarzył go przelotnym uśmiechem, czymś niewiele większym niż drgnieniem warg.

— Możemy ruszać, mój panie?

Dziwaczna procesja skierowała się na ubity trakt, który wiódł do miasta Cairhien.

# OBSERWATORZY

Wszystko dzieje się inaczej, niż sądziłam wymruczała Moiraine, nie spodziewając się zresztą usłyszeć odpowiedzi Lana.

Długi, wypolerowany stół, przy którym siedziała, zasłany był książkami i papierami, zwojami rękopisów i manuskryptami, wiele z nich pokrył kurz spędzonych w magazynie lat i wystrzępił upływający czas, niektóre zachowały się jedynie we fragmentach. Izba zdawała się niemalże zbudowana z książek i rękopisów, szczelnie wypełniających półki i tylko otwory okien i drzwi oraz kominek pozostawały wolne. Połowę co najmniej, wyposażonych w wysokie oparcia, wyściełanych krzeseł oraz większość małych stolików również zapełniały liczne tomy i zwoje, część pism złożono nawet pod nimi. Jednakże tylko rozgardiasz na stole przed Moiraine należał do niej.

Wstała i pośród nocy podeszła do okna. W niezbyt wielkiej odległości jarzyły się światła wioski. Poczwała się wreszcie bezpieczna, nikt nie będzie jej ścigał tutaj. Nikt nie będzie domniemywał jej obecności właśnie w tym miejscu.

„Oczyszczę myśli i zacznę od nowa — pomyślała. — To wszystko co można zrobić”.

Żaden z mieszkańców wioski nawet nie przypuszczał, że dwie starsze siostry, mieszkające w tym zacisznym domku, są Aes Sedai. Nikt przecież nie spodziewałby się czegoś takiego po niewielkiej miejscowości. Studnia Tifana była wszak wyłącznie społecznością rolniczą, zagubioną głęboko w trawiastych równinach Arafel. Mieszkańcy wioski przychodzili do sióstr po rozwiązania różnych, trapiących ich problemów, po lekarstwa na choroby i szanowali je jako kobiety obdarzone łaską Światłości, ale nic ponadto. Adeleas i Vandene razem udały się na dobrowolne wygnanie tak dawno już temu, że nawet w Białej Wieży niewiele sióstr pamiętało, iż wciąż jeszcze żyją.

W towarzystwie jedyne, równie wiekowego Strażnika żyły cicho, na ubożu, wciąż usiłując napisać powszechną historię świata po Pęknięciu, nadto zawierając w niej tyle, ile się da z epok wcześniejszych. Tymczasem pozostawało jeszcze tyle informacji do zebrania, tyle zagadek do rozwiązania. Ich dom był idealnym miejscem, w którym Moiraine mogła zdobyć potrzebne jej informacje. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle gdzieś tutaj były.

Jakiś ruch przyciągnął jej uwagę, odwróciła się. Lan siedział przy pobudowanym z żółtych cegieł kominku, nieruchomy jak kawałek wytoczonej przez rzekę skały.

— Pamiętasz Lan, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy?

Gdyby nie przypatrywała mu się tak dokładnie, nie dostrzegłaby leciutkiego drgnienia brwi. Nieczęsto udawało się go zaskoczyć. Tej kwestii żadne z nich dotąd nie poruszało — niemalże dwadzieścia lat temu, kiedy była jeszcze na tyle młoda, że mogła tak o sobie myśleć, z całą młodzieńczą dumą oznajmiła mu, iż nigdy nie będzie mówić o tym i spodziewa się odeń tego samego.

— Pamiętam — to było wszystko, co powiedział.

— I wciąż żadnej skruchy, jak sądzę? Wrzuciłeś mnie do stawu. — Nie uśmiechała się, ale teraz już potrafiła dostrzec zabawny wymiar tamtej sytuacji. — Przemokłam do suchej nitki i to w porze roku, którą wy mieszkańcy Ziem Granicznych nazywacie młodą wiosną. Niemalże zamarzłam.

— Przypominam sobie jednak także, że potem rozpałem ognisko i rozwieściłem wokół koce, abyś mogła ogrzać się w odosobnieniu. — Przesunął pogrzebaczem płonące polana, po czym odwiesił go na hak. Na Ziemach Granicznych nawet letnie noce były chłodne. — Pamiętam także, że tej nocy, gdy spałem, wylałaś na mnie połowę tego stawu. Zaoszczędzilibyśmy sobie niezliczoną ilość dreszczy, gdybyś po prostu powiedziała, że jesteś Aes Sedai, zamiast to demonstrować. Zamiast próbować odebrać mi miecz. Nie najlepszy sposób przedstawiania się mieszkańcom Ziem Granicznych, nawet jeśli jest się młodą kobietą.

— Byłam młoda i samotna, podczas gdy ty równie wielki jak dzisiaj, z całą zawziętością otwarcie wypisaną na twarzy. Nie chciałam, żebyś wiedział, iż jestem Aes Sedai. Wówczas wydawało mi się, że swobodniej odpowiesz na moje pytania, jeśli nie będziesz wiedział. — Milczała przez jakiś czas, myśląc o latach, które minęły od spotkania. Tak dobrze, że znalazła towarzysza swoich poszukiwań. — Później, podczas tych tygodni, które spędziliśmy razem, czy podejrzewałaś, iż poproszę cię, abyś się do mnie przyłączył? Ja zdecydowałam się od razu, pierwszego dnia.

— Nawet przez chwilę nie przypuszczałem — odpowiedział sucho. — Byłem zbyt zajęty zastanawianiem się, czy uda mi się odprowadzić cię do Chachin i jednocześnie ocalić skórę. Każdej nocy miałaś dla mnie nową niespodziankę. Mrówek do dziś nie zapomniałem. Podczas całej podróży, nie sądzę, abym przespał choć jedną noc w pełni.

Pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Wspominała.

— Byłam młoda — powtórzyła. — Czy jednak, po tych wszystkich latach, nie sprzykrzyła ci się nasza więź? Nie jesteś mężczyzną, który mógłby przywyknąć do smyczy, nawet tak aksamitnej jak moja.

Była to złośliwa uwaga, pragnęła by taką była.

— Nie. — Ton jego głosu był chłodny, ponownie wziął do ręki pogrzebacz

i zupełnie niepotrzebnie rozniecił płomień na palenisku. Kaskada iskier wypełniła komin. — Wybór mój był wolny, wiedziałem jakie są konsekwencje.

Żelazny pręt zazgrzytał na haku, Strażnik skłonił się uroczyście.

— To zaszczyt służyć tobie, Moiraine Sedai. Tak było i będzie, niezmiennie.

Moiraine wciągnęła powietrze przez nos.

— Twoja pokora, Lan Gaidin, zawsze zawierała w sobie więcej arogancji, niżli pycha królów, choćby stojących na czele armii. Było tak od dnia, w którym cię spotkałam.

— Po co ta cała rozmowa o dniach minionych, Moiraine?

Milczała długo, po stokroć, tak się przynajmniej zdawało, rozważając teraz słowa, jakich należy użyć.

— Zanim opuściliśmy Tar Valon, zarządziłam, że jeśli coś mi się stanie, twoje zobowiązania zostaną przeniesione na kogoś innego. — W milczeniu wpatrywał się w nią. — Kiedy poczujesz, że nie żyje, musisz natychmiast udać się do niej. Nie chcę, byś został zaskoczony.

— Musisz — oddychał wolno, gniewnie. — Ani razu nie wykorzystywałam moich zobowiązań, aby zmuszać mnie do czegoś. Nie mogę ci teraz nie mieć tego za złe.

— Gdybym pozostawiła tę sprawę nie załatwioną, wraz z moją śmiercią byłbyś wolny od wszelkich zobowiązań i nawet najbardziej zdecydowany rozkaz nie powstrzymałby cię. Nie pozwolę ci zginąć w bezużytecznej próbie pomśzczenia mnie. Nie pozwolę ci także powrócić do twej równie bezużytecznej prywatnej wojny na Ugorze. Chciałabym, żebyś zrozumiał, iż wojna, którą tocymy, jest tą samą wojną. Jak rozumiem, toczysz walkę w jakimś celu. Nie przysłuży się mu ani zemsta, ani śmierć bez pochówku, gdzieś na Ugorze.

— Czy przewidujesz swą rychłą śmierć?

Jego głos był cichy, twarz pozbawiona wyrazu — niczym kamień pośród rozszalałej zimowej zamieci. Ten rodzaj zachowania widziała już wiele razy, zazwyczaj tuż przedtem, zanim zaatakował.

— Planujesz coś, beze mnie, coś co sprowadzi twą śmierć?

— W tej chwili rada jestem, że nie ma żadnego stawu w tym pokoju — wymruczała, za chwilę jednak uniosła dłonie, gdy zeszytniał urażony lekkim tonem głosu. — Każdego dnia spoglądałam w oczy swej śmierci, podobnie zresztą i ty. Jak mogłoby być inaczej, biorąc pod uwagę zadanie, któremu poświęciliśmy te ostatnie lata? Teraz jednak, kiedy wszystko zmierza do rozstrzygnięcia, możliwość ostatecznej porażki staje się również coraz bardziej realna.

Przez chwilę przyglądał się uważnie swoim dłoniom, wielkim i kanciastym.

— Zawsze przypuszczałam — powiedział powoli — że to ja pierwszy zginę. Jakoś, nawet w najgorszych chwilach, nigdy nie wydawało się...

Znienacka gwałtownym ruchem zatarł ręce.

— Jeśli więc istnieje możliwość, że zostanę przekazany komuś jak rozpieszczony salonowy piesek, to chciałbym chociaż wiedzieć, komu zostanę przekazany?

— Nigdy nie uważałam cię za pieska — powiedziała ostro Moiraine. — Myrelle również nie.

— Myrelle. — Skrzywił się. — Powinna być już Zieloną, albo czymś w tym rodzaju. Młodziutka dziewczynka zaledwie podniesiona do godności pełnej siostry.

— Jeśli Myrelle potrafi dać sobie radę ze swymi trzema Gaidinami, prawdopodobnie również podoła tobie. Mimo iż zapewne chciałyby cię zatrzymać, obiecała, że przekaze twoje zobowiązania innej, kiedy tylko znajdzie siostrę bardziej dla ciebie stosowną.

— Tak... Nie piesek, lecz paczka. Z Myrelle w roli doręczyciela! A Moiraine, która wszak nie jest przecież Zieloną, traktuje swego Strażnika w ten sposób. Od czterystu lat żadna Aes Sedai nie przekazała zobowiązań swego Strażnika innej, a ty chcesz zrobić mi to nie jeden raz, lecz dwukrotnie.

— To już się stało i nie mam zamiaru tego odwracać.

— Niech mnie Światłość oślepi, jeśli ma zamiar pozwolić, by przekazywano mnie z ręki do ręki. Masz choćby jakieś pojęcie co do tego, w czyich rękach skończę?

— To co zrobiłam, zrobiłam dla twego własnego dobra, a pewnie dla dobra innych również. Wszak może się okazać, że Myrelle przekona się, iż młodziutka dziewczynka zaledwie podniesiona do godności pełnej siostry, tak to powiedziałeś, nieprawdaż, potrzebuje Strażnika zahartowanego w walce i mądrego w sprawach tego świata, że młodziutka dziewczynka może potrzebować kogoś, kto wrzuci ją do stawu. Masz wiele do zaoferowania, Lan, toteż widzieć, jak to wszystko marnuje się w nie oznakowanym grobie, porzucać to dla kruków, podczas gdy mogłoby przypaść kobiecie potrzebującej tego, byłoby czymś o wiele gorszym niż grzech, o którym tyle plotą Białe Płaszcz. Tak, myślę, że okażesz się jej przydatny.

Oczy Lana rozszerzyły się nieznacznie, w jego przypadku oznaczało to to samo, co u innego człowieka spojrzenie pełnego wstrząsu niedowierzania. Rzadko widziała go tak wytrąconego z równowagi. Dwukrotnie otworzył usta, zanim przemówił:

— A kogóż masz na myśli, jeśli chodzi o...

Przerwała mu.

— Jesteś pewien, że smycz nie ociera szyi, Lan Gaidin? Dopiero teraz, po raz pierwszy zdajesz sobie sprawę z siły zobowiązań, z ich głębi. Mógłbyś skończyć z jakąś dobrze zapowiadającą się Białą, sama logika i kompletny brak serca, albo z Brązową, która widziałaby w tobie jedynie parę dłoni do przenoszenia jej ksiąg i szkiców. Mogę przekazać cię, komu mi się żywnie spodoba, jak paczkę, albo

salonowego pieska, a ty będziesz musiał na to przystać. Pewien jesteś, że smycz nie ociera szyi?

— I po to było to wszystko? — Zazgrzytał zębami. Jego oczy płonęły jak niebieskie ognie, usta zacisnęły się w niewidoczną niemal kreskę. Po raz pierwszy widziała, jak zupełnie nie tłumiony gniew wytrawia mu twarz. — Cała ta rozmowa, to tylko sprawdzian. Sprawdzian! Aby zobaczyć, czy potrafisz zacisnąć mi smycz? Po tych wszystkich latach? Od czasu, kiedy ci ślubowałem, jechałem tam, gdzie chciałaś, nawet jeśli uważałem to za głupie, nawet jeśli istniały racje, by udać się gdzie indziej. Nigdy nie musiałaś powoływać się na me zobowiązania. Na jedno twoje słowo, patrzyłem spokojnie, jak wędrujesz prosto w środek niebezpieczeństwa i trzymałem ręce przy sobie, choć niczego nie pragnąłem bardziej, niż wyciągnąć miecz i wyciąć ci drogę w tłumie wrogów. I po tym wszystkim ty jeszcze mnie sprawdzasz?

— Nie sprawdzam cię, Lan. Mówię wprost, bez żadnych głębszych intencji, że zrobiłam, co powiedziałam. Jednak w Fal Dara zaczęłam się zastanawiać, czy całkowicie jesteś ze mną.

Ostrożność rozbłysła w jego oczach.

„Lan, wybac mi. Nie chciałam kruszyć murów, którymi otoczyłeś się tak ściśle, ale muszę wiedzieć”.

— Dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś z Randem?

Zamrugnął, to było zupełne zaskoczenie. Widziała, czego się teraz spodziewa i nie miała zamiaru tracić okazji, gdy wytracony był z równowagi.

— Kiedy przyprowadziłeś go do Amyrlin, przemawiał, zachowywał się jak lord Pogranicza i urodzony żołnierz. Było to zgodne z tym, co dla niego zaplanowałam, ale nigdy przecież nie rozmawialiśmy ze sobą o nauczaniu go takich manier. Dlaczego, Lan?

— Wydawało się to... słuszne. Młody wilczarz musi kiedyś spotkać swego pierwszego wilka. Jeśli jednak wilk będzie widział w nim szczeniaka, jeśli zachowywać się będzie jak szczeniak, wówczas z pewnością wilk go zabije. Wilczarz musi być wilczarzem, przede wszystkim w oczach wilka, jeśli ma przeżyć.

— Tak właśnie widzisz Aes Sedai? Amyrlin? Mnie? Sfora wilków ścigająca twego młodego wilczarza? — Lan potrząsnął głową. — Wiesz, kim on jest, Lan. Wiesz, kim musi się stać. Musi. Pracowałam na to od dnia, kiedy się spotkaliśmy i jeszcze wcześniej. Teraz wątpisz w to, co zrobiłam?

— Nie. Nie, ale... — Skrywał się, na powrót budując swe mury. Ale wciąż były w nich szczeliny. — Sama powiedziałaś, że *ta'veren* wciągają otaczających ich ludzi, jak ir wodny połyka słomki. Zapewnie, ja również zostałam wciągnięty. Czuję tylko, że tak będzie słusznie. Ci wiejscy chłopcy potrzebują kogoś, kto będzie stał po ich stronie, Moiraine. Przynajmniej Rand potrzebuje. Wierzę w to, co robisz, nawet teraz, kiedy nie znam nawet połowy twych uczynków, wierzę tak, jak wierzę w ciebie. Nie prosiłem o zwolnienie mnie ze zobowiązań i nie

poproszę. Jakiegokolwiek są twoje plany, odnośnie do twego umierania i mojego bezpieczeństwa, odprawienia mnie, szczęśliwy będę, widząc jak żyjesz a wszelkie plany obracają się w nicość.

— *Ta'veren* — westchnęła Moiraine. — Być może to było to. Miast postępować ostrożnie, niczym ze żdźbłem, które należy delikatnie pokierować w dół strumienia, usiłuję przeprowadzić kłodę przez katarakty. Za każdym razem, gdy ją popycham, ona odpycha mnie, a im dłużej to wszystko trwa, tym staje się większa. A jednak muszę wytrwać do końca.

Roześmiała się cicho.

— Nie będę bardzo nieszczęśliwa, stary przyjacielu, jeśli uda ci się wypaczyć moje plany. Teraz jednak proszę, zostaw mnie. Muszę pomyśleć w samotności.

Wahał się jedynie przez moment, potem odwrócił i poszedł w kierunku drzwi. W ostatniej chwili zrozumiała, że musi zadać mu jeszcze jedno pytanie.

— Czy kiedykolwiek marzyłeś o czymś innym, Lan?

— Wszyscy ludzie marzą. Ale znam marzenia wyczerpujące się wyłącznie w samych sobie. To — dotknął rękojeści miecza — jest rzeczywistość.

Mury wyrosły na powrót, równie wysokie i mocne jak przedtem.

Kiedy wyszedł, Moiraine siedziała przez chwilę wtulona w oparcie krzesła, wpatrując się w ogień. Myślała o Nynaeve i szczelinach w murze. Bez specjalnych usiłowań, nie myśląc nawet, co czyni, ta młoda kobieta spowodowała, że mury popękały a w ich szczelinach wyrosło pnącze. Lan uważał, iż jest bezpieczny, zamknięty w swej fortecy przez los i własne pragnienia, ale powoli, cierpliwie pnącza rozsadzały mur, odsłaniając ukrytego wewnątrz człowieka. Już teraz zaczął dochowywać jej lojalności — na początku pozostawał zupełnie obojętny wobec ludzi z Pola Emonda, wyjąwszy tych, którymi interesowała się Moiraine. Nynaeve zmieniała to, podobnie jak zmieniała samego Lana.

Ku własnemu zaskoczeniu Moiraine poczuła ukłucie zazdrości. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło, nie w odniesieniu do kobiet, które rzucały swe serca pod jego stopy lub dzieliły z nim łożo. W istocie, nigdy nie myślała o nim jako o obiekcie możliwej zazdrości, zresztą podobnie jak nie myślała w ten sposób o żadnym mężczyźnie. Poślubiona była swojej walce, a Lan poślubiony był swej. Lecz zbyt długo byli już towarzyszami w tych zmaganiach. Zajeździł konia na śmierć, sam niemalże padając ze zmęczenia, a pod koniec niosąc ją w ramionach do Anayi, Uzdrowicielki. Niejeden raz opatrywała mu rany, swą sztuką zatrzymując życie, które niemalże postradał, próbując ratować ją. Powtarzał zawsze, że małżonką jego jest śmierć. Teraz na innej panience młodej spoczywało jego spojrzenie, choć wciąż jeszcze tego nie widział. Sądził, że wciąż bezpieczny trwa za swym murem, ale Nynaeve już wplotła weselne kwiaty w jego włosy. Czy dalej równie pogodnie będzie w stanie igrać ze śmiercią? Moiraine wątpiła, by poprosił o zwolnienie ze zobowiązań. Ale nie wiedziała, co zrobi, kiedy tak się stanie.

Grymas zagościł na jej twarzy, powstała. Są ważniejsze sprawy. Dużo ważniej-



sze. Oczywiście objęła otwarte książki i papiery walające się po pokoju. Tak wiele wskazówek, ale żadnych definitywnych odpowiedzi.

Weszła Vandene, niosąc na tacy dzbanek z herbatą i filiżanki. Wysmukła i wdzięczna, zawsze wyprostowana, włosy zebrane starannie na karku były niemalże zupełnie białe. Na jej delikatnej twarzy widać było znaki wielu, wielu przeżytych lat.

— Nie chciałam ci przeszkadzać, mogłam poprosić Jaema, aby to przyniósł, ale właśnie ćwicz z mieczem w stodole. — Z cichym szelestem odsunęła rękopis, aby zrobić miejsce na tacę. — Obecność Lana przypomniała mu, że nadaje się do czegoś więcej, niż tylko uprawy ogrodu i wykonywania drobnych napraw w domu. Gaidini mają takie sztywne karki. Myślałam, że Lan jeszcze tu będzie, dlatego przyniosłam dodatkową filiżankę. Znalazłaś to, czego szukasz?

— Nie wiem właściwie nawet, czego szukam.

Moiraine zmarszczyła brwi, wpatrując się w drugą kobietę. Vandene należała do Zielonych Ajah, nie do Brązowych jak jej siostra, ale od tak dawna wspólnie poświęcały się studiom, że wiedziała równie dużo co Adeleas.

— Cokolwiek to jest, nie wygląda, abyś wiedziała, gdzie szukać. — Potrząsając głową, Vandene przewertowała kilka książek i rękopisów. — Tyle kwestii. Wojny z Trollokami. Obserwatorzy nad Morzem. Legenda o Powrocie. Dwa traktaty na temat Rogu Valere. Trzy ciemne prorocstwa i, na Światłość, książka Santhry o Przeklętych. Paskudna. Równie paskudna, jak ta o Shadar Logoth. I Prorocstwa Smoka w trzech tłumaczeniach, i jeszcze oryginał. Moiraine, o co ci chodzi? Prorocstwa, rozumiem, nawet na taką głuszę docierają pewne nowiny. Słyszałyśmy o tym, co zdarzyło się w Illian. W wiosce opowiadają nawet plotki o tym, że ktoś odnalazł Róg.

Nieostrożnie potrząsnęła rękopisem na temat Rogu i zakaszła, gdy kurz podrażnił jej gardło.

— Zlekceważyłam ją, oczywiście. Zawsze słyszy się jakieś plotki. Lecz cóż... Powiedziałaś, że potrzebujesz odosobnienia i mam zamiar ci je zapewnić.

— Poczekaj chwilę — powiedziała Moiraine, a druga Aes Sedai zatrzymała się tuż przy drzwiach. — Być może mogłabyś odpowiedzieć na kilka moich pytań.

— Spróbuję. — Vandene niespodziewanie uśmiechnęła się. — Adeleas twierdzi, że powinnam zostać Brązową siostrą. Pytaj.

Napełniła dwie filiżanki herbatą i podała jedną Moiraine, potem usiadła na krześle przy kominku.

Sploty pary wiły się nad filiżankami, kiedy Moiraine pieczołowicie dobierała swe pytania.

„Uzyskać odpowiedzi, a jednocześnie nie ujawnić zbyt wiele”.

— Róg Valere nie jest wzmiankowany w Prorocztwach, a jednak w jakiś sposób powiązany jest ze Smokiem?

— Nie. Wyjawszy fakt, że musi zostać znaleziony przed Tarmon Gai'don, a właśnie po Smoku oczekuje się stoczenia Ostatniej Bitwy.

Białowłosa kobieta pociągnęła łyk herbaty i czekała.

— Czy cokolwiek łączy Smoka z Głową Tomana? Vandene zawahała się.

— Tak i nie. Jest to kwestia sporna pomiędzy Adelleas a mną. — Jej głos przybrał ton charakterystyczny dla wykładu i przez moment Moiraine wydawało się, że ma przed sobą Brązową siostrę. — Jest w oryginale taki wers, który przetłumaczony dosłownie brzmi: „Pięcioro jedzie naprzód, a czworo powraca. Ponad obserwatorami proklamuje się, sztandarem w poprzek nieba w ogniu...” Cóż, i tak dalej. Kluczową kwestią jest jednak słowo *ma'vron*. Twierdzę, że nie powinno być przetłumaczone po prostu jako „obserwatorzy”, bowiem to z kolei brzmi *a'vron*. *Ma'vron* ma tutaj decydujące znaczenie. Wedle mnie znaczy Obserwatorzy nad Morzem, chociaż oni sami nazywają siebie *Do Miere A'vron* rzecz jasna, nie zaś *Ma'vron*. Adeleas powiada, iż dokonuje nadinterpretacji. Sądzę jednak, że oznacza to, iż Smok Odrodzony ujawni się gdzieś na Głowie Tomana, w Arad Doman lub Saladei. Adeleas może sobie myśleć, że jestem niemądra, jednakowoż wsłuchuję się uważnie we wszystkie pogłoski, jakie ostatnimi czasy dochodzą do nas z Saladei. Mazrim Taim jest w stanie przenosić, tak przynajmniej słyszałam, a nasze siostry jeszcze sobie nie poradziły z nim. Jeśli Smok się Odrodził i odnaleziony został Róg Valere, znaczy to, że Ostatnia Bitwa nastąpi już wkrótce. Możemy nigdy nie ukończyć naszej historii.

Przeszył ją dreszcz, potem nagle roześmiała się.

— Dziwny powód do zmartwień. Przypuszczam, że coraz bardziej staję się Brązową siostrą. To straszne, kiedy się nad tym zastanowić. Zadaj następne pytanie.

— Sądzę, iż nie powinnaś się martwić o Taima — powiedziała nieobecny głosem Moiraine. Istniał jednak związek z Głową Tomana, aczkolwiek ledwie rysujący się i nieznaczny. — Zajmą się nim podobnie jak Logainem. Co możesz powiedzieć o Shadar Logoth?

— Shadar Logoth! — parsknęła Vandene. — Mówiąc krótko, miasto zostało zniszczone przez swą własną nienawiść, zginęły wszelkie żywe istoty, wyjąwszy doradcę Mordetha, który zapoczątkował to wszystko, stosując taktykę Sprzymierzeńców Ciemności przeciw Sprzymierzeńcom Ciemności, a teraz zaczajony w pułapce czeka, aby skraść duszę. Nie jest bezpiecznie tam wchodzić i niebezpieczne jest dotykanie czegokolwiek. Ale to wie każda nowicjuszka, która już niedługo zostanie Przyjętą. Aby usłyszeć całość, musiałabyś zostać tutaj przez miesiąc i wysłuchać serii wykładów Adeleas, ona doprawdy posiada na ten temat dogłębną wiedzę, lecz nawet ja mogę ci powiedzieć, że nie ma to żadnego związku ze Smokiem. Miejsce było martwe na sto lat zanim Yurian Stonebow powstał z popiołów Wojen z Trollokami, a w całej historii fałszywych Smoków jest on postacią historycznie mu najbliższą.

Moiraine podniosła dłoń.

— Nie wyraziłam się jasno, w tej chwili nie interesuje mnie już Smok, Odrodzony czy fałszywy. Czy możesz sobie wyobrazić jakiś powód, dla którego Pomor miałby zabrać coś pochodzącego z Shadar Logoth?

— Nie, gdyby wiedział, czym ta rzecz jest. Nienawiść, która zabiła Shadar Logoth, była nienawiścią pierwotnie skierowaną przeciwko Czarnemu. Zniszczy Pomiot Cienia równie niezawodnie, jak tych których opromienia Światłość. Tamci boją się Shadar Logoth równie mocno jak my.

— A co możesz mi powiedzieć o Przeklętych?

— Skaczesz z tematu na temat. Mogę powiedzieć ci niewiele więcej ponad to, czego nauczyłaś się jako nowicjuszka. Mało kto wie więcej o Bezimiennych. Chcesz, bym zarzuciła ci wiadomościami, których obie nauczyłyśmy się będąc jeszcze dziewczętami?

Przez chwilę Moiraine siedziała w milczeniu. Nie chciała powiedzieć zbyt wiele, ale Vandene i Adeleas miały więcej wiedzy w koniuszku palca, niż było jej w całym świecie, wyjąwszy Białą Wieżę, tam jednak czekało na nią więcej kłopotów, niżli była w stanie obecnie udźwignąć. Pozwoliła, by imię wyślizgnęło się z jej ust, jakby w ucieczce:

— Lanfear.

— W tej kwestii — westchnęła zapytana — doprawdy nie wiem nawet odrobinę więcej, niż jako nowicjuszka. Córka Nocy pozostaje tak tajemnicza, jakby dosłownie odziała się w ciemność. — Przerwała na moment, wpatrzyła się w filizankę, kiedy jednak podniosła wzrok, jej spojrzenie ostro wbiło się w oczy Moiraine. — Lanfear była związana ze Smokiem, z Lewsem Therinem Telamonem. Moiraine, czy masz jakieś poszlaki, co do tego, że Smok się Odrodzi? Już się Odrodził? Czy to się stało?

— Gdyby tak było — Moiraine odpowiedziała nieporuszona — czyż nie znajdowałabym się w Białej Wieży, zamiast tutaj? Amyrlin wie wszystko, co ja wiem, tyle mogę ci przysiąc. Czy otrzymałaś od niej wezwanie?

— Nie, ale przypuszczam, że może to nastąpić. Kiedy nadejdzie czas, że zmuszone zostaniemy stawić czoło Smokowi Odrodzonemu, Tron Amyrlin potrzebować będzie każdej nowicjuszki, która potrafi samodzielnie zapalić świecę. — Głos Vandene powoli cichł, jakby pogrążyła się w zadumie. — Biorąc pod uwagę moc, którą będzie władał, trzeba będzie go zmiażdżyć, zanim użyje jej przeciwko nam, zanim oszaleje i zniszczy świat. Najpierw jednak musi spotkać się z Czarnym. — Roześmiała się wesoło na widok wyrazu twarzy Moiraine. — Nie jestem Czerwona. Studiowałam Proroctwa wystarczająco dokładnie, by wiedzieć, że nie możemy się zdecydować na poskromienie go od razu. Jeżeli byłybyśmy w stanie to zrobić. Wiem równie dobrze jak ty, jak wszystkie siostry, które zatroszczyły się, by to odkryć, że pieczęcie zatrzymujące Czarnego w Shayol Ghul słabną. Illian zwołał Wielkie Polowania na Róg. Dokoła pełno fałszywych Smoków. A dwaj

z nich, Logain i teraz ten w Saladei, zdolni do przenoszenia. Kiedy po raz ostatni Czerwone natknęły się na dwu przenoszących mężczyzn w ciągu niecałego roku? Kiedy po raz ostatni odnalazły jednego na pięć lat? Nie za mojego życia przynajmniej, a jestem dużo od ciebie starsza. Znaki są wszędzie. Tarmon Gai'don nadchodzi. Czarny wyrwie się na wolność. A Smok Odrodzi się.

Filiżanka zagrzechotała, kiedy gwałtownie odstawiła ją na stół.

— Przypuszczam, że to dlatego obawiam się, iż mogłaś widzieć jakieś znaki jego obecności.

— Nadejdzie — powiedziała miękko Moiraine — a uczynimy, co musi być zrobione.

— Jeśli, mam taką nadzieję, na cokolwiek się to zda. Wyciągnę Adeleas z jej książek i wyślę do Białej Wieży. Jednak zadowolona jestem, będąc tutaj. Być może wystarczy nam czasu na skończenie naszej historii.

— Mam nadzieję, że tak będzie, siostrze.

Vandene wstała.

— Cóż, mam jeszcze coś do zrobienia przed snem. Jeśli nie masz więcej pytań, pozostawię cię twoim studiom. — Przerwała na chwilę, a potem powiedziała coś, co zdradziło, iż pomimo lat spędzonych nad księgami, wciąż została Zieloną Ajah. — Powinnaś zrobić coś z Lanem, Moiraine. Ten mężczyzna gotuje się w środku gorzej niż Góra Smoka. Wcześniej czy później wybuchnie. Znałam wystarczająco wielu mężczyzn, by widzieć, kiedy któryś ma kłopoty z kobietą. Byliście razem przez długi czas. Być może na koniec zrozumiał, że jesteś w takim samym stopniu kobietą, jak Aes Sedai.

— Dla Lana wciąż jestem tym, kim jestem, Vandene. Mianowicie Aes Sedai. I mam nadzieję, że wciąż przyjaciółką.

— Ach, wy Błękitne. Zawsze gotowe ratować świat, który same tracicie.

Kiedy białowłosa Aes Sedai wyszła, Moiraine sięgnęła po płaszcz i mrużąc coś do siebie, wyszła do ogrodu. W tym co powiedziała Vandene, coś poruszyło strunę w jej umyśle, nie mogła sobie jednak przypomnieć, co to było. Odpowiedź, wskazówka pozwalająca znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nie zadała? Ale jakie to mogłoby być pytanie — tego również nie potrafiła sobie wyobrazić.

Ogród był mały, podobnie jak dom, ale starannie utrzymany, co było widać nawet w żółtej poświacie dochodzącej z okna. Wysypane piaskiem ścieżki wiodły wśród grządek kwiatów. Zarzuciła luźno płaszcz na ramiona, aby ustrzec się łagodnego chłodu nocy.

„Jaka była odpowiedź i jakie było pytanie?”

Zazgrzytał piasek, więc odwróciła się, myśląc że to Lan.

Ledwie kilka kroków od niej, pośród ciemności, zamajaczył cień, cień który zdawał się być nazbyt wysoką sylwetką mężczyzny owiniętego w płaszcz. Ale księżyc nagle oświetlił mu twarz, bladą, posępną, z wystającymi policzkami

i czarnymi oczyma nad pomarszczonymi, czerwonymi ustami. Płaszcz rozchylił się, rozwijając w dwa wielkie, jak-by nietoperze skrzydła.

Wiedząc, że jest za późno, otworzyła się na *saidara*, lecz Draghkar zanucił jękliwie i ciche brzęczenie wypełniło ją, rozbijając wolę na kawałki. *Saidar* wyslizgnął się. Idąc w kierunku stworzenia, czuła tylko nieokreślony smutek, głębokie zawrodoenie wydobycie na wierzch jej najściślej skrywane uczucia. Białe, białe dłonie — jak dłonie mężczyzny, tylko że zakończone szponami — sięgnęły po nią, usta koloru krwi wykrzywiły się w parodii uśmiechu, obnażając ostre zęby. Niejasno, bardzo niejasno, wiedziała że zęby te nie gryzą, ani nie szarpia. Strzeż się pocałunku Draghkara. Kiedy te wargi dotkną jej, równie dobrze będzie mogła być martwa, zostanie wyssana z duszy, później z życia. Ktokolwiek ją znajdzie, nawet jeśli przyjdzie w tym samym momencie, gdy Draghar ją puści, zobaczy tylko ciało bez najmniejszego znaku, zimne, jakby martwe od dwu dni. A kiedy przyjdą, zanim umrze, to co zobaczą, będzie jeszcze gorsze i w niczym nie będzie jej przypominało. Zawrodoenie pociągnęło ją prosto w te blade dłonie, głowa Draghara pochyliła się powoli.

Tylko ślad zaskoczenia przemknął jej przez umysł, gdy ostrze miecza rozbłysło nad ramieniem, trafiając Draghkara w pierś, nieco bardziej jedynie zdziwiło ją drugie ostrze, ułamek sekundy później, nad drugim ramieniem.

Oszołomiona, chwiejąc się lekko, patrzyła jakby z ogromnej odległości na stworzenie odepchnięte w tył, daleko od niej. Zobaczyła Lana, później Jaema, kościste ręce siwowłosego Strażnika trzymały miecz równie pewnie, jak dłonie młodszego towarzysza. Blade dłonie Draghkara szarpały ostrą stal, skrzydła łopotliwymi pląsnieniami chłostały obu mężczyzn. Nagle, poraniony i krwawiący, ponownie zaniósł się jękiem. Ku Strażnikom.

Z wysiłkiem tylko Moiraine pozbierała myśli. Czuła się tak pusta, jakby istota dokonała jednak swego dzieła.

„Nie ma czasu na słabość”.

W jednej chwili otworzyła się na *saidara* i kiedy moc wypełniła ją, bez lęku ogarnęła wzrokiem scenę, chcąc celnie uderzyć w ten Pomiot Cienia. Obaj mężczyźni byli zbyt blisko, cokolwiek uczyni, im również zaszkodzi. Nawet użycie Jedynej Mocy, wiedziała to, mimo iż myśli wciąż zanieczyszczał jej dotyk Draghkara.

Lecz zanim cokolwiek zrobiła, Lan krzyknął:

— Uściśnij śmierć!

Jak echo dołączył do niego zdecydowany głos Jaema:

— Uściśnij śmierć!

I obaj mężczyźni weszli w zasięg dotyku Draghkara, zatapiając swe ostrza w jego ciele aż po rękojeść.

Odrzucając głowę w tył, Draghkar wrzasnął, krzykiem który igłami przeszył głowę Moiraine. Nawet owinięta *saidarem* była w stanie poczuć jego siłę. Jak

padające drzewo Draghkar runął na ziemię, jedno ze skrzydeł powaliło Jaema na kolana. Lan pochylił się, jakby w całkowitym wyczerpaniu.

Od strony domu spieszyły w ich stronę światła stworzone przez Vandene i Adeleas.

— Co to za hałas? — dopytywała się Adeleas. Była niemalże zwierciadlanym wizerunkiem swej siostry. — Jaem poszedł i. . .

Światło padło na ciało Draghkara, głos zamarł jej w gardle.

Vandene chwyciła dłoń Moiraine.

— Czy on. . . ?

Pozostawiła pytanie nie dokończone, Moiraine zobaczyła otaczający ją nimb. Czując przepływ siły od drugiej kobiety, żałowała, nie po raz pierwszy, że Aes Sedai nie są w stanie zrobić dla siebie tyle, ile mogą zrobić dla innych.

— Nie zrobił — powiedziała z wdzięcznością. — Zajmij się Gaidinami.

Lan patrzył na nią, zaciskając usta.

— Gdyby nie to, że mnie tak zdenerwowałaś, że poszedłem ćwiczyć formy z Jaemem i gdybym nie był tak wściekły, że szybko zrezygnowałem i wróciłem do domu. . .

— Ale tak właśnie było — odrzekła. — Wzór wplata wszystko w osnowę.

Jaem mruzczał coś, ale pozwolił Vandene obejrzeć swe ramię. Kościsty i żyłasty, wyglądał na równie mocnego jak stare korzenie.

— W jaki sposób — dopytywała się Adeleas — jakaś istota z cienia mogła podejść tak blisko i nie wyczułyśmy jej?

— Była osłaniana — powiedziała Moiraine.

— Niemożliwe — odburknęła Adeleas. — Tylko siostra mogłaby. . .

Przerwała, a Vandene odwróciła się od Jaema, by spojrzeć na Moiraine.

Ta wypowiedziała słowa, których żadne z nich nie chciało usłyszeć:

— Czarna Ajah.

Od strony wioski słychać było okrzyki.

— Lepiej ukryjcie to. . . — machnęła ręką w stronę Draghkara rozciągniętego w poprzek grządki kwiatów — szybko. Zaraz przyjdą, by zapytać, czy nie potrzebujecie pomocy, a kiedy go zobaczą, zaczną się rozmowy, których na pewno wolałybyście uniknąć.

— Tak, oczywiście — powiedziała Adeleas. — Jaem, wyjdź im na spotkanie. Powiedz, że nie wiesz, skąd ten hałas, ale że wszystko jest w porządku. Uspokój ich.

Siwowłosy Strażnik pospieszył w noc, w kierunku zbliżających się głosów mieszkańców wioski. Adeleas odwróciła się i wpatrzyła badawczo w Draghkara, jakby był zagadkowym fragmentem w jednej z jej książek.

— Czy była w to zamieszana Aes Sedai, czy nie, zastanawiam się, co mogło go tutaj sprowadzić?

Vandene w ciszy wpatrywała się w Moiraine.

— Obawiam się, że muszę was opuścić — powiedziała Moiraine. — Lan, czy mógłbyś przygotować konie do drogi?

Kiedy odszedł, dodała:

— Zostawię listy, które należy wysłać do Białej Wieży, najszybciej jak tylko można.

Adeleas z nieobecnym wyrazem twarzy pokiwała głową, jej uwaga wciąż skupiona była na leżącym u jej stóp monstrum.

— A tam, dokąd jedziesz, odnajdziesz swe odpowiedzi? — zapytała Vandene.

— Być może już znalazłam jedną, mimo iż wcale jej nie szukałam. Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno. Potrzebne mi będzie pióro i pergamin.

Poprowadziła Vandene w kierunku domu, zostawiając Adeleas, by zajęła się ciałem Draghkara.

# INICJACJA

Nynaeve ostrożnie rozejrzała się po wielkiej komnacie położonej głęboko pod Białą Wieżą, po czym ukradkiem zmierzyła wzrokiem stojącą u jej boku Sheriam. Mistrzynie Nowicjuszek wyglądała tak, jakby czegoś wyczekiwała, w jej postawie odznaczała się nawet pewna niecierpliwość. Podczas kilkudniowego pobytu w Tar Valon na twarzach Aes Sedai widziała jedynie spokój, uśmiechniętą akceptację wydarzeń następujących zgodnie z właściwą im naturą.

Sklepione pomieszczenie wykute zostało w podłożu skalnym wyspy, światła lamp umieszczonych na wysokich stojakach odbijały się od białych i gładkich kamiennych ścian. Na samym środku, pod sklepieniem znajdowała się konstrukcja wykonana z trzech okrągłych, srebrnych łuków, każdy wystarczająco wysoki, by można było pod nim przejść, wspartych na stykających się ze sobą grubych, srebrnych pierścieniach. Łuki i pierścienie stanowiły jedną całość. Nie mogła dostrzec, co się za nimi znajduje, tylko migotanie światła, powodujące trzepotanie żołądka, kiedy wpatrywała się zbyt długo. W miejscach gdzie łuki stykały się z pierścieniami, wprost na kamiennej podłodze posadzki, siedziały na skrzyżowanych nogach Aes Sedai, wpatrując się w srebrzystą konstrukcję. Jeszcze inne stały w pobliżu, za prostym stołem, na którym ustawiono trzy duże srebrne kielichy. Nynaeve wiedziała — przynajmniej tak jej powiedziano — że każdy wypełniony jest czystą wodą. Wszystkie pięć Aes Sedai miało na sobie swoje szale — Sheriam z błękitnymi frędzlami, śniada kobieta za stołem z czerwonymi i kolejno zieleń, biel i szarość, przysługujące trójce siedzącej przy łukach. Nynaeve wciąż ubrana była w suknię, którą otrzymała w Fal Dara — w kolorze zielonym, zdobną małymi, białymi kwiatkami.

— Najpierw zostawiacie mnie samą, bez żadnego zajęcia, wyjąwszy oglądanie własnych dłoni od rana do nocy — wymruczała Nynaeve — a teraz cały ten pośpiech.

— Godzina bije, nie czekając na żadną kobietę — odrzekła Sheriam. — Koło splota wzór jak chce i kiedy chce, Cierpliwość jest więc cnotą, której należy się uczyć, zawsze jednak musimy być przygotowane na nagłą zmianę.

Nynaeve ze wszystkich sił starała się, aby wypełniające ją rozdrażnienie nie uwidoczniło się w spojrzeniu. Najbardziej irytującą rzeczą, jaką odkryła u pło-



miennowłosej Aes Sedai, był ten ton głosu, jakby tamta, niezależnie czy było tak czy nie, bez przerwy cytowała cudze wypowiedzi.

— Co to jest?

— *Ter'angreal*.

— Cóż, to mi nic nie mówi. Do czego to służy?

— *Ter'angreale* służą do wielu rzeczy, dziecko. Podobnie jak *angreal* i *sa'angreal* stanowią pozostałość Wieku Legend wykorzystującą Jedyńą Moc, nie są jednak tak rzadkie jak tamte. O ile niektóre *ter'angreale* potrzebują dla swego funkcjonowania obecności Aes Sedai, jak ten, który mamy przed sobą, pozostałe mogą spełniać zadania, dla jakich zostały stworzone w rękach każdej kobiety, która potrafi przenosić. Są nawet takie, o których przypuszcza się, iż zadziałają niezależnie od tego, kto będzie ich właścicielem. W odróżnieniu od *angreala* i *sa'angreala* przeznaczone są do realizacji określonych celów. W Wieży posiadamy jeszcze inny, który czyni wiążącą składaną przysięgę. Kiedy zostaniesz podniesiona do stanu pełnej siostry, złożysz swoje śluby, trzymając go w dłoni. Nigdy nie trzeba wypowiadać słów, które nie są prawdziwe. Nie tworzyć żadnej broni mogącej służyć jednemu człowiekowi do zabicia innego. Nigdy nie używać Jedynej Mocy w charakterze broni, wyjąwszy stosowanie jej przeciwko Sprzymierzeńcom Ciemności i Pomiotowi Cienia, ewentualnie w celu obrony własnego życia, życia swego Strażnika lub innej siostry.

Nynaeve potrząsnęła głową. Brzmiało to, jakby przysięga obejmowała zbyt wiele, albo zbyt mało. Głośno wyraziła swe wątpliwości.

— Niegdyś od Aes Sedai nie wymagano składania przysięg. Wiadomo było, czym są Aes Sedai, co sobą przedstawiają, nie było więc potrzeby żadnego dalszego samookreślenia. Wiele z nas chciałoby, aby również dzisiaj tak było. Lecz Koło obraca się, a czasy zmieniają. To, że składamy takie przysięgi, że wiadomo, iż jesteśmy nimi związane, pozwala ludom nawiązywać z nami stosunki bez obawy, że skierujemy naszą moc, Jedyńą Moc, przeciwko nim. Dokonałyśmy takiego wyboru w okresie oddzielającym Wojny z Trollokami od Wojny Stu Lat i zapewne dlatego Biała Wieża wciąż stoi, a my możemy poświęcać wszystkie wysiłki na walkę z Cieniem. — Sheriam wciągnęła głęboki oddech. — Światłości, dziecko, staram się nauczyć cię tego, czego wszystkie inne kobiety, które stały w miejscu, gdzie ty teraz stoisz, uczyły się przez lata. Tego nie da się zrobić. Obecnie winnaś całą uwagę poświęcić *ter'angrealowi*. Nie znamy przyczyny, dla której zostały stworzone. Ośmielamy się używać wyłącznie niektórych i to w sposób, który może nie mieć nic wspólnego z intencjami twórców. Większość z tego, czego nauczyłyśmy się, pociągnęła za sobą koszty, których nie można było uniknąć. W ciągu lat niejedna Aes Sedai zginęła, talent niejednej wypalony został w tych próbach zdobycia wiedzy.

Nynaeve zadrżała.

— Chcesz, żebym tam weszła?

Światło w przestrzeni łuków migotało obecnie słabiej, wciąż jednak zupełnie nie można było dostrzec, co się za nimi kryje.

— Wiemy, do czego służy ten. Postawi cię twarzą w twarz z twymi największymi strachami. — Sheriam uśmiechnęła się miło. — Nikt nie zapyta cię później, co widziałeś w środku. Strachy, które nawiedzają każdą kobietę, są jej wyłączną własnością.

Nynaeve niejasno pomyślała o niepokoju, jaki wzbudzały w niej pająki, szczególnie w ciemnościach, nie sądziła jednak, aby Sheriam coś takiego miała na myśli.

— Po prostu przejdę przez jeden łuk i wejdę w następny? Trzy przejścia i sprawa załatwiona?

Aes Sedai poprawiła swój szal pełnym irytacji wzruszeniem ramion.

— Jeśli chcesz całą rzecz do tego sprowadzić, to proszę bardzo — powiedziała sucho. — Kiedy tu szłyśmy, powiedziałam ci wszystko, co musisz wiedzieć o ceremonii, przekazałam ci całą wiedzę, na jaką zezwala się przed przystąpieniem do niej. Gdybyś znalazła się na tym miejscu jako nowicjuszka, wiedza ta zapisana byłaby w twoim sercu, ale nie obawiaj się popełnić błędu. Jeśli będzie to konieczne, wszystko ci przypomnę. Jesteś pewna, że chcesz stawić czoło próbie? W każdej chwili możemy ze wszystkiego zrezygnować, a ja po prostu wpiszę twe imię do księgi nowicjuszek.

— Nie!

— Bardzo dobrze, więc. Powiem ci teraz o dwu rzeczach, o których kobiety dowiadują się dopiero w tej komnacie. Oto pierwsza. Kiedy już zaczniesz, nie wolno ci przerwać przed końcem. Jeśli odmówisz kontynuowania próby, wówczas, niezależnie od tego jak wielkie są twe możliwości, zostaniesz bardzo grzecznie wyproszona z Wieży, wyposażona w ilość srebra wystarczającą na rok, nigdy jednak nie będzie ci wolno do niej powrócić.

Nynaeve otworzyła usta, aby powiedzieć, iż odmowa nie wchodzi w grę, lecz Sheriam przerwała jej ostrym gestem.

— Słuchaj i odzywaj się tylko wtedy, gdy wiesz, co powiedzieć. Po drugie. Szukać, walczyć oznacza znać niebezpieczeństwo. Tam będziesz je znała. Niektóre kobiety wchodziły i nigdy nie wychodziły na zewnątrz. Kiedy *ter'angreal* został zdezaktywowany, nie-było-ich-w-nim. I nigdy więcej już ich nie widziano. Jeśli chcesz przeżyć, musisz być nieugięta. Jeżeli zawahasz się, zawiedziesz, to...

— Jej milczenie mówiło jaśniej, niż jakiegokolwiek słowa. — To twoja ostatnia szansa, dziecko. Możesz w tej chwili zawrócić, to ostatni moment, a wciągną twe imię do księgi nowicjuszek i tylko znak przy nim świadczyć będzie o twoim niepowiedzeniu. Dwukrotnie jeszcze będzie ci dozwolone przyjść tutaj i dopiero trzecia odmowa podjęcia próby spowoduje wydalenie cię z Wieży. To żaden wstyd, zrezygnować. Wiele tak robi. Ja sama za pierwszym razem nie byłam w stanie tego zrobić. Teraz możesz mówić.

Nynaeve spojrzała z ukosa na srebrne łuki. Migotanie światła ustało, zastąpiła je delikatnie, biała poświata. Aby nauczyć się tego, co było jej potrzebne, musiała posiadać swobodę zadawania pytań właściwą Przyjętym, musiała mieć możliwość studiowania na własną rękę, bez innego przewodnictwa, jak tylko to, o które poprosi.

„Muszę doprowadzić do tego, że Moiraine zapłaci za to, co nam zrobiła. Muszę”.

— Jestem gotowa.

Sheriam powoli przekroczyła próg komnaty. Nynaeve poszła za nią.

Jak gdyby na dany sygnał, Czerwona siostra powiedziała głośnym, uroczystym tonem:

— Kogo przyprowadziłaś do nas, siostrze?

Trzy Aes Sedai zgromadzone wokół *ter'angreala* nie odrywały odeń uwagi.

— Tę, która przybyła jako kandydatka na Przyjętą, siostrze — odparła Sheriam równie uroczyście.

— Czy jest gotowa?

— Gotowa jest zostawić za sobą to, czym była i przechodząc przez własne strachy, stać się godną Przyjęcia.

— Czy zna swe strachy?

— Nigdy nie stawiała z nimi twarzą w twarz, lecz pragnie to uczynić.

— Tedy więc pozwólmy jej napotkać to, czego się boi.

Sheriam zatrzymała się w odległości dwu piędzi od łuków, Nynaeve stanęła obok niej.

— Twoje ubranie — szepnęła Sheriam, nie patrząc na nią.

Policzki Nynaeve nabrały kolorów, kiedy przypomniała sobie nagle, co Sheriam mówiła jej po drodze na dół, do komnaty. Pośpiesznie ściągnęła ubranie, buty i pończochy. Przez chwilę niemalże zapomniała o łukach, gdy składała części swej garderoby, kładąc je pieczołowicie z boku. Troskliwie wetknęła pierścień Lana pod sukienkę, nie chciała, by ktoś na niego patrzył. I wtedy nic już nie pozostało do zrobienia, a *ter'angreal* wciąż tam był, wciąż czekał.

Kamień pod jej nagimi stopami był zimny, toteż cała pokryła się gęsią skórką, ale stała prosto i oddychała powoli. Nie pozwoli żadnej z nich zobaczyć swego strachu.

— Pierwsza próba — powiedziała Sheriam — poświęcona jest temu, co było. Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Nynaeve zawahała się. Potem postąpiła naprzód, przechodząc przez łuk, zanurzając się w poświacie. Ogarnęła ją, jakby samym lśnieniem powietrza, niby zatapiającą powodzią światła. Światło było wszędzie. Światło było wszystkim.

\* \* \*

Nynaeve drgnęła, kiedy zrozumiała, że jest naga, potem rozejrzała się zdziwiona. Po obu bokach miała kamienne ściany, dwukrotnie wyższe od niej i gładkie, jakby rzeźbione. Palce stóp podkurczyły się na pylistej, nierównej kamiennej posadzce. Ze względu na całkowity brak chmur niebo wydawało się ołowiane i płaskie, wisiało na nim czerwone, obrzmiałe słońce. W obu kierunkach, do przodu i do tyłu, mur rozstępował się, bramy wyznaczały niskie, kwadratowe kolumny. Ściany ograniczały jej pole widzenia, lecz grunt pod stopami opadał, jakby stała na szczycie niewielkiej pochyłości. Przez bramy mogła dostrzec następne grube ściany i przejścia pomiędzy nimi. Znajdowała się w gigantycznym labiryncie.

„Gdzie ja jestem? Jak się tutaj dostałam?” Jakby wypowiedziana cudzym głosem, napłynęła następna myśl. „Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.

Potrząsnęła głową.

— Jeśli istnieje tylko jedno wyjście, nie znajdę go, stojąc w miejscu.

Powietrze było nareszcie ciepłe i suche.

— Mam nadzieję, że znajdę jakieś ubranie, zanim natknę się na ludzi — wymruczała.

Niejasno przypomniawszy sobie dziecięce zabawy w rysowanie labiryntów na papierze — istniała technika odnajdywania drogi na zewnątrz, teraz jednak nie mogła sobie jej przypomnieć. Wszystkie wspomnienia spowijała mgła, jakby wydarzenia przeszłości były udziałem kogoś innego. Przesuwając dłonią po ścianie, poszła naprzód, kłęby kurzu wzbijały się pod jej nagimi stopami.

Przy pierwszym otworze w murze przystanąła i spojrzała w przejście, które wydawało się nieodróżnialne od miejsca, gdzie była przed chwilą. Wzięła głęboki oddech i poszła przed siebie, poprzez kolejne, wyglądające identycznie pasáže. Nagle doszła do miejsca, które różniło się od poprzednio mijanych. Droga rozwidlała się. Skrzyła w lewo, potem pojawiło się kolejne rozwidlenie. Znowu skrzyła w lewo. Ale trzecie rozwidlenie zawiodło ją do ściany ślepo kończącej korytarz.

Zwróciła do ostatniego rozwidlenia i poszła w prawo. Tym razem czterokrotnie skrzyła w prawo, nim doszła do ślepego zaułka. Przez chwilę stała, patrząc.

— Jak ja się tutaj dostałam? — powiedziała na głos. — Co to jest za miejsce? „Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.

Jeszcze raz zawróciła. Pewna była, że musi istnieć sposób na poruszanie się po labiryncie. Na następnym rozwidleniu poszła w lewo, potem zaś w prawo. Stawowczo trzymała się obranego sposobu postępowania. W lewo, a później w prawo. Prosto do rozwidlenia. W lewo, potem w prawo.

Sposób wydawał się skuteczny. Tym razem pokonała kilkanaście rozwidleń, nie wpadając w ślepy zaułek. Zbliżała się właśnie do następnego.

Kątem oka pochwyciła jakby drgnienie, jakby ślad czyjegoś ruchu. Kiedy jednak odwróciła się, zobaczyła tylko pylisty pasaż pomiędzy gładkimi kamiennymi ścianami. Właśnie miała skręcić w lewe odgałęzienie korytarza... ale odwróciła się, powodowana przelotnym mgnieniem ruchu. Znowu pusto, tym razem jednak była pewna tego, że coś widziała. Ktoś za nią szedł. Ktoś tam był. Zdenerwowana pobiegła w przeciwnym kierunku.

Wciąż czuła czyjaś obecność. Na samym skraju pola widzenia dostrzegła, jak coś się porusza, raz w tym lub tamtym przejściu, zbyt szybkie mignięcie, by je dostrzec, nim odwróci głowę, by wyraźnie zobaczyć. Pobiegła szybciej. Tylko kilku chłopców było szybszych od niej, gdy jako dziewczynka ścigała się z nimi w Dwu Rzekach.

„Dwie Rzeki? Co to jest?”

Ze znajdującej się przed nią bramy wyszedł człowiek. Jego ciemne szaty wyglądały jak zbutwiałe, niemal na poły spleśniałe; był stary. Znacznie starszy niż stary. Jego czaszkę niczym popękany pergamin pokrywała skóra, zbyt ściśle, jakby pod spodem w ogóle nie było ciała. Rzadkie kępki kruchych włosów porastały pokrytą strupami czaszkę, z której głęboko zapadłe oczy wyglądały jak wloty jaskiń.

Przystanąła ślizgając się, nierówne kamienie, którymi wyłożono korytarz, obtarły stopy.

— Jestem Aginor — powiedział — przyszedłem po ciebie.

Jej serce chciało wyrwać się z piersi. Jeden z Przeklętych.

— Nie! To niemożliwe!

— Jesteś całkiem przystojna, dziewczyno. Dostarczysz mi dużo radości.

Nagle Nynaeve przypomniała sobie, że jest zupełnie naga. Z cichym jękiem i twarzą po części jedynie zaczerwienioną gniewem, rzuciła się w dół pasażu najbliższego skrzyżowania. Ścigał ją skrzypiący śmiech i odgłosy powłóczenia nogami, które zdawały się dorównywać szybkością jej szaleńczemu biegowi, i zdyszane obietnice dotyczące tego, co on z nią zrobi, kiedy ją złapie, obietnice, które powodowały, że skręcał się jej żołądek, nawet jeśli połowy z nich nie słyszała.

Biegła z zaciśniętymi pięściami, desperacko poszukiwała wyjścia, szaleńczo rozglądając się dokoła.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta”.

Nie było nic, tylko wciąż nie kończący się labirynt. Biegła tak szybko, jak tylko mogła, ale paskudne, brudne słowa wciąż ją goniły. Powoli strach zamienił się w gniew.

— Niech szcześnie! — wyłkała. — Światłości, spal go! Nie ma prawa!

Poczuła wewnątrz, jak coś w niej rozkwita, otwiera się, rozwija ku światłu.

Z wyszczerzonymi zębami, odwróciła się, by stawić czoło Aginorowi, w momencie gdy tamten pojawił się, biegnąc kulawo i chichocząc.

— Nie masz prawa!

Wyrzuciła ku niemu dłonie z rozpostartymi palcami, jakby ciskające czymś. Nie była nawet specjalnie zaskoczona, gdy zobaczyła wypływającą z rąk kulę ognia.

Wybuchła na piersiach Aginora, powalając go na ziemię. Tylko przez chwilę leżał nieruchomo, zaraz jednak chwiejnie powstał. Wydawał się nie zauważać, iż płonie przód jego płaszcza.

— Ośmieliłaś się? Ośmieliłaś się!

Zadrzał, ślina ściekła mu po policzku.

Nagle na niebie pojawiły się chmury, groźną falą szarości i czerni. Uderzyła błyskawica — prosto w serce Nynaeve.

Zdało się jej, dosłownie w mgnieniu pomiędzy dwoma uderzeniami serca, że czas nagle zwolnił, jakby to mgnienie miało trwać przez wieczność. Poczła w sobie przyływ — *saidar*, podszeptnęła daleka myśl — poczuła falowanie rezonansu w potoku błyskawicy. I zmieniła jej kierunek. Czas skoczył naprzód.

Piorun z łoskotem roztrzaskał kamień nad głową Aginora. Przeklęty jakby zapadł się w sobie, zatoczył chwiejnie w tył.

— Nie jesteś w stanie! To niemożliwe!

Odkoczył chwilę wcześniej, zanim błyskawica trafiła w miejsce, w którym stał i kamień wytrysnął fontanną odłamków.

Nynaeve ponuro, zawzięcie patrzyła na niego. I Aginor uciekł.

*Saidar* na wskroś przenikał ją. Była w stanie wyczuwać otaczające skały i powietrze, czuć drobne, płynne cząstki Jedynej Mocy, które pniekały je, które je stworzyły. Mogła też poczuć Aginora, jak robi. . . jak coś również robi. Czła to niejasno, w ogromnej odległości, jakby było to coś, czego nigdy w życiu naprawdę nie wiedziała, ale wokół siebie widziała efekty, a znała przecież ich przyczynę.

Posadzka zadudniła i zafalowała pod jej stopami. Z przodu ściany zapadły się, stos kamieni zablokował drogę. Gramoliła się przez nie, nie dbając iż ostra skała rozcina dłonie i stopy, wciąż nie spuszczać wzroku z Aginora. Zerwał się wiatr i wył w przejściach, jego wściekłe uderzenia rozplaszczwały jej policzki, wyciskały łzy z oczu. Zmieniła kierunek przepływu mocy i Aginor potoczył się po korytarzu jak krzak wyrwany z korzeniami. Dotknęła strumienia przepływającego przez posadzkę, skierowała go w inną stronę i kamienne ściany zapadły się wokół Aginora, grzebiąc go w zwałach gruzu. Z oczu wytryskały jej błyskawice, bijąc wokół niego, rozpryskując kamień, wciąż bliżej i bliżej. Mogła czuć jak usiłuje skierować je przeciw niej, ale krok za krokiem zbliżały się oślepiające pioruny, godząc w Przekłętego.

Coś załśniło po lewej stronie.

Nynaeve czła, jak Aginor słabnie, jak jego wysiłki ugodzenia jej stają się coraz bardziej nieudolne, coraz bardziej desperackie. Jednak w jakiś sposób rozumiała, że nie poddał się jeszcze. Jeśli pozwoli mu teraz odejść, będzie ścigał ją z równą siłą jak poprzednio, przekonany że mimo wszystko okazała się zbyt

słaba, by go pokonać, zbyt słaba, by powstrzymać go od zrobienia z nią tego, co pragnął.

Tam gdzie przedtem był kamień, stał teraz srebrny łuk, wypełniony delikatną srebrzystą promienistością.

„Wyjście. . .”

Wyczuła, kiedy Przekłety zaniechał swych ataków, wówczas gdy cały swój wysiłek obrócił na uchronienie się przed jej ciosami. Ale jego moc okazała się niewystarczająca, nie był już w stanie unikać jej uderzeń. Teraz usiłował jedynie chronić się przed tryskającymi nań masami kamienia, którymi zalewały go kolejne eksplozje.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta”.

Kolejna błyskawica nie pojawiła się. Nynaeve odwróciła się od gramolącego się spod stosu kamieni Aginora i spojrzała na łuk. Po chwili spojrzała na powrót w jego stronę, by zobaczyć, jak po kopcach skały odpełza z pola widzenia i znika. Syknęła z zawodu. Większość labiryntu wciąż stała nie tknięta, a w rumowisku skalnym, które stworzyła wraz z Przekętym przybyło wiele nowych kryjówek. Ponowne odnalezienie go zabierze mnóstwo czasu, była jednak pewna, że nawet jeśli ona tego nie uczyni, on znajdzie ją na pewno. W pełni zregenerowawszy siły, napadnie ją wtedy, gdy się najmniej będzie spodziewać.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.

Przestraszona spojrzała z powrotem i z ulgą stwierdziła, iż łuk wciąż stoi. Jeśli nie uda się szybko znaleźć Aginora. . .

„Pozostań nieugięta”.

W jej krzyku rozbrzmiał ból zawodu i gniew. Po stercie rozrzuconych kamieni zaczęła wspinać się w kierunku łuku.

— Ten kto odpowiada za to, że znalazłam się tutaj — mamrotała — pożałuje, że nie znalazł się na miejscu Aginora. Ja im. . .

Weszła pod sklepienie łuku i zalało ją światło.

\* \* \*

— Ja im. . .

Nynaeve wyszła z łuku i zatrzymała się, rozglądając się dokoła. Wszystko było tak, jak zapamiętała — srebrny *ter'angreal*, Aes Sedai, komnata — lecz przypomnienie było jak cios, nieobecne wspomnienia zwały się przemocą na jej umysł.

Czerwona siostra wysoko wzniosła jeden ze srebrnych pucharów i wylała strumień chłodnej, czystej wody na głowę Nynaeve.

— Zostajesz oczyszczona z grzechów, których mogłaś się dopuścić — zainto-

nowała Aes Sedai — i z tych, których dopuszczono się przeciw tobie. Zostajesz oczyszczona ze zbrodni, które mogłaś popełnić i z tych, które popełniono przeciw tobie. Przychodzisz do nas obmyta i czysta, na sercu i duszy.

Nynaeve zadrżała, kiedy woda spłynęła po jej ciele, skapując na podłogę.

Sheriam podniosła dłoń z pełnym ulgi uśmiechem, lecz głos Mistrzynie Nowicjuszek nie zdradzał nawet śladu niedawnych zmartwień.

— Jak dotąd idzie ci dobrze. Sam fakt twego powrotu o tym świadczy. Pamiętaj o swoim celu, a wszystko ułoży się pomyślnie.

Rudowłosa siostra poprowadziła ją wokół *ter'angreal* ku następnemu łukowi.

— To było tak prawdziwe — wyszeptła Nynaeve.

Pamiętała wszystko, przenoszenie Jedynej Mocy z równą łatwością, z jakąś podnosi się rękę. Pamiętała Aginora i te wszystkie rzeczy, które chciał jej zrobić. Ponownie zadrżała.

— Czy to istnieje naprawdę?

— Nikt tego nie wie — odparła Sheriam. — We wspomnieniach wydaje się rzeczywiste, a niektóre wychodziły na zewnątrz z prawdziwymi ranami po odniesionych w środku obrażeniach. Innym jednak zdarzały się poważne okaleczenia, po których później nie zostawało śladu. Wszystko nieprzerwanie zmienia się dla każdej kobiety, która wejdzie do środka. Starożytni powiadali, że istnieje wiele światów. Być może ten *ter'angreal* przenosi cię do nich. Jeśli nawet tak jest, to jak na rzecz, której zadaniem jest tylko przeniesienie z jednego miejsca na inne, rządzi się niezwykle surowymi regułami. Osobiście sędzę, iż nie mamy tu do czynienia z rzeczywistością. Ale pamiętaj, niezależnie od tego czy to, co ci się przytrafia jest prawdziwe, czy nie, niebezpieczeństwo jest równie realne, jak nóż pogrążający się w twym sercu.

— Przenosiłam Moc. To było takie łatwe.

Sheriam potknęła się.

— Nie sądzi się, by było to możliwe. Nie powinnaś nawet pamiętać, że jesteś zdolna do przenoszenia. — Uważnie wpatrywała się w twarz Nynaeve. — A jednak nie odniosłaś obrażeń. Wciąż czuję w tobie zdolności równie silne jak dotąd.

— Mówisz tak, jakby to było niebezpieczne — powiedziała wolno Nynaeve, a Sheriam zawahała się, nim odpowiedziała.

— Nie należy konieczne ostrzegać przed tym, nie powinnaś w ogóle pamiętać o Mocy, lecz... Ten *ter'angreal* znaleziony został podczas Wojen z Trollokami. Posiadamy w archiwach protokoły z jego badań. Pierwsza siostra, która weszła do środka, była osłaniana, najsilniej jak to tylko było możliwe, gdyż nikt nie wiedział, do czego jest on zdolny. Zatrzymała swe wspomnienia i w chwili zagrożenia przenosiła Jedyńą Moc. A wyszła na zewnątrz ze zdolnościami wypalonymi do szczytu, niezdolna do przenoszenia, niezdolna nawet do odczuwania obecności Prawdziwego Źródła. Następna była również osłaniana, ale ją także spotkał



ten sam los. Trzecia weszła do środka zupełnie pozbawiona osłony, kiedy była w środku, nie pamiętała nic, ale wróciła bez szwanku. Jest to jeden z powodów, dla których wysłaliśmy cię tam zupełnie bezbronną. Nynaeve, nie wolno ci ponownie przynieść wewnątrz *ter'angreal*. Wiem, że w środku trudno jest o cokolwiek pamiętać, ale spróbuj.

Nynaeve przełknęła ślinę. Pamiętała wszystko, nawet brak pamięci.

— Nie będę przynosić — powiedziała.

„Jeśli zapamiętam, żeby tego nie robić”.

Miała ochotę histerycznie się roześmiać.

Doszły do następnego łuku. Poświata wciąż wypełniała wszystkie. Sheriam rzuciła Nynaeve ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i pozostawiła ją samą.

— Druga próba — powiedziała Sheriam — poświęcona jest temu, co jest. Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Nynaeve wpatrywała się w lśniący, srebrny łuk.

„Co tam będzie tym razem?”

Obecne w komnacie siostry czekały i patrzyły. Weszła zdecydowanie do środka, w światło.

Nynaeve popatrzyła z zaskoczeniem na prostą, brązową sukienkę, jaką miała na sobie i drgnęła. Dlaczego przygląda się swojej sukience?

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.

Rozejrzała się dokoła i uśmiechnęła. Stała na skraju Łąki w Polu Emonda, wokół rozciągały się kryte strzechą dachy, przed sobą miała gospodę „Winna Jagoda”. Sama Winna Jagoda wytryskiwała z kamiennej odkrywki, rzeźbiąc sobie koryto przez trawę Łąki, a potem zasilając pęd strumienia biegnącego na wschód pod wierzbami rosnącymi za gospodą. Uliczki były puste, jednak o tej porze dnia wszyscy na pewno oddawali się swym porannym zajęciom.

Kiedy patrzyła na gospodę, uśmiech powoli zamierał na jej twarzy. Unosiła się wokół niej atmosfera czegoś znacznie gorszego niż tylko zaniedbania. Wapno bielące ściany zniknęło, rygiel u drzwi zwiślał luźno, ze szczeliny między dachówkami wystawał spróchniały koniec krokwi.

„Co wstąpiło w Brana? Czy obowiązki burmistrza zabierają mu tak wiele czasu, że zapomniał zadbać o swą gospodę?”

Drzwi gospody rozwarły się na oścież, wyszedł z nich Cenn Buie i zamarł, gdy ją zobaczył. Stary strzecharz pokrzywiony był jak korzeń dębu, a spojrzenie, którym ją obrzucił, było równie przyjazne.

— Tak więc wróciłaś, nieprawdaż? Cóż, równie dobrze mogłaś pozostać tam, gdzie byłaś dotąd.

Zmarszczyła brwi, kiedy splunął jej pod nogi i pośpiesznie przeszedł obok. Cenn nie należał do miłych ludzi, rzadko jednak posuwał się do otwartego grubiaństwa. Przynajmniej nigdy wobec niej. Nigdy otwarcie, w twarz. Podążyła za

nim wzrokiem i w całej wiosce dostrzegła ślady opuszczenia, strzechę, którą należało naprawić, chwasty, zarastające obejścia. Drzwi domu pani al'Caar wisiały krzywo na zerwanym zawiasie.

Potrząsając głową, Nynaeve weszła do wnętrza gospody.

„Mam do pogadania z Branem na temat tego wszystkiego”.

Sala ogólna była pusta, wyjąwszy obecność samotnej kobiety. Długi siwiejący warkocz zwisał jej przez ramię. Ścierała stół, lecz ze sposobu, w jaki patrzyła na jego blat, nie dawało się stwierdzić, czy jest świadoma tego, co robi. Podłoga izby wydawała się pokryta kurzem.

— Marin?

Marin al'Vere podskoczyła, jedną ręką chwyciła się za gardło i wejrzała. Wyglądała na znacznie starszą, niż Nynaeve zapamiętała. Na zniszczoną.

— Nynaeve? Nynaeve! Och, to ty. Egwene? Przywiozłaś z powrotem Egwene? Powiedz, że tak.

— Ja... — Nynaeve splotła dłonie. „Gdzie jest Egwene?” Wydaje się, że powinna pamiętać. — Nie. Nie przywiozłam jej z powrotem.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.

Pani al'Vere zapadła w głąb jednego z krzeseł o prostych oparciach.

— Taką miałam nadzieję. Nawet po śmierci Brana... .

— Bran nie żyje? — Nynaeve nie mogła sobie tego wyobrazić, potężnie zbudowany, uśmiechnięty mężczyzna wydawał się zawsze niezniszczalny. — Powinam tu być.

Kobieta poderwała się na nogi i pospieszyła do okna. Niespokojnie obserwowała Łąkę i wioskę.

— Jeśli Malena dowie się, że tutaj jesteś, będą kłopoty. Już widzę, jak Cenn pędzi, by ją odnaleźć. On jest teraz burmistrzem.

— Cenn? W jaki sposób ci wełnianogłowi mężczyźni wybrali Cenna?

— To sprawa Maleny. Napuściła całe Koło Kobiet na swoich mężów, by głosowali na Cenna. — Marin przycisnęła niemalże całą swą twarz do szyby, usiłując patrzeć jednocześnie we wszystkie strony. — Głupi mężczyźni nie rozmawiali przed włożeniem swych głosów do urny. Przypuszczam, że każdy kto głosował na Cenna, myślał, iż jest jedynym, którego żona zadreczęła, by to uczynił. Myślał, że jeden głos nie robi różnicy. Cóż, teraz wiedzą lepiej. Wszyscy wiemy.

— Kim jest ta Malena, której rozkazy wykonuje Koło Kobiet? Nigdy o niej nie słyszałam.

— Pochodzi ze Wzgórza Czat. Jest Wie... — Marin odwróciła się od okna, załamując ręce. — Malena Aylar jest Wiedzącą, Nynaeve. Dlaczego nie wracałaś... Światłości, mam nadzieję, że ona się nie dowie, iż tutaj jesteś.

Zaskoczona Nynaeve potrząsnęła głową.

— Marin, ty się jej boisz. Cała drżysz. Co to jest za kobieta? Dlaczego Koło Kobiet w ogóle wybrało kogoś takiego jak ona?

Pani al'Vere zaśmiała się gorzko.

— Musiałyśmy być szalone. Malena przyjechała do nas, aby zobaczyć się z Mavrą Mallen, dzień przedtem zanim tamta musiała wracać do Deven Ride, a tej samej nocy kilka dzieci rozchorowało się, toteż Malena została, aby ich doglądać, a potem owce zaczęły umierać i Malena nimi zaopiekowała się również. Jej wybór wydawał się więc zupełnie naturalny, chociaż. . . Ona jest tyranem, Nynaeve. Molestuje nieprzerwanie, dopóki nie jesteś tak zmęczona, że już więcej nie potrafisz mówić nie. I jeszcze gorzej. Zbiła do nieprzytomności Alsbet Luhhan.

Przed oczyma Nynaeve mignął obraz Alsbet Luhan i jej męża Harala, kowala. Alsbet była niemalże równie wysoka jak on, przystojna i mocno zbudowana.

— Alsbet jest niemal równie silna jak Haral. Nie wierzę. . .

— Malena nie jest dużą kobietą, ale jest. . . jest zapalczywa, Nynaeve. Biła Alsbet kijem, goniąc po całej Łące, a żadne z nas, przyglądających się temu, nie miało wystarczająco dużo odwagi, aby postarać się ją powstrzymać. Kiedy Bran i Haral dowiedzieli się o całej sprawie, powiedzieli, że musi się to skończyć, nawet gdyby mieli wmieszać się w sprawy Koła Kobiet. Sądzę, że jakaś kobieta z Koła musiała to usłyszeć, bo tej samej nocy Bran i Haral rozchorowali się i umarli w odstępie dnia. — Marin zagryzła wargi i rozejrzała dokoła, jakby myślała, że ktoś może się tu ukrywać. Potem ciągnęła dalej, cichszym głosem: — Malena przygotowywała im lekarstwa. Powiedziała, że jest to jej obowiązek, nawet jeśli tamci są przeciwko niej. Widziałam. . . widziałam, że zabrała ze sobą czarny koper.

Nynaeve zaparło dech.

— Ale. . . jesteś pewna, Marin? Nie masz wątpliwości?

Kobieta pokiwała głową, jej twarz zmarszczyła się, jakby zaraz miała się rozpląkać.

— Marin, jeżeli kiedykolwiek podejrzewałaś tę kobietę o to, że otruła Brana, dlaczego nie poszłaś z tym do Koła?

— Powiedziała, że Bran i Haral nie kroczą ścieżką Światłości — wymamrotała Marin — jeżeli występują przeciwko Wiedzącej. Powiedziała, że dlatego właśnie umarli, Światłość ich opuściła. Przez cały czas mówiła o grzechu. Powiedziała, że Paet al'Caar grzeszył również, występując przeciwko niej po śmierci Brana i Harala. A przecież napomknął tylko, że nie potrafi Uzdrawiać tak, jak ty umiałaś i ona wymalowała wówczas Kieł Smoka na jego drzwiach, w taki sposób, iż wszyscy mogli widzieć ją z węglem drzewnym w dłoni. Obaj jego chłopcy umarli, zanim upłynął tydzień, po prostu byli martwi, kiedy matka próbowała ich rano obudzić. Biedna Nela. Znaleźliśmy ją, jak włóczyła się, płacząc i śmiejąc, wszystko naraz, krzycząc, że Paet jest samym Czarnym i on zamordował jej chłopców. A następnego dnia Paet się powiesił. — Wstrząsały nią dreszcze, a głos przycichł tak bardzo, że Nynaeve ledwie mogła cokolwiek wysłyszeć. — Pod moim dachem wciąż żyją cztery córki. Żyją, Nynaeve. Rozumiesz, co mówię. Wciąż są żywe i pragnę, by takie pozostały.

Mróz przeszył Nynaeve aż do szpiku kości.  
— Marin, nie możesz na to pozwolić.  
„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.  
Odepchnęła tę myśl.  
— Jeżeli Koło Kobiet zewrze szeregi, będziecie się mogły od niej uwolnić.  
— Zewrzeć szeregi przeciwko Malenie? — Śmiech Marin przypominał łkanie.  
— Boimy się jej. Ale dobrze sobie daję radę z dziećmi. Teraz ciągle jakieś dzieci są chore, jak się wydaje, a Malena robi wszystko, na co ją stać. Żadne nie umarło w wyniku choroby, od czasu jak ty byłaś Wiedzącą.  
— Marin, posłuchaj mnie. Czy nie rozumiesz, dlaczego dzieci są bez przerwy chore? Jeśli nie może spowodować byście się jej bali, wówczas zmusza was, byście myślały, iż jej pomoc jest niezbędną naszym dzieciom. Ona to robi, Marin. Tak jak zrobiła to Branowi.  
— Nie mogłaby — wydyszała Marin. — Nie powinna. Nie małeństwu.  
— Robi to, Marin.  
„Wyjście. . .”  
Nynaeve przemocą zdławiła tę myśl.  
— Czy którakolwiek w Kole się nie boi? Któraś, która mnie wysłucha?  
Kobieta powiedziała:  
— Nie ma nikogo, kto by się nie bał. Lecz Corin Ayellin może cię wysłucha. Jeśli tak, może pociągnąć za sobą jeszcze dwie lub trzy. Nynaeve, jeśli pójdzie za tobą większość Koła, to czy znowu zostaniesz Wiedzącą? Sądzę, że możesz być tą jedyną, która nie ugnie się przed Malene, nawet jeśli wszystkie wiemy. Nie wiesz, co to jest za kobieta.  
— Nie poddam się.  
„Wyjście. . . Nie! To są moi ludzie!”  
— Zabierz płaszcz, idziemy do Corin.  
Marin obawiała się opuścić gospodę, a kiedy już Nynaeve wyprowadziła ją na zewnątrz, przekradała się od drzwi do drzwi, kuląc i popatrując.  
Zanim przeszły połowę drogi do domu Corin Ayellin, Nynaeve dojrzała wysoką, kościstą kobietę, która przemierzała Łakę i kroczyła w kierunku gospody, ścinając główki roślin grubą, wierzbową witką. Mimo iż taka chuda, roztaczała wokół siebie wrażenie żyłastej siły, w kresce zaciśniętych ust tkwiło zdecydowanie i stanowczość. Cenn Buie pomykał jej śladem.  
— Malena! — Marin wepchnęła Nynaeve w przestrzeń pomiędzy dwoma domami i szeptała, jakby obawiając się, że kobieta może ją słyszeć przez całą Łakę.  
— Wiedziałam, że Cenn do niej pójdzie.  
Coś skłoniło Nynaeve, żeby obejrzała się przez ramię. Za nią, rozpościerając się od ściany do ściany, stał srebrny łuk, roztaczając białą poświatę.  
„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta”.  
Marin cicho krzyknęła.

— Widziała nas. Światłości pomóż, idzie tutaj!

Wysoka kobieta skręciła w poprzek Łąki, pozostawiając niepewnego Cenna. Na twarzy Maleny nie było nawet śladu niepewności. Szła wolno, jakby wiedziała, że nie istnieje najmniejsza nadzieja na ucieczkę, na jej twarzy powoli, wraz z każdym krokiem rozkwitał okrutny uśmiech.

Marin szarpała rękaw Nynaeve.

— Musimy uciekać. Musimy się gdzieś schować. Nynaeve, chodź. Cenn zapewne powiedział jej, kim jesteś. Nienawidzi każdego, kto choćby wspomni o tobie.

Srebrny łuk przyciągał wzrok Nynaeve.

„Wyjście...”

Potrząsnęła głową, usiłując sobie przypomnieć.

„To nie jest prawdziwe”.

Popatrzyła na Marin, potworne przerażenie wykrzywiało jej twarz.

„Musisz być nieugięta, by przeżyć”.

— Proszę, Nynaeve. Widziała mnie z tobą. Wi-dzia-ła-mnie! Błagam, Nynaeve!

Malena, niewzruszona, podchodziła coraz bliżej.

„Moi ludzie”.

Łuk załśnił.

„Wyjście. To nie jest prawdziwe”.

Nynaeve załkała, wyrwała swój rękaw z uścisku Marin i rzuciła się w kierunku srebrzystej poświaty.

Ściągał ją wrzask Marin.

— Na miłość Światłości, Nynaeve, pomóż mi! POMÓŻ MI!

Poświata otuliła ją całą.

\* \* \*

Z wytrzeszczonymi oczyma, zataczając się Nynaeve wyszła spod łuku, niemalże zupełnie nieświadoma komnaty, w której się znalazła i obecności Aes Sedai. Ostatni krzyk Marin wciąż dźwięczał jej w uszach. Nawet się nie napięła, gdy nagle wylano jej na głowę zimną wodę.

— Zostajesz oczyszczona z fałszywej dumy. Zostajesz oczyszczona z fałszywych ambicji. Przychodzisz do nas obmyta i czysta, na sercu i duszy.

Kiedy Czerwona Aes Sedai cofnęła się o krok, Sheriam podeszła, podając Nynaeve ramię.

Nynaeve wzdrygnęła się, potem zrozumiała, kto to jest. Obama rękoma pochwyciła kołnierz płaszcza tamtej.

— Powiedz mi, że to nie było prawdziwe. Powiedz mi!

— Źle? — Ręce Sheriam zwisały swobodnie wzdłuż boków, jakby przyzwyczajona była do takich reakcji. — Za każdym razem jest gorzej, a trzeci raz najgorszy jest ze wszystkich.

— Zostawiłam moją przyjaciółkę... zostawiłam moich ludzi... w Szczelinie Przeznaczenia, po to tylko, by wrócić.

„Błagam, Światłości, to nie było prawdziwe. Naprawdę, nigdy... Muszę spowodować, że Moiraine zapłaci. Muszę!”

— Zawsze są jakieś powody, aby nie wracać, coś co ci przeszkadza, coś co cię rozprasza. Ten *ter'angreal* splata siłą na ciebie. Bierze je z twego własnego umysłu, tkając pułapkę ścisłą i mocną, silniejszą niż stal i bardziej śmiertelną niż trucizna. Dlatego właśnie używamy go do przeprowadzania prób. Musisz pragnąć zostać Aes Sedai, bardziej niżli wszystkiego innego w całym świecie, musisz pragnąć tego w wystarczającym stopniu, aby móc stawić czoło wszystkiemu, walczyć wyzwolona z wszelkich uwarunkowań. Biała Wieża nie przyjmie od ciebie mniej. Tego właśnie od ciebie żądamy.

— Dużo żądacie. — Nynaeve wpatrywała się w trzeci łuk, ku któremu prowadziła ją ruda Aes Sedai.

„Trzeci jest najgorszy”.

— Boję się — wyszeptała.

„Cóż może być gorszego od tego, co właśnie zrobiłam?”

— Dobrze — powiedziała Sheriam. — Pragniesz zostać Aes Sedai, przenieść Jedyną Moc. Nikt nie osiągnie tego bez strachu i zgrozy. Strach spowoduje, że będziesz ostrożna, ostrożność pozwoli ci pozostać przy życiu.

Odwróciła Nynaeve twarzą do łuku, ale nie cofnęła się od razu.

— Nikt cię nie zmusi, byś weszła tam po raz trzeci, dziecko.

Nynaeve oblizwała usta.

— Jeśli odmówię, wydalicie mnie z Wieży i nigdy nie pozwolicie powrócić.

Sheriam pokiwała głową.

— A to jest najgorsze ze wszystkiego.

Sheriam pokiwała ponownie. Nynaeve wzięła głęboki oddech.

— Jestem gotowa.

— Trzecia próba — zaintonowała uroczyście Sheriam — poświęcona jest temu, co będzie. Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta.

Nynaeve biegiem rzuciła się w przestrzeń łuku.

\* \* \*

Śmiejąc się, biegła przez wirujące chmury motyli podrywających się z kwiatów, które pokrywały łąkę na szczycie wzgórza głębokim po kolana dywanem barw. Na skraju łąki szara klacz tańczyła nerwowo, wodze zwisały luźno i Nynave przestała biec, aby jeszcze bardziej nie przestraszyć zwierzęcia. Kilka motyli przysiadło na jej sukience, na kwiatkach zdobień i drobnych perłach, inne migotały wokół szafirów i księżycowych kamieni w jej włosach, zwisających luźno na ramiona.

Poniżej wzgórza rozciągał się naszyjnik Tysiąca Jezior, obejmując miasto Malkier, odbijając dotykające chmur Siedem Wież, ze sztandarami Złotego Żurawia rozwiniętymi na pełną długość wśród lekkich mgieł. Miasto posiadało tysiąc ogrodów, ona jednak wolała ten dziki ogród na szczycie wzgórza.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta”.

Stukot kopyt spowodował, że odwróciła się.

Al’Lan Mandragoram Król Malkier, zeskoczył z grzbietu swego rumaka i śmiejąc się szedł ku niej poprzez obłok motyli. Rysy jego twarzy, widać to było na pierwszy rzut oka, wskazały na twardego człowieka, jednak uśmiech, jaki twarz przybierała dla niej, łagodził kamienne płaszczyzny.

Zaskoczona zapatrzyła się i wtedy wziął ją w ramiona i pocałował. Na chwilę przywarła do niego, zatracając się, potem oddała pocałunek. Jej stopy wisiały w powietrzu o stopę nad powierzchnią ziemi, ale nie dbała o to.

Nagle odepchnęła go, odrzuciła głowę do tyłu.

— Nie — pchnęła mocniej. — Puść mnie. Postaw na ziemi.

Zmieszany, powoli opuszczał ją, aż stopy dotknęły ziemi. Odchyliła się od niego.

— Nie to — powiedziała. — Nie jestem w stanie poradzić sobie. Wszystko, tylko nie to.

„Proszę, pozwól mi znowu spotkać się z Aginorem”.

Pamięć zawirowała.

„Z Aginorem?”

Nie wiedziała, skąd wzięła się ta myśl. Wspomnienia chwiały się i falowały, jak niestałe kawałki pokruszonego lodu na rozszalałej powodzią rzece. Usiłowała pozbierać te kawałki, uchwycić coś, na czym mogłaby się oprzeć.

— Dobrze się czujesz, moja kochana? — zapytał niespokojnie Lan.

— Nie nazywaj mnie tak! Nie jestem twoją kochaną! Nie mogę wyjść za ciebie!

Przestraszyła się, kiedy odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

— Implikacje faktu, że mielibyśmy nie być małżeństwem, mogłyby zaniepo-

koić dzieci, moja żono. I jak miałabyś nią nie być, moja kochana? Nie mam żadnej innej i mieć nie będę.

— Muszę wracać.

Rozpaczliwie poszukiwała łuku, ale wokół były tylko łąka i niebo.

„Mocniejsze niż stal i bardziej śmiertelne niż trucizna. Lan. Dzieci Lana. Światłości, pomóż mi!”

— Muszę zaraz wracać.

— Wracać? Dokąd? Do Pola Emonda? Jak sobie życzysz. Wyślę list do Morgase i wydam rozkazy eskorcie.

— Sama — wymamrotała, wciąż rozglądając się dokoła.

„Gdzie to jest? Muszę odejść”.

— Nie mogę się uwikłać. Nie zniosę tego. Nie to. Muszę zaraz iść.

— W co się uwikłać, Nynaeve? Czego nie możesz znieść? Nie, Nynaeve. Możesz tutaj jeździć sarna, dokąd tylko chcesz, ale jeśli Królowa Malkieri przybędzie do Andoru bez odpowiedniej eskorty, Morgase będzie zgorszona, o ile nie poczuje się obrażona. Nie chcesz jej przecież obrazić, nieprawdaż? Sądziłem, że wy dwie jesteście przyjaciółkami.

Nynaeve poczuła się, jakby ją bito po głowie, jakby zadawano jej ogłuszające ciosy.

— Królowa? — zapytała z wahaniem. — Mamy dzieci?

— Pewna jesteś, że dobrze się czujesz? Sądzę, iż będzie lepiej, jeśli zobaczy cię Sharina Sedai.

— Nie — odchyliła się na powrót od niego. — Nie, Aes Sedai.

„To nie jest prawdziwe. Nie mogę dać się w to teraz wciągnąć. Nie mogę!”

— Bardzo dobrze — powiedział powoli. — Jako moja żona, jak możesz nie być królową? Jesteśmy Malkieri, nie południowcami. Zostałaś koronowana w Siedmiu Wieżach, w tym samym czasie, kiedy wymieniliśmy pierścienie.

Nieświadomie poruszył lewą dłońią, prosty złoty krąg otaczał palec wskazujący. Spojrzała na swoją rękę, na pierścień, o którym wiedziała, że tam będzie. Przykryła ją drugą ręką, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to w celu zanegowania, czy podkreślenia jego obecności.

— Teraz pamiętasz? — ciągnął dalej. Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłaskać jej policzek, cofnęła się o kolejne sześć kroków. Westchnął. — Jak chcesz, moja kochana. Mamy trójkę dzieci, chociaż tylko jedno może być właściwie określone tym mianem. Maric sięga ci już niemalże do ramienia i nie jest w stanie zdecydować, co pociąga go bardziej, konie czy książki. Elnore już zaczęła praktykować sztukę zwracania chłopcom w głowach, narzuca się Sharinie z pytaniami, kiedy będzie dostatecznie dorosła, aby udać się do Białej Wieży.

— Elnore to było imię mojej matki — powiedziała cicho.

— Tak też mówiłaś, kiedy je wybrałaś. Nynaeve. . .

„Nie mogę dać się w to teraz wciągnąć. Nie mogę!”



Za jego plecami, pomiędzy drzewami na skraju łąki, zobaczyła srebrny łuk. Przedtem skrywały go drzewa.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz”.

Odwróciła się w jego stronę.

— Muszę iść.

Chwycił jej dłoń i było tak, jakby stopy wrosły jej w kamień, nie była w stanie się wyrwać.

— Pojęcia nie mam, cóż cię kłopotczy, moja żono, lecz cokolwiek to jest, powiedz mi, a ja rozwiążę problem. Wiem, że nie jestem najlepszym z mężów. Kiedy się poznaliśmy, cały składałem się z kolcy, lecz przecież w końcu wygładziłaś mi niektóre.

— Jesteś najlepszym z mężów — wymruczała.

Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że pamięta go jako swego męża, że pamięta śmiech i łzy, gorzkie kłótnie i słodkie pogodzenia. Wspomnienia były niejasne, lecz czuła, jak robią się coraz silniejsze, coraz cieplejsze.

— Nie mogę.

Łuk wciąż stał, tylko kilka kroków od niej.

„Wyjście pojawi się na powrót, lecz tylko raz. Pozostań nieugięta”.

— Nie wiem, co się dzieje, Nynaeve, lecz czuję, jakbym cię tracił. Nie mogę tego znieść. — Wplótł palce w jej włosy, zamknęła oczy, przyciskając policzek do jego dłoni. — Bądź ze mną, zawsze.

— Chciałabym zostać — powiedziała miękko. — Chcę zostać z tobą.

Kiedy otworzyła oczy, łuk zniknął. . .

„Pojawi się, lecz tylko raz”.

— Nie. Nie!

Lan odwrócił jej twarz ku sobie.

— Czym się kłopotujesz? Musisz mi powiedzieć, jeśli mam ci pomóc.

— To nie jest prawdziwe.

— Nieprawdziwe? Zanim cię spotkałem, sądziłem, że nic prócz miecza nie jest rzeczywiste. Rozejrzyj się dokoła, Nynaeve. To jest prawdziwe. Jeśli chcesz, by cokolwiek było prawdziwe, możemy to razem urzeczywistnić, ty i ja.

Z niedowierzaniem potoczyła dokoła wzrokiem. Łąka wciąż tu była. Siedem Wież wciąż wznosiło się nad Tysiącem Jezior. Łuk zniknął, lecz prócz tego nic nie uległo zmianie.

„Mogę tu zostać. Z Lanem. Nic się nie zmieniło. — Jej myśli popłynęły w inną stronę. — Nic się nie zmieniło. Egwene jest samotna w Białej Wieży. Rand będzie prznosił Moc i oszaleje. A co z Matem i Perrinem? Czy odzyskają choć odrobinę swych żywotów? A Moiraine, która rozerwała nasze życie na strzępy, wciąż żyje bezkarnie”.

— Muszę wracać — wyszeptała.

Niezdolna znieść bólu widocznego na jego twarzy, wyzwoliła się z jego objęć. Rozmyślnie stworzyła przed oczyma obraz pączka kwiatowego, białego pączka na czarnej, ciernistej łądydze. Kolce wymyśliła ostre i okrutne, pragnąc, by przeżyły jej skórę. Czuła się, jakby wisiała na czarnych, ciernistych gałęziach. Głos Sheriam Sedai tańczył gdzieś na granicy słyszalności, mówiąc jej o niebezpieczeństwach, jakie pociąga za sobą próba przenoszenia Mocy. Pączek otworzył się i *saidar* wypełnił ją światłem.

— Nynaeve, powiedz mi, o co chodzi.

Głos Lana wślizgnął się w jej skupienie, nie pozwoliła sobie na to, by go słyszeć. Wciąż jeszcze musi być gdzieś wyjście. Wpatrując się w miejsce, gdzie stał srebrny łuk, usiłowała odnaleźć jakiś ślad po nim. Nie było nic.

— Nynaeve...

Starła się przedstawić myślowy obraz łuku, ukształtować i uformować go do najdrobniejszych szczegółów, wygięcie połyskującego metalu wypełnione poświęciatą niczym śnieżnym ogniem. Wydawało się chwiać przed nią, na tle drzew, potem zniknęło, za chwilę pojawiło się znowu. — ...kocham cię...

Zaczerpnęła z *saidara*, spijając strumień Jedynej Mocy, do chwili gdy poczuła, iż niemalże eksploduje. Promienistość wypełniła ją, lśniła wokół, raziła oczy. Gorąco zdawało się przepalać jej ciało. Migotliwy łuk ustalił się, umocnił, pojawił w pełni swej obecności. Ogień i ból przepełniały ją niemalże bez reszty, kości rezonowały, niczym przeżerane płomieniem, pod czaszką wyło rozbuchane palenisko.

— ... całym moim sercem.

Pobiegła w kierunku srebrnego łuku, nie pozwalając sobie nawet na rzut oka wstecz. Nie miała najmniejszych wątpliwości, iż najbardziej gorzką rzeczą, jaką słyszała w życiu, nie był krzyk Marin al'Vere błagającej o pomoc, w momencie gdy ją opuszczała, ale słodycz, jaka brzmiała w ścigającym ją, pełnym udręki głosie Lana.

— Nynaeve, błagam, nie opuszczaj mnie.

Pochłonęła ją biała poświęciata.

\* \* \*

Nynaeve, naga, zataczając się, opuściła przestrzeń łuku i padła na kolana. Łkała z rozwartymi ustami, łzy strumieniami ściekały jej po policzkach. Gdy Sheriam uklękła przy niej, podniosła oczy i spojrzała na rudowłosą Aes Sedai.

— Nienawidzę cię! — Z całych sił starała się powstrzymać łzy. — Nienawidzę wszystkich Aes Sedai!

Sheriam westchnęła cicho, po czym pomogła Nynaeve wstać.

— Dziecko, niemalże każda kobieta, która przechodzi próbę, mówi to samo. Nie jest prostą rzeczą zostać zmuszona do spotkania swoich strachów. Co to jest? — powiedziała ostro, odwracając dłonie Nynaeve wnętrzem do góry.

Ręce Nynaeve nagle zadrżały, przeszyte bólem, którego dotąd nie czuła. Obie dłonie, dokładnie pośrodku, przebijały długie, czarne ciernie. Sheriam wyciągnęła je ostrożnie. Nynaeve czuła delikatny chłód dotyku Uzdrawienia. Kiedy ciernie wreszcie zostały usunięte, pozostawiły po sobie małe blizny, na wierzchu i we wnętrzu dłoni.

Sheriam zmarszczyła brwi.

— Nie powinny zostać żadne ślady. I w jaki sposób udało ci się nadzieć tylko na dwa, do tego umieszczone tak dokładnie? Gdybyś zaplątała się w krzaki tarniny, powinnaś być cała pokryta skaleczeniami i cierniami.

— Powinam — zgodziła się gorzko Nynaeve. — Może uznałam, że już wystarczająco dużo zapłaciłam.

— Zawsze trzeba zapłacić określoną cenę — stwierdziła Aes Sedai. — Teraz chodź. To była pierwsza cena. Weź to, za co zapłaciłaś.

Delikatnie popchnęła Nynaeve do przodu.

Nynaeve zdała sobie sprawę, że w komnacie znajduje się więcej Aes Sedai. Była tu Amyrlin w pasiastej stule, po jej obu bokach stały otulone w szale przedstawicielki kolejnych Ajah. Wszystkie patrzyły na nią. Pamiętając wskazówki Sheriam, Nynaeve podeszła na chwiejnych nogach i uklękła przed Amyrlin. Tamta wylała na jej głowę, trzymany w dłoniach, ostatni kielich.

— Zostajesz oczyszczona z Nynaeve al'Maera, z Pola Emonda. Zostajesz oczyszczona z wszelkich więzi, które łączą cię ze światem. Przychodzisz do nas obmyta i czysta, na sercu i duszy. Jesteś Nynaeve al'Maera, Przyjęta Białej Wieży.

Amyrlin podała kielich jednej z sióstr i pomogła Nynaeve wstać.

— Należysz teraz do nas.

Oczy Amyrlin zdawały się płonąć ciemną poświatą. Dreszcz, który przeszył Nynaeve, nie miał nic wspólnego z tym, że była naga i mokra.